

Judith Lennox

Prze burzą

Ewen i Amanda.
To dla nich, z miłością

Część pierwsza
Czerwona królowa
1909 - 1928

Rozdział 1

Jesienią roku 1909 Richard Finborough jechał przez hrabstwo Devon, kiedy samochodem zaczęło rzucać. Burza rozpętała się już po tym, gdy po południu opuścił przyjaciół, Colville'ów, a teraz na dodatek coraz wyraźniej podejrzewał, że w Exmoor skręcił w niewłaściwym kierunku.

Zjechał na pobocze. Deszcz chłostał mu twarz, a silny wiatr szarpał płaszcz i usiłował zerwać z głowy kapelusz. Ściemniało się. Wicher zrzucał obumarłe liście buków. Podczas oględzin nadwozia samochodu Richard stwierdził, że wóz ma uszkodzony tylny resor. Zrezygnował, dość niechętnie zresztą, ze spędzenia nocy w Bristolu, jak zamierzał, i zaczął szukać miejsca, w którym mógłby się schronić. Kilka mil dalej znalazł drogowskaz kierujący do miejscowości o nazwie Lynton. Kiedy wszedł w zakręt, samochód przechylił się gwałtownie.

W Lynton wynajął pokój w hotelu. Rano wstał i zjadł śniadanie. Odprowadził auto do naprawy, a sam zdecydował się iść na spacer. Lynton osiadło wysoko na klifie, nad Kanałem Bristolskim. Poniżej leżała siostrzana wieś Lynton, Lynmouth: ze swego miejsca Richard widział, jak sztorm tworzy białe grzywy na wzburzonym morzu. Tę część hrabstwa Devon zwano „małą Szwajcarią”. Richard nie był tym zdziwiony - wzgórza i ścieżki były niezwykle strome, domy zaś wydawały się kurczowo trzymać klifu.

Skierował się na dół, w kierunku Lynmouth. Ze względu na silny wiatr i pochyłą drogę musiał patrzeć pod nogi. Dwie rzeki, teraz wzburzone z powodu silnego deszczu i niosące gałęzie strącone z drzew w wąskich, lesistych dolinach, w małej wiosce Lynmouth łączyły się w jeden nurt i wspólnie wpadały do morza. Wokół portu usiadły chaty. Był przypyływ, lecz przy kei stały kutry rybackie. Najwyraźniej rybacy uznali, że przy takiej pogodzie nie należy wyruszać w morze. Opady deszczu były częste i silne: krajobraz chłonał wodę, morze i deszcz, niczym gąbka. Richard pod nosem przeklął samochód za to, że odmówił mu posłuszeństwa na tym pustkowiu, i to przy takiej pogodzie.

Jego wzrok padł na czerwoną plamę, widniejącą na samym końcu przystani. Wśród towarzyszących sztormowi brązów i szarości wody, morza i klifu zauważył sylwetkę młodej kobiety. Stała pod przysadzistą kamienną wieżą na falochronie, który chronił jedną

stronę portu. Przesłaniając oczy od deszczu, Richard wypatrzył niebiesko - białą spódnicę, czerwony żakiet oraz gęstwą długich czarnych włosów. Targał nimi wiatr, a drobniutkie kropelki wody morskiej unosiły się nawet ponad głową kobiety. Nieopodal kotłowały się wzburzone fale. Chyba stoi zbyt blisko krawędzi, pomyślał, wystarczy jedna zbłąkana fala i porwie ją morze. Niepokoila go owa niebezpieczna pozycja, którą wybrała, by podziwiać sztorm. Uspokoil się, dopiero gdy zobaczył, że kobieta odwraca się i rusza w kierunku kei.

Zaciekawiony Richard czekał pod osłoną bramy. Kiedy idąca podeszła bliżej, zauważył, że jest kompletnie przemoczona. Zupełnie jakby już od dłuższego czasu stała na deszczu. Zauważyła go, dopiero kiedy powitał ją uchyleniem kapelusza. A potem, odrzucając mokre czarne włosy, odwróciła wzrok i ruszyła w górę drogą prowadzącą z powrotem do Lynton.

Następnego dnia myśl o niej przemknęła mu przez głowę kilka razy. Te czarne włosy i dumna postawa, kiedy mijała go w przemoczonym czerwonym żakiecie i powłóczystych spódnicach. Jej wyniosłość, jej królewskość - prawdziwa czerwona królowa.

Sztorm osłabł i kutry rybackie wypłynęły w morze. Poszarpane chmury wędrowały po rozmytym białoszarym niebie. Śmieci zalegały w rynsztokach, a skalisty brzeg zaścielały szczątki wyrzucone przez morze.

Teraz, poza sezonem, w hotelu było zaledwie kilku innych gości. W jadalni Richard spotkał grupę starszych panów, prawdopodobnie stałych rezydentów, oraz młode małżeństwo, być może spędzające tu miesiąc miodowy. Młodzi ludzie przy stoliku w rogu chichotali i trzymali się za ręce. Kiedy podeszła kelnerka, Richard zapytał ją o kobietę napotkaną w porcie.

Nie wiedziała, o kim on mówi. Podpowiedział:

- Była młoda... Jakieś dwadzieścia trzy, może cztery lata. Czarne włosy. I miała na sobie czerwony żakiet.

Postawiła przed nim talerz z flądrami au berre blanc.

- A, chodzi panu zapewne o pannę Zeale.

- Pannę Zeale?

- Zeale to nazwisko z Bridport, lecz ona nie jest stamtąd. Może z Bristolu, nie wiem.

- Ale mieszka tutaj ?

Kelnerka ruchem głowy wskazała bliżej nieokreślony kierunek na ładzie.

- Tam, w Orchard House. Panna Zeale była gospodynią pana Hawkinsa. Biedak zmarł trzy tygodnie temu.

Następnego ranka Richard dowiedział się, jak dojść do Orchard House, i dopiero potem wyruszył na strome wzgórze, położone za miastem. Po obu stronach drogi rozciągał się las, poprzecinany głębokimi rozpadlinami skalnymi. Od głównej drogi odchodziła wąska dróżka, pokryta kałużami i otoczona żywopłotem i wysokimi bukami. Powietrze pachniało mokrą ziemią i butwiejącymi liśćmi.

Znalezienie domu nie było trudne. Nazwa - kręcone litery z kutego żelaza - widniała na bramie. Bielony budynek oddzielał od drogi ogród, teraz naznaczony śladami sztormu. Weranda ze szkła i żelaza, obwieszona pnącymi roślinami, biegła przez całą długość domu. Richard pomyślał, że miejsce wygląda na opuszczone. Okna były zasłonięte, a wejścia zamknięte na głucho.

Już miał zawrócić i iść dalej na wzgórze, kiedy otwarły się frontowe drzwi i stanęła w nich panna Zeale. Była w tym samym żakiecie, lecz tym razem miała czarną spódnicę.

Richard otworzył bramę.

- Panno Zeale! - zawołał. Podeszła do niego, marszcząc brwi. - Tak?

- Czy mógłbym prosić o szklankę wody? Zamilkła na chwilę, jakby rozważając odmowę, a potem odparła:

- Proszę tu poczekać - i weszła z powrotem do domu. Po kilku minutach wróciła ze szklanką w ręce.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Podała mi je kelnerka w hotelu. A ja jestem Richard Finborough.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła się, udając, że nie widzi jego wyciągniętej dłoni. Pijąc wodę, zerkał na jej profil. Zauważył prosty, niemal grecki nos, pełne usta i niemal przezroczystą bladość, która tak zaskakująco kontrastowała z czarnymi włosami.

Pomyślał, że panująca cisza jest pełna napięcia. Aby przerwać milczenie, zapytał:

- Od dawna pani tu mieszka?

- Dwa i pół roku.

- To dość odludne miejsce.

- Tak. Podoba mi się. - Odwróciła się w jego stronę. Jej oczy, w kolorze bladego, zielonkawego błękitu, z ciemniejszą obwódką wokół źrenicy, patrzyły wrogo. - Proszę wybaczyć, ale mam co robić.

- Oczywiście. - Oddał jej szklanekę. - Dziękuję za wodę, panno Zeale.

Zaintrygowała go. Te oczy, rzecz jasna, i jej niezwykła i zachwycająca uroda, tak nieoczekiwana w tej dziczy. Zupełnie jakby odkrył egzotyczny kwiat na stercie kompostu.

Richard uważał się za niezłego znawcę piękna. Żadna z jego znajomych, rozpieszczonych księżniczek z Londynu, nie mogła się równać z panną Zeale. A jej chłodne obejście tylko go zachęciło. Był przystojny, bogaty i pewny siebie. Nikt, a już szczególnie służąca, nie traktował go w ten sposób.

Po południu Richard otrzymał wiadomość, że samochód jest gotowy. Czekać w saloniku w domu kowala, gawędził z jego żoną. Rozmowa zeszła, jak zamierzał, na pannę Zeale.

Richard zapytał:

- Nie pochodzi z Lynton, prawda?

Żona kowala odpowiedziała z gniewem:

- Na szczęście.

- A skąd?

- Nie umiem panu powiedzieć. Ta się nikomu nie zwierza. Można ją zapytać o godzinę i też niekoniecznie odpowie. - Kobieta jakoś zbyt szybkim ruchem starła kurz z kominka. - Moim zdaniem, długo tu nie zabawi.

Ton głosu kowalowej wskazywał, że panna Zeale i tak już zabawiła zbyt długo.

- Dlatego, że jej pracodawca nie żyje? - drażył Richard. - Co zapewne oznacza, że musi szukać innej pracy.

Kolejne prychnięcie.

- Och, nie martwiłabym się o nią. Takie jak ona zawsze spadają na cztery łapy.

Pukanie w okno oznajmiło nadejście kowala. Richard wyszedł odebrać samochód.

Nazajutrz obudził się wcześniej. Niebo było błękitne, a ulice i domy skąpane w złotym blasku wschodzącego słońca. Na początku planował, że odjedzie do Londynu, kiedy tylko samochód będzie sprawny. Teraz jednak się ubrał i po opuszczeniu hotelu skierował się

w stronę miasta, wciągając w płuca chłodne, przesycone solą powietrze. Droga prowadziła obok kościoła, gdzie pomiędzy cyprysami i nagrobkami zauważył jakiś ruch. Zatrzymał się. Z cmentarza wyszła panna Zeale. Tym razem ubrana była na czarno, a jej twarz zasłaniała woalka. Richard zauważył, że na jednym z grobów, jeszcze bez nagrobka, leżały róże.

- Dzień dobry, panno Zeale - powiedział.

- A, pan Finborough.

Z zadowoleniem przyjął fakt, że zapamiętała jego nazwisko.

- Miałem zamiar iść na wzgórze. Czy mogę pani towarzyszyć?

- Jeśli ma pan ochotę - odparła obojętnym tonem. Podczas wspólnego spaceru Richard komentował piękno dnia i gwałtowność sztormu, lecz jego towarzyszka nie podjęła tematu. Na wszelkie pytania odpowiadała zdawkowo.

Dotarli do Orchard House. Spojrzał na piękny stary budynek i zauważył:

- Pewnie będzie pani przykro opuszczać to miejsce. Za takimi miejscami nie można nie tęsknić.

Twarc jej ciągle była zasłonięta. Odpowiedziała lodowatym tonem:

- Panie Finborough, wiem, co o mnie mówią w mieście.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Przepraszam bardzo, ale...

- Nie wiem, co pan słyszał, ale z całą pewnością nie była to prawda. Proszę zapomnieć wszystko, co panu powiedzą. A teraz chciałabym przejść...

Zdał sobie sprawę, że stoi przed bramą. Otworzył ją i dziewczyna weszła do ogrodu. Odezwała się do niego raz jeszcze:

- Proszę ze mną więcej nie rozmawiać. Chcę tylko mieć spokój. Proszę okazać się człowiekiem dobrze wychowanym i mi go zapewnić.

A potem weszła do domu. Patrzył, jak zamyka za sobą drzwi, i dopiero wtedy odszedł.

W drodze do Londynu Richard pędził na złamanie karku. Był wściekły. Ton głosu panny Zeale był obelgą, jej słowa zaś... brzmiała w nich taka nagana, jaką on sam wyrażał wyłącznie w rozmowie z najbardziej leniwym z pracowników lub niegodnym szacunku

kontrahentem. Dotarł w końcu do miasta i skierował się wprost do biura, gdzie wylał złość na swego asystenta, Johna Temple'a.

Richard Finborough mieszkał w Londynie od siedmiu lat. Rodzinny dom w hrabstwie Down w Irlandii opuścił w wieku lat osiemnastu, świadom, że nie ma tam dla niego przyszłości. Irlandzka wojna o ziemię oraz ustawa o zakupie gruntów do tego stopnia zubożyły i pomniejszyły posiadłość rodową, Raheen, że został z niej jedynie dom i trzydzieści akrów parku. Kiedy Richard miał zaledwie szesnaście lat, zmarł jego ojciec, oskarżający rząd brytyjski o zdradę nastawionych proangielsko rodzin irlandzkich. Richard nie dzielił rozgoryczenia ojca, a poza tym nie miał ochoty spędzić reszty życia jako rolnik ani żyć z dzierżawy ziemi. Dość wcześnie poznał potężną, niszczącą siłę rozczarowania.

Tak więc z ulgą zostawił posiadłość pod opieką matki i wyjechał do Londynu. Szybko się w tym mieście zakochał. Tętniło życiem, a poza tym w powietrzu niemal unosił się zapach pieniędzy. Zupełnie jakby cały Londyn zajmował się sprzedażą i kupnem; tą działalnością przesycone były ulice i domy. Puls Londynu najsilniej bił w City i w porcie, gdzie potężne statki zostawiały ładunek przywożony z całego imperium, a przed ponownym wyruszeniem na drugą stronę globu zabierały produkty z tkalni i odlewni żelaza.

Początkowo Richard pracował w biurze, w agencji importowej, należącej do przyjaciela rodziny. Po trzech latach rozpoczął działalność na własną rękę. Odkrył, że ma wrodzoną smykałkę do interesów, że potrafi zarówno zachować zimną krew, jak i okazać bezwzględność, a także, że jest zdolny przewidzieć, które gałęzie produkcji będą się stale rozwijać, a które czeka jedynie chwilowy rozkwit. Większość akcji i obligacji przynosiła mu jedynie niewielki dochód, lecz grunty w centrum miasta, ostatnia część tego, co niegdyś było sporą posiadłością w Londynie, przyniosły sporo pieniędzy.

Dzięki zyskom ze sprzedaży działek spłacił najpilniejsze długi, ciężące na posiadłości w Irlandii. Zostało mu jeszcze dość pieniędzy, by kupić zakład pakowania herbaty i niewielki warsztat, produkujący guziki w East Endzie. Myślał, że to początek, początek imperium, które stworzy on, Richard Finborough. Rodzina Finborough była kiedyś potężna i bogata, miała wspaniałe posiadłości i wiele akrów ziemi po obu stronach Morza Irlandzkiego. Wszystko to zabrał czas, historia i nieprzemysłane wydatki ojca. Ambicję Richarda rozpałała

strata, a podsyciło jeszcze ryzyko upadku. Wiedział, że nie spocznie, dopóki nie uda mu się przywrócić dawnej chwały rodzinie i zabezpieczyć własny majątek. Słowem, stworzyć współczesną dynastię.

Po powrocie do Londynu pracował do późna, a do swego mieszkania na Picadilly powrócił tego wieczoru po dziewiątej. Do tego czasu minęła mu złość na pannę Zeale, w czym pomogły inne, znacznie bardziej skomplikowane uczucia. Odmówił zjedzenia kolacji przygotowanej przez służącego, przebrał się i wyszedł. Posiliwszy się w klubie, udał się na przyjęcie w domu przy Charles Street, wiedząc, że spotka tam Violet Sullivan.

Violet była najmłodszą córką bogatego przemysłowca, Lamberta Sullivana. Richard i Violet już od kilku miesięcy łączył flirt. Violet była śliczna i pewna siebie. Raz czy dwa Richard zastanawiał się nawet, czy jej nie poślubić. Kusila go drobna, schludna i zaokrąglona figura dziewczyny, a przymierze z potężnym rodem Sullivanów mogło mu tylko pomóc.

Tego wieczoru jednak nie wydawała mu się czarująca. Drażniły go kokieteryjne muśnięcia wachlarzem, a dziewczęcy śmiech wydawał się nienaturalny, wymuszony. Jej twarz, jej alabastrowa skóra, gładka niby obrany ze skórki migdał, nie robiły na nim wrażenia, rozmowa zaś toczyła się monotennie. Podczas konwersacji z Violet umysł Richarda zaprzętał obraz panny Zeale, jej tajemnicza, niezemska uroda.

Przyjęcie opuścił wcześniej. Niebo było czyste, a ciemność rozpraszało światło gwiazd. Przez jakiś czas błąkał się bez celu, po wyjściu z przegrzanego pomieszczenia rozkoszując się chłodem londyńskiego powietrza. Następnie udał się do pubu, gdzie usiadłszy przy stoliku na uboczu, zamówił brandy z wodą sodową, by po raz kolejny przeżywać wydarzenia poranka.

Panie Finborough, wiem, co o mnie mówią w mieście.

Żona kowala nie ukrywała niechęci do panny Zeale. Bez trudu można było zgadnąć, dlaczego okoliczni ludzie tak surowo oceniali dziewczynę. Przyczyną plotek i pretensji była duma, powściągliwość, pragnienie samotności i bez wątpienia uroda panny Zeale. Czuł, że dziewczyna jest inna niż wszyscy, a małe, odizolowane społeczności często patrzą z niechęcią na odmieńców.

Richard skończył pierwszą szklaneczkę brandy i zamówił kolejną. Dezaprobata sąsiadów panny Zeale dotyczyła zapewne jednego punktu: moralności dziewczyny lub jej - bardziej prawdopodobnego, ich zdaniem - braku. Mężczyźni jej pożądali, a kobiety zazdrościły. Jego własne zainteresowanie jej osobą, to całe wypytywanie kelnerki i żony kowala, z pewnością dało powód do kiwania głowami i komentarzy. Być może niechcący jeszcze pogorszył i tak trudną sytuację panny Zeale. Co gorsza, dotarło do niego, że ona była przekonana, iż to właśnie plotki wywołały jego zainteresowanie jej osobą. Mogła pomyśleć, że wdał się w rozmowę z nią, gdyż powszechna opinia określała ją mianem łatwej, dostępnej.

Richard skrył twarz w dłoniach. Tylko tak mógł powstrzymać się od wycia nad własnym nietaktem. Zapomnij o tej kobiecie, mówił sobie. W Londynie są setki pięknych kobiet, a Londyn od Lynton dzieli setki mil. Nie muszę się z nią spotkać nigdy więcej.

Z myślami przyjemnie zmaconymi alkoholem Richard ruszył przez miasto do swej kochanki, Sally Peach.

W ciągu kolejnych dni siłą woli zmuszał się do skupienia na pracy i podejmowania planów na przyszłość. Fabryka pakowania herbaty miała spory potencjał, lecz jej obecne budynki były zbyt małe, by mogła się rozwijać, warsztat zaś produkujący guziki stanowiła właściwie zwykła szopa, w której rzędy kobiet pracowały przy kiepskim świetle. Obie firmy muszą rosnąć, aby mogły przetrwać i prosperować. Klasa robotnicza żądała coraz wyższych płac: kiedy większość ludzi będzie więcej zarabiać, zaczną również więcej kupować, i Richard miał zamiar tę zależność wykorzystać. Wiedział, że minęły już czasy, gdy biznesmen mógł dbać jedynie o bogatą klientelę, i nie miał zamiaru pozostać w tyle za zmianami, których - jego zdaniem - nie dało się uniknąć. Nie zbije fortuny, sprzedając ekskluzywne gatunki herbaty bogaczom, ale może to zrobić, oferując tańsze, lecz elegancko opakowane herbaty warstwom mniej zamożnym.

Natomiast wszystkie guziki, produkowane w warsztacie z macicy perłowej, muszli i szkła, były wspaniałej jakości, lecz nie dało się ich robić zbyt szybko, a produkcja była droga. Już od jakiegoś czasu Richard szukał tańszych, łatwiejszych w obróbce materiałów. Na początku roku zawarł znajomość z Sidneyem Colville'em, chemikiem po studiach politechnicznych, który interesował się właściwościami i

zastosowaniem tworzyw kazeinowych. Ten dziwny, nietowarzyski człowiek, który zamykał się w pracowni na długie tygodnie i odmawiał kontaktów ze światem, mieszkał z siostrą inwalidką, Christine, w West Country. Richard uznał, że czas złożyć Colville'om kolejną wizytę.

Umówił się więc z nimi i powiedział Johnowi Temple'owi, co ma robić podczas jego nieobecności. Richard nie oszukiwał się - miał świadomość, że chęć powrotu do Devon nie jest związana jedynie z pragnieniem poznania tajników tworzyw kazeinowych. Tym razem będzie jednak ostrożniejszy. Sidney Colville i panna Zeale mieli sporo wspólnego: oboje byli nadzwyczaj trudnymi kontrahentami.

Richard dotarł do Lynton po południu. Niebo zaczynało już ciemnieć. Tak bardzo pragnął spotkać się z panną Zeale, że nie zameldował się w hotelu, jak planował, lecz od razu pojechał stromą, wąską drogą, prowadzącą do Orchard House.

Zaparkował samochód i zaglądając przez bramę, zauważył w ogrodzie pannę Zeale. Coś ścisnęło mu serce. Targały nim sprzeczne emocje: radość, obawa i - jak to nazwać? - niecierpliwość, zupełnie jakby miał wyruszyć w jakąś długą i niebezpieczną podróż. Czuł też, że zna tę dziewczynę. Zamienił z nią może z pół tuzina zdań, lecz mimo to wydawała mu się bliską znajomą.

Zauważyła go dopiero po dłuższej chwili. W odsłoniętym ogrodzie na zboczu szalał wiatr, szarpiąc włosy dziewczyny i wydymając jej spódnice. Richardowi wydawało się, że pracuje ona z nadnaturalną energią. Jednym ruchem kosy ścinała pęk jeżyn. Szerokim zamachem grabi zbierała zbrązowiałe liście kasztanowca, które pokrywały trawnik, na sterty. W którymś jednak momencie podmuch wiatru podniósł liście z ziemi, nie licząc się zupełnie z pracą dziewczyny. Opuściła ramiona, jakby była bardzo zmęczona.

Odwróciła się na odgłos jego kroków na wysypanej żużlem ścieżce.

- Pomogę pani - zaproponował.

Zdjął płaszcz, zarzucił go na gałąź drzewa i wziął grabie.

Odpowiedziała mu ze złością:

- I co pan sobie wyobraża?

- Że trzeba pozmiatać te liście, zanim wiatr rozwieje je wszystkie.

- Panie Finborough, proszę odejść. - Jej głos aż drżał z gniewu.

Nie przestawał grabić małych kupek liści na pusty kawałek ziemi obok trawnika.

- To duży ogród jak dla jednej osoby. Zapanowała cisza, a potem dziewczyna odparła sztywno:

- Kiedyś zajmował się nim chłopak z Lynmouth, lecz nie pokazał się już od miesiąca.

- Dlaczego?

Owinęła się szelniej połami żakietu, jakby chciała się za nim schować. Patrzyła na Richarda chłodnym wzrokiem.

- Panie Finborough, a jak się panu wydaje?

- Nie mam pojęcia.

- Nie przychodzi, czy też matka nie pozwala mu przychodzić, bo mieszkam tu sama. I mogłabym go zarazić swą nikczemnością. - Niemal wypluła ostatnie słowo.

Jej twarz zaczerwieniła się ze złości i wysiłku, dzięki czemu dziewczyna wydawała się jeszcze piękniejsza.

- A mogłaby pani? - zapytał.

Pomyślał, że go spoliczkuje, lecz jej ramiona opadły jeszcze bardziej.

- Dlaczego ludzie zawsze wierzą w to, co najgorsze? - zapytała z goryczą. - Czy w życiu nie jest wystarczająco ciężko? Po co szukać grzechu tam, gdzie go nie ma?

- Chyba ludziom się nudzi. Małe miasteczka są mało interesujące, szczególnie zimą. Każdy, kto się choć trochę różni od innych, dostarcza powodów do plotek.

Spuściła wzrok i zmarszczyła czoło.

- Nie chciałam być inna. Chciałam tylko, żeby mnie nikt nie zauważał.

- Nie powinna się pani przejmować plotkami.

- I nie robię tego. A przynajmniej nie ze względu na siebie. Ale oni krytykowali jego...

- Mówi pani o swoim pracodawcy?

- Tak. - Zmarszczka na jej czole jeszcze się pogłębiła. - Pod koniec życia Charles był bardzo słaby. Może trzymał mnie pod rękę, kiedy szliśmy przez miasto. Albo może pomogłam mu zdjąć buty, kiedy z powodu reumatyzmu nie mógł się schylić, a jakiś wścibski człowiek zobaczył to zza ogrodzenia. To wstrętne, że ludzie

interpretują fakty w tak niegodziwy sposób. - Spojrzała na Richarda. - Panie Finborough, dlaczego pan tu przyjechał?

Wszystkie liście były porządnie zgrabione na stertę.

- Ponieważ lubię ogniska - odpowiedział z uśmiechem.

Z kieszeni płaszcza wyjął zapalniczkę. Suche listowie zapaliło się bez trudu, a potem równie szybko zaczęło dymić.

- Prawdę mówiąc, przyjechałem panią przeprosić. Po powrocie do Londynu uświadomiłem sobie, że musiałem postawić panią w niezręcznej sytuacji. Chciałbym wyjaśnić, że rozmawiając z panią tamtego dnia, nie miałem żadnych ukrytych pobudek.

- Przyjechał pan tu z Londynu? - Tak.

- I chce pan mi wmówić, że zrobił pan to jedynie po to, by mnie przeprosić?

- Nie. Jadę załatwiać interesy w pobliżu Woolacombe.

- Och! - Oblała się rumieńcem.

Ogień rozprzestrzenił się, płomienie przeskakiwały pomiędzy trzeszczącymi liśćmi.

- Kiedy widzieliśmy się poprzednio - ciągnął Richard - czułem się zagubiony. W takich okolicznościach ludzie często rozmawiają z pierwszą osobą, napotkaną na ulicy. Zauważyłem panią zaraz pierwszego dnia mojego pobytu w Lynton. Był silny wiatr, a ja zawsze lubiłem patrzeć na wzburzone morze, więc poszedłem do portu. Zobaczyłem panią na falochronie. Niepokoiłem się o panią.

- Niepokoił się pan?

- Stała pani w cieniu starej wieży. Pomyślałem, że to zdecydowanie zbyt blisko fal.

Roześmiała się krótkim, lekceważącym śmiechem.

- Idę do wieży, kiedy muszę pomyśleć. Taki mam zwyczaj. Podoba mi się tam.

- O czym pani myślała? - I zaraz się poprawił: - Przepraszam, że tak wypytyuję...

Nastąpiła cisza, a potem dziewczyna spojrzała w kierunku domu i powiedziała:

- To nie tajemnica. Myślałam o swojej przyszłości. Muszę stąd niedługo wyjechać.

Przypomniał sobie, że wydawało mu się, iż stoi zbyt blisko krawędzi kamiennej ściany.

- Wyglądało to dość... niebezpiecznie.

- Byłam wystarczająco bezpieczna. A co by pan zrobił, gdybym wpadła do morza? Czy rzuciłby się pan na ratunek? - W jej głosie czuć było kpinę.

Odpowiedział bez namysłu:

- Tak sędzę.

- Jakże to miło, że martwi się pan tak bardzo o kogoś, kogo ani razu pan wcześniej nie widział.

- Czy nigdy nie miała pani tak wielkiej ochoty na towarzystwo, że rozmawiała pani z przechodniami na ulicy?

Znowu przybrała powściągliwy wyraz twarzy.

- Kiedyś - wyszeptła. - Dawno temu. Nie teraz. Ogień dogasał. Całe ożywienie z jej twarzy zniknęło i kobietą wstrząsnął dreszcz.

- Muszę już iść, mam sporo pracy. Dobranoc, panie Finborough.

Richard postanowił nie wracać do Orchard House zbyt szybko. Następne kilka dni spędził z Colville'ami w domku, który wynajmowali w pobliżu Woolacombe, gdzie Sidney Colville, w wyjątkowo wylewnym nastroju, bawiał się po skrawkach papieru, usiłując przedstawić tajniki chemii tworzyw kazeinowych. Co jakiś czas wychodzili na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Sidney, zapalony ornitolog, pokazywał mu ptaki morskie. Richard grzecznie słuchał, lecz myślał przy tym o panie Zeale.

Po powrocie do Lynton pod koniec tygodnia zaczął zbierać informacje na jej temat. Dowiedział się, że ma na imię Isabel i że pracę w Orchard House podjęła ponad dwa lata temu, w lecie 1907 roku. Charles Hawkins, jej pracodawca, był dyrektorem szkoły podstawowej dla chłopców do śmierci swej żony, która zmarła siedem lat wcześniej. Choć mieszkańcy miasteczka tolerowali dziwactwa pana Hawkinsa, to jego gospodyni już nie. Strój panny Zeale, jej akcent, w którym nie słychać było charakterystycznych dla hrabstwa Devon gardłowych dźwięków, niechęć do opowiadania o własnej przeszłości - wszystko to wywoływało zastrzeżenia sąsiadów. Dotyczyły one nawet jej zamięłowania do książek. Richard zorientował się, że w oczach ludzi panna Zeale popełniła tę najbardziej ohydłą ze wszystkich zbrodni: była zarozumiała. O najgorszym z jej grzechów ludzie jedynie mgliście napomykali. Nikt nie miał czelności otwarcie twierdzić, że Isabel Zeale wykorzystwała swą pozycję i została kochanką Charlesa Hawkinsa, lecz aluzje wyraźnie na to wskazywały.

Następnym razem Richard spotkał ją w mieście. Po śniadaniu poszedł do portu. Przechodząc przez Lynton, zauważył ją przed sobą. Miała na sobie czerwony zakiet i niosła niewielki koszyk na zakupy. Grupka mężczyzn, którzy właśnie wytoczyli się z pubu, potrafiła ją, tak że koszyk wypadł jej z ręki. Usłyszał śmiechy i szyderstwa, kiedy bochenek chleba wpadł do rynsztoka, a torebka mąki się rozerwała, obsypując bruk.

Panna Zeale zatrzymała się, by pozbierać zakupy. Do nóg Richarda potoczyła się kapusta. Podniósł ją i szybko dołączył do dziewczyny.

- Proszę - rzekł, wkładając warzywo do koszyka. - Zaraz pomogę pani zebrać resztę.

Chwyliła go za rękaw.

- Nie. Proszę ich zostawić.

- Potrafił pani celowo. Widziałem. Nie powinno im to ująć płazem.

Odpowiedziała ściszym głosem, w którym wyraźnie słychać było błaganie:

- Jeśli pan im coś powie, będą mnie dręczyć jeszcze bardziej. Panie Finborough, pan wyjedzie stąd za dzień czy dwa, lecz ja muszę zostać. Nie mam dokąd iść.

Niechętnie skinął głową. Pomógł jej pozbierać pozostałe paczuski. Chleb leżał w biocie, a gazeta zamokła. Wilgotne strony przypominały teraz bardziej papier mache.

- Proszę mi przynajmniej pozwolić odkupić niektóre produkty.

- Nie, dziękuję. - Była bardzo blada. - Ale gdyby zgodził się pan mnie kawałek odprowadzić, tak dla pewności...

Wziął od niej koszyk i ruszyli. Zanim doszli do rogu ulicy, ktoś zawołał za nimi:

- Lubisz bogatych mężczyzn, prawda, mój skarbie? Bogaci są najlepsi!

Słowom towarzyszył wybuch śmiechu. Richard zauważył, że panna Zeale zbladła jeszcze bardziej i ściągnęła usta.

Począł, aż odzyska panowanie nad sobą, a potem, już na wzgórzu, spytał:

- Kto to był?

- Chodzi panu o Salterów? Rybacy, bracia z Lynmouth.

- To pani znajomi?

- Był czas, kiedy... - zaczęła, lecz szybko zagryzła usta. A potem szepnęła: - Na początku czułam się tu bardzo samotna. Spotkałam się z Markiem Salterem raz czy dwa. Nie było to zbyt mądre z mojej strony, gdyż on zrozumiał to w najgorszy możliwy sposób.

- Często tak się zachowują wobec pani?

- Teraz są odważniejsi. Nie ma już pana Hawkinsa, który mógłby mnie chronić.

- Odważniejsi? - Zerknął na nią. - Dlaczego tak to pani nazywa?

Odrzuciła włosy do tyłu.

- Nie boję się ich. Mark Salter marzy, by mnie poślubić. Uznali, że ich obraziłam odmową. Zupełnie jakbym zamierzała kiedykolwiek wyjść za tak prymitywnego, nieokrzesanego człowieka!

Dotarli do wąskiej dróżki w lesie, która prowadziła do Orchard House. Isabel wyciągnęła dłoń po koszyk.

- Teraz już nic mi nie grozi, panie Finborough.

- Bzdury. Odprowadzę panią pod sam dom.

Poszli wąską drogą. Gałęzie buków rzucały na drogę koronkowy cień. Rosnący za bukami gąszcz leszczyn zasłaniał widok na wzgórze i miasto.

Spacer w towarzystwie dziewczyny pośród falującego półmroku dostarczał Richardowi naprawdę ogromnej przyjemności. Więc jeden z tych wiejskich prostaków chciał się z nią ożenić, pomyślał. Czegóż więc on, Richard Finborough, mógł od niej chcieć? Pożądał Isabel, rzecz jasna, lecz czuł również coś więcej. Pragnął jej uwagi, uznania. Pragnął zmienić obojętny w tej chwili stosunek dziewczyny do jego towarzystwa, którego wcale nie starała się ukryć, a który go bardzo drażnił.

Doszli do domu. Na jej twarzy malowało się niezdecydowanie, lecz kiedy otwarła bramę, zaproponowała:

- Napije się pan herbaty?

Podziękował i przyjął zaproszenie. Kiedy szli ścieżką, poinformowała, że dom ma należeć do siostrzeńca jej nieżyjącego pracodawcy, pana Poole'a, który mieszka w Indiach.

- Dziś rano przyszedł od niego list - wyjaśniła. - Zamierza przyплыnąć do Anglii najszybciej, jak mu się uda. Miałam nadzieję...

- Jaka?

- Że pan Poole zdecyduje się pozostać w Indiach. Ze pozwoli mi opiekować się tym domem. Głupie to, wiem.

- A nie jest możliwe, że zatrzyma panią jako gospodynię?

Otworzyła drzwi frontowe.

- Pan Poole ma żonę i dzieci. Jakiś życzliwy z całą pewnością doniesie mu o plotkach i wtedy bez wątpienia stracę pracę. - Weszła do domu, a Richard za nią. - A poza tym nie chcę tu mieszkać z obcymi. - Jej oczy, blade turkusy, spotkały się na chwilę z oczami Richarda. Potem dodała: - Widzi pan, kochałam Charlesa. Och, nie tak, jak mówią plotki, lecz... naprawdę go kochałam.

Wchodząc do domu, Richard czuł - oprócz zainteresowania i ciekawości - triumf, że udało mu się zdobyć pierwsze wały twierdzy. W przedsionku, pośród tweedowych płaszczy i peleryn, stał stojak na parasole w kształcie nogi słonia. Na parapecie trzy globusy rozmieszczono w taki sposób, że przypominały planety w przestrzeni. W holu stały wysokie od podłogi do sufitu półki z książkami. Niektóre książki były nowe, lecz w większości spod odstających grzbietów sterczały nitki. Przez otwarte drzwi do pokoi Richard zauważył kolejne półki z książkami.

Drewniane podłogi lśniły. Pokoje pachniały woskiem i lawendą.

- To cudowne miejsce - zachwycił się. - Rozumiem, dlaczego będzie pani ciężko je opuścić.

Pogłaskała wytarte drewno dębowej balustrady.

- To był mój azyl.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim pracodawcy. Richard po raz pierwszy zobaczył, że się uśmiechnęła.

- Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak on. Charles wiedział... dosłownie wszystko. Był dla mnie taki dobry. Tak dużo mnie nauczył. Pozwalał mi czytać wszystkie swoje książki. - W jej głosie słyhać było zachwyt. - Przypominał mi ojca, tylko mój ojciec nie miał takich możliwości jak on.

- Co się stało z pani ojcem?

- Zmarł na gruźlicę.

- A matka?

- Umarła, kiedy byłam zupełnie mała. Skierowała się w głąb domu i otworzyła drzwi na końcu korytarza. Richard wszedł do przestronnej kuchni. Miedziane rondle, których dna wypolerowano tak starannie, że lśniły różowawym brązem, wisiały według rozmiaru na przeciwległej ścianie. Naczynia stołowe w równych rzędach stały na półkach, podłoga i ziew lśniły. Postawił koszyk na stole.

- Co zamierza pani robić po opuszczeniu tego domu?

- Poszukam innej pracy.

- W hrabstwie Devon?

- Raczej nie. Pan Hawkins zostawił mi dobre referencje, lecz plotki przenoszą się w zastraszającym tempie. Chyba będę musiała pojechać do innej części kraju. Nie mam ochoty opuszczać West Country. Byłam tu szczęśliwa.

Podeszła do zlewu napełnić czajnik. Wykorzystał okazję i bez przeszkód podziwiał jej figurę. Miała wąskie ramiona i talię, lecz krągłe biodra.

Zapytała:

- Czy pomyślnie załatwił pan sprawy w Devon?

- Tak sądzę. - Opowiedział jej o Sidneyu Colville'u i jego zainteresowaniu tworzywem kazeinowym. - To materiał przyszłości. Jest niezwykle, można je dowolnie kształtować i barwić na dowolny kolor.

Uśmiechnął się szeroko.

- Proszę zgadnąć, z czego to się robi.

- Nie mam pojęcia.

- Z mleka krów. Czyż to nie jest niezwykle? Zamierzam wyrabiać guziki z mleka krów. Ale zanim zainwestuję w to pieniądze, muszę poznać tajniki produkcji.

- Pan Hawkins kiedyś przeciął kwiat na pół, żeby pokazać mi wszystkie jego części. Twierdził, że nic nie da się zrozumieć, dopóki człowiek się nie dowie, jak to powstaje.

- Rozsądne podejście. Niektóre sprawy trudniej pojąć niż inne, lecz wiem, że jeśli będę wytrwały, w końcu zawsze mi się to uda.

Nadal nieufna, przeszła w najbardziej odległy kraniec kuchni.

- Z całą pewnością tak się stanie, panie Finborough - powiedziała cicho. - Tak się stanie.

Następnego ranka Richard wstał wcześniej i opuścił hotel przed śniadaniem. Przeszedł przez miasto i skierował się w obsadzoną drzewami dróżkę, zupełnie jakby powodowała nim jakaś tajemnicza siła. Słońce nie było jeszcze wysoko, a w paprociach i jeżynach kłębiła się mgła. Drzewa zdawały się wyrastać wprost z niej, bez kontaktu z ziemią. Myśli kłębiły się Richardowi w głowie. Był rozdrażniony i niespokojny. Przepelniała go zarazem niespożyta energia.

Kiedy doszedł do Orchard House, zauważył, że brama jest otwarta. Ogródek został zbezczeszczoney. Na żuźlowej ścieżce gniły obierki z ziemniaków i rybie łby, wokół róż zaś kłębiły się stare gazety. Werandę również zaścielała sterta śmieci.

Otworzyły się drzwi frontowe i wyszła z nich Isabel Zeale ze szczotką w dłoni. Na jego widok wyjaśniła szybko:

- To lisy. Zawsze robią taki bałagan.

Wiedział, że kłamie. Lisy, które nawiedziły w nocy ten dom, miały ludzkie twarze. Lecz wyraz jej twarzy był tak wyzywający, że błędem byłoby się z nią sprzeczać.

- Pomogę pani posprzątać.

- Nie trzeba. Zignorował jej słowa.

- Najlepsza byłaby łopata. Jest jakaś w szopie? Kiedy już wszystkie śmieci były w koszach, zaprosiła go do domu, by mógł się umyć. Po wyjściu z łazienki rzekł:

- Śniadanie. Potrzebujemy śniadania. Panno Zeale, z całą pewnością przyrządza pani znakomite śniadania. W hotelu zawsze przypalają bekon.

Rozmawiali w kuchni, podczas gdy dziewczyna przygotowywała posiłek. Opowiedział jej o swoim dzieciństwie w Irlandii, łowieniu ryb w rzekach i zabawach na plaży. Opowiedział, jak bardzo płakał, wyjeżdżając w wieku lat ośmiu do szkoły w Anglii, i jak potem liczył dni do wakacji. Mówił, lecz jednocześnie bardzo wyraźnie odbierał wszystkie wrażenia: aromat smażonego boczku, cierpkość marmolady, odgłos pryskającego tłuszczu i delikatny stuk jej kroków na wyłożonej kamiennymi płytkami podłodze. Przede wszystkim skupiał się jednak na niej samej, na czarnym puklu, który przyłgnał jej do twarzy, na niezapiętym guziku przy mankiecie, który ukazywał cał jej nadgarstka pewnie dlatego, że rano ubierała się w pośpiechu. Oddałby rok życia, by tylko móc dotknąć tego smukłego białego przegubu opuszką palca, by przycisnąć usta do jej skóry, by poczuć jej zapach, by spróbować. Od tej tęsknoty aż zakreśliło mu się w głowie.

Postawiła przed nim talerz.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że trzyma nieruchomo dłonie nad widelcem i nożem, jakby całkiem stracił panowanie nad sytuacją.

- Tak, doskonale - odparł i zaczął jeść, choć stracił apetyt i jajka na bekonie, tak doskonale przyrządzone przez pannę Zeale, nie miały żadnego smaku.

Tego popołudnia poszedł wzdłuż klifów na zachód od Lynmouth. Stał na brzegu i patrząc, jak fale rozbijają się o skały w dole, myślał o Isabel Zeale. Oczyma duszy widział jej dumną, wyprostowaną postawę, jej gęste, lśniące włosy, jasną skórę i oczy w kolorze akwamaryny. Która z jej cech trzymała go tutaj, zmuszała do pozostania, mimo że cały zdrowy rozsądek podpowiadał, by wrócić do Londynu i nie spotkać się z nią nigdy więcej?

Podjeżdżał, że się w niej zakochał. Z gardła wydobył mu się dziki dźwięk, coś pomiędzy jękiem a śmiechem. Wiatr zmienił kierunek i cisnął mu deszczem w twarz. Przez pierwsze dwadzieścia pięć lat życia się nie zakochał. Dlaczego więc miałoby stać się to teraz, w takim miejscu? Dlaczego wybrał tę kobietę? Isabel Zeale stała wyraźnie niżej od niego. To służąca, gospodyni domowa. Cieszyła się wątpliwą reputacją, delikatnie mówiąc, jej charakter zaś... była dumna, wyniosła i złośliwa, miała ostry język. Być może, pomyślał z kwaśnym uśmiechem, na to właśnie zasługuje ktoś, kto udaje miłość dla zachowania form, lecz wcale jej nie czuje. Może to kara za debiutantki, z którymi tańczył, za świadome rzeczy panny, z którymi flirtował, za mężatki, które znudzone bogatym, lecz podstarzałym mężem, z radością przyjmowały zaloty młodego i chętnego kochanka.

Deszcz padał coraz mocniej i Richard zawrócił do miasta. Morze było posępnie grafitowe, a światła dziennego szybko ubywało. Wiedział, że powinien opuścić Lynton. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że musi wyjechać i nigdy tu nie wracać. Cóż w końcu mógł zyskać, angażując się w znajomość z taką kobietą jak Isabel Zeale? Wiedział, że nie zadowoli się pozycją przyjaciela, który nosi jej zakupy i zamiata śmieci, rzucone przez łobuzów na jej werandę. Nigdy na tym nie poprzestanie. Po cóż więc ją odwiedzał? Czy powinien to ciągnąć tak długo, by narzucić jej pewien rodzaj zobowiązania, by poczuła, że jest mu coś winna? Byłoby to niegodziwe. Wykorzystałby swe bogactwo, siłę i klasę. Przez to stałby się gorszy od Salterów.

Isabel Zeale nie miała pieniędzy ani przyjaciół, a niedługo nie będzie miała również domu. Cała jej niezależność i duma nie zmieniały faktu, że była najbardziej bezbronną z istot, kobietą skazaną

wyłącznie na siebie. Jej wyjątkowa uroda jeszcze zwiększała tę bezbronność. Najlepsze, co mógł zrobić, to podać jej nazwisko wdowy lub starszego małżeństwa, które poszukiwałoby gospodyni.

A jednak nie mógł zrobić nawet tego. Kontakty z nią były możliwe dzięki temu, że nie okazał Isabel wyraźnie swej wyższości. Nie mógł dziewczyny upokorzyć nawiązaniem do jej statusu społecznego. Wiedział, że ceni swą godność, że w pewnym sensie to ona pozwala jej przetrwać, i że wołałaby, by on po prostu wrócił do Londynu.

I właśnie to musiał zrobić, możliwie najszybciej, bez dalszej zwłoki. Musi skończyć z tym zauroczeniem, tą obsesją. Choć myśl, że nigdy więcej nie ujrzy Isabel Zeale, raniła go nadspodziewanie mocno, miał świadomość, że jest to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Kiedy wrócił do hotelu, otrzymał od recepcjonisty telegram. Wysłał go John Tempie, informując, że w fabryce pakowania herbaty wybuchł pożar, i prosząc o bezzwłoczny powrót do Londynu. Richard spakował się szybko, uregulował rachunek i opuścił hotel. Przejechał przez miasto i dotarł do skrzyżowania dróg. Do Bridgwater, a tym samym do Londynu, powinien jechać prosto.

Zahamował gwałtownie. Palcami bębnił o kierownicę, jego oczy zaś patrzyły na mokrą, ponurą ciemność. Myślał o pożarze, fabryce i niezbędnych krokach. Miał świadomość mijającego czasu i słyszał tykanie zegara. Był zniecierpliwiony i wściekły zarazem.

Mocno uderzył w kierownicę pięścią i skręcił w inną drogę. Dotarł do dróżki prowadzącej do Orchard House i zanurzył się w półmrok. Najniższe gałęzie uderzały raz po raz w maskę, a światło reflektorów tylko w niewielkim stopniu rozpraszało mrok. Deszcz bił o szybę i Richard omal nie zajechał za daleko. Znalezienie domu w tych warunkach nie było proste. Wysiadł z samochodu wprost w głęboką kałużę.

Wyjścia były zamknięte, ganek ciemny. Zdażył już jednak poznać drogę, więc ruszył ścieżką między rabatkami i głośno zastukał w drzwi.

- To ja, Richard Finborough - zawołał. - Panno Zeale, przepraszam, że zjawiam się tak późno, lecz muszę bezzwłocznie wyjechać. W jednej z moich fabryk wybuchł pożar i konieczne jest, bym wrócił do Londynu. Ale najpierw chciałbym z panią porozmawiać.

- Panie Finborough, jest późno.

- Proszę.

Chwilę później otworzyła drzwi. Poszedł za nią do salonu. Obok fotela stał koszyk z przyborami do szycia, a na stole leżała otwarta książka.

- Zakłócam pani spokój. Przepraszam po raz kolejny. Nie usiadł, lecz chodził niespokojnie po pokoju.

- Powiedziała mi pani, że opuści ten dom zaraz po przyjeździe siostrzeńca pani pracodawcy. I że on wróci z Indii za... miesiąc mniej więcej?

- Tak sędzę.

- I ma pani zamiar szukać innej posady?

- Już zaczęłam. Muszę coś znaleźć. Mam trochę oszczędności, lecz... - Zamilkła i lekko się zarumieniła.

- Przyjechałem tu, bo nie umiem sobie wyobrazić, że mógłbym pani nie zobaczyć już nigdy więcej.

Odpowiedziała oschle:

- Jestem pewna, że pan sobie poradzi.

- A ja nie jestem tego taki pewien.

- Panie Finborough...

- Proszę mnie wysłuchać. - Zmarszczył brwi. - Zanim panią poznałem, byłem dość zadowolony z życia. Miałem pracę i przyjaciół w Londynie, i to mi wystarczało. Tamtego dnia, gdy zepsuł się mój samochód, miałem najszczerzy zamiar jak najszybciej opuścić to maleńkie miasteczko i nie wracać tu nigdy więcej.

Dziewczyna zauważyła zimno:

- Nie szukałam pańskiego towarzystwa.

- Wiem - odpowiedział z uśmiechem. - Z całą pewnością nie można pani o to posadzać. Zorientowałem się, że kiedy nie jestem z panią, nie mogę przestać o pani myśleć. A kiedy jestem blisko, to...

- Proszę sobie darować! - krzyknęła, a on umilkł zaskoczony.

- Panno Zeale?

- Nie wie pan, że mogłabym panu napisać ciąg dalszy? - Jej głos drżał powstrzymanym gniewem. - Słyszałam to już... te deklaracje nieustającej miłości, że ktoś nie może żyć beze mnie... i całą resztę!

- Przepraszam, jeśli panią znudziłem - odparł sztywno. - Ale proszę pozwolić mi skończyć.

- Nie. Nie pozwalam. - Odsunęła się od niego i skrzyżowała ramiona na piersi. - Nie pozwolę się obrażać. Nic, co pan powie, nie zmieni moich planów.

Zmarszczył brwi. - Nic?

- Absolutnie nic.

Jej upór kazał mu próbować dalej.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, okazała mi pani wyraźnie swoją niechęć. Lecz ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zaczęła mnie pani trochę bardziej lubić. Panno Zeale... Isabel...

Przerwała mu.

- Czy myśli pan, że jest pan pierwszy? Jeśli tak, to się pan myli. Od chwili przyjazdu do Lynton wciąż spotyka mnie natarczywość osób takich jak pan!

Jej słowa zaskoczyły go tak bardzo, że zamilkł. Traktowała go na równi z tamtymi łobuzami, którzy napadali na nią na ulicy, brutalnymi rybakami z chałup w Lynmouth.

Powiedział powoli:

- Takich jak ja... Panno Zeale, a co taki mężczyzna jak ja... zrobiłby teraz?

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Proszę mnie nie obrażać. Proszę wyjść.

- Chcę, żeby pani to powiedziała.

Słyszał, jak wściekłość dławi jej oddech. Ręce złożyła tak mocno, że aż zbieleły jej kostki.

- Dobrze. Teraz proponuje mi pan pieniądze. Mniej lub bardziej taktownie. Sądzę, że pan mógłby być taktowny, panie Finborough. A potem może chciałby mi pan wynająć jakiś pokój w Barnstaple lub Exeter. A potem...

- Więc tak mnie pani ocenia - rzekł ze złością. - Sądziła pani, że przyjechałem tu, by została pani moją kochanką. Że przyjechałem panią kupić!

- A nie?

Nie ufał swojemu głosowi. Wyjrzał na zewnątrz, gdzie wiatr uderzał o okno gałęziami pnącej róży, która wydawała odgłos podobny do stukania paznokciami. Złość uleciała, a jej miejsce zajęło rozczarowanie.

- Prawda jest taka - oznajmił - że przyjechałem tu wyznać, że panią kocham.

Syknęła z pogardą:

- To niemożliwe!

- A skąd pani wie?

Zrobiła krok w jego stronę. Pomyślał, że chce go uderzyć.

- Co prawda, mieszkam w maleńkim miasteczku, czy nawet wiosce, panie Finborough, i jestem zaledwie gospodynią domową, lecz nie jestem głupia!

- Nigdy tak nie uważałem. - Znowu poczuł wściekłość. - Zimna, tak, powściągliwa, bez wątpienia, niegrzeczna i niemila, z całą pewnością. Lecz głupia nie, nigdy.

- Przepraszam, jeśli czuje się pan oszukany. Przepraszam, że uznał pan moje zachowanie za jakąkolwiek formę zachęty...

- Panno Zeale, to byłoby niemożliwe!

- Wobec tego pańska obecność w tym domu nie ma uzasadnienia. A sądziłam, że jest pan zbyt dobrze wychowany, by dołączyć do listy moich prześladowców!

Milczeli przez chwilę; słowa wydawały się odbijać echem w panującej ciszy. Potem Richard wziął kapelusz i rękawiczki.

- Dziękuję, że tak dokładnie określiła pani swoje uczucia, panno Zeale - powiedział. - Dziękuję, że była pani tak... tak bezpośrednia. Ponieważ moje towarzystwo wyraźnie jest pani niemiłe, nie będę pani dłużej męczył.

Opuścił dom. Kilka minut później jechał już drogą. Do diabła z nią. Było mu lepiej bez niej. Powinien być wdzięczny, że udało mu się uciec. A mimo to wcale nie czuł się dobrze, kiedy z piskiem opon wyjeżdżał z dróżki na szerszy trakt prowadzący do Londynu.

Jechał szybko, zbyt szybko jak na wąskie drogi i okropną pogodę. Koła jego diona wyrzucały strużki wody. Raz czy dwa wpadł w poślizg i musiał walczyć, by odzyskać panowanie nad samochodem. Gdy dotarł do niewielkiej wioski, zaparkował wóz i wszedł do pubu, gdzie zamówił whisky. Kiedy pił, zobaczył swe odbicie w lustrze nad kominkiem. Patrzył na pobladłą twarz, czerwone włosy pociemniałe od deszczu. W oczach miał mieszaninę wściekłości, żalu i wrogości. Nic dziwnego, że barman tak pośpiesznie nalewał mu szkockiej, pomyślał z ponurym rozbawieniem. Nic dziwnego też, że pozostali klienci trzymali się od niego z daleka.

Wypił i wyszedł z pubu. Nie uruchomił silnika od razu, lecz siedział i patrzył przez okno na ciemne kształty domów, rozmyte w kroplach deszczu. Mógł oskarżać Isabel o pochopne wnioski albo siebie o niezręczność. Prawda jednak leżała znacznie głębiej, prawda, której nie przyznał nawet przed samym sobą. Nie potrafił sobie wyobrazić przyszłości bez Isabel Zeale. Na próżno przypominał sobie, że kobieta pochodzi z niższych sfer, że znają się tak krótko, że zdrowy rozsądek nakazuje, by zakochać się w kobiecie z własnej klasy, która może wnieść do małżeństwa pieniądze. Już był związany z Isabel w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć.

Do tej pory dostawał wszystko, czego pragnął. A pragnął mieć wszystko, co najlepsze - siłę, bogactwo i sukces. Kiedy postanowił, że przywróci dawną świetność rodowi Finborough, udało mu się odzyskać znaczną część gruntów straconych przez ojca. Jeśli zaś chodzi o kobiety, to całkowicie zgodnie z prawdą mógł twierdzić, że nigdy mu żadna nie odmówiła.

Richard zamknął oczy i zdrzemnął się. Kiedy się obudził, pub był już zamknięty, a w oknach domów pogaszono wszystkie światła. Zawrócił i ponownie pojechał w stronę Lynton. Deszcz przestał padać i niebo się rozchmurzyło. Jadąc wąską drogą do Orchard House, zauważył, że spośród gałęzi prześwituje księżyc w pełni. Dotarł do domu Isabel, zaparkował samochód i czekał.

Kilka godzin później, z nadejściem świtu, wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Temperatura spadła i na brzegach kałuż pojawiła się srebrna otoczka lodu. Idąc żuźlową ścieżką, zauważył w domu poświatę lampy naftowej. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Isabel Zeale w nocnej koszuli, na którą zarzuciła szal. Rozpuszczone włosy spadały jej na plecy.

Wyszła do niego na ścieżkę. Kiedy się zbliżyła, zauważył, że wygląda na zmęczoną, twarz ma bladą, a pod oczami cienie.

- Przepraszam, jeśli panią obudziłem - powiedział. - Staralem się zachowywać cicho.

Zapytała szeptem:

- Czego pan ode mnie chce?

- Przepraszam, że obraziłem panią wczoraj w nocy. Ale nie przepraszam, że wyznałem pani miłość.

Na chwilę zamknęła oczy.

- Panie Finborough, jeśli jest pan przyzwoitym człowiekiem, jeśli ma pan dla mnie choć odrobinę szacunku, proszę stąd odjechać.

Pokręcił głową.

- Jeszcze nie teraz. Zapytała mnie pani, czego chcę. Isabel, chcę, żeby pani za mnie wyszła. Właśnie tego chcę. - Podniósł dłoń, powstrzymując jej słowa. - Proszę teraz nic nie mówić. Muszę wrócić do Londynu. Wrócę za tydzień. Proszę przez ten czas o tym pomyśleć. Wtedy da mi pani odpowiedź.

Odszedł. Po raz ostatni spojrzął na nią, kiedy już odjeżdżał spod domu. Stała w ogrodzie niczym biały posąg, w bezruchu, skamieniała.

W Londynie Richard ucieszył się, że nikt nie ucierpiał w pożarze fabryki, i sprawdzał rozmiar zniszczeń, lecz jednocześnie bawił się wysyłaniem prezentów Isabel Zeale.

Pierwszego dnia kwiaty szklarniowe, ogromny bukiet, przewieziony koleją z kwaciarni w Londynie do Lynton. W księgarni na Charing Cross wybrał tomik poezji Christiny Rosetti, oprawiony w czerwoną skórę, ze złożonymi brzegami. Na pierwszej stronie napisał: „Dla Isabel z miłością od Richarda”. Z przyjemnością pomyślał, że w nadchodzących latach będzie mógł pisać tę dedykację, kiedy tylko zapragnie.

Następnego dnia wysłał jej kamelię w doniczce, a potem plik czasopism poświęconych modzie. I czarną jedwabną parasolkę z rączką z macicy perłowej, gdyż w zamieszkiwanej przez Isabel Zeale okolicy padało bardzo często.

Zanim wybrał ostatni prezent, pomyślał o niej, samotnej w twierdzy. Doręczyciel zawiózł jej wiklinowy kosz ze szczeniakiem spaniela rasy King Charles. Do koszyka Richard dołączył liścik: „Ma na imię Tolly. Wszystkie psy w rodzinie Finborough wabią się Tolly. Zupełnie nie wiem dlaczego. R.”.

Żadnych perfum, żadnych jedwabnych pończoch czy biżuterii, nic, co wskazywałoby na intymność, której jeszcze nie było. Miał zamiar zalecać się do Isabel, a nie ją wystraszyć.

Pod koniec tygodnia ponownie wybrał się do Devon. Jadąc w kierunku przylądka West Country, był radosny i ożywiony. Rano zjawił się w Orchard House.

- Isabel, proszę, wyjdź za mnie.

- Nie. - Słowo to wydobyła z siebie siłą. Wyglądała na przerażoną.

Richard, niezrażony, skinął głową.

- Chodźmy wobec tego na spacer. Muszę rozprostować nogi po tak długiej drodze. Weźmiemy psa.

Wybrał trasę wzdłuż pól. Opowiadał jej, jak spędził miniony tydzień, o pożarze, poszukiwaniu nowej fabryki. Dzień był chłodny i mglisty. W najwyższym miejscu, gdzie pastwiska przechodziły w krzaki janowca, patrzyli na chmury, które przesłaniały widok na dolinę w dole. Przed nimi kawałki chmur pędziły wzdłuż grzbietu wzgórza. Zimowe słońce zaczęło rozpraszać mgłę.

Skierowali się w dół zbocza, w kierunku Doliny Skał, gdzie wiatr, woda i mróz wyrzeźbiły w piaskowcu i wapieniu najbardziej fantastyczne formy. Kamienne kolumny i bezładne przyzmy kamieni wznosiły się wysoko nad stromymi, porośniętymi trawą halami. Za nimi było morze.

- Wiem, co się pani podoba w tej okolicy - rzeki Richard. - Kupię tu kiedyś dom dla pani.

Odpowiedziała szybko ściszoneg głosem:

- Wie pan przecież, że małżeństwo nie jest możliwe. I z całą pewnością nie muszę panu mówić, dlaczego tak jest.

- Wszystko jest możliwe, jeśli tylko człowiek włoży w to całą duszę.

- Bzdury - odparła oschle. - Mówi pan tak, bo nigdy niczego panu nie brakowało. Wiele rzeczy nie jest możliwych.

- Nie mam takich doświadczeń...

- Panie Finborough...

- Mów mi Richard.

- Richardzie, nie mogę za pana wyjść. Jest pan tylko... Pan ściga mnie w ten sposób, bo pokrzyżowałam panu plany. Wydaje mi się, że zwykle bywa tak, jak pan chce.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Ma pani rację. Lecz wcale nie dlatego pragnę się z panią ożenić.

- A dlaczego?

- Już mówiłem. Kocham panią.

- Zapewne był pan już wcześniej zakochany.

- Nie. Nie sędę. Wydawało mi się, że tak jest, lecz się myliłem.

Spojrzała na niego.

- Jest panu mnie żal? Dlatego mówi mi pan to wszystko? Jeśli tak, to zupełnie niepotrzebnie. Świetnie potrafię sama o siebie zadbać. Robię to od lat.

- Czy sądzi pani, że proszę panią o rękę dlatego, że mi pani żal? - Potrząsnął głową. - Isabel, daj spokój. Tak myślą jedynie żebracy. Wiele kobiet jest w znacznie gorszym położeniu niż ty. Czy miałbym im wszystkim proponować małżeństwo?

- Wobec tego nie rozumiem - odparła niepewnie. Daleko w dole, u stóp klifu z czerwonego piaskowca rozbijały się fale. Richard stał blisko krawędzi przepaści, czując pustkę w dole.

- Powinienem być teraz w Londynie - rzekł - szukać nowej siedziby dla mojej fabryki. Ale jestem tutaj, bo najważniejszą rzeczą na świecie wydaje mi się twoja zgoda na małżeństwo. Chcę się tobą opiekować. Chcę cię chronić. Chcę cię zabrać do Londynu i pokazać ci Raheen. Co rano chcę oglądać twoją twarz. Chcę się z tobą zestarzeć. Naprawdę tylko dlatego.

Odwróciła się z mocno zaciśniętymi ustami. Poszli dalej, w dół doliny, w stronę brzegu. Namówił ją, by powiedziała, dlaczego się nie zgadza na małżeństwo. Wiedział, że uda mu się rozproszyć wszystkie jej wątpliwości, i że nie będzie miała żadnych argumentów.

- Poznaliśmy się zaledwie parę tygodni temu - powiedziała. - Richardzie, ja cię nie znam.

- To się da bez trudu naprawić. Możemy mieć tak długi okres narzeczeństwa, jak tylko sobie życzysz, choć wydawało mi się, że krótszy byłby lepszy. A jeśli, kiedy mnie lepiej poznasz, nadal będziesz mnie uważała za niegodnego, cóż, będę musiał pogodzić się z porażką.

- Nie uważam cię za niegodnego.

Wyczuł, jak wiele kosztowało ją to zaprzeczenie.

- Więc mamy od czego zacząć - odparł lekko.

U stóp wzgórza strumień wpływał do niewielkiej zatoczki. W zatoczce piętrzyły się poszarpane szare skały. Kiedy usiłowali się przez nie przedostać, Richard podał Isabel dłoń. Pies biegł przed nimi i obszczekiwał morze, które cofnęło się z plaży, pozostawiając za sobą zbrylony mokry piasek i różnobarwne połyskujące kamyki. W zagłębieniu skalnym odosobniony anemon poruszał mackami, a maleńki zielony krab, najwyraźniej czując drżenie ziemi, wywołane ich krokami, ukrył się pod kamieniem.

- Nie możemy się pobrać ze względu na dzielące nas różnice społeczne - oznajmiła Isabel stanowczo. - Tego problemu nie da się pokonać, musisz to przyznać.

- Bzdura. To nie jest żaden problem.

- Richardzie!

Podobał mu się sposób, w jaki wypowiadała jego imię, nawet jeśli w jej głosie dźwięczała irytacja.

- Słucham.

- To proste, ty jesteś bogaty, a ja biedna!

- Jeśli za mnie wyjdiesz, będziesz bogata. Jeszcze nie jestem, ale mam zamiar być bogaty. A poza tym byłem kiedyś bardzo biedny. Nie tak dawno temu moja rodzina straciła niemal wszystko.

- To, o czym mówisz, to nie bieda - odparła z goryczą. - Bieda jest wtedy, gdy trzeba się zastanawiać, skąd wziąć na następny posiłek albo czy za tydzień nadal będzie się miało dach nad głową. Richardzie, posłuchaj mnie! Mój ojciec był urzędnikiem u kwestora w dużym majątku w Hampshire. Kiedy zachorował, stracił posadę i musieliśmy się wynieść z domu. Potem zmarł, a ja poszłam do pracy. Zanim zostałam gospodynią pana Hawkinsa, byłam opiekunką do dzieci w Kent. Tacy mężczyźni jak ty nie żenią się z takimi jak ja! Zostajemy ich kochankami, ale nie żonami!

- Lecz ja chcę się z tobą ożenić. I tylko to się liczy. Stał z jej twarzy kropelki wody, rozbryźnięte przez falę, która rozbiła się u ich stóp. Isabel zadrżała.

- Isabel, zostań moją żoną - powtórzył miękko - a nie będziesz musiała walczyć z wszystkimi tymi przeciwnościami losu. Będziesz żyła w dobrobycie i spokoju, których potrzebujesz i na które zasługujesz. Wyjdź za mnie, a nigdy niczego ci nie zabraknie. Wyjdź za mnie, a nigdy więcej nie będziesz samotna.

Miał nadzieję, że się waha, skuszona wizją wygodnego życia.

- Twoja rodzina... - szepnęła.

- Moja mama cię pokocha. A nikogo innego nie mam.

- Gdybyś się ze mną ożenił, stałbyś się pośmiewiskiem wśród znajomych. Przyjaciele by cię opuścili, a pracownicy stracili dla ciebie cały szacunek...

Gdybyś się ze mną ożenił... Czuł, że jej opór niknie niczym zamek z piasku, rozmyty przez fale. Ucieszył się.

- Może na początku byłoby trochę komentarzy - przyznał. - Lecz wszyscy by się tym szybko znudzili i zajęli kolejnym skandalem. Londyn to nie Lynton. W Londynie mieszkają rozmaici ludzie, różnych stanów, religii i ras. A poza tym, gdy cię już poznają, pokochają cię tak jak ja.

- Ale twoja pozycja społeczna do czegoś cię zobowiązuje. Zawiedziesz się na mnie.

- Wydanie kolacji czy wybór stroju do opery to żaden problem - oznajmił beztrąsko.

- Nie, Richardzie - pokręciła głową - pracuję u ludzi już dość długo, by wiedzieć, że to duży problem i że można popełnić tysiące błędów. Zawiodłabym cię po tysiackroć!

- Czy sądzisz, że bym się przejął, gdybyś pomieszała sztuce?

- Przejąłbyś się, gdyby twoi przyjaciele okazali zażenowanie - odpowiedziała cicho. - Przejąłbyś się, gdyby ci współczuli. Zacząłbyś żałować, że się ze mną ożeniłeś. Wstydzilibyś się mnie!

- Nigdy! - Złapał ją za rękę. - Nigdy nie żałowałbym, że się z tobą ożeniłem. Nigdy, przenigdy.

- Richardzie - powiedziała z westchnieniem. - Nie jestem kobietą, z którą powinieneś się związać.

- Jesteś, Isabel, wiem, że jesteś. - Czuł się teraz spokojniejszy, gdyż nigdy wcześniej niczego nie był aż tak pewien. - Nie mógłbym spędzić życia z jakąś afektowaną panią, która dostawałaby ataku hysterii na każde ostrzejsze słowo albo skarżyła się, że nie skaczą koło niej bez przerwy. Nie chcę takiej kobiety, gdyż bym ją zniszczył. Ty jesteś stanowcza, odważna i niezależna. Tego potrzebuję, właśnie tego.

Kiedy skierowali się ku Lynmouth, ściągnęła usta i odwróciła oczy od niego.

- Nie jestem tak wykształcona jak ty - powiedziała. - Opuściłam szkołę, kiedy miałam dwanaście lat.

Oddalił te obiekcje machnięciem ręki.

- Nikt nie oczekuje, że dziewczęta będą spędzały czas na nauce.

- Ale o czym będziemy rozmawiać?

- O tym wszystkim, o czym nie udało nam się porozmawiać do tej pory. A czasem nie będzie potrzeby nic mówić. Wystarczy, że będziemy razem.

- Czy takie małżeństwa w ogóle istnieją?

- Stworzymy je. Zmarszczyła brwi.

- Jesteś idealistą.

- Nie, jestem nadzwyczaj praktycznym mężczyzną, Isabel. Nie jestem głupcem, spragnionym miłości młodzieńcem, który prosi cię o rękę, bo ma taki kaprys. Zdaję sobie sprawę, że czasem będziemy się kłócić. Przyznaję, że nie zawsze jestem łagodny. Ale jeśli ludzie się kochają wystarczająco mocno, wierzę, że nic innego się nie liczy.

- Och, Richardzie! Teraz jesteś we mnie zakochany, lecz taka miłość nie trwa wiecznie! Co będziesz czuł za miesiąc, pół roku, za rok? Wcześniej czy później zmęczysz się mną, wcześniej czy później zaczniesz żałować, że nie poślubiłeś kogoś innego, kogoś takiego jak ty. W końcu mnie znienawidzisz i zapragniesz być wolny!

- Nie.

- Nie wiesz tego.

- Wiem to równie dobrze jak wszystko inne.

- Ale ja... - zaczęła.

- Ty mnie nie kochasz... Czy to właśnie chciałaś powiedzieć? Nie lubisz mnie?

- Nie, nie o to chodzi. Ale zauroczenie to nie miłość. Nie trwa wiecznie, nie jest pewne, można je zniszczyć.

- Ale zauroczenie to całkiem przyzwoity początek, nie sądzisz? A miłość może przyjść, prawda?

- A jeśli tak się nie stanie? - spytała bez ogródek. - Co wtedy?

- Stanie się. Dołożę wszelkich starań, by tak było. To ryzyko, na które jestem przygotowany. A poza tym - rzekł, czując falę niecierpliwości - dość już tych rozważań. Gdyby to była oferta handlowa, wymieniłbym wszystko, co mogę ci zapewnić, jak na przykład własny dom, bezpieczeństwo i pozycję społeczną. Kiedy na to spojrzeć praktycznie, bez sentymentów, co masz do stracenia?

- Chcesz wiedzieć, jaką mam alternatywę? - spytała z goryczą. - Czy sądzisz, że nie wiem? Pracę kucharki lub gospodyni. Pokój na poddaszu, umeblowany starymi gratami, i kominek, w którym nigdy się nie pali. Pracodawcę, który oczekuje, żebym się kłaniała i знаła swoje miejsce. A dla rozrywki tańce dla służby na Boże Narodzenie lub książka przyniesiona z taniej wypożyczalni. Sądzisz, że się tego nie boję, że nie dlatego odsuwałam od siebie tak długo tę perspektywę?

Dotarli do portu w Lynmouth. Richard powiedział łagodnie:

- Nie musisz doświadczać tego wszystkiego. Jedź ze mną do Londynu, a już nigdy nie będzie cię czekać takie poniżenie.

W jej oczach zalśniły łzy.

- Nie znasz mnie. Uważasz zapewne inaczej, ale mam rację. Nie wiesz, gdzie mieszkałam ani co robiłam.

- Isabel, ile masz lat?

- Dwadzieścia, ale po co...

- Jesteś więc młodsza ode mnie o pięć lat. Trudno mi uwierzyć, że zrobiłaś coś naprawdę strasznego. A jeśli tak... jeśli zabiłaś okrutną macochę i zakopałaś jej zwłoki w rowie, cóż, to należy do przeszłości i nie będę się tym przejmował. Jeśli za mnie wyjdiesz, możesz zacząć życie od początku. Będziesz miała nowe nazwisko, nowy dom w nowym mieście. Możesz zostawić wszystkie problemy za sobą. Isabel, wyjdź za mnie. Nie istnieje powód, dla którego miałabyś za mnie nie wyjść.

Odetchnęła głęboko i przycisnęła dłonie do twarzy. W końcu poprosiła:

- Poczekaj tu, proszę. Muszę pomyśleć.

Odprowadził ją wzrokiem, tę czerwono - czarną plamę. Szła po falochronie i zatrzymała się dopiero u stóp wieży. Zbliżał się przypływ i łodzie w porcie, podczas odpływu leżące na plaży, teraz unosiły się na wodzie. Zbliżające się morze wpływało w górę rzeki, co było widać w skalistym korycie. Richard znalazł miejsce, w którym morze spotykało się z rzeką, gdzie się one łączyły, burzyły, walczyły, nierozłączne na śmierć i życie.

O tej porze dnia zatoka skąpana była w złocistych promieniach słońca. Richard spojrzał na plażę, na psa siedzącego u jego stóp. A potem podniósł wzrok i zobaczył, że Isabel wraca. Kiedy się zbliżyła, wstał. Wiedział, że nie potrafi ukryć pomieszanych uczuć nadziei i obawy, które malowały się na jego twarzy. Podeszła do niego.

- Czy naprawdę myślisz, że moja przeszłość nie ma znaczenia?

- Oczywiście. Twoja przeszłość mnie nie interesuje. Wyjdź za mnie, Isabel.

- Zgoda.

Z trudem udało mu się usłyszeć wypowiedziane szeptem słowo. Opanowała go bezmierna radość.

Wziął ją w ramiona. Po twarzy dziewczyny przebiegł dreszcz.

- Isabel, moja Isabel. Powiedz to jeszcze raz. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak, Richardzie - szepnęła. - Wyjdę.

Do Londynu wyjechali następnego dnia. Richard wynajął dla Isabel apartament w niewielkim, ekskluzywnym hoteliku, położonym w cichej uliczce za Stranem. W czasie dzielącym przyjazd do Londynu i ślub miała przymiarki u krawcowych, szewców, modystek, rękawiczników i gorseciarek.

Dzień przed ślubem Isabel zasiadła do obiadu w bładozielonej sukni, przewiązanej szarfą i wykończonych wąskimi czarnymi lamówkami. Richard pomyślał, że te wykwintne stroje nadzwyczaj do niej pasują, stanowią odpowiednie tło dla jej oryginalnej i surowej urody.

Tego wieczoru była cicha i niewiele jadła. Złożył to na karb obaw przed uroczystym dniem i usiłował rozweselić ją opowieściami o Paryżu i Irlandii, które mieli odwiedzić podczas miesiąca miodowego. Po skosztowaniu pierwszego z podanych dań przeprosiła i wyszła z jadalni. Po powrocie była jeszcze bledsza.

- Zamówiłem dla nas obojga crepes au citron - powiedział. - Mam nadzieję, że będą ci smakować.

Złożyła ręce na kolanach.

- Richardzie, nie mogę za ciebie wyjść - oświadczyła drżącym głosem. - Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

Usiłował ją uspokoić.

- Jesteś po prostu troszkę zdenerwowana, skarbie. Poczujesz się lepiej, kiedy już będzie po wszystkim.

- Nie! - Pokręciła gwałtownie głową. - To nie zdenerwowanie. Ten ślub... nie może się odbyć. Nie powinnam była pozwolić, by sprawy zaszły tak daleko.

- Isabel, nie bądź niemądra.

Zagryzła wargę.

- Kiedy w Lynton poprosiłeś mnie o rękę, wierzyłam w twoją szczerość. Ale kiedy przyjechałam do Londynu, zobaczyłam, jak mieszkasz, pomyślałam...

- Co pomyślałaś?

Jej oczy, dzikie i roztargnione, spotkały się z jego wzrokiem.

- Ze musiałam się mylić. Ze nie możesz się ze mną ożenić. Ze chciałeś uczynić mnie swoją kochanką.

Do stolika podszedł kelner, a za nim pomocnik z wózkiem, dzięki czemu Richard opanował irytację. A potem pojawili się komedianci z palnikami i patelniami. Kiedy i oni wreszcie zniknęli, Richard się oburzył:

- Na Boga, Isabel! Jak możesz mówić coś takiego! Zaczerwieniła się.

- Widzę teraz, że... że źle cię oceniałam.

- A kiedy zdałaś sobie sprawę, że nie jestem kłamcą - rzekł ze złością - że cię nie oszukałem, mówisz, że nie możesz za mnie wyjść?

- Nie mogę.

- Co ty pleciesz? Wolałabyś zostać moją kochanką? Nie chcesz się wiązać? Wolałabyś nie być ograniczona żadnymi legalnymi więzami?

W jej oczach pojawił się gniew.

- Richardzie, nie mów tak!

- A jak mam to rozumieć?

- To moja wina - odparła z goryczą. - Nie mogę cię winić za to, że jesteś na mnie zły. Ani za to, co o mnie myślisz. Ale nie mogę za ciebie wyjść. To by nie było w porządku z mojej strony, wiem to...

Wyglądała na zmęczoną i zmieszaną, wyciągnął więc rękę przez stół.

- Podaj mi swoje ręce - poprosił, a ona zrobiła to po chwili. - Nie jestem na ciebie zły - powiedział łagodnie. - Ale boję się. Nie mów tak więcej, proszę cię. Przymknęła powieki i westchnęła.

- Richardzie, jest coś, o czym ci nie powiedziałam... Przerwał jej męski głos:

- Na Boga, Finborough, czy to ty? - W ich stronę zmierzał wysoki mężczyzna o kręconych włosach, który torował sobie drogę między stolikami. - Co za spotkanie w takim miejscu!

Richard zaklął pod nosem. A potem wstał.

- Isabel, pozwól, że ci przedstawię mojego przyjaciela, Fredericka McCrory'ego. Freddie, to moja narzeczona, panna Zeale.

- Cóż, to prawdziwa niespodzianka. - McCrory utkwiał w Isabel pełne podziwu spojrzenie. - Miło mi panią poznać, panno Zeale.

- Chodziliśmy z Freddiem do tej samej szkoły - wyjaśnił Richard.

Mężczyźni rozmawiali, czas mijał, a kelner zabrał niezjedzony deser. Wreszcie Freddie się pożegnał. Niedługo potem, rezygnując z kawy i brandy, Richard i Isabel opuścili restaurację.

W ciemności wirowały płatki śniegu. Richard zapytał:

- Masz ochotę na spacer? Nie jest za chłodno?

Isabel pokręciła głową. Poszli w stronę nabrzeża. Wydawało się, że Tamiza jest lodowato zimna, że woda płynie leniwie, jakby rzeka właśnie zaczęła pokrywać się lodem. Pod platanem Richard wziął Isabel w ramiona i pocałował. To był ich pierwszy prawdziwy pocałunek. Przez te wszystkie, jakby nierzeczywiste, tygodnie przed ślubem trzymał się na dystans, wiedząc, jak ważna jest reputacja Isabel. Teraz jednak pozwolił, by dłonie wsunęły się pod futrzane podbicie jej płaszcza, wyczuwając każdą kostkę i ciało, okryte jedwabną bielizną. Przyciągnął ją do siebie z całej siły, usiłując się z nią stopić w jedno. I zdarzył się cud. Poczuł, jak rodzi się w niej namiętność, której istnienie zawsze podejrzewał, jak topi się lód, który ich dotychczas od siebie odgradzał. Usłyszał, że Isabel szepcze jego imię. Ujrzał, jak odrzuca głowę do tyłu, jak mruży oczy. Objęli się mocno.

Kiedy w końcu się rozdzielili, powiedział miękko:

- Kiedy zgodziłaś się za mnie wyjść, uważałem się za najszcześniejszego człowieka na świecie.

Jego pocałunki zmieniły się teraz, stały się bardziej czułe i delikatne. Ujął jej twarz w dłonie.

- Zabrałem cię od wszystkiego, co znałaś, prawda? Daleko od domu, od miejsca, które kochasz. Przebacz mi, widzę, że było to bardzo samolubne z mojej strony.

Szepnęła:

- Nie mam ci czego przebaczać.

- Nie bój się, Isabel, skarbie mój. Obiecuję, że będę się tobą opiekował. Obiecuję, że uczynię cię najszcześniejszą kobietą na świecie. Pozwól mi to zrobić, proszę.

W jej oczach błyszczały łzy. Przyciągnął ją do siebie, aż wsparła głowę na jego ramieniu.

- Jeśli mnie teraz opuścisz, złamiesz mi serce - mówił drżącym głosem. - Nie przeżyję takiego ciosu. Nie możesz tak postąpić. Nie zniósłbym tego.

Rozdział 2

Tamtej nocy pomyślała, że zaczyna go kochać. Pod jego energią i zapalem po raz pierwszy dostrzegła czułość i wrażliwość.

Czy dlatego nie odważyła się opowiedzieć mu o Alfiem Broughtonie? Dlatego, że zaczęła go kochać?

Miała nadzieję, że tak. To był powód lepszy od wszystkich innych.

Dwadzieścia cztery godziny później była już jego żoną.

Richard Finborough był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i mocnej budowie ciała.

Jego głęboko osadzone oczy miały kolor zielonkawego orzecha laskowego, rysy twarzy były mocno rzeźbione, a usta namiętne. Gęste, krótko ostrzyżone włosy miały miedziany odcień.

Isabel nigdy nie podobały się rude włosy. Często bywały oznaką porywczosci, dumy, arogancji. Kiedy poczuła, że Richard ją pociąga, czuła się zaskoczona. Uważała go za osobę zepsuta, rozpieszczoną, przyzwyczajoną, że zdobywa wszystko, o czym tylko zamarzy. Nie traktowała jego zalotów poważnie, trudno jej było uwierzyć, że ktoś taki jak on mógłby pokochać właśnie ją. Ignorowała go, obrażała, zamykała mu niemal drzwi przed nosem.

Dopiero kiedy przestała się przed nim bronić, stwierdziła, że może być szczery. A mimo to nie wierzyła, że się z nią ożeni.

Tamtego dnia, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy przy wieży podczas sztormu, była zgnębiona i przerażona. Mimo że w życiu - choć liczyła dopiero lat dwadzieścia - już tyle razy zaczynała od nowa, nie była w stanie stawić czoła kolejnej zmianie, którą wymuszała śmierć Charlesa Hawkinsa. Dokąd ma iść, co robić? Była zmęczona i pełna obaw. Obezwładniał ją strach. Kiedy w ten sztormowy poranek stała na falochronie, przemoczona deszczem i wodą morską, wystarczyło, by zrobiła zaledwie kilka kroków, a nie musiałaby podejmować więcej decyzji, zaczynać jeszcze raz, tracić kogoś bliskiego. Coś, może nabożny lęk przed grzechem samounicestwienia, zmusiło Isabel do powrotu do wsi. Martwiło ją, że Richard Finborough widział ją owego ranka w takim stanie. Nie lubiła odsłaniać przed obcymi swych najskrytszych, najczarniejszych myśli - to było tak, jakby oddawała komuś część siebie.

Tej pierwszej nocy ich miesiąca miodowego, w sypialni Crillon Hotel w Paryżu, Richard zdejmował z niej wszystko po kolei. Perłowy

naszyjnik, chłodny i śliski, przesunął mu się między palcami. Suknia z różowego jedwabnego szyfonu spadła niczym deszcz różanych płatków na podłogę. Silne, wprawne palce rozwiązały taftowe halki, kremowe szarfy i wstążki. Rozsznurowując różowy gorset Isabel, Richard pochylił się i pocałował jej piersi. Na koniec zostawił jedwabne pończochy i długie białe rękawiczki. Przesunął ustami po karku ukochanej, dotykiem rozpałił pożądanie. Ich ciała poruszały się w tym samym rytmie, jej przyjemność połączyła się z jego.

A potem, wraz z odprężeniem, poczuła się jak zdrajczyni. Co się stanie, jeśli za mocno pokocha tego aroganckiego mężczyznę o czerwonych włosach, który bez zaproszenia wtargnął w jej życie? Czyż nie można samej dokonać wyboru? Czy uczucia nigdy nie mogą iść w parze z rozumem, pozostawać pod kontrolą?

Po spędzeniu dwóch tygodni w Paryżu pojechali do Raheen, miejsca urodzenia Richarda w County Down w Irlandii. Matka Richarda nie była, jak oczekiwała Isabel, niezadowolonym potworem, lecz kobietą ciepłą i otwartą, w której tylko od czasu do czasu przebłyskiwał upór podobny jak u jej syna. Raheen House, budowla potężna, imponująca i zaniedbana, oddalona była od Dundrum Bay o pół mili. Podczas spacerów po piasku wygładzonym falami odpływu, z fioletowoszarymi Mourne Mountains, które niczym widmo wznosiły się po drugiej stronie zatoki, w tle Isabel odczuwała spokój i zadowolenie.

A mimo to Raheen niepokoiło ją, zupełnie jakby pajęczyny i cienie rozkładu, które gościły w pokojach, spowijały ją w nocy, niszcząc jej system obronny. Zastanawiała się, czy sny o Broadstairs powodowała bliskość morza, szept fal i zapach soli w powietrzu.

We śnie przechadzała się brzegiem morza z dziećmi Clarewoodów. Była w uniformie opiekunki, lecz stopy miała bose i czuła, jak mokry piach przeciska jej się między palcami. Koła wózka toczyły się bez trudu po połyskującej, ubitej nawierzchni. Na brzegu, niczym szare i białe perły, leżały muszle i kamyki. Z przodu Adele i Elsie rozpryskiwały stopami iskrzącą się wodę. Musiało być późne popołudnie, gdyż budki przy plaży były już pozamykane, a kabiny kąpielowe zniknęły z pola widzenia. Słońce chowało się za horyzont, malując morze na złoto i nadając falom połyskującą jasność.

Wtedy właśnie odwróciła się i spojrzała w dół. Zobaczyła, jak uchwyt wózka wysuwa jej się z dłoni, sam wózek zaś, z małym

Edwardem w środku, znika. Dziewczynek również nie było widać, a ona sama stała na szerokiej, pustej plaży.

Isabel obudziła się z twarzą mokrą od łez. Obok spoczywał Richard pogrążony w głębokim śnie. Leżała bezsennie w ciemności; w głowie kłębiły jej się wspomnienia o Broadstairs, Clarewoodach, Alfiem.

Kiedy poznała Alfiego Broughtona, miała siedemnaście lat, a mężczyźni interesowali się nią już od jakiegoś czasu. Nabrała wprawy w zbywaniu ich. Alfie zmienił to wszystko. Do tamtej pory nie wiedziała, co znaczy pożądanie. Nie wiedziała również, że można zachwycać się błyskiem w oku czy brzmieniem głosu. Zastanawiała się, w jakim momencie można by było wstrzymać katastrofę, której stała się ofiarą? A gdyby nie spotkali się tamtego popołudnia na plaży? Gdyby nie zobaczyła, jak on wynurza się z fal, osłonięty morzem i słońcem? Jakaż magia, przywołana piosenką minstrela i ciepłym powietrzem, kazała jej się zakochać w Alfiem Broughtonie?

Isabel Zeale zaczęła pracować u Clarewoodów w wieku lat czternastu, po śmierci ojca. Jej matka zmarła, kiedy ona skończyła zaledwie pół roku, nie dała jej więc rodzeństwa. Dziewczyna szukała posady opiekunki w rodzinie mieszkającej w Broadstairs, gdyż zawsze kochała dzieci, a poza tym, pochodząc z miejsca pełnego lasów i polan, zawsze pragnęła zobaczyć morze. Kiedy ujrzała je po raz pierwszy, ciemnoniebieskie, jedwabiste i zmienne, stanęła bez ruchu, w upojeniu, przyciskając do siebie węzełek z ubraniami i książkami ojca, a wokół niej przesuwwały się tłumy turystów.

Praca u Clarewoodów odpowiadała jej. Isabel przywiązała się do dziecka powierzonego jej opiece, trzyletniej Adele. Elsie urodziła się niedługo po tym, jak Isabel zaczęła pracę, a mały Edward dwa lata później. Pani Clarewood rzadko wtrącała się do opieki nad dziećmi, a Isabel uwielbiała morze, szczególnie w lecie, kiedy rozluźniały się obowiązujące w domu zasady i pani George, główna kucharka, i Liddy, pokojówka, robiły wszystko po łebkach, podgrzewały resztki z obiadu i nie przejmowały się ścieraniem kurzów.

Alfiego ujrzała po raz pierwszy w ciepłe popołudnie w Zielone Świątki. Miały tego dnia wychodne i Liddy zaproponowała wyprawę na plażę. Kabiny kąpielowe, ciągnięte przez konie i silnych mężczyzn, wwoziły spragnionych kąpielem turystów do wody. Mężczyźni kąpali się w jednej części plaży, kobiety w innej. Na plaży rojno było od

ludzi. Ci lepiej sytuowani byli w kostiumach kąpielowych, ci biedniejsi w zwykłych ubraniach. A wszyscy mieli twarze czerwone od upału. Isabel włożyła nową sukienkę z bawełny w biało - niebieskie paski, którą sama sobie uszyła. Liddy, trajkotka, nie przestawała gadać ani na chwilę. Oglądając pokaz minstreli, Isabel czuła przez podeszwy butów ciepło piasku.

Podczas aplauzu po zakończeniu piosenki podszedł do nich młody człowiek.

- Dziewczęta, podoba się wam przedstawienie?

- A co panu do tego? - odparła Liddy, uśmiechając się przy tym, gdyż mężczyzna był przystojny.

- Tak tylko pytam - odpowiedział.

Alfie Broughton miał ciemnobrązowe oczy koloru melasy. Jego czarne loki sprawiały, że Isabel miała ochotę przesunąć po nich dłonią i poczuć pod palcami, jakie są sprężyste. Nad czerwonymi ustami zawijały mu się zawadiacko czarne wąsy.

Wyjął z kieszeni paczkę cukierków owocowych i poczęstował nowe znajome. Wyjaśnił, że jest przedstawicielem producenta. Sprzedawał sklepom i budkom w nadmorskich miastach na wybrzeżu hrabstwa Kent papierosy i wyroby cukiernicze. Mieszkał w pensjonacie w Broadstairs i codziennie jeździł od miasta do miasta, zbierając zamówienia na miętówki, karmelki i lizaki, pianki i rachatlukum.

Poszli w stronę molo, przeciskając się między turystami, mijając kramy z małżami i handlarzy piwa imbirowego. Alfie kupił trzy porcje lodów za pensa. A kiedy palcem wskazującym wyjął resztki swojej z niewielkiego szklanego pucharka, powiedział do Isabel:

- Proszę - i podsunął jej palec do ust.

Zlizwała lody, a potem zaczerwieniła się, czując słodycz i ciepło jego skóry.

Potem Alfie zrzucił buty i marynarkę, podwinął spodnie i wszedł do morza. Odwrócił się i zawołał przez ramię:

- Isabel, wchodzisz?

Liddy zacmokała z dezaprobatą, lecz Isabel przypomniała sobie pływanie w powolnych, leniwych rzekach Hampshire, w których ciemnozielone wodorosty czepiały się nóg. Sukienka, halka i gorset ciążyły jej niczym zbroja. Rozsznurowała buty i zsunęła pończochy. Po pierwszym kontakcie z lodowato zimną wodą podniosła spódnicę i

halkę i weszła głębiej. Morze falowało wokół jej kostek, a piach usuwał się spod jej stóp, zupełnie jakby grunt uciekał. Alfie był teraz jedynie ciemnym kształtem na tle błękitu morza. Zanurkował i wynurzył się dopiero po dłuższej chwili.

Kiedy szedł w stronę brzegu, Isabel zauważyła, że jego kędziory ociekają wodą, a biała koszula przylgnęła do szerokiego trójkąta torsu. Słońce połyskiwało na falach i musiała dłonią chronić oczy przed jego blaskiem.

W ciągu kolejnych tygodni uwodził ją lodami i lizakami, oranżadą w proszku i długimi pałeczkami lukrecji. Przyjaciel Alfiego, Jim Cottle, zabrał ich troje na swój kuter. Liddy siedziała w niewielkiej kabinie obok Jima, a Isabel i Alfie przy sterze. W Pegweg Bay posilili się różowymi i białymi piankami. W cieniu skał Alfie poprosił, by Isabel zamknęła oczy, i wsunął jej do ust czekoladową pastylkę. Śmiała się, kiedy drażetka rozpuszczała się jej na języku. Śmiech jednak przeszedł w dreszcz, kiedy Alfie przycisnął usta do ust Isabel i ich smak zmieszał się ze smakiem czekolady.

Opowiadał dziewczynie o swoich marzeniach. Pragnął podróżować. Miał zamiar popłynąć do Ameryki - pragnął zobaczyć inny, nowy kraj. Otworzyć własny sklep.

- Nie chcę się komuś wysługiwać do końca życia - powiedział.

- „Twój kawaler” - mówiła o nim pani George, kucharka Clarewoodów, a Isabel czuła dumę. Alfie był najprzystojniejszym mężczyzną w Broadstairs. Na promenadzie oglądały się za nim wszystkie dziewczęta.

Z nadejściem pełni słońce codziennie prażyło piasek. Po kryształowo czystym morzu pływały kutry rybackie, a na plaży parasole dam osiadły niczym białe muszle. Miasteczkiem zawiądnął rozleniwiający upał. W nocy Alfie obejmował Isabel w piwnicy domu Clarewoodów i przesuwiał opuszkami palców po drobnych, wypukłych kostkach jej kręgosłupa. Na klifach porośniętych przez krzaki janowca i dzwonki Alfie rozpinał niewielkie guziczki bluzki Isabel.

Okazał się bardzo wytrwały, co nie od razu dało się zauważyć pod pokrywką jego beztroski i uroku. Isabel uważała minione miesiące za ciąg potyczek i wszystkie wygrał Alfie. Jedna rzecz prowadziła do drugiej, trzymanie się za ręce do pocałunku, pocałunek do uścisków. To było jak z kostkami domina, które dziewczynki

Clarewoodów ustawiały w pokoju dzieciennym - kiedy upadła jedna, pociągała za sobą wszystkie inne. Alfie kawałek po kawałku zdobył Isabel całą.

A mimo to kłamstwem byłoby twierdzić, że zmusił ją do czegośkolwiek. Pragnęła go. Kiedy leżała bezsennie w pokoju dzieciennym, dzielonym z Adele, Elsie i Edwardem, wyobrażenia podsuwała jej obrazy piękniejszych, bardziej chętnych dziewcząt. Zazdrość, ciemna i gorzka, była równie potężna jak pożądanie.

Isabel mogłaby przypisać to wszystko sierpniowemu słońcu, które jakby wysysało z morza wszelkie kolory, zostawiając jedynie szaroperłową połyskującą wodę. A może oczarował ją dotyk jego dłoni, którym rozpałił w niej ogień. Albo głos, szepczący jej do ucha: „Ale Isabel, ja cię przecież kocham. Kocham cię tak mocno. A ty mnie nie kochasz? Zresztą, w razie problemów możemy się pobrać, prawda, skarbie?”.

Jedynym oszustwem były te słowa, rzucone mimochodem. Dopiero później zdała sobie sprawę, że to one przeważały szalę zwycięstwa na jego stronę. W końcu zgodziła się z nim kochać, bo sama tego chciała. Bo za nim tęskniła. Bo go pragnęła.

Strach i zachwyty z jej snu nie zniknęły z nadejściem poranka. Po śniadaniu, kiedy Richard zajmował się sprawami majątku, a jego matka końmi, Isabel oglądała dom.

Richard powiedział jej, że dwa skrzydła, połączone z głównym budynkiem, zostały dobudowane przez jego ojca. Niemal od samego początku właściwie nikt ich nie używał i stały puste niczym kosztowne białe słonie. Panował tu nastrój melancholii, tęsknoty po niespełnionych marzeniach i straconych ambicjach.

W szklanej szafce odkryła kościaną grzechotkę i parę dziecięcych buczków. Wzięła je do ręki i kiedy przesuwiała palcem po pożółkłych sznurówkach, jej myśli pobiegły do Broadstairs. Pod koniec lata, kiedy turyści wyjechali już z miasteczka, Isabel zorientowała się, że jest w ciąży. Te same objawy widziała u pani Clarewood, kiedy ta była w ciąży z Elsie i Edwardem - nieustanne zmęczenie i poranne mdłości.

Powiedziała Alfiemu o dziecku. Było późno, dzieciaki już spały. Wraz z Alfiem była w piwnicach domu. Przez okno przylegającej do kuchni komórki Isabel widziała paczkę sody do prania i kostkę mydła.

- Dziecko... - powtórzył. Odetchnął głęboko. - Na Boga, Isabel, ty wiesz, jak strzelić komuś gola.

- Pobierzemy się, Alfie, prawda? - Chwyliła go za rękę.

- Tak, tak. - Postarał się opanować rozdrażnienie i z uśmiechem dodał: - Pewnie, że tak.

Z ulgą oparła się na nim i przytuliła mocno.

- W kościele?

- Jak sobie życzysz, skarbie.

Dni mijały. Alfie ją kochał i zamierzał się z nią ożenić. Będą mieszkać w małym domku nad morzem. Isabel wyobrażała sobie, jak ich dziecko bawi się na piasku.

A jednak, kiedy wyjrzała przez okno pokoju dziecinnego, nie dostrzegła pośród koszy na śmieci i rowerów jego przystojnej sylwetki. Zostawiła mu wiadomość, a kiedy nie odpowiedział, wytłumaczyła sobie, że wyjechał w interesach, handlować pałeczkami lukrecji i landrynkami w sklepach Kent.

Kiedy zaczęła się niepokoić, poszła do pensjonatu, w którym mieszkał. Gospodyni powiedziała jej, że Alfie wyjechał.

- Nie zapłacił mi czynszu za cały tydzień - dodała z gniewem. - Nie zostawił też adresu. - Przeniosła wzrok na brzuch Isabel.

Następnego dnia, kiedy Isabel miała wolne popołudnie, przeczesła miasto, odwiedzając ulubione miejsca Alfiego. Kiedy biegła ze sklepu do kawiarni, wezbrała w niej panika. Pędziła po plaży, a piasek usuwał jej się spod stóp. Nikt nie wiedział, gdzie jest Alfie Broughton; nikt nie widział go od ponad tygodnia.

Isabel odłożyła buciki do szafki. Dopiero po dłuższym czasie pogodziła się z faktem, że Alfie odszedł na zawsze, że jego obietnice miłości były kłamstwem. Dobrze znana historia: zdrada kochanka, porzucona dziewczyna. Nic nowego. Czy powinna była o tym wszystkim powiedzieć Richardowi? Oczywiście, że tak.

A jednak nie powiedziała. Miała swoje powody, niektóre wstydlive, inne mniej. Richard Finborough wkroczył w jej życie bez zaproszenia. Czy nie starała się go odepchnąć od siebie? A potem te słowa: „Nie interesuje mnie twoja przeszłość”; teraz ona też nie powinna się tym przejmować, powinna zapomnieć Alfiego Broughtona i dziecko. Musi wyrzucić ich z pamięci, jakby nigdy nie istnieli.

A poza tym czyż nie wycierpiała już wystarczająco dużo? Czy nie zapracowała sobie na prawo do zostawienia przeszłości za sobą, do zaczęcia od nowa? Czyż do końca życia ma pozostać niezamężna i bezdzietna, niekochana - i to tylko przez jeden jedyny błąd, popełniony w wieku lat siedemnastu?

Isabel włożyła płaszcz i kapelusz i wyszła z domu. Przeszła przez trawnik i skierowała się w stronę morza ukrytego za mgłą, która spowijała Raheen. Na jej drodze leżały czarne, mokre gałęzie. Nad sobą widziała bladą tarczę słońca, ukrytą za chmurami. Wyszła spośród drzew i przeszła przez pole, mocząc sobie rąbek spódnicy w długiej wilgotnej trawie. Kiedy spojrzała na zatokę, był przypyływ. Mgła opadła i na wodzie igrało srebrzyste światło. Sześć krów, które zbiegły z pola, przepychało się na piasku.

Alfie Broughton musi już na zawsze pozostać jej tajemnicą. Nikt nie może się o nim dowiedzieć. Poślubiając Richarda, odcięła się od przeszłości jednym ruchem.

- Isabel Zeale odeszła - wyszeptwała. - Teraz jestem żoną Richarda Finborough.

Ktoś zawołał jej imię. Obejrzała się i zobaczyła, że w jej stronę idzie Richard. To zimowe słońce, zielony i senny krajobraz, ten męczyzna. Serce zabiło jej mocniej i pobiegła ku niemu w dół zbocza.

Początkowo mieszkali w wynajętym domu w Kensington. Jako żona Richarda Finborough mogła karmić swój umysł, zaspokajając jego palący głód. Pierwszy rok małżeństwa pełen był nowych wrażeń: po raz pierwszy widziała balet, po raz pierwszy była na koncercie, po raz pierwszy zwiedzała galerię sztuki.

Richard zabrał ją do warsztatu produkującego guziki i nowych zakładów paczkowania herbaty w londyńskim City. Któregoś popołudnia pojechali do portu, do Butler's Wharf, gdzie flisacy rozładowywali ze statków skrzynie z herbatą. Zobaczyła, jak bardzo Richard lubi być wśród ludzi, jak się tym rozkoszuje, jak świetnie porozumiewa się z ludźmi wszystkich stanów, od kobiet pracujących w jego fabrykach po bogaczy, z którymi jadali obiady.

Nauczyła się poruszać wśród osób, które uważały luksus i bez troskę za swoje prawo. Chodziła na przyjęcia i bale, jadła obiady z utytułowanymi damami, finansistami i przedsiębiorcami. Bywała na wyścigach w Ascot i oglądała łodzie w Henley. W teatrze, siedząc na

balkonie, pośród szkarłatnych aksamitnych zasłon i złożonych amorków, czuła się odsłonięta, za bardzo widoczna.

Nienawidziła tego. Wiedziała, że jest inna i że to ją wyróżnia. Nawyki i zwyczaje nowego świata, w którym się znalazła, zbijały ją z tropu i wykluczały. Mimo że zawsze była dumna ze swej wymowy, daleko jej było do wystudiowanego przeciągania samogłosek arystokracji. Siedząc przy stole jakiejś wielkiej damy, musiała wybrać właściwe spośród srebrnych sztućców, porcelanowych talerzy i kryształowych kieliszków, i to bez wahania, żeby się nie zdradzić. Musiała wstawać, kiedy robiła to jej gospodyni, i opuszczać jadalnię w takim samym porządku osób, w jakim do niej weszła. Wyobrażała sobie, że inni goście dostrzegają jej pomyłki i że mimo jej kosztownych ubrań i biżuterii widzą, kim naprawdę jest. Wydawało się, że mówią o niej: Gdzież ten Richard znalazł tę osobliwą istotę? Śliczna, lecz raczej nieodpowiednia.

Na tarasach i w salonach podnosiła do światła kieliszek różowego szampana Oeil de Perdrix i patrzyła, jak płyn staje się rubinowy. Na proszonych śniadaniach półmiski podgrzewane nad palnikami pełne były tłustych różowych cynaderek i złocistej zapiekanki z ryżu, ryby i jaj. Na obiadach lokaje z adamaszkowymi serwetkami podawali ostrygi, turboty, dziczyznę, ciasta, przystawki, owoce i szampana. Wszystko, co jadła, było zamaskowane, zwodnicze, serwowane pod francuską nazwą, przybrane ziołami, oblane sosem lub pokryte bitą śmietaną. Ananas zmieniał się w łódkę z żelatynowym żaglem, bezowe łabędzie odbijały się w lustrzanej tafli. Ona sama również pokazywała światu swe nieprawdziwe odbicie, równie wystudiowane jak te misterne i wykwentne desery. Kiedy rozmowa schodziła na tematy związane z ludźmi, których nie spotkała, z miejscami, w których nie była, zasychało Isabel w ustach. Brakowało jej tych wszystkich lat edukacji i wyrabiania nawyków, które mieli inni. Jej zalety - oszczędność, wytrwałość i niezależność - nic tu nie znaczyły.

Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że oprócz zdenerwowania czuje pogardę dla tych wszystkich ludzi, z którymi musi się widywać. Z pogardą traktowała ich frywolne rozmowy, ich nieznamość prawdziwego świata i ich bezsensownych, rozrzutnych nawyków. Po co zmieniać sukienkę trzy lub cztery razy dziennie? Po co jeść brzoskwinie nożem i widelcem, skoro można ją wziąć w dłoń? Szokowało ją marnotrawstwo przyjąć, talerze pełne ledwo

napoczętych potraw sprzątane ze stołu, sterty głuszców ustrzelonych na polowaniu.

A jeszcze bardziej dziwiły ją inne sprawy. W nocy, kiedy goście rozchodzili się do swoich pokojów, słyszała w korytarzu tupot stóp i śmiech, otwieranie i zamykanie drzwi sypialni.

- Od lat są kochankami - wyjaśnił Richard, kiedy wyraziła swe wątpliwości. - Wszyscy to wiedzą.

- Ale przecież nie są małżeństwem. - Isabel miała świadomość, że oprócz zaskoczenia odczuwa również niesmak. - Ich mężowie... ich żony...

- Jestem pewien, że doskonale wiedzą, co się dzieje. I bez wątpienia nie mają nic przeciwko temu. - Przesunął palcami po jej policzku. - Skarbie, nie bądź taka zgorszona. Taki jest świat.

- Nie mój świat.

- Isabel, to jest twój świat. Weszłaś do niego. Mówił to lekkim głosem, lecz w jego spojrzeniu było coś nieugiętego. Pomyślała o tym, że czasem podczas wspólnych wieczorów odchodził od niej, uderzał dłonią o udo i przebiegał wzrokiem pokój. Zauważyła, że kobiety z nim flirtują i wodzą za nim wzrokiem. Wiedziała, że szybko się nudzi, że uwielbia nowe rzeczy. Czasem strach i zazdrość niemal ją dławily. Czy zostawi ją, tak jak to zrobił Alfie Broughton? Czy będzie żałował lekkomyślnego małżeństwa, zapomni o niej, opuści ją? Powiedziała:

- Nigdy bym tego nie zrobiła, Richardzie, nigdy.

- Nie znalazłabyś sobie kochanka? Mam taką nadzieję. - Był chyba rozbawiony.

Pierwszy obiad wydali w marcu. Zaprosili ludzi, którym Richard był winien zaproszenie, oraz takich, z którymi musiał być w dobrych stosunkach. W dzień przyjęcia w domu tłoczno było od służby polerującej szkło i sztućce i podrzucającej węgla do ognia. Z kuchni rozchodziły się wspaniałe zapachy.

Trzy kwadranse przed przyjściem gości Richard wszedł na górę się przebrać. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał Isabel siedzącą na łóżku w szyfonowych halkach.

- Isabel, na Boga - zdumiał się - jeszcze nie jesteś gotowa? Gdzie pokojówka?

- Odesłałam ją.

- Dlaczego? Musisz się ubrać, skarbie, goście zaraz się zjawiają.

Potrząsnęła głową.

- Richardzie, chyba nie jestem w stanie temu podołać. Spojrzał na nią.

- Co masz na myśli?

- Nie dam sobie rady.

- Kochanie, to tylko obiad - rzekł pokrzepiająco.

- Ci wszyscy ludzie...

- Większość z nich już wcześniej spotkałaś.

Miała mdłości. Fiszbiny gorsetu uciskały żołądek i na samą myśl o zjedzeniu obiadu z pięciu dań robiło jej się słabo.

- Nie możemy tego odwołać?

- Teraz? To nonsens.

- Moglibyśmy powiedzieć, że źle się czuję.

- Dlaczego mielibyśmy tak mówić?

- Ponieważ...

Jaka była przyczyna jej zdenerwowania: pragnienie wyznania swych podejrzeń, które potwierdzały się z każdym dniem, czy konieczność przejścia przez tę mękę przyjęcia?

Odpowiedziała wymijająco:

- Upuszczę widelec albo powiem coś niewłaściwego. Kiedy odpinał koszulę, spinka spadła mu pod toaletkę i zakłął.

- Nie rozumiem, o co robisz tyle szumu? Nie sądziłem, że brak ci odwagi.

- Nie wiesz, że codziennie mam wrażenie, jakbym stąpała po kruchym lodzie. - Podniosła głos: - Nie wiesz, jak często muszę się powstrzymywać, by nie dygać przed ludźmi, którzy kiedyś stali wyżej ode mnie? A może wolisz tego nie pamiętać? Richardzie, ilu z twoich znajomych wie, kim byłam, zanim cię poznałam?

- Nie muszą wiedzieć.

- Ilu?

- Kilku. Moja matka, to chyba jasne, Colville'owie...

- Widzisz - rzekła z goryczą. - Jest tak, jak mówiłam. Wstydzisz się mnie.

Zirytował się.

- To bzdura.

- Czyżby? Czy możesz szczerze powiedzieć, że nasze małżeństwo ci nie zaszkodziło? Że ludzie nie zaczęli cię mniej cenić?

Machnął ręką.

- Czy uważasz, że martwię się, dostając kilka zaproszeń mniej od tych co bardziej wyniosłych pań? Isabel, dlaczego to robisz? Dlaczego się zamartwiasz?

Usiadła na łóżku.

- Boję się, że cię stracę - wyszeptała.

- Stracisz mnie? - krzyknął ze złością. - Dlaczego miałabyś mnie stracić?

- Bo możesz spotkać kogoś ładniejszego lub mądrzejszego - odparła z udręką. - Kogoś z twojej klasy.

- Nie ma nikogo ładniejszego ani mądrzejszego. Pytam więc raz jeszcze, dlaczego zadrezczasz się czymś, co się nie zdarzy?

Odwróciła wzrok. I powiedziała cicho:

- Bo cię kocham.

- Mówisz to tak, jakby to była katastrofa.

- A może jest. Pogłaskał ją po policzku.

- Kochanie, nie ma nic wspanialszego niż to, że się spotkaliśmy i że się kochamy.

- Wydawało mi się, że za bardzo się różnimy, by się kochać.

- Różnimy? - Roześmiał się. - Bez wątpienia tak jest. Ale ponieważ jestem twoim mężem, to czy nie jest dobrze, że się kochamy?

A potem wszedł do garderoby. Isabel widziała, jak przesuwają wiszące tam suknie: niebieskie, zielone, beżowe. Mdlilo ją od tej mieszaniny kolorów.

- Którą masz zamiar włożyć?

- Richardzie, już ci mówiłam, że nie mogę. Wyjął suknię z czarnego aksamitu.

- Powinnaś wystąpić w tej.

Wziął ją za rękę i podniósł z łóżka. Stała nieruchomo niczym manekin na wystawie sklepowej, on zaś przelożył jej suknię przez głowę, zapiął haftki z tyłu i rozłożył fałdy materiału.

Obrócił ją, by mogła spojrzeć w lustro.

- Jesteś moją żoną - powiedział. - Oto kim jesteś. Tylko to się liczy. Jesteś moją żoną.

Isabel spojrzała na swe odbicie. Czarna suknia, czarne włosy, biała skóra, a jedyne kolorowe akcenty to usta i jasne oczy, które zamknęła, gdy zaczął delikatnie całować jej szyję. Przesunął dłońmi po talii Isabel, położył je na jej brzuchu, a potem dotknął bioder i ud.

- Mój skarbie, moja piękna Isabel - wyszeptał.

A potem zaczął gorączkowo rozpinąć haftki, aż sukienka spłynęła na podłogę. Wziął Isabel na ręce i przeniósł na łóżko. Po chwili zaszeleścił jedwab i rozwiązywana sznurówka, kiedy odepchnął na bok jej halki i wszedł w nią.

Wszystko trwało tylko jedną gwałtowną i upojną chwilę, a potem leżeli nieruchomo na łóżku, spleceni w jedno, usiłując złapać oddech. Isabel przeszła przez głowę myśl, że jeśli to miłość, to ta dzika namiętność wydaje się dziwna, czasem niemal agresywna.

Richard ubrał ją, delikatnie naciągając jedwabne pończochy. Sznurując gorset, dotykał ustami jej ramienia.

Kiedy zapinał guziki czarnej aksamitnej sukni, znalazła dość odwagi, by wyznać:

- Richardzie, spodziewam się dziecka. Znieruchomiał.

- Kiedy?

- Wydaje mi się, że w grudniu. Parę tygodni przed Bożym Narodzeniem.

- Będzie syn, żeby mógł przejąć firmę! - W jego głosie dźwięczał zachwyty.

- Albo córka - szepnęła.

- Najpierw syn - powiedział stanowczo i pocałował ją.

Kiedy zapinał jej na karku naszyjnik z pereł, oznajmił:

- Byłem kiedyś na obiedzie, na którym bardzo wytwornej starszej damie treska wpadła do talerza z zupą. Wyłowiła ją i wytarła serwetką, ani na moment nie przestając opowiadać o polowaniu. Trzeba tylko mieć stalowe nerwy. I wtedy wszystko uchodzi płazem.

Philip urodził się na początku grudnia. Był zdrowym dzieckiem. Ważył dziewięć funtów. Miał rude włosy i mocne płuca. Isabel wydawało się, że wraz z przyjściem na świat syna na zawsze zostawia za sobą przeszłość. Przyjęła do pomocy przy dziecku nianię imieniem Milli, miłą dziewczynę z Kornwalii.

Dwa miesiące po narodzinach dziecka przeprowadzili się do domu w Hampstead. Ich nowy dom, położony niedaleko od Heath, był przestronny i miał otoczony murem ogród. Za ogrodem rozciągał się sad, gdzie niemal nie dochodził hałas uliczny. Isabel wyobrażała sobie, jak siedzi tam w lecie i bawi się z Philipem.

Miała pięcioro służących - kucharkę, panią Finch, dwie pokojówki, ogrodnika i Dunninga, złotą rączkę, który także prowadził

samochód pod nieobecność Richarda. Zanim się przeprowadzili, Richard kazał założyć telefon i elektryczne oświetlenie, a starą stajnię zamienić na garaż. Meblowanie domu zostawił Isabel. Do pokoiwybrała tapety w kolorze delikatnego różu, kości słoniowej i złota. Odwiedzała sklepy z antykami i sklepy meblowe, wybierając rzeźbioną komodę z epoki elżbietańskiej w jednym miejscu, a nowoczesną lampę w drugim. Po południu przyglądała się, jak słońce przenika przez witraże, zalewając podłogę światłem.

W roku 1911 lato było gorące, a niebo ciemne, oślepiające, zupełnie niczym zamknięte za szybą. Samochody na ulicach poruszały się powoli, jakby powstrzymywały je niewidzialne bariery. W południe sprzedawczynie i urzędnicy, którzy jedli w parkach, na trawie spalonej słońcem, zapakowany w papier lunch, podwijali rękawy. W porcie - sercu Londynu - potęgował się jeszcze posepny nastrój miasta. Niepokój przyszedł z Southampton, gdzie robotnicy odłożyli narzędzia, kiedy załoga liniowca Olympic ogłosiła strajk. Winston Churchill podjął rozmowy i spór wydawał się zażegnany, lecz niedługo później, gdy skończył się upalny czerwiec, fala niezadowolenia wybuchła ponownie. Przed początkiem sierpnia, kiedy temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, znaczna część londyńskiego portu była nieczynna. Na przystani stały nierozładowane statki. Na nabrzeżu gniły góry owoców - egzotyczne ananasy, banany i brzoskwinie. Największe targowiska Londynu - Smithfield i Covent Garden - były puste jak spiżarnia biedaka.

Nastrój Richarda jeszcze się pogorszył, gdy fabryka pakowania herbaty stanęła, robotnicy błakali się bez celu, a skrzynie z herbatą czekały uwięzione w ładowniach statków. Warsztat produkujący guziki jeszcze sobie jakoś radził, lecz zapasy surowców i tu topniały w mgnieniu oka. Richard powiedział Isabel, że jeszcze pięć dni, najwyżej tydzień, a pracujące tam kobiety również nie będą miały nic do roboty.

Przed nadejściem września temperatura jednak spadła, a pracownikom portowym udało się zwyciężyć w sporze. Poparła ich Izba Lordów i parlament przyjął ustawę o finansach. Isabel zorientowała się, że znowu jest w ciąży. Miała nadzieję, że tym razem urodzi córkę. Córkę, którą będzie można stroić w śliczne ubranka i zabierać na balet. Córkę, która zastąpi tę, którą straciła.

W marcu roku 1912 Richard odwiedził w południowej części Niemiec fabrykę, produkującą wyroby z galalitu, tworzywa kazeinowego. Po powrocie do Anglii wprost z Victoria Station pojechał taksówką do warsztatu.

Kiedy szedł przez podwórze, jego asystent, John Tempie, wybiegł mu na spotkanie.

- Wrócił pan, dzięki Bogu. Pani Finborough nie czuje się dobrze. Jest w szpitalu.

Zaskoczony Richard odparł:

- Nie może chodzić o dziecko. Ma się urodzić dopiero za miesiąc czy dwa.

- Ale czasami zdarza się to przed czasem. - John Tempie był ojcem sporej gromadki. - Zajmę się tu wszystkim. Proszę się nie martwić o firmę. - Jego dłoń na krótką chwilę spoczęła na ramieniu Richarda.

W szpitalu Richard dowiedział się, że jego żona rodzi i nie może jej zobaczyć. Dwanaście godzin później na świat przyszedł jego drugi syn, urodzony pięć tygodni przed czasem. Kiedy lekarz wziął Richarda na bok i oznajmił, że zagrożone jest zarówno życie jego syna, jak i żony, wydało mu się, że ma zamiast serca bryłkę lodu. To niemożliwe, absolutnie niemożliwe, żeby stracił Isabel. To byłoby straszne, zbyt okrutne.

Lekarz mówił coś jeszcze o trudnych porodach, nadziei i modlitwie, lecz Richard krzyknął:

- Co wobec tego pan tu jeszcze robi, tracąc czas na rozmowę ze mną? Dlaczego nie jest pan przy niej, dlaczego pan jej nie ratuje?

Po chwili został w poczekalni sam. Pielęgniarka przyniosła mu filiżankę herbaty. Pił ją i palił, głównie z potrzeby zajęcia się czymkolwiek. Najgorsza była bezsilność. Gdzieś w tym budynku cierpiała Isabel, a on nie mógł zrobić nic, by jej pomóc. Nie pozwolili mu nawet zobaczyć żony. Kiedy jednak zagroził, że znowu się zdenerwuje, pielęgniarka odparła łagodnie:

- Panie Finborough, proszę iść za mną, a pokażę panu pańskiego syna.

Zaprowadziła go korytarzem do niewielkiego, pomalowanego na biało pokoju.

Uczuciem, które żywił najsilniej wobec tego maleńkiego, fioletowego okruszka w łóżeczku, był żal. I niechęć. Gdyby Bóg kazał

mu wybierać pomiędzy żoną a synem, bez chwili wahania wybrałby Isabel.

Do pokoju weszła pielęgniarka, której fartuch aż trzeszczał od krochmalu.

- Panie Finborough, przyszedł pastor. Jeśli jest pan gotowy...

Richard popatrzył na nią, nie rozumiejąc. Dopiero po chwili pojął, że chcą ochrzcić dziecko. W powietrzu wisiały niewypowiedziane słowa: - „Gdyby miał umrzeć...”.

- Nie wybraliśmy imienia. Isabel...

Miła pielęgniarka, która przyniosła mu herbatę, powiedziała:

- Zawsze podobało mi się imię Theodore. Oznacza dar od Boga.

Coś nie bardzo ten dar, pomyślał Richard z goryczą, i przeniósł wzrok na jakby nie do końca ukształtowaną istotkę w łóżeczku. Po co wybierać imię dla czegoś, co prawdopodobnie nie przeżyje nocy?

Odparł jednak szorstko:

- Nazwijmy go więc Theodore. Theodore Thomas Finborough.

Ojciec Isabel miał na imię Thomas.

Po zakończeniu krótkiej ceremonii chrztu pozwolono mu wreszcie usiąść przy łóżku Isabel. Spała. Z twarzy odpłynęły jej wszystkie kolory. Była teraz białoszara, niczym kość. Wyglądała na starą i zmęczoną. Wydawało się prawdopodobne, że umrze. Siedząc przy łóżku żony i trzymając jej dłoń, Richard pomyślał o wszystkich tych momentach, w których nie był dla niej dość dobrym mężem - o flirtach, nic ważnego, rzecz jasna, lecz przecież ona tak bardzo nie lubiła, gdy patrzył na inne kobiety, naleganiach, by towarzyszyła mu na przyjęciach, za czym nie przepadała, i swoim okropnym charakterze, który sprawiał, że łatwo wpadał w złość i mówił rzeczy, których potem żałował.

Kochał tylko Isabel i tylko z nią chciał spędzić resztę życia. Zaintrygowała go już wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na falochronie w Lynmouth, i nie przestawała go intrygować, doprowadzać do szaleństwa i zniewalać. Wiedział, że gdyby jej nie spotkał, nadal rzucałby się z jednej miłości w inną, spragniony przyjemności fizycznej. Nie wiązałyby się z nikim, aż w końcu jego serce i dusza przestałyby pragnąć. Isabel dała mu dom i rodzinę, kotwicę, przyszłość. Wiedział, że dzięki miłości do niej stał się lepszym człowiekiem. Pozwól mi ją zatrzymać, Boże, modlił się w duszy, a już nigdy więcej nie będę samolubny.

Jego modlitwy zostały wysłuchane, gdyż w ciągu następnego tygodnia zarówno Isabel, jak i dziecko powoli wracali do zdrowia. Richard ciągle jednak nie mógł się pogodzić z faktem, że on sam i jego rodzina są bezbronni, o czym jednak nikomu nie mówił. Isabel i dziecko mogli wrócić do domu dopiero po miesiącu, Richard zaś zaczął przywiązywać się do swego młodszego syna jeszcze później. Theo powoli tracił wygląd obdartego ze skóry królika, lecz ciągle był drobny, szczupły i ciemny.

Mijał czas, kiedy jednak Richard patrzył na obu chłopców, Philipa i Theo, zawsze widział, że Philip, z ognistymi włosami i krępa budową ciała, przyćmiewa swego młodszego brata. A mimo to odkrył w sobie szczególną czułość do Theo, jakby chciał mu wynagrodzić brak miłości zaraz po narodzinach. Oczyma wyobraźni widział dzień, w którym synowie przyłączą się do niego i wspólnie, we trzech będą prowadzić interesy. Wyobrażał sobie, jak jego dynastia rozrasta się, jest coraz silniejsza, bardziej potężna.

Święta Bożego Narodzenia spędzali w Irlandii, a lata w Kornwalii. Kroki Philipa i Theo odbijały się echem po zakurzonych pokojach Raheen. Podczas wakacji w West Country, na poszarpanym, skalistym wybrzeżu, pełnym wiosek rybackich i ukrytych zatoczek, w powietrzu czuć było zapach soli i typowych dla tego regionu kwiatów. Richard i Isabel świętowali i śmiali się, choć niekiedy ich kłótnie i podniesione głosy przetaczały się po domu jak burza. A potem godzili się w nocy. Ich ciała wyrażały miłość, którą oni sami nie zawsze potrafili ująć w słowa. Skóra przemawiała do skóry, kość do kości.

Isabel nauczyła się prowadzić dom z gładką, dyskretną sprawnością. Organizowała oficjalne obiady dla przyjaciół i znajomych Richarda oraz swobodne, prywatne kolacje dla przyjaciół, których znalazła pośród artystów i pisarzy z Hampstead. W pogodne dni spotykali się w ogrodzie, gdzie ktoś grał na gitarze albo jakiś poeta czytał najnowszy utwór. Richard nazywał jej przyjaciół „bohema Isabel” i często się z nią droczył.

Chłopcy, czerwonowłosy, porywczy Philip i ciemny, poważny Theo, bawili się w ogrodzie i rozrabiali w pokojach. Od napadów wściekłości Philipa, który ze złości wrzeszczał i bębnił piętami w podłogę, kiedy coś poszło nie po jego myśli, ściany trzęsły się w posadach. Isabel bawił wyraz twarzy Theo, kiedy Philip dostawał ataku złości.

- Zupełnie jakby nie dowierzał własnym oczom - mówiła do Richarda. - Jakby wydawało mu się nieprawdopodobne, że ktoś może z własnej woli robić tyle hałasu i zamieszania.

Co jakiś czas, widząc Philipa i Theo obok siebie, Isabel czuła nagły przypływ dumy i radości; stawała wtedy nieruchomo, pragnąc zatrzymać to uczucie jak najdłużej. Lecz ono, podobnie jak puch ostu, nie dawało się pochwycić.

Wojna nadeszła nieoczekiwanie dla nich obojga. Już od kilku lat Richard martwił się sytuacją w Irlandii, gdzie unioniści prężyli mięśnie i grozili wojną domową, Sinn Fein zaś wywoływał niepokoje na południu. Irlandzcy politycy zbyt łatwo zgadzali się na stosowanie przemocy i rewoltę, a Alice Finborough mieszkała sama w odosobnionym, pustym domu, za całe towarzystwo mając służbę. Zebrano i przeszkolono prywatne armie - Ulster Volunteers na północy i Irish Volunteers na południu. Brytyjscy żołnierze się buntowali, odmawiając zwrócenia się przeciwko swym własnym ludziom. Matka Richarda odrzuciła sugestię, że powinna opuścić Raheen i na jakiś czas przenieść się do Anglii. Richard czytał list od niej, przeklinając przy tym jej upór.

Irlandia odwracała ich uwagę i, jak sądziła Isabel, właśnie dlatego konflikt w Europie tak bardzo ich zaskoczył. Żadne z nich nie było w stanie przewidzieć, jakie konsekwencje będzie miało zabójstwo księcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, dziedzica tronu imperium austro - węgierskiego, popełnione przez młodego separatystę z Serbii. Europa, z jej dawnymi zawiściami i niechęciami, przypominała beczkę prochu: zabójca, Gavrilo Princip, jedynie odpalił lont. Strach, nacjonalizm, duma i oportunistyczny podsycały ogień, i cały kontynent rozbrzmiewał szczękami broni.

Richard ciągle jeszcze nie wierzył, że będzie wojna. Tłumaczył Isabel, że nie ma do niej prawdziwego powodu. Wszystkie państwa łączył handel lub więzy krwi panujących. Król Jerzy V z Wielkiej Brytanii, cesarz Wilhelm II z Niemiec i car Mikołaj II z Rosji byli ze sobą spokrewnieni, mieli wspólnego przodka - królową Wiktorię. W listach zwracali się do siebie: „Drogi Jurku”, „Drogi Wilhelmie”, „Drogi Mikusiu”. Dlaczegoż mieliby się nawzajem niszczyć?

A jednak pewnego dnia ciepłego, niespokojnego sierpnia 1914 roku zapakowano żołnierzy do pociągów i zawieziono na granice. Niedługo później padły pierwsze strzały.

Dlaczego Richard zaciągnął się do wojska? Ponieważ, jak sądził, całe jego życie przygotowywało go na tę chwilę: lojalność Anglo - Irlandczyków wobec Korony, czas spędzony w korpusie szkolenia oficerów, kiedy był jeszcze w szkole, a nawet króliki, do których strzelał na wydmach w County Down. Na wilgotnych ścianach Raheen wisiały zardzewiałe miecze i portrety wojskowych w szkarłatnych mundurach. Tego nie można było kwestionować.

Isabel jednak to zrobiła. Kiedy Richard powiedział jej, że wstąpił do wojska, kłócili się bardziej zażarcie niż kiedykolwiek wcześniej. Chłopcy ukryli się w pokoju dzieciennym, służba zaś wycofała się do kuchni.

- Mogłeś zostać ze mną! - krzyczała, okładając pięściami jego pierś. - Nie musiałeś!

Ach, musiałem, pomyślał, wziął ją w ramiona i całował tak długo, aż w końcu jej spięte ciało odprężyło się. Do tego właśnie stworzony został on i jego klasa.

Isabel była przekonana, że córkę poczęła tej właśnie nocy. Odkrycie, że jest w ciąży, w pewnym stopniu zrekompensowało jej wyjazd Richarda w początkach listopada do obozu szkoleniowego na północy Anglii.

Sara urodziła się w roku 1915, pod koniec maja, w sypialni domu w Hampstead. Wieczorne niebo, oglądane przez okno pokoju, miało kolor moreli i fiołków. Miękkie, zmienne światło padało na buzię śpiącego noworodka. Isabel pogłaskała wypukły brzoskwiniowy policzek. Jakie piękne dziecko, pomyślała, i poczuła głęboką radość.

Rozdział 3

Richard został wysłany do Francji pod koniec lata w roku 1915. Działania wojenne na froncie zachodnim znalazły się już w martwym punkcie. Stały naprzeciwko siebie dwie potężne armie, odgradzone od siebie okopami, które ciągnęły się od wybrzeża kanału La Manche do Szwajcarii. Ponieważ na samym początku wojny Niemcom udało się zdobyć wzgórza i wzniesienia, Brytyjczycy i Francuzi skazani byli na niżej położone tereny, niektóre tuż nad poziomem morza.

Richard szybko awansował na kapitana. Jego egzystencję wytyczały wąskie podziemne ściany okopów i codzienna rutyna. Bacność o świcie i spoczniej godzinę później, jeśli nie było oznak ataku wroga. Kiedy robiło się jasno, przychodził czas na czyszczenie i przegląd broni, a po śniadaniu następował podział obowiązków. Utrzymanie okopów było syzyfową pracą: trzeba było kopać coraz to nowe odnogi i okopy pomocnicze, a istniejące wymagały codziennej naprawy i umacniania. Racje żywnościowe przynoszono, przez peryskop bądź lusterko przyczepione do bagnetu obserwując linie wroga, oddalone o jakieś dwieście jardów. Ataki mające na celu zdobycie pasma wzniesień albo stodoły zaczynano z okopów. W nocy rozsyłano żołnierzy do naprawy zasieków z drutu kolczastego bądź przekazywania informacji o siłach nieprzyjaciela. Wszystkim tym czynnościom towarzyszyło nieustanne zagrożenie życia. Richard zauważył, że jego ludzie zasypiali natychmiast, gdy nie musieli wykonywać żadnych zadań.

Sierżant Richarda nazywał się Nicholas Chance. Był on wysokim mężczyzną, miał ponad sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i prawdziwą krzepę. Oprócz tego - bystre niebieskie oczy, ciemnobrązowe włosy i charakterystyczną trójkątną twarz. Worki z piaskiem, których używano do umacniania okopów, podnosił z taką łatwością, jakby ważyły tyle co torebka cukru. Richard szybko odkrył, że na Nicholasie można polegać. Trzeba tylko wydać rozkaz, a Chance wykona go żwawo, sprawnie i odrobinę nonszalancko. Poprosić o ochotników na nocny patrol - i Chance zawsze wystąpi krok naprzód z szeregu. Był szybki, dokładny, inteligentny i odważny.

We wrześniu na froncie zachodnim wojska alianckie rozpoczęły ofensywę w kierunku wschodnim. Francuzi zaatakowali linie Niemców w Szampanii, ofensywa brytyjska zaś rozpoczęła się w

Loos. Przed atakiem na długości sześciu i pół mili linii frontu zrzucono bomby. Następnie na ziemi niczyjej rozpylono gaz trujący.

Rozpoczął się atak. Pułk Richarda stacjonował w okopach rezerwowych. Wkrótce ujrzeli, jak przez zasieki powracają żołnierze. Początkowo byli to zagazowani, gdyż pojemnik był wadliwy albo wiatr nagle powiał w niewłaściwym kierunku. Potem pokazali się ranni, którzy mogli chodzić, utykając bądź przyciskając do głów tampony z gazy, a dopiero za nimi wrócili ci na noszach. Obok przejeżdżały karetki - czasem ranni mężczyźni wołali i machali. Kiedyś z sąsiedniego okopu Richard usłyszał śpiew, popularne piosenki i repertuar z musicali.

Można było sobie wyobrażać, że dane zdarzenie będzie wyglądało w określony sposób, ale dość szybko człowiek przekonywał się, jak bardzo się mylił. Nawet jeśli dawno temu żołnierze stracili cały optymizm z początkowych dni wojny, to ciągle kurczowo trzymali się przekonania, że Wielka Brytania w końcu zwycięży. W Loos przekonali się, że przynajmniej chwilowo bardzo się mylili. Wojska nieprzyjaciela były lepiej przygotowane, lepiej chronione i lepiej uzbrojone. Brytyjskich żołnierzy, zaledwie się wyrwali, zaraz kosiły niemieckie pistolety maszynowe.

Kryjąc się w jakimś leju na terenie ziemi niczyjej, Richard rozejrzał się, chcąc zebrać swych ludzi, i odkrył, że większość z nich nie żyje. Wielu z tych, którzy pozostali przy życiu, odniosło rany. Jedyne on, Nicholas Chance i parę tuzinów szeregowych wyszło z bitwy pod Loos bez szwanku.

Richard czuł głęboką i trwałą złość. Stracił też zaufanie do tych, którzy planowali operacje wojenne i wyposażali żołnierzy. Richard zawsze wierzył w mądrość i kompetencje swych przełożonych, lecz wiara ta zachwiała się po tym, co zobaczył pod Loos. Teraz wątpił we wszystko - czasem nawet w istnienie Boga.

Kiedy pojechał do domu na Boże Narodzenie, swym rozczarowaniem nie podzielił się z nikim. W listach do Isabel zawsze używał umówionego kodu, żeby wiedziała, czy znajduje się na linii frontu, czy też poza nią i w którym konkretnie miejscu działań wojennych. Lecz znacznie ciężiej było przekazać owo poczucie pustki, tę wściekłość. Nie opowiadał żonie o wszystkim. Mówił o szczurach i wszach, lecz nie o kotach, które sypiały w zwłokach. Także o wyczerpaniu i strachu, lecz nie o urwanych nogach, sterczących z

nasypu, na których jeden z jego ludzi wieszał swój cynowy hełm. Nauczył się, że widoki, dźwięki, a nawet zapachy mogą się utrzymywać bardzo długo, czyniąc spustoszenie w dawnym sposobie postrzegania świata. Nie przekazywał Isabel wiedzy o cierpieniu i brutalności. To byłoby tak, jakby celowo chciał ją zarazić jakąś bolesną i wyniszczającą chorobą.

Większą część czasu na przepustce spędził w domu, unikając przyjęć i tańców, które organizowano w rozgorączkowanym Londynie czasu wojny. On zabierał chłopców do Heath pograć w piłkę i serce mu rosło na widok Sary, różowo - złotego dziecka, które tak bardzo cieszyło się na widok szklanych bombek na choince. Do miasta jeździł tylko po to, by sprawdzić, jak sobie radzą fabryka i warsztat, które zostawił pod sprawnym zarządem Johna Temple'a.

Wojna spowodowała zarówno problemy, jak i otworzyła możliwości. Skrzynie herbaty, płynące do fabryki Richarda, regularnie lądowały na dnie morza, dokąd wysyłały je niemieckie okręty wojenne i łodzie podwodne. Jednocześnie jednak rozkwitał warsztat, produkujący teraz guziki i odznaki wojskowe.

Richard wrócił do Francji na początku stycznia. Zima była chłodna i wilgotna, a okopy i schrony wypełniała oślizgła breja. Deszcz rozcieńczał herbatę żołnierzy, a błoto mieszało się z pożywieniem. Marzli i mokli cały czas - kiedy jedli, pracowali i spali. Zapomnieli, jak to jest, gdy człowiek nie moknie i nie jest mu zimno.

Ludzi, którzy zginęli pod Loos, zastąpiły posiłki. Sierżant Chance poganiał ich i musztrował, usiłując zrobić z nich żołnierzy. Któregoś dnia, podczas obchodu okopów, Richard zobaczył, jak Chance przyciska jednego z nowych ludzi do ziemnej ściany. Na widok Richarda puścił żołnierza. Richard zdążył jednak zauważyć, że tamten zwolnił swój potężny ucisk dopiero po sekundzie czy dwóch.

- Saunders to leniwy drań - oznajmił później Chance, kiedy Richard pytał go na osobności o to zdarzenie. - Miał wyrównać podpory okopów. Powiedział, że to zrobi, ale w nocy zawaliło się pół ściany. Przez takich jak on giną porządni ludzie.

- W każdym pułku są tacy jak Saunders - odparł Richard. - Musimy z nich wydobyć wszystko, co najlepsze.

- Najlepsze? - zapytał Nicholas Chance z pogardą. - Nie ma z nich czego wydobywać. Tacy ludzie jak on rozumieją coś, tylko jak dostaną w ucho.

- Być może - zgodził się Richard łagodnie. - Ale nie należy przesadzać.

Kilka dni później, kiedy się już ściemniło, wyszedł z patrolem na ziemię niczyją. Mieli się dowiedzieć, czy jeden z wysuniętych punktów nasłuchu wroga jest obsadzony. Twarze poczernili palonym korkiem. Nieśli karabiny i noże. Musieli czołgać się na brzuchu całą drogę do linii wroga. Dopóki trzymali się nisko przy ziemi i byli cicho, niemieckim snajperom trudno było ich dostrzec. Kiedy niebo rozświetlało się od wybuchu granatu, leżeli nieruchomo, udając martwych. U boku Richarda Nicholas Chance pełzł przez błoto zwinnie niczym wąż, niewidoczny w ciemności.

Byli już o kilka jardów od punktu i przedzierali się przez ostatnią linię zasieków z drutu kolczastego, kiedy usłyszeli głosy. Wszyscy zastygli w bezruchu. Nad nasypem pojawiły się głowy w stalowych hełmach i Richard wyłapał kilka rzuconych po niemiecku słów. Leżał nieruchomo i starał się nie oddychać zbyt głęboko. Jeszcze kilka cięć i przejdą, a wtedy może im się uda pokonać wroga. Sierżant Chance pomyślał o tym samym, Richard zobaczył, jak podnosi cążki do cięcia drutu.

Bez ostrzeżenia rozległ się głośny łoskot karabinów Maxim, ale zaraz odpowiedziały im błyski ognia broni przeciwnika. Niedługo potem cała grupa biegła z powrotem przez ziemię niczyją i już przeskakiwała nasyp brytyjskich okopów.

- Ilu ludzi wróciło? - zapytał Richard Nicholasa Chance'a.

- Dziesięciu. Nikt nie zginął, dwóch rannych. Nieźle. Strzelali nad naszymi głowami, byliśmy bardzo blisko. - Chance nagle się roześmiał. - Zastanawiam się, o czym ten stary Fritz tak szwargotał.

- Skarżyli się na kłopoty z żywnością. Porównywali objawy.

- Mówi pan po niemiecku?

- Trochę - odparł Richard. - Tuż przed wojną robiłem interesy w Niemczech.

Kiedy ranni zostali już odesłani do okopów rezerwowych, a Richard przekazał raport do dowództwa i zwolnił żołnierzy, zaproponował Nicholasowi szklaneczkę brandy w schronie.

- Ja też trochę podróżowałem - wyznał Chance. - Niestety, tylko po Anglii, nigdy dalej.

- Co pan robił przed wojną?

- Urodziłem się w Buckland, w Dolinie Białego Konia. Nie widziałem się jednak na farmie, więc jako piętnastoletni chłopak wyjechałem do Londynu. Załapałem się do pracy w firmie sprzedającej sprzęt rolniczy i produkty żywnościowe, i właśnie dzięki temu mogłem trochę pojeździć. - Wyjął z portfela fotografię i podał ją Richardowi. - Tak poznałem swoją żonę. Jeździłem po półwyspie East Anglia. To ona, moja Etta, a to nasza córka, Ruby.

Richard przyjrzał się zdjęciom. Etta Chance miała okrągłą, śliczną buzię z dołeczkami. Kręcona grzywka spadała jej na oczy. Etta uśmiechała się do aparatu słodko, choć odrobinę nerwowo. Włożyła na pewno swoją najlepszą sukienkę, ozdobioną falbankami i kokardami ze wstążki. Z dziecka widać było jedynie skrzywioną twarzyczkę w morzu koronek.

- Super jest, prawda? - zapytał Chance z dumą.

- Tak, jest wspaniała. A dziecko... - Richard przerwał na chwilę w poszukiwaniu odpowiedniego słowa - ...wygląda tak zdrowo. To pana pierwsze?

Chance skinął głową.

- A pan ma jakieś dzieci?

Richard otworzył papierośnicę i pokazał Nicholasowi Chance umieszczoną w środku fotografię.

- To Philip, mój najstarszy, to Theo, a to moja dziewczuszka, Sara. A to moja żona, Isabel.

- Wszyscy są bardzo przystojni.

- Prawda?

Kiedy sierżant miał już wyjść ze schronu, Richard powiedział:

- Dobrze się spisałeś, Chance.

- Dziękuję. - Sierżant uśmiechnął się po raz kolejny. - Przez moment wydawało mi się, że to koniec. Biedny stary Nick Chance, pomyślałem, zaginiony w niebie, nie wróci już do domu.

W marcu cała kompania przeniosła się w dół linii frontu, ku Serre, w pobliże rzeki Sommy. Którejś nocy Richard wybrał ludzi do naprawy drucianych zasieków. Nie było to zbyt popularne zajęcie, gdyż żołnierze byli odsłonięci, niechronieni nasypem, i za pomocą owiniętych szmatami drewnianych młotków musieli wbijać w grunt stalowe paliki, narażeni na atak zbłąkanej kuli lub pocisku. Było prawdopodobne, że ich nieosłoniętą pozycję oświetli trajektoria granatu.

Noc była spokojna. Spośród pędzących po niebie chmur od czasu do czasu przeświecał księżyc. Naprawy wykonano bez przeszkód. Richard wydał rozkaz powrotu do okopów i w tej samej chwili zauważył zwłoki brytyjskiego żołnierza, oświetlone promieniami księżyca. Postanowił przyciągnąć je z powrotem za linię, aby zapewnić temu człowiekowi godny pochówek. Lecz kiedy usiłował podnieść ciało, głowa, która była znacznie bardziej zmasakrowana, niż się spodziewał, została mu w dłoniach. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, wpatrując się w tę okropną rzecz, którą trzymał w rękach, a potem zebrało mu się na wymioty i upuścił czaszkę na ziemię.

Musiał chyba jednak pozbierać swoich ludzi i poprowadzić ich z powrotem do okopów, gdyż ocknął się dopiero, kiedy sierżant Chance pytał:

- Chce pan trochę ode mnie? - i podawał mu piersiówkę.

Richard wypił łyk i zakrztusił się.

- Cóż to jest, do jasnej cholery?

- Wygrałem to w karty - odparł Chance.

Richard martwił się, że nie pamiętał nic pomiędzy upuszczeniem głowy a znalezieniem się w schronie. Spojrzał na swoje dłonie. Kiedy splukiwał je wodą z kanistra, usłyszał pytanie Chance'a:

- Dobrze się pan czuje?

- Tak, w porządku. - Zdobył się na półuśmiech. - Po tych naprawach zawsze jestem trochę zdenerwowany.

Chance skinął głową. A potem spytał:

- Czy czasem nie wydaje się panu, że możemy tu utknąć na zawsze?

Richard obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

- Nie ruszamy się stąd, prawda? Zdobywamy farmę lub wzgórze, i kiedy już nam się to uda, bronimy go z całych sił. Ale po co? To przecież nadal zrujnowany dom czy wzgórze. A potem rzucamy się wysadzać ich okopy, a oni próbują zrobić to samo z naszymi, i co to daje? Co daje tak naprawdę?

- Wydaje mi się, że gdyby nas tu nie było, Niemcy weszliby do Paryża.

- Tak, racja.

Zapadła cisza. Zapalili papierosy. Chance odezwał się pierwszy:

- Kiedy patrzy się na okopy tych szubrawców, te bunkry i przejścia, zastanawiam się, czy zaczniemy robić to samo. Czy będziemy budować większe i lepsze okopy i czy kiedyś powstaną całe podziemne miasta. Będziemy żyć - roześmiał się - jak krety.

Richard starał się opanować dreszcz. Spojrzał na swoje dłonie, wykręcając je, jakby usiłował coś zmyć. Aby zmienić temat, poprosił:

- Chance, opowiedz mi, jak poznałeś żonę. To było w East Anglia, prawda?

- Tak. Jeździłem po Fens. Był pan tam kiedyś? Dobre ziemie dla rolnictwa, więc i dobry rynek dla sprzedawanych przeze mnie narzędzi i maszyn. - Pokiwał głową. - Ale jaka tam dzicz! Lubię pagórki i doliny, laski. Tak powinien wyglądać krajobraz. A tam okolica jest płaska jak naleśnik, jeszcze bardziej płaska niż tu. Ani jednego wzgórza. Zaorane pola są czarne jak węgiel, a wiatr przewiewa człowieka na wylot. Ponure miejsce, naprawdę. Nic dziwnego, że nie brakuje tam szaleńców. - Wyjął papierosa. - Byłem właśnie u handlarza nasion w pewnej zapchlonej mieścinie. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem śliczną dziewczynę. Już od dawna nie widziałem nikogo tak ładnego, więc czym prędzej zakończyłem interesy i wyszedłem ze sklepu. Zaproponowałem, że pomogę jej nieść zakupy. Była objuczona jak muł. Maude zawsze kazała Etcie robić wszystkie zakupy. - Maude?

- Siostra Etty. Maude Quinn uważa, że jest stworzona do wyższych celów niż zakupy. Na początku Etta nie chciała mojej pomocy, ale po chwili rozmowy uznała chyba, że jestem przyzwoitym chłopakiem, bo pozwoliła się odprowadzić. Rodzice Etty zmarli, kiedy była mała. Jej siostra, Maude, była już wtedy panią Quinn, żoną farmera, więc Etta zamieszkała z nimi - wyjaśnił. - Farma nazywa się Nineveh. Leży na odludziu. Etta nie pozwoliła mi odprowadzić się pod sam dom ze strachu, że jej siostra nas zobaczy. - Zmarszczył brwi. - To zabawne, że siostry mogą się aż tak różnić. Etta ma twarzyczkę anioła, a Maude jest skwaszona jak zeszłoroczna kapusta. Siostra nie pozwalała Etcie na żadne przyjemności. Taka bogobojna niby - dodał Charles.

- Ale starałeś się zapewne o swoją ślicznotkę? Charles uśmiechnął się.

- Wymagało to niemało zachodu. Nie było nam łatwo się spotykać. Etta ciągle się bała, że Maude się dowie, lecz udało nam się.

Kiedy zgodziła się za mnie wyjść, wziąłem byka za rogi i pojechałem do Nineveh. - Jego niebieskie oczy zmieniły się w szparki. - To dziwne miejsce. Z zewnątrz ponure. Farma składa się z mnóstwa budynków, które wyglądają, jakby postawiono je zupełnie przypadkowo. W środku jednak zauważyłem kilka ładnych przedmiotów, piękne stare meble i porcelanę. Kiedyś pracowałem u handlarza antyków, więc wiedziałem, że są warte trochę grosza. - Po tych słowach nagle zaczął się śmiać. - Patrzę, a tu Maude Quinn siedzi w całym swym dostojenstwie i patrzy na mnie tak, jakbym był śmieciem, który przykleił się do jej podeszwy.

- Zgodziła się, żebyś ożenił się z jej siostrą?

- Nie. Kazała mi zniknąć i zrobiła to dość bezpośrednio. - Chance zmarszczył brwi. - Najdziwniejsze jest to, że... nie mówię, że się bałem tej starej suki, ale miała coś w sobie. Zrozumiałem, dlaczego moja maleńka Etta tak koło niej skacze. Maude była... - Zamilkł, szukając odpowiedniego słowa.

- Miała osobowość?

- Tak. Osobowość. Przywykła do rządzenia. Taka była Maude Quinn. Odesłała mnie więc do diabła. Prawdę mówiąc, bolało jak cholera. - Twarz mu pociemniała. - Kiedy wyszedłem, Maude uderzyła Ettę w twarz. Znienawidziłem ją za to.

Do Richarda dotarło, że nienawiści Nicholasa Chance'a należało się bać. Chance, podobnie jak Maude, miał osobowość.

Richard spytał:

- Co więc zrobiliście?

- Uciekła ze mną. Etta miała wtedy dwadzieścia jeden lat, więc do małżeństwa nie potrzebowaliśmy niczyjej zgody. Którejś nocy po prostu wymknęła się z farmy. Pojechaliśmy do Londynu i wzięliśmy ślub. Zaraz potem napisała do Maude. Sądziła, że siostra przyśle jakieś pieniądze. Ale nic z tego. Maude nie oddałaby ani pensa, żeby pomóc siostrze i mnie założyć dom, chociaż siedzi na górze złota. - Ton Chance'a był chłodny i rzeczowy. - Mam nadzieję, że wpadnie do któregoś z tych cholernych rowów i się utopi.

Spojrzał na zegarek.

- Pójdę sprawdzić, czy któryś z wartowników nie usnął.

Na odchodnym dodał jeszcze:

- Nazywają to wojną na wyczerpanie przeciwnika, prawda? Wydaje mi się, że inna wojna bardziej by mi odpowiadała. Etta mówi,

że potrafił sobie wyobrazić w czerwonym płaszczu, atakującego w samym środku bitwy. Lubię działanie. Lubię, jak coś się dzieje.

U każdego z nich napięcie objawiało się w inny sposób. Dowódca Richarda, major Woods, stawał się coraz spokojniejszy i niemal nieobecny; z rzadka jedynie wypowiadał słowa zachęty bądź krytyki. Kontakty z innymi oficerami utrzymywał tylko takie, jakich wymagała ciasnota panująca w okopach. Prowadzenie codziennych spraw pozostawił młodszym oficerom, a z ukrycia wychodził wyłącznie po to, by skontaktować się z przełożonymi lub przekazać ich rozkazy swoim ludziom.

Nicholas Chance znalazł własny sposób radzenia sobie z niebezpieczną okopową stagnacją. Co noc zgłaszał się na patrole. Richardowi wydawało się, że odwaga Chance'a graniczy już z brawurą. Nigdy nie uważał się za człowieka nerwowego, lecz w porównaniu z Nicholasem był wprost niezwykle ostrożny. Zaczął się zastanawiać, jak na człowieka działa absolutny brak strachu. Czy każe podejmować ryzyko i przytępia zdolność postrzegania. Richard był coraz bardziej przekonany, że Chance niemal kusi niebezpieczeństwo, zupełnie jakby usiłował coś sobie udowodnić. A może tylko tak, ze śmiercią niemal uczepioną jego ramienia, czuł, że naprawdę żyje.

A jak znosił to wszystko Richard? Męczyło go wyczerpanie, brak koncentracji i rany na dłoniach, które nie chciały się goić, bo rozdrapywał je przez sen. Od epizodu z odpadającą głową czuł się nieustannie brudny. Czasem wydawało mu się, że czuje zapach rozkładu, którym nasiąkła mu skóra i którego nie mógł się pozbyć.

Czy czasem nie wydaje się panu, że możemy tu utknąć na zawsze? Bitwa pod Loos pokazała przerażająco wyraźnie, że ataki piechoty w czasach karabinów maszynowych i granatów to czyste samobójstwo. Gęste zasieki z drutu kolczastego, głębokie wykopy, straszliwe przeszkody do pokonania. Ale nawet gdyby jutro Brytyjczycy przypuścili zwycięski atak i zdobyli, powiedzmy, milę ziemi, to co wtedy? Istnieje przecież reszta frontu, cała długa linia, od brzegu kanału La Manche do serca Europy, broniona przez armię równie potężną jak ich własna. Ilu jeszcze ludzi pochłonie ta wojna?

Richard starał się ukrywać przed żołnierzami owo poczucie bezsensu. Marzec zmienił się w kwiecień, a potem w maj. Na całej linii frontu powtarzano plotki o przygotowywanym zepchnięciu niemieckich wojsk. Wraz z nowymi oddziałami, które przysłano, by

zastąpiły rannych i zabitych, przybył młodziutki podporucznik Buxton. Buxton, jasnowłosy, o delikatnej twarzy, wydawał się Richardowi niewiarygodnie młody, jakby niedawno skończył szkołę. Jego entuzjazm i radość, połączone z ciężką pracą, szybko sprawiły, że pokochali go nawet najbardziej cyniczni żołnierze.

Przygotowania do planowanej ofensywy obejmowały między innymi częste wypadki przez ziemię niczyją. Pewnej nocy major Woods poprosił Richarda, by poszedł skontrolować rozmieszczenie okopów wroga. Richard sprawdził broń żołnierzy i swój własny pistolet. Czołgając się przez ziemię niczyją, czuł jej ostry zapach. Raz czy dwa pod dłonią poczuł chłodną świeżość liści, gdzieniegdzie niewielka wysepka trawy przetrwała w morzu zrytego gruntu. Tej nocy pistolety spały spokojnie, a nad ziemią unosiła się mgiełka. Osłaniała ich, chroniła, lecz jednocześnie zacierała punkty orientacyjne i ciężko było trzymać obrany kurs. Wszystkie dźwięki wydawały się głośniejsze. Małe łapki szczurów szukających schronienia robiły zadziwiająco dużo hałasu. Nożyce do cięcia drutu szczękały w ciemności, kiedy torowali sobie drogę przez zasieki. I czołgali się dalej, na brzuchach, z twarzami w błocie - jak krety, przypomniał sobie Richard słowa Nicholasa Chance'a.

A potem usłyszał odgłos kroków. Zbyt późno się zorientował, że nie są jedynym patrolem tej nocy. Nagły ruch w ciemności, jakiś strzał. I zaraz potem krzyk. W błysku światła Richard zauważył, że we mgle zeszli z kursu i znajdują się około trzydziestu jardów od celu. Wybuch zmusił go do przywarcia twarzą do ziemi. Wbił paznokcie w glebę. Usłyszał władczy terkot pistoletów i zarządził odwrót.

Przebiegł kilka kroków i jakby zderzył się z niewidzialną ścianą. Jakaś przemożna siła podrzuciła mu lewe ramię do góry. A potem wybuch granatu poderwał go całego. Richard upadł na ziemię. Nie mógł oddychać. Usiłował nabrać powietrza w płuca, lecz czuł jedynie ciepły, gęsty kurz. Oddech wymagał straszliwego wysiłku.

Nad jego głową nocne niebo rozświetlił kolejny wybuch granatu, a on pomyślał, że w tym nienaturalnym świetle wyrzucone w górę odłamki są piękne niczym strzępiaste czarne ptaki. A potem zamknął oczy i odpłynął w nieświadomość.

Przytomność odzyskał jeszcze w ciemności. Mgła była teraz rzadsza. Miejsce, w którym leżał, oświetlały promienie księżyca. Zobaczył, że na szczęście wybuch rzucił go na zbocze leja, dzięki

czemu był odrobinę bardziej bezpieczny. Spojrzał na siebie. Choć nic go nie bolało, czuł, że nie wszystko jest w porządku. Próbował się sam zbadać, kawałek po kawałku, podobnie jak kiedyś, w innym życiu, badał wadliwe produkty w fabryce. Lewą rękę miał całkiem bezwładną. Wisiała przy boku jak kawał mięsa. Kiedy podniósł prawą, odkrył, że w dłoni ma dziurę. Spróbował wstać. Zabolało. Jego krzyk wywołał nową serię strzałów z okopów wroga.

Zdecydował się podczołgać na brzeg leja, aby sprawdzić, czy jest ktoś, kto mógłby mu pomóc w powrocie do brytyjskich okopów. Zabrało mu to całą wieczność. Na prawym łokciu i lewej nodze wyciągał się w górę miękkiego, osypującego się zbocza. Kiedy dotarł do krawędzi, zobaczył swoich ludzi, porzrzucanych bezładnie w błocie. Rozpoznał Cummingsa, Forbesa i Halla, dobrych żołnierzy, oraz podporucznika Buxtona. Jasne włosy Buxtona pokrywało błoto i krew. Chłopak był na froncie niecały tydzień. A nie miał jeszcze dwudziestu lat. Oczy Richarda napęłniły się łzami.

Całkiem sam pod błękitnym niebem, pomyślał. Przerazenie zniknęło, a na jego miejsce pojawiła się dzika chęć przeżycia. Stracił wiarę we wszystko inne, lecz nie w rodzinę: walczył właśnie dla nich. Walczył, by jego synowie mogli żyć w wolnym kraju, aby żona i córka nie musiały oglądać tego, co widział on.

Nie mógł tak po prostu umrzeć. Nie teraz. A tracił coraz więcej krwi, czuł, jak słabnie. Zdecydował, że prześpi się odrobinę i dopiero później stawi czoło pokonaniu drogi do własnych okopów.

Zamknął oczy i śnił o domu na klifie. Fale rozbijały się o skały w dole. Przed domem stała Isabel w czerwonym żakiecie i wpatrywała się w morze. Idąc brzegiem, Richard poczuł pod stopami kamyki i lśniące brązowe zwoje wodorostów. Zawieszony gdzieś pomiędzy jawą a snem, zastanawiał się, ile guzików będzie musiał wyprodukować, by kupić dom nad morzem. Pomyślał o milionach żołnierzy na froncie i tych wszystkich guzikach na ich mundurach. Za dom zapłaci guzikami, guzikami zmarłych żołnierzy. Obudził go głos:

- Kapitanie Finborough, czy może pan chodzić? Richard otworzył oczy. Nadał była noc, a obok niego

przykucnął sierżant Chance. Poczuł głęboką ulgę. Chance prześlizgnął się przez ziemię niczym wąż i chciał go zabrać do domu.

- Chyba nie - odpowiedział. - Przykro mi.

- To pana zaniosę.

Nicholas Chance podniósł go, zarzucił sobie na ramiona niczym worek i pobiegł w stronę okopów. Strzały rozległy się ponownie, gdy już niemal dochodzili do swych fortyfikacji. Ostatnią rzeczą, którą słyszał Richard, był krzyk, który wydobył się z gardła sierżanta Chance'a, krzyk, jak sądził, wściekłości i triumfu.

Richarda zabrano najpierw do punktu opatrunkowego na tyłach, a potem przetransportowano do brytyjskiego szpitala wojskowego w Etaples. Richard wkrótce przekonał się, że szpital jest jeszcze gorszy niż okopy. Ranni mężczyźni jęczeli całe noce i wzywali swe matki. Człowiek leżący obok Richarda płakał, zwinięty w kłębek jak dziecko.

- Szok pourazowy - wyjaśniła Richardowi pielęgniarka i zaciągnęła wokół łóżka zasłony.

Richard miał przestrzeloną dłoń. W lewym ramieniu i prawej nodze utkwily odłamki pocisku. Zaraz po przybyciu do Etaples był operowany, bo lekarze musieli je usunąć. Po opuszczeniu sali operacyjnej zagryzł wargi, by nie płakać z bólu. A potem pielęgniarka zrobiła mu zastrzyk z morfiny i ponownie zapadł w sen.

Ach, te pielęgniarki. Śliczne dziewczyny, przynajmniej niektóre, i takie delikatne, a mimo to jakoś go niepokoiły. Ich energiczna krzątanina była podszyta jakąś twardością, zupełnie jakby nic ich nie było w stanie zaskoczyć. Złapał się na myśli, że nie pozwoliłby swej małej Sarze żyć tak, jak żyły te dziewczęta. W szpitalu królowała rutyna, tak sztywna i bezlitosna, jak w całym wojsku. Richard jej nienawidził. Nienawidził dźwięków i zapachów. A najbardziej ze wszystkiego nienawidził swojej zależności od pomocy innych.

A potem, któregoś ranka, trzy dni po przybyciu Richarda do Etaples, do jego łóżka podeszła piegowata, czerwonowłosa pielęgniarka.

- Panie Finborough, ma pan gościa - powiedziała.

Richard podniósł wzrok i ujrzał Isabel. Ukryty w ramionach żony, czując zapach jej skóry i włosów, poczuł, że coś wreszcie wróciło na właściwe miejsce.

- Zabierz mnie do domu - wyszeptał. - Na miłość boską, Isabel, zabierz mnie do domu.

Na to jednak nie pozwolono, lecz po dwóch tygodniach wysłano go do sanatorium w hrabstwie Kent, gdzie spędził następne dwa miesiące. Z sanatoryjnego ogrodu słyszał odgłos bombardowań

zwiastujących bitwę nad Sommą. Zanim wydobrzeł na tyle, by móc wrócić do domu w Hampstead, bitwa pochłonięła dziesiątki tysięcy żołnierzy, wśród nich również majora Woodsa i wielu ludzi z pułku Richarda. Nicholas Chance przeżył i Richard dziękował za to Bogu.

Nauczył się pisać i chodzić, nie kulejąc. Zraniona dłoń nigdy nie odzyskała dawnej sprawności i kiedy był zmęczony, jego pismo było kanciaste. Po sześciu miesiącach, kiedy stało się jasne, że nie będzie w stanie strzelać, został zwolniony z wojska.

Odwadze Nicholasa Chance'a Richard zawdzięczał ocalenie i jedną z ulubionych historyjek. Przez wiele lat po zakończeniu wojny Richard Finborough opowiadał wszystkim, jak to sierżant Chance uratował mu życie.

Wojna odcisnęła na nim swe piętno. Rany na ciele były widoczne, choć różowe szramy na lewym boku zbiegały. Charakter pisma już zawsze miał przypominać bązgroły niezbyt wprawnego dziesięciolatka. Richard uważał, że miał dużo szczęścia. Zanim w listopadzie 1918 roku ogłoszono pokój, trzy potężne imperia zdążyły obrócić się w ruinę, i teraz dogasały popioły dziejowego przewrotu. Richard uznawał zwycięstwo za dziwne. Na ulicach Londynu żebrali byli żołnierze. Większość z nich okaleczona. Niektórzy mówili do siebie i mieli nieprzytomny wzrok. Utracili zdrowie i pracę. A on zawsze wkładał monetę w wyciągnięte po datek dłonie.

Inne rany Richarda nie były widoczne. Obrazy z przeszłości nawiedzały go w nocy i kładły się cieniem na dniach. W najgorszych chwilach budził się nad ranem. Czuł się wtedy zupełnie samotny. Jego ambicje nie miały sensu. Obawiał się, że owa gólgota szczerów, rozkładających się ciał i nagłej śmierci to właśnie jest rzeczywistość. Że to wszystko - jego praca, dom, rodzina - stanowi jedynie antrakt. Że nie ma na świecie rzeczy pewnych, że któregoś dnia może stracić wszystko, co jest mu drogie.

Demony te odsuwał od siebie intensywną pracą, alkoholem i od czasu do czasu kobietami. Odnowił znajomość z Sally Peach, która była jego kochanką jeszcze przed ślubem z Isabel. Jej proste, niewymagające uczucie koło mu nerwy. Uważał, że należy korzystać z wszelkich przyjemności. Wiedział już, jak łatwo odebrać człowiekowi życie. Ktoś może rozmawiać albo grać w karty, a kula lub odłamek pocisku może go w jednej chwili unicestwić, jakby nigdy nie istniał. W duszy pozostała Richardowi pustka, która przez większą

część czasu pozostawała głęboko ukryta, lecz niekiedy wydobywała się na światło dzienne. Nauczył się maskować ją intratnym interesem czy nowym podbojem. Kiedy zdradził Isabel po raz pierwszy, miał okropne wyrzuty sumienia. Kolejne razy przeżywał już znacznie słabiej.

Mijały lata, a Richard poprawiał stan swoich finansów i umacniał swe imperium. Jedynie tak mógł chronić rodzinę, tylko dając im takie bogactwo i siłę, by nic nie mogło ich dotknąć. W przeciwieństwie do wielu innych przedsiębiorców mógł nie kłopotać się problemami ekonomicznymi dekady, gdyż rozsądnie inwestował tam, gdzie możliwy był rozwój. Jeśli rywalowi powinęła się noga, Richard czekał, aż właściciel będzie zmuszony sprzedać interes, i dopiero wtedy za grosze kupował ogromny teren na obrzeżach Londynu. Wkrótce fabryka tworzyw sztucznych była kilkakrotnie większa niż przed wojną. Do połowy lat dwudziestych fabryka Richarda Finborough produkowała już wieczne pióra, trzonki do noży i całą gamę luksusowych wyrobów, a oprócz tego guziki i sprzączki. W roku 1927 Richard uruchomił nową linię, produkującą sprzęt elektryczny.

Lata dwudzieste sprzyjały rodzinie Finborough. Był to czas dostatku i bezpieczeństwa. Richardowi często się wydawało, że wszystko, czego dotknie, zamienia się w złoto. Wykorzystywał swą moc, by nagiąć teraźniejszość do własnej woli, a przyszłość do piastowanych w duszy pragnień.

Dotrzymał obietnicy złożonej Isabel w dniu, w którym zgodziła się zostać jego żoną. Dom w Kornwalii był jej własnością, prezentem dla niej, zapisanym na jej nazwisko. Mogła korzystać z niego wedle własnej woli. W ten sposób Richard, mimo nawału obowiązków, wyznawał jej swą miłość. Pothglas Cottage stał na przylądku u wybrzeży północnej Kornwalii, w pobliżu St. Ives. Z najwyższej położonego okna widzieli, jak fale rozbijają się o skały. Isabel wraz z dziećmi co roku spędzała w tym domu całe lato, a Richard dojeżdżał do nich, jeśli tylko pozwalała mu na to praca. Philip, Theo i Sara, zdrowi, opaleni na brąz, bawili się w piasku i kąpali w morzu.

Po zakończeniu wojny Richard utrzymywał kontakt z Nicholasem Chance'em. Raz w roku spotykali się na pułkowej kolacji, wydawanej przez Richarda w hotelu Savoy; była ona zawsze radosnym, głośnym wydarzeniem z udziałem tuzina dawnych towarzyszy broni. Richard

podejrzewał, że powojenne lata nie okazały się dla Nicholasa Chance'a zbyt łaskawe. Coraz więcej pił i nawet kiedy się uśmiechał, w kącikach ust czaiła mu się gorycz. Trudno jednak było ocenić, jak dotkliwie doświadczało go życie, a jeszcze trudniej, jaką pomoc należy mu zaofiarować. Chance ignorował taktowne propozycje pracy, składane przez Richarda, zmieniając temat na wakacje nad morzem czy też nowe zajęcie, które mu obiecano. Wojskowy płaszcz, który co roku okrywał jego smoking po zakończeniu kolacji, był coraz bardziej wytarty, a Richardowi wydawało się, że zbyt wiele jest tych nowych zajęć i wspaniałych możliwości, z których nigdy nic nie wychodziło. Zastanawiał się, czy Nicholas potrafił się przystosować na powrót do odmiennych wymagań czasu pokoju.

A potem, na Boże Narodzenie 1927, Chance nie pojawił się na wspólnej kolacji. Jego nieobecność zmartwiła Richarda, nie zdarzyło się to nigdy wcześniej. Na Nowy Rok napisał do niego, wyrażając nadzieję, że zarówno sam Nicholas, jak i jego rodzina czują się dobrze.

Kilka dni później dostał list. Nie napisał go Chance, lecz jego córka, Ruby. Swym równym, ozdobnym pismem informowała:

Szanowny panie Finborough!

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan śmiałość, lecz usiłuję odnaleźć tatę. Od wielu już miesięcy nie ma go w domu, a mama nie czuje się dobrze i muszę się z nim skontaktować. Jeśli przypadkiem wie Pan, gdzie ojciec może być, albo widział go Pan od chwili, gdy napisał Pan do nas list, proszę go poprosić, żeby wrócił do domu.

Z poważaniem, Ruby Henrietta Chance

Czytając przy kuchennym stole list od Ruby, Richard poczuł niepokój i obawę. Rodzina Chance'ów mieszkała w Reading. W drodze do biura przypomniał sobie, że w tej samej miejscowości mieszka dostawca, którego powinien odwiedzić. Zdecydował się więc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i najpierw skontaktować się z dostawcą, a potem zajrzeć do pani Chance i Ruby i zrobić dla nich wszystko, co w jego mocy.

Po spotkaniu z dostawcą Richard wyruszył na poszukiwanie domu Chance'ów w rzędzie statecznych budynków z cegły na obrzeżach miasta. Dom z numerem 50 przy Easton Road był niewielką willą z wysokim, spiczastym dachem. Od sąsiednich zabudowań oddzielały ją wąskie ścieżki. Na grządkach rosła płatanina

pozbawionych liści krzewów, a wykuszowe okna zasłonięte były koronkowymi zasłonami.

Dzwonek najwyraźniej nie działał, więc Richard głośno zapukał do drzwi frontowych. Otworzyły się po kilku minutach. W wąskiej szczelinie, poniżej poziomu jego własnego wzroku, zobaczył ostry nosek i nieufne błękitne oczy.

- Ty pewnie jesteś Ruby - zagadnął z uśmiechem. - Jestem Richard Finborough, przyjaciel twojego taty.

Drzwi otwarły się odrobinę szerzej.

- Czy tata jest z panem?

- Niestety, nie. A może mógłbym wejść do środka i porozmawiać z twoją mamą? Ruby, czy mama jest w domu?

W ukradkowym spojrzeniu, którym dziewczynka obrzuciła korytarz, widać było lęk. Odparła jednak:

- Tak, panie Finborough. Proszę wejść. Richard wszedł do domu.

Od razu zauważył, że panuje tam straszliwie zimno. Styczeń przyniósł chłody, a wewnątrz domu było tylko niewiele cieplej niż na zamarzniętych ulicach. Nie zdziwiłby go widok lodu na szybcie w drzwiach wejściowych.

Ruby wprowadziła go do salonu.

- Mamo, przyszedł do nas przyjaciel taty - powiedziała. - Panie Finborough, to moja mama.

Na widok Etty Chance Richard siłą musiał powstrzymać się od okazania zaskoczenia. Wciąż pamiętał fotografię, którą Nick pokazał mu wiele lat wcześniej w schronie, przedstawiającą jego żonę i córkę. Patrząc na panią Chance, każdy zgadłby bez trudu, że kiedyś była piękna, lecz niewiele z owej urody przetrwało, niewiele zostało z dziewczyny, która wpadła w oko Nicholasowi Chance'owi, kiedy wyrzął przez okno sklepu. Etta Chance była blada i wymizerowana, a z jej zapadniętych, wychudłych policzków czas zmył wszelkie kolory. Co gorsza, w oczach kobiety czaiła się niepokojąca apatia i rozpacz.

Zdobyła się jednak na wysiłek i okazała odrobinę ożywienia. Podała Richardowi dłoń ze słowami:

- Panie Finborough, jak miło, że nas pan odwiedził. Nicholas tak często o panu mówi. Usiądzie pan?

Spojrzał na Ruby i zobaczył wpatrzone w siebie błagalne spojrzenie. Zrozumiał, co dziewczynka chce mu powiedzieć.

- Pani Chance, byłem tu niedaleko. Pomyślałem, że zajrzę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Zapadła cisza, podczas której zauważył panującą w pokoju pustkę. Nie było kilimów, ozdób, pianina, jedynie parę książek i dwa zdjęcia w taniutkich ramkach. Na jednym z nich, tym samym, które Chance pokazał mu w okopach, była Etta w falbankach i skrzywione dziecko. W kominku paliło się kilka brył węgla, a na niewielkim stoliku obok kobiety stała szklanka wody.

Etta powiedziała:

- Nicholasa nie ma w domu, panie Finborough. Mąż... mąż wyjechał w interesach.

A potem się rozplakała. Łzy ciekły jej z oczu i nawet nie próbowała ich wycierać. Richard spojrział na nią przerażony, po czym czując, że nie powinien patrzeć na takie nieszczęście, odwrócił wzrok.

- Droga pani Chance, przepraszam. Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani przykrości.

Ruby podeszła do matki i wsunęła w jej drżące palce chusteczkę.

- Mamo, zrobić herbaty?

Kobieta skinęła głową i Ruby wyszła z pokoju. Richard zastanowił się chwilę, a potem wstał z miejsca, mówiąc:

- Przepraszam na chwilę, pani Chance.

Brzęk naczyń i odgłos wody ciekącej z kranu doprowadził go do kuchni. Ruby ustawiała na tacy filiżanki i spodki. Była szczupłą, przeciętną dziewczynką. Nie mogła równać się ze śliczną Sarą. Odziedziczyła wyraziste rysy swojego ojca, a jej koloryt był nieciekawym połączeniem jasnych barw Etty i ciemnych Nicholasa. Miała na sobie granatowy szkolny mundurek, a pod nim przybrudzoną białą bluzkę, jej nogi zaś, odziane w czarne wełniane pończochy, były cienkie i równe na całej długości jak rurki. Na plecach dziewczynki wisiał mysiobrązowy warkocz, związany zniszczoną granatową wstążką. Jedyne godnym uwagi elementem wyglądu były jej oczy, duże, błękitne i pięknie wykrojone; ich spojrzenie przeszywało człowieka na wskroś.

Kiedy Richard wszedł do kuchni, Ruby podniosła wzrok, a on przeszedł wprost do sedna sprawy:

- Jak długo mama jest w takim stanie?

- Od lat - odparła Ruby. Przeżył kolejny szok.

- Chodzi do lekarza?
- Nie, panie Finborough.

Wzrok Richarda padł na otwarte drzwi spiżarni. Zauważył, że półki są niemal całkiem puste, i tylko gdzieś tam widać jakąś puszkę czy paczkę. Chance'owie zapewne nie mogli pozwolić sobie na lekarza. Wyglądało na to, że nie mogą pozwolić sobie nawet na jedzenie.

- Tata zniknął cztery miesiące temu - rzekł Richard. - Od tego czasu nie macie żadnych pieniędzy. Jak sobie radziłyście?

- Zastawiłam parę rzeczy w lombardzie. To tłumaczyło panujące w domu pustki.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Richard. - Macie jakąś pomoc domową?

- Kiedyś przychodziła pani Slattery myć podłogi, lecz nic było jej już od dawna.

Pomieszczenie wyglądało niechlujnie.

- Więc gotowanie, sprzątanie, pranie... - Nie potrafił sobie wyobrazić tej biednej, roztrzęsionej istotki ze szczotką w ręce. - Ruby, zajmowałaś się tym wszystkim sama?

- Tak, panie Finborough.

Spojrzał na nią znowu, tym razem z podziwem. Ruby Chance musi być jakieś pół roku młodsza od Sary. Ma więc około dwunastu lat. A mimo to, odkąd jej ojciec opuścił dom cztery miesiące temu, potrafiła go samodzielnie prowadzić.

- Ruby, dobrze się spisałaś - powiedział. - Ale co ze szkołą? Chodzisz do szkoły?

Spuściła wzrok.

- Ostatnio nie.

- Rozumiem. Nie powiedziałaś mamie, że do mnie napisałaś, prawda?

- Nie, panie Finborough - odparła, kładąc na tacy dwie łyżeczki. Spojrzała na niego, a jej przenikliwe spojrzenie niepokojąco kontrastowało z dziecięcą buzią. - Ale nie potrafiłam wymyślić nic lepszego. Już nie ma co zastawić. Dopóki nie zapłacimy rachunku w sklepie spożywczym, nie dostaniemy więcej jedzenia. I nie możemy zapłacić czynszu. Przysłali list...

Otworzyła szufladę i spod sterty ścierek wyjęła pismo. Było to powiadomienie o eksmisji, przesłane przez właściciela domu, w którym mieszkali Chance'owie.

- Na pewno jest ktoś, kto może wam pomóc do powrotu Nicka - zasugerował Richard. - Musicie przecież mieć jakichś krewnych.

- Tylko siostrę mojej mamy, ciocię Maude. Richard mgliście pamiętał opowieść Chance'a o ponurej farmie w Fens.

- Może mogłybyście z nią zamieszkać. - Nie.

- Nie?

Żadnych „a może”, „ale”, po prostu nie. Spojrzał na dziewczynkę pytająco.

- Moja mama boi się cioci Maude - wyjaśniła Ruby. - I nie sądzę, by ona nam pomogła. Proszę.

Wyjęła spod ścierek drugą kopertę i podała ją Richardowi. Ten list, z datą sprzed niemal sześciu miesięcy, adresowany był do Etty Chance. Przebiegł go wzrokiem. Szczególnie uderzyło go ostatnie zdanie: „Ponieważ Twoje problemy finansowe są wyłącznie Twoją winą, doprawdy nie rozumiem, dlaczego miałabyś się ode mnie spodziewać pomocy”. Richard pomyślał, że nie brzmi to jak list od siostry. Wiedział już, że nie powierzy Etty, kobiety o zszarpanych nerwach, ani tej dziwnej dziewczynki opiece kogoś takiego jak Maude.

Usiłował jednak dotrzeć do sedna sprawy.

- Twoja mama powiedziała mi, że tata wyjechał w interesach. U kogo pracuje?

- U Lamptonów, na Finlay Street. Sprzedają szczotki i pasty.

- Tata jest komiwojażerem?

- Tak, panie Finborough.

Cholernie przygnębiająca praca, pomyślał Richard. Pukanie do drzwi gospodyń domowych, które w większość wcale nie są zainteresowane. Biedny stary Nicholas.

Głośno zaś zapytał:

- Pytałaś Lamptonów, czy tata był ostatnio w pracy?

Skinęła głową, a on pomyślał, że to przecież oczywiste. Ruby Chance, może i nie jesteś ładna, ale z całą pewnością rozumu ci nie brakuje.

- Poszłam też na policję - dodała - ale oni nic nie wiedzą. Chciałam zamieścić ogłoszenie w gazecie, lecz nie miałam dosyć pieniędzy.

- Niezły pomysł. Opowiedz, co się stało. Czy tata mówił, że wyjeżdża? - Przez głowę przebiegła mu pewna myśl. - Może się z kimś pokłócił? A może były jakieś inne... - niełatwo było ująć to taktownie - ...trudności?

- Powiedział, że wyjeżdża na parę dni. Mama się zmartwiła. Nie lubi, kiedy tata wyjeżdża. - Woda w czajniku zagotowała się, więc Ruby chwyciła jego rączkę przez ścierkę i wlała wrzątek do dzbanka. - Tata często wyjeżdżał, bo taką miał pracę, więc ja się na początku nie martwiłam, ale mama tak.

- Na jak długo zwykle was opuszczał?

- Na tydzień. Czasem dwa.

- Dokąd jeździł? Do różnych miejsc czy zawsze w to samo?

- Panie Finborough, nie wiem.

- Nie zostawiał adresu, pod którym mogłybyście się z nim skontaktować?

- Nie.

- I nigdy wcześniej nie pozostawał poza domem aż tak długo?

Pokręciła głową przecząco. A potem, wbijając w niego spojrzenie swych błękitnych oczu, dodała niespodziewanie:

- Tata nie zabrał ze sobą medalu.

- Krzyża zasługi? - Poklepując dziewczynkę po ramieniu, Richard dodał uspokajająco: - Na pewno się zjawi. Nie martw się.

Ruby schyliła się, by podnieść tacę. Richard zaproponował:

- Ja to zrobię. A czy teraz mogłabyś znaleźć adres lekarza twojej mamy?

- Tak, panie Finborough.

Podobało mu się, że tak szybko go rozumiała - Ruby Chance nie trzeba było namawiać i przekonywać. Wyszła z kuchni i wróciła chwilę później z kawałkiem papieru, na którym zapisany był adres doktora Simpsona.

- Dobra dziewczynka. Zaniosę to do twojej mamy, potem ty z nią posiedzisz, a ja pojedę do doktora. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Opuszczając dom, Richard poczuł ulgę, zupełnie jakby rozpacz Etty Chance z powodu zaginięcia męża przesiąkła w cegły i zaprawę, kładąc się cieniem na całym domu. Zapytał przechodnia, jak dotrzeć

na miejsce, i ruszył. Jadąc krętymi uliczkami, zastanawiał się, czy Nicholas po prostu dał nogę. Wydawało się to najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem. Miał w końcu okropną pracę, chorą żonę i kłopoty finansowe. Kiedy Richard wjeżdżał w dzielnicę zabudowaną okazalszymi willami, stwierdził, że właściwie rozumie, dlaczego Nick mógł mieć ochotę uciec od tej szalonej, zalanej łzami istoty.

Doktor Simpson okazał się chełpliwym głupcem, lecz kiedy Richard odpowiednio go postraszył, a zarazem obiecał sporą sumę pieniędzy, zgodził się znaleźć dla Etty Chance dom opieki i dopilnować, by ją tam przewieziono. Zanim w towarzystwie lekarza powrócił do domu Chance'ów, niebo było już ciemne. Zdał sobie sprawę, że musi zdecydować, co zrobić z dziewczynką. Nie mogło być mowy o zostawieniu jej w tym zimnym, nieprzytulnym domu, a żadni krewni poza chciwą ciotką najwyraźniej nie istnieli. Najlepiej więc będzie, jeśli zabierze ją do siebie. Nicholas Chance uratował mu życie. Jeśli miał teraz kłopoty - a Richard podejrzewał, że tak właśnie jest - to on musi przynajmniej zapewnić jego żonie i córce odpowiednią opiekę do powrotu ich męża i ojca.

Richard wiedział, że Isabel nie będzie miała nic przeciwko pobytowi córki Nicholasa Chance'a w ich domu. Co do tego nie żywił najmniejszych wątpliwości. Mieli przecież mnóstwo miejsca, a Isabel kocha dzieci i z pewnością znajdzie w sercu miejsce dla jeszcze jednego. Właściwie nie zauważą obecności tak cichej istotki jak Ruby. I Sara będzie miała się z kim bawić.

Zanim dziewczynka spakowała rzeczy swoje i matki do kufrów, i zapłakana, roztrzęsiona Etta pod opieką doktora Simpsona wyruszyła do domu opieki, zapadł już wieczór. Dopiero w drodze powrotnej do Londynu Richard uświadomił sobie, że należało zadzwonić do Isabel i uprzedzić ją zarówno o późnym powrocie, jak i przybyciu nowego członka rodziny. Niejasno przypominał sobie, że Isabel mówiła coś o jakichś gościach...

Było jednak za późno. Richard nacisnął gaz i samochód przyspieszył.

Część druga
Przybrana córka
1928 - 1936

Rozdział 4

Pierwszą rzeczą, którą zarejestrowała Ruby, był hałas. Uderzył ją, kiedy tylko pokojówka otworzyła drzwi. Miała ochotę cofnąć się i uciec od tej ściany dźwięków. Udało jej się wyłowić brzmienie pianina, na którymś ktoś grał jakąś wojskową melodię, pełną głośnych, gwałtownych akordów, płyty gramofonowej z popularną piosenką, tupot nóg i przekrzykujących się głosów.

I śmiechu. W drodze z Reading do Londynu pan Finborough pomyślał o czymś zabawnym i roześmiał się na głos. Jego serdeczny śmiech skojarzył się Ruby z lwem, którego widziała kiedyś w cyrku: silny i potężny, podniósł swą złotobrazową głowę i wydał ryk rubasznego zadowolenia.

Po ciszy na Easton Road, miesiącach ciszy, która koła nerwy jej matki, Ruby ze zdziwieniem przyjęła hałas dobiegający z domu rodziny Finborough i ruszyła się z miejsca, dopiero kiedy pan Finborough poklepał ją po ramieniu, zachęcając do przekroczenia progu. Pokojówka wzięła od nich płaszcze i niewielką walizkę Ruby.

Pan Finborough zawołał:

- Isabel! Mam coś dla ciebie! Isabel!

A kiedy po dłuższej chwili nie otrzymał odpowiedzi, poprosił:

- Ruby, poczekaj tu - i odszedł korytarzem, otwierając kolejne drzwi. W pewnym momencie zatrzymał się, mówiąc: - Kochanie, wróciłem - a potem zamknął za sobą drzwi.

Ruby zostawiona samej sobie zaczęła się rozglądać. Stała w holu. Był on mniej więcej dwa razy większy od saloniku na Easton Road. Światło wiszącej na ganku lampy wpadało przez wysokie witrażowe okna po obu stronach drzwi i obmywało wypastowane drewniane podłogi różem i złotem. Przedmioty w pomieszczeniu - ceramika i obrazy - odbijały promienie. W tych pierwszych chwilach swego pobytu w domu rodziny Finborough Ruby odniosła wrażenie, że miejsce to jest mieszaniną żywych, połyskujących kolorów. Dziewczynka zamrugła i przysunęła się bliżej grzejnika. Już od dawna nie było jej tak naprawdę ciepło. Ostrożnie rozpięła guziki płaszcza.

Na okrągłym stoliku w holu stał wysoki szklany wazon wypełniony gałązkami ostrokrzewu i innych roślin zimozielonych. Na szafce ustawiono oprawione w srebrne ramki zdjęcia, znalazła się tam też kolekcja muszli, piłka do tenisa, stos książek i listów oraz ołówki.

Nad szafką wisiał duży portret kobiety w długiej niebieskiej spódnicy i czerwonym żakiecie. Ruby przyjrzała się jej dokładnie. Czarne włosy kobiety rozwiewał wiatr. Stała na skale, a za jej plecami morskie fale rozbijały się o brzeg. Ruby przypomniała sobie wiersz, którego uczyła się w szkole na pamięć: „Bij, bij, bij, morze w swe zimne kamienie! (Cytat z wiersza A. Tennysona „Break Break Break” w przekładzie tłumaczki.).

Z korytarza, zza zamkniętych drzwi, Ruby słyszała głos pana Finborough, teraz odrobinę podniesiony, lecz nie potrafiła rozróżnić słów. Zza innych drzwi dobiegała muzyka - pieśni wojskowe zastąpiono czymś o wolniejszym rytmie. Przez kolejne, szeroko otwarte drzwi Ruby widziała leżącego na sofie mężczyznę. Twarz miał zasłoniętą kapeluszem, dziewczynka sądziła, że śpi. W tym samym pokoju byli jeszcze inni ludzie, którzy rozmawiali w jakimś obcym języku - jedna z tych osób, widząc skierowany na siebie wzrok Ruby, coś do niej zawołała; towarzyszył temu wybuch śmiechu, więc szybko odwróciła wzrok.

Dźwięki gramofonu najwyraźniej dochodziły z góry. Ruby słyszała rytmiczny tupot kroków. W pewnej chwili podniosła wzrok i dostrzegła stopy przebiegające przez podest na szczycie schodów. Ponownie dotarł do niej głos pana Finborough, teraz mocno podniesiony i poirytowany, przeplatany wypowiedziami kobiety. Zastanawiała się, o co się kłóca. Podejrzewała, że z jej powodu.

Z pokoju pełnego obcokrajowców wyszedł jasnowłosy chłopiec, w granatowym swetrze i z jabłkiem w dłoni. Widząc Ruby, zapytał:

- Widziałaś Theo?

Chodziło zapewne o Theo Finborough. Pan Finborough powiedział jej w samochodzie, że ma troje dzieci: Philipa, Sarę i Theo.

Kiedy zaprzeczyła, chłopiec zniknął w pokoju z pianinem. Głos pana Finborough wyraźnie przebijał przez panujący w domu zgiełk:

- Kobieto, przecież już przeprosiłem!

Przez hol przebiegła pokojówka niosąca stertę pościeli. Czarno - biały kot przedelfilował tuż obok i bez przekonania podrapał pazurami wykładzinę na ścianie. Potem przyczłapał spaniel z obwisłą skórą i wielkimi uszami. Gdzieś w oddali śpiewał kanarek. Rosjanie - bo Ruby wyobrażała sobie, że to są Rosjanie, być może oficerowie białej

armii, wygnani towarzysze zamordowanego cara - wyszli z pobliskiego pokoju, zostawiając śpiącego na sofie mężczyznę samego.

Ruby obejrzała przedmioty na szafce. Teraz przekrzywiła głowę, by odczytać tytuły na grzbietach książek. Na samej górze leżały „Kopalnie króla Salomona”. Otworzyła książkę. Czytała ją już wcześniej, przebiegła więc wzrokiem na dół strony. Znana książka to jak stary przyjaciel. Zawahała się, lecz po chwili usiadła na stojącym przy oknie krześle i zaczęła czytać.

Zaraz potem otworzyły się drzwi pokoju z pianinem i wyszedł z nich chłopiec w granatowym swetrze, a tuż za nim czarnowłosego kolega. Pierwszy z chłopców odezwał się:

- Podejrzewam, że głową domu zostanie Lydgate. Na Boga, możesz sobie to wyobrazić?

Na co ciemnowłosego chłopiec, zapewne Theo, odpowiedział:

- Będzie się rządził jak zwykle. I znowu pierwszy z nich:

- Moje książki, gdzie moje książki? A Theo odparł:

- Chyba na szafce. Ruby krzyknęła:

- Och! - i wstała, wyciągając przed siebie „Kopalnie króla Salomona”.

Spojrzeli na nią z niedbałym lekceważeniem, po czym chłopiec w granatowym swetrze odparł:

- Dzięki - i wziął od niej książkę, po czym obaj odeszli.

Usłyszała jednak fragment ich rozmowy, zanim jeszcze skręcili za róg.

- Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Pewnie jedno z dzieci przyjaciółek mojej mamy. Ten dom ciągle pęka w szwach.

Na policzki Ruby wypłynął rumieniec. Dlaczego nie przeprosiła za to, że wzięła bez pytania książkę tego chłopca? Dlaczego się nie uśmiechnęła i nie przedstawiła? Dlaczego nie powiedziała czegokolwiek? I jeszcze to „dziecko” - bolesna obraza.

Miejsce początkowego uczucia ulgi w związku z wizytą pana Finborough, tym silniejszego, że wiedział on, co zrobić z jej matką (w ostatnim czasie Ruby zaczęła się już zastanawiać, czy przyjdzie im obu umrzeć z głodu), zajęły inne, znacznie bardziej niepokojące myśli. Zastanawiała się po raz kolejny, kiedy ojciec wróci do domu. I co zrobi, kiedy zostanie ten dom pusty? Zaczęła nad tym rozmyślać już w drodze do Londynu. A jeśli nigdy więcej się nie spotkają? Pan

Finborough wyjaśnił, że jeden list do ojca zostawił na stole, a drugi w domu sąsiadów. Zostawił też swój adres na poczcie i w komisariacie policji.

Ale co się stanie teraz z nią, dzieckiem bez rodziców? Poczła się samotna i niepotrzebna - znajome nieprzyjemne uczucie. I ogarnął ją strach, że w owym pięknym i pełnym życia domu będzie traktowana gorzej niż uboga krewna. Jak długo państwo Finborough pozwolą jej tu zostać? Dokąd się uda, jeśli za parę dni czy tygodni nie będą chcieli jej dłużej gościć? A jeśli pani Finborough wcale się nie zgodzi na jej pobyt? Przecież na nic nie była tu nikomu potrzebna.

Albo jeżeli pani Finborough zdecyduje, że należy ją odesłać do Nineveh, do cioci Maude i Hannah? Na samą myśl o tym ogarnęło ją przerażenie. Ruby i jej matka odwiedzały Nineveh dwa razy do roku, odkąd dziewczynka pamiętała. Apodyktyczne zaproszenia, którym nie wolno było odmówić, zawsze wywoływały niepokój Etty Chance.

Podróż do Nineveh była kolejnym źródłem niepokoju: zawsze wyruszały za wcześnie i musiały potem całe wieki czekać na peronie na pociąg do Londynu. Niepokój matki jeszcze wzrastał w czasie podróży. Ojciec nigdy z nimi nie jeździł. Ruby nieustannie się zastanawiała, dlaczego matka odwiedza ciocię Maude mimo własnego strachu przed nią i okropnego traktowania ze strony ciotki. Podejrzewała, że z poczucia obowiązku, gdyż ciocia Maude jest jej jedyną siostrą.

Usiłowała dodać sobie odwagi. Tata wróci do domu i zabierze ją z powrotem na Easton Road. Po raz kolejny spojrzała w stronę zamkniętych drzwi. Zastanawiała się, czy pan Finborough, zostawiając ją tutaj, mógł oczekiwać, że sama przedstawi się pozostałym domownikom. A może, co wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne, po prostu o niej zapomniał.

Drzwi wejściowe otwarły się po raz kolejny i do holu wszedł młody mężczyzna. Był wysoki, szeroki w ramionach i przystojny, a jego miedziane włosy zdradzały, że należy do rodziny Finborough. Miał na sobie skórzany płaszcz. Czupryna przybyłego była rozwichrzona, a buty i nogawki spodni zabłocone. Przyniósł ze sobą powiew świeżego powietrza, energii i przygody.

Obecność Ruby zauważył, kiedy zdejmował płaszcz.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. Choć nie wiem, gdzie są wszyscy inni. Ani dokąd mam iść ja sama.

- Właśnie wyglądasz na trochę zagubioną. - Z uśmiechem wyciągnął do niej dłoń. - A tak przy okazji, jestem Philip Finborough.

- Ruby Chance.

- Chance? Chyba nie jesteś spokrewniona z człowiekiem, który uratował mojemu tacie życie, co?

- Jestem jego córką. Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Wobec tego bardzo mi miło cię poznać. Jesteś głodna?

- Odrobinę.

- Ja jestem głodny jak wilk. Chyba spóźniłem się na obiad. Znajdę dla nas coś do jedzenia.

Po odejściu Philipa Ruby miała wrażenie, jakby słońce zaszło. Po raz kolejny zastanawiała się, czy on również o niej zapomni. Wrócił jednak po kilku minutach z talerzem w ręku i Ruby poszła za nim do salonu.

- Zostaniesz u nas? - zapytał.

- Chyba tak.

- Wspaniale. Poznałaś już Sarę i Theo?

Ruby potrząsnęła głową. Uznała, że fakt bycia przyłapanym na czytaniu cudzej książki nie stanowi o zawarciu znajomości.

- Pewnie są nad stawem - rzekł Philip. - Proszę. - Podsunął jej talerz. - Weź sobie ciasta.

Wybrała kawałek biszkoptu z różowym lukrem. Philip zapytał:

- Przywiózł cię mój tata? Jest w domu? Muszę z nim porozmawiać na temat dwusuwu.

Nie miała pojęcia, co to może być, lecz odpowiedziała:

- Tak, przywiózł mnie tutaj.

Zawahała się przez chwilę, a potem, ponieważ po raz pierwszy od bardzo dawna spotkała kogoś, komu mogła zaufać, dodała:

- Boję się, że jest o coś zły.

- Czy moi rodzice się kłócą? - Obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem. - Nie martw się tym. Ciągłe się kłóć, to nie ma żadnego znaczenia. - Po raz kolejny podsunął jej talerz. - No, dalej, dzieciaku, weź ostatni kawałek.

Pokręciła głową.

- Nie, ty musisz go wziąć.

- Moja mama powiedziała, że trzeba cię troszkę wzmocnić.

- Ale jesteś większy ode mnie, więc to ty musisz jeść więcej.

Śmiech Philipa przypominał śmiech jego ojca. Chłopak powiedział:

- Wiesz co, podzielmy go. - I podzielił kawałek ciasta na dwie części.

Ruby zauważyła jednak, że dał jej kawałek z większą ilością lukru.

Isabel z uwagą przyglądała się czerwonej, złej twarzy Richarda. Nie wiesz, pomyślała, że twoja bezmyślność mnie rani? Pewnie, że nie wiesz. Nigdy nie wiedziałeś i nigdy nie będziesz wiedział.

Była świadoma, że zbliżają się do punktu, w którym ich kłótnia może pójść jedną z dwóch dróg. Może się nasilić, podsycana jej strachem i jego zapalczywością, żyjąc własnym życiem, dopóki jedno z nich nie wyjdzie: on do alkoholu i wściekłości, ona do płaczu i ucieczki do Kornwalii. Albo też jedno z nich się ugnie, będą się śmiać i błagać się nawzajem o wybaczenie, i godzić się tej nocy w łóżku. Nie potrafiła przewidzieć, co się tym razem stanie.

Powiedziała:

- Mówiłam ci, że przychodzą Horsleyowie. A to zawsze ciężka praca. Richardzie, przecież zawsze proszę tylko o telefon. Wtedy bym wiedziała, co się dzieje.

Zdawała sobie sprawę, wiedziała w głębi serca, że nie powinna zdradzać swych obaw, lecz nie potrafiła się powstrzymać.

- Gdzie byłeś?

Richard nalewał sobie kolejnego drinka.

- Czy muszę się rozliczać z każdej sekundy mojego życia? Wyobrażasz sobie, że czym ja się zajmuję?

Wyobrażam sobie, że o mnie zapomniałeś, pomyślała. Wyobrażam sobie, że wpadła ci w oko ładniejsza i młodsza buzia. Wyobrażam sobie, że w końcu dotarło do ciebie, jaki błąd popełniłeś dawno temu w Lynton, i że zacząłeś żałować ślubu ze mną. Wyobrażam sobie, że cię straciłam.

Odpowiedziała jednak:

- Myślałam, że zepsuł ci się samochód albo... że miałeś wypadek.

Podszedł do niej. W jego ramionach ponownie poczuła się bezpieczna i odprężona. Niepokoje tego wieczoru - spóźnienie Richarda, uwielbienie Philipa dla tego okropnego motoru - zajęły właściwe miejsce w jej umyśle.

Usłyszała jego szept:

- Twoje włosy pachną morzem. Dlaczego one zawsze tak pachną?

Wyszeptała w odpowiedzi:

- Richardzie, tęskniłam za tobą.

- A ja za tobą. - Poduszczyką kciuka przesunął po linii jej szyi. - Zawsze tęsknię.

Spojrzała z niepokojem na zegar.

- Sądziłam, że Philip już zjawi się w domu o tej porze.

- Nic mu nie będzie - odparł Richard. - Ma siedemnaście lat. Potrafi się sam o siebie zatroszczyć.

Jego beztroska pewnośc ponownie rozbudziła w niej złość. „Nie, nie potrafi” - chciała powiedzieć. Czy ja w tym wieku umiałam się o siebie troszczyć? Nie. Nic jeszcze wtedy nie wiedziałam. Dlatego właśnie wyobrażam sobie poranione ciała w rowach i policję pukającą do drzwi.

Richard zamknął karafkę.

- Byłem w Reading, w domu Chance'ów - powiedział. - Uznałem, że powinienem sprawdzić, co się tam dzieje, więc pojechałem dziś rano. I dobrze zrobiłem, bo sprawy wyglądały kiepsko. Mała dziewczynka usiłowała to wszystko jakoś ogarnąć, lecz jej matka wyglądała żałośnie. Nie mogła przestać płakać i z trudem tylko udało mi się z niej wydobyć kilka słów. Dom był wyziębiony. Nie miały nic do jedzenia. Córka Nicholasa zrobiła herbatę. Jestem pewien, że liście nie były całkiem świeże.

- A Nicholas? Dokąd pojechał?

- Nie wiem. Obawiam się, że dłużej nie mógł tego znieść. I że po prostu odszedł.

- Chyba nie zostawiłby żony i dziecka? Richard wyglądał na zmartwionego.

- Isabel, to taki biedny dom, że nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie go opuszczę. Nicholas miał problemy finansowe. Przejrzałem papiery w biurku, kiedy dziewczynka pomagała matce się spakować. Zrobiłem to niechętnie, lecz sądziłem, że może znajdę jakąś wskazówkę. Ale nie było tam nic, tylko rachunki, mnóstwo niezapłaconych rachunków.

- Biedny sierżant Chance! - Isabel spotkała Nicholasa Chance'a zaledwie raz, podczas Bożego Narodzenia wiele lat wcześniej, na

Oxford Street. Pamiętała wysokiego, potężnego mężczyznę z szoną czarnych włosów, niespokojnymi oczami i uśmiechem, który dosłownie rozdzielał mu twarz na pół.

Spytała:

- I co zrobiłeś?

- Sprowadziłem lekarza. To leniwy, irytujący gość, lecz przynajmniej znalazł dom opieki dla pani Chance. Mam nadzieję, że przyjdzie tam do siebie.

- A co jej jest?

- Lekarz stwierdził, że załamanie nerwowe. I najwyraźniej ma słabe serce. - Po czym, jakby sobie coś przypomniał, dodał z uśmiechem: - Przywiozłem ci prezent.

Podejrzenia Isabel wróciły. Richard był hojnym człowiekiem, lecz jego prezenty były prośbą o przebaczenie, plastrami naklejanymi na grzechy, których, jak sądził, ona nie dostrzegała.

- Prezent?

- Klejnot.

Czekała, że wyjmie z kieszeni pudełko lub paczuszkę. Lecz na jego twarzy malował się dobrze znany wyraz psotnego oczekiwania, więc przygotowała się na jeden z jego żartów, które tak lubił.

- Przywiozłem ci rubin - oznajmił, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. - Nie da się go, niestety, nosić na palcu. Córka Nicka ma na imię Ruby. Powiedziałem jej, że może z nami zamieszkać do powrotu Nicka.

- Oczywiście, że może.

- Potraktuj ją jak przybraną córkę - poprosił, całując żonę. - Przybrana córka na jakiś czas.

- Poproszę pokojówkę, żeby przygotowała dla niej pokój. Jak długo u nas zostanie?

- Nie wiem. To zależy od stanu zdrowia jej matki.

- Gdzie jest ta dziewczynka?

- Poprosiłem, żeby zaczekała w holu.

- Richardzie, to biedne dziecko...

Isabel wyszła z pokoju. Na widok skórzanego płaszcza Philipa, w którym jeździł na motorze, rzuconego na krzesło w holu, opuściły ją pozostałe obawy. Stała w drzwiach salonu i zobaczyła oboje - zmęczoną dziewczynkę w szarym płaszczu i Philipa, swoje najstarsze dziecko.

Ruby zdążyła już niemal skończyć ciasto, kiedy usłyszała głos, w którym nie słychać było irytacji:

- Philip, skarbie, przecież wiesz, że nie powinieneś jeść w tym pokoju. A ty pewnie jesteś Ruby. Ja nazywam się Finborough. Cieszę się, że do nas przyjechałaś. Szkoda tylko, że sprawiły to tak trudne dla ciebie okoliczności.

Ruby zerwała się na równe nogi. Pani Finborough, zamiast w czerwonym zakiecie i niebieskiej spódnicy, była w kremowej sukience z jakiegoś miękkiego, falującego materiału, lecz okazała się bez wątpienia kobietą z portretu. Kiedy się pochyliła, by pocałować Ruby w policzek, dziewczynka wciągnęła głęboko jej zapach.

- Widzę, że Philip się tobą zaopiekował. - Pani Finborough czule pogłaskała policzek syna. - Kochanie, jak minął dzień?

- Świetnie, mamó. Dojechaliśmy do Swanscombe, a potem Blackie złapał gumę i wylądował w rowie. Wyciągając stamtąd motor, przemokliśmy do suchej nitki.

- Jeśli nie chcesz się przeziębic, musisz się przebrać. I zanieś talerz z powrotem do kuchni. A potem obudź Basila, bo inaczej zostanie tam na noc. Powiedz mu, że pani Finch znajdzie coś dla niego na kolację. - Po tych słowach pani Finborough zwróciła się do Ruby. - Chciałabyś zobaczyć swój pokój ?

Ruby poszła za nią na górę. Pani Finborough otworzyła drzwi na końcu korytarza.

- Pokój Sary jest tuż obok. Pomyślałam, że ten ci się spodoba.

Pokój pomalowano na kolor szafirowy, a niebieskie zasłony i kapę na łóżko ozdobił motyw stokrotek. Stojąca w pokoju komoda i toaletka były białe. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające morze. Na podłodze leżał dywanik w biało - niebieskie pasy. Biblioteczka pełna była książek.

Serce Ruby urosło. Wydawało jej się, że zaraz pęknie. Pani Finborough zapytała:

- Podoba ci się?

Ruby nie była w stanie odpowiedzieć i jedynie energicznie pokiwała głową.

Następnie pani Finborough pokazała jej, gdzie ma powiesić ubrania i gdzie jest łazienka. A potem dodała:

- Spróbuj nie martwić się o mamę. Kiedy tylko lekarze zdecydują, że czuje się wystarczająco dobrze, zabiorę cię do niej w

odwiedziny. Oczywiście, możesz do niej pisać, kiedy tylko zechcesz. Umyj się teraz trochę i uczesz, a potem pójdziemy poszukać Sary.

Ruby opłukała twarz i spróbowała doprowadzić włosy do porządku, po czym pani Finborough zabrała ją ponownie na dół, a potem do ogrodu. Było już ciemno i zimno; tarasy, ścieżki, klomby i powykrzywiane drzewa majaczyły na tle czarnego nieba.

Kierując się światłem i wybuchami śmiechu, dotarli w odległy koniec ogrodu. Na myśl o spotkaniu z Sarą Finborough Ruby zaczęła się bać. Pobyt w kilku szkołach, za które jej ojciec z trudem tylko mógł zapłacić, kazał jej oczekiwać szczególnego rodzaju dziewczynki - bez wątplenia ślicznej, wspaniale ubranej i przekonanej, że życie polega na jeżdżeniu na kucyku i wizytach w teatrze na święta Bożego Narodzenia, otoczonej grupą przyjaciółek, do której Ruby tylko czasem byłaby dopuszczana.

Staw na skraju ogrodu był duży, okrągły i obłożony kamieniami. Przy tak chłodnej pogodzie woda zamrzła i w świetle pochodni Ruby ujrzała na lodzie trzy postacie. Rozpoznała Theo i jego przyjaciela, trzecią zaś z nich była dziewczynka.

Sara Finborough miała falujące czerwonozłote włosy, obcięte na pazia równo z linią brody, regularne rysy i ruchy płynne i pełne wdzięku. W pierwszej chwili Ruby zapragnęła być tak samo nieskazitelnie piękna.

Pani Finborough powiedziała:

- Saro, chodź przywitać się z Ruby. Ruby zamieszka z nami na jakiś czas.

Sara podjechała do brzegu i przywitała się. Pani Finborough dodała:

- Pora wracać. Jest bardzo zimno.

Szły już w stronę domu, kiedy Sara się odezwała:

- Ruby, możesz mi jutro pomóc pochować mojego królika, jeśli będziesz miała ochotę.

Ruby była poruszona propozycją.

- Oczywiście. Na co umarł?

- Chyba ze starości. Mam zamiar upleść wieniec. Z bluszczu. Nie sądzisz, że ciemnozielone liście są wystarczająco żałobne?

Kiedy Sara odwróciła głowę, Ruby zauważyła, że jej oczy mają ten sam kolor co oczy jej matki, barwę błękitu przechodzącego w zieleń.

Przez chwilę rozmawiały o zwierzętach i pogrzebach, a potem Sara niespodziewanie wyznała:

- Jak świetnie, że przyjechałaś. Jak dobrze mieć drugą dziewczynkę. Mam dość chłopaków.

Sara polubiła Ruby, bo lubiła wszystkie inne zbłąkane i bezdomne istoty. Ruby przynajmniej nie miała pcheł, jak niektóre z kotów. Wydawała się jedynie odrobinę zaniedbana. Jej pończochy i swetry były pocerowane, rękawy bluzek zaś obszarpane.

Isabel zabrała Ruby i Sarę na zakupy do sklepów sieci Army & Navy. Kupiły dla Ruby sukienki i mundurek, by do powrotu ojca mogła uczęszczać do tej samej szkoły co Sara. Zjadły lunch w Selfridges, a potem odwiedziły fryzjera Isabel na Bond Street, gdzie Lucien obciął cieniutki warkoczek Ruby. W nowej fryzurze na pazia i nowej sukience Ruby nie wyglądała już jak przestraszone, trochę zaniedbane zwierzątko.

Isabel cieszyła obecność kolejnego dziecka w domu. Kołyska i wózek już dawno trafiły na strych, a wszystkie maleńkie białe ubranka leżały owinięte w bibułkę w nieużywanym pokoju. W dawnym pokoju dzieciennym sypiała teraz Sara. Malowane fryzy, przedstawiające zwierzątka i zabawki, zakryto tapetą. Lecz jeśli człowiek przyjrzał się wystarczająco uważnie, spod wzoru z pierwiosnków przebijały obfite kształty misia, lokomotywy i słonia z podniesioną trąbą.

Isabel czasem myślała, że wychowywanie dzieci wiązało się dla niej z całym szeregiem strat - ich nauka w szkole podstawowej, a potem w szkole z internatem, odsuwanie się od rodziców w pogoni za własnymi zainteresowaniami i wybieranie własnych sposobów spędzania czasu. Przystawała być centrum ich świata. Jej dzieci były niezwykle różne. Philip i Sara mieli w sobie pasję odziedziczoną po rodzinie Finborough razem z rudymi włosami, Theo zaś był chłodniejszy, z większym dystansem. Philip i Richard często się sprzeczali, a Isabel myślała, że są zbyt podobni do siebie, by dobrze się dogadywać. Obydwaj byli odważni, silni i pewni siebie, obydwaj też postrzegali świat na czarno - biało, nie widząc całej gamy odcieni, które potrafiła zobaczyć ona.

Philip odziedziczył zamiłowanie Richarda do prędkości, wyzwania i niebezpieczeństwa. Jego energia potrzebowała ujścia; z czarującym uśmiechem ignorował przestrogi matki proszącej, by zachował ostrożność, nie jechał zbyt szybko, ciepło się ubierał i wracał przed

dziesiątą. Isabel zawsze czuła się szczególnie związana z Philipem. dzieckiem, które wykarmiła własną piersią i pocieszała po upadkach i wybuchach złości. Najstarszy syn był ciepły, uczuciowy i lojalny, choć również pamiętliwy. Rozpamiętywał i kultywował drobne urazy, co, jak podejrzewała, odziedziczył po niej.

Theo stanowił większą zagadkę. Do niedawna, dopóki nie urósł w mgnieniu oka, był niewysoki i żylasty. Teraz niemal dorównywał wzrostem Philipowi. Jego pięknie kręcone włosy okalały buzię, która dopiero w ostatnim czasie straciła dziecięcą okrągłość i nabrała wyrazistości i siły, co nadawało mu, zdaniem Isabel, wygląd orła na szczycie góry, oglądającego swe królestwo złocistym okiem. Theo był cięty i inteligentny, uwielbiał muzykę i sztukę, pociągała go samotność. W Kornwalii potrafił cały dzień chodzić własnymi ścieżkami, żeglować lub szkicować. Isabel zastanawiała się, czy ich wczesne rozstanie, kiedy po porodzie była zbyt chora, by wziąć go na ręce i karmić, pozostawiło na nim piętno. Nie zawsze wiedziała, co się dzieje za tymi orzechowymi oczami. Nie potrafiła wczuć się w jego emocje równie łatwo, jak w emocje starszego syna. W Theo kryło się coś niezgłębionego i kochała go tak, jak kochałaby wszystko, co tajemnicze i cudowne. Nie naturalną, beztroską miłością, lecz pełną podziwu, i zarazem smutku.

Uczucia, które żywiła wobec Sary, były całkowicie pozbawione dwuznaczności. Sara - upragniona córka - okazała się śliczną, pełną życia, posłuszną, słodką, radosną istotą. Isabel chadzała z Sarą na wyprawy po sklepach i na balet, prowadziła z nią rozmowy o mało istotnych sprawach. Irlandzka babcia Sary nauczyła ją jeździć konno, Richard zaś nauczył ją pływać i żeglować łódką, którą mieli w Kornwalii. Isabel nauczyła córkę szyć i gotować, ponieważ uważała, że te umiejętności powinna mieć każda kobieta bez względu na swą pozycję społeczną.

Sara była ulubienicą Richarda, jego oczkiem w głowie, jego adorowaną i rozpieszczaną córeczką. Już u dwunastoletniej Sary widać było zapowiedź jej urody; miała niezwykle rysy twarzy i koloryt. Isabel wiedziała, że owa mieszanka piękna i dobroci może być niebezpieczna. Uroda powinna łączyć się z wyrachowaniem, bezwzględnością, nawet jeśli nie miała się stać obciążeniem.

Isabel zastanawiała się, czy Ruby Chance uda się wpasować w ich rodzinę. Czy znajdzie sobie jakieś dogodne miejsce, czy też ciągle

będzie pozostawała w cieniu, nieustannie spięta? Ale po pierwszych paru tygodniach Isabel miała już pewność, że Ruby przeżyje. Była w niej siła. Zdążyła przyzwyczać się do samodzielności.

Wiadomości nadchodzące z domu opieki nie były zbyt pomyślne - lekarze wątpili, by zdrowie pani Chance miało się znacząco poprawić. Dotychczasowe wysiłki Richarda, skierowane na odnalezienie Nicholasa, nie przyniosły żadnego skutku. Była oczywiście ciotka i kuzynka w Fens, lecz kiedy Isabel zaproponowała, by pani Quinn odwiedziła ich podczas następnego pobytu w mieście, Ruby odniosła się do tego sceptycznie i poinformowała, że ciocia Maude nie bywa w Londynie i nie lubi podróżować. Isabel zdecydowała się napisać do pani Quinn i powiadomić ją o chorobie siostry i miejscu pobytu Ruby. Pani Quinn odpisała, tłumacząc słabym zdrowiem niemożność zajęcia się siostrzenicą. Wyraziła też nadzieję, że Ruby nie sprawia zbyt dużo kłopotów pani Finborough i że jak zwykle odwiedzi ciotkę w lecie.

Isabel pokochała Ruby. Miały wiele wspólnego. W tej dziewczynce widziała swoją własną nieufność i nieustanną obawę, której nie udało jej się pozbyć, że to, co dobre, może się nagle skończyć. Dostrzegała swe podobieństwo do Ruby, która przecież poznała gorzki porzucenia.

Dziewczynka zaś nie potrafiła przyzwyczać się do myśli, że jest częścią codziennego życia rodziny Finborough. Zawsze wydawało jej się to cudem, wybawieniem. Chodziła z Sarą do szkoły, z Isabel na zakupy i towarzyszyła osobie, która wyprowadzała psiaka o imieniu Tolly, w spacerach po Heath. Pomogła Sarze urządzić uroczysty pogrzeb królikowi, którego trumną było pudełko po butach, i siadywała przy Philipie, gdy czyścił w garażu silnik motocykla. Przyzwyczała się do rytmu rodzinnego życia, do wyjazdów Richarda do Europy i do długiej nieobecności Philipa i Theo, którzy uczyli się w szkole z internatem.

Ruby broniła się zawsze przed niepowodzeniami swym rzutkim umysłem, ciętym językiem. Już dawno temu nauczyła się ukrywać swą inność, gdyż odkryła, że pewne cechy przyciągają ludzi, lecz inne odpychają. Ekscentryzm rodziny Finborough - ich dziwni przyjaciele, ich hałaśliwość, częste kłótnie, zwykle przy puddingu (mieli zwyczaj kłócić się przy puddingu, w związku z czym nikt nie kroił chrupiącej brązowej skórki, a galaretki trzęsły się, przezrocyste i nienaruszone) -

jedynie zwiększał jej urok. Za to w cechach wyróżniających rodzinę Ruby spośród innych nie było nic uroczego. Nieobecność ojca i łzy matki, ustawiczne problemy finansowe, a także ciocia Maude stanowiły potencjalne powody poniżenia. Tak, te słabości najlepiej było ukrywać, gdyż nie budziły niczyjej sympatii.

W jedną niedzielę w miesiącu Isabel zabierała Ruby w odwiedzinach do matki przebywającej w domu opieki w Sussex. Matka wyglądała teraz inaczej, była czystiej ubrana i już nie tak bardzo wychudzona. Zadawała Ruby pytania i zdawała się słuchać jej odpowiedzi, lecz dziewczynka wyczuwała w tym przymus i wyobrażała sobie, że jakaś życzliwa pielęgniarka uczyła mamę właściwych kwestii, sadzała ją na krzesło i nawet przyklejała jej do twarzy niepewny uśmiech.

Podczas każdej wizyty mama mówiła:

- A Nicholas, czekam już tak długo, macie jakieś wieści od Nicholasa?

I Isabel musiała tłumaczyć, że jej mężowi nie udało się dotychczas odnaleźć przyjaciela, lecz musi jeszcze sprawdzić wiele miejsc, a matka Ruby kwitowała to tylko westchnieniem:

- Och! - i kurczyła się odrobinę, jakby uchodziło z niej powietrze.

W czasie jazdy do domu Ruby udawała, że czyta książkę, pamiętając, by co jakiś czas odwrócić kartkę, choć w środku aż gotowała się ze złości i żalu, że ona sama istnieje jedynie gdzieś na obrzeżach matczynego serca. Była ważna, lecz nie najważniejsza. Jedyna osoba, w której miłość nie wątpiła, odeszła od niej i nawet się nie obejrzała.

Kończyły się kolejne etapy, wyznaczane takimi wydarzeniami, jak urodziny Ruby i urodziny jej matki, a ojciec nie wracał. W sierpniu Ruby pojechała z całą rodziną Finborough do Kornwalii. Ich śladem ściągnęła cała plejada przyjaciół Isabel, zbieranina poetów, artystów i gawędziarzy, pragnących poleżeć na plaży i porysować klify. Sara wyznała Ruby, że wszyscy oni kochają się w jej mamie. Ruby zauważyła, że wszyscy członkowie rodziny uznają pobliską zatoczkę za swoją własność. Osoby przechodzące tamtędy obrzucano niechętnymi spojrzeniami i co najwyżej zrzędlwym „dzień dobry”.

W Porthglas zamienili londyńskie ubrania na bawełniane sukienki lub koszule i szorty oraz sandały. Dom, uznawany przez rodzinę za

mały, stał samotnie na przylądku. Drewno wyblakło i było teraz srebrnoszare, a ściany z mieszanego materiału - kamieni, drewna i gliny ze słomą - zdawały się wyrastać wprost z ziemi. Pokoje pomalowano na pastelowe kolory, proste meble zaś odczyszczono bądź polakierowano na biało. Okna obrośnięte były kwiatami i roślinami, których liście zaścielały kamienne lub drewniane podłogi. Ruby zrozumiała, że ten spokojny, skromny dom należy do Isabel, a dom w Londynie, gwarny i pomalowany na ciepłe, jaskrawe kolory jest własnością Richarda.

Niektóre uroki Kornwalii Ruby pokochała bardziej od innych. Nie lubiła łodzi, którą pływali Philip, Theo i Sara, gdyż źle się w niej czuła. W przeciwieństwie do pozostałych dzieci nie czerpała radości z kąpieli w morzu, gdyż czuła chłód, którego nie czuły one. Wolała z książką w dłoni siedzieć na skale u skraju zatoczki i wsłuchiwać się w uderzenia fal o kamienną ścianę w dole.

Pod koniec sierpnia, tuż po powrocie do Londynu, przyszedł list od ciotki Maude.

Isabel ogłosiła nowinę podczas śniadania.

- Ruby - oznajmiła - to list od twojej cioci, pani Quinn. Prosi, żebyś ją odwiedziła w przyszły wtorek.

Przerażona Ruby odparła:

- O nie, wolałabym nie.

- Obawiam się, że nie da się tego uniknąć. Pani Quinn jest twoją bliską krewną. Masz przecież kuzynkę, prawda?

- Tak, ciociu Isabel - odparła zasepiona Ruby.

- To miłe - rzekła Isabel niejasno, a Ruby pomyślała: „Cóż, można tak pomyśleć, prawda?”.

A potem Isabel oznajmiła kolejną nowinę:

- Theo pojedzie z tobą.

Szybko obiegnęła wzrokiem wszystkich obecnych, żeby sprawdzić, czy skończyli jeść.

Theo podniósł głowę i spytał ponuro:

- Mamo, muszę?

- Philipa nie będzie, a ja mam tego dnia spotkanie kółka matek, więc, niestety, ty, Theo, musisz jechać z Ruby.

Właśnie jemu ufała Ruby najmniej ze wszystkich członków rodziny. Na najdziwniejsze sytuacje reagował śmiechem. Miał zwyczaj używania długich, wyszukanych słów. Albo nie odzywał się

wcale. Ruby podejrzewała, że robi to po to, by speszyć rozmówcę. Gdyby to Theo zmierzwił jej włosy i nazwał ją „dzieciakiem”, uznałaby, że traktuje ją protekcjonalnie.

- Nie trzeba - odparła Ruby pośpiesznie. - Mogę jechać sama. Nie boję się. Jechałam już sama pociągiem.

- Obawiam się, że trzeba - odparła Isabel takim tonem, że Ruby już nie usiłowała jej przekonywać. - Pani Quinn pisze, że masz wsiąść w pociąg do... - zerknęła na list - ...do Manei. A potem przejść dwie mile do... - Isabel ponownie opuściła wzrok.

- Do Nineveh - odpowiedziała Ruby ponuro, a Theo się roześmiał.

Ruby i Theo wsiedli do pociągu odjeżdżającego z Liverpool Station. W wagonie Theo usnął. Po godzinie z górą otworzył oczy, wyrzwał przez okno i spytał:

- Gdzie jesteśmy?

- Prawie w Cambrigde - odparła Ruby, a potem zdesperowana rzekła nagle: - Szkoda, że musimy tam jechać. Nie moglibyśmy tylko powiedzieć, że byliśmy?

Theo obrzucił ją spojrzeniem. Ruby westchnęła i sama sobie odpowiedziała na zadane pytanie:

- Pewnie nie.

- Dlaczego nie chcesz jechać? Nienawidzisz ich?

- Z całą pewnością nie lubię cioci Maude, ale Hannah lubię.

Hannah można było lubić, choć wydawała się Ruby jakby nierealna. Tak, że kiedy jej się dotknie, palce przejdą na drugą stronę.

Nie to jednak martwiło Ruby, lecz fakt, że musiała przedstawić członkowi rodziny Finborough swą rodzinę, tak dziwną i mało atrakcyjną. Kiedy wyobrażała sobie, że Theo opowie o cioci Maude i Nineveh Philipowi i Sarze, coś skręcało się nieprzyjemnie w jej brzuchu.

Ale Theo rozwiął najgorsze obawy Ruby. Przeciągając się i ziewając, oświadczył radośnie:

- Nineveh. Jeśli to miejsce nie jest posępne i wietrzne, to będę rozczarowany. Podejrzewam też, że będą tam psy, czerwonoookie charty - zabójcy.

Ruby pomyślała z żalem, że dla niego ta wyprawa jest najwyraźniej dobrą zabawą. Zignorowała go i wyrzwała przez okno. Na stacji Cambridge pociąg opuściło wielu pasażerów. Kiedy wjechali do

Fens, delikatnie pofalowany teren zrobił się całkiem płaski. Pola pocięte były rowami i pokryte pługowózłym rzyskiem bądź też czarne w miejscach, gdzie zostały już zaorane. Po chwili Ruby zauważyła dwie wieże katedry w Ely, która niczym kamienny okręt wznosiła się ponad niżej położonym terenem.

Na stacji w Ely musieli poczekać dwadzieścia minut na kolejny pociąg, który miał zabrać ich z Isle of Ely z powrotem na równinę. Brzegi rzek i pól porastały wierzby i olchy, przy położonej w oddali drodze rząd topól chwiał się na wietrze, a ich srebrne liście połyskiwały niczym niedawno wybite monety.

Theo wyjrzał przez okno i zdziwił się:

- Tak płasko. Jak, na Boga, musi tu być w zimie?
- Zimno - odparła Ruby.

Pociąg zatrzymał się na stacji Manea. Ruby prowadziła do wsi. Minęli sklepy, kościół i szereg chałup i domów, aż w końcu wyszli z Manei. Wąska droga prowadziła ich pośród pól. Wzdłuż drogi biegł rów, od którego pod kątem prostym odchodziły inne rowy. Stawały się coraz mniejsze, a na linii horyzontu wyglądały już jak linie zbiegające się w jeden niebieskoszary punkt.

- Nudne, prawda? - zapytała Ruby.

- Uważam, że interesujące - odparł Theo, co ją zaskoczyło. - Z charakterem. Przypomina krajobraz nad Morzem Śródziemnym.

- Ciocia Maude mówiła, że Nineveh została kiedyś zalana. Była burza i wał nie wytrzymał. Na ścianie jednej ze stodół jest znak, który pokazuje, jak wysoko podniosła się woda.

Kiedy przeszli jedną milę, skręcili w nieoznakowaną polną dróżkę, która dalej prowadziła przez zagajnik. Wozy wyłobily w niej dwie głębokie bruzdy, środek zaś porośnięty był trawą i pokrzywami. Na wilgotnym, mszystym podłożu rosły stare drzewa, a grzyby o wilgotnych fioletowobrazowych kapeluszach przebijały się spod ziemi.

Kiedy wyszli z zagajnika, ich oczom ukazała się leżąca po drugiej stronie pól farma.

Ruby oznajmiła:

- To tam. To Nineveh.

Zerwał się wiatr, który na polach przeszywał ich na wskroś.

Theo zapytał:

- Jaka jest twoja kuzynka?

- Hannah? W porządku. Nie mówi za wiele.

- Ile ma lat?

- Dziesięć. - A twój wuj?

- Wuj Josiah zmarł wiele lat temu, podczas wojny. Nie pamiętam go.

Na odgłos szczekania psów Ruby zeszywniała. Psy cioci Maude nie miały czerwonych ślepi, lecz zawsze były w złym humorze. Na podwórzu unosiła się słodkawa, drażniąca woń zwierząt i obornika. Podbiegła do nich sycząca gęś z wyciągniętą szyją, lecz Ruby odsunęła ją nogą.

Psy mknęły po kamieniach niczym jedna czarna plama. Ktoś zawołał ostro:

- Tom! Malachi! Ruby podniosła wzrok.

Maude Quinn była grubokościstą, postawną kobietą. Dorównywała wzrostem mężczyznom. Brązowe włosy mocno skręciła na czubku głowy i upięła szpilkami. Na sobie miała, jak zwykle, czarną suknię. Sztywny, połyskujący materiał sukien cioci Maude zawsze przypominał Ruby twarde pancerze żuków.

Teraz usłyszała, że idący obok niej Theo oddycha głośno, i dopiero wtedy zauważyła, że ciocia trzyma w dłoniach strzelbę. Strzelba obróciła się w ich stronę, ukazując czarną pustkę lufy.

Potem broń opadła. Ciocia Maude powiedziała:

- Myślałam, że to Waspe'owie.

- Nie, ciociu Maude. - Ruby przeszła przez podwórze i ciocia Maude nadstawiła jej policzek do pocałowania. - Ciociu Maude, to Theo Finborough.

Poczuła ulgę, widząc, że Theo najwyraźniej spodobał się cioci Maude.

- To miło ze strony twojej rodziny, że zdecydowała się zaopiekować Ruby - rzekła ciotka. W jej głosie słychać było łagodne tony.

Dom na farmie Nineveh były duży, miał trzy kondygnacje. Zbudowano go z żółtej cegły z Cambridge. Wewnątrz słabo oświetlone korytarze wiły się między pokojami, a ich odnogi ginęły w ciemnościach. Na nieuważnych gości czyhały stojące w ciemnych kątach krzesła i komody. Wiszące na ścianach wyblakłe fotografie były tak pokryte plamami wilgoci, że przedstawione na nich postacie zdawały się wyglądać zza kłębow burzy piaskowej.

- Tak niewiele osób odwiedza Nineveh - zwróciła się ciocia Maude do Theo. - Jedynie proboszcz i kiedyś doktor Piper, ale zmarł w zeszłym roku, a ten nowy jest metodystą.

Weszli do salonu. W wysokich serwantkach ustawiono duże ceramiczne kubki i malowane talerze. Delikatna porcelana ze złoconymi brzegami, malowana w maleńkie kwiatuszki, stała za oszklonymi drzwiami kredensów.

Gdy znaleźli się w pokoju, Hannah wstała z krzesła. Maude rozkazała ostrym tonem:

- No, nie stój tak z rozdziawioną gębą, dziewczyno. Gdzie twoje maniery?

Hannah wyjąkała słowa powitania.

Etta Chance powiedziała kiedyś, gdy opuszczały Nineveh: „Biedna mała Hannah, zawsze jest taka wyblakła”.

Ruby zapamiętała to wyrażenie. Wszystko w Hannah wydawało się wyblakłe - jej blada, piegowata skóra, gęste, proste jasnobrązowe włosy, nawet wzór na bawełnianej sukience. Hannah, drobna, parę cali niższa od Ruby, mówiła beznamiętnym, bezbarwnym głosem. Jej wzrok bezustannie przeskakiwał z jednej osoby na drugą. Zdaniem Ruby, kuzynka była dość nudna i męcząca.

Podczas lunchu złożonego z szynki, ziemniaków i fasoli ciocia Maude skarżyła się na nieudane zbiory, niskie ceny mleka i pogodę. A potem zapytała:

- Ruby, jak się czuje mama?

- Coraz lepiej - odpowiedziała Ruby.

- Naprawdę? - Ciocia Maude uniosła kąciki ust. - Etta zawsze była słaba. Nie miała za grosz sprytu. - Nastąpiła krótka pauza, w czasie której Maude nałożyła sobie kolejny gruby plaster szynki, a potem dodała: - A tata?

- Nie mamy żadnych wieści od niego. Prychnięcie.

- Nigdy nie myślałam o nim za dobrze. Ruby wbiła wzrok w Maude.

- Niedługo wróci. Wiem, że wróci.

- Wątpię. - Po szynce poszło jeszcze pół tuzina ziemniaków i kilka dużych łyżek fasoli. - Etta nie powinna była za niego wyjść. Wiedziałam to od chwili, gdy ujrzałam go po raz pierwszy. Myślał, że ożeni się z pieniędzmi, ale nigdy nie dostał ani pensa. - Maude utkwiała spojrzenie w Ruby. - Mama nie wie, dokąd mógł się wybrać?

- Nie - odparła Ruby krótko.

- Musiał przecież przysłać jakiś list, pocztówkę, adres...

- Nic.

- Na Boga. Jakie to musi być trudne dla Etty. Cóż, w końcu wszyscy niesiemy swój krzyż.

Theo zapytał:

- Pani Quinn, używa pani na farmie traktora? Bardzo się interesuję traktorami.

I rozmowa zesłała na rozważania o tym, czy lepiej orać końmi, czy traktorem.

Służąca posprzątała talerze po obiedzie i wniosła szarlotkę i dzbanek śmietany.

- Cukier - zamruczała ciocia Maude. - Ta głupia dziewczyna zapomniała o cukrze. Hannah, biegnij po niego.

Hannah popędziła do kuchni. Cukier znalazł się na stole. Maude nałożyła wszystkim szarlotkę. Theo napomknął, że chętnie zagrałby na pianinie, a ciocia Maude odparła:

- Wypróbuj pianino mojej nieżyjącej teściowej. Mówiono mi, że to bardzo dobry instrument.

Wrócili do salonu i Theo zagrał, a ciocia Maude nuciła do wtóru, przy czym jedną wielką jak bochen chleba dłonią wybijała rytm na poręczu krzesła. Ruby zerknęła na zegar ścienny. Szczerze mówiąc, wcale nie było tak źle, a już niedługo będą mogli powiedzieć, że muszą iść na pociąg.

Theo skończył grać.

- Urocze, naprawdę urocze - pochwaliła Maude. - Tak miło posłuchać dobrej muzyki. Wiecie, ja mam słuch.

Ruby wyjaśniła, że muszą już iść, żeby zdążyć na pociąg. Maude odparła:

- Musicie zabrać jakiś prezent dla twojej mamy, Theo. Chodźcie ze mną.

Maude wstała ociężale z fotela, a oni poszli za nią mrocznym, wijącym się korytarzem. W pokojach po obu jego stronach widać było dziwną zbieraninę rupieci, rozbite talerze i stare butelki po lekarstwach oraz zegary, których tarcze otaczały zawiłe złożone zawijasy.

Maude zaprowadziła ich do spiżarni. Przez okno Ruby widziała, jak służąca wiesza pranie na sznurze.

- Popatrzmy. - Maude otworzyła kredens i przejrzała jego zawartość. - Czy mama lubi dżem truskawkowy, Theo?

- Tak, pani Quinn.

Pani Quinn wydobyła arkusz brązowego papieru, wygładzonego i złożonego, który nosił ślady starych nalepek i pieczętek.

- Sznurek, Hannah - rozkazała ostrym tonem. - Leć po sznurek.

Hannah wybiegła z pokoju. Kiedy wróciła chwilę później, niosąc szklany słoje, zahaczyła stopą o dywanik z resztek tkanin, leżący w wejściu, poślizgnęła się i upadła, upuszczając słoje na wyłożoną płytkami podłogę. Rozległ się huk i odłamki szkła oraz różnej długości sznurki rozsypały się po całej podłodze.

- Nieuważna dziewczyna! - ryknęła Maude. - Głupia, nieuważna dziewczyna!

Podniosła Hannah i mocno uderzyła ją w twarz.

Ruby pobiegła po szufelkę, aby zmieść stłuczone szkło. Hannah z płaczem schowała się w kącie pokoju. Kiedy już wszystkie kawałki sznurka były pozbierane, Maude wybrała jeden i związała nim paczkę, a potem obcięła luźne końce sznurka i włożyła kawałki nie dłuższe niż parę cali do nowego słoja.

Ruby i Theo wyszli wkrótce potem. Kiedy szli przez pola w stronę zagajnika, Theo niósł paczkę. W pewnej chwili Ruby obejrzała się i zobaczyła, że Maude Quinn stoi u wejścia na farmę z ręką uniesioną w geście pożegnania, a jej potężna postać powiększa jeszcze cień rzucany przez kobietę na ceglany mur.

Hannah patrzyła, jak Theo i Ruby idą przez pola. A potem wchłonął ich zagajnik i zniknęli jej z oczu.

Potarła kolano stłuczone podczas upadku. Od policzka wymierzonego przez matkę bolała ją twarz. Usłyszała, jak matka wchodzi do domu, nucąc pod nosem, a potem przeszukuje kolejne pokoje. Hannah rozpoznała melodię.

Jakiegoż przyjaciela mamy w Jezusie, Wszystkie nasze grzechy i troski nosi!

Hannah zadrżała. Choć dzień był ciepły, poczuła zimno w środku. Podniosła wzrok i ujrzała, że matka stoi w drzwiach. W jej dłoni tkwił wałek, a twarz wykrzywiona była gniewem.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, wystawiłam mnie na pośmiewisko gości. Wiesz, jaka kara spotyka nieuważne dziewczyny, prawda?

Walek uderzał Hannah po ramionach, aż upadła na podłogę. Potem matka wyciągnęła ją z domu i zawlokła przez podwórze do małej ceglanej przybudówki na tyłach farmy. Następnie wepchnęła dziewczynkę w otwarte wcześniej drzwi. Rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Nucenie umilkło, gdy Maude się oddaliła.

Przybudówka nie miała okien. Jedyne światło wpadało przez dziurkę od klucza. Hannah wiedziała, że wraz z nastaniem ciemności również i ono zniknie. Jej oczy jeszcze nie przyzwyczyły się do mroku, a ponieważ ceglane ściany tłumiły znajome dźwięki z farmy, jedynie dotykiem mogła poznać, gdzie jest i co ją otacza. Skuliła się przy ścianie, obciągając spódnice na kolanach.

Jaki to był przyjemny dzień, zanim upuściła słój pełen sznurków! Przyjechali Ruby i Theo, i mama się nie denerwowała, i muzyka była śliczna. A potem ona to wszystko zepsuła. Głupia, głupia Hannah, która zawsze wszystko psuje. Uszczypnęła się mocno. To jej wina, że dzień został zepsuty, jej wina, że mama ją uderzyła i zamknęła w przybudówce.

Jako jedynaczka Hannah знаła jedynie służbę i pracowników z Nineveh. Doświadczenie szkolne miała niewielkie: czuła się dziwnie, nieprzyjemnie, wszyscy jej się przyglądali, była inna. Miała świadomość, że jest całkiem przeciętna i niezbyt zdolna, więc i z ulgą przyjęła decyzję matki, że może nie chodzić do szkoły. Od urodzenia nasiąkała matczyną nieufnością do obcych. Kiedy od czasu do czasu zmuszona była zrobić zakupy w sklepie w Manei, czuła, że wszyscy w kolejce jej się przyglądają. Odczytywała kolejne pozycje z listy, ale zasychało jej w ustach, a język odmawiał posłuszeństwa. Choć w obrębie farmy bała się wielu rzeczy, równie wielki strach odczuwała, gdy musiała ją opuścić.

Dobrze znała jedynie farmę i okalające ją pola. Teren był nieustannie zagrożony powodzią, więc chronił go skomplikowany system pomp i kanałów melioracyjnych. Hannah znała proste koryto Old Bedford River, która ograniczała należące do Nineveh pola z jednej strony, i Hundred Foot Drain, kanał, który biegł równoległe do rzeki na odcinku dziewiętnastu mil. Każdej zimy widziała, jak wody powodzi zalewają pastwiska i dzikie ptactwo pływa po trawiastym morzu na lądzie.

W wieku lat dziesięciu Hannah poznała już rytm dni i pór roku. Jej matka rzadko wyjeżdżała z farmy. Maude Quinn nie składała

wizyt: odwiedzał ją proboszcz, prawnik i tych niewielu sąsiadów, których uważała za równych sobie. Jej wyprawy w świat zewnętrzny były doniosłymi wydarzeniami, wywoływanymi zwykle jakimś kryzysem - niezapłaconym rachunkiem, sporem sąsiedzkiem. Ze stodoły wyprowadzano wówczas dwukołowy powóz i Maude odjeżdżała w czarnym gabardynowym płaszczu i w kapeluszu ozdobionym zielonkawo - czarnymi piórkami. Pod nieobecność matki Hannah czuła mieszaninę obawy i ulgi. Napięcie panujące w Nineveh zniknęło wraz z powozem. Hannah mogła chodzić po podwórzu, nie bojąc się, że oberwie za powłóczenie nogami. Mogła siedzieć, jeśli tylko znalazła dość odwagi, w wiklinowym fotelu mamy na tyłach domu, podziwiając zachód słońca za sadem. Po powrocie matka mogła być zadowolona, jeśli pokonała wroga, albo rozwścieczona, jeśli spotkała się z zuchwalstwem bądź oporem.

W ciemnościach twarzy Hannah dotknęło miękkie, lepkie pasemko. Westchnęła. To pajęczyna, mówiła sobie, to tylko pajęczyna. W pomieszczeniu panował zapach stęchlizny, grzybów. Bojąc się zrobić krok, przerażona na myśl, że mogłaby napotkać jakiegoś bezimiennego potwora, Hannah poczołgała się do drzwi. Jutro będę dobra, mruzczała do siebie. Jutro wszystko zrobię, jak należy. Usiadła na klepisku z kolanami pod brodą i dłońmi na uszach, by odciąć wszystkie dźwięki. Wpatrywała się przy tym w promyczek światła w dziurce od klucza.

Zaczęła śpiewać po cichu:

Jakiegoż przyjaciela mamy w Jezusie, Wszystkie nasze grzechy i troski nosi! Jakże to szczęście się doń modlić I o przebaczenie prosić!

Czekanie, aż Theo się odezwie, przypominało oczekiwanie na burzę. Zrobił to, dopiero kiedy weszli do zagajnika.

- Ruby, masz okropnie dziwnych krewnych.

- Pewnie wydaje ci się to zabawne...

- Szczerze mówiąc, wcale nie. Biedne to dziecko. Ruby przypomniała sobie, jak ciocia Maude uderzyła Hannah, a potem, jak odłożyła maleńkie końcówki sznurka do słoja. Po co trzymać kawałki tak krótkie? Następnie ku zaskoczeniu Ruby Theo dodał:

- Nie martw się, nic im nie powiem. Ruby wbiła w niego wzrok.

- Naprawdę?

- Obiecuję.

- Philipowi też nie?

- Ani słowa. - I Theo dodał, naśladowując głos cioci Maude: - Każdy musi nieść swój krzyż.

Ruby prychnęła.

- Obawiam się, że twoja ciotka jest szalona. Despotyczna... To może być moje słowo na dzisiaj.

- Masz słowo na każdy dzień?

- Zawsze. A ty nie? Pokręciła głową.

- Ale mogę spróbować.

- Zgadzasz się ze mną, że ciocia Maude jest despotyczna?

- A co to znaczy?

- Tyranizuje innych... gnębi...

- W takim razie ciocia Maude jest okropnie despotyczna.

- Kiedy zobaczyłem strzelbę...

- Przestraszyłeś się, prawda, Theo?

- To była paskudna chwila.

Gdy napięcie opadło, Ruby poczuła, że chce jej się śmiać.

- Sądziłeś, że będziemy musieli uciekać?

- Osy... dlaczego strzelała do os?

- Nie do os, Theo, do Waspe'ów. To nazwisko: Waspe. Podobne w brzmieniu.

Przeliterowała nazwisko.

- Mają farmę w pobliżu. Ciocia Maude i Waspe'owie kłócą się od lat. - Znowu się roześmiała. - Traktory... powiedziałaś jej, że interesują cię traktory...

- A może tak jest.

Rozbawiło ją to. Oddalając się od Nineveh, czuła się lżejsza, zupełnie jakby zrzuciła z ramion duży ciężar. I co za zaskoczenie, że właśnie Theo to zrozumiał.

W pociągu chłopak wyjął z płóciennej torby szkicownik i Ruby przyglądała się szybkim ruchom ołówka. Płaskie czarne pola uciekały w tył, aż wreszcie Isle of Ely stała się jedynie odległym wspomnieniem.

Już prawie w Cambridge Theo zapytał:

- Zauważyłaś, że kiedy twoja kuzynka płakała, robiła to zupełnie bezgłośnie?

Ruby uświadomiła sobie, że nie zwróciła na to uwagi i że Theo ma rację. Pomyślała też, jak to wspaniale, że nie musi mieszkać w

Nineveh z ciotką Maude i że z ulgą wraca do domu państwa Finborough.

Wszystkie wysiłki Richarda, skierowane na znalezienie Chance'a, spełzły na niczym. Richard rozmawiał z ostatnim chlebodawcą Nicholasa i dowiedział się, że choć jego przyjaciel był człowiekiem pracowitym i kompetentnym, to miał skłonność do nieplanowanych nieobecności. Gdyby nie odszedł sam, zostałby zwolniony. Richard zamieścił w gazetach londyńskich i krajowych ogłoszenia, w których prosił Nicholasa Chance'a o kontakt. Odpowiedziało na nie jedynie paru dziwaków i oszustów - zbył ich szybko.

Badając zawartość domostwa Chance'ów, czuł się jak przechodzień przyglądający się wypadkowi na drodze.

Wszystko, co znalazł - wytarta odzież, pędzel do golenia niemal pozbawiony włosów - mówiło o straszliwej biedzie, dumnej biedzie, pod wieloma względami najgorszej ze wszystkich, gdyż w dodatku trzeba ją ukrywać. W czeluściach szuflady odkrył kupony zakładów i weksle. Przypomniawszy sobie, że Nick grywał w karty w okopach - być może hazard stał się jego nałogiem, a jego sytuacja finansowa osiągnęła punkt, z którego już nie było wyjścia. Możliwe też, że Nicholas wiedział, że pozbawia żonę i córkę środków do życia, i nie mógł tego dłużej znieść. Mijały kolejne miesiące, aż Richard w końcu doszedł do wniosku, że Nicholas wcale nie chce, by go odnaleźć.

W listopadzie pani Chance opuściła dom opieki. Lekarze uważali, że nie powinna wracać do domu w Reading, i zalecali morskie powietrze. Richard znalazł w Eastbourne pensjonat prowadzony przez panią Sykes, miłą kobietę o życzliwym sercu.

Powiadomił Etti Chance, że nie jest w stanie odnaleźć jej męża. Był świadom, że słowami tymi wbił w jej serce nóż. Skazywały ją one na posępną perspektywę, szczególnie okrutny rodzaj stanu zawieszenia, trwanie w związku małżeńskim bez męża. Zdecydowali z Isabel, że Ruby w ciągu roku szkolnego mieszkać będzie u nich, aby mogła nadal chodzić razem z Sarą do szkoły, a wakacje spędzi z matką w Eastbourne.

Richard spakował dobytek Nicholasa Chance'a do walizki, a potem oddał klucze do domu w Reading jego właścicielowi. Pozwolił Ruby w samotności pogodzić się z sytuacją i wybrać dla siebie jakieś pamiątki. Poklepał ją tylko po ramieniu i przypomniał, że jej ojciec był dobrym człowiekiem, bohaterem.

Potem przyszły mu na myśl słowa przyjaciela: Biedny stary Nicholas, zaginiony w błękitnie nieba, nigdy już nie wróci do domu. Gdzie jesteś? - zastanawiał się. Co się z tobą stało, dokąd poszedłeś? Przypomniawszy sobie okrzyk triumfu i wściekłości, który wydał jego przyjaciel po dotarciu do okopów brytyjskich. Pomyślał, że to okropne, iż przeżywszy wojnę, Nicholas Chance nie dał rady przetrwać czasów pokoju.

Do tweedowych i wełnianych ubrań przyłgnęły zapachy: tytoń, mydło do golenia, pasta do butów i miętówki. Zapachy, które zawsze kojarzyły się Ruby z jej tatą.

Pomiędzy ubraniami i papierami odkryła pamiętnik. Przejrzała go uważnie w poszukiwaniu wskazówek mogących pomóc w odszukaniu ojca.

Nie znalazła nic, więc odłożyła notatnik na bok. Rozwinęła skrawek jedwabiu i jej oczom ukazał się medal. Położyła go na dłoni. Był zimny i ciężki. Dotknęła purpurowo - niebieskiej wstążeczki, przesunęła palcem po wypukłej srebrnej powierzchni. Powtórzyła w duchu słowa, które przywoływała tak często w ciągu minionego roku: „Tata nie opuściłby nas, nie zabierając medalu. Był z niego dumny. Gdyby to on zdecydował się nas opuścić, zabrałby medal ze sobą”.

Przypomniała sobie, że kiedy była mała, tata chodził z nią do parku, gdzie robił jej z drewna łódeczkę, którą puszczali potem na stawie. Kiedy robiło się tłoczno, niósł ją na ramionach, a z tej wysokości widziała znacznie dalej niż inni. Kupował lody, balansując wszystkimi trzema porcjami w swej potężnej dłoni: jeden dla mnie, jeden dla Etty i jeden dla Ruby, mówił.

Tęskniła za jego siłą i żywotnością, i za tym, że zawsze zdawał się rozświetlać pokój. Tęskniła za piosenkami, które śpiewał, za żartami, które sobie nieustannie stroił, za historiami, które opowiadał. Bez niego wszystko było bardziej ponure. Tęskniła do człowieka, którym był, zanim stał się nieszczęśliwy. Pamiętała ich ostatnie wspólne chwile: huśtała się na bramie i machała mu, on zaś się oddalał. Dzień był zimny, lecz słoneczny, a mosiężne guziki przy jego wojskowym płaszczu połyskiwały w słońcu, kiedy odwrócił się i pozdrowił ją gestem ręki po raz ostatni.

Ruby wzięła głęboki wdech i wytarła oczy. Potem włożyła do kieszeni medal i zdjęcia i zamknęła wieko walizki.

Rozdział 5

W lecie roku 1929 Philip skończył naukę i zaczął pracować razem z ojcem. Ruby lubiła po szkole siadywać przy oknie i czekać na jego powrót.

Philip był nieustannie zajęty, zawsze dokądś biegł, w pędzie zapinał spinki przy mankietach lub wkładał płaszcz przed wyruszeniem na przyjęcia, tańce i koktajle. Trzaskały drzwi frontowe i dom jakby osiadał, przytłoczony jego nieobecnością. Wpadali przyjaciele Philipa, przepływali przez dom niczym duchy, niesione wiatrem, a potem odjeżdżali samochodami, zostawiając po sobie smugę woni wytwornych perfum lub tureckiego tytoniu.

Philip czasem przed wieczornym wyjściem włączał gramofon i z Ruby lub Sarą tańczył quickstepa wokół pokoju. W czasie weekendów zdarzało się, że zabierał Ruby na przejażdżkę na tylnym siodełku motoru, a ona obejmowała go rękami i przyciskała policzek do szerokich, odzianych w skórę pleców, choć dłonie piekły ją z zimna.

Rok później Theo również dołączył do ojca i brata. A po upływie sześciu miesięcy, pewnego lutowego popołudnia wrócił jak zwykle do domu. Była piąta i Ruby jak co dzień siedziała na miejscu przy oknie. Theo przyszedł na górę, odwijając z szyi szalik.

- Cześć, Ruby. Gdzie reszta?
- U dentysty. Jesteś wcześniej.

Pomyślała, że jest jakiś roztargniony. Pelerynę miał mokrą, a włosy wilgotne. Spytała:

- Gdzie Philip?
- W Hounslow. Późno dziś wróci. Czekasz na niego?
- Właściwie nie.

Theo okręcił szalik wokół balustrady.

- Philip ma mnóstwo złych nawyków. Kochają się w nim wszystkie dziewczyny z pracy.

- Zamknij się, Theo.
- Walczą o to, która ma zanieść panu Philipowi poranną herbatę, i są nadzwyczaj gorliwe w tych działaniach.

- Powiedziała, żebyś się zamknął. Theo spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Nie wpadł ci czasem w oko, co, Ruby?

Wzięła książkę Agathy Christie i zaczęła czytać, trzymając ją tuż przy oczach, jak zwykle zresztą.

- Powinnaś nosić okulary - zauważył Theo.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić - odparła, obrzucając go lodowatym spojrzeniem - jak czuje się normalna dziewczyna w okularach? Szczerze mówiąc, nie sędzę.

Wydawało jej się, że mimo tego przekomarzania dostrzegła w nim jakiś niepokój. Westchnęła i odłożyła książkę.

- Theo, czego chcesz?

- Spaceru, jak sędzę. A ty?

Było już niemal ciemno i mżył drobny deszcz, lecz Ruby odparła:

- Dobrze - i zarzuciła pelerynę, po czym wyszli z domu.

Latarnie uliczne majaczyły pośród padających kropli. Drzewa na Heath były ledwie widoczne na tle czarnego jak węgiel nieba. Szli aleją porośniętą bukami i dębami. Tolly biegł przodem. Theo nagle powiedział:

- Usiłuję podjąć decyzję. - Jaka?

- Jak powiedzieć tacie, że nie chcę dłużej pracować w zakładach Finborough.

Obrzuciła go szybkim, pełnym zaskoczenia spojrzeniem. Theo miał zaciętą twarz. Wzruszył ramionami.

- Zawsze wiedziałem, że tego nie cierpię. Uważałem jednak, że powinienem spróbować. Spróbowałem, wytrzymałem pół roku, i naprawdę to nie ma sensu. Nienawidzę tego.

- Och, Theo.

- Okropnie nienawidzę. Ale podejrzewam, że mój ojciec będzie miał do powiedzenia coś więcej niż tylko: „Och, Theo”.

Przekonanie, że zarówno Philip, jak i Theo będą pracowali w rodzinnej firmie, było w rodzinie zakorzenione równie głęboko, jak wakacje w Kornwalii i Boże Narodzenie w Irlandii.

Ruby odezwała się niepewnie:

- A może sytuacja się poprawi. Może, jeśli zostaniesz tam jeszcze trochę, zaczniesz ci się podobać.

- Nie, wiem to. I równie dobrze mogę temu stawić czoło już teraz. Usiłowałem tylko wymyślić, jak to powiedzieć tacie i go nie rozwścieczyć. - Theo uśmiechnął się krzywo. - Oczywiście, taki sposób może wcale nie istnieć.

Tolly wrócił z patykiem w pysku. Ruby rzuciła go raz jeszcze.

- Co będziesz robił?

- Chcę wyjechać za granicę, chcę rysować. Sprawdzić, czy jestem wystarczająco dobry, by zostać prawdziwym artystą.

- Ale co z...

- ...pieniędzmi? - dokończył.

Przytaknęła, choć miała zamiar zapytać: „A co z nami?”.

- Mam trochę własnych pieniędzy z mojej pensji, rzecz jasna. Oszczędzałem. I babcia nam zawsze coś daje na święta. A kiedy się skończą, znajdę pracę.

- Dokąd pojedziesz?

- Najpierw do Paryża - mówił z rozjaśnionymi oczyma. - Potem na południe Francji. Chcę pojechać do Prowansji.

Pomyślała, że w jego ustach brzmi to jakoś niezwykle prosto. Spakować się, zabrać oszczędności i wyruszyć do Paryża.

- Może wujkowi Richardowi nie będzie tak bardzo na tym zależało. Ma przecież Philipa. A czego nie lubisz w swojej pracy?

- Wszystkiego. - Theo westchnął. - Nie interesuje mnie to, co interesuje tatę i Philipa. A na dodatek jestem synem szefa. Nie dlatego się tam znalazłem, że na to zasłużyłem czy że mam jakąkolwiek smykałkę do tego. Jestem tam dzięki pozycji mojego ojca. Nie chcę tak. Pragnę sobie radzić samodzielnie.

Kiedy tak szli, wsunęła mu rękę pod ramię. Już niedaleko domu Theo zapytał:

- Ruby, ile masz lat?

- Piętnaście.

- Szkoda. Gdybyś była starsza, zabrałbym cię do pubu. Potrzebuję odrobiny alkoholu. Czuję się, jakbym szedł na ścięcie.

Kłótnia Richarda i Theo trwała cały wieczór. W końcu poblady chłopak opuścił gabinet ojca i poszedł na górę bez kolacji i bez słowa. Ruby widziała, że później do jego pokoju zapukała Isabel z talerzem kanapek w ręce.

W ciągu następnych dni całe domostwo jakby czekało na wybuch. Richard traktował Theo z lodowatym sarkazmem, a wobec wszystkich innych był wyraźnie szorstki. Dom wibrował z napięcia. Którejś nocy, w drodze do łazienki, Ruby usłyszała z dołu pełen cierpienia krzyk Isabel:

- Richard, nie widzisz, co robisz? Odsuwasz go od nas!

Nazajutrz Ruby obudziła się wcześniej. Było jeszcze ciemno. Zeszła na dół w piżamie i zobaczyła Theo, który w holu pakował plecak.

Położył palec na ustach.

- Pomyślałem, że się wymknę - wyszeptał. - I skończą się awantury. Złapię poranny pociąg. Przed południem będę już po drugiej stronie kanału. Zostawiłem mamie list.

- Poczekaj chwilę. Nie idź jeszcze.

Ruby pobiegła na górę i z szuflady wyjęła tabliczkę czekolady, po czym pośpiesznie zbiegła na dół i wręczyła ją Theo.

- Weź to.

- Dzięki, Ruby. - Przytulił ją.

Kiedy otworzył drzwi frontowe, Ruby ujrzała mgłę ścielącą się nad ogrodem. Theo odszedł i pochłoneła go mgła. Pamiętała tamto rozstanie: błysk mosiężnych guzików w zimowym słońcu, uśmiech i dłoń uniesioną w geście pożegnania. Ale Theo się nie obejrzał.

Kiedy odszedł, dom wydawał się cichszy, co było, zdaniem Ruby, o tyle dziwne, że to właśnie on był najspokojniejszą osobą w całej rodzinie. Sara zażartowała, że w rodzinie powstała dziura w kształcie Theo, a Ruby doskonale rozumiała, co dziewczynka miała na myśli.

Aż do chwili, gdy wraz z Isabel zaraz po przebudzeniu odkryli zniknięcie Theo, Richard był pewien, że jego młodszy syn dostrzeże swój błąd i zmieni zdanie. Dwa dni później Theo przysłał pocztówkę z Paryża.

Cóż, opuścił ich bez wahania. W swym starszym synu Richard widział smykałkę do interesów, lecz dostrzegał również jego wady. Philip był pracowity i ambitny, ale także porywczy i impulsywny. Intensywnie pracował, lecz równie intensywnie się bawił. Często wracał do domu nad ranem. Przy śniadaniu siedział błady i niewyspany.

Przed wojną Richard zdecydował, że przekształci firmę w spółkę. Sam był posiadaczem osiemdziesięciu procent udziałów, pozostałe dwadzieścia zaś należało do Sidneya Colville'a, dawnego partnera. Udziały Richarda mieli odziedziczyć Philip i Theo, co zostało zagwarantowane prawnie zaraz po ich narodzeniu z myślą o dniu, w którym będą mogli rozpocząć pracę na rzecz rodzinnej firmy.

Teraz należało zebrać więcej pieniędzy. Już od dwóch lat firma Finboroughs produkowała z bakelitu obudowy do radioodbiorników.

Linia odniosła sukces i trzeba ją było rozwijać, co wymagało znacznego nakładu środków, więc Richard musiał w jakiś sposób zdobyć pieniądze. Należało kupić potężne maszyny i otworzyć kolejne linie produkcyjne.

Księgowy sugerował, żeby sprzedać więcej udziałów, lecz Richard, który zawsze obawiał się stracić kontrolę nad firmą, nie chciał się na to zgodzić.

W drodze do domu Philip obmyślił inny sposób zebrania funduszy.

- Sprzedaj fabrykę herbaty - zaproponował ojcu. - Nie potrzebujesz jej już, a taki na przykład Lyons da ci za nią dobrą cenę. To trzyma nas w miejscu niczym kotwica.

Słowa Philipa, w których porównał firmę Finboroughs Quality Teas do kotwicy, podziałały na Richarda niczym płachta na byka. Fabryka herbaty była dla Richarda jak dziecko - w końcu to jego pierwsza poważna inwestycja. Odrzucił więc sugestię Philipa i wybuchła kłótnia. Obaj stracili panowanie nad sobą, a potem przestali się do siebie odzywać, zanim jeszcze dotarli do domu. Richard zdążył zaledwie nalać sobie szklaneczkę, a już rozległ się ryk motoru Philipa, który w gniewie opuścił dom.

Wszystkie wakacje i święta Ruby spędzała z matką w Eastbourne. Etta Chance zajmowała dwa pokoje w pensjonacie przy Elms Avenue, niemal nad brzegiem morza. Dziewczynka spała na składanym łóżku w sypialni matki. Najgorsze były wieczory, spędzane albo w salonie pani Sykes na słuchaniu radia, albo w saloniku matki, która robiła wówczas na drutach, Ruby zaś układała pasjansa lub czytała książkę. Swetry robione dla niej przez mamę były, zdaniem Ruby, przesiąknięte mieszaniną frustracji i poczucia winy - frustracji, że w czasie pobytów w Eastbourne jej życie zdawało się zastygać, pozbawione jakichkolwiek nowości czy rozrywki, oraz winy, że Eastbourne opuszczała zawsze z ulgą.

Jej niepokój przenosił się również na życie w Londynie. Miały z Sarą odmienne upodobania. Przyjemności Sary - jazda konna, pływanie i tenis - nie pociągały Ruby. Ona nie będzie miała takiej przyszłości jak Sara. Nie dla niej przyjęcia i bale, które zaowocują odpowiednim małżeństwem. W ciągu wszystkich lat spędzonych w tej rodzinie Ruby często porównywała ich domostwo do średniowiecznego dworu, wspaniałego, bogatego i kolorowego, w

którym Richard był czerwonowłosym potężnym królem, Isabel zaś piękną i apodyktyczną małżonką władcy. W lipcu dwór przenosił się do letniej rezydencji, gdzie hołubił swych podopiecznych, a odrzucał tych, którzy budzili jego dezaprobatę. Był niedostępny i samowystarczalny, przebywanie zaś choćby tylko w pobliżu było zaszczytem, i na wszystkich spadał splendor, który towarzyszył tu najbardziej zwyczajnym zajęciom.

Ruby wiedziała, że zmieniała się pod wpływem rodziny Finborough. Przekazali jej oni część swej ogłady i pewności. Nie denerwowała się przed wyjściem do opery ani na lunch do restauracji. Wiedziała, jakie buty włożyć do której sukienki, jak napisać podziękowania i ile powinno trwać popołudniowe spotkanie. Richard nauczył ją pływać, a Philip pokazał, jak uruchomić motocykl. Od Isabel przejęła pewien styl, umiejętność dobierania strojów i mebli. Sara ofiarowała jej bez ograniczeń swą serdeczną przyjaźń. Jeśli zaś chodzi o Philipa, to owo dziewczęce zauroczenie, które pojawiło się już w pierwszym dniu jej pobytu w domu państwa Finborough, owa świadomość, że spotkała olśniewającą, wspaniałą istotę, nie straciło na sile. Ruby kochała Sarę, lubiła Theo - nie bez pewnych zastrzeżeń - lecz Philipa uwielbiała. Kiedy wraz z Sarą wyobrażały sobie, jakich mężczyzn poślubią, przyszły mąż Ruby nieodmiennie przypominał Philipa.

Isabel pilnowała jednak ich surowo, choć z miłością. Stało się to jeszcze bardziej widoczne, kiedy obie z Sarą podrosły. Zupełnie jakby za każdym rogiem czyhał jakiś mężczyzna dość wątpliwej reputacji, zamierzający uwieść którąś z nich. Isabel uważała, że kino i sala taneczna to nie są miejsca dla dobrze wychowanych dziewcząt. Spędzenie popołudnia u Woolwortha na kupowaniu szminki do ust i lakieru do paznokci, które należało ukrywać, gdyż Isabel uznawała kosmetyki za wulgarne, wymagało takich przygotowań, takiej sieci kłamstw, że czasem po prostu nie było warto.

Niebezpieczeństwa, których pragnęła uniknąć Isabel, były dość mgliste i niejasne. Dziewczynki miały jedynie fragmentaryczną wiedzę o sprawach płci, zdobytą podczas dyskusji z koleżankami ze szkoły i wyniesioną z przeczytanych przez Ruby książek. „Les Fleurs du mal”, czytane w pocie czoła z wykorzystaniem poznanych w szkole podstaw francuskiego, nie były, niestety, zbyt przejrzyste. „The Constant Nymph” okazała się znacznie bardziej pomocna. Nad tą

książką nie sposób było nie płakać. Od częstego czytania miała pozaginane rogi. Lecz co dokładnie robiła Tessa ze swym kochankiem w pokoju chłodnego belgijskiego pensjonatu, zanim usiłując otworzyć okno, zmarła na serce?

- Ruby, kiedy już się dowiesz - powiedziała Sara - to znaczy dowiesz się tak naprawdę, musisz mi powiedzieć. Kiedy tylko to zrobisz.

- Mogę się nie dowiedzieć nigdy. Mogę umrzeć jako dziewczica bez skazy, w czystości.

I pomyślała z tęsknotą o Philipie.

Sara ukończyła szkołę w roku 1933. W sierpniu Isabel zabrała córkę do krawcowej i zamówiła dla niej pół tuzina nowych sukienek. Lucien obciął jej włosy, a babcia przysłała z Irlandii naszyjnik z pereł i szmaragdów i kolczyki do kompletu, pamiątki rodowe. Ubrana w morelową, kremową bądź fiołkową satynę, ze szmaragdami na szyi i włosami niczym chmura ognia, Sara zaczęła życie wypełnione tańcami i przyjęciami. Kiedy nad ranem wracała do domu, Ruby wsuwała się do jej pokoju. Naszyjnik leżał rzucony niedbale na toaletce, satynową sukienkę zaś zastępowała flanelowa piżama. Ruby pytała o przyjęcie, a Sara, ziewając, odpowiadała:

- Było nudno, skarbie, strasznie nudno. Ale nie mówmy o tym, porozmawiajmy o czymś ciekawym.

Pewnego sobotniego popołudnia na początku stycznia Sara była na jakimś przyjęciu, a Ruby pomagała pakować ozdoby świąteczne, kiedy Isabel zapytała:

- Ruby, czy zdecydowałaś już, co chcesz robić po skończeniu szkoły?

Ruby zastanowiła się chwilę zaskoczona, ze srebrną bombką w dłoni.

- Jeszcze nie, ciociu Isabel.

- A może nauczanie? Zawsze miałaś takie dobre świadectwa.

- Może. Albo mogłabym zostać pielęgniarką. - Pomysł ten przyszedł jej do głowy na oczekaniu. Niedawno czytała biografię Edith Cavell.

- Zastanów się też nad pracą sekretarki. Na pewno Richard mógłby ci znaleźć pracę w firmie.

Zadzwoił dzwonek i weszła pokojówka, żeby oznajmić, iż Isabel ma gościa. Ruby usiadła pośród lamety i bombek. A potem nagle

zapakowała to wszystko bezładnie do pudełka, założyła Tolly'emu smycz, porwała płaszcz i kapelusz i krzyknęła do Isabel, że idzie na spacer z psem.

Dzień był mroźny, a niebo idealnie niebieskie. Kiedy szła w górę East Heath, jej oddech tworzył w powietrzu obłoczki. Wołając Tolly'ego, wbiegła na zbocze, a potem po trawie kierowała się w stronę stawu. Żdźbła chrzęściły jej pod stopami. Pamiętała, że była tu z Theo, który mówił, że zamierza wyjechać do Francji. Gdyby to było takie proste: włożyć do kieszeni pieniądze i wsiąść do pociągu. Tęskniła za Theo i pragnęła, żeby był przy niej, żeby zdradził jej swoje słowo dnia i drażnił ją złośliwymi uwagami. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego pytanie Isabel: „Zdecydowałaś już, co chcesz robić po skończeniu szkoły?”, wywołało w niej takie poczucie wykluczenia, niemal poniżenia.

Dotarła nad brzeg stawu. Wokół trzcin zaczął się gromadzić nieprzezroczysty lód. Ostrożnie sprawdziła go stopą. Znienacka przyszedł jej do głowy pewien pomysł, równie ożywczy i pokrzepiający jak zimne powietrze, które wdychała, i równie podniecający jak myśl o wejściu na cienki lód. Stała bez ruchu, zastanawiając się, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej.

Za tydzień skończy osiemnaście lat. Z całą pewnością będzie już wtedy dorosła. Może zdecydować, kim chce zostać. Ogarnięta niejasnym, niesprecyzowanym pragnieniem stworzenia siebie samej na nowo, nie potrafiła postanowić, w kogo się zmieni. Nie miała wzorców, choćby w osobach własnych krewnych. Szkoda mówić. Choć kochała swoich dobroczyńców, nie należała do rodziny.

Rodzina Chance'ów nie była zbyt inspirująca, Finboroughowie zaś zbytnio ją przytłaczali. Musi zostawić je obie za sobą. Ty po prostu odszedłeś, pomyślała o ojcu. Nie czekałeś, ponieważ nie było na co czekać. Zrobiłeś to, co zrobił potem Theo - włożyłeś pieniądze do kieszeni i odszedłeś. Ona nie ma pieniędzy, więc musi znaleźć pracę. Nie pielęgniarstwo - nie była Florence Nightingale ani Edith Cavell - ani nie nauczanie, gdyż miała dość szkoły. I nie będzie pracowała w firmie Finboroughów, jak sugerowała Isabel. Ona i Richard w odmienny sposób narzucali swą wolę, lecz obydwójce byli potężnymi, wpływowymi ludźmi. Czowała wobec nich niezmierną wdzięczność, lecz dostrzegała, że wdzięczność może zmienić się w

zależność, a ta z kolei pewnego dnia może doprowadzić do podległości.

Sara nie znosiła przyjęć. Podejrzewała, że to musi być dziedziczne, gdyż jej mama również za nimi nie przepadała. Podczas kilku pierwszych wieczorków i dorosłych balów, w których uczestniczyła, zorientowała się, że mama jest niezwykle spięta, kiedy rozmawia z innymi matkami, i że kiedy szofer Dunning odwozi je w środku nocy do domu, wygląda na zmęczoną i zdenerwowaną. Czasem trudno było zrozumieć, dlaczego właściwie obie muszą spędzać wieczory w sposób, którego nienawidzą.

Rozczarowanie Sary w znacznej mierze wynikało z faktu, że kolejne wieczory były takie same. Czy to w eleganckich kamienicach w Londynie, czy też rozsypujących się posiadłościach wiejskich, na tę okazję omiecionych z kurzu i pajęczyn, z jaśniejszymi prostokątami na ścianach, które zdradzały, gdzie wisiał pejzaż bądź portret sprzedany, by wprowadzić córkę w dorosły świat, Sara schodziła z lodowato zimnych sypialni do sal balowych, gdzie dziewczęta, które znała od lat, przesuwwały się w ramionach swych braci bądź kuzynów, i przyjaciół owych braci i kuzynów. Kiedy wirowała w tych ponurych pomieszczeniach w ramionach jakiegoś pryszczatego chłopca z odstającymi uszami, który deptał jej po palcach i mówił, że orkiestra jest fantastyczna, czuła przede wszystkim rozczarowanie. Była wysoka i wielu z partnerów nie dorównywało jej wzrostem. Niektórzy byli tak nieśmiali, że niemal wcale się nie odzywali, inni zaś okazywali się zarozumiałymi nudziarzami. Stojąc w kolejce po rozmiękłe kanapki lub sflaczałe vol - au - vent, miała ochotę krzyknąć. Pragnęła, by pochłonęła ją ziemia - wraz z całym stołem i orkiestrą.

Propozycje, które jej składano, były żalosne, śmieszne, beznadziejne. W bibliotece pewnego domu w Shropshire pewien utytułowany dżentelmen, starszy od niej o lat czterdzieści, z trzaskiem kości ukląkł na jedno kolano i poprosił ją o rękę, Sara zaś zagryzała usta, rozdarta pomiędzy zażenowaniem a śmiechem. Chłopiec, który chodził z Theo do szkoły, usiłował ją pocałować po meczu tenisa. Mówię ci, dziewczyno, nie sądzisz, że zabawnie byłoby się pobrać? Zupełnie jakby planowali piknik czy wycieczkę nad morze. O rękę prosili ją także inni, mili, zauroczeni nią chłopcy. Współczując im, gdyż byli przy tym wyraźnie zdenerwowani, przez chwilę cieszyła się przelotnym obrazem siebie samej w tandetnym, lecz wygodnym

domu, przygotowującej kolację dla przyjaciół swojego męża i zajmującej się działalnością dobroczynną.

Inni konkurenci oferowali jej zamki w Szkocji i wille na południu Francji, co Sara uznawała za dość przyjemną perspektywę, lecz niekoniecznie w połączeniu z mężem, od którego wiało niewypowiedzianą nudą. Ani jeden z nich, jak zwierzała się Ruby, nie miał ani odrobiny - szukała odpowiedniego słowa - fantazji? błyskotliwości? - cokolwiek to było, by podbić jej serce. Gdyby którykolwiek z tych amantów był wart uwagi, z całą pewnością nie naśmiewałaby się z niego przed Ruby, nie naśladowałaby jego jąkania, tików i gestów.

Wcześniej w tym samym roku Ruby wyprowadziła się od Finboroughów. Pracowała jako urzędniczka w Ministerstwie Pracy i mieszkała w domu czynszowym przy Fullham Road. Nosiła teraz czarne swetry lub bluzeczki w jaskrawych kolorach, a swe krótkie brązowe włosy zaczesywała za uszy. Używała szminki i pudru, paliła papierosy i chodziła sama do kina. Sama też podróżowała po Londynie. W pokoju Ruby była kuchenka gazowa, na której podgrzewała fasolę z puszki i robiła kawę. Okna zasłaniały jutowe zasłony, a na podłodze piętrzyły się stosy używanych książek; łóżko zarzucone było stertą poduszek, które zmieniały je w sofę. Pozostałe pokoje w domu zajmowali podejrzani mężczyźni, którzy zwykle stali w drzwiach swych pokoi i palili papierosy, a ich oczy odprowadzały Sarę przez trzy kondygnacje schodów. Czasem wołali coś za nią, zapraszając ją do kina bądź na kolację.

- To bardzo miłe z pana strony, lecz, niestety, nie mogę - odpowiadała grzecznie.

Często, kiedy przychodziła Sara, pokój Ruby był pełen ludzi. Jej przyjaciele byli równie różnorodni jak poduszki na łóżku. Sara zastanawiała się czasem, czy Ruby doбира tę mieszaninę właśnie ze względu na ową różnorodność. Studenci chemii siedzieli obok księgowych, włoski sprzedawca lodów zajął miejsce na podłodze pomiędzy flecistą a dziewczyną, która pracowała w domu towarowym jako manekin. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie garnitury, inni zaś sztruksowe spodnie i flanelowe koszule z rozpiętym kołnierzykiem. Niektóre z koleżanek Ruby wyglądały całkiem zwyczajnie, ubrane w schludne spódnice i żakiety, tanie odpowiedniki tweedów, które nosiła Sara poza miastem, lecz inne miały na sobie ubrania przypominające

worki bądź długie kwieciste sukienki, spod których wystawały zaniedbane bose stopy w sandałach. Sara siadała na łóżku obok Ruby i pili kawę, palili papierosy i rozmawiali o polityce, powieściach i poezji.

Powieści i poezja mogły być - Finboroughowie znali mnóstwo poetów i pisarzy - lecz Sara nie wiedziała absolutnie nic o polityce. W niektórych rozmowach, w których Ruby brała równie aktywny udział jak wszyscy pozostali, Sara musiała się zadowolić rolą obserwatora. Ona robiła kawę, inni zaś rozmawiali o komunizmie i Mussolinim. Nie miała, co prawda, nic przeciwko parzeniu kawy, lecz zauważyła, że tamci niczego od niej nie oczekują, że postrzegają ją jako inną, być może gorszą od siebie. Wstrząsnęło nią to, gdyż nie była przyzwyczajona do takiego traktowania.

Pokój Ruby: mężczyzna o czarnych kręconych włosach oświadczył:

- Problem z jakimkolwiek absolutyzmem polega na tym, że z założenia zakazuje on myślenia. Każdy absolutyzm, zarówno religijny, jak i polityczny, odbiera wolność słowa.

Starszy od tamtego mężczyzna z fajką zapytał:

- Czy wolność słowa jest, twoim zdaniem, zawsze niezbędna?

- Pewnie, że tak - oburzyła się czarnowłosa dziewczyna. - Brian, prowokujesz tylko.

- Ludzie potrzebują ukierunkowania. Może warto by się zastanowić, komu należy dać wolność słowa.

- Ha! Podejrzewam, że uważasz, iż należy się ona jedynie wybrancom.

- Muszą istnieć jakieś ograniczenia.

- Kiedy zaczną się ograniczenia, cała idea traci sens.

- Miałem na myśli ograniczenia w szerzeniu nienawiści.

Brian odwrócił fajkę do góry nogami, wytrząsając niedbale popiół do własnej filiżanki.

- Gdzie byłby Związek Radziecki bez Stalina? Ruby zapytała:

- Uważasz, że utopia może istnieć jedynie wtedy, kiedy się ją narzuca?

- Być może.

- Ale co się stanie, jeśli nie wszyscy będą chcieli tego samego co my? Na przykład ty, Brianie, uważasz, że wszyscy ludzie powinni żyć

mniej więcej tak samo, prawda? Mieć tej samej wielkości dom, podobne meble i wykładziny, i inne przedmioty?

- Wierzę, że dzięki temu uniknęlibyśmy licznych problemów, biedy na początek.

- Ale wielu ludziom by się to nie podobało. Nie wydaje mi się, żeby udało nam się pogodzić co do rodzaju mebli. Diana chciałaby fotele, Oliver krzesła plecione, a Susanne mogłaby wybrać coś bardziej modernistycznego i mniej wygodnego.

Nowy głos zapytał:

- A ty? Co ty o tym myślisz?

Sara podniosła wzrok i zorientowała się, że to do niej skierowane są słowa wypowiedziane przez jasnowłosego mężczyznę pod oknem.

Stał w cieniu, wciśnięty w róg pokoju. Głowę miał pochyloną, ponieważ sufit był w tym miejscu ukośny, a on - wysoki. Wzrok Sary zatrzymał się na chwilę na jego twarzy, na jej krzywiznach, i dziewczyna uznała, że ta twarz jest pociągająca.

Sara odpowiedziała:

- Och, ja wolę leżaki, bo przypominają mi morze. Ktoś się roześmiał. Brian zamruczał pogardliwie:

- A wydawało mi się, że rozmawiamy o absolutyzmie. Lecz jasnowłosa mężczyzna odparł:

- Leżaki to doskonały wybór. Przykład wspaniałego wzornictwa, prostego i użytecznego.

Sara zauważyła, że mówi z akcentem.

Kiedy opuszczała dom godzinę później, w środku nadal toczyła się zaciekle dyskusja. Drobnny, lecz uporczywy deszcz ześlizgiwał się z liści i pąków róż, po czym gromadził się na połyskujących czarnych paciorkach metalowych balustrad. Sara zatrzymała się, by rozłożyć parasolkę, i wówczas usłyszała za sobą kroki. Obejrzała się i zobaczyła jasnowłosego mężczyznę.

- Dokąd idziesz? - spytał. - Mogę iść z tobą?

- Brat ma po mnie przyjechać. - Sara zerknęła na ulicę, lecz nie było tam jeszcze motoru Philipa.

- Brat, rozumiem. Dużo masz braci?

Włosy miał w kolorze ciemnego blondu, niczym dojrzałe zboże, a oczy szare i rozbawione. Był od niej o kilka cali wyższy i, jak podejrzewała, parę lat starszy.

- Dwóch - odparła. - Ale Theo jest za granicą.

- A Ruby, nasza zabawna Ruby, to twoja siostra? Sara pokręciła głową.

- Tak naprawdę to nie jesteśmy z Ruby spokrewnione. Jesteśmy tylko przyjaciółkami. Ale czasem myślę o niej jak o własnej siostrze. Mieszkała z nami przez całe wieki.

- Muszę przeprosić, nie przedstawiłem się. Jestem Anton Wolff.

- A ja Sara Finborough.

Skłonił się i podniósł jej dłoń do ust. Gest ten nie był ani przesadnie ugrzeczniomy, ani wyrażający nadmierną pewność siebie, jak to zwykle bywało u Anglików.

- Miło mi panią poznać, Fraulein Finborough.

- Skąd pan pochodzi, panie Wolff?

- Z Wiednia - odparł. - Pochodzę z Wiednia.

- Od jak dawna jesteś w Anglii? - Sara przeszła na „ty”.

- Od trzech miesięcy. Przyjechałem na studia. Studiuję architekturę. Chcę się nauczyć projektować wspaniałe budynki, ale bez przesadnego przepychu, tylko takie, w których ludziom będzie się wygodnie mieszkało. - Tu spojrzał na nią. - A ty, Fraulein Finborough? Co robisz?

- Jeżdżę konno, gram w tenisa i czasem chodzę na okropne przyjęcia - powiedziała i sama uznała, że to dość niewiele.

- Lubisz przyjęcia?

- Szczerze mówiąc, to nie. A ty?

- Zależy, kto jeszcze tam jest. Z odpowiednią osobą przyjęcia mogą być cudowne. Zgadzasz się ze mną?

Słyszac ryk silnika, z jakim Philip wjechał w zakręt, Sara odparła:

- Tak właśnie sędzę. Miło się z tobą rozmawia, Antonie. Do zobaczenia.

Sara siedziała na łóżku Ruby i obie malowały paznokcie na zielono.

- Theo jest w domu. Z początku go nie poznaliśmy. Wyglądał jak pirat. Mama go ostrzygła i ogoliła przed powrotem taty. Mówi, że widział, jak Picasso i Max Jacob jedli razem obiad w Le Boeuf sur le Toit. Mówi po francusku sto razy lepiej niż przed wyjazdem i pali cuchnące papierosy.

Theo zabrał Ruby na kolację. Był dość szczupły i opalony, co podkreślało jego smukły, wilczy wygląd. We włoskiej kawiarni na Greek Street Ruby zadawała mu mnóstwo pytań.

- Jaki jest Paryż?
- Wspaniały. Powinnaś tam pojechać.
- Pojadę, kiedyś. Czy głodowałeś w pokoju na poddaszu?
- Nie na poddaszu. Na plaży w Bretanii, gdzie nie miałem dachu nad głową przez dwa tygodnie. Spanie na piasku jest diabelnie niewygodne.

- Masz dziewczynę?

- Tak.

- Jak ma na imię?

- Celine.

- Jaka jest?

- Ciemna... drobna... Tańczy w Operze paryskiej. Nigdy jeszcze nie wyjechała z Paryża, nie chce żyć nigdzie indziej.

- Theo, ona nie wydaje się odpowiednia dla ciebie. Poszedłeś już z nią do łóżka?

Nawijał spaghetti na widelec.

- Ruby Chance, to nie twoja sprawa. Pochyliła się nad stołem.

- Chcę tylko wiedzieć, jak to jest. Nikt mi nie chce powiedzieć. Oprócz mężczyzn, którzy chcą iść ze mną do łóżka, ale ja im nie ufam.

- Dowiesz się całkiem niedługo.

- Jaki chytrus! Theo, jesteś już sławny?

- Obawiam się, że nie.

- Ale będziesz?

- Chyba nie. - Choć mówił lekkim tonem, Ruby dosłyszała w jego głosie jakąś twardą nutę. - Stwierdziłem, że potrafię dobrze rysować, ale to wszystko.

- Wracasz do domu? Pokręcił głową.

- Na jesieni wypływam w rejs po Morzu Śródziemnym.

- Sam?

- Być może. Zobaczymy, kto się zgłosi. Theo ponownie napełnił kieliszki winem.

- Jak praca?

- W porządku. Porządkuję dokumenty, odbieram telefony i piszę listy, a od czasu do czasu przeglądam jakieś opasłe tomisko w poszukiwaniu odpowiedzi na kolejne podchwytliwe pytanie natury formalnej. Szczerze mówiąc, podoba mi się to. Odpowiada chyba mojej uporządkowanej naturze.

- A jak się czuje twoja mama?
- Doskonale.
- A kochana cioteczka Maude? Ruby się skrzywiła.
- Pewnie jak zwykle. Nie widziałam jej już od dłuższego czasu.
- A co z Hannah?
- Och, ponuro. Właśnie tak o niej zawsze myślę. Ponuro.

Theo podniósł proste czarne brwi.

- Powinnaś być dla Hannah miła.

- Dlaczego, Theo? - Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. - Bo jest moją kuzynką? Bo łączą nas więzy krwi? To nie w mojej rodzinie. Pamiętaj, my porzucamy bliskich. Odchodzimy, nie zostawiając adresu.

Rzucił jej zimne spojrzenie.

- Powinnaś być dla Hannah miła, bo ona tego potrzebuje.
- Hannah sobie poradzi. Pewnie wyjdzie za jakiegoś farmera ze słomą we włosach.

Usłyszała swój własny głos, cyniczny i szyderczy, i poczuła zakłopotanie. No tak, wypła trochę wina. A potem dodała:

- Usiłuję odnaleźć ojca. Chcę wiedzieć, co się z nim stało. Ludzie nie znikają tak po prostu, prawda? Musiał dokądś pójść. Rozmawiałam o tacie z wujkiem Richardem. Zmusiłam go, żeby powiedział mi prawdę.

Ruby przypomniała sobie tę rozmowę: wysiłki Richarda Finborough, by jej nie zranić, i jej własna determinacja, by dowiedzieć się wszystkiego.

- I co powiedział?

- Że tata miał problemy finansowe. Wiedziałam to, bo moja mama usiłowała pożyczyć pieniądze od cioci Maude. Tata zalegał z czynszem i miał mnóstwo niezapłaconych rachunków. Wujek Richard uważa, nie powiedział mi tego, ale ja to czuję, że tata znalazł się w takich kłopotach, że po prostu uciekł.

- Powiedziałaś swojej mamie, że chcesz odszukać ojca?

- Nie, jeszcze nie.

- Ruby... - Theo zmarszczył brwi. A potem dokończył z niezwykłym u niego wahaniem: - A co będzie, jeśli dowiesz się czegoś, co ci się nie spodoba? O czym wolałabyś nie wiedzieć?

- Ale zawsze lepiej wiedzieć, prawda? Zdaję sobie sprawę, że w ciągu tych wszystkich lat tacie mogło się przydarzyć wiele rzeczy. Mógł mieć wypadek albo zachorować. Lub nawet umrzeć.

Ruby zastanowiła się, czy osaczony tymi wszystkimi problemami ojciec mógł popełnić samobójstwo. Wydawało jej się to mało prawdopodobne. W jej wspomnieniach zawsze był tak pełen życia i radości.

Zimne, ciemne grudniowe popołudnie. Kiedy Sara czekała na chodniku przed domem Ruby, z szaro - musztardowego nieba zaczęły spływać niewielkie płatki śniegu. Postawiła kołnierz futra, które pożyczyła od matki. Z tyłu dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i ujrzała Antona Wolffa.

- Czekasz na swego wiernego brata?

- Tak. - Sara zerknęła na złoty zegarek. - Spóźnia się. Chyba wrócę na górę i zaczekam u Ruby.

- Ruby idzie z przyjaciółmi do kina. - Och.

- A może weźmiesz taksówkę, Fraulein Finborough? Ale najpierw możemy się napić kawy, jeśli masz ochotę. Wyglądasz na zziębniętą.

Sara po raz kolejny zerknęła w jedną i drugą stronę ulicy, lecz Philip ciągle nie nadjeżdżał. Przyjęła zaproszenie Antona nie dlatego, że było jej zimno, gdyż futro dobrze chroniło przed chłodem, lecz ponieważ ekscytowała ją myśl o wspólnym wypadzie.

- Dobra kawa jest tylko w Soho - oświadczył i zatrzymał taksówkę. - To chyba jedyna przyzwoita kawa w całej Anglii.

Sara zapytała przekornie:

- Nie lubisz kawy, którą parzę?

- Parzysz okropną kawę. Ale oczywiście ją lubię.

W taksówce była świadoma jego obecności obok siebie. Wiedziała też, że właśnie łamali najbardziej podstawowe zasady swojej matki.

Powiedziała:

- Nie wiem, co mogło się stać z Philipem. Może zapomniał.

- Trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby o tobie zapomnieć, Fraulein Finborough. Nie mam pojęcia, jaki bywa sposób myślenia braci.

Kiedy jechali ulicami, płatki śniegu zsuwały się po przedniej szybie. Trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby o tobie zapomnieć,

Fraulein Finborough. Powiedział to rzeczowo, bez kokieterii. Na zewnątrz budynku i ludzie, widziani z okna samochodu, wyglądali niczym elementy scenografii w teatrze, równie nierealnie i magicznie. Śnieg tańczył w ciemności, wirując w poświacie rzucanej przez latarnie. Sara czuła się wolna i dorosła, a tego uczucia nie doświadczała zbyt często.

Taksówka zatrzymała się w wąskiej uliczce. Po chwili weszli do niewielkiej kawiarni, gdzie Anton rozmawiał z kelnerem po niemiecku. Uśmiechnął się do Sary.

- Kiedy patrzę na ciebie w tym futrze i w tym miejscu, niemal wyobrażam sobie Cafe Landtmann w Wiedniu. Przychodzą tam na kawę i ciastka wszystkie wytworne damy. Gdybym teraz był u Landtmanna, zamówiłbym Marmorguglhupf i wspaniałą wiedeńską kawę.

- Na Boga - odparła. - Brzmi wspaniale, ale co to właściwie takiego?

- Ciasto marmurkowe. Jest pyszne.

- Musisz strasznie tęsknić za Wiedniem, Antonie. Wydaje się tak piękny i romantyczny.

Podano kawę, mocną i aromatyczną. Mężczyzna przytaknął:

- Masz rację, jest piękny i romantyczny. Ale ostatnio powietrze jest tam jakby zatrute.

Twarz mu zszarzała.

- Dlaczego? - zapytała. - Co się stało?

- Nie czytasz gazet, Fraulein Finborough?

- Niezbyt często.

- W lutym doszło w Wiedniu do poważnych zamieszek. A w lipcu zamordowano kanclerza Austrii, Dollfussa.

- To okropne. I dlatego tutaj przyjechałeś?

- Po części. Wiedeń jest teraz dla mnie niebezpieczny. Lecz przyjechałem również, jak już mówiłem, studiować architekturę.

Anton opowiedział jej o miejscach, które zdążył zobaczyć w Wielkiej Brytanii, o podróżach do Glasgow, aby obejrzeć prace Charlesa Renniego Mackintosha, którego podziwiał, i o swych wizytach w Saltaire i Letchwork Garden City, gdzie poznał idealne układy architektoniczne zaprojektowane przez tego twórcę.

Sara zapytała, czy Anton ma w Wiedniu rodzinę, a on wyjaśnił, że matka zmarła parę lat temu, lecz ojciec nadal tam mieszka.

- Próbowałem przekonać tatę, żeby przyjechał do Anglii - dodał - ale on nie chce.

Posmutniał na chwilę.

- Ojciec jest już starszym człowiekiem. Kiedy się urodziłem, miał niemal pięćdziesiąt lat. Nie przesadza się starych drzew. I być może, jeśli człowiek widział to, co mój tata, wojny, rewolucje i głód, to terażniejszość nie wydaje się taka zła.

- Naprawdę powinnam czytać gazety, prawda? Ale nigdy jakoś nie mam czasu.

- Dlaczego miałabyś chcieć wiedzieć te straszne rzeczy?

- Mogłabym wtedy tak naprawdę rozmawiać z przyjaciółmi Ruby.

- Przyjaciele Ruby wygadują bardzo dużo bzdur - odparł z pogardą. - Teoretyzują, nic nie wiedzą. Fraulein Finborough, żyj we własnym świecie, z kochającą rodziną i wiernymi braćmi.

- Nie tacy oni znów wierni - odrzekła z uśmiechem. - Jeden wyjeżdża na parę lat, a drugi całkiem o mnie zapomina.

Kiedy jednak taksówką dotarła z Soho do domu, zobaczyła Philipa, który siedział w kuchni z nogą wyciągniętą przed siebie. Mama obmywała mu głębokie zadrapania. Motor wpadł w poślizg na lodzie i Philip upadł na jezdnię. Na widok Sary oboje najwyraźniej odetchnęli z ulgą i Isabel powiedziała, że biorąc taksówkę, zachowała się bardzo rozsądnie; żadne z nich nie zastanawiało się, dlaczego podróż z Fulham Road do Hampstead zabrała jej półtorej godziny.

W sypialni rodziców Sara zdjęła pożyczone futro i odwiesiła je do szafy. Wierzchem dłoni pogłaskała miękki czarny włos i zamiast jak zwykle pomyśleć o wszystkich tych zwierzętach, które straciły życie, by jej mama mogła mieć elegancki futrzany płaszcz, pomyślała o Antonie - Antonie w taksówce, w świetle latarni, w kawiarni, gdzie z takim smutkiem mówił o ojcu, i o Antonie w chwili rozstania, składającym pocałunek na wierzchu jej dłoni.

Sara odkryła, że choć Anton podawał się za studenta, nie był zapisany na żadną uczelnię. Czasami tylko słuchał wykładów na London University. Mówił, że to dość łatwe. Po prostu mieszał się z tłumem innych studentów i nikt go nigdy nie zatrzymał. Niekiedy pracował u przyjaciela, Petera Curthoysa, którego pracownia mieściła się przy Golden Square. Anton poznał Petera dwa lata wcześniej, a on, znając sytuację Antona, dawał mu pracę, kiedy tylko było to możliwe.

Anton opisał Sarze Karl - Marx - Hof, potężny kompleks mieszkalny, zbudowany w Wiedniu przez socjaldemokratów. Kompleks ten nie tylko zapewniał przyzwoite warunki mieszkaniowe dziesiątkom tysięcy ludzi pracujących; było tu również przedszkole, ośrodki zdrowia, biblioteki, pralnie i place zabaw. Anton opowiedział też, jak to w czasie zamieszek nazistowskie bojówki ostrzelały Karl - Marx - Hof, pragnąc zniszczyć ów symbol równych możliwości dla wszystkich.

Anton nie próbował pocałować Sary ani potrzymać jej za rękę. Nigdy więcej nie udało im się również wybrać do Soho na kawę. Kiedy była z dala od niego, znikła cała jej pewność, że Anton ją lubi, że coś do niej czuje. Był miły i grzeczny dla wszystkich - Sara podejrzewała, że pomyliła się, uznając, iż wyróżnił ją spośród innych.

W styczniu Ruby miała zorganizować przyjęcie z okazji swych dziewiętnastych urodzin. Isabel zgodziła się, by Sara pomogła jej w przygotowaniach i została na pierwszą część wieczoru. Kolega artysta oddał Ruby do dyspozycji swój pokój na pierwszym piętrze, większy niż jej własny. Całym umeblowaniem była tu ława, sztaluga oraz stary i dość brudny materac. Materac dziewczęta przykryły kolorową narzutą, którą Sara pożyczyła na tę okazję. Ściągnęły też dwa piętra niżej materac Ruby, aby było więcej miejsc do siedzenia. Do ścian przyczepiły wstążki niebieskiej i czerwonej bibuły, aby zakryć plamy po farbie. Jedzenie ustawiły na ławie - kielbaski, ser, czekoladę i galaretkę z kawałkami pomarańczy, które, zdaniem Sary, przypominały dziwne stwory morskie. Ktoś pożyczył im pianino. Na górę wniosło instrument czterech czerwonych z wysiłku mężczyzn.

Sara kupiła Ruby w prezencie trzy pary jedwabnych pończoch i szminkę w kolorze ostrej czerwieni. Isabel i Richard podarowali jej skórzane rękawiczki i broszkę, a mama zrobiła na drutach sweter. Sara zastanowiła się, nie po raz pierwszy zresztą, jak bardzo Ruby musi przeżywać fakt, że nie dostała od ojca nawet kartki na urodziny.

Goście zaczęli się schodzić o ósmej. Z gramofonu śpiewał Cole Porter. Kiedy płyta przestawała grać, niski i łysawy mężczyzna siadał do pianina i z pasją grał utwory Liszta. Na środku pokoju zrobiono trochę wolnego miejsca i jakaś para zaczęła tańczyć. Pod nogami tańczących kręcił się ujadający jamnik.

Ktoś powiedział:

- Zastanawiałem się, czy przyjdiesz. Wydawało mi się, że nie lubisz przyjąć.

Serce Sary zamarło.

- Witaj, Anton.

Rozmawiali i tańczyli, a potem Sara włożyła płaszcz i wyszli razem. Poszli w stronę Putney Bridge. Z samego środka mostu brzegi Tamizy wydawały się odległe. Poniżej płynęła czarna woda, arteria wiodąca przez serce Londynu. Jakaś barka wpłynęła pod most i w wodzie odbiło się światło latarni.

Kiedy palcami dotknął jej twarzy, coś w Sarze stopniało. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zamknęła oczy. Hałas ulicy i światło latarni odpłynęły gdzieś w dal, a całe istnienie Sary skupiło się tutaj, w jego objęciach.

Kiedy się rozłączyli, przemknęła jej przez głowę pewna koszmarna myśl, którą wypowiedziała niby to żartem:

- Pewnie zawsze całujesz dziewczęta na Putney Bridge?

- Zawsze. Albo na London Bridge czy też Battersea Bridge, wszystko jedno - odparł i pocałował ją ponownie. Pocałunek ten był długi i głęboki. Wreszcie Anton odezwał się znowu:

- Chciałem to zrobić od naszego pierwszego spotkania.

- Dlaczego więc czekałeś tak długo?

- Nie byłem pewien, czy czujesz to samo co ja. Saro, przypominasz sen, bardzo przyjemny, lecz jednak sen. Jednego dnia jesteś, lecz kiedy indziej cię nie ma. Kiedy się zatrzymuję, by na ciebie spojrzeć, znikasz. I zawsze wydajesz się taka szczęśliwa, bez względu na to, co się dzieje na świecie.

- A więc uważasz, że jestem niepoważna?

- Otóż to - odparł z uśmiechem.

Usłyszała dźwięk kościelnego dzwonu. Z niedowierzaniem zerknęła na zegarek.

- Już dziesiąta - skonstatowała z przerażeniem. - Tata już pewnie przyjechał.

Poszli w stronę domu Ruby. Sara ujrzała tam smukłą sylwetkę rolls - royce'a taty. Zaczęła biec. Wpadła do holu i szybko zerknęła w lustro w obawie, że pocałunek Antona mógł ją w jakiś sposób zmienić fizycznie.

Usłyszała kroki na schodach. Na widok ojca powiedziała szybko:

- O, tato, już jesteś. Wyszłam na świeże powietrze. Było mi tak gorąco.

Wyszli na zewnątrz. Zauważyła, że Anton opiera się o pobliską latarnię. Kołnierzyk jego płaszcza był podniesiony, a blada twarz mężczyzny odbijała się w ciemności nocy.

Ojciec zauważył:

- Dziwni ci przyjaciele Ruby. Komuniści i obcokrajowcy, i pewnie żaden z nich nie ma grosza przy duszy.

Richard Finborough przekazał Ruby walizkę z rzeczami jej ojca. Dziewczyna napisała do wszystkich osób, wymienionych na ostatnich stronach notesu Nicholasa Chance'a, pytając, czy któraś z nich miała od niego jakieś wiadomości lub też go widziała. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek miał z nim jakiś kontakt później niż zimą 1927 roku.

Rozmawiała też z matką, by wydobyć z niej jakiegokolwiek informacje, nie zdradzając jednak przy tym, że poszukuje ojca. Udało jej się połączyć w całość niektóre wydarzenia z okresu pomiędzy końcem wojny a zniknięciem ojca. Chance'owie przeprowadzali się dość często, gdyż Nicholas nieustannie szukał pracy. Chance zakończył edukację w wieku lat czternastu i nie miał żadnych konkretnych kwalifikacji. Był jednak inteligentnym i energicznym mężczyzną, który potrafił wykorzystać nawet swe raczej ograniczone możliwości.

Wyjazd do Nineveh Ruby odkładała tak długo, jak tylko to było możliwe. Choć Isabel zawsze nalegała, by utrzymywała kontakt z ciotką i jej córką, to odkąd Ruby wyprowadziła się z domu rodziny Finborough, najchętniej zerwałaby z krewnymi wszelki kontakt. Już wcześniej doszła do wniosku, że nie zawdzięcza im nic. Nienawidziła oddalenia Nineveh, jej absurdalnej anachroniczności, zupełnie jakby czas się tam zatrzymał już dawno temu. Kiedy Maude Quinn mówiła o siostrze, w jej głosie brzmiała pogarda, a nie ciepłe uczucia. Ruby podejrzewała, że grzeczność ciotki wobec niej wynikała raczej z powiązań dziewczyny z bogatą i znaną rodziną Finborough, gdyż Maude zawsze była straszną snobką. Odmówiła pomocy, kiedy Chance'owie byli w tarapatkach, nie zrobiła nic, by pomóc siostrze, której brakowało sił i która błagała Maude o wsparcie, znajdując się na granicy załamania. Gdyby wtedy nie odrzuciła prośb siostry, jakże inaczej mogłoby wyglądać całe ich życie! Nicholas Chance,

uwolniony od swych najpoważniejszych kłopotów, wybrałby pewnie inną drogę.

Mijały jednak kolejne miesiące, a Ruby brakowało już pomysłów, gdzie jeszcze mogłaby dowiedzieć się czegoś o losach ojca. Jedynym wyjściem zdawała się rozmowa z ciotką Maude - z desperacką nadzieją, że będzie ona w stanie rzucić jakieś światło na sprawę zniknięcia taty. Irytowało Ruby, że słowa Theo, owo: „Powinnaś być miła dla Hannah, bo ona cię potrzebuje”, tak bardzo drażniły wciąż jej sumienie.

Pewnego zimnego marcowego poranka wsiadła w pociąg do Ely i Manei, a potem piechotą ruszyła ze stacji do Nineveh. Chmury były ciemniejsze niż ciemnoszare gałęzie wierzb, a ścieżkę prowadząca przez zagajnik na farmę żłobiły głębokie kałuże.

W rowach stała woda z niedawno stopniałego śniegu, a cała okolica wydawała się ciężka i nasiąknięta wilgocią niczym gąbka.

Hannah wyszła po kuzynkę do bramy, a Ruby wręczyła jej z wyprzedzeniem prezent urodzinowy. Na widok czerwonej skórzanej portmonetki Hannah zaświeciły się oczy. Słyszając głos matki, szybko schowała prezent do kieszeni sukienki i potem też nie pokazała go matce.

Po lunchu Ruby pomogła Hannah posprzątać ze stołu, podczas gdy ciotka Maude siedziała w salonie, racząc się rachatlukum. Od ostatniej wizyty Ruby, czyli przez ponad półtora roku, Maude Quinn przybrała na wadze. Trudno byłoby określić, gdzie w tych zwałach tłuszczu kończy się broda, a zaczyna szyja. Kostki u nóg, w grubych brązowych pończochach, były grube i równe jak rura od pieca.

Ruby zaczęła:

- Ciociu Maude, chciałabym porozmawiać z tobą o moim tacie.

Nucenie ciotki ustało, a jej oczy skierowały się na Ruby.

- Usiłuję go odszukać. Czy potrafisz sobie przypomnieć, kiedy widziałas go po raz ostatni?

- Widziałam Nicholasa Chance'a w ogóle tylko raz. - Ciotka zaczęła stukać palcami o poręcz fotela, wybijając rytm przypominający szybkie bicie serca.

- Kiedy to było?

- Kiedy przyszedł mnie prosić o rękę Etty.

- Pamiętasz, o czym wtedy rozmawialiście? Oczy Maude się zwięzły.

- To nie była zbyt miła rozmowa. Szybko się go po - , zbyłam.

- Czy wspominał, gdzie wtedy mieszkał? Albo co robił? Albo u kogo pracował?

- Jak już mówiłam, to nie była miła rozmowa. - Wkładając kolejną porcję rachatlukumu do ust, Maude dodała: - Ale z całą pewnością musiał tu być jeszcze raz.

- Kiedy to było?

- Kiedy uciekli. Etta nie odważyłaby się tego zrobić sama. Musiał ją trzymać za rękę. - Maude wykrzywiła usta.

Ruby miała już na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, lecz zachowała milczenie. Wszelka dyskusja z ciotką przypominałaby pewnie walenie głową w grube ceglane mury domu w Nineveh. Trudno byłoby sobie wyobrazić, by jakiegokolwiek ludzkiej istocie udało się choćby minimalnie zmienić opinię Maude.

Ruby pożegnała się wkrótce potem. Hannah wymknęła się w trakcie rozmowy, więc Ruby poszła jej poszukać. Pomyślała przy tym z żalem, że łatwo było Theo kazać jej być miłą dla Hannah. To nie Theo musiał znosić ciotkę Maude.

Hannah nie było w jej pokoju ani w kuchni. Ruby włożyła więc płaszcz i kapelusz i wyszła z domu. Na polach przez mokrą czarną ziemię przebijały się już pierwsze niebieskozielone źdźbła trawy. Znowu zaczął padać deszcz i woda wypełniła wszystkie bruzdy. Dom otaczały przybudówki i szopy - niektóre z nich zbudowano z cegły i pokryto rdzewiejącym teraz blaszanym dachem, inne zaś były drewniane, z klepiskiem zamiast podłogi. Jeszcze inne postawiono na palach. W nikłym świetle otwartej stodoły majaczyły zarówno niezwykle, jak i całkiem przyziemne przedmioty: pół tuzina blaszanych wiader o całkiem przerdzewiałych dnach, sterta czasopism, oplecionych pajęczynami, wypchany ptak, którego długi, zakrzywiony dziób przypominał turecką szablę, i stary powóz, polakierowany na czarno i ozdobiony złotymi liśćmi.

Ruby usłyszała jakiś dźwięk. Weszła do stodoły. W ciemności dojrzała przestraszony wzrok Hannah, która wykonała jakiś szybki ruch.

- Co robisz? - zapytała Ruby i szybko dodała: - Jeśli to tajemnica, to się nie wtrącam. Przyszłam się tylko pożegnać. Muszę już iść na pociąg.

Hannah zagryzła wargę. Jej wzrok pobiegł w stronę drzwi. A potem wyszeptała:

- Nie przeszkadza mi, że wiesz, kuzynko Ruby. Spod stosu zakurzonych worków wydobyła puszkę po słodyczach. Podsunęły się przy tym za długie rękawy jej swetra i Ruby zobaczyła na rękach kuzynki ciemne siniaki.

- Co ci się stało, Hannah? Co sobie zrobiłaś? Dziewczyna zmarszczyła brwi i obciągnęła rękawy.

- Włożyłam rękę do wyżymaczki - powiedziała cicho. - To moja wina. Nic się nie stało.

Otworzyła puszkę. W środku Ruby ujrzała kamienny grot strzały, miedziany guzik i wydmuszkę nakrapianego jaja drozda. Hannah dołożyła tam czerwoną portmonetkę i zamknęła wieczko, po czym wsunęła puszkę z powrotem pod stertę worków.

Siedząc już w pociągu, Ruby nieustannie myślała o białych od cukru pudru palcach ciotki Maude, które zanurzały się w pudełku z łakociami. Myślała też o puszcze Hannah i jej żałosnych skarbach. Przed oczami miała wciąż ciemne siniaki wokół nadgarstka kuzynki, które wyglądały niczym purpurowosina bransoletka. Włożyłam rękę do wyżymaczki. Ruby usiłowała sobie wyobrazić, co mogło spowodować takie siniaki, widziała jednak tylko grubą białą dłoń Maude Quinn, zaciskającą się na szczupłym przegubie Hannah.

Zastanawiała się, czy ciotka karała córkę jedynie ostrymi słowami i policzkiem. Czy Maude w ten sam sposób traktowała jej matkę? Z całą pewnością tak właśnie było. Najpewniej wysoka i silna Maude wymagała od słabszej Etty, by ta wszystko za nią robiła. Być może biła ją i raniła, kiedy ta coś upuściła albo zbyt dużo czasu spędziła na zakupach. Niewykluczone, że Maude Quinn za pomocą swej dominującej osobowości i większej siły fizycznej stworzyła taką właśnie Ette - słabą, przerażoną i pozbawioną poczucia własnej wartości.

Jakim cudem musiało się Etcie wydawać spotkanie przystojnego, szczodrobliwego Nicholasa Chance'a! Nic dziwnego, że się w nim zakochała. Nic dziwnego, że widziała w nim wybawienie dla siebie, możliwość ucieczki. Lecz siła jej miłości mogła stać się dla niego więzieniem, a nie przyjemnością. Ruby wyraźnie pamiętała kłótnie, ciche dni i łzy, zanim jeszcze tata wyjechał.

- A jeśli znajdziesz coś, co ci się nie spodoba? - zapytał Theo. -
Coś, o czym wolałabyś nie wiedzieć?

Istniała pewna możliwość, której żadne z nich wolało nie
nazywać słowami. A jeśli, pomyślała Ruby, tata wcale nie uciekł w
świat? Jeśli uciekł do czegoś - lub kogoś?

Rozdział 6

Anton dał Sarze bukiet z kwiatów oczaru i bazi. Kwiaty przypominały maleńkie promyczki słońca. Sara powiedziała matce, że zerwała je sama w opuszczonym ogrodzie za domem Ruby. Nappełniały one jej sypialnię zapachem mroźnych nocy i zimy.

Pewnego wieczoru, kiedy Sara czekała przed domem Ruby na Philipa, Anton zaśpiewał dla niej. Jego głęboki baryton popłynął ulicami. Przechodnie spoglądali w otwarte okno na najwyższym piętrze, po czym na ich twarze wypląwał uśmiech.

Pocałowali się w holu na parterze. Na szafce leżały nieodebrane pożółkłe listy do dawnych mieszkańców, a podłoga nosiła ślady zabłoconych butów. Ktoś w pokoju obok grał na saksofonie. Blues zmieszał się z bliskością Antona i jego dotykiem. Dłonie mężczyzny opierały się o talię Sary, jej policzek zaś głaskał jego szorstką skórę. Na zewnątrz, w ciemnościach, owinał ją w swój płaszcz, ukrywając całą w fałdach podniszczonej tkaniny. Wsparła głowę na ramieniu Antona i zamknęła oczy, głęboko wdychając jego bliskość.

Niespokojna, niebezpieczna wiosna. Któregoś dnia, wracając do domu Ruby, razem z nią ujrzeli zaparkowanego na ulicy wolseleya i Isabel stojącą na chodniku. Czy Sara zdążyła puścić ramię Antona, zanim mama ich zauważyła? Idąc pośpiesznie w jej stronę, sądziła, że się udało, lecz nie była tego pewna.

- Mamo, przyjechałaś wcześniej.

- Pomyślałam, że odwiedzę panią Saville w domu opieki.

Pani Saville była przyjaciółką Isabel.

- Skarbie, myślałam, że będziesz chciała ze mną jechać. Ruby, kotku... jak się masz... musisz przyjść na lunch w przyszłą niedzielę, już tak dawno u nas nie byłaś.

Isabel pocałowała Ruby w policzek, lecz jej badawczy wzrok skierowany był na Antona.

- Oczywiście, że z tobą pojedę.

Sara pośpiesznie przedstawiła Antona matce.

- Wydaje mi się, że mój mąż zna rodzinę o nazwisku Wolff. - Isabel uściśnięła dłoń Antona. - Mieszkają w Finchley. Może jest pan z nimi spokrewniony?

- Raczej nie, pani Finborough. Moja rodzina pochodzi z Wiednia. Przelotny uprzejmy uśmiech. A potem:

- Przepraszamy pana, ale musimy już jechać. Kiedy siedziały już w samochodzie, matka spytała:

- Od jak dawna Ruby zna pana Wolffa?

- Wydaje mi się, że jakieś pół roku.

- Czym on się zajmuje?

- Chce być architektem. Jeszcze się uczy.

- Nie ma zawodu? Gdzie mieszka? Czy to bliski znajomy Ruby?

A potem szeptem, żeby Dunning, który prowadził wolseleya, nie usłyszał, dodała:

- Nie jestem matką Ruby. Jeśli ona chce zadawać się z kimś takim, to niewiele mogę zrobić. Mogę jej jedynie doradzić. Ale jestem odpowiedzialna za ciebie, Saro, i wolałabym, żebyś nie spacerowała po Londynie w towarzystwie nieżonatego mężczyzny, nawet jeśli jest to przyjaciel Ruby.

- Tak, mamusiu. - I odwracając się w stronę okna, Sara przypomniała sobie palce Antona, splecione z jej palcami, i jego uśmiech, kiedy składał pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

Minęły trzy tygodnie. Anton wciąż nie pokazywał się u Ruby.

- Nie widziałam go od wieków - twierdziła dziewczyna. - Nie było go w żadnym ze zwykłych miejsc.

Sarze przyszła do głowy przerażająca myśl.

- Myślisz, że mógł wrócić do Wiednia?

- Raczej nie. Pewnie bałby się, że znowu wsadzą go do więzienia.

- Do więzienia? - Zaskoczona Sara wbiła wzrok w Ruby.

- Tak, nie wiedziałaś? To było po krwawych zamieszkach w Wiedniu. Anton i jego ojciec trafili do więzienia.

- Ale dlaczego? Co zrobili?

- Nic, oczywiście. Są socjalistami, a to się obecnemu rządowi nie podoba. Poszukam go, jeśli chcesz.

Kilka dni później Sara dostała list od Ruby. Ruby pisała, że widziała Antona, że „był trochę dziwny, inny niż zwykle. Powiedział tylko, że jest zajęty. Zaprosiłam go na niedzielę, ale powiedział, że nie ma czasu. Przykro mi, Saro”.

Sara czuła ogromną pustkę połączoną z żalem - nie ze względu na Antona, lecz na ograniczenia, z których powodu nie mogła go odszukać i z nim porozmawiać. Ruby mogła chodzić po pubach i nocnych klubach i szukać Antona, ona zaś, Sara Finborough, nie.

Zapewne przemyślał sprawę ich przyjaźni. Co człowiek, który podróżował po całej Europie, przeżył walki w Wiedniu i został niesłusznie skazany na karę więzienia, miałby widzieć w dziewczynie, która do niedawna nie wiedziała nawet, że takie rzeczy mają miejsce? Powiedział przecież, że uważa ją za niepoważną. Był w tym kraju obcy - czy dostarczała mu jedynie rozrywki, niczego więcej? Czy dostał, co chciał, pocałunki i czułe słówka, znudził się i poszedł dalej? Co ona tak naprawdę o nim wiedziała? Ruby знаła Antona znacznie lepiej. Wiedziała, że siedział w więzieniu, a ona nie miała o tym pojęcia. Ruby powiedziała, że szukała Antona w zwykłych miejscach. Co oznaczały dla Antona „zwykłe miejsca”? Kolejna niewiadoma.

Isabel, widząc że córka jest nieszczęśliwa, zasugerowała wakacje. Sara mogłaby na parę tygodni pojechać do babci do Irlandii. Ponieważ Raheen było najukochańszym ze wszystkich miejsc, Sara obiecała, że się nad tym zastanowi, lecz zaraz napisała do Ruby list z prośbą o podanie adresu Antona. Ta poinformowała, że Anton mieszka przy Scarborough Street w Whitechapel. Sara zupełnie nie знаła tej części Londynu.

Spotkanie z Antonem wymagało skomplikowanych planów. Sara ustaliła, że spędzi popołudnie z przyjaciółką, pomagając jej wybrać materiał na suknię ślubną. Matce przyjaciółki powiedziała, że przyjedzie po nią ojciec, swojej własnej matce zaś - że do domu odwiezie ją pani Forrest.

Nadeszło umówione popołudnie i Sara poszła do pracowni krawcowej. Po niezwykle męczącej godzinie, spędzonej na wybieraniu tkaniny spośród niemal identycznych próbek białej satyny i szyfonu, gdy przyszła panna młoda została zamknięta w toile, gdzie upinano na niej szpilkami materiał, Sara oznajmiła:

- Pani Forrest, przykro mi, ale muszę już pędzić. Tata na mnie czeka.

Na dworze było mgliście i zimno. Sara zatrzymała taksówkę i w jednej chwili zniknęły jej obawy i wątpliwości, a ich miejsce zajęło wewnętrzne przekonanie, że uda jej się spotkać z Antonem. Kiedy samochód zbliżył się do rzeki, mgła zgęstniała. W okolicy East Endu musieli zwolnić, gdyż na ulice wyszli robotnicy z fabryk i stoczni. Sara przyglądała się rzędom niewielkich, poczerniałych od sadzy domów. Nad wąskimi zaułkami wisiało zszarzałe i połatane pranie, wilgotne od mgły. W bocznych uliczkach bawiły się dzieci, a ich

krzyki, śmiech i wyliczanki zagłuszały głosy kobiet, które rozmawiały w progach domów, kołysząc przy tym młodsze potomstwo na biodrach. Wokół unosił się zapach końskich odchodów, ryby z frytkami. W oddali, za mgłą, ponad dachami składów górowały dźwigi i liny stoczni.

Scarborough Street była wąziutką uliczką z niewielkimi domami, które przylegały do siebie niby książki na półce. Taksówka zatrzymała się.

- Jesteśmy na miejscu, panienko - oznajmił taksówkarz. - Mam poczekać?

- Nie, dziękuję.

Sara zapłaciła i taksówka zniknęła za rogiem ulicy. Mała dziewczuszka, sześć - , a może siedmioletnia, ubrana w brudną, za dużą sukienkę i wełniany dziurawy sweter, stanęła w pobliżu i z uwagą przyglądała się Sarze. Niedaleko stał wóz i koń węglarza. Przez derkę widać było koniowi zebra. Sara pogłaskała go po chrapach i w odpowiedzi otrzymała stłumione rzenie.

Zapukała do drzwi domu. Nie było odpowiedzi, więc ponowiła próbę. Po chwili usłyszała kroki i w drzwiach stanął szczupły mężczyzna o ciemnej skórze.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Czy mogłabym rozmawiać z panem Wolffem?

Mężczyzna zniknął w ciemnościach. Po chwili wrócił i poinformował ją, że Anton wyjechał. Sara zamarła.

- Wie pan może dokąd?

- Nie, nie. Przykro mi, proszę pani.

Drzwi się zamknęły. Sara wiedziała, że jest daleko od domu. Może powinna była kazać taksówkarzowi poczekać. Rozejrzała się w jedną i drugą stronę. W tej części Londynu zapewne trudno będzie o taksówkę. Dziewczynka pobiegła w swoją stronę, a z bocznej uliczki wyszedł węglarz z pustymi workami na plecach i zaczął się wspinać na wóz. Kiedy koń nie zareagował na szarpnięcie lejców, wyjął zza siedzenia kij i zaczął okładać nim zwierzę. Sara patrzyła przerażona, a potem podbiegła do wozu.

- Nie wolno tak. Nie widzi pan, że on jest zmęczony? Zaskoczony węglarz przerwał na chwilę bicie, lecz potem powiedział:

- Proszę pilnować swoich spraw, hrabinio - i uderzył konia po raz kolejny.

- Dosyć! Jego to boli!

Węglarz zaklął. Koń ruszył resztką sił. Sara zamarła. Usłyszała za sobą głos wołający jej imię. Odwróciła się i ujrzała Antona.

- Ten okropny człowiek... on bił to biedne zwierzę... Anton wziął ją pod ramię i odprowadził dalej od konia i wozu.

- Saro, co ty tu robisz?

- Przyjechałam się z tobą zobaczyć.

- Nie powinnaś tu przychodzić. Musisz iść. Przyjechałaś taksówką? Gdzie ona jest?

- Odesłałam ją.

- Znajdę ci inną.

Zaczęła płakać. Ten okropny węglarz i niezadowolenie Antona, jego nieprzystępność. Anton jęknął:

- Saro, na miłość boską, nie płacz, proszę, nie płacz - a potem zamruczał coś po niemiecku. I dodał: - Wejdzmy do środka. Chodź ze mną.

Kiedy wchodzili po schodach, otoczyły ją dziwne zapachy - kapusty, przypraw i niewietrzonej odzieży. Na piętrze otworzył drzwi do pokoju. Weszli do środka.

- Nie chciałem, żebyś widziała to miejsce.

- To mi nie przeszkadza.

- A mnie tak. - Wydawał się zły.

Meble były tu stłoczone. Od zwilgotniałej ściany odpadła farba. Niewielki kredens i walizka pod łóżkiem musiały zawierać cały dobytek Antona. Zastanawiała się, jak w takim pokoju można żyć, jak cokolwiek może tu sprawiać przyjemność.

- Zrobię kawę - zaproponował Anton. Postawił metalowy dzbanek na palniku gazowym. - To miejsce ma swój urok - rzucił lekko. - Wyrzyj przez okno, a zobaczysz stocznię. W nocy te światła na dźwigach i statkach wyglądają wspaniale.

Sara spytała szeptem:

- Dlaczego przestałeś przychodzić do Ruby? Westchnienie.

- Sądziłem, że najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się widywać.

- Dlaczego tak miałyby być najlepiej?

Nalał kawy i podał jej kubek. Potem usiadł na łóżku i dopiero wtedy odpowiedział:

- Saro, posłuchaj mnie. Dwadzieścia lat temu, przed wojną, Wolffowie byli rodziną szanowaną w Wiedniu. Szanowaną... -

Spojrzał na Sarę pytająco. - Czy to właściwe słowo? Chcę powiedzieć, że nie była to żadna wielka, utytułowana ani nawet bogata rodzina, lecz po prostu przyzwoita i lubiana. Rodzina lekarzy, architektów i profesorów. Rodzina, która miała wielu przyjaciół i miły dom.

- Szanowana - wyszeptała.

- Tak. Wolffowie byli szanowaną rodziną. Mieszkaliśmy w Favoriten, dobrej dzielnicy Wiednia. A potem przyszła wojna i wszystko się zmieniło. Dwóch moich wujów zginęło w walkach, a mama zmarła w czasach głodu, który nastąpił po wojnie. W owym czasie wiele rodzin straciło cały majątek. Ale mój ojciec... Mój ojciec jest idealistą. Twierdził, że wojna i to, co przyszło po niej, może być podstawą do stworzenia lepszego świata. Nadal pracował jako architekt, lecz zamiast tworzyć wspaniałe pałace, projektował domy dla zwykłych ludzi. Mówiłem ci o Karl - Marx - Hof. W owym czasie powstało wiele innych podobnych miejsc, a niektóre z nich zaprojektował mój ojciec. W Wiedniu nie było łatwo żyć, lecz choć nasza sytuacja nie była już tak dobra jak przed wojną, jakoś sobie radziliśmy. Tata wydawał wszystkie pieniądze na moją edukację. Kiedy skończyłem szkołę, wstąpiłem na uniwersytet.

- I co się stało?

- Tata stracił pieniądze w czasie kryzysu w 1929 roku. A potem, kiedy w 1931 roku upadł Kredit - Anstak Bank, poszła również ta resztką pieniędzy, której wcześniej udało się nie stracić. Musieliśmy opuścić nasz dom i przenieść się do mniejszego mieszkania. Rzuciłem studia. Pracowałem, zarabiałem, jak tylko się dało. A potem wybuchły zamieszki w Wiedniu.

- I poszedłeś do więzienia?

- Ruby ci powiedziała? Tak. Oskarżenia były, rzecz jasna, fałszywe. Wiele osób zostało niesłusznie skazanych.

- To musiało być straszne. Wzruszył ramionami.

- Nie lubię ciasnoty. Nie wiem dlaczego, ale zawsze tak było. - Rozejrzał się dokoła i z ponurym uśmiechem dodał: - Ten pokój jest za mały. Mam ochotę rozepchnąć te ściany. Może właśnie dlatego chciałbym projektować domy o dużych oknach i przestronnych pokojach, bez ponurych kątów. Tak, w więzieniu nie było przyjemnie. Obaj z tatą wyszliśmy po paru tygodniach. Nie mieli dowodów.

- A potem przyjechałeś tutaj?

- Tak. Jak już ci mówiłem, próbowałem przekonać ojca, żeby mi towarzyszył, lecz odmówił.

- A potem poznałeś mnie. Wbił w nią wzrok.

- Odkąd cię poznałem, nie tęsknię już za domem.

- A mimo to nie chcesz się już ze mną spotykać. Nie rozumiem.

- Próbowałem ci to wytłumaczyć.

- Tak, rozumiem, że twoja rodzina przeżywała ciężkie czasy. Przepraszam, Anton, musiało wam być bardzo trudno, lecz to nie jest żadne wyjaśnienie!

Wstał i podszedł do okna. Stojąc plecami do Sary, powiedział:

- Rozmawiałem z Ruby o twojej rodzinie. Opowiedziała mi o twoim tacie, bogatym przemysłowcu. I o twojej mamie, którą poznałem, prawdziwej piękności. I twoim bracie, który pracuje w rodzinnej firmie. Co w tym wszystkim mielibyśmy robić my? Czasy są ciężkie zarówno w Londynie, jak i w Wiedniu. Nie ma za dużo pracy, a już tym bardziej dla obcokrajowca. Mam nadzieję, że to się zmieni, że będzie lepiej. Ale na razie nie stać mnie na kupno płaszcza, na nowe buty. Chowamy się więc po kątach. Rozmawiamy w holu. Nie mogłabyś mnie przedstawić swojemu bratu. A dlaczego? To chyba wiemy oboje, prawda? Bo odprawiłby mnie z kwiatkiem.

- Z kwitkiem - poprawiła Sara.

- Z kwitkiem, przepraszam. - Przeczesał włosy dłonią. - Z początku sądziłem, że to będzie możliwe. Że jeśli będę wieczorami dawał lekcje niemieckiego i wynajmę możliwie najtańszy pokój, to uda mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy, a wtedy... - jęknął z rozpaczą. - Lecz wkrótce zdałem sobie sprawę, jaki byłem głupi. I że absolutnie nie powinienem się z tobą spotykać, Saro. To, co robiliśmy, było niewłaściwe.

- Jak może być niewłaściwe to, że cię kocham? - zawołała, a potem, zdając sobie sprawę z gwałtownej szczerości swych słów, zawstydzona odwróciła wzrok.

Usłyszała tylko jego westchnienie:

- Och, Saro.

- Cóż, tak właśnie jest - potwierdziła stanowczo.

- Wobec tego jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. -

Wziął ją za rękę. - Ponieważ ja również cię kocham.

Sara poczuła, jak ogarnia ją radość.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ale to niemożliwe. Saro, nie możemy być razem, dobrze o tym wiesz. Widziałem, w jaki sposób patrzyła na mnie twoja matka. Jest piękna, jak jej córka, i bogata, i taka... taka angielska. To jasne, że nie należę do jej świata.

- To bez znaczenia!

- Czyżby? Saro, przeze mnie okłamujesz matkę. Nie chcę stawać pomiędzy tobą a twoimi rodzicami. Nie chciałbym nikomu zadawać bólu.

- Przedstawię cię więc rodzicom. Powinnam to była zrobić już dawno.

- A co potem? - spytał ze smutkiem.

- Przyjdiesz na podwieczorek... albo coś w tym rodzaju...

- Nie. Twoi rodzice nie zaproszą mnie na podwieczorek.

Sara chciała coś powiedzieć, lecz Anton powstrzymał ją, unosząc dłoń do góry.

- Uwierz mi, nie zaproszą mnie do domu. Nie zrobią tego, bo od razu się zorientują, co do ciebie czuję. Nie powinienem był tego zaczynać. Nie powinienem był z tobą rozmawiać ani cię dotykać. Saro, gdyby twój tata się o nas dowiedział, zabroniłby nam się widywać. Nie chciałby, żebyś miała cokolwiek wspólnego z kimś takim jak ja. Wiem to. I sądzę, że ty także to rozumiesz.

Sara pomyślała o chłopcach, których zapraszano do domu, którzy grali w tenisa na ich korcie i których nazwiska widniały na liście Isabel, kiedy organizowała przyjęcia i tańce. Celem tych wszystkich rozrywek było wybranie męża dla Sary spośród synów biznesmenów, finansistów i właścicieli ziemskich. Dziewczyna podejrzewała, że Anton ma rację, że rodzice rzeczywiście zabroniliby jej się z nim widywać.

A mimo to oprócz obaw w głębi serca czuła również pewność, że cały ten bezsens i nuda jej wchodzenia w dorosłe życie były jedynie okresem przejściowym, który skończył się, gdy poznała Antona.

- Wobec tego poczekamy - rzekła spokojnie. - Będziemy dyskretni. Poczekamy, aż skończę dwadzieścia jeden lat, i wtedy powiem o tobie rodzicom. Chcę, żebym była szczęśliwa. Przekonam ich, że mogę być szczęśliwa jedynie z tobą, kochanie. Wiem, że rozumieją. Będzie dobrze, wiem to. - Spojrzała na niego. - Rok czekania to chyba nie za długo, prawda, Anton?

Codzienne wydatki w zadziwiający sposób zżerały zarobki Ruby. Większa część jej tygodniówki szła na jedzenie, ubranie i wynajem kawałka dachu nad głową. Choć była dobrą pracownicą, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, i spodziewała się awansu, nie umknął uwagi Ruby fakt, że zdecydowana większość jej przełożonych to mężczyźni. Postrzegała państwową instytucję, w której pracowała, jako piramidę; jej podstawę tworzyły zapracowane dziewczęta, takie jak ona, oraz kilka niezamężnych starszych kobiet. Im wyżej w górę, tym więcej było mężczyzn w garniturach, na samym szczycie zaś, w wyłożonym dywanami gabinecie, siedział wspaniały i nieprzystępny władca, dżentelmen z wąsami i monoklem, który był najwyraźniej zbyt ważny, by w ogóle zauważyć Ruby, przechodząc korytarzem.

Któraś wieczoru rzeźbiarz zwany Kitem, który mieszkał na jednym z niższych pięter w domu Ruby i bez zapału usiłował namówić ją, by poszła z nim do łóżka, siedział w jej pokoju, pił kawę i opowiadał o swoich problemach. Ruby wyjęła walizkę ojca i przeglądała ubrania i papiery: dokumenty demobilizacyjne, odcinki z sumami zarobków, menu pułkowego obiadu.

Kit spytał:

- Co robisz?

- Mogłam coś przeoczyć. Słucham, słucham, mów dalej.

- Jeśli mnie wyrzucą z pokoju, to nie wiem, co zrobię.

- Dlaczego miałoby cię wyrzucić?

- Mówiłem ci, nie mam pieniędzy na czynsz. Mogłabyś mi pożyczyć trochę forsy, Ruby?

- Nie - odparła stanowczo. Odłożyła na bok dokumenty i wzięła listy, związane kawałkiem sznurka. - Powinieneś sobie znaleźć jakąś pracę, Kit.

- Na Boga, nie. Ale mam pewien pomysł. Mógłbym wynajmować swoją pracownię w ciągu dnia. Znaleźć jakiegoś innego artystę, który chciałby skorzystać z miejsca. I tak wolę pracować w nocy.

- A sam dokąd pójdziesz?

- Do Daisy Mae. Nie wstajemy przed południem. Co o tym myślisz?

- Dobry pomysł.

Wpatrując się w koperty, Kit spytał:

- Od kogo te listy?

- Od przyjaciół. Tata chyba nie miał rodziny.

Ruby pojechała kiedyś do Buckland, gdzie urodził się ojciec. Udało jej się odszukać kowala, który pamiętał tatę i potwierdził to, co już wiedziała: że nie żyje już żadne z jego rodziców. W okolicy nie mieszkał też żaden krewny.

Kit oświadczył z żalem:

- Ja też nie mam nikogo, kto by się o mnie martwił.

- Kit, to bzdura. Wiesz, że masz dziesiątki krewnych, tylko o nich nie mówisz.

Ruby odłożyła kalendarz, który już wcześniej przejrzała nadzwyczaj dokładnie, i przeszła do starych marynarek, koszul i kamizelek. Biorąc do ręki pierwszą z tych rzeczy, miała świadomość, że czuje niechęć. Ubrania to coś bardzo osobistego, wiąże się z nimi tyle wspomnień. Kiedy zanurzała dłoń w kieszeni albo oglądała metkę przy kołnierzyku, czuła, że narusza prywatność ojca.

Ubrań nie było zbyt wiele, lecz wszystkie w dobrym stanie. Nicholas Chance nosił się elegancko, schludnie. Dbał o odzież, podobnie jak jego córka. Gdyby miał zamiar odejść, zabrałby ze sobą jedwabną kamizelkę.

- Powinnaś to sprzedać - orzekł Kit. - Ruby, jesteś taka przygnębiona, bo za dużo myślisz o przeszłości.

Z niewielkiej ukrytej kieszonki kamizelki wyjęła jakiś kartonik.

- Nie jestem przygnębiona - odparła machinalnie. W ręce trzymała bilet na pociąg do Salisbury.

Kit ucieszył się:

- Wobec tego chodź ze mną do łóżka.

Ruby znów przerzucała kartki kalendarza, szukając potwierdzenia czegoś, co wiedziała na pewno - a mianowicie, że nie ma tam żadnego adresu w Salisbury.

Kit gładził jej kolano. Odepchnęła jego dłoń i oznajmiła oschle:

- Późno już, powinieneś iść.

A potem zwinęła ubrania i odłożyła je z powrotem do walizki.

W ciągu kolejnych dni często myślała o owym bilecie. Po co tata miałby kupować bilet do Salisbury? Jego praca wymagała wyjazdów do Reading i okolicznych miast i wsi. A jeśli znajdziesz coś, czego wolałabyś nie wiedzieć? Theo miał na myśli to, że jej tata mógł zostawić mamę dla jakiejś innej kobiety. A jeśli naprawdę kochał inną kobietę?

Dwa tygodnie później Ruby wzięła dzień wolny i pojechała do Salisbury. Kiedy przybyła na miejsce, jak zwykle przyglądała się wszystkim przechodniom, szukając w tłumie twarzy ojca.

Był to dzień targowy. Kupiła na straganie jabłko i zjadła je w drodze do biblioteki publicznej. Jeśli jej tata miał kochankę, jeśli opuścił mamę dla innej kobiety, to ona mogła przyjąć jego nazwisko dla zachowania pozorów, więc obydwójce nazywali się Chance. Nie było to zbyt popularne nazwisko. Przeglądając w czytelni książkę telefoniczną, Ruby znalazła jedynie dwie osoby: Harry'ego Chance'a, hrabiego, i panią C. Chance. Nicholasa Chance'a nie było - poczuła rozczarowanie, tak dobrze znane w okresie spędzonym na poszukiwaniach ojca.

Sprawdziła na mapie, że Harry Chance mieszka w wiosce położonej na północ od miasta, zdecydowała się więc najpierw odwiedzić bliższe miejsce. Pani Chance mieszkała na Moberly Road. Kiedy Ruby szła Castle Street, szeroką ulicą, prowadzącą na wzgórze, z daleka od centrum, straciła wszelkie resztki nadziei, które dotychczas tliły się w jej sercu. Pani C. Chance pewnie okaże się szacowną siedemdziesięcioletnią wdową, która na dodatek wybrała się na zakupy albo wyjechała. A nawet jeśli będzie w domu, to co Ruby jej powie?

Moberly Road zabudowana była okazałymi willami z czerwonej cegły. Dochodząc do domu pani Chance, Ruby ujrzała w ogródku kobietę, która klęczała na trawniku i niewielką motyczką wykopywała cebulki, które potem układała na gazecie. Miała na sobie brązową spódnicę i szafirową bluzkę, jej ciemne włosy zaś związane były białą - czerwoną jedwabną apaszką. Miała niewiele ponad trzydzieści lat.

Na widok Ruby odezwała się:

- To wyciąganie cebulek żonkili to okropna praca, ale, co robić. Mogę w czymś pomóc?

- Czy pani nazywa się Chance?

- Tak. - Kobieta wstała.

- Usiłuję odnaleźć Nicholasa Chance'a.

Nazwisko ojca zrobiło na kobiecie niezwykle wrażenie. Zbladła i zeszywniała. A potem zmarszczyła brwi.

- Cóż, ja też. - Roześmiała się. - I to od dłuższego czasu. Powinam prosić, żebyś dała znać, jak ci się to uda, ale przestało mi zależeć.

Ruby przypomniało się znane z książek wyrażenie: włosy stanęły komuś dęba. Zawsze uważała, że to niemożliwe i że to jedynie werbalny sposób na opisanie strachu lub zaskoczenia, a nie faktyczne odczucie. Teraz jednak miała wrażenie, jakby zanurzono ją w tłuczonym lodzie. Bolała ją cała skóra.

Spytała cicho:

- Pani go zna?

- Oczywiście, że znam, znałam... Nicky'ego - odparła kobieta i skrzywiła się. - Albo mi się wydawało, że go znam.

Nicky, pomyślała Ruby. Nikt nigdy nie zwracał się do jej ojca w ten sposób.

- Kim pani jest? - zapytała pani Chance, równie zaskoczona. - Po co pani tu przyjechała?

- Mój tata jest przyjacielem pana Chance'a - skłamała Ruby na poczekaniu. - Z czasów wojny. Chciał się z nim skontaktować. Pomyślałam...

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc zamilkła. Pani Chance się nie odezwała. Przyniosła z ganku papierosy i zapalniczkę. Zapalając papierosa, spytała:

- Mówisz, że twój tata zna Nicky'ego? I że po tylu latach chce go odszukać?

- Tak.

- Dlaczego teraz?

- Cóż... nie czuje się zbyt dobrze...

- Przykro mi to słyszeć, panno...

Po chwili wahania Ruby odparła:

- Finborough.

Ciemnobrązowe oczy pani Chance spoczęły na twarzy Ruby.

- Ile pani ma lat, panno Finborough?

- Dziewiętnaście.

- Skąd pani pochodzi?

- Z Londynu.

- Jak mnie pani znalazła?

- W książce telefonicznej.

- Chciałam wiedzieć, skąd pani wiedziała, że mieszkam w Salisbury.

- Znalazłam bilet kolejowy. - Ruby zamilkła w poczuciu klęski.

Niespodziewanie pani Chance się roześmiała.

- Cóż, nie spodziewałam się takiej wizyty.

A potem zmienionym głosem dodała stanowczo:

- Okłamuje mnie pani. Jest pani jego córką, prawda? Ruby zaniemówiła. Zmienił się wyraz twarzy pani

Chance, teraz ból mieszał się ze złością i buntem.

- Ma pani jego oczy - powiedziała kobieta. - Przez lata podejrzewałam... byłam niemal pewna... że coś jest nie tak... nawet wtedy... - Przerwała w pół zdania.

Otworzyły się frontowe drzwi i mała dziewczynka zawołała:

- Mamusiu, gdzie są nożyczki? Pani Chance odparła mechanicznie:

- Anne, w moim przyborniku do szycia. Tylko odłóż je na miejsce - a potem upuściła niedopałek papierosa na żwirowy podjazd, po czym przydeptała go czubkiem buta i zwróciła się do Ruby:

- Proszę wejść. Chyba obie powinnyśmy się napić. W domu pani Chance ściągnęła apaszkę i potrząsnęła ciemnymi kręconymi włosami. Usiadły w pokoju od frontu, gdzie gospodyni naląła dwie szklaneczki sherry. Jej córeczka kręciła się po pokoju.

- Anne ma kwarantannę z powodu odry - wyjaśniła pani Chance.
- Nie mogę się doczekać, kiedy wróci do szkoły.

A potem podeszła do szuflady i wyjęła zdjęcie.

- Czy to on? Twój tata?

Ruby przyjrzała się fotografii. Serce jej się ścisnęło. Wysoka, przystojna sylwetka Nicholasa Chance'a była dobrym tłem dla młodej, pięknej kobiety, która stała obok niego z dzieckiem w ramionach.

- Tak.

- To zdjęcie zrobiono parę miesięcy po narodzinach Archiego. Mam... mamy syna o imieniu Archie. Syna i córkę Anne. Archie jest w szkole z internatem. - Kobieta obrzuciła Ruby przelotnym spojrzeniem. - Archie ma trzynaście lat, a ty mówisz, że masz dziewiętnaście. Spotkałam Nicky'ego sześć miesięcy przed zajściem w ciążę. Więc on musiał znać twoją mamę wcześniej.

- Moi rodzice pobrali się w 1913 roku.

- Pobrali... - Pani Chance usiadła. - Nicky miał żonę... - Jej oczy, w tej chwili dość nieprzytomne, skierowały się na Ruby. - Twoja mama... kiedy ona umarła?

Ruby przyjrzała się kobiecie uważnie.

- Mama żyje.

- W takim razie musieli się rozwieść?

Ruby pokręciła głową.

- Nie.

- Och, na Boga.

Pani Chance zamknęła oczy.

Anne wbiegła do pokoju i oznajmiła:

- Mamusiu, jestem głodna.

Pani Chance odetchnęła głęboko, uspokoiła się i zwróciła do córki:

- Skarbie, weź sobie ciasteczko.

- A mogę dwa?

- Tak, ile tylko chcesz.

Kiedy znów zostały same, pani Chance upiła duży łyk sherry.

Ruby zapytała:

- Tata nie powiedział pani o mamie?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Pani Chance ponownie skierowała na Ruby nieobecny wzrok. - Przecież gdybym wiedziała, tobym za niego nie wyszła, prawda?

Teraz to Ruby zamarła, ściskając w dłoni szklaneczkę sherry, jakby mogła jej ona w jakiś sposób pomóc.

- Tata ożenił się z panią...?

- Tak! - Wybuch smutnego śmiechu. - Właśnie tak było. Wygląda, jakby weszło mu to w krew, prawda? Cholerny, wstrętny kłamca. - Claire Chance po raz kolejny sięgnęła po papierosy, tym razem częstując również Ruby. - Kotku, napij się jeszcze.

Szklaneczki po raz kolejny napełniły się sherry. Ruby wyszeptała:

- Ale jego tu nie ma?

- Nie. Nie widziałam go od lat.

- Od ilu lat, pani Chance?

- Claire. Mów mi Claire. Dobry Boże, gdybyśmy nie byli małżeństwem... Chyba tak naprawdę to nie jestem Claire Chance, co? Ciągle jestem Claire Wyndham. Przez te wszystkie lata nie wiedziałam nawet, jak się nazywam. Ani jak nazywają się moje dzieci. - Jej słowa były gorzkie, nieprzytomne. - Ale ty nazywasz się Chance, prawda? Nie tak, jak mi powiedziałaś na początku?

- Jestem Ruby Chance.

Claire Chance skinęła głową i wzięła kolejnego papierosa.

- Taki szok. - Dłoń trzymająca papierosa drżała. - Nie powinnam się przecież dziwić. Zawsze wydawało mi się, że coś jest nie tak. Nawet kiedy byliśmy razem. Nie chciał mówić o swojej przeszłości. Kiedy się kogoś kocha, chce się wszystko o nim wiedzieć, prawda? Lecz Nicky zawsze udzielał wymijających odpowiedzi. Cóż, teraz już wiem dlaczego. - Przyjrzała się Ruby podejrzliwie. - Czy twoja mama wie, że tu jesteś?

- Nie, nie powiedziałam jej, że szukam taty. Ona nie czuje się zbyt dobrze.

- Ruby, od dawna go szukasz?

- Od lat - odparła. W jej głosie czaiła się pustka.

- I nie dowiedziałas się o nas wcześniej ? Nie zdawałaś sobie sprawy, że Nicky...? Nie, pewnie że nie, jak mogłabyś... - Claire Chance przycisnęła pięść do ust. - Zapewne jesteś równie zaskoczona jak ja. Biedactwo.

Zapadła cisza, którą przerwała Ruby.

- Powiedziałaś, że zawsze podejrzewałaś, że coś jest nie tak. Co miałaś na myśli?

Kobieta machnęła ręką.

- Nie będę udawać, że to nie jest bardzo przykre, ale chyba miałam przeczucie na długo, zanim Nicky mnie opuścił. Weekendy poza domem, wyjazdy służbowe po całym kraju, a był przecież jedynie komiwojażerem. I nigdy nie miał pieniędzy. Przyznaję, że kiedy go poznałam, wydawało mi się, że jest dość dobrze sytuowany. Zachowywał się jak dżentelmen i był taki hojny. Ale po ślubie ciągle musieliśmy oszczędzać - dodała z goryczą. - Oszczędzam też, odkąd odszedł, więc być może dobrze się stało, że się wcześniej do tego przyzwyczaiłam. Wychowywanie dwójki dzieci w pojedynkę jest bardzo trudne. Moi rodzice pomagają płacić za dom i szkołę, dzięki Bogu, ale jeden tylko Bóg wie, ile mnie kosztują ich znaczące spojrzenia i te wszystkie „a nie mówiłam”.

Usiadła na krześle z papierosem w ustach. Claire Chance miała twarz, która mogła wydawać się zupełnie zwyczajna, niemal brzydka, kiedy kobieta była zdenerwowana czy niezadowolona, lecz która w chwilach spokoju była pełna życia i piękna.

Claire ciągnęła:

- Kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży z Archiem, uznałam, że nie mogę przebierać. Nie żebym nie miała ochoty wyjść

za Nicky'ego. Szczerze mówiąc, uwielbiałam go. To jest najgorsze, naprawdę go uwielbiałam. - Wyglądała na zranioną. - Jest jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam. I on mnie też kochał, wiem, że tak było. - Spojrzała na Ruby, po czym odwróciła wzrok. - Pewnie właśnie dlatego nie naciskałam go za bardzo. Może nie chciałam wiedzieć. Chyba stchórzyłam. Bałam się, żeby moje marzenia nie rozsypały się w proch.

- Kiedy mój tata cię zostawił?

- Anne miała dwa lata. - Claire zmarszczyła brwi. - To musiał być rok 1927. Jesień, bo musiałam sama grabić te wszystkie liście. - Mroczne spojrzenie powróciło do Ruby. - A was?

- Po raz ostatni widziałyśmy go mniej więcej w tym samym czasie.

Westchnienie.

- Wygląda, jakby nie mógł już tego dłużej znieść, co? Dwie żony, dwie rodziny... Jeśli się nad tym zastanowić, to musiało być dla niego bardzo męczące. - Claire wyglądała na wściekłą. - Chyba że miał gdzieś jeszcze trzecią rodzinę i zwiął do niej. Nie wydaje mi się to znów takie niemożliwe.

- Gdzie go poznałaś?

- W Londynie, w barze hotelu na Charing Cross. Czekałam na przyjaciółkę. Nie przyszła, a Nicky postawił mi drinka, zaczęliśmy rozmawiać i...

Opowiadała o spotkaniach w dworcowych barach i o wieczornych tańcach w zadymionych klubach, o zalotach, na których wspomnienie, mimo upływu lat, nadal rozświetlała się jej twarz. Malowała słowami obraz obdarzonego fantazją, beztroskiego mężczyzny, którego Ruby widywała tak rzadko.

W końcu Claire zaproponowała:

- Masz ochotę na lunch? Wystarczy dla nas trzech. Mogłabyś lepiej poznać Anne. Jesteście przecież przyrodnimi siostrami.

- Nie, dziękuję, muszę iść.

Zamieniły jeszcze kilka zdań i rozstały się, nie będąc w stanie ukryć straszliwego poczucia zdrady, które zapewne miały obydwie. Już w pociągu do Londynu Ruby zorientowała się, że od rana zjadła jedynie kupione na targu jabłko, więc poszła do wagonu restauracyjnego. Kleiner przyniósł jej herbatę i kawałek ciasta, a ona precyzyjnie pokroiła je na osiem niewielkich kwadracików, po czym

każdy z nich rozkruszyła na kupkę okruchów i rodzynek. Zawsze lepiej wiedzieć, prawda? - mówiła do Theo. Ale myliła się, tak bardzo się myliła.

Zaczęła rozważać naturę zdrady. Czy coś mogło boleć bardziej niż odkrycie, że zostało się oszukanym, że ktoś nadużył twojego zaufania? Ona także zdradzała. Co powiedziałyby Isabel Finborough, która przyjęła ją do swego domu, gdy była w potrzebie, i obdarzała ją prawdziwym uczuciem, gdyby się dowiedziała, że Sara zakochała się w austriackim studencie, Antonie Wolfie, i że ona, Ruby, przekazuje zakochanym listy i pomaga im zachować spotkania w tajemnicy?

Gdy pociąg pędził w stronę Londynu, zostawiając za sobą zamazany zielony krajobraz, Ruby zastanawiała się nad jedną kwestią. Którą ze swych dwóch rodzin Nicholas Chance kochał bardziej ?

Kornwalijski dom Isabel położony był o milę od najbliższej wioski, do której prowadziła wąska dróżka, po bokach porośnięta kremowymi baldachami kwiatów marchwi. Od Porthglas Cottage grunt opadał, najpierw przechodząc w porośniętą trawą zbocze, a potem w skały i głazy, ku plaży. Każdą wizytę w Porthglas, zaraz po wniesieniu bagaży do domu, Isabel zaczynała od spaceru ścieżką wzdłuż klifu w kierunku plaży ukrytej pomiędzy wznoszącymi się skałami. Witała się z morzem, szeptem mówiła mu dzień dobry.

Kiedy Richard kupił dla niej Porthglas Cottage, chciał, by zatrudniła gosposię, która mieszkałaby w domu i doglądała go pod nieobecność rodziny, lecz Isabel odmówiła. Chciała przynajmniej czasami być sama. Richard potrafił zapomnieć o obecności służącej, lecz ona, sama będąc w przeszłości służącą, nie umiała. To był pierwszy dom, jedyny dom, który naprawdę należał do niej.

Kobieta ze wsi, pani Spry, przychodziła sprzątać trzy razy w tygodniu. To właśnie ona napisała do Isabel o problemie z dachem. Silny wiatr obluzował kilka dachówek i deszcz wlewał się do niższej części domu. Ona ustawiła wiadra, by łapać wodę, a jej mąż usiłował naprawić dach, ale może pani Finborough chciałyby zrobić coś jeszcze? Richard wyjechał w interesach, więc Isabel skorzystała z okazji i wsiadła w pociąg do St Ives. Z okna wagonu przyglądała się, jak domy i fabryki Londynu i Reading zamieniają się w dobrze utrzymane łąki i wsie ze złocistego kamienia. W Devon pociąg jechał kilka mil wzdłuż brzegu morza. Nie przypominało ono morza Isabel,

szarego i pofałdowanego, a nie błękitnego i roziskrzonego, lecz i tak cieszyło jej serce.

Po dotarciu do St Ives wynajęła taksówkę na ostatni etap podróży. Dotarłszy do domu, szybko obejrzała szkody. Na szczęście podłoga w tej części domu wyłożona była płytkami. Na środku pokoju nadal stało cynowe wiadro. Krople pozostałe po porannym deszczu wpadały jeszcze do wiadra od czasu do czasu. Isabel postanowiła się zapytać państwa Spry o fachowca, który mógłby dokonać naprawy dachu.

Włożyła gumowce i zeszła do zatoczki. Chmury powoli się rozpraszaly i pojawiło się słońce. Morze połyskiwało niby jasnoniebieski opal. Fale ozdobione koronką z piany lizały jej stopy. Podczas każdego pobytu w Porthglas Isabel czuła ulgę i swobodę.

Porthglas stanowiło jej azyl. Dzięki niemu była w stanie żyć w mieście, którego w głębi serca nie lubiła. Pomogło jej też, jak sądziła, poradzić sobie w małżeństwie obfitującym w burze, czasem niezwykle trudnym. Przyjeżdżała do Porthglas, kiedy dzieci zdrowiały po odrze, kiedy pokłóciła się z Richardem. I zawsze pomagało. Podobało jej się odosobnienie tego domu. Nawet w lecie często była jedyną osobą na plaży; mogła przejść wiele mil ścieżką wzdłuż klifu i nie spotkać żywej duszy. Nie było tu telefonu. Nie mieli sąsiadów. Jedynym sposobem komunikacji pozostawały listy. Kiedy potrzebowała towarzystwa, szła do wsi i gawędziła z właścicielką sklepu, żoną pastora, osobą miłą i delikatną. Albo zapraszała przyjaciół z Hampstead, artystów, pisarzy i muzyków, których towarzystwo odpowiadało jej zdecydowanie bardziej niż partnerzy Richarda. Rozchodzili się oni po domu, szkicowali morze z okna na piętrze albo w kuchni przygotowywali pyszne, choć raczej improwizowane potrawy.

Skąd się brała ta jej potrzeba ucieczki? Być może, myślała, stąd, że całe życie kimś musiała się opiekować. Nie żałowała ani jednej chwili, lecz czasem pragnęła się odsunąć i spokojnie odetchnąć.

Pogoda była ładna, długie dni rozświetlały promienie słońca i chłodził lekki wiatr. Dach został naprawiony i Isabel pracowała w ogrodzie, wykopując bruzdy i siejąc długie grzędy lawendy i rozmarynu, które mogły ochronić delikatniejsze rośliny od wiatru. Kiedy przychodziła pani Spry, zdejmowały do prania wszystkie zasłony, a potem wieszały je na sznurze, gdzie wydymały się na wietrze. Kiedy wreszcie podeschły, zabierały je z powrotem do domu,

gdzie przed powieszeniem trzeba je było jeszcze uprasować. Po południu Isabel często brała szkicownik i pastele i siadała na klifie albo na plaży. Lubiła ten zmienny widok - bez względu na to, ile razy go rysowała, krajobraz nigdy nie był taki sam.

Po tygodniu jej pobytu w Porthglas Cottage przyszedł list od Daphne Mountjoy. Kiedy Isabel była w Kornwalii, Sara mieszkała u Mountjoyów - ich jedyna córka była szkolną koleżanką Sary. Pani Mountjoy pisała:

Z przykrością muszę Cię powiadomić o czymś nieprzyjemnym. Sara powiedziała, że boli ją głowa, i nie wybrała się z nami na piknik do Everettów. Jednak Dorothy Bryant twierdzi, że będąc na spacerze z wnukami w Green Park, widziała Sarę i jest przekonana, że była ona w towarzystwie mężczyzny. Oczywiście porozmawiałam z Sarą, a ona utrzymywała, że w czasie popołudniowego spaceru nikogo nie spotkała. Nie martwiłabym się, gdyby Dorothy nie upierała się przy swoim, bo nie chciałabym widzieć Sary w kłopotach.

Czytając list, Isabel była początkowo przekonana, że Dorothy Bryant musiała się pomylić. Co Sara miałaby robić w Green Park z mężczyzną? Oczywiście jeśli nie był to Philip albo Theo, który niespodziewanie wrócił z Europy. Lecz wówczas Sara z całą pewnością powiedziałaaby pani Mountjoy, że spotkała się z jednym z braci.

Isabel przypomniała sobie plażę w Broadstairs i mężczyznę wychodzącego z morza, swoje pożądanie, naiwność, nieświadomość. Po południu spakowała walizkę i z wiejskiego sklepu zamówiła taksówkę na wczesny poranek następnego dnia. Po dotarciu na dworzec wsiadła w pociąg do Londynu. Przybyła do Hampstead późnym popołudniem i zadzwoniła do Daphne Mountjoy, która oznajmiła, że Sara jest u Ruby.

Dunning miał dzień wolny, więc Isabel wzięła taksówkę. Upał, tak przyjemny w Kornwalii, w Londynie był nieznośny, i czuła już początki bólu głowy. Pogoda pewnie się zmieni, gdyż na horyzoncie zbierały się już burzowe chmury, szare i gęste. Isabel zastanawiała się, kiedy Richard wróci do domu. Podczas podróży do Europy nie kontaktował się z nią zbyt często. Może Philip będzie wiedział. Zresztą ona sama może przecież zadzwonić do sekretarki Richarda, choć w zasięganiu informacji o mężu u innej kobiety było coś poniżającego.

Taksówka skręciła w Filham Road i wtedy Isabel ich zobaczyła: Sarę i jasnowłosego mężczyznę, którego wtedy wzięła za chłopca Ruby. Tym razem Ruby nie było widać, ramię mężczyzny zaś otaczało talię Sary, która z uśmiechem spoglądała na swego towarzysza.

Sara wykrztusiła:

- Mamusiu... - a potem przerażona i zaskoczona, dodała: - Mamusiu, przepraszam.

- Frau Finborough... - zaczął Anton.

- Nie, nie zamierzam z panem rozmawiać - przerwała mu Isabel.
- Nie będzie pan miał więcej nic wspólnego z moją córką. Proszę zostawić ją w spokoju. Proszę się z nią więcej nie spotykać. Rozumie pan?

Sara została wepchnięta do taksówki. Mama rzuciła taksówkarzowi adres w Hampstead tym samym ostrym tonem. Kiedy samochód odjeżdżał, Sara zobaczyła jeszcze twarz Antona.

Isabel ściszyła głos, by taksówkarz nie słyszał jej słów:

- Pani Mountjoy napisała, że pani Bryant widziała cię z mężczyzną w Green Park. Byłaś tam? Z tym mężczyzną?

Sara odparła szeptem:

- Tak, mamo.

Po pierwszym grzmocie spadł gęsty deszcz. Świeżo uprasowane letnie sukienki dziewcząt wędły na deszczu, a mężczyźni trzymali runda kapeluszy. Isabel i Sara patrzyły w przeciwne strony i przez pozostałą część drogi nie rozmawiały ze sobą.

Już w domu, kiedy pokojówka wyszła z salonu, Sara powiedziała:

- Przepraszam za kłamstwa, mamo. Bardzo przepraszam.

- Ten mężczyzna...

- Anton. On się nazywa Anton Wolff.

- Od jak dawna go znasz?

- Od końca zeszłego lata.

- Zeszłego lata. - Dłoń, wyciągnięta po dzbanek z herbatą, zastygła w powietrzu. - Kto ci go przedstawił? - Isabel zmarszczyła brwi sama, odpowiadając sobie na zadane pytanie: - Ruby, jak sądzę.

- Spotkałam go u Ruby, to wszystko.

- Kto jeszcze o nim wie? Ione?

- Nie mamo, oczywiście, że nie.

- Susan Everett? Mitchellówny? - Isabel wymieniła kilka innych przyjaciółek Sary.

- Nie, żadna z nich.

- Dzięki Bogu. - Isabel zamknęła oczy. - Powiem Daphne, że Dorothy się myliła. A wtedy, mam nadzieję, nie wyniknie z tego nic złego. Saro, jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś?

Zraniony wyraz oczu matki był najgorszą karą. Sara powtórzyła:

- Przepraszam. Wiem, że nie powinnam, ale bałam się, że nie pozwolisz mi się z nim spotykać. Mamo, ja kocham Antona!

- Saro, to śmieszne. Dziewczyna skrzywiła się.

- To prawda. I to wcale nie jest śmieszne. Kocham go. Przepraszam, że cię okłamałam, ale musiałam się z nim widywać.

- Reputacja dziewczyny jest niezwykle ważna. - Głos Isabel drżał, a ona sama wyglądała na bardzo zdenerwowaną. - Jeśli straci się reputację, rzadko można ją odzyskać. Ludzie nie dają drugiej szansy, zawsze pamiętają. - Spojrzenie Isabel pobiegło w kierunku zamkniętych drzwi. - Saro, powiedz, że to nie zaszło za daleko. Ze nie stało się nic złego.

Sara zarumieniała się.

- Ależ mamo, oczywiście, że nie.

Dobrze wycelowane pytania świstały niczym kule.

- A więc spotkałaś go u Ruby?

- Tak, mamo.

- Gdzie mieszka?

- W Whitechapel, przy Scarborough Street.

- Byłaś tam?

Sara wbiła wzrok w dłonie. Zrozumiała, że matka wszystkie jej słowa interpretuje niewłaściwie. Isabel dodała ostro:

- Saro, powiedz mi.

Patrząc matce w oczy, dziewczyna odparła buntowniczo:

- Tylko jeden raz.

- Na Boga... - Isabel zakryła usta dłonią. - Czy był tam ktoś jeszcze?

- Nie, mamo.

- A więc byłaś z nim sama. Czy zmusił cię, żebyś...?

- Nie, mamo! - zawołała Sara ze złością. - Poszłam tam, bo Anton przestał przychodzić do Ruby, chciał przerwać naszą

znajomość, ale ja nie mogłam na to pozwolić... i on nigdy nie zmuszałby mnie do niczego! To, co mówisz, jest wstrętne!

- To prawda, Saro? - spytała pobladła matka, bacznie się jej przyglądając.

- Oczywiście, że tak.

- W tej sprawie chyba nie ma żadnego oczywiście, co? Dość zręcznie okłamywałaś mnie przez tak długi czas!

Sara nabrała powietrza w płuca. W panującej ciszy słyszała grzmoty i dochodzące z głębi domu dźwięki - ty - kanie zegara, odległy szcęk naczyń z kuchni. Wszystkie te odgłosy tylko drażniły jej napięte nerwy.

Matka powiedziała cicho:

- Przepraszam, kochanie. Nie powinnam tak mówić.

Wybacz mi.

- Poszłam do domu Antona tylko raz i nie byłam tam nigdy więcej. Nie chciał nawet, żebym wchodziła do środka, i nie robiliśmy nic złego.

Sara wiedziała jednak, że matka uważa, iż ona i Anton zdecydowanie przekroczyli to, co ona uznawała za dopuszczalne granice.

- Gdybyś poznała Antona, z całą pewnością byś go polubiła - przekonywała Sara.

- Szczerze wątpię. - Isabel zacisnęła usta.

- Polubiłabyś, wiem to! - Sara poczuła, jakby napierała na niewzruszoną barierę, którą musiała zachwiać, bo od tego zależało jej szczęście. - On jest cudowny... w Wiedniu przeżył takie straszne rzeczy... musiał opuścić dom i przyjechać tutaj... jego rodzina straciła wszystkie pieniądze... Anton i jego ojciec byli nawet w więzieniu!

- Więzienie - powtórzyła Isabel z niesmakiem. - Kiepska zaleta. Kotku, nie wydaje mi się, żebyś wiedziała o nim rzeczy najważniejsze. Nie poznałaś jego rodziny i nie widziałaś jego domu. Musisz opierać się na tym, co sam ci powiedział.

- Anton by mnie nie okłamał.

- Tego nie można wiedzieć.

- Po co miałby kłamać? Ufam mu. Znam go.

- Saro, wydaje ci się, że go znasz - odparła Isabel pośpiesznie. - Niestety, mężczyźni potrafią być sprytni i przekonujący. Umieją sprawić, by dziewczyna widziała tylko to, co chcą jej pokazać. A

czasem, aby dostać, czego chcą, uciekają się do kłamstwa. Wiem, że uważasz mnie za oschłą, ale jestem pewna, że ten Anton ma dar przekonywania, i nie wątpię, że może się wydawać czarujący. Ale powiedz mi, czy gdyby był człowiekiem honoru, to ciągnąłby te potajemne zaloty?

- Mamo, proszę, nie... - prosiła Sara z płaczem.

- Kochanie, nie denerwuj się. Poznasz kogoś innego, bardziej odpowiedniego, przyrzekam.

- Nie poznam, wiem o tym...

Matka nalewała herbatę. Sara skupiła wzrok na dobrze znanych czynnościach: przytrzymanie sitka, by liście nie wpadły do filiżanki, dodanie mleka, zamieszanie cukru. Isabel pogłaskała włosy Sary.

- Kotku, posłuchaj mnie, proszę. Oboje z tatą pragniemy tylko twojego dobra. Zawsze chcieliśmy, żebyś była szczęśliwa.

Sara wykrzyknęła z rozpaczą:

- Z Antonem będę szczęśliwa!

- Czyżby? - spytała Isabel ze smutkiem. - Wątpię w to, Saro.

Od czasów wojny zarówno skrajnie prawicowe, jak i lewicowe partie walczyły o władzę. Tak było na przykład we Francji, Niemczech, Włoszech i Hiszpanii. Niemiecki militarizm w połączeniu z faszystowskim rządem mocno niepokoił. Choć ci spośród Brytyjczyków, którzy głośno domagali się pokoju za każdą cenę, przypominając swym rodakom o okropnościach wojny - okropnościach, które nadal nawiedzały sny Richarda - twierdzili, że ludzie kierują się w końcu zdrowym rozsądkiem, Richardowi wydawało się, że owego rozsądku jest zdecydowanie zbyt mało. Ludzie pragnęli bezpieczeństwa, a bezpieczeństwo musiało opierać się na władzy. Pęd do władzy - kosztem ludzkiego rozsądku - dał wolną rękę wszelkiego typu demagogom, sadystom i tyranom, którzy nie zawahają się użyć siły, aby osiągnąć zamierzony cel.

Już od dłuższego czasu Richard podejrzewał, że szykuje się kolejna wojna. Ostatnia pozostawiła zbyt wiele niezakończonych spraw, za dużo żalu, nienawiści i goryczy. Ta świadomość go przygnębiała. Z podróży do Europy nieodmiennie wracał z ulgą.

Tym razem wyczuł, że w domu coś się stało. Isabel wyglądała na zdenerwowaną, a Sara miała zaczerwienione oczy. Przytulił córkę i zapytał, o co chodzi, lecz ona odparła tylko:

- Tatusiu, tak się cieszę, że wróciłeś.

Kiedy Isabel poszła dopilnować obiadu, Philip ubrany do wyjścia przeszedł obok Richarda i Sary i zażartował:

- Zakochała się w jakimś zupełnie nieodpowiednim facecie, to wszystko.

Sara krzyknęła w odpowiedzi:

- Philip, ty potworze, przestań! - i uciekła na górę.

Trzasnęły drzwi. Usłyszeli jeszcze ryk silnika i Philip odjechał. Isabel zaprowadziła Richarda do salonu i poinformowała go, że Sara, korzystając z pomocy Ruby, potajemnie spotykała się z biednym studentem z Austrii, Antonem Wolffem, i że ten człowiek zjawił się poprzedniego dnia w ich domu, błagając ją i Sarę o rozmowę, tak że ona, Isabel, musiała zagrozić mu policją. A potem dodała:

- To moja wina. Powinam jej lepiej pilnować. Mam wyrzuty sumienia.

Richard zaczął zadawać pytania. Jak to się mogło stać? Jak Sara mogła się znaleźć pod wpływem takiego człowieka? Ile lat ma Wolff? Gdzie mieszka? Z jakiej pochodzi rodziny i co robi w Londynie?

Po wysłuchaniu odpowiedzi Isabel wrzasnął, by Sara zeszła na dół. Dziewczyna potwierdziła słowa matki, lecz ku wściekłości ojca nie wydawała się skruszona.

Była już prawie północ, gdy Richard stał w otwartym oknie sypialni i palił cygaro, a Isabel siedziała przy toalecie.

- Jesteś pewien, że mamy rację? Że powinniśmy trzymać tego człowieka z dala od Sary? - odezwała się.

- Pewnie, że tak. Jak możesz pytać?

Isabel wyjęła kolczyki z uszu.

- Pytam, bo gdybyś to ty musiał prosić kogokolwiek o pozwolenie na małżeństwo ze mną, usłyszałbyś, że jestem kompletnie nieodpowiednią osobą.

Richard strzepnął popiół na balkon. Do tego mężczyzny, który usiłował wykorzystać niewinność jego córki, który jej zagrażał, nie czuł nic poza pogardą.

- Mężczyzna może ożenić się z biedną dziewczyną - odparł zwięźle - lecz jedynie kanalia ugania się za kobietą bogatszą od siebie. To łowca posagów.

- Ale ona wydaje się taka zaangażowana w ten związek. I taka jest teraz nieszczęśliwa.

- Wyślij ją do Irlandii - odparł Richard po prostu. - Isabel, właśnie to trzeba zrobić. Wywieźć ją stąd. Szybko o nim zapomni.

Ruby prała właśnie pończochy, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła je i ujrzała Richarda Finborough.

Wszedł do pokoju. A potem w kilku dobrze dobranych zdaniach powiedział jej, co o niej myśli. Oświadczył, że pomagając Sarze spotykać się z Antonem Wolffem, zdradziła rodzinę, która ją przygarnęła, gdy została sama. Że oszukała tych, którzy ją żywili, ubierali i wykształcili. Że najwidoczniej sądziła, że nic jemu, Richardowi Finborough, nie jest winna - choć opłacał on czynsz i wizyty lekarskie jej matki.

Ruby poczuła, że robi jej się niedobrze. Na zakończenie Richard dodał:

- Nie jesteś już mile widzianym gościem w naszym domu. Nie kontaktuj się z Sarą. Nie pisz do niej. Rozumiesz?

Chciała protestować, lecz miała świadomość, że byłoby to bezcelowe. Więc zgodziła się. Za Richardem zamknęły się drzwi, usłyszała jego kroki na schodach. W miednicy nadal piętrzyła się sterta pończoch niczym ośmiornica, a roztrzęsiona Ruby usiadła na łóżku i rozplakała się.

Nazajutrz Richard Finborough pojechał po pracy na Scarborough Street. Drzwi otworzyła niechlujna kobieta, która wskazała mu również drogę na górę, do pokoju wynajmowanego przez Antona Wolffa. Letni skwar zdawał się gęstnieć w wąskim budynku, pozbawionym dopływu powietrza. Muchy obijały się o zakurzone szyby, najwyraźniej szukając wyjścia. Najsilniejszym uczuciem, jakie odczuwał Richard w kontakcie z tym otoczeniem, było wzburzenie, że ów mężczyzna zwabił jego córkę w takie miejsce.

Anton Wolff otworzył mu drzwi. Richard przedstawił się. Wolff poprosił, by wszedł i usiadł.

- Wolę stać - odparł.

Kiedy rozejrzał się po zagraconym, odrapanym pokoju, jego obrzydzenie jeszcze się wzmogło. I tak nienawidził wszystkiego, co wiązało się z Antonem Wolffem, poczynając od jego wytartych ubrań, a kończąc na akcencie, który przywołał tyle okropnych wspomnień - wojnę i przemówienia Hitlera w radiu, które słyszał w kawiarniach podczas ostatniego wyjazdu.

- Jak się czuje panna Finborough? - zapytał Wolff.

- Samopoczucie mojej córki to nie pańska sprawa. Przyszedłem tu, by pana o coś zapytać. - Richard wyjął z kieszeni portfel. - Ile pan chce?

Na bladej twarzy Antona Wolffa wykwitł rumieniec.

- Panie Finborough, nie chcę pańskich pieniędzy.

- Mogę dać dwieście funtów. Pod warunkiem że bezzwłocznie opuści pan ten kraj.

Wolff skrzywił się, lecz odpowiedział spokojnie:

- Mówiłem już. Nie chcę pańskich pieniędzy. Kocham Sarę i pragnę się z nią ożenić.

- Czyżby, panie Wolff? To oczywiście nie będzie możliwe.

- Być może teraz nie, lecz potem, kiedy już będę miał odpowiednie środki. Pragnę tego samego co pan. Pragnę tego, co będzie dobre dla Sary.

- Ale pan nie jest dla niej wystarczająco dobry. - Richard włożył portfel z powrotem do kieszeni. - W porządku. Mówi pan, że nie chce pieniędzy, ale proszę mi powiedzieć, czy chce pan pozostać w tym kraju?

Na dachu naprzeciwko przysiadło stado gołębi. W oczach Wolffa czaiła się nieufność.

- Tak, chciałbym tu pozostać.

- Lubi pan Anglię?

- Bardzo. Znalazłem tu azyl.

- Pochodzi pan z Austrii? Jest pan komunistą?

- Nie, jestem socjalistą.

- Nigdy nie widziałem między nimi zbyt wielkiej różnicy, ale w końcu nie jestem politykiem. Jedni i drudzy nie będą jednak akceptowani, jeśli w Austrii zwyciężą naziści.

- Ufam i mam nadzieję, że to się nie zdarzy.

- Nadzieja to nie to samo co pewność, panie Wolff. Lizy ma pan w Austrii rodzinę."

- Tak. Mój ojciec mieszka w Wiedniu.

- Pomaga mu pan? Wysyła pan może jakieś pieniądze? Dłonie Antona zacisnęły się w pięści.

- Pieniądze, ciągle te pieniądze! Proszę mi wierzyć, nie chcę pańskich pieniędzy. Ani dla ojca, ani dla siebie, w ogóle ich nie chcę!

- Załóżmy, że panu wierzę. Pytam jednak po prostu, czy pomaga pan ojcu.

- Tak, pomagam. Nie mogę wysłać zbyt wiele, ale tak.

- A jak poradzi sobie pański ojciec, jeśli będzie pan zmuszony opuścić ten kraj? I straci pan źródło dochodu?

Pauza. Po chwili Anton Wolff odezwał się:

- Będzie cierpiał niedostatek, ale nie widzę...

- Jeśli będzie pan nadal dręczył moją córkę, dopilnuję, by pana deportowano.

Anton usiłował coś powiedzieć, lecz Richard go uciszył.

- Mogę to zrobić, nie mam co do tego wątpliwości. Wiem, z kim porozmawiać i jakich argumentów użyć. Zostanie pan deportowany jako niepożądany obcy element i nie będzie pan mógł już nigdy wrócić do Anglii. I jak pan wtedy zdoła dopomóc ojcu?

- Panie Finborough, rozumiem, że mnie pan nienawidzi - rzekł Anton Wolff spokojnie. - Być może na pana miejscu czułbym to samo.

- Przyrzeka pan zostawić moją córkę w spokoju? Wolff spuścił głowę.

- Jeśli pan sobie tego życzy. Obiecuję nie kontaktować się z Sarą, dopóki nie będzie wystarczająco dorosła, by samodzielnie podjąć decyzję, kogo chce poślubić.

- Nie, to za mało. - Richard otworzył drzwi. - Mówi pan, że pragnie dobra Sary. Proszę więc jechać ze mną. Chcę panu coś pokazać.

Anton Wolff wziął kurtkę i zszedł za Richardem na dół. Na ulicy Richard otworzył drzwi od strony pasażera w swoim rolls - roysie i Anton wsunął się do środka. Pojechali na południe, w stronę portu. Po obu stronach wznosiły się wielokondygnacyjne magazyny, powietrze wypełnione było dźwiękiem syren, stukotem podkutych butów i okrzykami brygadzystów, wydających polecenia robotnikom portowym.

Richard zaparkował w pobliżu stoczni Świętej Katarzyny. Wysiedli z samochodu i podeszli do nabrzeża. Oleiste szarobrazowe wody Tamizy obmywały butwiejące drewno. Wznoszący się wysoko Tower Bridge mógł przepuścić nawet potężny statek.

Richard wskazał ręką w kierunku Butler's Wharf.

- Proszę spojrzeć tam. W tym miejscu rozładowuje się przywożone z Cejlonu i Indii skrzynie z herbatą. A tam... - machnął w górę rzeki, w stronę miasta - jest moja fabryka, gdzie tę herbatę

pakujemy. Pierwszą firmę kupiłem, gdy miałem niewiele ponad dwadzieścia lat. Posiadam jeszcze jedną fabrykę w Hounslow, dziesięć razy większą od tej pierwszej. Mój syn uważa, że powinienem sprzedać zakłady paczkowania herbaty, ale ja się z nim nie zgadzam. Człowiek się przywiązuje do swojej własności.

- Panie Finborough, nie będę biedny całe życie. - Anton Wolff mówił z naciskiem. - Będzie mi się dobrze powodziło, będę ciężko pracował.

Richard oderwał wzrok od rzeki, by ze wzdrganiem przyjrzeć się twarzy młodego mężczyzny.

- Proszę mi powiedzieć, od jak dawna mieszka pan w tym kraju?

- Piętnaście, prawie szesnaście miesięcy.

- A dobrze się panu powodziło w tym czasie? - w głosie Richarda dźwięczał sarkazm. - Czy mieszka, pan w porządnym domu, panie Wolff? Czy ma pan pracę? Anton spuścił wzrok, lecz odparł wyzywająco: - Pomagam swemu przyjacielowi, Peterowi Curthoysowi, a wieczorami uczę niemieckiego.

- Miałem na myśli prawdziwą pracę, pracę zawodową.

- Nie. - Słowo to było przyznaniem się do porażki. - Nie mam stałego zatrudnienia. Próbowałem, ale się nie udało.

- Całe życie pracowałem dla swojej rodziny. Nie pozwolę, by cokolwiek czy ktokolwiek ją skrzywdził.

- Nie mam zamiaru krzywdzić pańskiej rodziny, panie Finborough - odpowiedział Anton cicho. - Nie mam zamiaru krzywdzić Sary. Tego pragnę najmniej.

- Wobec tego musi pan położyć kres tej znajomości, rozumie pan?

- Wierzę, że Sara mnie kocha... Richard mu przerwał.

- Sara ma dwadzieścia lat. Jest jeszcze dzieckiem. My, moja żona i ja, chronimy ją przed okrutną rzeczywistością tego świata. Panie Wolff, jeśli Sara okazywała panu względy, czyniła to zapewne ze względu na swą pełną dobroci i ufności naturę.

- Ale to nie była tylko dobroć - odparł Anton Wolff. W jego głosie Richard wyczytał ból i jakby początki wątplenia.

- Wierzę, że to coś głębszego - dodał młody człowiek.

- Nie. Myli się pan. Widziałem, jak Sara płacze nad okulawionym koniem i chorym szczenięciem. Widziałem, jak całą

zawartość portmonetki oddaje ulicznemu sprzedawcy kwiatów. To miękkie serce. Jest bardzo młoda i ma duszę romantyczki. Panie Wolff, było jej pana żal, nic więcej.

- W ciszy Richard słyszał krzyk mew i syrenę płynącego w górę rzeki parowca. Wyczuł, że jego słowa trafiły w czuły punkt. Ciągnął więc:

- Czy oderwałby pan Sarę od rodziny? Jeśli zna pan ją tak dobrze, jak pan twierdzi, to musi pan wiedzieć, że ona kocha swoją rodzinę. Jestem pewien, że gdyby nakłonił pan Sarę do działania wbrew naszej woli, to złamałby jej pan serce.

Wolff odparł zrozpaczony:

- Nasze małżeństwo nie musi odrywać Sary od rodziny.

- Ale tak będzie, zobaczy pan. Jeśli Sara pana poślubi, to ja zerwę z nią wszelkie kontakty.

- Zrobiłby pan to?

- Tak - potwierdził Richard oschle. - Musi pan to zrozumieć. Jeśli poślubi pan Sarę, nie będzie miała ani grosza. Moja córka przywykła do pewnego komfortu. Nie zna nic innego. Proszę mi powiedzieć, jak, pańskim zdaniem, pan i ona będziecie żyć? Gdzie będziecie mieszkać? W tej norze, którą zajmuje pan w tej chwili? Czy też zabierze ją pan do Austrii?

- Nie teraz, ale może w przyszłości...

- No właśnie, przyszłość. W tym cały problem. Nie widzę pewnej przyszłości dla Europy. Mamy za sobą dwie dekady krwawych wojen i rewolucji i nie widzę ani cienia szans na poprawę tej sytuacji. A pan, panie Wolff?

- Ja też nie. - Słowa te były szorstkie i przesycone złością.

- Szczerze mówiąc, to jestem przekonany, iż sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Dlaczego więc miałby pan narażać moją córkę, którą rzekomo pan kocha, na to wszystko?

- W razie wojny Anglia raczej nie pozostanie z boku.

- Nasi obecni przywódcy mogą się z panem nie zgadzać, ale pewnie ma pan rację. Jednak bogactwo i odpowiedni status zawsze mogą stanowić jakąś ochronę. Ja mogę ją zapewnić Sarze, pan zaś nie.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym zdesperowany Anton odparł:

- Miłość, mogę zaoferować jej miłość.

- Wydaje mi się, że obaj jesteście wystarczająco dorośli, by wiedzieć, że samą miłością żyć się nie da - rzekł Richard z pogardą.

Z rękami w kieszeniach Anton odszedł w stronę krawędzi nabrzeża i wbił wzrok w rzekę. Richard wrócił do samochodu i czekał.

Wolff wrócił do niego dopiero po upływie dziesięciu minut.

- Panie Finborough, spełnię pańską prośbę - powiedział. - Obiecuję panu, że nie będę starał się więcej spotkać z Sarą - dodał z ponurym wyrazem twarzy.

- Dziękuję. - Richard poczuł triumf. Otworzył drzwi od strony pasażera.

Anton Wolff pokręcił odmownie głową.

- Przejdę się.

- Jak pan sobie życzy. - Richard uruchomił silnik. A potem zmarszczył brwi. - Och - dodał - muszę pana prosić o jeszcze coś. Chciałbym, żeby napisał pan do Sary, że nie chce się pan z nią więcej spotykać. Że nigdy nie miał pan poważnych zamiarów, że pańskie położenie nie pozwala na staranie się o jakąkolwiek kobietę, i że chociaż dobrze jej pan życzy, to wasz związek jest zakończony. Oczywiście nie musi pan wspominać o naszej rozmowie.

Twarz Antona Wolffa pobladła.

- Nie mogę tego zrobić.

- Może pan. Musi pan. Trzeba tę znajomość zakończyć teraz, i to definitywnie. Sara nie może czekać i się łudzić. Nie zniesie tego. Rozumie pan to, prawda? - Wobec braku odpowiedzi Richard dodał: - Nie ma najmniejszej możliwości, by pan mógł kiedykolwiek poślubić moją córkę. Po co na próżno rujnować szanse Sary i pana własne?

Richard czekał. W końcu Wolff odparł:

- Dobrze, panie Finborough. Zrobię to, czego pan żąda.

Rozdział 7

Sara rozumiała, dlaczego Alice Finborough bardzo rzadko opuszczała Irlandię - jej babcia stanowiła tak doskonale uzupełnienie zarówno dla domu, jak i dzikiego krajobrazu, że gdziekolwiek indziej wydawałaby się nie na miejscu. Sara także zawsze uwielbiała wielki, rozłożysty dom i otaczający go park. Równie mocno uwielbiała niezależność Irlandczyków, ich pogardę dla praw i przepisów, ich swobodne, rozlewne rozmowy. W Irlandii Sara czuła się wolna. Nikt nie przestrzegał tu nienaganych manier tak rygorystycznie jak w Londynie. Spotkania towarzyskie były znacznie mniej oficjalne, a ona sama mogła samotnie jeździć konno bądź spacerować po okolicy.

W stajniach Raheen trzymano pół tuzina koni. Wiele lat temu, kiedy Sara była mała, babcia nauczyła ją jeździć konno. Nauczyła też Philipa i Theo, lecz ich uwagę szybko pochłonęły motocykle i żaglówki. Jedyne Sara ciągle kochała konie. Przez całe późne lato i początek jesieni, kiedy tak bardzo tęskniła za tym, co znajome, jeździła wiele mil ścieżkami Raheen do szerokiej, piaszczystej plaży w Dundrum Bay.

Do Irlandii wyjechała pod wpływem listu od Antona. Szok i ból, które czuła, czytając list, nie zmniejszyły się, lecz stały się jej częścią. Choć spaliła papier, nie potrafiła usunąć treści listu z serca.

„Zawsze będę cenił Twą przyjaźń... Gdyby nasze ścieżki miały się już nigdy więcej nie skrzyżować, pragnę życzyć Ci szczęścia". W tych grzecznych, stereotypowych frazach szukała dowodu na miłość, lecz nie udało jej się go znaleźć. W czasie kolejnych tygodni początkowe przekonanie Sary, że musiało tu zajść jakieś nieporozumienie, powoli zmieniał się w zwątpienie. Tylko ona popełniła błąd, mylnie interpretując całą sytuację. Gdyby Anton ją kochał, toby na nią poczekał. A ona poczekałaby na niego. Była skłonna czekać całe lata, pokonać oceany.

Wszelkie drobne nieprzyjemności, które ją dotychczas spotkały - jak scysja z niezbyt miłą koleżanką z klasy czy wizyta u dentysty - można było pokonać, po prostu o nich nie myśląc. Nie mówmy o tym, porozmawiajmy o czymś innym. Ale ta strata, ten ból, były zbyt głębokie, zbyt porażające, aby zepchnąć je gdzieś w odległe zakamarki umysłu. Kiedy w mroźne jesienne poranki polowała z przyjaciółmi, których ziemie przylegały do Raheen, albo kiedy jadła z nimi lunch, w jej głowie nieustannie kołatały się te same pytania.

Dlaczego on mnie już nie kocha? Czy nigdy mnie nie kochał? Kiedy budziła się w środku nocy, szok tamtych wydarzeń był równie silny jak na początku. Każdy krótki moment odpoczynku oznaczał, że będzie musiała na nowo przeżywać ból wspomnień.

Zmusiła się do zastanowienia nad spotkaniami i rozmowami z Antonem. Kiedy rozważała je teraz, na zimno, wydawały się tak błahe, niemal trywialne. Pół godziny w kawiarni, spacer po parku. Pocałunek, kiedy barka prześlizgnęła się pod Putney Bridge. Dodając do siebie wszystkie wspólnie spędzone godziny, doszła do wniosku, że przebywała z Antonem sam na sam najwyżej jeden dzień. Czy można było kogoś poznać naprawdę w tak krótkim czasie? Nie znała go - do takiego wniosku doszła z biegiem dni. W najlepszym razie brała uprzejmość i sympatię za miłość. W najgorszym zaś - ośmieszyła się, narzucając się mężczyźnie, którego pociągała i który z nią flirtował, lecz czuł zupełnie co innego niż ona.

A może to tata miał rację i Antona interesowała nie ona sama, lecz jej pieniądze? Nie. W to uwierzyć nie mogła.

Te myśli nawiedzały ją nocą, kiedy jakby chowała się w swej skorupie, czując większą niż kiedykolwiek samotność. Jako najmłodsze z trójki dzieci nie przywykła do samotności. Była przyzwyczajona do towarzystwa, do sympatii, do miłości. Nie wiedziała, co robić, dokąd pójść. Brakowało jej drogowskazów, czuła się zagubiona.

Zbyt wiele zmieniło się w zbyt krótkim czasie. W zupełnie innym świetle postrzegała teraz swych rodziców. Zawsze była blisko z matką, a mimo to matka nie rozumiała, jak ważny jest dla niej Anton. Nadopiekuńczość ojca stworzyła barierę, ta zaś oddzieliła ją od jedynej osoby, za którą tęskniła. Obawiała się powrotu do życia, które wiodła, zanim poznała Antona. Konwenanse i ograniczenia, narzucane kobietom z jej klasy, które Sara od tak dawna przyjmowała jako coś naturalnego, obecnie wydawały się nierozsądne i staroświeckie. Zmieniła ją miłość do Antona i teraz coś w niej się oburzało na krępujące jej niezależność rygory.

Udawała jednak, że potrafi być dzielna. Kiedy minął początkowy szok, broniła się przed pytaniami i troską babci, udając, że wszystko jest jak dawniej. Jeździła konno, pomagała w pracach domowych, jadała kolacje i obiady z ekscentrycznymi przyjaciółmi Alice Finborough. Zrobiła wszystko, by nikt nie odgadł, że świat jej się

zawalił. Pobyt Sary w Irlandii trwał już kilka miesięcy, ale z nadejściem zimy dziewczyna wciąż była w Raheen.

Przez ponad dwadzieścia lat Freddie McCrory, kolega szkolny Richarda, był jego maklerem. W ciągu ich długotrwałej znajomości znacznie zmienił się wygląd Freddiego. Stracił on rękę nad Somma, teraz więc jeden rękaw drogiego, szytego na miarę garnituru musiał podpinać. Linia piaskowych włosów cofnęła się tak bardzo, że w końcu została po nich jedynie wąska siwa otoczka z tyłu głowy. Rysy twarzy zgrubiały, a pasek trzeba było znacznie popuścić. Nadal jednak w oczach Freddiego gościł czasem błysk, ów błysk entuzjazmu, który Richard pamiętał sprzed lat.

I ujrzał go znowu pewnego dnia podczas lunchu, kiedy obaj siedzieli w klubie Richarda w hotelu St. James.

- Niedawno słyszałem ciekawą plotkę - rzekł Freddie ściszonego głosem. - Fabryka Provost ma kłopoty.

- Maszyny? Oni powinni przecież stać dość dobrze.

- Nie udało im się pomyślnie wyjść z kryzysu, za dużo długów, a stary Provost za długo trzymał na wszystkim łapę. - Freddie zamieszał whisky w szklaneczce. - Pomyśl o tym, Finborough. W razie kolejnej wojny będzie duży popyt na części do maszyn.

- A jak ceny akcji?

- Od jakiegoś czasu spadają. Podejrzewam, że akcjonariusze zaczynają się niepokoić. Rozejrzę się, jeśli chcesz, zobaczę, co można zyskać.

Kiedy opuścili hotel, Freddie zaproponował, by jedną taksówką wrócili do swoich biur. Rozstawszy się z Freddie, Richard skierował się w stronę Picadilly. Po pobycie w zadymionym barze czerpał przyjemność z przebywania na dworze. Był podekscytowany. Już od jakiegoś czasu rozważał możliwości poszerzenia swego imperium i szukał nowych wyzwań. Części do maszyn będą zyskownym interesem. Jak mówił Freddie, w razie kolejnej wojny bardzo wzrośnie popyt na obudowy silników i tłoki. A nawet, zadumał się Richard, gdyby odpowiednio dużo ludzi wierzyło w wojnę... Provostowie stanowili dość łatwą zdobycz. Choć Cecil Provost gotów był trzymać się rodzinnej firmy pazurami, to jeśli udałoby się podać w wątpliwość jego szanse utrzymania się na rynku, akcjonariusze byliby skłonni sprzedać interes.

Kiedy Richard szedł Jermyn Street, zaczął padać deszcz, więc rozłożył parasol. Gdy był ostatnio na Picadilly, niedawno, również padało. A potem deszcz przeszedł w ulewę i Richard schronił się w drzwiach jakiegoś sklepu. Wszyscy dookoła również biegali w poszukiwaniu schronienia, a rynsztoki spływały strugami deszczu.

Drzwi, w których przystanął, prowadziły do sklepu modystki. Na szklanych drzwiach czarno - srebrnymi literami wypisano nazwę - U Elaine. Z jednej strony Richard widział brązowe, marmurowe ściany biurowca, z drugiej zaś sklepową witrynę, mógł obejrzeć kapelusze umieszczone wewnątrz na różnej wysokości stojakach. Zalana deszczem szyba sprawiła, że zdawały się pływać w niewidzialnym morzu. Zza Kapeluszy wyłoniła się Kobięca twarz. Jasnoszare oczy spotkały się ze wzrokiem Richarda, na chwilę zatrzymały się na jego twarzy, po czym ich właścicielka odeszła. Richard strzepnął wodę z parasola, otworzył drzwi i wszedł do sklepu.

Kobieta, jak uznał Richard, zapewne Elaine, wypowiedziała jakąś uwagę na temat okropnej pogody. Przeprosił za samowolne skorzystanie z wejścia do jej sklepu jako ochrony przed deszczem, lecz ona uśmiechnęła się zaoferowała mu schronienie, dopóki deszcz nie ustanie. Miała około trzydziestu lat. Jej twarz była piękna i interesująca, a jej platynowe włosy spływały miękką falą na ramiona. Nosila czarną suknię z kremowym kołnierzykiem. Jedyne biżuterię stanowiły skromne kolczyki z perełkami i obrączka. Zamienili kilka zdań i wkrótce potem Richard wyszedł.

Jednak w ciągu kolejnych dni często myślał o owej kobiecie. Zdecydował się więc wrócić do tamtego sklepu.

Na dźwięk dzwonka przy drzwiach Elaine podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Znowu złapał pana deszcz?
- Pomyślałem, że mógłbym kupić żonie kapelusz.
- Oczywiście, proszę pana. Czy ma pan na myśli jakiś konkretny model?
- Niestety, nie. Może mogłaby mi pani coś doradzić.
- Z przyjemnością. Czy pana żona jest blondynką, czy brunetką?
- Ma ciemne włosy.
- Jest wysoka czy drobna?
- Wysoka, mniej więcej pani wzrostu.

- Może więc sobie pozwolić na kapelusz z szerokim rondem. Taki jak ten. - Zdjęła ze stojaka różowy kapelusz. - Mam go przymierzyć?

- Tak - potwierdził Richard.

Kobieta odwróciła się do lustra i włożyła kapelusz na głowę. Szerokie rondo przysłaniało cieniem jej niezwykle oczy.

- Uroczy, naprawdę uroczy - rzekł Richard. - Ale moja żona raczej nie nosi różu.

- Może więc granatowy. Ten kolor zawsze jest odpowiedni.

Przymierzyła drugi kapelusz. To samo przedstawienie: odwrócona plecami do niego, spogląda w lustro i wkłada kapelusz, a potem druga odsłona, uśmiech i wzrok wbity w ziemię, w oczekiwaniu na ocenę. Zastanawiał się, czy kobieta z nim flirtuje.

Przymierzyła pół tuzina kapeluszy. Richard w końcu zdecydował się na granatowy. Odliczył odpowiednią kwotę, a Elaine jego nowy nabytek zapakowała do pudełka, po czym wypisała rachunek na jego nazwisko.

- Jeśli żonie nie spodoba się kolor, panie Finborough - powiedziała, wręczając mu pakunek - proszę przynieść, wymienię go na inny.

Za oknem Richard ujrzał pobłyskujące promienie słońca.

- Dziękuję za pomoc, pani...

- Davenport - odparła. - Pani Davenport.

Zastanawiając się nad przeszłością, Ruby nie potrafiła znaleźć chwili, w której nagle zdała sobie sprawę ze swej miłości do Philipa Finborough. Był to raczej stały, niezbyt przyjemny proces odkrywania, że jej dziecięce zauroczenie zmieniło się w coś, co zdawało się równie bolesne, jak wspaniałe. Do nikogo nie czuła nic takiego jak właśnie do Philipa. Elektryzował ją jego wygląd, jego dotyk. Wszystkie jego ekscentryczne zachowania i powiedzonka wydawały jej się atrakcyjne i drogie. Jego obecność zmieniała wszystko, zarówno słotny jesienny wieczór, jak ją samą. Przy Philipie stawała się lepszym człowiekiem. Pragnęła go zadowolić, pragnęła go radować. Pragnęła, by wybrał ją z tłumy.

A mimo to trudno jej było uwierzyć, by kiedykolwiek miało się to zdarzyć. Wiedziała już, że aby zwracać uwagę mężczyźni, nie trzeba wielkiej urody, i że zgrabna figura, pewność siebie i umiejętność bawienia innych znaczą o wiele więcej. Doświadczenie mówiło Ruby,

że wszystko ma określoną hierarchię. Philip dzięki swemu pochodzeniu należał do zamkniętej klasy społecznej. Zawsze będzie mógł wybierać spośród znacznie ładniejszych, bogatszych i lepiej urodzonych dziewcząt niż ona. Był przystojny i pełen wdzięku, dobrze zbudowany, żywy i bystry. Czuł się swobodnie w każdej sytuacji. Miał też w sobie coś jeszcze, coś, czego istnienie odkryła dopiero z czasem: jakąś stłumioną energię, magnetyzm, który przyciągał spojrzenia, kiedy więc była przy nim, musiała bardzo się starać, udawać beztroskę i obojętność, aby się nie zdradzić.

Któregoś wieczoru Philip zaprosił ją po pracy na obiad. Poszli do Wheelera na Compton Street, gdzie jedli ostrygi.

- Przynajmniej ty mnie nie nienawidzisz - oznajmiła Ruby ponuro.

- Nienawidzić cię? - Philip wyglądał na rozbawionego. - Dlaczego miałbym cię nienawidzić?

- Z powodu Sary i Antona. - Ruby skropiła ostrygi sokiem z cytryny.

- Och, to! - Philip uśmiechnął się szeroko. - Nie martw się, jestem pewien, że już niedługo zostaniesz przywrócona do łask. - Nalał Ruby kolejny kieliszek szampana. - Sara bez wątplenia prędzej czy później zakocha się w jakimś bogatym Irlandczyku, a wtedy wszystko zostanie przebaczone.

Ruby przypomniała sobie, jak Sara promieniała, ożywała w towarzystwie Antona.

- A jeśli w Irlandii nie spotka nikogo? A jeśli już nikogo nie pokocha?

Przez twarz Philipa przebiegł dreszcz niechęci.

- On nie wydawał się szczególnie odpowiedni.

- Philipie, wydaje mi się, że ona naprawdę go kochała.

- Dlaczego więc za niego nie wyszła?

- Nie mogła, przecież wiesz.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Mogłaby, gdyby tylko naprawdę tego chciała. Tata byłby na nią wściekły, lecz nie trzymałby jej pod kluczem. Sara mogła po prostu odejść z domu. Nie musiała uciekać do Raheen jak grzeczna dziewczynka. Mogli się pobrać w Gretna Green albo gdziekolwiek indziej, a wtedy rodzice musieliby to zaakceptować. Naprawdę nie zależało jej na nim aż tak bardzo.

Ruby mogła niewiele powiedzieć: że gdyby Anton i Sara uciekli razem, to nie mieliby z czego żyć, i że córki wychowywano w posłuszeństwie, a synów niekoniecznie. A poza tym ze wszystkich Finboroughów to właśnie Sara najbardziej starała się zadowolić wszystkich.

Zamiast tego rzekła jedynie:

- Ciekawa jestem, kiedy wróci do domu.

- Sara dość dziwnie okazuje zły nastrój, prawda? - Philip znów wydawał się rozbawiony.

Kiedy już odprowadził ją do domu, Ruby wyprasowała bluzkę i przygotowała sobie kanapki na następny dzień, po czym wyjęła papier i pióro. Wściekłość Richarda Finborough odsłoniła przed nią rozmiary jej nieustannej zależności od rodziny Finborough. Choć żyła oszczędnie, pensja w ministerstwie nie wystarczała na utrzymanie jej samej i matki, więc Richard nadal płacił czynsz i rachunki Etty Chance. Ruby bardzo ciążyła ta sytuacja. Mimo że odrzucona przez Finboroughów, nie przestała być od nich zależna. To było poniżające.

Z wielką ulgą odkryła, że przynajmniej jeden członek tej rodziny nie ma do niej pretensji. Ale w towarzystwie Philipa nie czuła tej ulgi - za to spotkania z nim były nieodmiennie ekscytujące, pobudzające, denerwujące i ożywcze. Ruby oczywiście nikomu nie mówiła o swoich uczuciach, podobnie jak nie wspominała o tym, co odkryła podczas wizyty w Salisbury. Jej rodzina miała własne sekrety - mroczne, przerażające. Ruby nie chciałyby, aby Philip dowiedział się o Claire Chance. Był taki dumny i wymagający. Wzdragała się na samą myśl o tym, że na wiadomość o drugim małżeństwie jej ojca usta Philipa mogłyby się wygiąć w tym samym grymasie, który zauważyła na jego twarzy, gdy mówił o Antonie Wolffie.

Dla niej samej wiedza ta była ogromnym ciężarem. Po odkryciu istnienia Claire i jej dzieci Ruby zaczęła postrzegać ojca w zupełnie innym, znacznie gorszym świetle: nie jako bohatera, lecz bigamistę, nie jako osobę godną miłości i zaufania, lecz jako bezwartościowego, tandetnego oszusta. Nie odziedziczyła natury swego ojca ani jego niestałej lojalności. Być może nie mogła uprzytomnić sobie, kiedy pokochała Philipa, dlatego, że zawsze w pewnym sensie go kochała. Kochała go od pierwszego spotkania w holu domu Finboroughów, gdy stanął w promieniach słońca wpadających przez witraże w drzwiach.

Z wysiłkiem wyrzuciła z myśli zarówno Philipa, jak i ojca, włożyła okulary i wzięła do ręki pióro. Przynajmniej podjęła próbę uwolnienia się od zależności finansowej. Uznała, że musi zarabiać więcej, i w ciągu ostatnich paru miesięcy napisała pół tuzina opowiadań. Parę dni temu dostała list od redaktora „Women's Weekly”, w którym informował ją o przyjęciu jednego z opowiadań do druku. Odłożyła list na półkę z książkami. I od czasu do czasu spoglądała na niego z uśmiechem.

O piątej Richard zadzwonił do McCrory'ego, aby dowiedzieć się o postępy w przygotowaniach do przejęcia fabryki Provostów, produkującej części do maszyn. Freddie oznajmił, że udało mu się już kupić znaczną liczbę akcji. Nabywał je anonimowo, nie chcąc jeszcze zdradzać większego zainteresowania. Poza tym, opowiadał, przeprowadził już wstępną rozmowę z Bernardem Provostem, młodszym z synów. Chodziły słuchy, że Bernard nie przejawia zbyt dużego zainteresowania rodzinną firmą, ma za to pokaźne długi. Gdyby udało się przekonać go do sprzedaży akcji, to fabryka Provostów znalazłaby się w rękach Richarda.

Obie jego fabryki prosperowały znakomicie, on sam miał wszelkie bogactwa i dobra materialne, o jakich tylko człowiek może marzyć, a mimo to od pewnego czasu czuł niepokój i zniechęcenie. Nie było żadnych wyzwań, nic, z czym mógłby się zmierzyć. W minionym roku skończył pięćdziesiąt lat i podświadomie obawiał się, że najlepszy czas ma już za sobą, że jego interesy będą szły coraz gorzej i że może co najwyżej oczekiwać, iż uda mu się zachować to, co już ma.

Nastrój poprawiały Richardowi dwie rzeczy, które przywróciły mu dawny głód działania. Pierwszą z nich była perspektywa zdobycia fabryki Provostów, drugą zaś - Elanie Davenport.

W ciągu dnia, w czasie jazdy samochodem lub w chwili oddechu między jednym a drugim spotkaniem, Richard rozmyślał o pani Davenport. Musiał wrócić do modystki. Kapelusz, który kupił dla Isabel, był za duży, trzeba go więc było wymienić. Kiedy przyszedł, pani Davenport obsługiwała klientkę, więc musiał poczekać. Jego spojrzenie nieustannie uciekało w stronę Elaine. Trudno mu było patrzeć na cokolwiek innego niż jej wąska talia, którą mógłby objąć dłońmi, niż jej srebrzyste włosy i delikatna skóra, tak przezroczysta, że na przegubach prześwitywała niebieskawa siatka żył. Był

zazdrosny o klientkę, niewysoką, korpulentną kobietę - zazdrosny o dotyk pani Davenport, która wkładała tamtej kapelusze, jej uśmiech, gdy obie patrzyły w lustro.

Jego decyzja o zakupie fabryki Provostów była przemyślana i rozważna, pożądanie pani Davenport zaś - spontaniczne i nierozsądne. Choć od wielu lat miewał przelotne romanse z kobietami, nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuł się tak jak teraz, nie pamiętał takiego uniesienia, pożądania. Nie był jednak pewien uczuć tej kobiety. O wiele młodsza od niego, czy była rozwódką, wdową, czy też szczęśliwą mężatką? Z przelotnych rozmów wnioskował, że ma podobne odczucia jak on. "Wymieniane uprzejmości miały drugie dno. Pamiętał, jak mierzyła kapelusze, jak odwracała się w jego stronę niby wróżka rzucająca uroki.

Richard pożegnał się z sekretarką i wyszedł z budynku. Wyjeżdżając z Hounslow, zaczął planować, w jaki sposób, już po przejęciu fabryki Provostów, ją ożywić. Fabryki Provostów i Finboroughów będą się wzajemnie wspierać i wspólnie rozrastać. Wydajny system dystrybucji w fabryce Finboroughów pozwoli rozwiązać część długotrwałych problemów Provostów, a doświadczenie ich z fabryki w zakresie inżynierii maszyn otworzy nowe rynki dla jego zakładów.

Po dotarciu do miasta Richard, zamiast skrócić na północ, w stronę Hampstead, skierował się w Holland Park Avenue. Zaparkował samochód w bocznej uliczce, odchodzącej od Park Lane, i spojrzął na zegarek. Była szósta. Stenotypistki i sprzedawczynie wracały do domów metrem i autobusami. Stojący na rogu ulicy gazeciarz wykrzykiwał nagłówki. W drodze na Picadilly Richard odczuwał przyjemny dreszcz oczekiwania. Wiedział, że jadąc na spotkanie z panią Davenport, pokonuje pewien most. Pomyślał o Isabel, przed oczami stanęło mu tak wyraźne wspomnienie jej sylwetki w ogrodzie w Porthglass, aż przystanął - strumień przechodniów musiał się przed nim rozstępować.

Kochał Isabel, którą poślubił ponad dwadzieścia pięć lat temu. Kochał ją niezmiennie od pierwszego spotkania. Co więc robił, interesując się inną kobietą? Dlaczego ryzykował małżeństwo, wszystko, co ma najdroższego?

A potem, kiedy podniósł wzrok, zobaczył w oknie sklepu jakiś ruch i błysk srebrzystych włosów. Ryzykować małżeństwo, co za

bsdura. Żałosna przesada. Uśmiech, krótka rozmowa z atrakcyjną kobietą - gdzież tu problem?

Na przeszklonych drzwiach wywieszono już tabliczkę „Zamknięte”. Kiedy Richard zajrzał do środka, zobaczył pomocnicę pani Davenport, dorodną dziewczynę o mysich włosach, która zamykała kasę. Richard zapukał do drzwi. Otworzyła mu, więc zapytał o panią Davenport.

Zasłona poruszyła się i w drzwiach prowadzących na zaplecze stanęła Elaine. Powiedziała:

- Muriel, sama obsłużę tego pana. Możesz już iść do domu. Dobry wieczór, panie Finborough.

Muriel włożyła płaszcz i kapelusz i wyszła ze sklepu. Pani Davenport uśmiechnęła się.

- Czy przyszedł pan po kolejny kapelusz, panie Finborough?

W jej tonie była nutka ironii. Richard odparł:

- Tym razem nie. Przechodziłem tędy i chciałbym zaprosić panią na herbatę.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Niestety, w środę wypełniam księgi rachunkowe. Kiedyś brałam je do domu, ale tu łatwiej mi się nad nimi skupić. Nie kuszą mnie prace domowe ani radio.

Ta odmowa była dla niego wyzwaniem.

- Nie może pani pomóc księgowy? - zapytał. - Rachunki to dość nudne zajęcie dla kobiety.

- Nie mam księgowego. Pozbyłam się go jakiś czas temu. Szczerze mówiąc, panie Finborough, lubię cyfry. Zawsze je lubiłam.

- Naprawdę? Dla większości ludzi to prawdziwa udręka.

- Dużo firm upada przez zaniedbane rachunki. Ja nie chcę zbankrutować.

- Nie uda mi się pani skusić?

- Niestety, nie.

- A jutro? - Pocztał nagle, że ona koniecznie musi przyjąć jego zaproszenie.

Zauważył, że zmarszczyła brwi.

- Nie jestem pewna...

- Proszę. Będzie mi bardzo miło. Tylko coś do picia.

- Panie Finborough...

- Proszę to potraktować jako nagrodę za pani dzisiejszą pilność. I powiedzieć, że się pani zgodzi.

W odpowiedzi usłyszał:

- Dobrze więc. Jak tylko zamknę sklep.

Elaine Davenport przyglądała się, jak Richard idzie ulicą. Zauważyła, że ma bardzo sprężysty chód. Jego zaproszenie nie było dla niej zaskoczeniem, wiedziała jednak, że powinna odmówić. Dlaczego więc pozwoliła przekonać się do przyjęcia zaproszenia? Szczególnie po tym, jak ją potraktował, sugerując, że nie potrafi prowadzić ksiąg? Wielu mężczyzn uważa, że ślicznej buzi i blond włosom nie może towarzyszyć mądra głowa.

Westchnęła. Przyjęła zaproszenie, gdyż od śmierci męża dwa i pół roku temu brakowało jej towarzystwa inteligentnej i stymulującej osoby. Elaine Davenport dorastała w Hendon, w północno - zachodniej części Londynu. Jej ojciec pracował w sklepie z odzieżą dla mężczyzn, matka zaś prowadziła dom i wychowywała Elaine i jej młodszą siostrę, Gildę. Dążenie do uzyskania godnego statusu wspierała ciężka praca rodziców - długie godziny, spędzane przez ojca w sklepie, i krzątanina matki w domu. Okna zawsze błyszcząły czystością, zasłony były czyste i białe, trawnik i żywopłot w maleńkim ogródku od frontu porządnie przycięte. Matce Elaine zależało na szacunku. Jej zdaniem, wydarzenia, ludzie, odzież i meble dzieliły się na sympatyczne i niesympatyczne. Bycie niesympatycznym oznaczało odrzucenie i potępienie.

Kiedy Elaine skończyła czternaście lat, podjęła pracę u modystki w Hendon. Inteligentna i sympatyczna dziewczyna robiła szybkie postępy. Kiedy miała osiemnaście lat, przeniosła się na podrzędną posesję w dużym domu handlowym w centrum Londynu. Zanim jeszcze wyszła za Hadleya Davenporta, już piastowała najwyższe stanowisko w dziale modniarskim i odpowiadała za kontakty z ważnymi klientami, a jej opinia liczyła się przy zamówieniach na kapelusze na następny sezon.

Hadley Davenport był o dziesięć lat starszy od Elaine, miły i łagodny, lecz przy tym bardzo zapominalski. Spotkali się w college'u, gdzie Elaine chodziła na popołudniowe zajęcia z francuskiego. Francuski był językiem mody, więc uznała, że może być pomocny w rozwoju jej kariery zawodowej. Hadley uczył historii na kursach dla dorosłych. Zwróciła na niego uwagę w bufecie, gdyż miał dwie różne

skarpetki, zieloną i jasnobrązową. Zaczęli rozmawiać w kolejce. Najdziwniejsze było to, że owego dnia to ona była roztargniona. Zostawiła na ławce parasolkę, którą on zwrócił jej tydzień później.

Pobrali się po upływie pół roku. Elaine sądziła, że po ślubie pracy jej nie zabraknie, myliła się jednak. Mieszkanie, które wynajęli z Hadleyem, było niewielkie, i sprzątanie oraz pranie zajmowały jej zaledwie godzinę czy dwie. Nie mieli ogródka, jedynie na maleńkim balkonie stało kilka doniczek z pelargoniami, a ponieważ Hadley nie zarabiał zbyt dużo, nie traciła zbyt wiele czasu na zakupy. Hadley wydawał się zaszokowany jej sugestią, że mogłaby pracować na pół etatu, więc nie wspominała o tym więcej. Wstąpiła natomiast do klubu teatralnego i wykorzystywała swe umiejętności, szyjąc kostiumy. Nauczyła się też gotować różne wyszukane potrawy, których nigdy nie gotowała jej matka, mogła więc podejmować kolegów Hadleya kolacjami.

Małżeństwo pod pewnymi względami przyniosło rozczarowanie, pod innymi zaś było wspaniałe. Ani roztargnienie, ani wygląd Hadleya - a był wysoki i szczupły, miał szare oczy ukryte za okularami i wiecznie rozczochrane jasne włosy - nie zdradzały jego namiętnej natury. W łóżku, uprawiając miłość, Elaine znajdowała spełnienie, którego nie dawała jej pozycja kury domowej. Byli dobrze dobrani i dawali sobie nawzajem niezmierną przyjemność.

Śmierć Hadleya pozbawiła jej owej przyjemności. Kiedy do drzwi mieszkania zadzwonił policjant z informacją, że jej mąż zginął w wypadku drogowym, wiedziała ze straszliwą pewnością, co musiało się stać. Śmierć Hadleya była konsekwencją tego samego roztargnienia, które tak często denerwowało ją w domu, gdy musiała szukać jego pióra, okularów albo dziennika ocen. Zapomniał się rozejrzeć i wszedł na ulicę prosto pod koła autobusu. Identyfikując w kostnicy ciało, z płaczem głaskała posiniaczoną twarz.

Rodzice Hadleya nie pochwalali małżeństwa swego inteligentnego syna z ekspedientką, i od pogrzebu nie utrzymywali z Elaine żadnego kontaktu. Żałowała wtedy, że nie ma dzieci. Kiedy jedna ze znajomych usiłowała pocieszyć ją, dowodząc, jakie to wielkie szczęście, że nie musi utrzymywać jeszcze dziecka, nie potrafiła powstrzymać się od pełnej złości odpowiedzi.

Nie bardzo mogła opłakiwać Hadleya, ponieważ jego śmierć była zaledwie początkiem pasma katastrof. Sklep, w którym przez ponad

czterdzieści lat pracował jej ojciec, został zamknięty, padł ofiarą kryzysu, zostawiając go bez pracy w wieku lat pięćdziesięciu siedmiu.

Matka podupadła na zdrowiu właśnie wtedy, gdy brakowało pieniędzy na lekarza. Zarobki Gildy, stenotypistki w firmie agentów morskich, z trudem wystarczały na czynsz i jedzenie.

Kiedy tylko wypłacono jej ubezpieczenie, Elaine zdecydowała się wrócić do tego, co potrafi najlepiej, i za otrzymane pieniądze wynajęła sklep na Picadilly. Lokal ten miał pewne wady - zarówno sam salonik, jak i magazyn były bardzo małe. Sklep miał na dodatek kształt rombu. Elaine wierzyła jednak, że uda jej się pokonać przeciwności. Pracowała do późna i po okresie początkowych trudności zaczęła odnosić sukcesy. Miała kilka stałych klientek, wśród których były zarówno kobiety pracujące w miejscowych firmach, jak i te bogate, które jadały lunch lub robiły w tej okolicy zakupy. Elaine przyciągała wzrok przechodniów interesującą wystawą. Dzięki oszczędności mogła nie tylko płacić własny czynsz, lecz również pomagać rodzicom.

Zapłaciła jednak wysoką cenę za niezależność. To ironia, myślała często, że kiedy była mężatką, miała za dużo czasu, teraz zaś nie miała go wcale. Pracowała sześć dni w tygodniu, czasem również wieczorami. Nie miała kiedy spotkać się z przyjaciółmi. Byli to zresztą przyjaciele z czasów małżeństwa. Zresztą koledzy Hadleya i ich żony powoli jakby zniknęli. Nie miała z nimi wiele wspólnego. Nie brakowało jej ich.

Często jednak czuła się samotna. Wychodząc za mąż, odsunęła się od swojej rodziny, a nie miała nikogo na jej miejsce. Z rodzicami spotykała się co dwa tygodnie, z Gildą trochę częściej. Gilda już od trzech lat była zaręczona z mechanikiem samochodowym z Hendon. Cóż, siostrze wystarczy taki Jimmy, dwoje dzieci i dom niedaleko rodziców. Elaine wiedziała, że ona sama zawsze chciała czegoś więcej.

Czego brakowało jej najbardziej po stracie męża? Wspólnej radości, wspólnego śmiechu. Choć uwielbiała swą pracę, nie należała ona do lekkich. Elaine często czuła się przytłoczona odpowiedzialnością. Brakowało jej też fizycznego kontaktu. Tęskniła za ciepłem, bliskością, uniesieniem. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. To mężczyźni może brakować miłości fizycznej. Dla szanowanej wdowy byłoby to nieodpowiednie.

Oczywiście mogłaby po raz kolejny wyjść za mąż. Lubiła mężczyzn, brakowało jej ich towarzystwa. A jednak składane propozycje jej nie kusiły - przed oczami Elaine stawało to niewielkie mieszkanko, które z czasem stało się dla niej więzieniem, więc odrzucała wszelkie oferty małżeńskie. Miewała natomiast kochanków. Oba romanse skończyły się obrzydliwie - wzajemnymi oskarżeniami. A więc także nieodpowiednio.

Jej myśli pobiegły w stronę Richarda Finborough. Przeanalizowała jego zalety. Był miły, inteligentny i pełen uznania dla niej. Mogłaby mieć takiego przyjaciela. Podobała jej się jego siła i twardość. Choć ceniła własną niezależność, czasem tęskniła do towarzystwa kogoś, kto myślałby podobnie jak ona i z kim mogłaby dzielić swe problemy.

Ale on ma żonę, przypomniała sobie Elaine, zamykając księgi i gotówkę w sejfie. Jest też zachłanny i zbyt pewny siebie; widzę to w jego oczach.

Deszcz smagał Mourne Mountains, a Sara jechała konno po plaży. Nad zatoką zawisała tęcza niczym wielobarwny jedwabny sztandar. Morze było daleko, za piaskiem i błotem, i nie odróżniało się kolorem od nieba. Na piachu leżały wyrzucone przez morze muszle, kamienie i zwietrzałe kawałki skały, poznaczone szarymi i brązowymi prążkami.

Sara rozważała, w jakim stopniu ona sama przyczyniła się do tego, że Anton ją zostawił. Być może powinna walczyć z większym przekonaniem. Być może należało zapomnieć o poniżeniu, które czuła po przeczytaniu jego listu, i iść do niego, zamiast ze zranionym sercem szukać odosobnienia w Raheen. Czy ów brak działania wynikał ze wspomnienia o owym ponurym pokoiku w budynku cuchnącym kapustą i wilgocią? Wizyta na East Endzie była dla niej szokiem, gdyż po raz pierwszy pokazała jej Londyn, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Czy tamten widok w jakimś stopniu ją powstrzymał? Być może w niewielkim.

Sara przymusiła konia do galopu. Nagle kruk wynurzył się z głośnym krzykiem zza skały, płosząc wierzchowca. Philo stanął dęba. Cugle wyslizgnęły się z dłoni Sary i choć usiłowała utrzymać równowagę, została zrzuciona z siodła.

Musiała leżeć nieprzytomna przez jedną zaledwie sekundę. Ciemność zniknęła, ktoś potrząsał ją za ramię. Jakiś głos spytał:

- Pytam, co z panią? Sara otworzyła oczy.

Tuż obok niej przykucnął mężczyzna. Miał krótkie czarne włosy z odcieniem brązu i oczy czarne niczym węgiel.

Wyszeptała:

- Kim pan jest?

- Nazywam się Gil Vernon. Wszystko w porządku?

- Tak, nic mi nie jest.

Sara usiadła i dopiero wtedy poczuła mdłości i zawroty głowy. Również ramię bardzo ją bolało. Zamrugła.

- Gdzie jest Philo?

- Philo? Och, pani koń. Nic mu się nie stało, skubie sobie trawę.

Z niewielkiego płóciennego plecaka mężczyzna wyjął termos i nalał herbaty do cynowego kubeczka.

- Proszę - powiedział. - Nie piłem z niego. Dopiero zacząłem, kiedy zobaczyłem, że pani spadła z konia.

Sara wzięła kubek w lewą rękę i piła herbatę małymi łykami. Napój był bardzo gorący i bardzo słodki, lecz poczuła się odrobinę lepiej.

- Co pan zaczął? - zapytała.

- Usiłuję narysować mapę występowania *Ensis ensis* na tym wybrzeżu - wyjaśnił. - To tak zwana morska brzytwa. Są tu oczywiście różne gatunki, lecz *Ensis ensis* to najbardziej rozpowszechniony. - Podniósł z piasku muszlę i z uwagą przesunął palcem po gładkiej powierzchni. A potem spojrzał na Sarę, jakby zaskoczony znalezieniem jej pomiędzy muszlami. - Czuje się pani lepiej?

- Znacznie lepiej, dziękuję. - Oddała mu kubek. - Ale chyba złamałam nadgarstek.

- O Boże. To okropne. Jest pani pewna?

- Już wcześniej był złamany, miałam wtedy dwanaście lat, i teraz boli tak samo. To nic takiego, zrośnie się. Trochę to tylko uciążliwe, kiedy człowiek nie może sobie samodzielnie zawiązać sznurowadeł.

- Gdzie pani mieszka? Mam iść po pomoc?

- W Raheen. To niedaleko stąd.

- Raheen... nazywa się więc pani Finborough.

- Tak - przytaknęła z uśmiechem. - Jestem Sara Finborough. Może zna pan moją babcię, Alice Finborough?

- Tak, spotkaliśmy się jakiś czas temu... - Podał jej dłoń i Sara z trudem wstała z ziemi. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Koń. Co zrobimy z koniem?

- Panie Vernon, czy mógłby go pan poprowadzić?

Przeszedł przez piach do miejsca, gdzie Philo, tak teraz łagodny, stał i skubał nie tylko trawę, lecz również wodorosty i inne zupełnie nieodpowiednie rośliny. Ruszyli powoli w stronę Raheen. Sara chroniła prawy nadgarstek, Gil Vernon zaś prowadził konia. Aby oderwać myśli od bólu, pytała o wspomniany gatunek mięczaków, on zaś opowiadał jej o ich odmianach, wyglądzie i zwyczajach. Myśl o owych dziwnych stworzeniach, które całe zakopywały się w piachu, poprawiła jej humor. Mężczyzna miał przyjemny i kojący głos i spacer od plaży do podjazdu w Raheen trwał krócej, niż się spodziewała.

Szli właśnie przez gęsty zagajnik wokół domu, kiedy mężczyzna powiedział:

- Philo... to dość niezwykle imię dla konia.

- Wydaje mi się, że to irlandzka odmiana Philipa.

- Nie, nie. Choć mogłoby to być trafne. Słowo hippos, być może źródło pochodzenia imienia Philip, oznacza konia. Lecz Philo to nie jest imię irlandzkie, tylko greckie.

- Co ono oznacza? - zapytała Sara.

- Miłość - odparł mężczyzna. - Oznacza miłość.

Wezwany lekarz nastawił nadgarstek Sary i obejrzał guza na jej głowie. Zalecił odpoczynek. Ku swemu zaskoczeniu Sara rzeczywiście odpoczywała. Bardzo dużo spała, i to spokojnie, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Zastanawiała się, czy uderzenie o skałę wybiło jej z głowy część myśli o Antonie.

Dwa dni po wypadku przybył Gil Vernon. Kiedy babcia wprowadziła go do salonu, Sara siedziała na sofie przed kominkiem.

- Przyszedłem sprawdzić, jak się pani czuje - oznajmił. - Przyniosłem coś. Mama kazała przeprosić, że to tylko jagody, ale o tej porze roku nie ma kwiatów.

- Dziękuję. - Sara wzięła z jego rąk okazały bukiet ostrokrzewu, jemioly i bluszczu. - To takie zimowe i romantyczne. Takie świąteczne.

- Pańska mama ma wspaniały ogród, prawda? - spytała Alice Finborough. - Nie widziałam ogrodu w Ver - non Court już od dawna, ale pamiętam, że był piękny.

Gil Vernon pozostał przez pół godziny, które spędzili na rozmowie o tym i owym, a potem się pożegnał.

- Idzie pan znowu szukać muszli, panie Vernon? - zapytała Sara, a on uśmiechnął się i przytaknął.

Przychodził niemal codziennie. W dniu poprzedzającym przybycie rodziców Sary i Philipa do Raheen na Boże Narodzenie Gil pod koniec wizyty wstał, chrząknął i powiedział:

- Moja mama zaprasza panią, panno Finborough, na obiad. Oczywiście z całą rodziną.

Gil pożegnał się. Wychodząc z pokoju, zmarszczył brwi.

- Mama mówiła, żebym poprosił o zabranie płaszczy i swetrów, i innych rzeczy. W Vernon Court nie jest o tej porze roku najcieplej.

Vernon Court okazał się najbardziej romantycznym domem, jaki Sara kiedykolwiek widziała. Choć uwielbiała Raheen, nie sądziła, by ktokolwiek mógł nazwać ten dom romantycznym - miał kanciastą część główną i potężne skrzydła. Raheen był symbolem potęgi, Vernon Court zaś marzeniem swego twórcy. Stał wystawiony na działanie wiatru i słońca, magiczny, czarujący, dwadzieścia mil od zachodniego brzegu Stranford Lough.

Rodzina Finborough przybyła do Vernon Court po południu, kiedy słońce rzucało różowożłote światło na bluszcz i róże, porastające jego fasadę. Porośnięte mchem stopnie prowadziły na wsparty na kolumnach ganek. Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, na schody wyszedł Gil.

Poprowadził gości do kwadratowego salonu o wysokim suficie. Pokój umeblowano wypłowiałymi sofami, starymi lustrami w złoconych ramach i stoliczkami o marmurowych blatach. Przed kominkiem leżało kilka dużych psów. Na jednej z sof siedziała Caroline Vernon, matka Gila. Była to kobieta niemal kwadratowa, o ciemnej karnacji. Swą koralową suknię z jedwabnej satyny nosiła niezgrabnie, co chwila poprawiając zsuwający się szal lub ramiączko. Miała czarne, proste brwi i otwarte, taksujące spojrzenie, które podczas powitania spoczęło na Sarze. Służąca podała sherry w maleńkich kieliszkach, a rozmowa przenosiła się od burz, które

opóźniły podróż Finboroughów przez Morze Irlandzkie, do miłości, którą Caroline Vernon czuła do Londynu, gdzie się urodziła.

Gil pokazał Sarze i Philipowi dom. Sara cieszyła się, że zabrała ze sobą szal, gdyż z daleka od kominka temperatura była znacznie niższa. Budowę Vernon Court zaczęto w osiemnastym wieku, a rozbudowywano go zarówno w wieku dziewiętnastym, jak i dwudziestym. W jadalni, pochodzącej z epoki georgiańskiej, stał ogromny mahoniowy stół i mnóstwo srebrnych świeczników. Wysokie okna, podzielone na kwatery, wychodziły na żwirowe podwórze i podjazd. Sara zauważyła, że z ram okiennych łuszczy się farba, okna zaś zasłaniają pajęczyny. Za jadalnią mieściły się kuchnie i spiżarnie, które Gil wskazał jedynie ruchem dłoni.

Szeroka klatka schodowa zaprowadziła ich z wyłożonego białymi - czarnymi płytkami holu na wyższe piętro domu. Na ścianach wisiało mnóstwo rycin przedstawiających sceny z polowania, stare fotografie i mapy. Sara wyjrzała przez okno i zawołała:

- Och, staw! I zegar słoneczny! I taka piękna maleńka altanka!

Na dół zeszli innymi schodami. Philip wyruszył na poszukiwanie kolejnego drinka, zostawiając Sarę i Gila samym sobie. Nad ich głowami wznosił się wysoki przeszklony dach cieplarni, zwiększając siłę grudniowego słońca. Były tu wspaniałe warunki dla roślin, które wypełniały całą przestrzeń, pnąc się ku światłu. Winorośl i figi przebiły się przez szklane szyby ciachu i teraz rosły już w zimnym powietrzu, gnane pragnieniem wolności. Na pędach winorośli ciągle wisały uschnięte owoce, a figi miały dojrzały czarny kolor.

Obok szklarni znajdował się dziwny pokój. Od frontu otwarty był na działanie żywiołów i tylko niska ścianka dzieliła wnętrze od świata zewnętrznego. Ściany pobielono, podłogę zaś wyłożono terakotą. Wszędzie dookoła widniały ślady aktywnego wypoczynku - kije do krykieta i siatki na motyle. Tutaj pajęczyny były jeszcze obfitsze i bardziej widoczne od tych, które Sara zauważyła w pozostałej części domu. Oboje z Gilem zmienili buty na gumowce, a następnie mężczyzna znalazł latarkę. Mrok stawał się coraz głębszy i fragmenty ogrodu Caroline Verner - alejka otoczona rzeźbionymi kolumnami cyprysów, kępa eukaliptusa o powykręcanych różowych i srebrnych gałęziach oraz krzyżujące się i wijące ścieżki - były w ciemności na wpół tylko widoczne. Wilgotne, nagie pędy moczyły rąbek zielonej aksamitnej sukni Sary.

Po powrocie do domu dziewczyna zdjęła gumowce i usiłowała lewą ręką zapiąć małeńkie perłowe guziki bucików.

- Mógłby mi pan pomóc? - poprosiła wreszcie, a Gil ukląkł przed nią na podłodze. Z wahaniem dotknął jej stopy i przesunął guziczki przez niewielkie dziurki. Ujęła Sarę ta ostrożność, ujął jej kostkę równie delikatnie jak kruchą muszlę znalezioną na plaży.

Richard, Isabel i Philip wyjechali do Londynu zaraz po Nowym Roku, Sara zaś pozostała w Raheen. Pod koniec pierwszego tygodnia po świętach Richard zabrał Elaine Davenport do restauracji Thierry'ego, niewielkiego lokalu w Soho. Richard był pewien, że nie spotka tam nikogo ze znajomych. Jedzenie było proste, lecz doskonale przyrządzone, a obsługa się nie narzucała.

Spotkali się już kilka razy. Elaine powiedziała mu, że jest wdową, że mieszka samotnie w mieszkaniu przy St John's Street i prowadzi sklep od dwóch lat. Pozornie ich kontakty wyglądały na przyjaźń. Richard wiedział jednak, że czuje znacznie więcej. Elaine Davenport kusiła go, hipnotyzowała. Pragnął ją objąć, pocałować, przesunąć końcem języka od jasnego nadgarstka do białego wgłębienia na łokciu.

Zastanawiał się, czy kupić jej prezent na Gwiazdkę. Był świadomy, że zbyt nie ponaglanie w krótkim czasie może być niebezpieczne, zdecydował więc, że jedynie złoży jej serdeczne życzenia. Kilka dni przed tym spotkaniem przechodził jednak obok sklepu z antykami w Hampstead i pewien przedmiot tak go zachwyił, że nie mógł się oprzeć.

Skończyli właśnie pierwsze danie, kiedy Richard przesunął w stronę Elaine niewielką paczuszkę.

- Trochę spóźnione - powiedział. - Wesołych świąt. Elaine zmarszczyła brwi.

- Richardzie, to niepotrzebne.

- To przecież drobiazg. Kiedy to zobaczyłem, zaraz pomyślałem o tobie. Otwórz.

Powoli odwinęła bibułkę i jej oczom ukazała się porcelanowa rączka parasolki w kształcie kobiety w eleganckim kapeluszu na głowie.

- Podoba ci się?

- Bardzo. Ale...

- Kapelusz, jak widzisz. I przypomniałem sobie dzień, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, w tym deszczu.

- To bardzo mile z twojej strony. - Miała ściągnięte brwi. - Ale chciałam powiedzieć, że nie powinieneś kupować mi prezentów.

- Ale chyba mogę coś ci podarować z okazji świąt?

- Tylko tym razem. I nigdy więcej.

- Dlaczego?

Wbiła w niego wzrok.

- Richardzie, wiesz przecież, dlaczego nie. Za te pieniądze powinieneś kupić coś dla rodziny, nie dla mnie.

- Elaine, nie jestem biedny. Mogę czasem nabyć jakiś drobiazg, nie narażając przy tym żony i dzieci na śmierć głodową.

- Ale ja nie jestem bogata. Żyję dostatnio, zdecydowanie lepiej niż wielu innych ludzi, ale nie jestem bogata i nie sądzę, żebym kiedykolwiek miała być.

- Tym bardziej mogę ci czasem kupić jakiś drobiazg.

- Nie, Richardzie - odparła stanowczo. - Jeśli mamy być przyjaciółmi, musimy być sobie równi.

Jeśli mamy być przyjaciółmi: to był pierwszy, niewielki dowód na to, że ona pragnęła kontynuować te spotkania. Richardowi serce zabiło mocniej. Odpowiedział jednak gładko:

- Oczywiście, że jesteśmy sobie równi. Jakże mogłoby być inaczej ?

- Jeśli wejdzie ci w nawyk kupowanie mi prezentów niczym jakiejś kochance z końca ubiegłego wieku, to moje poczucie równości może lec w gruzach.

Słowa te wypowiedziała cicho i dobitnie.

- Richardzie, musisz zrozumieć pewne rzeczy. Nie chcę prezentów i z całą pewnością nie chcę twoich pieniędzy. I nie chcę zagrażać twojemu szczęściu.

Spojrzał w jej jasnoszare oczy.

- Mówisz o mojej żonie i rodzinie?

- Tak. - Po raz kolejny zmarszczyła brwi. - Lubię towarzystwo mężczyzn. Ale nie chcę, nie chcę nic poza przyjaźnią.

- Pewnie wciąż jeszcze tęsknisz za mężem.

- Pod pewnymi względami tak. Brakuje mi tych wszystkich drobnostek, tego, co musi wydawać się nieważne, błahe ludziom z zewnątrz. Brakuje mi - rozejrzała się po sali - tego. Zawsze lubiłam

jadać w restauracjach. Dla samotnej kobiety jest to jednak najczęściej przykre doświadczenie. Siadamy w ciemnych kątach i kelnerzy nas nie zauważają.

- Musisz mieć przecież jakichś przyjaciół.

- Niezbyt wielu w tej chwili - odparła z uśmiechem. - To zadziwiające, jak wdowa odpycha ludzi, zupełnie jakby wdowieństwo było zaraźliwe. Szczerze mówiąc, nie mam zbyt wiele czasu dla przyjaciół. Spotykam się z siostrą, ale nie chodzimy z Gildą do restauracji. - Zamilkła na chwilę. - Właśnie tego mi brakuje, odrobiny luksusu, odrobiny przyjemności.

- Dreszczu nowości - dodał cicho.

- Czujesz to samo? Tak podejrzewałam. Nie znoszę żyć w zamknięciu.

Przyszedł kelner. Elaine nie chciała puddingu, więc Richard zamówił kawę i brandy. Kiedy znowu zostali sami, powiedział cicho:

- Nie chcę zagrażać swojemu małżeństwu.

W powietrzu zawisło pytanie: „To co tutaj robisz?”. Nie wypowiedziała go jednak głośno. Rzekła natomiast:

- Jestem teraz sama sobie panią i czuję się z tym dobrze. Czasem to wielka ulga, że nie muszę być na każde zawołanie jakiegoś mężczyzny. Mężczyźni często sądzą, że niezależność kobiety jest irytująca, mało kobieca nawet.

- Nie ma najmniejszej możliwości, bym uznał cię za mało kobiecą. Jesteś czarująca, piękna, po prostu zachwycająca. - Słowa te wymknęły mu się, zaskakując nawet jego samego. Richard dodał lekko: - Nie chcę od ciebie nic więcej, Elaine. Czasem obiad w restauracji, czasem kawa. To może nam dać wiele przyjemności.

- Więc się rozumiemy. - Jej dłoń przelotnie dotknęła jego ręki.

Rozdział 8

W zeszłym roku Philip wyprowadził się z rodzinnego domu i zamieszkał w Chelsea. Pod pewnymi względami była to dla niego ogromna ulga, gdyż jego relacje z Richardem nigdy nie należały do najłatwiejszych. A poza tym miał już dwadzieścia pięć lat i nikogo nie dziwił fakt, że pragnie mieć własny kąt. Isabel jednak, której najstarszy syn był zawsze najbliższy, bardzo za nim tęskniła. Brakowało jej poczucia humoru Philipa i tego, że kiedy wchodził do domu, ten wydawał się budzić ze snu. Brakowało jej energii, którą zawsze wnosił, brakowało jego żywiołowych, hałaśliwych przyjaciół, których przyprawdzał do domu.

A potem, kiedy pod koniec lata Sara wyjechała do babci do Irlandii po tej okropnej aferze z Austriakiem, Isabel była przekonana, że wkrótce ponownie powita córkę w domu. Sara jednak nie wykazywała chęci powrotu i odmówiła go, kiedy rodzina wracała do Anglii po Nowym Roku. Isabel była przygnębiona i zmartwiona tak długą rozłąką z córką. Podejrzewała, że Sara wini ją za rozdzielenie z Antonem Wolffem, czyż jednak ona mogła postąpić inaczej? Ten człowiek był nieodpowiedni pod każdym względem. Wstrząsnęło ją odkrycie, że Sara ją okłamała i że Ruby była zamieszana w całą tę intrygę, ona zaś sama była zupełnie nieświadoma faktu, że jej córka jest zakochana. Isabel przypomniała sobie Alfiego Broughtona i spustoszenie, jakiego jego zdrada i jej konsekwencje dokonały w całym jej życiu. Pragnęła uchronić Sarę przed cierpieniem, którego sama doznała. Nie mogła pozwolić, by tak się stało.

Richard zgadzał się z tym, co Isabel dyktował instynkt - tamten związek należało zakończyć możliwie szybko i skutecznie. Choć pozornie jej relacje z Sarą wróciły do normy, Isabel czuła, że nadal dzieli je dystans.

Pod koniec lata Theo złożył jak zwykle niezapowiedzianą wizytę. Zawsze, kiedy wracał do Anglii, Isabel miała pewne nadzieje - może tym razem zdecydował się na stałe wrócić do domu? On jednak niemal natychmiast pozbawił ją złudzeń, oznajmiając, że zamierza podróżować po północnej Europie. Isabel ukryła rozczarowanie, wiedząc, że jej nadzieje i tak były zupełnie bezpodstawne, gdyż Theo, najbardziej niezależne z jej dzieci, nigdy nie wróci pod rodzinny dach. Podczas pobytu w domu był cichy i pełen rezerwy, a kiedy zapytała, czy jest szczęśliwy, pominął jej pytanie milczeniem. Z tęsknotą

wspominała dziecięce lata całej trójki. Tak łatwo było wówczas odwrócić ich uwagę czy pocieszyć obietnicą spaceru po parku lub zrobienia papierowej korony.

- Kiedy dzieci poszły swoją drogą, a Richard spędzał całe dnie w pracy, dom w Hampstead wydawał się ogromny i pusty. Część stycznia Isabel spędziła w Porthglas. Uwielbiała Kornwalię w zimie, spacerować po plaży, kiedy wiatr rozganiał oszalałe fale. W domu, w którym czuła się najszcześliwsza, zastanawiała się, czy uczucia Sary do Antona były głębsze, niż oboje z Richardem sądzili. Być może dlatego właśnie Sara została w Irlandii, może nie umiała znieść myśli o powrocie do domu. Strata miała różny wpływ na ludzi - niekiedy kurczowo trzymali się miejsca, z którym wiązały się przyjemne wspomnienia, tak jak ona sama nie umiała opuścić miejsca, w którym zmarł Charles Hawkins, niekiedy zaś uciekali stamtąd, gdyż otoczenie przypominało im o bolesnych doświadczeniach; tak właśnie ona sama uciekła tyle lat temu z Broadstairs.

Wieczorem po powrocie z Kornwalii Richard zabrał ją na obiad do restauracji Quaglino's. Pod koniec posiłku wyjął z kieszeni niewielką paczuszkę i wręczył jej.

- Tęskniłem za tobą - rzekł. - Przez jeden czy dwa wieczory mówiłem sam do siebie.

Isabel otworzyła paczuszkę i ujrzała kolczyki z perłami i agatami.

Prezent ten sprawił, że zaczęła uważniej się przyglądać mężowi. Przez te wszystkie lata Isabel nauczyła się, że prezenty Richarda służą odwróceniu jej uwagi, uciszeniu sumienia, są niezdarnymi próbami zadośćuczynienia. Isabel zaczęła dostrzegać, jak późno Richard wraca ostatnio do domu. Z bólem serca obserwowała jego zmienne nastroje - zaaferowanie, drażliwość, rzadkie chwile zadowolenia. Przeczucie, że dobra passa jest czymś niezmiernie kruchym, że nie może trwać w nieskończoność, nie opuszczało jej mimo dwudziestu pięciu lat małżeństwa. Brak poczucia bezpieczeństwa był w niej zbyt głęboko zakorzeniony, a poza tym niektóre z jej podejrzeń okazały się trafne. Richard był zawsze świadom swej siły i jakaś jego część musiała z tej siły korzystać, zarówno w sypialni, jak i w sali konferencyjnej. W latach dwudziestych jego flirty zmieniły się w dwa krótkotrwałe romanse. Kiedy Isabel odkryła niewierność męża, poczuła się poniżona, wściekła i zraniona. W obu przypadkach schroniła się w Kornwalii, odmawiając powrotu do Londynu, dopóki nie przekona

się, że Richard żałuje swego postępowania i nadal ją kocha. Wykrzykiwał, że to nic ważnego, że to bez znaczenia, zupełnie jakby przez to miała mu wybaczyć. Dlaczego nie widział, że jego pocałunek, spojrzenie, nawet przelotna myśl stanowiły dla niej źródło udręki? Dlaczego nie widział, jak bardzo gardziła pobłażliwą moralnością jego klasy, która przypisuje sobie prawo do przyjemności i władzy?

Któregoś wieczoru Richard wrócił do domu dopiero o dziewiątej. Kiedy zapytała, gdzie był, zamiast wybuchnąć, jak oczekiwała, odpowiedział, że finalizuje właśnie ważne interesy. Przez ostatnich kilka miesięcy planował przejęcie innej firmy. Przeprasza, że wydawał się nieobecny, lecz to duży krok naprzód, kluczowe przedsięwzięcie. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, a Isabel poczuła jednocześnie ulgę i wstyd, że go podejrzewała.

Ulgą ta jednak nie trwała zbyt długo. Coś się w nim zmieniło, coś, czego nie potrafiła zrozumieć, czego nie dało się wytłumaczyć zaangażowaniem w pracę. Często mówiła do niego, lecz on najwyraźniej myślał o czymś innym. W jego miłości fizycznej wyczuwała dziwne zapamiętanie, zupełnie jakby rozpaczliwie usiłował się z czegoś oczyścić.

Gips z nadgarstka Sary zdjęto pod koniec stycznia. Napinała rękę - skóra na niej zbladła, łuszczyła się, zupełnie jakby była nowa.

Gil zawiózł ją do Ardglass, gdzie spacerowali po porcie. Sara przyglądała się łodziom, on zaś opisywał w notesie różne gatunki morskich ptaków. Potem, dla uczczenia jej powrotu do sprawności, wypili piwo w pubie o bielonych ścianach, tonącym w zieleni, a Gil opowiadał jej o swych studiach nad nowym szczepem groszku, który wyhodowała Caroline Vernon.

- Pąki są białe z jasnoniebieskim brzegiem - wyjaśniał. - Nasiona często nie kiełkują i trzeba je wyrzucić. Należy wyhodować kilka pokoleń właściwego rodzaju, żeby mieć pewność, że to będzie istotnie taki kwiat, o jakim się marzy. Usiłuję ustalić, czy te same zasady odnoszą się do innych odmian groszku. Czy też bywają specyficzne dla danej odmiany.

- Wielobarwne kwiaty groszku są bardzo ładne - odparła Sara. - Takie urocze i radosne.

Spojrzał na nią z taką powagą i zdziwieniem, że ją to ujęło. Potwierdził:

- Oczywiście. Ale we właściwym otoczeniu.

Kiedy wrócili do Raheen, Sara zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Była zarumieniona, oczy jej błyszczały, a cerę miała ogorzałą od wiatru. Wyglądam na szczęśliwą, pomyślała.

Podczas obiadu babcia zapytała:

- Lubisz Gila, prawda, Saro?

- Tak. - Podsunęła kawałek szynki psu, który łąsił się do jej kolan pod stołem. - To przyjaciel.

- Jego ojciec i brat zginęli na wojnie, mówił ci o tym? Prawdziwa tragedia. Marcus był takim wspaniałym chłopcem. Zresztą sporo starszym od Gila. Biedna Caroline straciła kilkoro dzieci pomiędzy chłopcami. Nie dawaj Branowi swojego obiadu, Saro, musisz się dobrze odżywiać, a on i tak jest gruby. Zawsze podziwiałam Caroline Vernon. Wycierpiała bardzo wiele jak na jedną osobę. Sądzę, że dlatego właśnie stworzyła taki wspaniały ogród. Chciała oderwać myśli od straty Davida i Marcusa.

- Ale ma Gila, babciu - przypomniała Sara.

- Bez wątpienia Gil to dla niej wielka pociecha. Jeszcze ziemniaczków, kochanie? Vernon Court jest chyba w nie najlepszym stanie. To urocze miejsce, lecz dziurawe jak sito. Dwa pogrzeby i tylko niewielki przyływ gotówki. - Alice podniosła oczy w kolorze chabrów, a jej spojrzenie straciło swój zwykły marzycielski wyraz i stało się ostrzejsze. - Gil musi mieć teraz trzydzieści parę lat. Nigdy nie wykazywał ochoty, żeby się żenić. Mówię to tylko z wielkiej miłości do ciebie, Saro. Twoja mama wspomniała, że był ktoś w Londynie.

- Och, to - odparła Sara lekko. - Ale Gil i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Tak miło mieć towarzystwo.

- Oczywiście, że tak jest, i cieszę się razem z tobą. Jadły w milczeniu, po czym Sara odezwała się:

- Ale czasem mężczyźni żenią się dość późno, prawda?

- Tak, twój dziadek miał prawie czterdzieści lat, kiedy braliśmy ślub.

- To dobrze - odparła Sara, głaszcząc pod stołem jedwabiste uszy Brana.

Freddie zgromadził w imieniu Richarda wystarczającą liczbę akcji firmy Provostów, by publicznie ogłosić ofertę przejęcia spółki. Richard miał świadomość, że Cecil Pro - vost nie przyjmie tej oferty - budował firmę od podstaw - lecz wierzył, że przejęcie się powiedzie.

Ustalili z Bernardem, młodszym z synów Provosta, że sprzeda im swe akcje, co przeważy szalę zwycięstwa na ich stronę. Jakie to dziwne, że rodziny często schodziły na psy w taki właśnie sposób - jedno pokolenie gromadziło majątek, kolejne zaś cały ten majątek trwoniło. Cecil i starszy z synów, Stephen, będą się opierali, jak długo się da, lecz ponieważ nie posiadają już większości akcji, ich wysiłki nie wystarczą, by uratować spółkę. Pozostałych akcjonariuszy skusi perspektywa spłaty, kiedy Finborough przejmie firmę.

Richard zaplanował, że po przejściu nowej firmy rozszerzy zakres obowiązków Philipa. W minionym roku syn spędzał większość czasu w City, w fabryce pakowania herbaty. Richard wiedział, że Philipowi nie podoba się narzucone mu zesłanie i zdecydowanie wolałby być w Hounslow, lecz sądził, że owo doświadczenie bardzo się synowi przyda. Philip często przypominał mu jego samego z młodych lat - równie mocno potrzebował wyzwania, podniet i poczucia władzy. Kiedy Richard przejmie już fabrykę Proyostów, energia i entuzjazm Philipa będą nieocenioną pomocą.

Wzrok Richarda padł na bukiet kwiatów stojących w wazonie na szafie z aktami. Kwiaty przeznaczone były dla Elaine Davenport. W ciągu dnia zadzwonił do niej do pracy. Wydawała się jakaś zmartwiona, a kiedy nalegał, wyznała, że ktoś włamał się w nocy do sklepu. Zginęły pieniądze.

- Przyjadę po południu - zaproponował. - Zobaczymy, co się da zrobić.

W podziękowaniach dostyszał nutę ulgi i zaczął się zastanawiać, czy nawet dla Elaine Davenport niezależność czasem nie bywa zbyt trudna. Kiedy skończył z nią rozmawiać, zadzwonił do kwiaciarni i zamówił do biura bukiet kwiatów. Od czasu do czasu zerkał na goździki i frezje, których zapach wypełniał cały pokój.

Elaine Davenport ścigał równie pilnie i gorliwie, jak Proyostów. Czasami czuł, że te dwa podboje mają wiele wspólnego. Pamiętał każdy jej uśmiech i gest, i każdy niewinny pocałunek na pożegnanie. A jednak chciał więcej, pragnął więcej, i wydawało mu się, że wyczuwa napięcie, obustronne oczekiwanie. Każde z nich obserwowało najmniejszy ruch drugiego.

Wpół do siódmej wyszedł z biura i pojechał na Picadilly. Żaluzje sklepu były opuszczone, a na drzwiach widniał napis: „Zamknięte”.

Richard zapukał do drzwi, po chwili usłyszał stuk obcasów i zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach stała Elaine. Wręczył jej bukiet.

- Richardzie, jak miło z twojej strony - powiedziała. - Są piękne.

Wpuściła go do sklepu.

- Dużo straciłaś? - zapytał Richard.

- Wpływy z półtora dnia... - Z jej zwykle idealnej fryzury wysunął się jeden pukiel. Wsunęła go za ucho. - Usiłuję policzyć, ile dokładnie. Policja chce wiedzieć.

Richard usłyszał, że zamknęła drzwi. Niewielki magazyn na zapleczu był jeszcze ciaśniejszy niż sklep. Przypominał raczej korytarz niż pokój. Przestrzeń wydawała się mniejsza również z powodu piętrzących się stosów pudeł na kapelusze.

Elaine powiedziała:

- Wstawię je do wazonu - i wyszła z kwiatami w dłoni. Richard usłyszał w pobliżu odgłos lejącej się wody. Elaine wróciła do magazynu. Richard zapytał:

- W jaki sposób złodziej dostał się do sklepu?

- Przez okno w łazience. Za sklepem jest przejście. Już założyłam zamek na okno.

- Czy są rygle na drzwiach? - Jeszcze nie. Koszty...

- Elaine, ile złodziej zabrał?

- Nie wiem dokładnie. Około czterdziestu czy pięćdziesięciu funtów.

- Para rygli będzie kosztować niecałe dwa funty. I ten sejf jest zbyt lichy. Każdy doświadczony włamywacz otworzy go w parę minut. Dam ci adres ślusarza, jeśli chcesz.

- Dziękuję, Richardzie.

- Byłaś ubezpieczona?

- Ale nie przed kradzieżą - wyznała. - Chciałam obniżyć koszty dodatkowe i miałam nadzieję... - Nie dokończyła zdania.

- Nie zanosisz utargu do banku?

Elaine westchnęła.

- Muriel się wczoraj źle czuła, więc byłam w sklepie sama i nie mogłam iść do banku. Mam otwarte w porze lunchu, gdyż właśnie wtedy pracujące w okolicy dziewczyny mogą iść na zakupy. Po prostu zjadam kanapkę w wolnej chwili. Nie chcę zamykać sklepu bez ostrzeżenia, bo to odstrasza klientów, tracą do nas zaufanie. Był więc utarg z poniedziałkowego popołudnia i z wtorku.

Richard spytał bez ogródek.

- Czy policja rozmawiała już z Muriel?

- Jeszcze nie. - Elaine wyglądała na wzburzoną. - Ale mają taki zamiar.

- To dobrze.

Richard przeniósł wzrok na niewielkie biurko w kącie pokoju. Było zarzucone papierami.

- Złodziej przejrzał również to. Szukał pewnie kosztowności, ale znalazł jedynie szpilki i gumki. Pozbierałam wszystko i zaczęłam właśnie porządkować papiery - wyjaśniła Elaine, patrząc w tę samą stronę, po czym z kwaśnym uśmiechem dodała: - Nie znaleźli na szczęście mojego dzinu.

- Ach, dzin. To świetny pomysł.

- Są dni, kiedy jest mi naprawdę potrzebny, uwierz. Dziś jest właśnie jeden z nich.

Elaine wyszła z pokoju, a po chwili wróciła z dwiema szklaneczkami.

- Proszę, wspaniały i oziębiony - oznajmiła, podając Richardowi jedną ze szklanek. - Trzymam go w szafce w łazience, a tam jest bardzo zimno.

Zadzwońnię szkło. Richard, pozostając z Elaine w niewielkim pomieszczeniu, czuł jej fizyczną obecność, zapach perfum i widział żyłki prześwitujące przez niemal przezroczystą skórę. Owładnęło nim przemożne pragnienie, by dotknąć kobiety, poczuć ciepło jej ciała.

Elaine powiedziała niespodziewanie:

- Och, chcę wierzyć, że Muriel nie miała z tym nic wspólnego! Ale to głupia dziewczyna i nie mogę tego wykluczyć.

Richard wyjął szklaneczkę z jej dłoni i postawił na biurku. A potem ją pocałował. Delikatne jasne włosy muskały jego twarz, wdychał powietrze przesycone perfumami.

- Elaine - szepnął.

Zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Całował białą kolumnę jej szyi. Opuściły go wszelkie myśli, wszelki rozum, zostało jedynie pożądanie. Przez cienki jedwab bluzki czuł jej ciepło. Pocałunki doprowadzały go do szaleństwa. Kartki papieru spływały na podłogę niczym śnieg.

Elaine odsunęła się od niego.

- Richardzie, nie wolno nam - przypomniwała. - Wiesz, że nie wolno. Przyjaźń... - Na jej twarzy pojawił się przelotny nerwowy uśmiech. - Mamy być tylko przyjaciółmi, zapomniałeś?

Rano Isabel zadzwoniła do agencji w sprawie pokojówki, gdyż jej obecna służąca znowu była chora, umówiła się do fryzjera i krawcowej, a potem zabrała psa, który nie chciał jeść, do weterynarza.

Znalazła to, kiedy kręciła się po domu, robiąc drobne porządki. Miejsce chłodnych styczniowych wiatrów zajęła łagodna, niemal wiosenna pogoda, więc tego dnia Richard zostawił płaszcz na wieszaku. Isabel zabrała go z holu i przeniosła do szafy, sprawdzając wcześniej wszystkie kieszenie, wypchane rękawiczkami i szalikiem. Pod rękawiczkami leżał zmięty świstek papieru. Isabel wyprostowała go. Był to wypisany na Richarda rachunek z kwiaciarni. Sądząc po cenie, bukiet musiał być dość okazałych rozmiarów. Dostarczono go wczoraj do biura Richarda.

Isabel usiadła na łóżku. Usiłowała sobie wmówić, że musi istnieć jakieś całkowicie rozsądne wyjaśnienie tej sprawy. Być może Richard posłał kwiaty dawnej przyjaciółce lub znajomej, która nie czuła się najlepiej. A może któraś z jego stenotypistek odchodziła na emeryturę.

Jej spojrzenie padło jednak na toaletkę, gdzie w pudełku leżały kolczyki, które dostała od Richarda po powrocie z Kornwalii. Bez namysłu wstała z łóżka, otworzyła okno i z wściekłością cisnęła pudełko do ogrodu.

Philip wysadził Steffie w Enfield, gdzie mieszkała wraz z rodziną, po czym skierował się z powrotem w stronę Londynu. Motocykl, którym jeździł, Ariel o pojemności silnika 600 cc, był niedawnym nabytkiem, więc Philip postanowił, że po drodze do domu zajrzy do rodziców i pożyczycy od ojca jakieś narzędzia, żeby coś podregulować. Lubił majstrować przy motorach, lubił te drobne końcowe poprawki, dzięki którym maszyna działała tak dobrze.

Zaparkował przed garażem. Wszedł do domu i miał właśnie głośno oznajmić swą obecność, kiedy usłyszał podniesione głosy. Przeszedł przez hol i zatrzymał się przed drzwiami salonu. Słyszał głos ojca, przyciszony i pełen złości, lecz nie mógł rozróżnić słów.

Potem rozległ się hałas, zupełnie jakby ktoś rzucił czymś w drzwi, i krzyk matki:

- Dla kogo były te kwiaty?

Philip stał pod drzwiami. Ojciec odpowiedział:

- Dla panny Dobson. Straciła bliską osobę.

- Kłamca! - W głosie matki słycać było wysokie tony. - Zadzwońlam do panny Dobson! Powiedziała mi, że wszystko w porządku!

- Zadzwońlas do mojej sekretarki?

- Tak, Richardzie. Ponieważ muszę wiedzieć! A ty nie mówisz mi prawdy! Kim ona jest? Jak się nazywa? Chcę wiedzieć, jak się nazywa!

Palce Philipa jakby przymarzły do klamki. Ojciec wrzeszczał na matkę, że zachowuje się jak odrażająca prostytutka. Philipowi nie udało się usłyszeć wysyczonej przez matkę odpowiedzi.

Dłubał przy motorze w garażu, lecz myślami był daleko. Po chwili odłożył klucz i usiadł na starym fotelu z zepsutymi sprężynami, usiłując zrozumieć to, co do niego dotarło. Pewnie coś przekreślił. Czegoś nie dosłyszał, zmienił. Jego rodzice kłócili się, odkąd pamiętał. Matka nie mogła przecież mówić o tym.

Wrócił do domu. Wydawał się pusty i Philip zastanawiał się, czy rodzice poszli już się położyć. A potem, słysząc ciche odgłosy z kuchni, znalazł matkę przy piecu. Na jego widok podniosła wzrok. Zobaczył, że oczy ma czerwone i opuchnięte.

- Philip! - powiedziała z westchnieniem. - Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

- Chciałem trochę pomajstrować przy motorze.

- Robię właśnie kakao. Napijesz się?

- Nie, dziękuję. - Niepokoił go jej stan. - Mamo, co się stało?

- Nic, kochanie.

- Płakałaś. I słyszałem, jak na siebie krzyczeliście.

- To nic ważnego - ucięła ostro. - Nic zupełnie. To minie.

Musiał zapytać, choć każdy jej ruch ostrzegał, że nie powinien tego czynić. Nie mógł tego nie zrobić.

- Czy tata spotyka się z inną kobietą? - zapytał i zauważył, że matka, odwrócona do niego plecami, sztywnieje.

- Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy? - odparła chłodno.

Philip chciał wierzyć jej słowom. Ale powtórzył szorstko:

- Spotyka się? Mamo, powiedz mi.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Isabel wyszeptała:

- Nie. Mówi, że nie.

Mleko na piecu zaczęło kipieć. Philip podniósł garnek z ognia, pocałował matkę, wyszedł z domu i odjechał, możliwie najszybciej, do własnego mieszkania.

Richard zaprzeczył jakiegokolwiek nieuczciwości w sposób gwałtowny i pełen urazy. Po kłótni Isabel była chora ze wzburzenia, a silny ból głowy nie pozwalał jej jasno myśleć. Tęskniła za Kornwalia, lecz bała się opuścić Londyn. Musiała mieć go na oku, musiała zyskać pewność.

Kilka dni później kucharka miała wychodne. Richard jeszcze nie wrócił, więc Isabel usmażyła sobie na kolację omlet. Kiedy myła patelnię, drzwi frontowe otwarły się, a potem zamknęły z trzaskiem.

Do kuchni wszedł Philip. Włosy miał w nieładzie, a oczy błyszczały mu ze wzburzenia. Powiedział:

- Mamo, on cię okłamał. Serce Isabel zamarło.

- O czym ty mówisz?

- Tata był dziś rano w fabryce herbaty. Kiedy wyszedł, pojechałem za nim na motorze. Poszedł do sklepu na Picadilly, sklepu z kapeluszami. Rolety były opuszczone, a na drzwiach wisiała tabliczka: „Zamknięte”.

Isabel myślała, że serce wyskoczy jej z piersi, lecz odparła spokojnie:

- Philipie, nie rozumiem. Co ty mówisz? Twój ojciec załatwia tam na pewno jakieś uczciwe interesy.

- Nie. Widzisz, oni razem wyszli ze sklepu.

- Oni...? - powtórzyła szeptem Isabel.

- Tata i jakaś kobieta. Nie widziałem jej dobrze, było ciemno, a ona miała woalkę. Poszli do restauracji na Do - ver Street.

Isabel schyliła głowę i zamknęła oczy. Usłyszała, że Philip pyta:

- Mamo? Mamo, nic ci nie jest? - W jego głosie brzmiał strach.

A potem zmienił ton.

- Nie musisz się tym martwić - dodał. - Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Załatwię to.

Posłał jej uśmiech i wyszedł z kuchni. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi, a potem ryk motoru.

- Kit sprzedał rzeźbę i postawił wszystkim drinka. Przyjaciele Ruby - artyści i jej koledzy z pracy - siedzieli w kącie Fitzroy Tavern. Przysiadł się do nich chłopak o piwnych oczach, którego Ruby nie widziała nigdy wcześniej.

- Czy to prywatna impreza, czy można się przyłączyć?
- Nie jesteśmy zbyt drobiazgowi. - Ruby przesunęła się na ławce, aby mógł zająć miejsce obok niej. - Cześć. Jestem Ruby Chance.
- Joe Thursby.
- Nie widziałam cię tu jeszcze.
- Dopiero przyjechałem do Londynu - odpowiedział z północnym akcentem.
- Jak ci się tutaj podoba? Uśmiechnął się szeroko.
- Duże miasto. To trochę szokujące dla kogoś, kto większą część życia spędził w wiosce zamieszkaną przez dwieście osób. A ty całe życie mieszkasz w Londynie?
- Większą część.
Był bardzo przystojny, miał regularne rysy twarzy, a włosy i oczy kasztanowe.
- Powiedzieć ci, kim są pozostali? - spytała Ruby.
- Proszę.
- Ten człowiek w zielonej marynarce, który stoi na parapecie, to Kit. Jest rzeźbiarzem. Mieszkamy w tym samym domu. Kobieta obok niego to Daisy Mae, jego dziewczyna. Dalej jest Rob, malarz, i Inez, która jest modelką, a ten człowiek z fajką to Edward Carrington. Pracujemy w tym samym biurze.
- A więc ty nie jesteś artystką?
Ruby potrząsnęła głową. Opublikowano trzy z jej opowiadań - mogła mu powiedzieć, że jest pisarką. Wolą jednak nie chwalić się swymi niewielkimi sukcesami. Wydawały się zbyt ulotne, by o nich mówić. - Ani modelką?
- To byłoby trudne - prychnęła.
- A moim zdaniem, byłabyś dobrą modelką. Masz taką śliczną, szczupłą, pięknie sklepioną twarz. Takie podobają mi się znacznie bardziej niż te okrągłe jak pudding - mówił z uśmiechem.
- Jesteś bardzo bezpośredni.
- U nas w Yorkshire mówimy to, co myślimy. Ale to miał być komplement.
- Niech będzie. Nikt nie chce wyglądać jak pudding. Joe, czym się zajmujesz?
- Jeszcze niczym. Dziś cały dzień chodziłem, próbując znaleźć pracę. Nie sądzę, żeby przyjęli mnie do biura. Nie jestem dość reprezentacyjny. Pytałem więc w pubach i fabrykach.

- Gdzie mieszkasz?

- W tej chwili na podłodze u przyjaciela. Jak tylko coś zarobię, znajdę sobie własny pokój.

Rozmowę przerwał dziewczęcy głos:

- Ty masz coś wspólnego z rodziną Finborough, prawda?

Ruby podniosła głowę.

- Tak, znam ich.

Pytała młoda i elegancka blondynka. Jej futro i perły nie pasowały do prymitywnego pubu. Okropna dziura, pomyślała Ruby.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że zainteresuje cię fakt, iż Philipa Finborough właśnie wyrzucają z koktajlbaru w hotelu Savoy. Jest kompletnie pijany i wściekły.

Dziewczyna wmieszała się w tłum. Ruby powiedziała:

- Przepraszam, muszę lecieć - po czym wzięła płaszcz i torebkę. Wyciągnęła dłoń do chłopaka: - Już, cieszę się, że cię poznałam. Na pewno się jeszcze spotkamy.

Na Goodge Street wsiadła do metra. Otulona zakurzoną ciemnością wagonu rozmyślała o Joem Thursbym: o tym, jaki jest przystojny, i o błysku w jego oczach. Podobał się jej i ona też wpadła mu w oko, była tego pewna. Dlaczego więc zostawiła go tak po prostu na pierwszą wzmiankę o Philipie? Wiedziała dlaczego. Gdyby tamta dziewczyna powiedziała, że Philip znajduje się w barze hotelowym w Paryżu i że jej potrzebuje, również włożyłaby płaszcz, wsiadła w pociąg na Victoria Station, a potem złapała prom.

Ruby wysiadła na Charing Cross, po czym szybko ruszyła ulicą Strand. Philipa zobaczyła, kiedy tylko skręciła w Savoy Court. Oparty o ścianę palił papierosa. Wypowiedziała jego imię i na wpół przymknięte oczy się otworzyły.

- Ruby, postawiłbym ci drinka, ale ci dranie mnie wyrzucili - wymamrotał.

- Nie chcę drinka. Ale zjadłabym coś. Philipie, kiedy ostatnio jadłeś?

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Nie wiem. Chyba dawno. Dokąd pójdziemy? Do Wheelera? Czy Bertorellego?

Ruby nie miała ochoty patrzeć, jak Philip w tym stanie walczy z ostrygami czy spaghetti. Zaproponowała więc:

- A może po prostu wrócilibyśmy do ciebie. Potrząsnął głową.
- Nie chcę wracać do mojego mieszkania. Mam go dość. Zresztą może tam być Steffie.

- Steffie?

- Wydaje mi się, że dałem jej klucz - padła niejasna odpowiedź.

Ruby podjęła szybką decyzję.

- Chodźmy do mnie, zrobię ci jakąś kanapkę.

- Kanapkę... dobrze. Kochana Ruby. - Philip ruszył chwiejnie do krawężnika i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

W samochodzie, z przymkniętymi oczami, wtulił się w kąt. Ruby uznała, że nie ma dość sił, by ruszyć Philipa, jeśli zaśnie na dobre, więc bawiła go rozmową.

- Co u nich słychać?

- U kogo? - Philip otworzył jedno oko. - Masz na myśli moją rodzinę, Ruby? Zajrzyj do nich, to sama zobaczysz. Dlaczego nie odwiedzasz mojej ukochanej rodziny?

- Wiesz przecież dlaczego. Jestem persona non grata. Ze względu na Sarę i Antona.

Wyraz twarzy Philipa uległ zmianie. Teraz malowała się na niej złość.

- Jak mój ojciec miał czelność tak postąpić z Sarą! - A sam co robi!

Ruby nie miała pojęcia, o czym Philip mówi. Powiedziała mu to, on zaś wyjaśnił:

- Ma romans z kobietą o połowę młodszą od siebie. Obrzydliwe.

Philip mówił dość głośno i Ruby zauważyła, że barki taksówkarza się zatrzęsły. Dała Philipowi kuksańca i uciszyła go, więc ponownie zapadło milczenie. Usłyszane słowa zaskoczyły ją, wydawały jej się bez sensu, więc upewniła się szeptem:

- Kto ma romans?

- Mój ojciec, oczywiście. - Philip patrzył w drugą stronę, za okno.

Przez resztę drogi nie rozmawiali zbyt wiele. Richard Finborough miał romans. Ruby nie wiedziała, czy powinna wierzyć Philipowi. Był bardzo pijany, a w takim stanie ludzie często wygadują bzdury. Pomyślała o własnym ojcu. Gdyby parę lat temu ktoś powiedział jej, że ojciec ma w Salisbury drugą żonę i dzieci, to czyby uwierzyła?

Oczywiście, że nie.

Taksówka zatrzymała się na Fulham Road. Philip wyjął z portfela banknot dziesięciofuntowy i podał kierowcy. Ruby pomogła Philipowi pokonać schody przed wejściem, a potem powoli wdrapali się na górę.

Kiedy dotarli do jej pokoju, zrobiła Philipowi kanapkę z pastą drożdżową i filiżankę bardzo mocnej kawy. Gdy wypił parę łyków, podjęła poprzedni wątek:

- Mówiłeś, że twój ojciec ma romans...

- Ma. Z dziwką z Picadilly. Ona pracuje w sklepie z kapeluszami - mówił Philip z pogardą.

- Skąd wiesz?

- Śledziłem go. Widziałem. Zapytałem następnego dnia w sklepie. Powiedzieli mi, że ona nazywa się Davenport.

- Nie rozumiem, skąd możesz wiedzieć, że on ma z nią romans...

- Och, Ruby, to oczywiste! - Philip był znowu wściekły. - Myślałem o tym. To prawdopodobnie nie pierwszy raz. To pewnie dlatego rodzice się ciągle kłócą.

Usiadła na łóżku obok niego. Zaprotestowała bez przekonania:

- Philip, nie możesz tego wiedzieć.

- Ale wiem. Słyszałem, jak się na ten temat kłócili.

- Może to jakaś pomyłka...

- Gdyby to była pomyłka, to chyba nie poszedłby się z nią spotkać zaraz po tym, jak mama się dowiedziała, prawda?

- Isabel wie?

- Tak.

Jego słowa miały sens. Ścisnęła jego dłoń.

- Jest takim strasznym hipokrytą! I dlaczego mama to znosi? Dlaczego nie każe mu odejść?

Żadna odpowiedź nie przychodziła Ruby do głowy.

- Biedaku! - powiedziała tylko.

- Ruby, jesteś dobrym dzieckiem. - Kiedy na nią patrzył, czuła, że coś w niej topnieje.

Poklepał się po kieszeniach i zmarszczył brwi.

- Masz papierosa?

- Nie. Ale sprawdzę, czy sąsiad zza ściany mógłby ci pożyczyć.

Ruby wyszła z pokoju i wyłudziła dwa papierosy od żydowskiego tłumacza, który zajmował jeden z pozostałych pokojów na tym piętrze, po czym wróciła do siebie. Philip wyciągnął się na jej łóżku i

zasnął z ręką na poduszce. Nie chcąc go obudzić, Ruby delikatnie rozwiązała mu sznurowadła, zdjęła buty i okryła go kocem.

Zebrała talerze i filiżanki, po czym zaczęła czytać, lecz trudno jej było się skupić. Dziecięce wyobrażenie Ruby o rodzinie Finborough, tak wspaniałej i zgodnej, zostało poważnie nadwerężone. A poza tym jej wzrok ciągle uciekał w stronę leżącego na łóżku Philipa. Pograżony we śnie, ze zmierzwionymi włosami i wyrazem spokoju na twarzy, robił wrażenie młodszego, bardziej bezbronniego. Zgasiła światło, zdjęła buty i pończochy i położyła się obok niego, dla ochrony przed zimnem okrywając się płaszczem. Pokój wypełniony był światłem latarni. Ruby wyciągnęła dłoń i palcem wskazującym delikatnie pogładziła najpierw brew Philipa, a potem łuk jego nosa, zatrzymując się w kąciку ust. Gdyby była bohaterką swych własnych opowiadań, pomyślała, on by się obudził, wziął ją w ramiona i namiętym pocałunkiem wyznał swą miłość. Nic takiego się jednak nie stało.

Kiedy ujrzała, że świta, wstała i poszła do łazienki. Umyła twarz zimną wodą i spojrzała w lustro. Wydawało się jej, że coś się w niej zmieniło, że zmieniła ją ta noc.

Wróciła do pokoju. Philip też już nie spał. Wiązał krawat.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Cholernie boli mnie głowa, ale i tak pewnie jest lepiej, niż zasługuję. - Przesunął dłonią po włosach, które sterczały miedzianymi kępkami. - Ruby, jesteś niesamowita. Dziękuję, że zniosłaś moje towarzystwo. Nie zasługuję na ciebie.

Pocałował ją, po czym wyszedł z pokoju. Słyszała, jak zbiega po schodach. Przyłożyła palce do miejsca, gdzie jego usta dotknęły jej policzka.

Po powrocie do domu Elaine zdjęła płaszcz, kapelusz i rękawiczki, po czym zapaliła gaz. Zadzwoił dzwonek do drzwi, zeszła więc na dół, by otworzyć.

W progu stał młody mężczyzna.

- Panna Davenport? - zapytał.

- Pani Davenport.

- Ach! - Uśmiechnął się nieprzyjemnie, jakby coś wiedział. A potem spytał: - Mogę wejść?

- Nie sędzę. Kim pan jest?

- Nazywam się Philip Finborough.

Przyjrzała mu się. Podobieństwo, dostrzegła to dopiero teraz, było zadziwiające. Niechętnie więc zaproponowała:

- Wobec tego chyba będzie lepiej, jeśli pan wejdzie. Droga na piętro pozwoliła jej opanować zaskoczenie.

Otwierając drzwi mieszkania, zapytała:

- Jest pan synem Richarda, prawda?

- Więc nie zaprzecza pani, że zna mojego ojca?

- A dlaczego miałabym to robić?

- Ponieważ jest mężem mojej matki - odpowiedział Philip ze złością. - I ponieważ ma pani z nim romans.

Gdyby nie był tak napastliwy, być może udałoby jej się wyjaśnić, że nie ma romansu i że z Richardem łączy ją jedynie przyjaźń. Zamiast tego podeszła jednak do szafki i wyjęła butelkę dzinu.

- Napije się pan?

- Nie, dziękuję.

- A ja chyba tak. Zaproponowałabym, żeby pan usiadł, ale w stanie takiego wzburzenia prawdopodobnie będzie pan wolał stać.

Spojrzał na nią z niechęcią i rzucił się na krzesło przy ogniu. Elaine usiadła naprzeciwko niego i spytała:

- Po co pan tu przyszedł?

- A jak pani myśli? Żeby go pani zostawiła w spokoju.

- Jak mnie pan znalazł?

- Śledziłem panią. W metrze.

- Jakie to pomysły.

Elaine nie podobała się myśl, że ten kipiący wściekłością mężczyzna szedł za nią całą drogę do domu, lecz rzekła spokojnie:

- Panie Philipie, nie wiem, skąd dowiedział się pan o mnie i Richardzie, ale to naprawdę nie pańska sprawa.

- Nie moja sprawa? Jak pani może tak mówić?

- Bo to prawda. To, co robi pański ojciec, to jedynie jego sprawa.

- Proszę dać spokój! - rzucił Philip z pogardą. - Nie mam wątpliwości, że zrobiła pani wszystko, żeby przybiegł tu w podskokach.

Elaine odstawiła szklanekę na stolik.

- Woli pan widzieć to w ten sposób? Postrzegać mnie w charakterze jakiejś femme fatale?

Wykrzywił usta.

- Nie chodzi o to, czy to wolę, czy nie. Chodzi o fakty.

- Pański ojciec potrafi samodzielnie podejmować decyzje. Pochylił się do przodu i zacisnął dłonie w pięści.

- Proszę obiecać, że pani zerwie ten... to, co panią łączy z moim ojcem.

- Nie.

- Musi pani! - ryknął.

Odpowiedziała oschle.

- Philipie, powinien pan już iść.

- Dopiero jak pani obieca! Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Proszę wyjść. W przeciwnym razie wezwę policję. Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila. Wreszcie Philip wstał.

- To odrażające - rzekł, podchodząc do Elaine. - On mógłby być pani ojcem.

To był okropny dzień. Policja poinformowała ją, że narzeczony Muriel był zamieszany we włamanie do sklepu, samą Muriel zaś aresztowano, podejrzewając ją o współudział. A teraz jeszcze ten arogancki młody człowiek ze swoimi żądaniami. Elaine straciła panowanie nad sobą.

Zaczęła krzyczeć:

- Wyjdź stąd, słyszysz!

Kiedy Philip Finborough zbiegał po schodach, perska kotka Elaine imieniem Cleo podniosła na swą panią zaskoczony wzrok.

- Ostrygi - mówił Gil - niekoniecznie rodzą się płci męskiej lub żeńskiej. Ich płęć się zmienia. *Ostrea edulis*, czyli ostryga płaska, zmienia płęć kilka razy w życiu i zawsze rozmnaża się przy pełni księżyca.

Sara była pewna, że Gil wie wszystko. Wiedział, że stonogi należą do skorupiaków, jak kraby i homary, i że za pomocą pajęczyny można zatamować krew płynącą z rany. Wiedział, że skorupki większości ślimaków skrecone są zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a jedynie w rzadkich przypadkach w drugą stronę. To dziwaczne odchylenie od normy, mówił, ale również fascynujące, prawda? Wiedział, że jeże nie są rdzennymi mieszkańcami Irlandii, lecz przywieziono je tam około dwustu lat temu, i że prości ludzie wierzyli, iż jeż może przepowiedzieć kierunek wiatru.

- To oczywiście kompletna bzdura - oznajmił, lecz Sarze podobała się myśl, że jeż wyciąga swój czarny, ruchliwy nos, by wykryć zmianę pogody.

Pewnego dnia pojechali do Killough, gdzie okna niewielkich szarych domków wychodziły na płaską szarą plażę. Na piasku rozrzucone były pokryte skorupiakami kamienie, a niebo zasnuwały deszczowe chmury.

Sara zapisywała w notesie Gila, jakie ptaki mężczyzna wypatrzył przez lornetkę.

- O ileż łatwiej w dwie osoby - rzekł z aprobatą. Sarę ogarnęła radość. Bawiło ją notowanie nazw i liczb oraz ozdabianie pustych do tej pory marginesów rysunkami.

Gil pokazał jej swe pokoje do pracy w Vernon Court. Znajdowały się na parterze, trochę z dala od pozostałej części domu. W grubych książkach kryły się zasuszone kwiaty, w gablotkach widniały przypięte szpilkami motyle. Obok maszyny do pisania leżały sterty papieru, półki zaś wypełniały czasopisma naukowe.

Sara popatrzyła przez mikroskop i ujrzała, jak w kropli wody wiją się maleńkie stworzonka, dziwne istoty z innego świata.

Ogród w Vernon Court wyglądał wspaniale również w zimie. Stare kamienne donice oplecione były bluszczem. Ostrokrzew, którego poszarpane liście lśniły zielenią, czasem pomieszaną z kolorem kremowym, stanowiły tło dla paproci i dereni. Na powierzchni stawu unosiło się kilka liści, niczym złote monety, a pod nimi w ciemnej wodzie przeblyskiwały pomarańczowe i perłowobiałe karpie.

W narożniku wydzielonej części ogrodu przycupnęła altana, której porośnięta dzikim winem wieżyczka spoglądała tam, gdzie spod ziemi wylaniały się biało - zielone dzwoneczki przebiśniegów.

Pewnego poranka babcia zapytała Sarę, jak długo ma zamiar gościć w Raheen. Alice Finborough dodała:

- Jeśli o mnie chodzi, możesz tu zostać na zawsze. Twoja obecność jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, skarbie. Wiem jednak, że rodzice za tobą tęsknią, i zastanawiałam się, kiedy chcesz wrócić do domu.

Kiedy Sara nie odpowiedziała, Alice powiedziała łagodnie:

- Skarbie, na co ty czekasz?

Na co ty czekasz? Sara sama zadawała sobie to pytanie, spacerując po ogrodzie Vernon Court. Obawiała się, że zna odpowiedź. Ta zima pełna była bolesnych wspomnień o poprzedniej. Bez względu na to, jak bardzo Sara starała się zapomnieć, wszystkie

mijające tygodnie i miesiące przynosiły jakieś rocznice: wieczoru, gdy po raz pierwszy poszli z Antonem na kawę, pierwszego pocałunku na Putney Bridge, bukietu oczarów o zimnym, pieprzowym zapachu, który dostała od ukochanego.

Czekała na Antona. Czekala, aż Anton napisze, że to pomyłka. Czekala na wiadomość, że ciągle jej pragnie, kocha ją. Czekala na chwilę, gdy wyjrzy przez okno w Raheen i zobaczy go na podjeździe, wysokiego i przystojnego, w starym czarnym płaszczu, który tak lubił nosić.

Codziennie przed śniadaniem Caroline Vernon brała psy na spacer. Wydawało jej się, że jest to dobry początek dnia. Dzięki temu miała lepszy apetyt. Bez względu na pogodę szła tą samą trasą, wokół ogrodu Vernon Court.

Tego ranka padał silny deszcz. Caroline, wróciwszy, zdjęła ubłocone gumowce, strząsnęła krople deszczu z peleryny i powiesiła ją na wieszaku. Psy również otrzepały się z wody i dyszały teraz z jęzorami na wierzchu. Zaprowadziła je do pokoju na tyłach domu i nakarmiła, a dopiero potem poszła do jadalni.

Gil siedział przy stole i czytał gazetę. Caroline pocałowała go na dzień dobry, po czym nałożyła sobie jajek na bekonie.

- Wygląda na to, że rozpadało się na dobre - zauważyła. - Gil, czy herbata jest gorąca?

Dotknął czajniczka.

- Raczej letnia. Mam zawołać panią Regan?

- Nie, nie - odparła Caroline. - Sama pójdę. Tak będzie szybciej.

Wzięła czajniczek i ruszyła w stronę kuchni. Kiedy kilka chwil później wróciła ze świeżą herbata, spytała:

- Gil, jakie masz plany na dziś?

- Popracuję nad referatem. Samochód ma niewielką dziurę w oponie, więc muszę wymienić koło.

- Piec znowu dymi - oznajmiła Caroline, smarując tost masłem. - Musisz znaleźć Jimmy'ego Coultera i poprosić, żeby przeczyścił komin.

- Znajdę go w pubie.

- Idziesz do panny Finborough? Gil odwrócił stronę gazety.

- Nie wiem. Nie myślałem o tym.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? Zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. W poniedziałek... Wtedy złapałem gumę.

- Wydaje mi się, że powinieneś iść dzisiaj do Raheen.
- Jeśli przestanie padać, to może zajrzę po drodze na wybrzeże.

Caroline w milczeniu przyglądała się synowi. Nie żałowała, jak przypuszczali niektórzy, że to Marcus, a nie Gil, nie żyje. Kochała obu synów jednakowo: podziw dla sprawności i odwagi Marcusa nie był większy niż czułość, jaką darzyła drugiego syna. Gil był o wiele inteligentniejszy niż Marcus, który w szkole uchodził za czarującego, radosnego tumana.

Jednak głębia miłości jej nie zaślepiła i Caroline dokładnie widziała wady Gila. Mimo swych trzydziestu jeden lat był uparty i pedantyczny; tych cech nabrał jeszcze w dzieciństwie. Caroline zauważyła, że boczek, jajka i grzyby na talerzu syna były jak zwykle dokładnie rozdzielone. W dzieciństwie płakał, gdy na ziemniaki spłynęła strużka sosu. Takie samo musiało być otoczenie Gila. Właśnie ze względu na ową pedanterię, pomyślała Caroline, pomimo zainteresowania światem przyrody, Gil nie lubi prac ogrodowych, które nie należą przecież do szczególnie czystych. Caroline wydawało się, że u podstaw prowadzonych przez Gila badań leży jego potrzeba porządku, systematyki, a nie prawdziwa pasja.

Przez większą część czasu nie zwracał uwagi na pogarszający się stan domu, w którym mieszkał. Caroline czuła frustrację na myśl o owym braku zaangażowania w problemy gromadzące się nad Vernon Court. Gil najwyraźniej nie rozumiał powagi sytuacji i nie dostrzegał konieczności znalezienia rozwiązania w możliwie krótkim czasie.

Miłość do młodszego syna łączyła się w Caroline z irytacją. Oznajmiła więc twardym tonem:

- Jeśli masz zamiar poślubić pannę Finborough, nie powinieneś z tym zbyt długo zwlekać.

Gil podniósł pełen zaskoczenia wzrok. - Ja, poślubić Sarę?

- A dlaczegoż by nie? - Caroline wskrobała ze słoika resztki marmolady. - Mało prawdopodobne, byś spotkał kogoś odpowiedniejszego niż ona.

Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać nad słowami matki.

- Finboroughowie to stara rodzina - rzekł w zamyśleniu. - Szlachetnie urodzeni Anglo - Irlandczycy.

- To dość niefortunne, że Richard Finborough zajął się biznesem. Ma to jednak również dobre strony. Vernon Court potrzebuje pieniędzy. Nie damy rady dłużej żyć w ten sposób. Jeśli nie

naprawimy dachu, to niedługo się zawali - oświadczyła Caroline, patrząc, jak jej syn kroi grzanekę na idealne trójkąci. - Gil, Sara ci się podoba, prawda?

- Tak. To miła dziewczyna.

Caroline pomyślała, że chyba nic równie pozytywnego nie powiedział nigdy o żadnej kobiecie. Poczwała ulgę.

- Ty też ją lubisz, prawda, mamo?

- Wydaje się uroczą, łagodną istotą, tylko trochę... - Caroline przerwała, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów na określenie Sary Finborough. Uczuciową? Egzaltowaną? Nieprzewidywalną? I trochę jakby... frywolną? Lecz Gil musi wybrać narzeczoną z wąskiego kręgu, nie może więc być zbyt wybredny.

- Alice Finborough zawsze robiła dokładnie to, na co miała ochotę - rzekła Caroline. - A matka Sary, Isabel, nie pochodzi z najwyższych sfer. Wydaje mi się jednak, że to nie powinna być przeszkoda. Sara jest młoda i zdrowa i będzie dla ciebie dobrą żoną, jestem tego pewna. Nie wspominałabym o małżeństwie, gdybym nie uważała jej za odpowiednią osobę. Wnieście pieniądze, co jest dość istotne, i da Vernon Court dziedzica. - Umilkła na chwilę, myśląc o przyjemnościach związanych z ponowną obecnością dziecka w domu. Silna, władczą naturą Caroline, mało kobiecej zarówno pod względem stroju, jak i zachowania, łagodniała w kontakcie z małymi dziećmi. - Gil, żeby mieć syna, musisz się ożenić - oświadczyła stanowczo. - Trzeba podtrzymać naszą linię rodu.

O okno uderzyła fala deszczu. Caroline zauważyła, że przez jedną ze szczelin w ramie okiennej sączy się woda.

Stwierdziła energicznie:

- Najwyraźniej w Londynie zdarzył się jakiś nieszczęśliwy romans. Dlatego właśnie Sara Finborough przyjechała do Irlandii. Gil, nie możesz czekać zbyt długo. Musisz poprosić ją o rękę jak najszybciej, zanim zapomni o tamtym mężczyźnie i wróci do Anglii.

- Jaka ona jest? - zapytała Ruby. Była z Philipem w pubie na Fulham Road.

- Blondynka o platynowym odcieniu włosów - odparł Philip, stawiając przed nią kufel z piwem.

- Farbowana?

- Nie, raczej nie.

Umilkł, zaprzątnięty własnymi myślami. Jego długie palce manipulowały przy papierośnicy.

- Philipie - przerwała milczenie zniecierpliwiona Ruby - w co była ubrana?

- Chyba w coś czarnego.

- Jest ładna?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył oschle. - Taka zwyczajna. Pospolita.

Ruby wyobraziła sobie panią Davenport w wydekoltowanej sukni z czarnego atłasu i perłach na szyi.

- A jej mieszkanie? - zapytała. - Opowiedz mi o jej mieszkaniu.

Jak mógł wyglądać buduar dziwki? Może różowe strusie pióra i skóra geparda.

- Też zwykle. - Potrząsnął głową. - Nie pamiętam. Tak, chyba zwyczajne.

Ruby westchnęła.

- Bez otomany obitej czerwonym aksamitem?

- Raczej bez. - Nieustannie obracał w dłoniach emaliowaną papierośnicę. Oczywiście miał zwięzłe - nienawiścią, uznała Ruby, do obrzydliwej pani Davenport.

- Co ci powiedziała? Była skruszona?

- Skruszona? - Po raz pierwszy tego dnia spojrzął na nią przytomnie. - Nie, nie wydaje mi się, żeby czuła się winna.

Te słowa zrobiły na Ruby wrażenie. - No cóż, ktoś taki pewnie powinien być naprawdę twardy.

- Też tak sędzę - odparł, lecz jego myśli znów popłynęły własnym torem. - Nie ujdzie jej to na sucho - powiedział spokojnie. - Nie pozwolę na to.

Pani Davenport wyglądała inaczej, niż Philip sobie wyobrażał. Jak na dziwkę i poszukiwaczkę sponsora, pomyślał, wydawała się zbyt inteligentna i dobrze wychowana.

Wieczorem czekał na nią przed sklepem. Zauważyła go, gdy tylko wyszła.

- To pan - powiedziała. Kiedy się odwróciła, by zamknąć drzwi, zauważył na jej twarzy wyraz niechęci. - Co pan tu robi?

- Przecież pani wie, po co przyszedłem.

- Jeśli zamierza pan żądać ode mnie jakichś bzdurnych obietnic, może pan sobie to darować, bo nic pan nie osiągnie. - Mówiąc te

słowa, odeszła parę kroków do przodu, zostawiając Philipa przed sklepem.

W pierwszej chwili opanowała go wściekłość, lecz zaraz ją dogonił.

- Cóż to? Pan ciągle tutaj? - zdziwiła się, kiedy się z nią zrównał. Skierowała się na północ, w górę Old Bond Street, a jej wysokie obcasy stukały na płytach chodnika.

Philip szedł tuż obok niej.

Odezwała się niespodziewanie jeszcze raz:

- Powinien pan wiedzieć, że Richard jest zbyt młody, by być moim ojcem. Chyba że miałby dziecko jeszcze przed skończeniem szkoły.

Miała więc, policzył Philip szybko, trzydzieści parę lat.

- Ale to nie tłumaczy pani postępowania.

- A ja wcale nie próbuję tego robić. Nie uważam, żeby było tu coś do tłumaczenia.

Jej spokój rozpałił w nim gniew.

- On jest żonaty, na miłość boską!

- Tak, wiem. Powiedział mi.

- Więc nic pani sobie nie robi z cudzołóstwa?

- Cudzołóstwa? - powtórzyła ze śmiechem. - Philipie, to takie pompatyczne. Nie, nie potępiam cudzołóstwa, jeśli już pan pyta. Ale też go nie pochwalam. Wszystko zależy od okoliczności.

Stanęła przed przejściem dla pieszych, czekając, aż będzie można przejść. Philip uciał oschle:

- To bzdura. - Mówiąc te słowa, patrzył kobiecie w oczy. Pragnął zburzyć jej beztroskę. - Uspokaja pani własne sumienie. Wmawia to sobie pani, żeby nie mieć poczucia winy. Pewne rzeczy po prostu nie są w porządku.

- Czyżby? - Popatrzyła na niego chłodno. - Czy pan kiedykolwiek coś ukradł?

- Oczywiście, że nie!

- A gdyby pan przymierał głodem albo gdyby chodziło o kogoś panu drogiego, a pan nie miałby nic do jedzenia, to czy mógłby pan wówczas coś ukraść?

Kiedy przechodzili obok sprzedawcy gazet, rozdzielili ich kolejka ludzi czekających na „Evening Standard”. Gdy znów znaleźli się obok siebie, Philip oświadczył:

- Znalazłbym jakiś sposób. Nie poniżyłbym się do kradzieży.

Tym razem w jej śmiechu wyczuł pogardę.

- Mówi pan tak, bo nigdy panu niczego nie brakowało.

- To nieprawda!

- Proszę pana, oczywiście, że to prawda. - Jej oczy na chwilę spotkały się z jego wzrokiem. Zauważył, że są przejrzyste szare niczym czysty lód na stawie. - Jest pan synem Richarda Finborough. O nic nigdy nie musiał pan walczyć.

- Pani uważa, że urodziłem się w czepku.

- No cóż, a nie?

Ich rozmowa miała się potoczyć zgoła inaczej. Nie powinien czuć się zmuszony do obrony. To ona miała przeproszać, najlepiej z płaczem, przyznając, że popełniła błąd, i błagając o przebaczenie. Jej docinki go sprowokowały i odpowiedział z wściekłością:

- Nic pani o mnie nie wie! Nie wie pani, o czym mówi!

- Czy kiedykolwiek był pan bez pracy?

- Nie, ale...

- W dzisiejszych czasach miliony ludzi jej nie mają. Pozostają bez środków do życia, choć są porządni i pracowici.

- Mam świadomość...

- Gdzie pan pracuje?

- Przecież pani wie. W rodzinnej fabryce.

- Ach, tak - powiedziała z ironią. - Philipie, a jak pan zdobywał swą pierwszą pracę? Czy poszedł pan na rozmowę... czy rozmawiał pan z magistrem?

- Oczywiście, że nie. Ale musiałem zaczynać na hali produkcyjnej, podobnie jak wszyscy inni. Musiałem się sprawdzić.

- Jakież to musiało być uciążliwe...

- Jeśli wydaje się pani, że łatwo jest być synem szefa, kiedy się pracuje z robotnikami, to się pani myli!

Zerknęła na niego.

- Sądzę, że istotnie ludzie mają różne żale - przyznała. - Ale pracownicy ojca nie ryzykowaliby przecież, zdradzając światu swoje uczucia. A gdzie pan mieszka?

Zaskoczyło go to pytanie, lecz odpowiedział:

- Mam mieszkanie w Chelsea.

- A ile... ile pan ma lat?

- Dwadzieścia pięć - odparł sztywno.

- Ma pan służbę?

- Kobieta przychodzi gotować i sprzątać, to wszystko.

- A w pracy ma pan bez wątpienia sekretarkę - rzekła z uśmiechem. - To pewnie wspaniałe uczucie, kiedy ktoś za nas wykonuje te wszystkie drobne a uciążliwe prace... Jedna kobieta do mycia podłóg, a inna do pisania listów.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że jestem rozpieszczony?

- Oczywiście, że tak. Tego nie można było przecież uniknąć.

Wydawało się jednak, że jej zapal przygasł i kiedy przechodzili obok latarni, Philip zauważył, że twarz kobiety nosi ślady zmęczenia. Poczul dreszcz triumfu. Wiedział, że odniósł zwycięstwo, że ją złamał.

Oxford Street ciągle pełna była ludzi wracających z pracy, więc nie mogli swobodnie rozmawiać. Kiedy skęcili w Regent Street, Elaine obrzuciła Philipa niechętnym spojrzeniem.

- Pan ciągle tutaj? Ależ pan jest uparty.

- Nie odejdę, dopóki nie obieca pani zostawić mojego ojca w spokoju.

Zatrzymała się nagle przy żelaznych barierkach, osłaniających okna piwnicy.

- Mam panu opowiedzieć o swoim życiu? - spytała cicho. - Sądę, że różniło się od pańskiego. W wieku czternastu lat opuściłam szkołę i zaczęłam pracę w sklepie. Kilka lat temu zdecydowałam się wynająć lokal na własny sklep. Pracuję dziewięć godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Musiało mi się udać, bo utrzymuję nie tylko siebie, ale również rodziców. Nikt nie myje moich podłóg ani nie pisze za mnie listów. Wszystko robię sama.

- Ale to nie tłumaczy pani postępowania.

- Już panu mówiłam, że nie usiłuję się z niczego tłumaczyć. Nigdy tego nie robiłam. - Spojrzała na zegarek i poruszyła się nerwowo. - Traci pan czas. Wczoraj wieczorem tuż po pana wyjściu zadzwoniła moja siostra. Powiedziała, że mama nie czuje się dobrze. Zabrali ją do Middlesex Hospital. Właśnie tam się teraz wybieram. Jeśli więc ma pan ochotę odwiedzić oddział pełen chorych kobiet, to proszę iść ze mną. Jeśli nie, niech pan idzie do domu.

Odeszła. Philip stał na chodniku i patrzył za nią aż do chwili, gdy wchłoneła ją ciemność i tłum. Potem skierował kroki do miejsca, gdzie zaparkował motocykl.

Tego wieczoru zadzwoniła Steffie i wybrali się do pubu. Najdziwniejsze było to, że mimo towarzystwa ślicznej, radosnej dziewczyny, która robiła wszystko, by oderwać jego myśli od wydarzeń minionego tygodnia, widział przed sobą jasnoszare oczy pani Davenport. Gniew mieszał się w nim z żalem, że potraktowała go w taki sposób, oraz z gorzką świadomością własnego niezdarnego postępowania i faktu, że pozwolił jej zyskać nad sobą przewagę. Zwracała się do niego tak, jakby był naiwnym chłopcem. Żadna kobieta nie mówiła do niego w taki sposób. Jego dziewczyny zawsze były pełne zachwytu i uwielbienia. Kiedy z nimi zrywał, niektóre wypłakiwały morze łez.

Tłumacząc się koniecznością wczesnej pobudki, już o dziesiątej odprowadził Steffie do domu i wrócił do mieszkania. Nalał sobie drinka i usiadł na sofie. Zniknęła cała jego złość. Czuł się teraz wyczerpany i rozczarowany. Choć usiłował nie myśleć o ojcu, nie było to łatwe. Wspominał, jak ojciec brał go na kolana i pozwalał prowadzić rolls - royce'a po podjeździe i jak uczył go żeglować w Kornwalii, i jak po raz pierwszy zabrał go do Lords. Matka zawsze czuwała w pobliżu, lecz ojciec był zdecydowanie bardziej atrakcyjny - jego obecność była nagrodą, dzięki niemu każde wydarzenie zyskiwało szczególne znaczenie. Pomimo kłótni Philip kochał ojca głęboką miłością. A teraz zaczął się zastanawiać, czy to wszystko było jedynie fikcją i kłamstwem, czy widział ojca takim, jakim pragnął go widzieć. Czy przypadkiem nie został skierowany do pracy w City, a nie w Hounslow, by ojciec mógł robić, co chce, bez świadków... czy Theo nie wyjechał dlatego, że również odkrył coś okropnego...

Philip jednym łykiem wypił resztkę whisky i nalał sobie kolejną szklanekę.

Kathleen Wallace, matka Elaine, cierpiała na ostre zapalenie oskrzeli. Mąż spędzał z nią całe popołudnia, wieczorem zaś zastępowały go córki Elaine i Gilda. Na ich widok Kathleen szeptała słowa powitania ze swego namiotu parowego, kasłała, a chwilę później zapadała w sen z otwartymi ustami, co nie wiadomo czemu doprowadzało Elaine niemal do łez.

Nigdy zresztą nie lubiła szpitali - prawdopodobnie od czasu operacji wycięcia migdałków, którą przeszła w wieku pięciu lat. Drażniła ją tu własna nieprzydatność: mogła jedynie potrzymać matkę za rękę albo wygładzić jej prześcieradło. Kiedy opuszczały szpital

pierwszego dnia, Gilda oznajmiła, że Jimmy zdecydował się przyśpieszyć ślub. To będzie cicha uroczystość, mówiła Gilda, żadnych falbanek ani dzwonów, a po ślubie zamieszkają z mamą i tatą. Mama powinna przecież odpoczywać, dotąd zdecydowanie za dużo pracowała.

Siedząc następnego wieczoru przy łóżku drzemiącej matki, nie rozmawiały za wiele. Elaine podejrzewała, że Gilda czuje to samo co ona - że nie powinny tego robić w tej surowej i ponurej sali szpitalnej. W ciszy przerywanej jedynie hałasem wózka z herbatą lub jękami innych pacjentek Elaine miała zdecydowanie zbyt wiele czasu na refleksje.

Kiedy Philip Finborough przyszedł do jej mieszkania, przede wszystkim poczuła złość. Jak on śmie ją szpiegować? Jak śmie bezczęścić jej prywatny azyl? A potem miał czelność przyjść do sklepu. Martwiła się o matkę. Była zmęczona po całym dniu pracy, więc celowo potraktowała go tak okrutnie. Chciała ugodzić w jego zarozumiałość i butę. Philip Finborough jest zepsutym, rozpieszczonym bachorem. Nie obiecała, że przestanie się spotykać z Richardem, i pewnie była to pierwsza odmowa, z jaką Philip się w życiu spotkał.

Dlaczego jednak nie powiedziała mu prawdy, że nie ma romansu z jego ojcem, że łączy ich jedynie przyjaźń - niewłaściwa i potajemna, lecz jednak przyjaźń? W pewnej mierze chyba dlatego, że nie lubiła być do niczego zmuszana, a żądania Philipa obudziły w niej opór.

A jednak w tej niespokojnej sali szpitalnej zmusiła się, by stawić czoło niewygodnej prawdzie, a mianowicie, że dla Richarda ich znajomość nie jest jedynie przyjaźnią. Przypomniała sobie pocałunek na zapleczu sklepu. Richard Finborough być może - niemal na pewno - uważał te spotkania za wstęp do romansu. Od dawna wiedziała, że czuje do niej coś więcej, lecz czy gdyby było inaczej, jego towarzystwo sprawiałoby jej tyle przyjemności? Zastanawiała się, czy gorzej być dziwką, jak podejrzewał Philip Finborough, czy kokietką.

Kiedy rano zadzwonił Richard, wymówiła się chorobą matki, a on przysłał jej kwiaty, olbrzymią wiązanek różowych róż. Elaine zabrała je do domu, lecz nie sprawiły jej one takiej przyjemności jak pierwszy bukiet, który od niego dostała, więc zaniosiła je matce. W zwykłym szklanym wazonie na metalowej szafce wydawały się pretensjonalne i nie na miejscu. Powinnam wyrzucić je do kosza, pomyślała ze złością.

Po wyjściu ze szpitala Elaine i Gilda skierowały się na Goodge Street, gdzie Gilda miała wsiąść w Northern Line do Hendon, Elaine zaś, z przesiadką na Oxford Circus, dojechać do St John's Wood. Przed rozstaniem pocałowała Gilde i powiedziała, że siostra musi sobie wybrać u niej ślubny kapelusz.

- Który tylko zechcesz - dodała z uśmiechem. - Najpiękniejszy.

Dotarła do domu o dziewiątej. Kiedy skręciła za róg, zobaczyła na krawężniku przed swym domem krępą sylwetkę motoru. Poznała Philipa, westchnęła z rezygnacją i podeszła do niego.

- Och, na miłość boską - rzuciła niecierpliwie - tylko pana mi brakowało.

- Zrobiła pani to? - W głosie Philipa słychać było agresję i zniecierpliwienie. - Czy powiedziała pani mojemu ojcu, że więcej się z nim nie spotka?

- Philipie, nie mam zamiaru rozmawiać na ten temat. Proszę odejść.

Podeszła do drzwi domu i włożyła klucz do zamka. W tej samej chwili z wielką ulgą usłyszała ryk silnika. Zaraz potem rozległ się pisk opon na asfalcie. Odwróciła się pośpiesznie i ujrzała, że Philip stracił panowanie nad pojazdem. Spadł z niego, a maszyna z piskiem przejechała na drugą stronę ulicy i uderzyła w drzewo.

Upuściła torebkę i klucze i podbiegła do Philipa. Leżał w rynsztoku. Próbowwała coś zawołać, lecz nie mogła wydobyć głosu z gardła. Uklękła na ziemi, potrząsnęła nim i wypowiedziała jego imię.

Powieki Philipa drgnęły, a potem się otworzyły. Elaine poczuła taką ulgę, że aż przysiadła na piętach. Philip miał zakrwawione czoło i wyglądał na oszołomionego.

- Coś pana boli? - zapytała. - Coś pan sobie złamał? Philip usiadł.

- Chyba nie. - Przesunął się do krawężnika i usiadł z zamkniętymi oczami i zwieszoną głową.

Na odgłos wypadku mieszkańcy okolicznych domów wylegli na ulicę. Dwaj mężczyźni podnieśli motor i postawili go na chodniku. Elaine powiedziała:

- Chyba lepiej będzie, żeby pan wszedł do mnie.

- Motor...

- Proszę nie myśleć o tym cholernym motorze! Mógł się pan zabić! - W jej podniesionym głosie dźwięczały nienaturalnie wysokie tony.

Philip stanął niepewnie. Objęła go ramieniem, by pomóc mu przejść przez chodnik i po schodach prowadzących do wejścia. Po omacku szukała kluczy w torebce. Potem pomogła mu wejść po schodach do mieszkania.

Philip przysiadł na wannie w łazience, Elaine zaś przyniosła watę i środek dezynfekujący.

Przemywanie głębokiego otarcia na czole było tak nieprzyjemne, że Philip się krzywił.

- Proszę siedzieć spokojnie - nakazała Elaine ostrym tonem. - Muszę to porządnie oczyścić. Tam jest pełno brudu.

Kiedy rana na czole była już czysta, zabandażowała ją gazą.

- Czy ma pan inne obrażenia? - zapytała.

- Na dłoniach.

Musiał wyciągnąć ręce przed siebie, aby uchronić się w chwili upadku, gdyż opuszki wszystkich palców miał niemal obdarte ze skóry. Usunęła z otarć piasek i też przetarła je środkiem dezynfekującym. Dłonie Philipa były kwadratowe, duże i silne, zupełnie jak dłonie Richarda. Bandażując je, zauważyła, że chłopak jest bardzo blady i że z trudem udaje mu się opanować drżenie.

- Gotowe - oświadczyła energicznie. Ten ton pozwalał ukryć zarówno jej szok, jak i niezręczność sytuacji. - Ładnie wygląda, prawda? Ma pan szczęście, że jestem modystką i mam wprawne palce. Pańskie spodnie są w strzępach, ale chyba ktoś będzie w stanie je połatać. Jestem pewna, że niedługo odzyska pan zwykłą urodę. A teraz proszę usiąść na sofie, a ja zrobię herbatę.

Potrząsnął głową.

- Nie chcę herbaty. Chyba już pójdę.

- Zrobi pan, jak mówię! - rzuciła ostro. Zauważyła, że oczy Philipa aż rozszerzyły się ze zdziwienia.

Wzięła głęboki oddech i usiłowała odzyskać kontrolę nad sobą.

- Proszę usiąść i odpocząć. Wypuszczę pana, dopiero kiedy będę pewna, że czuje się pan wystarczająco dobrze. Na Boga, tam, na ulicy, byłam przekonana, że pan nie żyje!

- Byłoby pani przykro? Miała ochotę go spoliczkować.

- Mój mąż zginął w wypadku samochodowym - odpowiedziała szorstko. Przypomniała sobie, jak policjant zapukał do drzwi i jak w kostnicy gładziła posiniaczoną twarz Hadleya. - Zginął przez głupią nieuwagę, chwilową lekkomyślność. Czy sądzi pan, że chciałabym

narażać pana rodziców na podobne przeżycia? Czy naprawdę pan myśli, że mogłabym sobie życzyć, by coś takiego się panu przydarzyło, nawet jeśli mnie pan denerwuje? Philipie, na miłość boską, niech pan wreszcie dorośnie!

Usłyszała, jak mruczy coś, co mogło uchodzić za przeprosiny, po czym posłusznie poszedł do salonu i usiadł na sofie. Kiedy zobaczyła, jak męczy się z paczką papierosów, wzięła ją od niego i zapaliła dwa, po jednym dla każdego z nich. Rzadko paliła, ale teraz bardzo tego potrzebowała.

Kiedy czekała, aż woda się zagotuje, zaczęła odczuwać skutki incydentu. Czowała się chora i rozbita. Przed oczami ciągle miała scenę wypadku. Łzy kręciły jej się w oczach i tylko z największym wysiłkiem zdołała je powstrzymać.

Zaniosła tacę do salonu. Philip siedział bez ruchu, zabandażowane dłonie położył na kolanach.

- Proszę - zachęciła Elaine, stawiając na stole obok niego filiżankę słodzonej herbaty. - Proszę wypić.

Kiedy przyjrzała mu się uważniej, ku swemu zaskoczeniu dostrzegła w jego oczach wyraz bezdennej żalości.

- Na pewno nie trzeba lekarza?

- Nie, wszystko w porządku. Dziękuję.

Philip pił herbatę w milczeniu. Dopiero kiedy skończył, Elaine zaproponowała:

- Wezwę taksówkę - i już w drzwiach zapytała: - Chelsea, prawda?

Podał jej adres. Elaine zadzwoniła po taksówkę z budki telefonicznej na rogu ulicy. Kiedy wróciła do pokoju, Philip usiłował włożyć obandażowaną rękę w rękaw skórzanej kurtki.

- Chwileczkę - powiedziała. - Pomogę. Przytrzymała kurtkę i pomogła mu się w nią ubrać.

- Jezu - rzekł Philip ze złością. - Czuję się jak niemowlę.

- Może to pana nauczy jeździć ostrożniej. - Po tych słowach zapadła cisza, po czym Elaine dodała cicho: - Ja i pański ojciec nie jesteśmy kochankami. Łączy nas tylko przyjaźń, to cała prawda. Nie powiedziałam tego wcześniej, bo uważałam, i nadal uważam, że to nie pańska sprawa. Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Wiem, co pan o mnie myśli, i rozumiem, dlaczego tak jest, ale naprawdę nie miałam takiego zamiaru.

Odwróciła głowę, by nie widział, że płacze. Usłyszała, jak powiedział:

- Muszę już iść - po czym otworzył, a potem zamknął drzwi.

Dwa dni później, ku zaskoczeniu Philipa, zadzwoniła Elaine.

Był w biurze, usiłując zdziałać coś pożytecznego. Kobieta odezwała się:

- Wreszcie pana znalazłam. Chciałam się dowiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest - powiedział. - Mam tylko wrażenie, że noszę rękawice bokserskie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebne są palce. - Przerwał, a po chwili dodał: - Przepraszam za tamtą noc. Zachowałem się jak kompletny idiota. Zwykle nie robię z siebie takiego głupka.

- Miło mi to słyszeć. - Kolejna, tym razem dłuższa przerwa. - Philipie, muszę panu coś wyznać... - Umilkła. Usłyszał pełne irytacji syknięcie. - Mam klienta. Muszę iść. Zadzwonię później.

- Nie - odparł. - Muszę jechać na nabrzeże. Będę tam niemal do końca dnia. Spotkamy się o piątej u Lyonsa na Picadilly Circus. - Odłożył słuchawkę, zanim zdołała odmówić.

Nie wiedział, czy Elaine przyjdzie. Postarał się być przed czasem i poprosił kelnera imieniem Nippy o stół w rogu. Kilka minut później do herbaciarni weszła pani Davenport. Miała na sobie perłowszarą spódnicę i żakiet wykończony czarną lamówką oraz popielaty kapelusz z czarnym jedwabnym kwiatkiem przy rondzie.

Philip wstał, kiedy Elaine podeszła do stołu. Kobieta spojrzała na niego z aprobatą.

- Wygląda pan odrobinę lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania.

- Miałem szczęście, tylko parę zadrapań. Motor jest w znacznie gorszym stanie. Ciagle stoi w warsztacie. Przednie koło jest pogięte.

Podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie.

- Pani Davenport, na co pani ma ochotę?

- Wezmę herbatę, dziękuję.

- A ja umieram z głodu. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli coś zjem? .

Potrząsnęła głową. Philip zamówił jajka na toście i herbatę. Kiedy ponownie zostali sami, Elaine zdjęła rękawiczki, po czym oznajmiła:

- Nie będę się więcej spotykała z pana ojcem. Powiedziałam mu to wyraźnie.

Philip poczuł triumf.

- To dobrze - odparł, po czym dodał niechętnie: - Dziękuję.

- Nie będzie się pan na niego złościł, prawda? To nie było nic poważnego. - Zarumieniła się. - Wiem, że to brzmi dość bez trosko. Chciałam jednak przez to powiedzieć, że potrzebowałam jedynie przyjaciela. Czułam się samotna, a Richard był dla mnie miły. Nie próbuję się tłumaczyć ani prosić o współczucie, ale tak właśnie rzeczy się miały.

Philip z przyjemnością stwierdził, że jej niewzruszone opanowanie odrobinę złagodniało.

- Kiedy powiedziała mi pani, że mąż zginął w wypadku... nie wiedziałem, że jest pani wdową.

- Pewnie sądził pan, że udaję mężatkę, by być bardziej szanowaną. - Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. - Czy to lepiej, że jestem wdową? Nie wydaje mi się.

Podano herbatę. Podniósł obandażowane dłonie i powiedział:

- Chyba bezpieczniej będzie, jeśli pani naleje - a potem spytał: - Jaki on był? Kiedy zginął?

- Uważa pan, jak widzę, że najlepiej przejść od razu do sedna sprawy? - zapytała, trzymając siteczko nad filiżanką. - Hadley był mądry i miły, i beznadziejnie roztargniony. W kwietniu miną trzy lata od jego śmierci, jak już mówiłam, ten wypadek był po prostu bezsensowny. A jeśli chciał mnie pan wtedy zdenerwować, to nie mógłby pan znaleźć lepszego sposobu.

Philipowi podobały się jej ostrożne i precyzyjne ruchy przy nalewaniu herbaty. Przypomniał sobie, z jaką uwagą opatrywała mu dłonie. Uśmiechnął się szeroko.

- Chyba nie sądzi pani, że rozbiłbym motor tylko po to, by panią przekonać do swoich racji.

- Philipie, nie wiem. Wydaje mi się, że jest w panu jakaś bezwzględność.

Postawiła przed nim filiżankę z herbatą. A potem potrząsnęła głową i dodała z rozdrażnieniem:

- Ale dlaczego się panu z tego wszystkiego tłumaczę? To żałosne.

- Może ma pani poczucie winy.

- Nie był pan nigdy samotny? - W jej głosie zabrzmiała irytacja. Odstawiła dzbanek z herbatą. - Tak naprawdę, dotkliwie, boleśnie samotny? I przekonany, że nikt nie zrozumie tego, co pan czuje?

To pytanie go zaskoczyło, lecz poszukał w pamięci.

- Kiedy zacząłem szkołę, zostałem po raz pierwszy sam, i rzeczywiście czułem się okropnie. Ale byli tam inni chłopcy, więc przywykłem.

- Nie sądzę również, by kiedykolwiek brakowało panu pieniędzy. By zastanawiał się pan, z czego zapłacić następny czynsz.

- Musiałem się zadłużyć na kupno motoru - odparł ponuro. - A teraz będzie jeszcze potężny rachunek z warsztatu. - Podano mu jedzenie, więc wbił widelec w żółtko. - Ale jeśli chodzi pani o prawdziwą biedę, to faktycznie jej nie znam. Nie byłem biedny.

- Po śmierci Hadleya, kiedy wynajęłam sklep, czasem musiałam miesiącami jeść sardynki z puszki i tosty. Nie mogłam sobie pozwolić na kupno gazety ani wyjście do kina, na nową parę pończoch ani apaszkę, żeby poprawić sobie nastrój. Wszystko dookoła było ponure, a w sercu miałam pustynię. Tak to wyglądało. A jeśli się przez to nie przeszło, jeśli nie straciło się ukochanej osoby, nie można mieć o tym pojęcia. - Jej przejrzyste szare oczy pałały gniewem. - Jak już mówiłam, nie chcę się tłumaczyć, nie sądzę, żebym musiała. Pragnęłam mieć trochę rozrywki, trochę przyjemności, to wszystko. Od tak dawna nic nie sprawiało mi radości. Oboje z Richardem popełniliśmy głupi błąd i przykro mi, że to pana dotknęło.

Philip posłodził herbatę.

- Ale tata jest człowiekiem żonatym, wiedziała to pani. To, co się stało, nie powinno więc pani zaskoczyć.

Elaine westchnęła.

- Problem polega na tym, że samotni mężczyźni zwykle się zakochują, a potem cierpią, kiedy kobieta nie chce się już z nimi spotykać. Żonaci natomiast... cóż...

Philip przechylił się przez stół.

- Czy zawsze się w pani zakochują?

- Tak, dość często.

Chłopak znów zajął się tostem, ale po chwili powiedział.

- Powinna więc pani znaleźć jakiegoś skończonego łajdaka, który interesuje się wyłącznie sobą.

- Może tak zrobię. - Wyciągnęła rękę po torebkę. - Cóż, tylko tyle chciałam panu powiedzieć.

- Proszę nie odchodzić. Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

Znow się uśmiechnął.

- Ktoś musi mi odkroić skórki

Elaine wzięła w dłonie nóż i widelec i okroiła tosty.

- Proszę - powiedziała. - Może być? - Po czym wstała i zanim odwróciła się do wyjścia, popatrzyła na niego i oświadczyła: - Współczuję pańskim dziewczynom. Czy wszystko każe im pan za siebie robić?

Odeszła. Kiedy wychodziła z restauracji, Philip zjadł łączywie resztę tosta i rzucił na stół kilka szylingów.

Na zewnątrz rozglądał się tak długo, aż wreszcie ją zauważył. Szła w kierunku metra. Przeniósł spojrzenie z supła jasnych włosów, ledwie widocznego spod kapelusza, na wąską talię, i z zaskoczeniem stwierdził, że na widok Elaine odczuwa nie tylko przyjemność wygranej, lecz przemożne zauroczenie.

Rozdział 9

Jej pytania kłuły go niczym igły.

Jak się nazywała? Elaine Davenport. Powtórzyła to nazwisko tak, jakby parzyło jej usta. Ile ma lat? Gdzie ją poznałeś? Jak wygląda? Ma włosy jasne czy ciemne? Od jak dawna się z nią widzisz?

Kiedy chciał to przerwać, pytając, dlaczego zadaje sobie ból, choć cała sprawa jest już zakończona, odparła oschle:

- Takie sprawy nigdy się nie kończą. Nigdy. Trudno mu było odpowiadać na te pytania, gdyż dotykały jego skrywanej głęboko tajemnicy.

- Richardzie, spałeś z nią?

- Nie. Nie.

- Ale ją pocałowałeś.

Przypomniał sobie pokój na zapleczu sklepu, papiery spadające na podłogę, ciepło jej skóry przebijające przez jedwabną bluzkę, smak dżinu na jej ustach.

- Nie chciałem tego - odparł z rezygnacją.

- Masz na myśli - powiedziała, patrząc na niego wzrokiem, który wydawał się prześwieślać go na wskroś - że nie chciałeś, żebym się dowiedziała.

Działo się to w dniu, w którym stał się właścicielem fabryki Provostów. Poczł się panem wszystkiego, czego pragnął, człowiekiem o nieograniczonych możliwościach.

Spotkał się z Elaine w zwykłym miejscu.

- Wiesz, że odwiedził mnie twój syn? - zapytała. Richard zaskoczony powtórzył:

- Mój syn? Philip?

- Przyszedł do mojego mieszkania, a potem do sklepu. Wie o nas. Wie również twoja żona. Był bardzo zdenerwowany, ale miał do tego prawo. Sprawił, że poczułam się jak dziwka. Więc to koniec, obawiam się. Postanowiłam, że powiem ci to osobiście. Rozstanie listowne jest takie tandetne.

- Rozstanie? - Wydawał się niezdolny do rozmowy, zupełnie jakby wszystko, co mógł z siebie wydobyć, to niedowierzające powtórzenia.

- Tak, właśnie tak. Nie możemy się więcej widywać.

Usiłował ją przekonać. To nie jest konieczne, argumentował. Przez jakiś czas nie powinni się oczywiście spotykać, to wszystko, ale mogą przecież utrzymywać kontakt.

Jej spojrzenie wyrażało pogardę.

- Nie, Richardzie, nic z tego. Wiesz przecież. Żadnych spotkań, listów, telefonów. Kiedy się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że mam rację.

- Ale Elaine - zaprotestował - ja cię kocham.

- Nie, Richardzie, nieprawda - odparła chłodno. - Ty mnie tylko pożadasz, a to nie to samo.

Potem odstawiła nietknięty napój na stół i wyszła z baru. W pierwszym odruchu chciał iść za nią, ale postanowił jednak tego nie robić. W tym dniu przeżył taką gamę uczuć, od euforii do rozpacz, że czuł się chory i musiał przyłożyć dłoń do piersi, by sprawdzić, czy serce bije normalnie. Przez krótką chwilę nawet jego ciało wydawało się nieprzewidywalne.

Wyszedł z baru i pojechał do domu. Bez Isabel nic nie wyglądało zwyczajnie. Richarda przerażał fakt, że Philip wiedział o Elaine Davenport. Nawet z żoną trudno było rozmawiać na ten temat, a już rozmowa z synem wydawała się niemożliwa. To nie jego sprawa, pomyślał Richard ze złością. Philip nie miał prawa się w to mieszać.

Po powrocie do biura Richard zaczął przeglądać księgi firmy Provostów. Myślni był jednak gdzie indziej: wspominał Elaine w sklepie, kiedy patrzyła w lustro, wkładając na głowę kapelusz, a potem odwróciła się do niego z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Nie rozumiał, dlaczego koniec czegoś, co było przecież tylko rozrywką, jest tak bardzo bolesny.

Za pierwszym razem, gdy przyjechał do Porthglas, Isabel odprawiła go z kwitkiem. Dłuższą chwilę walił w drzwi, lecz potem usłyszała hałas zapalającego silnika. Przychodziły listy: wrzucała je w ogień, nie otwierając. Zostanie w Porthglas, zacznie sama nowe, godne, spokojne życie. Będzie uprawiać ogród, malować i może znajdzie jakąś pracę w St Ives. Jak on śmiał ją tak upokorzyć - i to ze zwykłą modystką! Dlaczego dziwi ją fakt, że nie wybrał jakiejś damy ze swego kręgu, lecz kobietę z niższych sfer? Wiele lat temu, w Lynton, wybrał przecież ją, czyż nie?

W nocy spała albo leżała bezsennie w sypialni, którą zawsze dzieliła tu z Richardem. W całym domu rozrzucone były wspomnienia

minionych lat - dziecięca łódeczka z czerwonym trójkątnym żaglem, sieć rybacka, lalka bez ręki.

Następnym razem Richard był rozdrażniony, bronił się.

- Kilka pocałunków to jeszcze nie zbrodnia - powiedział.

Padał silny deszcz. Isabel zlitowała się nad mężem, zaprowadziła go do zimowego ogrodu od frontu i pozwoliła mu stanąć pośród wiklinowych foteli i donic z roślinami. Na kamienną podłogę spływała woda z jego płaszcza.

- Pocałunki prowadzą do innych rzeczy - odparła ostro. - Wiesz przecież. Nie zachowuj się jak niewiniątko.

Przytaknął lekceważąco.

- Zastanawiałem się, kiedy zaczniesz.

- Zacznę co?

- Odgrzebywać moje stare grzechy. Przywoływać każdą chwilę, gdy spojrzałem na inną kobietę.

- Ty z nimi sypiałeś!

- Raz czy dwa. To było bez znaczenia. Nawet nie pamiętam ich imion.

- Ale ja pamiętam!

- Po co? One nie były ważne. - Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. - Szkoda, że stałaś się taka drobnomieszczańska w tych kwestiach.

- Drobnomieszczańska! - Słowo zraniło ją głęboko, podniosła więc głos: - A ty? Ty jesteś bezduszny, bezmyślny. Uważasz, że możesz mieć wszystko, czego tylko zapragniesz, i wcale cię nie obchodzi, że kogoś przy tym ranisz!

- Dlaczego tak to rozpamiętujesz? Po co tyle o tym myślisz?

Wyszczała.

- Potrafisz sobie wyobrazić, jak się czułam, kiedy mój własny syn przyszedł mi powiedzieć o zdradzie mojego męża?

Wyraz twarzy Richarda się zmienił. Po raz pierwszy on sam wyglądał na zawstydzonego.

- Philip ze mną nie rozmawia - mruknął. - Nie odezwał się do mnie od tamtej pory. Nie powinnaś pozwolić, żeby się w to mieszał. To nie było mądre, Isabel.

- Niemądre? Ty śmiesz tak do mnie mówić? - Przypomniała sobie wzrok Philipa, jego słowa, zanim wyszedł z domu. Będzie

dobrze, obiecuję. Ja to załatwię. Powinnam była iść za nim, pomyślała. Nie powinnam pozwolić, żeby w tym uczestniczył.

Odpowiedziała oschle:

- Ty się już chyba nigdy nie zmienisz, co?

- Przyznaję, że część winy leży po mojej stronie...

- Richardzie, nie cierpię kłamstwa, rozumiesz? Zrobił krok w jej stronę.

- Isabel, wróć ze mną do domu. Już chyba dość długo się tu dąszasz.

Dąszasz, pomyślała. Zupełnie jakby chodziło o jakąś błahostkę, a ona była grymaśnym dzieckiem.

- Nie - odparła i odsunęła się od niego. - Wolę zostać tutaj. Richardzie, po prostu nie chcę być teraz z tobą.

Twarz mu się ściągnęła.

- Jak sobie życzysz.

Wyszedł. Patrzyła, jak idzie ścieżką w strugach deszczu. Błysnęły reflektory, odjechał. Usiadła, bawiąc się pierścionkami na palcach. Ja nie cierpię kłamstwa, powiedziała, mimo że od dnia ślubu żyła w kłamstwie. Są stworzeni dla siebie, pomyślała ironicznie, oboje tak niedoskonalimi, wiarołomni.

Jakaś jej część żałowała, że nie pojechała z mężem. Myślała o domu, codziennych zajęciach, ciepłe jego ciała obok siebie. Poszła na górę do sypialni i stanęła przy oknie, patrząc na morze.

- Richardzie - szepnęła.

Jej gniew zmienił się w poczucie krzywdy i nienawiści do kobiety, która oddzieliła ją od męża. Nie wiedziała nawet, jak Elaine Davenport wygląda. Mogę ją minąć na ulicy, pomyślała, i wcale tego nie wiedzieć.

W czasie sztormu łódź płynąca do Bristolu wpadła na skały i teraz stała pochylona w zatoce, a z dziury w kadłubie wypływały baryłki i pudła. Różne przedmioty unosiły się na wodzie lub leżały na brzegu - płócienny but, piękny szal, owinięty wokół pasma brunatnic, na wpół zagrzebany w piasku szklany słoik z rdzawym proszkiem. Mieszkańcy pobliskich wiosek przeszukiwali plażę, zbierając wyrzucone rzeczy.

Isabel przypomniała sobie lato, które spędzili w Porthglas z dziećmi. Silny sztorm wyrzucił na plażę mnóstwo muszli, różowych i szarych, czasem z kremową obwódką, wypełnionych piaskiem. Przypomniała sobie szum fal i brzęk muszli wrzucanych przez Sarę do

cynowego wiaderka. I ciepło dłoni córki, i jak sprawdzała, czy chłopcy, którzy bawili się w łodzi, są bezpieczni.

Obejrzała się i ujrzała Richarda, który stał w pobliżu przewracanych kamieni na skraju klifu. Musiał przyjechać w nocy. Chciałaby od niego odejść, żeby nie musieć po raz kolejny rozdrapywać ran, lecz była przemoczona i zmarznięta, a ponadto wiedziała, że on nie odwróci się i nie odjedzie, zostawiając ją w spokoju. Ruszyła więc w jego stronę.

- Dość wilgotny poranek jak na spacer - zagadnął.

- Lubię deszcz. Lubię sztormy.

- Wiem - odparł. - Pamiętam.

Rozłożył parasol i osłonił Isabel przed deszczem. Wdrapali się na górę. Raz się poślizgnęła, więc Richard chciał jej podać dłoń, lecz udała, że tego nie widzi. Dotyk, który od tak wielu lat towarzyszył ich codziennym rozmowom, był teraz zdradziecki.

Weszli do domu i odwiesili przemoczone płaszcze. Isabel nastawiła wodę na herbatę i wytarła mokre włosy. Położyła na tacy chleb, postawiła słoik marmolady, po czym zaniósła wszystko do salonu.

- Proszę - powiedziała. - Pewnie jesteś głodny.

- Dziękuję. - Richard stał przy ogniu, próbując się trochę wysuszyć. Był zmęczony i wychudzony. - Isabel, wróć do domu - powiedział, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, dodał miękko: - Proszę. Potrzebuję cię. Tęsknię za tobą.

- Nie, Richardzie. - Podeszła do okna. Statek w zatoce z wolna się rozpadał. Rufa drżała pod naporem fal.

- Isabel, proszę. Nie możesz tu zostać na zawsze.

- Mogę, jeśli tak zdecyduję. Ten dom jest mój.

- Tak, oczywiście. - W jego głosie brzmiała zarówno desperacja, jak i zniecierpliwienie. - Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

- Powiedz mi, co ona ci dała takiego, czego nie dostałeś ode mnie.

- Nic! To nie tak.

- Richardzie, dlaczego więc?

- Nie wiem... Nie myślałem nad tym...

- Bzdura - ucięła oziębłe. - Oczywiście, że tak. Zawsze myślisz. Wiem, co myślałeś. Myślałeś, że to się nie wyda. Myślałeś, że będziesz mógł mieć ją i nie stracić mnie. Myślałeś, że jestem głupia.

- Nie.

- Nie kłam! Wiem, że mam rację!
tak myśleć. To ja byłem durniem.

- Ile jeszcze razy będę musiała przeżywać takie upokorzenia?

- Nigdy, przyrzekam. - Jak mogę ci ufać?

- Popeliłem błąd, to wszystko! - Zaciśnął dłonie w pięści. - To była tylko przyjaźń! Przysięgam, że nie miałem z nią romansu!

W jego słowach i zachowaniu Isabel wyczuła nieszczerłość. Coś się w niej oberwało, załamało, zupełnie jakby weszła do windy, która zjeżdża zbyt szybko.

- Richardzie, powiedz mi prawdę. To było coś więcej niż przyjaźń, prawda?

Uderzył pięścią w drugą dłoń.

- Och, na miłość boską, nawet nie poszedłem z nią do łóżka!

- Nie, ale coś do niej czuleś, prawda?

Dostrzegła zmianę w jego spojrzeniu, choć szybko je odwrócił. Poczowała ucisk w sercu.

Kiedy odezwał się ponownie, nie słyhać już było w jego głosie rozdrażnienia.

- Cokolwiek czułem, to się już skończyło. Elaine nie chce się ze mną spotykać, więc nie musisz się obawiać...

- Ona to zakończyła?

Odpowiedź nastąpiła dopiero po chwili.

- Tak. Chciałaś znać prawdę, Isabel, i to jest prawda. Usiadła i przycisnęła zwinięte dłonie do ust.

- Gdybym się nie dowiedziała... gdyby Philip mi nie powiedział...

- Skończyłoby się i tak dość szybko. Coś takiego nie mogło trwać.

Wykrzyknęła ze złością:

- To nie powinno się zacząć!

- Nie. Oczywiście, że nie. - Przesunął dłonią po twarzy. - Nie zastanawiałem się nad tym. Czy też raczej uznałem to za nieszkodliwą rozrywkę.

- Nieszkodliwą! Jakąż wątłą rzeczą jest małżeństwo, jeśli nawet nie mogę być pewna, że jesteś ze mną szczerzy!

Jęknął:

- Co jeszcze mogę powiedzieć poza tym, że przepraszam i że to się już nie powtórzy?

Potrząsnęła głową.

- Nie, to nie wystarczy. Nie, Richardzie.

Isabel wyjrzała przez okno i ujrzała falę uderzającą w dziurawy kadłub statku. Rozpadł się już na dwie części, a maszty i deski łamały się niczym zapałki.

Richard dodał cicho:

- Isabel, błagam, wróć do domu. Potrzebujemy cię.

- My?

- Ja i Sara.

Odwróciła się w jego stronę.

- Sara wróciła do domu?

- Jeszcze nie, ale wróci za kilka dni.

- Richardzie, dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? Jak ona się czuje?

- Sądzę, że znakomicie. Chce poślubić tego chłopaka.

- Poślubić? Sara? Kogo chce poślubić? - Nagła, przerażająca myśl. - Chyba nie tego Austriaka, nie Antona Wolffa?

- Nie, oczywiście, że nie. Chce poślubić Gila Vernona.

- Gila Vernona?

- Isabel, jedliśmy świąteczny obiad u Vernonów.

Isabel wbiła w niego wzrok. Z wysiłkiem wróciła myślami w przeszłość. Choć od Bożego Narodzenia minęło zaledwie sześć tygodni, tamten okres wydawał jej się czasem niema baśniowego szczęścia. Przypomniała sobie piękny, choć rozsypujący się dom, otoczony ciemnozielonym ogrodem. Przypomniała sobie, że Caroline Ver - non wydała jej się nieprzystępna, i z goryczą uświadomiła sobie, że ona sama zachowała tradycyjny szacunek dla angielskich wyższych sfer.

- Dostałem od niego list - dodał Richard. - Od Vernona, z prośbą o rękę Sary.

- I Sara chce za niego wyjść?

- Na to wygląda. Tak napisała.

- Gil Vernon...

- To dobra i stara rodzina. Mieszkają w Irlandii dłużej niż Finboroughowie.

Isabel zmarszczyła brwi.

- Więc Sara zamieszka w Irlandii.

- To nie jest tak daleko - odparł łagodnie. - Wiem, że wolałabyś mieć ją bliżej, ale są promy i pociągi, i ja też zawiozę cię tam tak często, jak tylko zechcesz.

Isabel usiłowała sobie przypomnieć Gila Vernona.

- Richardzie, on miał ciemne włosy, prawda?

- Jak wszyscy członkowie tej rodziny. Jedna z historii rodzinnych mówi, że jakaś prababka związała się z hiszpańskim arystokratą, biorącym udział w Armadzie, ale to bez wątpienia bzdury.

Isabel wciąż była oszołomiona.

- Nie miałam pojęcia, że coś ich łączy.

- Ja też nie. To niespodzianka, prawda?

- Listy - poprosiła. Obszukał kieszenie.

- Chyba ich nie zabrałem.

- Richardzie.

Już niemal zapomniała, jak to jest czuć do męża zwykłą złość, stałą irytację z powodu jego dystansu do spraw rodziny, jego braku uwagi, braku większego zainteresowania sprawami, które, jak wiedziała, są tak ważne. Ale o ileż lepiej, pomyślała, czuć do niego złość niż nienawiść.

- Skąd mogę wiedzieć, czy to odpowiedni mężczyzna dla Sary, jeśli nie mogę przeczytać jego listu? Ani jej?

- Sara jest najwyraźniej zdecydowana. I tym razem nie mamy uzasadnionych podstaw do sprzeciwu. Gil Vernon nie jest jakimś przybłądą jak ten cudzoziemiec. Vernonowie należą do naszej klasy. A Sara skończy w maju dwadzieścia jeden lat, więc nawet jeśli się nie zgodzę, a nie widzę powodu, dla którego miałbym to zrobić, to za kilka miesięcy i tak będą mogli się pobrać - argumentował rzeczowo, po czym dodał przymilnie: - Wróc ze mną do Londynu. Sara będzie w domu jutro lub pojutrze, sama ją o wszystko wypytasz. A jej kawaler, Gil, ma zamiar przyjechać do Londynu za parę tygodni. - Teraz mówił miękko, łagodnie. - Isabel, wróc do domu. Wróc ze mną do domu.

- Nie mogę - wyszeptała.

- Możesz. Wsiądziesz tylko do samochodu, a ja cię zawiozę do Londynu. - Stał obok żony. Wziął ją za rękę. Tym razem się nie odsunęła. - Wybacz mi - poprosił.

- Nie wiem, czy potrafię - odparła bez ogródek. - Wybaczenie nigdy nie było moją mocną stroną. Nigdy tego nie umiałam. Czy jeśli ci wybaczę, nie powinno mnie to już ranić?

Wydech.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale zrozum, proszę...

- Nie - odparła gwałtownie. - Rozumienie nic tu nie pomoże. Nie ma zrozumienia. Wszystkie wyjaśnienia powodują, że czuję się głupia, niechciana i stara.

- Isabel. Moje uczucia do ciebie się nie zmieniły. Być może trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda. Kocham cię tak samo jak w dniu, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy. Zawsze będę cię kochał. Nic, co zrobiłem, nic, co się stało, tego nie zmieni. Isabel, wróć do domu. Wróć dla Sary, jeśli już nie dla mnie.

Choć nadal czuła się zagubiona i słaba, rozdarta jak statek na skałach, rzekła z westchnieniem:

- Dobrze. Chyba nie mam innego wyjścia. - A potem, na widok ulgi malującej się na twarzy Richarda, dodała twardo: - Richardzie, to po raz ostatni. Jeśli jeszcze kiedyś mnie upokorzysz, to będzie koniec. Odejdę od ciebie, przysięgam.

Kiedy Philip poszedł do Elaine Davenport po raz pierwszy, mniej więcej tydzień po spotkaniu w herbaciarni, chciał sprawdzić, czy nie pomylił się co do swego zauroczenia. A przynajmniej tak sobie to tłumaczył.

- Sprawdza mnie pan, Philipie? - zapytała, a on wzruszył ramionami i odpowiedział coś niezobowiązująco.

Próbował trzymać się od niej z daleka. Pracował do późna, bawił się z przyjaciółmi i dziewczynami, jeździł na motorze i upijał niemal do nieprzytomności. Ale nic nie było w stanie odwrócić jego myśli od Elaine. Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo pragnął zobaczyć kogoś, kogo tak bardzo nie lubił. Nie rozumiał, jak nienawiść może być tak bliska pożądaniu.

Poszedł do sklepu po raz kolejny. Na jego widok Elaine aż uniosła swe pięknie zarysowane, cienkie brwi.

- Witam pana.

- Witam. - Po tych słowach nastąpiła cisza, przzerwana dopiero jakąś żalosną uwagą o pogodzie.

Była szósta. Elaine odwróciła wywieszkę na drzwiach napisem „Zamknięte” na zewnątrz i spytała: - Philipie, czego pan właściwie chce?

- Niczego. - Poczł złość na siebie samego, że tu przyszedł, że robi z siebie takiego błazna.

- Rozumiem. - Zawijała kapelusz w bibułkę. A potem dodała: - Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, może mi pan pomóc liczyć drobne.

Następnym razem już nie pytała, po co przyszedł. Zauważył to i zaczął się zastanawiać, co to znaczy. Przypomniał sobie, jak mówiła o swojej samotności. Być może w jej obecnej sytuacji każdy przyjaciel będzie lepszy niż nic.

Kiedy był z dala od niej, wspominał gładką bladość jej skóry i miękką kragłość ramion i łydek, a także sposób, w jaki się poruszała, jak z uśmiechem na twarzy przekrzywiała głowę i delikatnie modulowała głos. Wspominał, jak jej długie smukłe palce owijały bandażem jego dłoń, i jej bliskość - ciepło i zapach skóry - kiedy przemywała mu ranę na głowie. Przypomniał sobie, jak z nim walczyła, jak mu się przeciwstawiała, jak niechętnie pozwoliła się pokonać.

Zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie dłużej tak żyć. Jeszcze raz poszedł do sklepu. Choć na drzwiach widniał napis: „Zamknięte”, widział Elaine Davenport przez okno. Była z nią druga kobieta. Postanowił wrócić kiedy indziej, lecz zmienił zdanie i otworzył drzwi.

Elaine spojrzała na niego zaskoczona. Druga kobieta, która przymierała kapelusz, również odwróciła się w jego stronę.

Elaine szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Dobry wieczór, panie Finborough.

- Chciałbym z panią porozmawiać, pani Davenport.

- W tej chwili jestem zajęta. Jeśli to coś ważnego, może mógłby pan przyjść kiedy indziej.

Rozzłościł go sposób, w jaki dobrała słowa - „jeśli to coś ważnego” - lecz złość jedynie wzmocniła jego determinację, by uzyskać odpowiedź jeszcze tego wieczoru.

- Mogę poczekać - odparł. - Wrócę za piętnaście minut. Teraz to ona wyglądała na zdenerwowaną. Rzuciła tylko:

- Jak pan chce - i wróciła do swego zajęcia.

Philip wypił w pubie szklaneczkę szkockiej i wrócił do sklepu. Otworzył drzwi i zapytał:

- Czy pani klientka już poszła?

- To nie była klientka. To moja siostra, Gilda. Tak, poszła już.

Zdał sobie sprawę, że nie zna gustów Elaine. Być może ona nie cierpi baletu, nie znosi spektakli teatralnych. zaproponował jednak:

- Mam dwa bilety na „Glamorous Night”. Czy zechce pani pójść ze mną?

Zapadła chwila ciszy. Elaine zamknęła szufladę. Potem się roześmiała.

- Nie sędzę, Philipie.

- Możemy iść na coś innego, jeśli nie lubi pani musicali. Lub do kina, jeśli pani woli.

Odwróciła się do niego.

- Przyszedł mnie pan zaprosić? - Tak.

- Na randkę? - Tak.

Roześmiała się po raz kolejny.

- Ale dlaczego?

Mógł jedynie powiedzieć prawdę.

- Bo chciałem się z panią zobaczyć.

- Pan sobie ze mnie żartuje.

- Och, na miłość boską! - Philip poczuł przyływ złości. - To nie jest dla mnie łatwe.

- A oczekiwał pan, że to panu ułatwię?

- Niekoniecznie. Ale że nie będzie się pani ze mnie śmiała.

- Zaraz to panu wyjaśnię. Przyszedł pan zaprosić mnie do teatru. Albo do kina czy gdziekolwiek indziej. Prawdopodobnie nie jako przyjaciółkę. Chyba nie możemy oczekiwać, że się zaprzyjaźnimy.

Odparł spokojnie:

- Nie, nie jako przyjaciółkę.

Wzięła kawałek wstążki i zaczęła go zwijać w palcach. Potrząsnęła głową.

- To dość niezwykle.

- Wiem, dlaczego pani tak mówi. Widzieliśmy się już w końcu parę razy od... - miał zamiar dodać „od czasu historii z moim ojcem”, lecz zmienił zdanie i dokończył: - ...od mojego wypadku. To przecież nie może być dla pani niespodzianka.

- Philipie, ja jedynie tolerowałam pańską obecność, nic więcej - odparła chłodno. - Pomyślałam, że muszę być dla pana przynajmniej miła. A pan najwyraźniej źle to zrozumiał.

Odpowiedział cicho:

- Nie wierzę pani.

Wstażka wysunęła się jej z rąk i rozwinęła. Elaine podniosła ją i ze złością wepchnęła do kartonowego pudełka.

- Czy sugeruje pan, że moglibyśmy być kimś więcej niż przyjaciółmi? Wie pan doskonale, że pański ojciec i ja... - Przerwała. Oczy jej się zwięziły. - Podejrzewam, że to ma być kara dla pańskiego ojca.

Słowa te wyprowadziły Philipa z równowagi.

- Nie - odpowiedział gniewnie.

- Nie? Philipie, po co wobec tego pan tu przychodzi?

- Ponieważ panią uwielbiam.

- Nie, Philipie, nie sądzę - zaprzeczyła chłodno. - Sądzę, że pan mną pogardza.

Wybuchnął:

- Myśli pani, że tego chciałem? Że nie próbowałem przestać myśleć o pani? Że nie poniża mnie przychodzenie tu i błaganie pani?

- Poniża? - Jej blada twarz oblała się rumieńcem. - Jak pan śmie?

- Nie chciałem, by pani mi się spodobała! - ryknął, a potem zamknął oczy i dodał: - Jezu, nie powinienem tu przychodzić. Proszę się nie martwić, nie będę już pani dręczył. - Wyszedł ze sklepu i zatrzaskał za sobą drzwi.

Ruby spotkała Sarę w restauracji Fortnuma. Sara wracała właśnie od krawcowej matki. Zamówiła herbatę i ciastka.

Ruby spytała o suknię ślubną Sary.

Sara odparła zdawkowo:

- Długa... biała... Ruby krzyknęła:

- Saro! Śnieżnobiała czy kremowa? Z jedwabiu, atlasu czy tiulu?

- Może z atlasu. Nie pamiętam. Opowiedziała Ruby, jak poznała Gilberta.

- To było na plaży - mówiła. - Zrzucił mnie koń, zламаłam rękę i uderzyłam się w głowę. A kiedy odzyskałam przytomność, Gil był przy mnie.

- Wziął cię na ręce i zaniósł do domu?

- Nie, napił mnie herbatą i opowiedział mi o skorupiakach. A potem wróciliśmy do Raheen.

Ślub miał się odbyć za trzy miesiące. Ruby została poproszona na druhnę. Zastanawiała się teraz, czy Sara chciała przyspieszyć ślub, żeby nie mieć czasu do namysłu, gdyż we właściwy Finboroughom sposób miała zwyczaj rzucać się we wszystko, w tym małżeństwo, z zamkniętymi oczami.

- Mama chciała, żebym zaczekała - opowiadała Sara - ale się nie zgodziłam. Gil chce spędzić miesiąc miodowy w Szkocji i twierdzi, że jeśli pojedziemy tam później niż w czerwcu, pojawią się muszki.

Ruby uderzył fakt, że wybór daty ślubu został uzależniony od rytmu życia owadów, zaczęła więc: - Ale Saro... Przyjaciółka przerwała:

- Nie chcę czekać. Nie tym razem. I tak trudno mi będzie mieszkać w domu przez te kilka miesięcy. Nie zniosę ani chwili dłużej. - Twarz miała zaciętą.

- Mogłabyś wrócić do Irlandii, do babci.

- I co? - zapytała Sara z pogardą. - Trochę pojeździć konno... trochę pospacerować... Odwiedzić znajomych babci. Muszę jakoś popchnąć to życie. Zupełnie jakby od wieków było kompletnie zamrożone. - Głos miała spokojny, lecz Ruby zauważyła, że bawi się pierścieniem zaręczynowym z szafirem. - Od wielu miesięcy mam wrażenie, że jestem uwiązana za szybą. Nic nie wydaje się rzeczywiste. Muszę się zmusić do jakiegokolwiek działania.

Sala wypełniona była matkami i córkami, mężami i żonami oraz grupkami roześmianych przyjaciół. Ruby zapytała:

- Kochasz go?

- Oczywiście, że kocham. Przecież bym za niego nie wyszła, gdyby było inaczej.

- Chciałam spytać, czy kochasz go tak, jak kochałaś Antona.

- Anton to była pomyłka. Nie kochał mnie. Gdyby było inaczej, poczekałby na mnie. Ale nie poczekał. Jeśli to w ogóle była miłość, to nie dość mocna.

- Nawet jeśli to prawda, wcale nie musisz wychodzić za Gila Vernona.

- Uwielbiam Gila - oświadczyła Sara stanowczo. - Jest taki mądry i tak dużo wie. To prawda, nie jest równie przystojny ani błyskotliwy jak Anton, ale właśnie o to chodzi. Z Antonem za bardzo

się różniliśmy. Gil to Anglo - Irlandczyk, a ja zawsze najbardziej kochałam Irlandię, wiesz przecież, i jego rodzina zna wiele osób, które zna również moja rodzina.

Sara opowiedziała Ruby, jak Gil się jej oświadczył w otoczonym murem ogrodzie w Vernon Court.

- Jest mnóstwo powodów, dla których powinnam wyjść za Gila - dodała. - On należy do mojej klasy, nie tak jak Anton. Anton interesował się polityką, a ja, jak wiesz, nie wiem na ten temat nic. Anton wiele podróżował, a ja byłam jedynie w Kornwalii i Irlandii, i szczerze mówiąc, nie chciałam jechać nigdzie indziej. Anton zawsze usiłował zmienić świat, a ja zawsze byłam z niego zadowolona. Prawdopodobnie nie okazałam się dla niego wystarczająco inteligentna, taka jest prawda. Nie wydaje mi się też, że bym była dość mądra dla Gila, ale on lubi opowiadać o różnych rzeczach, a ja lubię słuchać. Publikuje referaty w czasopismach naukowych i napisał książkę o żabach. A może o ropuchach? - Spojrzała na Ruby. - Mam zamiar być jego asystentką.

Ruby uśmiechnęła się ironicznie.

- Właściwie to nie wiem, co robią asystentki.

- Ja też nie. - Sara wzięła kolejne ciastko. - Ale się dowiem i będę w tym dobra.

- A seks?

- Jestem pewna, że będzie wspaniale. I nie trzeba tego robić cały czas, prawda? - Sara obrzuciła Ruby pełnym zainteresowania spojrzeniem. - Czy ty...?

- Nie, jeszcze nie.

Sara przekroiła ciastko na pół.

- Caroline ma trzy urocze psy i obiecała, że pozwoli mi zabierać je na spacer. A ten dom jest jak z bajki, Ruby, trudno to sobie nawet wyobrazić. Bardzo chcę tam zamieszkać. Nie jest tak wspaniały jak Raheen, ale ma mnóstwo kręconych schodów w różnych niespodziewanych miejscach i dziwacznych pokoików. Nie bardzo wiadomo, do czego one służą. Pałac Królowy Śnieżki, właśnie tak pomyślałam, kiedy zobaczyłam ten dom po raz pierwszy. Z całą pewnością będę tam szczęśliwa. Najszczęśliwsza na świecie. - W jej głosie brzmiała nutka determinacji.

Parę dni później Ruby otrzymała od Isabel list z zaproszeniem na obiad dla uczczenia zaręczyn Sary z Gilem Vernonem. Nie było

wzmianki o jej banicji ani o wydarzeniach, które ją na owo wygnanie skazały. Ruby poczuła się szczęśliwa. Znowu była częścią uprzywilejowanego dworu, pozwolono jej wejść do zaczarowanego kręgu.

Kiedy w sobotni wieczór przybyła do domu Finboroughów, ogarnęło ją znane poczucie przynależności. Z salonu dobiegał gwar rozmów, słychać było kroki pokojówek biegających po korytarzach i schodach, brzęk porcelany i sztućców podczas nakrywania do stołu. Dom skąpany był w migotliwym świetle świec - podczas oficjalnych obiadów Isabel zawsze kazała zapalać świece. Przed obiadem zebrani pili sherry i w tym właśnie czasie Ruby została przedstawiona Caroline i Gilbertowi Verno - nom. Z rozbawieniem stwierdziła, że Caroline szybko przestała się nią interesować, traktując ją jako osobę bez znaczenia, Gil zaś wciągnął ją w rozmowę na temat nietypowej dla tej pory roku pogody. Potem Ruby usunęła się na bok i przyglądała całemu towarzystwu, ciesząc się blaskiem i energią, która kiedyś tak bardzo ją zachwyciła. Zauważyła, że Sara zmieniła się podczas pobytu w Irlandii, choć nie potrafiłaby określić, na czym ta zmiana polega. Uwagi Ruby nie uszedł również fakt, że Isabel wygląda wytwornie i pięknie, jowialny nastrój Richarda zaś jest jakby trochę wymuszony.

Wzrok Ruby uciekał jednak jak zwykle w stronę jednej osoby, zupełnie jakby przyciągała go jakaś magnetyczna siła, więc musiała całym wysiłkiem woli powstrzymać się od patrzenia na Philipa i od zgadywania, o czym w danej chwili myśli. Kiedy była w tym samym pokoju co on, musiała uważać na każdy swój ruch i każde słowo, ciągle grać, zupełnie jakby nic nie mogło być naturalne ani instynktowne.

Podeszła do niego i zapytała cicho:

- Philipie, co o nim sądzisz?
- O ukochanym Sary? Jakiś sztywny.
- Gil opowiedział mi o Golsztromie.
- Szczęściara. Dlaczegoż, na miłość boską, Sara chce za niego wyjść?
- Twierdzi, że go kocha. Philip prychnął. Ruby dodała:
- Ludzie niekoniecznie zakochują się w tych, w których powinni.
- To nudziarz - orzekł Philip zwięźle. - Sądzę, że wychodzi za niego dla tego domu, posiadłości.

- Wiesz, że Sara by tego nie zrobiła. - Ruby przyglądała się Sarze, która radosna i promienna siedziała obok swego ponurego narzeczonego. - A ja uważam...

- Co?

- Uważam, że on wydaje się jej romantyczny. Poznali się w bardzo romantycznych okolicznościach, kiedy zrzucił ją koń. Jest dla niej bohaterem. Wybawcą.

Zerknęła na Philipa i stwierdziła, że wcale jej nie słucha, po czym dodała lekko, aby ukryć smutek:

- Tyle tu ludzi.

- Wiesz przecież, że moi rodzice nie lubią połowicznych rozwiązań. Nie mogą wydać obiadu, nie zapraszając przy tym połowy Londynu, żeby goście mogli podziwiać, jaką jesteśmy zżyłą rodziną.

Ruby spojrzała na Philipa, zaskoczona jego cynizmem, i zaczęła się zastanawiać, czy jest całkiem trzeźwy. Gong wzywający na obiad przerwał jej poszukiwania bezpiecznego tematu do rozmowy.

Wybuch Philipa wstrząsnął Elaine. Uwielbiam panią, powiedział, a potem myśli pani, że tego chciałem? Choć pierwszy anons mogłaby uznać za próbę odwrócenia jej uwagi od jego ojca, to w gniewie, który pojawił się w jego głosie zaledwie chwilę później, wyraźnie słychać było szczerłość.

Zdenerwowana uznała, że jest osaczona przez panów Finborough, upinając jednocześnie zakładkę na gorsecie sukni ślubnej dla Gildy. Odsunęła zasłonę i po drugiej stronie ulicy ujrzała potężną czarną sylwetkę motoru Philipa. Dlaczego tu przyjechał, czego chciał? Szpiegował ją? Czy tak wyobraża sobie zaloty?

Z westchnieniem odłożyła materiał i szpilki i zeszła na dół.

- Philipie, to się musi skończyć.

- Wiem - odpowiedział z bladym uśmiechem.

- Jest pan tu co wieczór. Czego pan chce?

- Porozmawiać z panią.

- Cóż, to niemożliwe. Chyba wyraźnie to panu powiedziałam. Proszę tu więcej nie przyjeżdżać. Jeśli pan to jeszcze raz zrobi, zadzwonię na policję.

Weszła do domu. Zaczęła ponownie upinać materiał, kiedy rozdzwonił się dzwonek u drzwi, gdyż Philip przytrzymał go palcem.

Znów zbiegła po schodach. Otworzyła drzwi i powiedziała:

- Proszę przestać, musi pan przestać. Obudzi pan wszystkich.

- To proszę mi pozwolić ze sobą porozmawiać.

Ze zdenerwowania niemal się rozpląkała. Ale nie widząc innego wyjścia, westchnęła i zgodziła się:

- Dobrze więc. Pięć minut, nie więcej.

Poszedł za nią na górę. Wpuszczając go do mieszkania, Elaine przypomniała sobie ich poprzednie spotkanie w tym miejscu, w nocy, kiedy miał wypadek. Przypomniała sobie, jak pomogła mu się ubrać, twardość jego mięśni i piegi na jego przedramieniu.

Usłyszała, że Philip mówi:

- Pewnie nie mógłbym się czegoś napić, prawda?

- Obawiam się, że nie mogę zaproponować nic wyszukanego - odparła sarkastycznie. - Może być dżin z tomkiem albo z martini.

- Poproszę z martini.

Elaine postawiła na tacy butelki z dżinem i martini oraz dwie szklanki, po czym dodała jeszcze cytrynę i zaniósła wszystko do salonu. Usiadła w fotelu, nie na sofie obok Philipa. Jest w nim coś niebezpiecznego, pomyślała.

Przygotowując drinki, oznajmiła:

- Philipie, to się musi skończyć.

- Wiem. Ale nie potrafię.

- Oczywiście, że pan potrafi. Nie stara się pan dość mocno.

- Nie chodzi o ojca. Wiem, co pani myśli, ale tak nie jest.

Elaine chciała mu przerwać, jednak jej nie pozwolił.

- Zakochałem się w pani.

- Nie - ucięła ostro. - Nie, to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że to oczywiste.

- Zastanawiałem się, czy czuje pani to samo co ja. Roześmiała się.

- Och, Philipie.

Pochylił się do przodu i zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie miałbym się w pani zakochać? Jest pani bardzo piękna.

- Jeszcze parę tygodni temu dał mi pan do zrozumienia, że mną pogardza.

- Tak, na początku czułem do pani nienawiść, przyznaję, ale to się zmieniło.

- Philipie, proszę posłuchać - zwróciła się do niego stanowczym tonem - nie jestem taką kobietą, za jaką mnie pan uważa. Byłam mężatką i miałam kochanków, to fakt, ale nie jestem panienką do towarzystwa. Jeśli więc przyszedł pan tu z nadzieją, że wskoczę z panem do łóżka, to bardzo się pan pomylił!

- Wcale tak nie myślałem. - Spojrzenie miał poważne i spokojne.
- Jest pani jedną z najbardziej wyrafinowanych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem.

- Wyrafinowanych - szepnęła pod nosem. - Wielki Boże.
- Wobec tego wytwornych. Eleganckich. Nie wiem...
- Philipie - odstawiła szklaneczkę - pragnie mnie pan, bo nie może mnie pan mieć. To wszystko.

Uśmiechnął się szeroko.

- To chyba nie Freud, co? - rzucił z błyskiem w oku.
- Jest pan bardzo młody - ciągnęła tonem osoby znającej świat. - Bez wątplenia zakochuje się pan w różnych dziewczętach.

- Nie, nie zakochałem się w żadnej. Często mają mi to za złe.
- Jakie to przykre.
- Nienawidzi mnie pani?
- Nienawiść to zdecydowanie zbyt mocne słowo. - Spojrzała mu w oczy. Po raz kolejny stwierdziła, że jest przystojny, że ma smukłe ciało, zmierzwiłone włosy, pożądlivy wzrok i uśmiech zwycięzcy. Musiała się przywołać do porządku. - Był pan okropnie uciążliwy - wyjaśniła chłodno. - I to się nie zmieniło.

- Przepraszam. - W jego głosie nie słychać było jednak skruchy, za to na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Moje zachowanie musiało być dla pani istotnie dość męczące.

- Pańska namiętność jest jeszcze gorsza.
- Jak by ją pani określiła?
- Żałosna. Bezsensowna. Niesmaczna.
- Ze względu na mojego ojca? - Philip zamyślił się. - Podejrzewam, że niektórzy mogliby tak uważać. Ale on mnie wcale nie obchodzi. Szczerze mówiąc, wcale o nim nie myślę.

Nie uwierzyła mu, lecz pozostawiła te słowa bez komentarza.

- A matka? Czy ona także pana nie obchodzi? Twarz Philipa pociemniała.

- Nie wiem, jak ona to znosi - powiedział cicho. - Nie rozumiem, jak może tak po prostu przebaczyć i zapomnieć.

- Philipie, a gdybym powiedziała panu, że jestem w panu szaleńczo zakochana, i gdybyśmy razem wyszli stąd o wschodzie słońca, jak pan najwyraźniej pragnie, jaka byłaby reakcja pańskiej rodziny?

- A tak jest? Czy jest pani we mnie zakochana?

- Och, Philipie...

- Poproszę o jeszcze jednego drinka... - Wstał. - Elaine, robi pani wspaniałe drinki.

Miała świadomość, że Philip stoi bardzo blisko niej i z góry się przygląda, jak ona nalewa dżin i wciska cytrynę. Ta bliskość jej przeszkadzała.

Roześmiała się jednak i powiedziała:

- Istnieje tak wiele powodów, dla których nie powinniśmy mieć ze sobą nic wspólnego, że wprost nie wiem, od czego zacząć. Jestem dużo od pana starsza...

- Pięć lat, nie więcej - wtrącił. - Ma pani trzydzieści lat. Rozpracowałem to.

- Jaki pan sprytny. Poza tym pochodzimy z zupełnie różnych sfer.

- Wiem. Ja jestem rozpieszczonym bachorem, który urodził się w czepku, a pani całe życie pracowała w kopalni.

Uśmiechnęła się wbrew woli.

- Coś w tym rodzaju - przyznała.

- Ale ja pani pragnę.

Kiedy podawała mu szklaneczkę, zadrżała jej dłoń i kilka kropli płynu spadło na podłogę. Wstała i zajęła ręce czym innym - pozbierała nitki i skrawki materiału, które podczas szycia spadły na podłogę.

- Philipie, może mieć pan wszystko, czego pan tylko zapragnie.

- Być może. Rozumiem, jak pani to postrzega. Z jednej strony, to przerażające, lecz jeśli się zastanowić, okazuje się proste - Wypił łyk martini. - Nie powiedziała pani jednej rzeczy.

- Czego mianowicie?

- Ze mnie pani nie lubi.

Stwierdziła, że nie może spojrzeć mu w oczy. Wstała i wyszła do kuchni, gdzie wrzuciła skrawki do kosza. A potem wróciła do pokoju.

Oznajmiła chłodno:

- Nie lubię pana. Jeśli chce się pan wcisnąć do mojego życia, to muszę powiedzieć wprost, że nie chcę pana znać. Pana zachowanie

pokazuje w najlepszym razie, że jest pan właśnie rozpieszczonym, zarozumiałym młodym człowiekiem, który przyzwyczał się, że zawsze dostaje, czego chce. W najgorszym zaś, że jest pan arogancki i ma skłonności do perwersji. - Zobaczyła, że się wzdrygnął.

Poszła do kuchni, odkręciła kran i opłukała dłonie, po czym przycisnęła je, chłodne i wilgotne, do twarzy. Rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi frontowych. Oczy miała zamknięte, głowę pochyloną, a oddech przyśpieszony. A potem usłyszała kroki tuż za swoimi plecami.

- Nie mam skłonności do perwersji - powiedział Philip miękko. - Wszystko inne, ale nie to.

Poczuła, jak obejmuje ją ramionami, i westchnęła. Musnął ustami jej kark. Usłyszała szept:

- Twoje serce bije tak szybko. Jak u ptaka. Przesunął dłoń z jej brzucha na piersi i tym razem jęknęła. Pozwoliła się odwrócić i poddała pocałunkom.

Ruby spotykała się z Joem Thursbym przez kilka ostatnich miesięcy. Chodzili do kina lub na recitale poezji, organizowane w salach nad pubami, gdzie wierszom towarzyszyły dobiegające z dołu krzyki, a czasem nawet odgłosy bójki.

Ktoregoś dnia Joe pocałował ją przed domem, po czym odsunął się i przyjrzał jej się uważnie.

- Zawsze się zastanawiam, o czym myślisz, kiedy cię całuję - oznajmił. - Wydaje mi się, że o czymś całkiem innym.

- Och, Joe, ja cię po prostu wykorzystuję - odparła lekko. - Jako materiał do opowiadań. Jesteś taki przystojny. Pozytywny bohater. - Pogłaskała go po twarzy i weszła do domu.

Zanim poszła z Joem do łóżka, poprosiła lekarza o kapturek antykoncepcyjny. Kiedy lekarz tłumaczył jej, jak należy go używać, marzyła o narzeczonem, ślubie i miesiącu miodowym w Walii. Dziewictwo straciła kilka dni później w pokoju Joego przy Euston Road. Po skończonym akcie odwróciła się na brzuch, by obserwować, jak Joe pali papierosa. Lubiała na niego patrzeć, był taki przystojny.

„Pragnienie serca”, najnowsze opowiadanie Ruby, opatrzone w czasopiśmie notką: „autorstwa Ruby Chance, ulubienicy »Weekly Magazine«”. Czasem wyobrażała sobie, jak jej ojciec wertuje pisma na przykład w poczekalni u lekarza i znajduje jej nazwisko. Pieniądze zarobione dzięki opowiadaniom pozwalały jej opłacać zarówno

utrzymanie matki, jak i własne, co uwolniło ją od zależności od Finboroughów.

Tylko niewielu osobom oprócz matki i Joego powiedziała o tym, że pisze. Ciągle obawiała się, że jeśli zacznie o tym mówić, czas pryśnie, że jeśli wystawi głowę nad parapet, to zginie. A poza tym wszyscy pisarze, których znała - i których nikt nie publikował - w tym członkowie czy też niedoszli członkowie bohemy z Chelsea i Fitzrovii - woleli literaturę eksperymentalną, obrzydliwą, i mogli oczywiście pogardzać tym, co robiła ona, nie rozumiejąc jej pobudek. Pieniądze nie były jedynym bodźcem, choć ich znaczenia nie można było pominąć. Jej sytuacja życiowa nie pozwalała lekceważyć pieniędzy.

Jedną z osób, które wiedziały o opowiadaniach Ruby, był kolega z pracy, Edward Carrington. Edward mieszkał z owdowiałą matką w dzielnicy Belgravia. Był pięć lat starszy od Ruby, wysoki i szczupły, o smutnych brązowych oczach osadzonych w pociągłej twarzy. Należał do wielu różnych kręgów towarzyskich, w tym do kręgu Ruby, lecz z żadnym nie był mocno związany.

Dochodziło wpół do drugiej i Ruby jadła kanapki w niewielkim pokoiku, przeznaczonym na jadalnię dla osób, które nie wychodziły na lunch, kiedy Edward wsunął głowę przez drzwi.

- Witaj, Ruby, jak się masz? Szukam panny Chadwick. - Jest na zwolnieniu. Skręciła kostkę podczas gry w hokeja.

- Na Boga! - zdumiał się Edward. Mary Chadwick była kobietą nader pokaźnej postury.

- Owszem - potwierdziła Ruby, wsuwając kartkę, na której właśnie pisała, pod pudełko z lunchem. - Podejrzewam, że gra na bramce.

Edward wszedł do pokoju. - A to co?

- Nic - odpowiedziała ostro.

Tak gwałtowna odprawa najwyraźniej dotknęła Edwarda, więc zawrócił do drzwi. Ruby westchnęła i wyjaśniła:

- To tylko coś, co piszę. Nic ważnego.

- Opowiadanie?

- Tak. O romansie w biurze. Roześmiał się.

- Wobec tego nie przeszkadzam.

Kiedy Philip pocałował Elaine po raz pierwszy, skończyło się to w łóżku. Był poruszony idealną gładkością jej ciała i pięknem jasnych włosów. Od tamtej pory widywali się niemal codziennie. Jeśli ze

względu na pracę, rodzinę bądź przyjaciół nie mogli się spotkać, rozmawiali przez telefon, czasem godzinami. Pisał do niej codziennie. Zanim ją spotkał, napisanie choćby paru słów było dlań katorgą, kończąca się ssaniem pióra; teraz sam zaskoczony był łatwością, z jaką sunęło ono po papierze.

Prawdziwym cudem okazało się, że Elaine czuła to samo co on. Wiedział to, nauczył się poznawać objawy. Pragnienie, by być z tą jedną jedyną osobą, pewność, że wszystko, co się powie, zostanie zrozumiane. Potrzebę dotyku, kontaktu skóry ze skórą drugiej osoby, połączenia ciał. Zaskoczony był rozwojem wydarzeń - faktem, że początkowa nienawiść zmieniła się w miłość. Fascynowały go drobiazgi, z gatunku tych, które dostrzegają tylko kochankowie. Jej drugi palec u nogi był dłuższy od palucha, białka oczu miały niebieskawy odcień, potrafiła dotknąć nadgarstka kciukiem - to wszystko go urzekało. Jej upodobania, nawet jeśli nie zgadzały się z jego własnymi, wydawały się potwierdzać, że są dla siebie stworzeni. Kiedy czasem się nie zgadzali, owa różnica zdań jedynie go bawiła.

Opowiedziała mu o swym dzieciństwie, które wypełnione było wycieczkami do Southend i piknikami w parku, i tak bardzo różniło się od pierwszych lat jego życia. Wydawało mu się idyllą, pociągało urokiem prostoty. Jeszcze pokolenie czy dwa wcześniej członkowie jej rodziny pracowali na farmie w Suffolk - lubił sobie wyobrazać, jak wysocy, smukli i srebrnowłosi stoją na polu z kosami w dłoniach.

Utrzymywali swój związek w tajemnicy, co było ich wspólną decyzją, choć właściwie jej nie uzgadniali. Chodzili do podmiejskich kin i jadali w restauracjach na peryferiach. Czasami Philip pożyczał od ojca samochód i jechali za miasto. Nie potrafił sobie wyobrazić Elaine na siodełku motoru, jej włosów potarganych wiatrem. Pragnął się nią opiekować, chronić ją. A jednak nawet w mieście tak wielkim jak Londyn zadziwiająco często trafia się na znajomych - kolega z pracy Philipa, spotkany w przydrożnej restauracji na Kingsway, przyjaciel rodziny Elaine w tym samym wagonie metra. I choć początkowo owa tajemnica jeszcze bardziej ich podniecała, po jakimś czasie Philip uświadomił sobie, że wcale mu się to nie podoba.

Pewnej chłodnej i wietrznej niedzieli na początku czerwca pojechali do Felixstowe Ferry na wybrzeżu Suffolk, gdzie zjedli lunch na trawie. Po lunchu skierowali się w stronę ujścia rzeki Deben. Philipowi wydawało się, że otaczają ich niezwykle ludzie - rybacy w

nieprzemakalnych ubraniach i żeglarze w swetrach, zadowolone dzieci, które biegały, grały w piłkę i plątały się wszystkim pod nogami. Był zdenerwowany i nieustannie sprawdzał, czy nadal ma w kieszeni pudełeczko.

Jakiś samotny artysta szkicował żaglówki i kutry rybackie, które podskakiwały na szarozielonym morzu. Pędzący kundel wpadł w kałużę, rozbryzgując dookoła fontanny wody. Nie było to dokładnie miejsce, o jakim marzył Philip, zaproponował jednak:

- Może usiądziemy? Tu jest ławka.

- Chyba trochę za chłodno na siedzenie. Popatrz na to. - Elaine wskazała na słowa „Świeże ryby”, wypisane kredą na drewnianej ścianie. - Mogłabym kupić na kolację.

Podeszli do chaty. Kiedy Elaine zrobiła zakupy, ruszyli w głąb łądu ścieżką prowadzącą pośród trzciny i moczarów. Kobieta opowiadała o wydarzeniach minionego tygodnia - wymagającej klientce, planach dotyczących ślubu siostry. Na szarych wodach ujścia rzeki przycumowane były barki mieszkalne, a z pokładu jednej z nich przyglądało im się brudne dziecko.

Niespodziewanie Elaine powiedziała:

- Możemy już wracać do domu. Popatrzył na nią zaskoczony.

- Chcesz wracać do domu?

- Wszystko mi jedno. Ale ty się dziwnie zachowujesz. Obawiam się, że nie jesteś zadowolony.

Podszedł do brzegu i zapatrzył się w wodę, trzciny i błoto. Łąd wydawał się zlewać z morzem.

- Mam tego dość, rozumiesz? - powiedział.

- Nas? - Dostrzegł błysk zaskoczenia w jej wzroku.

- Nie, oczywiście, że nie. - Objął Elaine ramieniem. - Między nami nic się nie zmieniło. Ale obawiam się, że utknęłaś. Nie, miałem na myśli chowanie się po kątach. Wycieczki do miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu razem. Uważam, że powinniśmy powiedzieć ludziom, to znaczy powiedzieć o nas.

- Philipie...

- Jestem dumny, że jesteś ze mną. Chcę pokazać światu, jak bardzo jestem szczęśliwy. Dzięki temu to wszystko będzie bardziej rzeczywiste. Czasem się boję, że kiedy się obudzę, okaże się, że to tylko sen.

Dotknęła ustami jego ust.

- Wobec tego jest to przyjemny sen.

- Ale sny nie trwają wiecznie. A ja chcę, żeby to trwało. Przysunęła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu. Pogłaskała jej włosy.

- Elaine, chciałbym ci zadać pytanie.

- Słucham.

Ścieżką w ich kierunku szła rodzina złożona z matki, ojca i czterech dziewczynek. Philip i Elaine odsunęli się na bok, żeby ich przepuścić. Philip powiedział:

- Chciałem cię zapytać, czy za mnie wyjdiesz.

Najmłodsza z dziewczynek akurat poślizgnęła się na błocie, upadła na pupę, potem ubrudziła sobie całą twarz i zaczęła płakać.

Elaine podniosła ją i zaczęła uspokajać. Philip nie był pewien, czy jego propozycja nie zginęła wśród krzyków, zaczął więc ponownie:

- Chciałem cię zapytać...

- Tak, słyszałam, kochanie.

Dziecko zostało przekazane ojcu, który posadził je sobie na ramionach i ruszył dalej. Kiedy rodzina znalazła się poza zasięgiem ich głosów, Philip zapytał:

- I co?

Elaine zaś, z bardzo poważną twarzą, odrzekła:

- Może lepiej znajdziemy jakieś miejsce, gdzie można usiąść.

Poszli dalej w głąb łądy, w moczary, gdzie Philip znalazł fragment przewróconego płotu, na którym Elaine mogła usiąść. Chciał przyśpieszyć jej decyzję, gdyż czekanie było nieznośne, lecz wyczuł, że znajdują się u progu jakiejś doniosłej chwili, która zaważy na całym ich życiu, i że jakikolwiek pośpiech będzie nie na miejscu.

Elaine odpowiedziała:

- Chciałabym za ciebie wyjść.

Philip poczuł, jak całe powietrze uchodzi mu z płuc. Nieświadomie wstrzymał oddech. Zmarszczyła brwi.

- Ale nie wiem, czy powinnam.

- Ze względu na to wszystko, na mojego ojca?

- Częściowo tak. To nam nie ułatwi sprawy, prawda? Nawet Gildzie nie powiedziałam o nas. Taka jest przejęta własnym ślubem, a mama taka chora. Moja rodzina będzie zaskoczona, delikatnie mówiąc. Nie wiem, co powiedzą rodzice na moje powtórne małżeństwo, choć z całą pewnością by cię pokochali. Wszystko to jest

jednak bez znaczenia wobec tego, przez co ty będziesz musiał przejść. Philipie, nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę, ile mógłbyś stracić, gdybyś się ze mną ożenił. Boję się burzy, którą rozpętam.

- Przemyślałem to wszystko. - Odsunął niesforny pukiel włosów z jej twarzy. - Tak, prawdopodobnie będę musiał opuścić rodzinną firmę.

- Będzie ci przykro, prawda?

- Owszem - przyznał uczciwie. - Ale mogę robić mnóstwo innych rzeczy.

- Nie chcę, żebyś wszystko dla mnie poświęcał. Obawiam się, że małżeństwo oparte na jednostronnym poświęceniu się nie sprawdzi.

- Poświęceniu? - Roześmiał się. - Małżeństwo z tobą to nie żadne poświęcenie. Nie pragnę niczego innego.

- Philipie - przypomniała łagodnie - ale twoi rodzice...

- Nie musi być tak źle, jak sądzisz. Może ojciec nie straci panowania nad sobą. A nawet jeśli tak, to długo nie potrwa. A jeśli mam być szczery, to wcale nie wiem, czy chcę dalej u niego pracować. Ostatnie miesiące były bardzo trudne. Prawie ze sobą nie rozmawiamy. Czasem ciężko mi przebywać z nim w jednym pokoju.

- Nie chciałabym pogarszać sytuacji. Philip wzruszył ramionami.

- Nie było łatwo, jeszcze zanim cię poznałem.

- A matka?

- Ona się z tym pogodzi, wiem, że tak będzie - zapewnił Philip stanowczo. Uśmiechnął się szeroko. - Może nie byłoby tak źle, gdybym przez jakiś czas musiał sobie sam radzić. Bez czepka.

- No i jestem jeszcze ja. Pamiętaj, że już raz byłam mężatką.

Jakie to żalosne, być zazdrosnym o nieżyjącego człowieka. Z wysiłkiem zapytał:

- Czy ty nadal kochasz Hadleya?

- W pewnym sensie zawsze będę go kochać. Odszedł jednak i muszę żyć dalej. Ale nie to miałam na myśli. Nie wiem, czy chcę znowu być żoną, nie tylko twoją, ale żoną w ogóle. Hadley wychodził do pracy, a ja zostawałam w domu i zajmowałam się ścieraniem kurzu i praniem. Jezu, jak ja się nudziłam! - Elaine potrząsnęła głową. - Oczywiście znalazłam sposób na wypełnienie czasu, ale to okropne uczucie, kiedy traci się życie na poszukiwanie jakiegoś pożytecznego zajęcia.

Przerwała.

Philip słyszał szum trzciny poruszanych coraz mocniejszym wiatrem, towarzyszącym ciemnym chmurom. Elaine dodała:

- Byłam tak bardzo podekscytowana w dniu, kiedy wynajęłam sklep, odebrałam klucz i weszłam do środka. Od razu zaczęłam planować, co zrobię. Czułam się niemal szczęśliwa. Ale miałam również poczucie winy, gdyż działo się to zaledwie parę miesięcy po śmierci Hadleya.

- Nie mam zamiaru zamykać cię w kuchni - odparł rozbawiony. - Dlaczego miałbym to robić?

- Bo mężczyźni tak postępują. Wziął jej rękę i pocałował.

- Już lepiej prowadź ten sklep. Kiedy ojciec mnie wyrzuci, będziemy potrzebować pieniędzy.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

- Nie. - Zastanowił się i dodał: - Chyba że będziesz za dużo pracowała i braknie nam czasu dla siebie. Wtedy tak.

- Cóż, sądzę, że uda nam się czasem zjeść razem kolację - zażartowała, mierzwiąc mu włosy. Westchnęła. - Chyba powinnam wymieniać kolejne przeszkody. Odmienny status społeczny, różnica wieku, za krótka znajomość. I inne. Ale to wszystko nie wydaje mi się teraz tak istotne, jak kiedyś sądziłam. Chociaż...

- Chociaż?

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Uwolniła się z jego objęć i stanęła przodem do niego. - Nigdy nie miałam dziecka. W czasie małżeństwa z Hadleyem nie zaszłam w ciążę. Philipie, mam trzydzieści lat. Z wiekiem kobietom coraz trudniej mieć dziecko.

- A chcesz mieć dzieci?

- Tak, bardzo. A ty?

- Ja chcę mieć dzieci z tobą. Pomyśl o połączeniu naszych cech. Nasze dzieci będą miały dość oryginalną urodę. Jakie im damy imiona?

- Philipie, być może nie będę już mogła mieć dziecka - odparła szczerze. - Właśnie to usiłuję ci powiedzieć.

- Jeśli dzieci przyjdą na świat, będzie wspaniale. A jeśli nie, to jakoś sobie poradzimy. Adoptujemy jedno albo i pół tuzina, jeśli tak będziesz chciała. - Objął ją ramieniem. - Moje biedactwo, ty cała drżysz. - Mówiąc te słowa, wsunął dłoń do kieszeni i wyjął coś stamtąd. - Jeszcze tylko włożę ci to na palec i możemy wracać do cywilizacji.

Otworzyła niewielkie pudełeczko z czerwonej skóry i stłumionym głosem westchnęła:

- Och, Philipie.

- To żółty diament. Podobno dość rzadki. Pomyślałem, że będzie do ciebie pasował. Podoba ci się?

- Bardzo - szepnęła.

Wsunął jej pierścionek na palec.

- Nie płacz - powiedział. - Nie płacz, moja ukochana Elaine.

Ale ona tylko potrząsnęła głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

Zanim dotarli z powrotem do pubu, zaczęło padać. Kiedy uruchomił samochód, Elaine poprosiła:

- Twoi rodzice... będziesz ostrożny, prawda, kochanie? Będziesz miły?

- Nie martw się - odparł. - Będę wcieleniem taktu.

Przyjęcie pod hasłem „Nigdy więcej wojny” w studio w Chelsea. Na ścianach portrety rozjuszonego Hitlera, Mussoliniego i Stanleya Baldwina. Do picia poncz o smaku pasty do butów, a na środku tańczące pary, przyciśnięte do siebie, zdejmujące marynarki, swetry, szale, kamizelki, w miarę jak temperatura w pokoju rosła.

- Theo! - wykrzyknęła Ruby na jego widok i zaczęła przeciskać się przez tłum.

Pocałował ją, po czym przedstawił swej towarzyszce. Aleksandra była wysoka i szczupła, a w rudym aksamicie wyglądała bardzo elegancko. Z upływem czasu muzyka stawała się coraz bardziej nastrojowa, zmysłowa i pary rozchodziły się w poszukiwaniu bardziej odosobnionych zakątków domu. Kiedy Ruby wyszła do ogrodu, dobiegły ją głosy Theo i Aarona, który zajmował pokój obok niej.

Na zewnątrz było chłodniej, a niebo zdawało się usiane gwiazdami.

- Oczywiście - mówił Aaron. - W Niemczech Żydzi i Żydówki nie mogą się żenić z przedstawicielami rasy aryjskiej. Nie wolno się trzymać za ręce, całować, dotykać. Życie Żydów staje się coraz trudniejsze. Jest wiele sklepów i kawiarni, do których nie mamy wstępu. Nie wszystkimi tramwajami i autobusami możemy jeździć. Wydaje mi się, że władze chcą nas zmusić do emigracji.

Ruby stała w drzwiach do spiżarni i przyglądała się Theo. Jak dobrze, że przyjechał. Jak przyjemnie znowu go widzieć, przypominać sobie jego gesty, układ warg w uśmiechu.

Podeszła do pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

- Theo, dlaczego nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz do domu?

- Lubię robić niespodzianki. - Objął ją ramieniem. - Co u ciebie słychać, Ruby?

- Gorąco mi - odpowiedziała, wachlując się. - Aleksandra jest piękna. Gdzie się poznaliście?

- Na filmie w Billancourt. Ja miałem o nim pisać dla czasopisma filmowego. Sasza grała w tym okropnym filmie. Jest jego jedyną zaletą. Przy niej czuję się bardzo nijaki. Ma w sobie mieszaninę krwi rosyjskiej, francuskiej, żydowskiej i kastylijsko - hiszpańskiej i mieszkała już chyba we wszystkich możliwych stolicach Europy.

- Wszyscy się przenoszą. Nikt nie mieszka zbyt długo w jednym miejscu.

Aaron uśmiechnął się.

- Ruby, obiecuję, że ja zawsze będę mieszkał obok ciebie.

Theo zapytał:

- A myślałeś o wyjeździe do Palestyny? Aaron wzruszył ramionami.

- Właśnie o tym marzą tysiące ludzi, o powrocie do Ziemi Obiecanej. Ja jednak wybrałem Londyn. Uciekłem z domu z maszyną do pisania i kilkoma filizankami. Lubię Londyn. Mogę tu pracować, mogę mówić i nie oglądać się, czy ktoś nie podsłuchuje. Mogę chodzić po ulicach i nie obawiać się przemocy ani więzienia.

- Masz w Niemczech rodzinę?

- Matkę i ojca. Próbowałem ich przekonać, żeby wyjechali razem ze mną, ale odmówili. Całe życie mieszkają w tym samym miasteczku i nie chcą się przeprowadzać. Sądzą, że sytuacja się poprawi.

- A ty? - zapytał Theo bez ogródek.

- Nie, ja nie. Kiedyś w to wierzyłem, ale teraz nie mam nadziei. - Aaron popatrzył na zgromadzonych. - Oczywiście należy być przeciwko wojnie. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach nienawidzi wojny. Ale co będzie, jeśli się okaże, że ci, którzy nami rządzą, nie są przy zdrowych zmysłach? Jeśli są szaleni lub źli?

Z domu wyszedł Joe.

- Trochę tam za gorąco. Kit oskarżył Briana, że zakochał się w Daisy Mae, a Brian mu powiedział, że jest zbyt gruboskórny, by zrozumieć platoniczne uczucie.

Theo oznajmił:

- Ruby, Philip pytał o ciebie. - Widziałeś go?

- Przez chwilę.

- Co u niego?

- Chyba w porządku. Nie mówił za dużo. Spieszył się. - Theo strzepnął popiół z papierosa.

- Będzie w niedzielę?

- Nie wiem. Nie mówił.

Ruby i Joe wyszli niedługo potem. Kiedy szli Kings Road, Joe powiedział:

- Ten facet... ten, z którego rodziną kiedyś mieszkałaś...

- Theo?

- Jego brat.

Ruby spytała łagodnie:

- Philip? I co?

- Miałaś się z nim spotkać tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

U Fitzroya. Pamiętasz?

Pewnie, że pamiętała. Philip spał w jej łóżku, a ona dotykała jego twarzy.

Mijali zamknięte sklepy. Tylko od czasu do czasu jakiś samochód przejeżdżał ulicą. Joe zapytał:

- Jesteś w nim zakochana, prawda? Roześmiała się.

- Joe, nie widziałam Philipa od wielu tygodni.

- Ale tak ci się rozświeciła twarz. Nawet podczas samej tylko rozmowy na jego temat. - W głosie Joego słychać było złość i żal.

Ruby nie udało się znaleźć odpowiedzi, więc pozostała część drogi przeszli w ciszy. Kiedy dotarli do jej domu, Joe pożegnał się z nią chłodno. Nie zapytał, czy może zostać na noc.

Niedzielny lunch w domu Finboroughów. Znane, przyjemne uczucie kontaktu ze światłem, kolorami i elegancją. W holu uwagę Ruby przykuł zapach róż w szklanym wazonie, kolekcja pocztówek przysłanych przez przyjaciół rodziny z wakacji w Europie i para skórkowych rękawiczek - należących zapewne do Isabel lub Sary - na wiklinowym krześle. Opuszką palca musnęła te przepiękne irchowe rękawiczki.

Jadalnia pełna była przyjaciół - Coiville'owie, McCrory'owie, Temple'owie. Nie było jednak ani śladu Philipa. Jej szczęście przygasło. Zebrani jedli pieczeń wołową, a przy stole królowały

śmiechy i rozmowy. Za oknami zaś pszczoły zanurzały głowy w niebieskich kwiatach ostróżki.

Służąca wniosła letni pudding. A potem przez hałas rozmów przebił się dźwięk dzwonka do drzwi. Na korytarzu zabrzmiały kroki i w drzwiach stanął Philip.

- Kochanie - powitała go Isabel.

Oczy Philipa rozszerzyły się na widok zebranych.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że macie gości.

- Wspaniale, że przyszedłeś - dodała Isabel. - Zostawiłam twojej służącej wiadomość. Nie przekazała ci?

- Musiałem zapomnieć.

- Usiądź, zjesz trochę puddingu.

- Chyba wrócę później. Richard warknął:

- Twoja matka poprosiła, żebyś usiadł. Twarz Philipa stężała.

Isabel powiedziała cicho:

- Philipie, proszę.

Usiadł, potem szybko przywitał się z zebranymi, pomijając jednak ojca, co nie uszło uwagi Ruby.

Kiedy Isabel zaczęła dzielić pudding łyżką, przez jego kopułę wysączył się ciemnoczerwony sos. Służąca roznosiła miseczki przy wtórze stłumionych rozmów. Gdy przyszła kolej na Philipa, potrząsnął odmownie głową.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

- Co ty w ogóle wyprawiasz? - zapytał zdenerwowany Richard. - Kto to słyszał, żeby tak wpadać w środku posiłku?

- Ojcie, już ojcu mówiłem, zapomniałem o tym lunchu.

- Ale wszystko w porządku, prawda, Philipie? - zapytała Isabel z niepokojem.

- Tak, idealnym.

- Dobrze się czujesz?

- Isabel, nie przesadzaj - wtrącił Richard.

- Mamo, naprawdę wszystko w porządku. Chciałem wam coś powiedzieć, ale to może poczekać.

- Nie powstrzymuj się ze względu na nas - odparł Richard z sarkazmem. - Jestem pewien, że wszyscy zebrani chętnie posłuchają twojej nowiny, bez względu na jej charakter.

- Richardzie - przerwała mu Isabel.

Philip znieruchomiał na chwilę. A potem nagle odsunął krzesło, wstał i ruszył w kierunku drzwi.

- To doprawdy nieuprzejme - wymruczał Richard, a stojący przy drzwiach Philip znieruchomiał po raz kolejny.

Kiedy odwrócił się twarzą do ojca, Ruby zobaczyła w jego oczach wściekłość.

- Ja nieuprzejmy? - powtórzył. - Może więc jednak zdradzę wam swoją nowinę. Tak, dlaczegoż by nie? Zamierzam się ożenić. Dlatego tu przyszedłem. Właśnie to chciałem wam powiedzieć.

Nie, pomyślała Ruby. Nie, nie możesz.

- Ożenić? - Isabel zakryła usta dłonią. - Philipie, to dość nagła decyzja. Kim ona jest? Ta dziewczyna... Stephanie...

Philip potrząsnął głową.

- Nie, nie chodzi o Steffie. Zamierzam się ożenić z Elaine Davenport.

Na twarzach gości rysowała się mieszanina konsternacji, ciekawości i zażenowania. To musi być żart, pomyślała Ruby. Czarny, niesmaczny humor.

Wstała.

- Philipie - poprosiła - nie rób tego. Nie mówisz poważnie.

- Ruby, usiądź! - W głosie Richarda dźwięczały ostre tony.

Ale ona go nie usłuchała.

Philip ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy ojca.

- Ojczy, nie jesteś zadowolony? Nie cieszy cię ta wiadomość?

Isabel była biała z oszołomienia. Kiedy Richard wstał, jego krzesło upadło na podłogę.

- Jak śmiesz? - zapytał cicho.

Philip wyraźnie zeszywniał. Ale odpowiedział łagodnie, choć z nutą ironii:

- Nie masz zamiaru mi pogratulować? Richard wysyczał:

- Wyjdź z mojego domu!

- Widzisz, zamierzam się ustatkować, jak zawsze pragnąłeś...

- Philipie, nic już nie mów! - krzyknęła Isabel ostro. - Wystarczy!

Przestań natychmiast!

- Kochamy się z Elaine. To trwa już parę miesięcy. Zamierzamy się pobrać. My...

Niespodziewanie Isabel wymierzyła Philipowi mocny policzek. Zaskoczyło go to tak bardzo, że aż się cofnął. Isabel odwróciła się do Richarda i krzyknęła:

- To twoja wina! To ty jesteś wszystkiemu winien! - po czym wybiegła z pokoju.

Twarz Philipa naznaczona była czerwoną pręgą w miejscu, gdzie uderzyła go matka. Patrząc jednak na ojca, dodał spokojnie:

- Elaine i ja bierzemy ślub i musisz się pogodzić z tym faktem. Nie jesteście w stanie nam przeszkodzić.

- Nie możesz! - wyrwało się Ruby. - To niemożliwe! Nienawidzisz jej! Nie kochasz jej, nie możesz jej kochać, ja...

A potem ktoś chwycił ją za rękę i wyprowadził z pokoju. Zaczęła szlochać:

- Philipie, nie możesz! Nie możesz!

Theo wyprowadził ją z domu, przez zwirowy podjazd i dalej do ogrodu, gdzie z wysiłkiem chwytiała powietrze i szlochała w niekontrolowany sposób. Niewyraźne słowa same wyrwały jej się z ust.

- Nie może się z nią ożenić! Nie może! On jej nienawidzi! Powiedział, że jest pospolita, że jest dziwką! Nie mogę mu pozwolić! Muszę wrócić!

- Nie. - Theo potrząsnął nią. - Nie, Ruby, nie wolno ci tego zrobić. Nie rozumiesz?

Przyjrzała mu się.

- Sądziłem, że już z tego wyrosłaś - powiedział powoli. Miał zmarszczone brwi. Jego uścisk był teraz silniejszy. - To znaczy wyrosłaś z miłości do Philipa.

Spojrzała na niego dzikim wzrokiem, a potem się odwróciła. Usiadła na kamieniu na brzegu skalniaka i potarła rękami mokrą od łez twarz.

- Myślę, że zawsze będę go kochała - oznajmiła roztrzęsiona. - A wolałabym nie.

- Weź - powiedział Theo, podając jej zapalonego papierosa.

- Muszę mu powiedzieć - szeptała. - Nie trzeba mnie było powstrzymywać.

Wypowiadając te słowa, sama w nie jednak nie wierzyła.

Theo zapytał:

- Elaine Davenport... to ta kobieta, z którą spotykał się ojciec?

- Tak.

- Sara mi mówiła. - Kopnął kilka kamyczków, które upadły na podjazd. - Jakie to pokręcone.

Popatrzyła na niego.

- Theo - powiedziała błagalnie - on nie może tego zrobić.

- Cóż, wiesz przecież, że może. Twierdzi, że ją kocha. - Ale to nieprawda! Mówił, że to dziwka! Pracuje w sklepie!

Oczy Theo zrobiły się chłodne.

- Ruby, nie podejrzewałem cię o snobizm. Z domu wyszła Sara.

- Theo, skarbie, daj mi papierosa. Muszę zapalić. - Zaciągnęła się głęboko. - Boże, co za straszna sytuacja. Philip już poszedł. Tata gdzieś uciekł. Mama zamknęła się w sypialni. Nasi biedni goście usiłują rozmawiać. Dzięki Bogu, nie było przy tym Gila. Pomyślałby, że pochodzę z domu wariatów. - Sara ścisnęła ramię Ruby. - Biedna Ruby, szkoda takiego przyjemnego lunchu.

Theo oświadczył:

- Odprowadzę Ruby do domu. Idziesz z nami? Sara potrząsnęła głową.

- Chyba raczej zostanę i spróbuję naprawić sytuację. Ktoś powinien pożegnać gości. Idźcie sami.

Ruby miała migrenę i zawroty głowy. Wagon metra skręcał i przechylał się, pędząc tunelami, mijając kolejne stacje. Chciałaby tak jechać bez końca, żeby to pociąg mógł zdecydować, dokąd ją zabrać, żeby nie musiała myśleć, gdzie wysiąść, dokąd pójść. Nie wierzyła w to wszystko, a teraz ta niewiara zmieniała się w poniżenie - poniżenie, że odsłoniła swoje uczucia przed Theo, i jeszcze większe, że drobne oznaki sympatii, które okazywał jej Philip, brała za coś poważniejszego. A najbardziej bolał ją fakt, że uważała się za jego powiernicę, lecz w rzeczywistości w ogóle go nie знаła.

Po drodze rozmawiali niewiele. Kiedy wchodzili po schodach do jej mieszkania, z pokoiów sąsiadów dobiegały strzępy muzyki i rozmów. Słyszała dźwięk klarnetu. Jej łóżko zasłane było sukienkami, które przymierzała przed wyjściem z domu, usiadła więc pośród stert prawdziwego lub sztucznego jedwabiu.

- Byłam taka głupia, prawda?

- Nonsens - odparł Theo.

- To nie nonsens - zaprzeczyła posepnie. - Zresztą Philip i tak zawsze traktował mnie jak małą dziewczynkę.

- Co masz na myśli, mówiąc „i tak”?

- Och - odparła - wiesz przecież.

- Nie wiem.

- Nie jestem wspaniała. Jak wy wszyscy.

- Wspaniali? My? - zapytał z goryczą, która nią wstrząsnęła. - Cały problem z moją rodziną polega na tym, że jesteśmy tak bardzo skupieni na samych sobie. Lubimy dramatyzować. Nie potrafimy odmówić sobie kłótni czy wybuchu złości. Nie przepuścimy szansy, by zrobić scenę. Na Boga, a ta dzisiejsza doprawdy była jedną z lepszych.

Popatrzyła na niego. Stał przy oknie i patrzył na dachy. Popołudniowe światło obrysowywało ostre rysy jego twarzy.

Ruby odparła:

- Ale ty jesteś inny, Theo.

- Nie cierpię scen. Stawania po którejś ze stron.

- I dlatego wyjechałeś?

- Być może. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Ale ty też nie przepadasz za scenami, co, Ruby?

Dotknęła płamki na sukience. To pewnie łza, pomyślała.

- Usiłuję być normalna. Ze względu na... sam wiesz.

- Nineveh - dodał.

- Tak, i jeszcze mamę i tatę... - Wstała i otworzyła kredens. - Obawiam się, że nie ma nic poza kawą i herbatą.

- Poproszę kawę.

Napełniła czajnik w łazience i uruchomiła niewielką kuchenkę spirytusową. Powiedziała:

- Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi zrobić z siebie idiotki.

- Polecam się - odparł z uśmiechem. - Kiedy tylko zechcesz.

Wsypała kawę do dzbanka. Serce skakało jej w piersi. Zastanawiała się, czy mu powiedzieć, i uznała, że może to zrobić, gdyż nie miało to już żadnego znaczenia. Co miała do stracenia?

- Dowiedziałam się, co się stało z moim ojcem - zaczęła. Odgarnęła włosy z czoła. Głos jej drżał. - Tak jak myślałeś. Odszedł od mojej matki do innej kobiety.

- Ach! - Zmarszczył brwi. - Przykro mi, Ruby.

- Zniknął stamtąd, zanim tam dotarłam, wiele lat wcześniej. Ale, Theo, on się z nią na dodatek ożenił! Będąc mężem mojej matki!

- Jezu. Nie wiadomo, dokąd poszedł?

- Nie. Claire też nie ma pojęcia.

- Claire?

- Druga żona mojego ojca - odparła Ruby sucho. Roześmiała się.

- Łatwo się domyślić, co się stało, prawda? Nie mógł sobie poradzić z wydatkami i koniecznością kłamstw związanych z posiadaniem dwóch rodzin, więc uciekł. Mój ojciec dużo uciekał.

- Powiedziałaś matce?

- Oczywiście, że nie. Ona uważa go za bohatera.

Theo stanął obok niej.

- Był bohaterem. I nic tego nie zmieni.

- Och, Theo. To bzdura. - Poczula nagłe zmęczenie. - Mój ojciec był kłamcą i oszustem. Nie był domatorem, zostawił dwie rodziny. - Ścisnęła dłoń Theo. - Jedno z moich rodziców jest więc chore psychicznie, a drugie jest bigamistą. Miałeś dużo więcej szczęścia.

- Mieli dzieci?

- Dwoje, Archiego i Anne. Poznałam jedynie Anne, Archie był w szkole. - Zamieszła kawę i zostawiła ją do naciągnięcia. - Sądzę, że wołał ich od nas. Przynajmniej ja bym wołała na jego miejscu.

Theo powiedział łagodnie.

- Może kochał was wszystkich, tylko w różny sposób.

- Być może. Miejsce, gdzie mieszkali... Zauważyłam, że to normalny, miły dom. Sądzę - dodała powoli - że odżył, kiedy poznał Claire. Po tych wszystkich latach, kiedy ze względu na nerwy mamy musiał zachowywać spokój, Claire była wybawieniem.

Pojawiło się pytanie, które wcześniej bała się zadać. Wiedziała, że zawsze chciała ich mieć razem, wszystkich członków rodziny Finborough w jednym miejscu, żeby mogli być dla niej tym, czym byli zawsze - azylem, czymś nieosiągalnym i wspaniałym, o co warto być zazdrosnym. Ale teraz ich drogi się rozchodziły. Pomyślała, że wydarzenia tego wieczoru trwale i nieodwracalnie ich podzielią.

- Już zawsze będziesz mieszkał w Paryżu?

- Pewnie nie. Zależy, co się wydarzy. Częściowo zależy od tego, czy wybuchnie kolejna wojna, a jeśli tak, to czy dotknie ona Paryż.

- A sądzisz, że tak będzie?

Zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

- Czasem mam wrażenie, że wszystko się rozpada. Europa czuje się stara i zmęczona, rozłazi się w szwach. Zupełnie jakbyśmy coś tracili, lecz jeszcze nie znaleźli żadnego zamiennika. Straciliśmy

wiarę w dawne instytucje, a nowe wydają mi się przerażające. Ruby, przerażają mnie Niemcy. Aaron nie powiedział wtedy nawet połowy tego, co się tam dzieje. Ale komunizm przeraża mnie równie mocno. Nie byłem, co prawda, w Związku Radzieckim, lecz Aleksandra i jej przyjaciele znają fakty. Mamy więc Stalina, który morduje Rosjan, i Niemcy oraz Włochy, opanowane przez faszyzm, a także Hiszpanię na skraju wojny domowej. Francja jest chaotyczna i niezdecydowana, Ameryka zaś stoi z boku, trzymając się oczywiście z daleka od tego wszystkiego. Nasza bojaźliwość, nasza hipokryzja doprowadza mnie do rozpacz.

Kiedy wypili kawę, Theo pocałował Ruby w policzek, szybko się pożegnał i wyszedł. Słuchała jego szybkich kroków na schodach, a potem zwinęła się na łóżku i ku swemu zaskoczeniu zapadła w sen.

Część trzecia
Do jutra
1936 - 1940

Rozdział 10

Szkocja, gdzie Sara i Gil spędzali swój miesiąc miodowy, okazała się wspaniała i jej piękno niemal rekompensowało Sarze rozczarowanie seksem. W hotelu w Fort William Gil zdjął jej koszulę nocną, po czym objął ją i skrupulatnie, sumiennie się z nią kochał. Sam akt był raczej poprawny niż w jakimkolwiek stopniu odkrywczy. Kiedy Sara zauważyła, jak znad kominka przygląda im się posepnie jelen z rogami, roześmiała się. Gil wydawał się urażony, więc wyjaśniła, że śmieje się z powodu jelenia, który wyglądał na bardzo zaskoczonego, ale Gil najwyraźniej nie zrozumiał żartu.

Całe małżeństwo Sary wyglądało właśnie tak. Oni - Sara dość szybko zrozumiała, że Gil i Caroline zawsze będą stanowić bardzo zżytą parę - nie śmiali się z tych samych rzeczy co ona. Nie bawiło ich odkrycie, że pani Regan, kucharka, przy robieniu ciasta francuskiego miała na głowie czapkę marynarską, ponieważ dach w kuchni przeciekał. Nie śmiali się też, kiedy kot trzymany po to, by łapać myszy, znalazł trochę zostawioną przez Jimmy'ego Coultera na ganku i pożarł ją, przy czym ości i skóra wydawały tak okropny zapach, że dopiero po kilku dniach udało się ustalić, jakie jest jego źródło.

Każdego ranka Caroline wstawała wcześniej i zabierała psy na spacer. Sara często jej towarzyszyła. Potem wszyscy troje zasiadali do śniadania, omawiając przy tym plany na cały dzień. Caroline na ogół jadła jajko na miękko, Gil zaś jajka smażone i bekon. Po śniadaniu on pracował w gabinecie, a jego matka wydawała polecenia pani Regan, po czym szła do ogrodu. Po lunchu o wpół do pierwszej Caroline pisała listy lub składała wizyty sąsiadom, Gil natomiast jechał na plażę lub wydmy, by kontynuować badania nad florą i fauną wybrzeża. Kolację jedli o wpół do ósmej wieczorem - Caroline wyjaśniła Sarze, że pani Regan nie pochwała późnych posiłków. Po kolacji czytali, słuchali płyt lub grali w wista. Tylko czasem jadali poza domem.

Ich codzienna rutyna właściwie się nie zmieniała. Składane przez Sarę propozycje pikniku lub wyjazdu samochodem na wycieczkę przyjmowane były bez entuzjazmu. Ani Gil, ani Caroline nie lubili zmian. Caroline uważała, że taki styl życia odpowiada jej pozycji towarzyskiej, Gila zaś wszelkie zmiany niepokoiły. Być może owo pragnienie porządku było reakcją na otaczający tych dwoje chaos -

wilgotny tynk, ciekące dachy, chwasty w ogrodzie, nawet okrucieństwo i ciągle walki, znaczące historię Irlandii.

Sara szybko zdała sobie sprawę, że powinna się wpasować w życie Vernon Court, a nie próbować je zmienić. Kilkoro służących - pani Regan w kuchni, Jimmy Coulter do wszystkiego, pokojówka i ogrodnik - miało znacznie większy wpływ na codzienne sprawy niż ona. Początkowo usiłowała pomagać Gilowi w badaniach naukowych, być jego asystentką. Odkryła jednak, że on z największym wysiłkiem toleruje jej obecność, żeby nie psuć żonie przyjemności, ale tak naprawdę wcale nie potrzebuje pomocy.

Sara nie wiedziała nic o sprawach, które tak fascynowały Gila - DNA, genach i chromosomach. Nie знаła nawet podstawowych pojęć, by móc zrozumieć owe zagadnienia, a Gil nie potrafił wyjaśnić równie zawiłych kwestii komuś o tak ubogiej wiedzy. A więc potężne obszary wiedzy pozostawały przed Sarą zamknięte. Przypominała sobie dzień, w którym odwiedziła Antona na East Endzie i uświadomiła sobie, że nie zna miasta, w którym się urodziła.

Zaofiarowała się pomóc Caroline w ogrodzie, gdzie czuła się pewniej. Często pomagała własnej matce zarówno w Hampstead, jak i w Kornwalii. Chyba prace ogrodowe wszędzie są podobne? Ogród w Vernon Court był jednak w porównaniu z ogródkiem Isabel ogromny. Zajmował kilka akrów ziemi, a otaczały go kolejne akry lasu. Choć znaczna jego część była utrzymana w przyjemnym naturalnym stylu, ów wygląd, o czym przekonała się Sara, wymagał ogromnych nakładów pracy i planowania. Ogrodzona część ogrodu, chluba Vernon Court, powstała, jak wyjaśniła Caroline, by chronić delikatne rośliny przed silnym wiatrem. Ogródek skalny, porośnięty azaliami, fiołkami alpejskimi i iglakami, najlepiej pasował do tej ziemi, pokrytej potężnymi kamieniami. Nawet las został oswojony, przycięty, żeby silniejsze gatunki nie zagłuszyły innych.

Caroline zajmowała się ogrodem jedynie z pomocą Dickiego, silnego, głuchoniemego mężczyzny, który mieszkał w chacie na obrzeżach posiadłości.

- Jego rodzice byli spokrewnieni - powiedział pewnego razu Gil o Dickiem. - Za mało w nim świeżej krwi.

Dickie wykonywał cięższe prace, z którymi Caroline nie była w stanie sobie poradzić, jak wyciąganie kamieni czy karczowanie korzeni drzew. Ona robiła wszystko inne. Ogród w Vernon Court był

jej pasją. Darzyła go uczuciem równie głębokim jak własnego syna. Ogród odkrywał najprawdziwszą i najlepszą naturę Caroline, pokazywał, ile wie, jaka jest cierpliwa. Rozumiejąc, że Sara potrzebuje zajęcia, teściowa powierzała jej drobne zadania i tłumaczyła, jak należy rozmieszczać sadzonki i przycinać krzewy. Sara jednak widziała, że Caroline, podobnie jak Gil, nie ufa jej i uważnie przygląda się jej pracy.

Caroline przyszywała guziki Gila, cerowała jego swetry, przypominała mu o stryżeniu włosów i pigułkach na niestrawność. Pewnego wieczoru, kiedy mieli wyjść z wizytą, Caroline ponownie zawiązała muszkę Gila, zawiązaną wcześniej przez Sarę, po czym z wyrazem dezaprobaty wyjęła mu z butonierki kwiat włożony tam przez synową i zastąpiła go wybranym przez siebie. Caroline zawsze poprawiała nakryty przez Sarę stół i nie zgadzała się na żadne zmiany w ustawieniu mebli czy bibelotów. Nie robiła tego, by ją w jakiś sposób pognać - po prostu chciała, by Vernon Court było takie jak dotychczas. To Sara miała się dostosować, nie Caroline czy Gil. Obecność synowej w domu oznaczała jedynie, że należy stawiać na stole dodatkowe nakrycie i zabierać ją na wizyty składane sąsiadom, gdzie piło się herbatę lub sherry i jadło ciasto z bakaliami. Pokażny zaś posąg, który Sara wniosła, oznaczał, że można było wreszcie zacząć remont dachu. Stare dachówki zostały zdjęte i cieśle wymieniali teraz spróchniałe drewno.

Dzięki ciąży Sara nie musiała już szukać dla siebie zajęcia. Pierwszymi objawami jej stanu były mdłości, które pojawiały się, gdy tylko otwierała rano oczy, zwalniając ją z obowiązku jedzenia śniadania w towarzystwie Caroline i Gila. Na wiadomość o ciąży zniknęła aura niewielkiej, lecz wyraźnej dezaprobaty, którą Sara wyczuwała wokół siebie. Cięża kazała jej zrezygnować zarówno z jazdy konnej, jak i z seksu. Sarze zdecydowanie bardziej brakowało jazdy konnej.

Usłyszała wiadomość o abdykacji Edwarda VIII, leżąc na sofie przed kominkiem w salonie w towarzystwie psów i usiłując powstrzymać mdłości. Na pierwszych stronach gazet Gila widniały zdjęcia Wallis Simpson, kobiety o wąskich ustach. Przyjaciele Caroline mieli zdecydowanie bardziej konserwatywne poglądy niż znajomi Alice Finborough. W salonach i jadalniach Sara słyszała urywki rozmów: Amerykanka... rozwód... okropne.

Kiedy w trzecim miesiącu ciąży pojawiły się komplikacje, lekarz zalecił jej odpoczynek, a ponieważ rzeczywiście czuła się osłabiona, nie było to tak uciążliwe, jak sądziła. Czasem siadała w salonie z psami, czasem szukała schronienia w cieplarni ogrzewanej promieniami słońca, wpadającymi przez wysoki szklany dach. Płodność tego miejsca, z wszechobecną winoroślą i figami zwieszającymi się z gałęzi, wydawała się Sarze odpowiednia dla jej stanu. Uwielbiała słuchać szumu deszczu na szklanym dachu. Myślała o Edwardzie, który oddał królestwo w zamian za ukochaną kobietę. Zastanawiała się, czy długo nad tym rozmyślał, czy się wahał, nie umiając podjąć decyzji. Albo może była to prosta decyzja, tak prosta jak wybór pomiędzy tortem bezowym a makaronem, albo też długą przejażdżką po plaży a przyjęciem. Kiedy usiłowała porozmawiać z Caroline na temat abdykacji, teściowa odparła z dezaprobatą:

- Powinien był wypełnić swój obowiązek - dając tym samym do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

Sara jednak zastanawiała się, który z obowiązków króla był ważniejszy - wobec kraju czy wobec miłości?

Czy miłość może być tak ważna, że wszelkie inne zobowiązania przestają się liczyć?

Wraz z nadejściem wiosny, gdy brzuch Sary wyraźnie się zaokrąglił, przy sprzyjającej pogodzie, ona, okryta futrem, leżała na wiklinowym szezlongu w niewielkim pokoju obok cieplarni, skąd przez otwarte drzwi mogła patrzeć na trawnik i las. Od czasu do czasu Caroline przynosiła jej herbatę i siadała, by pogawędzić o ogrodzie lub sąsiadach, czasem też Gil zatrzymywał się przy niej na chwilę, by opowiedzieć, czym się tego dnia zajmuje. Sara zauważyła jednak, że wydaje się coraz bardziej zaskoczony faktem, iż osoba odpoczywająca w tym pomieszczeniu jest jego żoną.

Pewnie powinna sobie tłumaczyć, że odsunęli się od siebie w związku z ciążą - czy jednak kiedykolwiek byli razem? A może po raz kolejny się pomyliła, może wmówiła sobie, że Gil jest kimś innym niż w rzeczywistości? Czy poślubiła Gila Vernona tylko dlatego, że był tak odmienny od Antona, tak godny zaufania i ciemny, i że wyrósł z tych samych anglo - irlandzkich korzeni co ona? Czy wyszła za niego dlatego, że nie był wysoki, jasnowłosy, obcy, odmienny?

Samotność miała jednak pewne zalety - Sara mogła swobodnie marzyć. Jej myśli, jak zwykle zresztą, biegły do Antona i tego, ile dla

niej znaczył, i że wydawał się rozwiązaniem wszystkich jej problemów. Dla chłopców, dla Philipa i Theo, było to prostsze, gdyż zawsze wiedzieli, że będą pracować w rodzinnej firmie - a fakt, że żaden z nich tam aktualnie nie pracował, był bez znaczenia - mieli więc cel w życiu. Sara doszła do wniosku, że najtrudniej jest znaleźć w życiu cel. Zawsze zakładano, że wyjdzie za mąż. O małżeństwie nie wiedziała właściwie nic, świadomie nikt nie rozmawiał z nią o najważniejszych kwestiach, a małżeństwo, jak odkryła, wcale nie musi stanowić życiowego celu.

Dzięki więc Bogu za dziecko. Kiedy się urodzi, wszystko będzie dobrze. Gil i Caroline będą z niej zadowoleni, a ona będzie miała kogo kochać. Otulona w futro Sara przyglądała się, jak wiosenny deszcz ustępuje pola słońcu. Dłonie trzymała na brzuchu i czuła ruchy dziecka. Pod koniec ciąży zaczęła spacerować po ogrodzie, badając wszystkie pętle i skrzyżowania ścieżek. Caroline błagała, by odpoczęła, posiedziała w cieniu, lecz Sara chodziła tak długo, aż wreszcie poczuła pierwsze skurcze.

Jej syn urodził się dwa dni później, po długim i trudnym porodzie. Noworodka zabrano do pokoju dzieciennego. Życie Sary wisiało na włosku i za radą lekarza Caroline posłała po Isabel. Ze względu na synową i dziecko wstrzymała prace remontowe, lecz rozgorączkowana położnica ciągle miała w uszach odgłosy uderzeń. Kiedy temperatura wreszcie spadła, Sara była słaba i wycieńczona. Ku jej ogromnej radości i uldze matka ciągle przy niej siedziała - Sarze zdawało się, że musiało to trwać dłuższy czas.

Podczas choroby Sary dzieckiem opiekowały się Caroline i niania Duggan, kobieta ze wsi, która wychowywała też Gila i Marcusa. To one wybrały imię dla dziecka. Chłopiec miał otrzymać imiona David Marcus, po nieżyjącym ojcu i bracie Gila.

Kiedy Sara po raz pierwszy trzymała syna na rękach, czuła przede wszystkim przerażenie. David był duży, miał czerwone policzki i czarne włosy ojca, i wcale nie wyglądał jak dziecko, które sobie wymarzyła. Prawdę mówiąc, wcale nie czuła się z nim związana. Czasem zastanawiała się, czy nie zaszła jakaś pomyłka, czy ktoś przypadkiem nie zamienił dzieci, co, jak sama wiedziała, było niemądrymi rojeniami.

Sara zrobiła wszystko, by ukryć swe myśli przed światem, przed własną matką również. Uznała, że uczucie samo przyjdzie. Jej kryzys

emocjonalny musi wynikać ze zmęczenia i długiej choroby. Przecież każda matka kocha swoje dziecko, prawda?

Po upływie sześciu tygodni Isabel wróciła do Anglii. David był niespokojnym, głośnym niemowlęciem. Dużo płakał, zarówno w dzień, jak i w nocy, i Sara nie potrafiła go uspokoić. Kiedy kąpała Davida, czuła się niezdarna. W pokoju dzieciennym zawsze była niania Duggan lub Caroline, które przyglądały się, jak ledwie udaje jej się utrzymać namydlone dziecko. Karmienie również było koszmarem - chłopiec nie chciał złapać smoczka, szarpał się i wrzeszczał.

Zwykle z ulgą oddawała go niani lub Caroline. Pewnego dnia niani nie było, Caroline pracowała w ogrodzie, a David obudził się z głośnym krzykiem. Sara przytuliła go do siebie i klepała po plecach, lecz on coraz bardziej sztywniał i czerwieniał od krzyku. Poczowała przerażenie, które, jak wiedziała, wynikało z jej braku miłości do syna, braku doświadczenia i instynktu. Wyszła przed dom i odnalazła Caroline, która zdjęła ogrodowe rękawiczki i utuliła wnuka. Płacz zaraz ucichł, a Sara poszła do pokoju zabaw, gdzie przez wiele godzin płakała równie gorzko jak jej syn.

Doszła do wniosku, że David musi być chory, skoro tak dużo płacze. Obejrzał go doktor Kennedy. Podczas badania David aż poczerwieniał od płaczu: rozryczał się, gdy tylko lekarz go dotknął.

- To zdrowy chłopak - oznajmił doktor - silny i sprawny, choć najwyraźniej ma kolkę. Jest pani zapewne bardzo z niego dumna. - Potem przyjrzał się jej dokładnie i dodał: - Pani Vernon, ale pani musi czasem wychodzić z domu. Proszę nie przesiadywać całymi dniami w pokoju dzieciennym. Proszę poprosić męża, by zabrał panią na zakupy.

Sara uznała, że skoro David jest zdrowy, to z nią coś musi być nie w porządku. Choć nie wspomniała Gilowi o sugestiach lekarza, doktor Kennedy musiał uczynić to sam, gdyż tydzień później Gil zaoferował się zawieźć ją do Downpatrick. Wyprawa się nie udała. W kawiarni, przy kawie i słodkich bułeczkach, Gil opowiadał jej o swym najnowszym artykule. Pisał w nim o usunięciu słabszych cech jakiegoś rodzaju traw. Niewiele z tego rozumiała - była zbyt zmęczona, by słuchać. Z ulgą przyjęła sugestię męża, dla którego owo popołudnie również musiało być trudne, by wrócić do domu.

W czasie kolejnych miesięcy Sara spędzała z synem coraz mniej czasu. Z poczucia obowiązku co rano brała go na spacer i dawała mu w nocy butelkę, gdyż teściowa najwyraźniej tego od niej oczekiwała.

David należał jednak do Caroline i niani Duggan i Sara zaczęła podejrzewać, że to się już nie zmieni. Nie miała wiary w siebie; wiedziała, że zawiodła.

W okresie ciąży i po narodzinach Davida babcia odwiedzała Sarę regularnie. Dla Alice Finborough, którą kochała, Sara potrafiła znaleźć uśmiech i żart. Pewnego dnia jednak, po przepłakanej nocy, nie potrafiła się zmusić nawet do tego. Po podwieczorku w towarzystwie Caroline i Gila Alice zaproponowała wnuczce przejażdżkę. Kiedy opuściły posiadłość Vernonów, Sara odczuła ulgę, zupełnie jakby rozwiały się jakieś czarne chmury. Vernon Court, podczas pierwszej wizyty tak urokliwe, zmieniło się teraz w klatkę.

Wjechały do wsi, gdzie w jednej z chałup Alice kupiła jajka i jabłka. Gdy wsiadła z powrotem do powozu i wzięła lejce, zapytała:

- Saro, o co chodzi?

- O nic - odparła Sara. - Wszystko w porządku.

- Bzdura. Jesteś bardzo nieszczęśliwa. Jak dziecko?

- Bez zmian.

- David ma kolkę, a takie dzieci są dość trudne. Ale wyrosnie z tego, wszystkie wyrastają. - Alice potrząsnęła lejcami i koń ruszył. - A Gil? Czy jest dla ciebie niedobry?

- Nie. Przez większość czasu mnie nie zauważa.

- Ach! - Alice wyglądała na zmartwioną. - To może być jeszcze gorsze od okrucieństwa. Twój dziadek był taki. Miał własne pasje, lecz nie dzielił ich ze mną.

Sara popatrzyła na babcie. - Jak to znosiłaś?

- Miałam konie, oczywiście, i dziecko. A potem, kiedy Richard podrósł i przestał mnie aż tak bardzo potrzebować, miałam przyjaciół.

- Przyjaciół? - powtórzyła Sara.

- Kochanków, dziewczyno. Miałam kochanków.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Sara nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Babciu, nic nie wiedziałam.

- Musiałam znaleźć jakiś sposób, by przetrwać w tej głuszy z mężczyzną, który choć niekiedy bywał miły, na ogół mnie tyranizował - odparła Alice krótko. - I wybrałam właśnie taki. Konie mi nie wystarczały. - Poklepała Sarę po ręce. - Kochanie, jesteś bardzo podobna do mnie z tamtych lat. Jesteśmy takie same. Obie

potrzebujemy miłości. Nie potrafimy żyć bez osoby, którą można by kochać, nawet jeśli ta miłość nas unieszczęśliwia.

Sara posmutniała.

- Powinnam kochać Davida.

- Wiele kobiet uwielbia niemowlęta, lecz dla mnie Richard był znacznie bardziej interesujący, gdy trochę podrośł. Jako małe dziecko często wpadał w szał, co było mi ciężko znieść. Jestem pewna, że pokochasz Davida, gdy będzie starszy.

- Babciu, a ilu miałeś kochanków?

- Chyba z pół tuzina - odparła Alice. - Nie pamiętam dokładnie. To dość smutne, kotku, że to, co wydaje się takie ważne, z wiekiem zupełnie zaciera się w pamięci.

- A był ktoś, kogo kochałaś bardziej od innych? Alice uśmiechnęła się tajemniczo.

- Miłością mojego życia jest Tom. Przy nim wszystko miało posmak przygody. Dzięki niemu nawet najbardziej prozaiczne wydarzenie stawało się cudowne. Był ostatnim z moich kochanków. Po jego śmierci radzę sobie sama.

- A co się z nim stało, babciu?

- Zginął na wojnie, niech odpoczywa w pokoju. - Przez twarz Alice Finborough przebiegł cień. A potem, skłaniając konie do galopu, dodała: - Saro, ja zawsze byłam bardzo dyskretna. Należy unikać skandalu.

Boże Narodzenie było punktem zwrotnym w życiu Sary. David miał już niemal pół roku. Lepiej spał i mniej płakał. Richard i Isabel jak zwykle spędzali święta w Raheen i często odwiedzali Vernon Court, gdzie bawili się z wnukiem. W towarzystwie rodziny Sarę opuściło przykre przygnębienie.

Rodzice wrócili jednak do Anglii po Nowym Roku, zostawiając ją samą z własnymi myślami. Wiedziała, że w Vernon Court nie ma dla niej miejsca. Caroline i Gil ją tolerowali, nie potrzebowali jej jednak. Miłość do syna nie przyszła w sposób naturalny, jak sądziła Sara, i podejrzewała, że w oczach Caroline ów brak miłości do dziecka czynił ją kimś gorszym. Caroline i Gil traktowali ją wciąż protekcjonalnie i nieufnie, zupełnie jakby była niezrównowazona psychicznie.

W pewien deszczowy dzień Sara błądziła po domu i zaglądała do nieużywanych pokoi i na strychy. W jednym kącie nowy dach przeciekał i woda strumieniem spływała na podłogę. Sara automatycznie rozejrzała się za wiadrem lub miską, które można by

podstawić pod dziurę w dachu, gdyż tak właśnie robili wszyscy w Vernon Court. Powstrzymywało się przecieki, zbierało najgorsze pajęczyny i kurz. Ale na próżno.

Gdyby opuściła Gila - a uznała, że musi to uczynić - to co mogłaby robić? Wyobraziła sobie gniew ojca, swój powrót do Raheen i wspomniała puste miesiące przed ślubem.

Był jeszcze David. Często witał ją teraz uśmiechem. W wieku sześciu miesięcy nie płakał już, gdy brała go na kolana, lecz z ogromnym skupieniem badał jej naszyjnik, kolczyki lub guziki jej bluzki. Sara stwierdziła, że babcia miała rację, że miłość może przyjść, kiedy dziecko będzie starsze, że oboje mogą się wtedy lepiej poznać, że dostaną być może drugą szansę.

Ale przecież babcia powiedziała również: „Miłością mojego życia był Tom”, a Sara miała świadomość, że jej miłością był Anton. Fakt, że nie kochał jej równie mocno jak ona jego, nie miał znaczenia. W Gilu kochała raczej wyobrażenie niż rzeczywistość, i pewnie odrobinę jego dom, i swoją ucieczkę w dorosłość, którą małżeństwo zdawało się obiecywać. Jednak życie w Vernon Court pokazało jej głębię własnej nieświadomości oraz siłę miłości do Antona. Najwyższy czas, pomyślała, nauczyć się żyć.

Znalazła Caroline w pokoju dzieciennym, gdzie teściowa, klęcząc na podłodze, bawiła się z Davidem. Na widok tych dwojga pomyślała, że właśnie po to tu jest - żeby dać tej rodzinie syna. I pieniądze na naprawę dachu.

Kiedy Sara przedstawiła swoje zamiary, Caroline zapytała:

- Więc to postanowione?

- Tak, sądzę, że tak.

Caroline wstała. Popatrzyła bacznie na Sarę.

- Rozumiem, że Gil pod pewnymi względami nie jest może idealnym mężem. Jeśli czujesz się nieszczęśliwa, nie będę miała nic przeciwko temu, byś poświęcała więcej czasu własnym zainteresowaniom. Gdybyś na przykład chciała podróżować.

- Myślałam o tym. Lecz to za mało.

- Cóż, przykro mi. - Caroline wyglądała na zmartwioną. - A David?

- Być może, jeśli zostaniemy sami, będę sobie lepiej radzić.

- Masz zamiar zabrać go ze sobą? Proszę, żebyś to dokładnie przemyślała. Żebyś podjęła decyzję najlepszą dla Davida. - Caroline

wzięła dziecko na ręce i przytuliła je do siebie. - Oczywiście, rozumiem, że chciałabyś go mieć przy sobie. Ale co możesz mu sama zaoferować? Jak możesz się nim opiekować?

- Nauczę się. Zmuszę się do tego.

- Obawiam się, że muszę ci to powiedzieć bez ogródek. Zastanawiałaś się, co ten krok będzie dla ciebie znaczył? Co powiedzą twoi rodzice? Czy kiedy odejdziesz od męża, przyjmą cię z powrotem? Alice Finborough zawsze była niekonwencjonalna, lecz nawet ona może nie popierać twojej decyzji. Skandal... całe hrabstwo będzie mówić o tobie.

Sara pokręciła głową.

- Nie pojedę do domu. I nie wrócę do Raheen. Wiem, że to bez sensu.

- Gdzie będziesz mieszkać? I z czego żyć? Już od wielu lat nasza posiadłość przynosi znikome dochody. Jeśli oczekujesz, że Gil będzie cię nadal utrzymywał...

- Nie chcę od Gila żadnych pieniędzy.

- Pytam więc po raz kolejny, z czego będziesz żyła. I jak wychowasz dziecko? To kosztuje mnóstwo pieniędzy. Jedzenie... odzież... szkoła. Jeszcze jedną rzecz musisz wziąć pod uwagę. Nie zgodzę się na rozwód w rodzinie. Nawet jeśli opuścisz Vernon Court, ciągle będziesz żoną Gila. A to nie będzie zbyt wygodne. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła Sara. - Rozumiem.

- Poza tym taka rodzina jak nasza może dać dziecku pewne wartości, coś, czego nie jesteś w stanie zapewnić mu ty sama. Kontakty, znajomości, które w dorosłym życiu mogą się Davidowi przydać. Nie chcę być okrutna, lecz muszę cię uprzedzić, że samotna kobieta żyje w znacznej mierze poza społeczeństwem.

Sara krzyknęła:

- Nie interesuje mnie pozycja w społeczeństwie! Nie znoszę tego wszystkiego!

- Ale przecież interesuje cię własny syn, prawda? Jeśli uprzesz się, by zabrać ze sobą Davida, pozbawisz go wielu rzeczy. Stosunek ludzi do ciebie dotknie również jego. Bez wątplenia będzie uznawany za kogoś gorszego; co innego, gdy pozostanie częścią rodziny Vernonów.

Sara spojrzała na nią z wyrazem przerażenia w oczach.

- Tak sądzisz?

- Ja to wiem. I jeśli naprawdę troszczysz się o Davida, nie będziesz chciała dla niego takiego losu.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Saro, błagam, żebyś nie zabierała Davida z miejsca, które zna. Miejsca znane to miejsca bezpieczne, co dla dziecka jest bardzo ważne. Wychowałam dwóch synów. Musisz mi zaufać pod tym względem.

Sara podeszła do okna. Przez drobny deszcz widziała za szybą zarys wydzielonego ogrodu Caroline. Wyobraziła sobie, jak idzie krętymi ścieżkami pośród drzew i krzewów. Usiłując odnaleźć cel, dowiedzieć się, co będzie dalej.

Stosunek ludzi do ciebie dotknie również jego. Sara wiedziała, że Caroline mówi prawdę. W klasie była dziewczynka, której rodzice się rozwiedli. Nikt jej nigdy tak naprawdę nie zaakceptował, zawsze była trochę z boku. Przyczepił się do niej jakiś zapach, jakaś aura wstydu. Społeczeństwo nie lubi osób, które usiłują się wyłamać - niecały rok temu król Edward VIII musiał abdykować, gdyż pragnął poślubić rozwódkę.

Caroline dodała:

- Pomyśl tylko, co Vernon Court może dać Davidowi. Będzie tutaj szczęśliwy, dopilnuję tego. To dla dziecka magiczne miejsce. Marcus i Gil spędzili tu wspaniałe dzieciństwo.

Kontury ogrodu rozmyły się. To deszcz czy łzy? Sara powiedziała z wahaniem:

- Ale tak po prostu od niego odejść...

- To wcale nie musi być rozstanie na zawsze. Będziesz mogła go odwiedzać, kiedy tylko zechcesz. Ani Gil, ani ja nie będziemy ci tego utrudniać.

- A może odwiedzić mnie w Anglii?

- Jeśli tak sobie życzysz. A kiedy skończy siedem lat i pójdzie do szkoły w Anglii, to wszystko będzie dla ciebie jeszcze prostsze.

Sara pomyślała, że całe życie Davida zostało już zaplanowane. Zaplanowano je jeszcze przed narodzeniem chłopca, przed jej ślubem z Gilem, a może nawet jeszcze przed ich spotkaniem. Jedno było pewne, widziała to z całą pewnością. Nie może zostać. Vernon Court ją przytłoczyło, ograniczyło. Jeśli nie wyjedzie, nie zostanie z niej nic. Ceną za odejście od Gila będzie rozłąka z dzieckiem. Ceną pozostania zaś byłaby świadomość, że ona sama jest na pół martwa.

Kiedy oznajmiła Gilowi, że odchodzi, miała wrażenie, że żegna się z kimś, kogo znała przez pewien czas, lecz nigdy nie zdołała poznać naprawdę.

- Odchodzisz? - zapytał zaskoczony. - Na dobre? Byli w jego gabinecie. Gil wstał zza biurka.

- Tak - potwierdziła.

- Saro, to absurd.

- Czyżby? Dlaczego?

- Wydaje mi się, że to oczywiste.

- Nie chcę cię ranić, Gilu, i wcale mi się nie wydaje, bym to czyniła. Sądzę... sądzą, że po tygodniu przestaniesz zauważać, że mnie nie ma.

Wychodząc z jego pokoju, pomyślała, że naprawdę jest wciąż zaskoczona faktem, iż udało im się począć dziecko. Powinni być bezpłodni, tak jak hodowane przez Gila hybrydy.

Podczas rejsu mimo przenikliwego zimna Sara siedziała na pokładzie promu. Podszedł do niej młody mężczyzna, który sprzedawał szczotki i pasty do butów, by chwilę pogawędzić; pomachał jej, gdy wsiadała do pociągu w Heysham. Do Londynu dotarła o siódmej. Spędziła w podróży cały dzień i była naprawdę zmęczona. Ruby obiecała wyjść po nią na stację Euston. Sara wpatrywała się uważnie w tłum na stacji, lecz Ruby nie było widać, więc stała z walizkami w holu dworca.

Ktoś powiedział:

- Przepraszam najmocniej, czy pani Vernon?

Sara odwróciła się i ujrzała wysokiego, szczupłego mężczyznę o pociągłej, smutnej twarzy, która przypominała pysk psa gończego.

- Tak, to ja - odparła.

- Nazywam się Edward Carrington - powiedział, wyciągając do niej dłoń. - Ruby musiała zostać dłużej w biurze - wyjaśnił. - Jej dział jest wprost zawałony pracą, więc poprosiła, żebym to ja wyszedł po panią.

- To bardzo uprzejme z pana strony. Uśmiechnął się.

- Ruby kazała mi szukać ślicznej rudej osóбки. Wiedziałem, że to pani, kiedy tylko panią zobaczyłem. Mogę wziąć walizki?

Isabel spotkała się z Philipem u Lyonsa na Picadilly Circus. Jakieś trio grało taneczne melodie i kilka par kręciło się po parkiecie. Na powitanie Philip pocałował matkę w policzek.

- Nie sądziłem, że tu przyjdiesz, mamó. To miejsce jest bardzo hałaśliwe.

- Lubię muzykę.

Podeszła kelnerka i Philip zamówił szklaneczkę medoca dla siebie oraz herbatę dla matki. Isabel zapytała:

- Czy Sara do ciebie pisała?

- Nie, ostatnio nie.

- Odeszła od Gila. I od dziecka.

- Wielki Boże! - Philip aż usiadł na krześle. - Na dobre?

- Tak sądzę.

- Gdzie ona teraz jest?

- Mieszka z Ruby. Nie chce wrócić do domu, a nawet gdyby chciała, Richard by się na to nie zgodził. - Isabel złożyła rękawiczki i wsunęła je do torebki.

- Czy Gil się z nią rozwiedzie? Isabel potrząsnęła głową.

- Rodzina nie bierze rozwodu pod uwagę. Trudno im się dziwić. W rodzinie Vernonów nigdy jeszcze nie było rozwodów. W naszej zresztą też nie.

- Tata pewnie jest wściekły.

- Nie chce z nią rozmawiać. - Isabel mocniej zacisnęła usta. - Choć, moim zdaniem, w końcu jej wybaczy.

Philip się nie odezwał.

- Tak, wiem - ciągnęła podniecona Isabel - Philipie, to przecież żałosne. Co się stało z moją rodziną? Jedno z moich dzieci mieszka wiele mil stąd, a Richard udaje, że pozostałe dzieci nie istnieją! Pomyśl, że kiedyś byliśmy tak szczęśliwi!

Philip wzruszył ramionami.

- To taty sprawa. To on musi wykonać pierwszy krok. Kelnerka przyniosła herbatę. Kiedy znów zostali sami,

Isabel podjęła ściszym głosem:

- Możesz twierdzić, że ojciec powinien wykonać pierwszy krok, ale ty sam też nie jesteś bez winy, Philipie. Tamta niedziela...

- Wcale nie chciałem tego oznajmić w ten sposób. To się stało samo. Zresztą bez względu na sposób i tak by ci się to nie spodobało. - Znów wzruszył ramionami. - Tata musi zrozumieć, że kochamy się z Elaine.

Ton jego głosu i spojrzenie były nieustępliwe.

- Nie ma sensu po raz kolejny tego roztrząsać - odparła Isabel sztywno. Odwróciła głowę i przyglądała się tańczącym.

Nie chciała jednak rozstać się skłócona ze swym pierworodnym synem, więc odezwała się pierwsza.

- Dobrze wyglądasz, Philipie - powiedziała. W duchu pomyślała, że, niestety, muszą uciekać się do prawienia sobie uprzejmości.

- Dobrze mi się powodzi. Ale dużo pracuję. - Philip założył firmę importującą meble z Dalekiego Wschodu. - Elaine i ja przejrzelśmy wczoraj rachunki. Było co uczyć. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy osiągnęliśmy dość znaczny zysk.

My, pomyślała Isabel, my. Już nie należy do mnie, należy do niej.

Philip siedział ze spuszczonego wzrokiem i bawił się frędzlami obrusa.

- Świątowaliśmy nie tylko to - dodał. - Elaine spodziewa się dziecka. Twierdzi, że ma się urodzić we wrześniu.

Isabel wstrząsnął dreszcz. Jeśli kiedykolwiek, zupełnie zresztą bezzasadnie, zastanawiała się, a nawet miała nadzieję, że owo nieodpowiednie małżeństwo się rozpadnie, to ta nadzieja legła teraz w gruzach.

Z ogromnym wysiłkiem powiedziała jednak:

- Gratuluję, Philipie. Pewnie się bardzo cieszysz. Mam nadzieję, że ona - że Elaine - dobrze się czuje.

- Nie chcesz jej zobaczyć?

Ujrzała w oczach syna nadzieję. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Nie, Philipie. Musisz mnie zrozumieć. Nie mogę.

Rozstali się niedługo później. Isabel zatrzymała taksówkę, która miała zawieźć ją do krawcowej w Bayswater. W taksówce otworzyła puderniczkę i przypudrowała nos. Choć nigdy wcześniej się nie malowała, jakiś czas temu stwierdziła, że bez odrobiny szminki i pudru wygląda po prostu szaro. Cóż, wiek robi swoje. Choć wydarzenia ostatnich dwóch lat też chyba nie są bez znaczenia.

Elaine spodziewa się dziecka. Isabel wiedziała, że zachowała się, jak należy, że zareagowała we właściwy sposób, lecz jakaś jej część nie potrafiła się z tym pogodzić. I jeszcze Sara. Jak mogła zostawić własne dziecko, jak mogła? Isabel rozumiała, dlaczego Sara odeszła od Gila. Nigdy nie wydawał się dla niej odpowiednim mężem. Ale dziecko? To słodkie dziecko? Ich pierwszy wnuk. Isabel nie potrafiła

zrozumieć, jak to możliwe, że Sara nie wygląda na rozdartą czy udręczoną swą decyzją. Niegdyś była przekonana, że są sobie z córką bardzo bliskie, lecz teraz często wydawało jej się, że to nieprawda.

Jednak najsilniejszym uczuciem, znacznie silniejszym od smutku i poczucia straty, była złość. Mimo że to ona została najbardziej zraniona, to właśnie jej przypadł obowiązek sklejanie rodziny. To ona rozmawiała z Sarą i Philipem, to ona usiłowała zrozumieć, dlaczego podjęli takie, a nie inne decyzje, choć widziała wyraźnie, że zrujnowali sobie życie. To ona musiała być cierpliwa i taktowna, choć tak naprawdę miała ochotę porządnie potrząsnąć własnymi dziećmi. Wysłuchiwała cierpliwie relacji ze ślubu Philipa - nie mogąc powstrzymać się od myśli, że to raczej ponury spektakl. Ślub odbył się w jakimś ciemnym kościele w Hendon, a Ruby była jedyną przedstawicielką rodziny Finborough, obecną na uroczystości. Isabel musiała więc znosić to wszystko, choć pęknięcie spowodowane ślubem Philipa i tak pozostało, odsłaniając, i to w obrzydliwie melodramatyczny sposób, istniejące wcześniej rysy. A na dodatek Richard był przez cały ten czas obrażony i odmawiał jakiegokolwiek wsparcia Sarze i Philipowi. Isabel nie miała nawet odwagi powiedzieć mu, że spotyka się z synem, gdyż mogło to doprowadzić do napadu wściekłości. A jeśli się nad tym zastanowić, to przecież właśnie Richardowi można było tak wiele zarzucić...

Taksówka dotarła do Bayswater. Kiedy Isabel zadzwoniła do drzwi, poczuła, że do jej żalu dołączyło się teraz jeszcze jedno uczucie. Coś się w Richardzie zmieniło, zniknęła jego bez troska i wcześniej nieposkromiona pewność siebie. Czasem było go Isabel żal.

Powaga towarzysząca rozmowom o skomplikowanych wydarzeniach politycznych towarzyszyła również dyskusjom nad sposobem, w jaki Sara mogłaby zarabiać na życie. Ponieważ potrafiła jedynie gotować i jeździć konno, przyjaciele Ruby zdecydowali, że ktoś powinien porozmawiać z Wielkim Frankiem, właścicielem kawiarni przy Romilly Street. Obecnie więc Sara pracowała w kawiarni codziennie w porze lunchu, a dodatkowo jeszcze przez trzy wieczory w tygodniu. Wielu klientów kawiarni było komunistami. Siedzieli tam godzinami, sącząc kawę i omawiając najważniejsze wydarzenia - skroplona para, powstająca, zdaniem Sary, od żaru ich rozmów, ściekała po oknach. Ona przygotowywała im tosty z masłem

i grzanki serowe, a tym osobom w dziurawych butach zawsze dokładała dodatkowy kawałek chleba.

Sara lubiła swoją pracę, nie przeszkadzała jej nawet codzienna podróż na Romilly Street.

- Saro, to niemożliwe - twierdziła Ruby. - Wszyscy prawdziwi londyńczycy narzekają na metro.

Ale tak było naprawdę, Sary nie irytowała nawet godzina szczytu, kiedy stała ściśnięta pomiędzy mężczyznami w melonikach i z aktówkami w dłoniach a stenotypistkami ściskającymi schowane w torebkach powieści i robótki. Lubiła również autobusy, gdzie pasażerowie rozmawiali znacznie więcej niż w metrze; słysząc urywki ich rozmów, chwytła fragmenty życia.

Trojaczki, kochana, a on jest w marynarce... a mówiłam jej, nawet o tym nie myśl, będzie tak samo jak z Mavisem...

Zawsze w weekend Sara i Ruby sprzątały mieszkanie, które teraz miało aż dwa pokoje. Po skończonej pracy zwykle robiły sobie jakąś przyjemność - mogła to być tabliczka czekolady lub miska gruszek z bitą śmietaną. W kawiarni Sara ścierała stoły, myła naczynia i podłogę. Wszystko to było dla niej nowe, tak samo jak autobusy i metro. Zarówno w Hampstead, jak i Vernon Court prace te wykonywała służba. Sara nie wiedziała, jak często trzeba ścierać kurze ani jak nakładać pastę woskową czy szorować umywalkę. Kiedy myła podłogę w kawiarni, obserwowała, jak mop zostawia jaśniejsze smugi na zabłoconym linoleum. Kiedy czyściła kurki sokiem z cytryny, jak nauczył ją Frank, właściciel kawiarni, widziała metal przelyskujący spod warstwy kamienia.

Edward Carrington często zaglądał do kawiarni po skończeniu pracy. Pewnego wieczoru przyszedł i otrzepał z ramion płatki śniegu.

- Jest lodowato - oznajmił, odwijając szalik i zdejmując kapelusz. Zarówno nos, jak i czubki uszu miał zaróżowione.

- Chcesz kawy, Edwardzie ? - zapytała Sara. - I grzankę z serem?

- Tylko kawa. Nie mogę zostać długo. Muszę zjeść kolację z matką. - Usiadł przy stoliku.

Kawiarnia była już niemal pusta, więc Sara przyniosła dwie kawy i usiadła obok niego.

- Jedna z dziewczyn przyniosła dziś z sobą najpiękniejszego pudelka, jakiego w życiu widziałam - powiedziała. - I kto by podejrzewał, że komuniści lubią pudle?

- Pudle wydają się dość frywolne - odparł Edward, mieszając cukier. - Co u ciebie, Saro?

- Fantastycznie. A u ciebie?

- Trochę jestem zmarznięty, ale poza tym nie narzekam.

Sara dotknęła jego dłoni.

- Jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

- Zamieniam się w słuch.

- To, co się stało w Austrii...

- Anszlus?

- Tak, to. Inwazja Niemiec na Austrię.

- W gazetach pisano, że na ulicach Wiednia zebrały się tłumy ludzi, aby powitać niemieckich żołnierzy. Dość dziwna inwazja.

- Więc im, Austriakom, to nie przeszkadza?

- To zależy, po której jest się stronie. Gdybyś była na przykład nazistą, powitałabyś Niemców z otwartymi ramionami.

- A gdybym była socjalistką?

- To pewnie nie byłabyś zachwycona. Raczej przerażona.

- Przerażona?

- Naziści nie przepadają za socjalistami. - Edward przyjrzał się Sarze uważnie. - Nigdy bym nie podejrzewał, że interesujesz się polityką.

- Pracując tu, nie mogę się od niej uwolnić. - Sara pomyślała, że Edward Carrington jest dla niej bardzo miły, i postanowiła mu się zwierzyć. - Ale nie o to chodzi. Znam, czy raczej znałam, osobę, która mieszkała w Wiedniu.

- Miałaś od niej ostatnio jakieś wieści?

- Od niego. Anton jest mężczyzną. Nie, nie pisujemy do siebie. Nie miałam żadnych wiadomości już od bardzo dawna.

Edward kichnął.

- Biedny Edward - pożałowała go Sara. - Powinnam ci dziś chyba podać whisky zamiast kawy, co?

- Nic mi nie będzie. Dureń ze mnie, to wszystko. - Złożył chusteczkę i wsunął ją do kieszeni. - Ten facet...

- Anton.

- Znałaś go przed ślubem?

- Kochałam go.

- Och. Ale wyszłaś za kogoś innego.

- Anton mnie nie kochał. Myślałam, że jest inaczej, lecz okazało się, że nie. Myślę, że wyszłam za Gila tylko dlatego, że nie mogłam mieć Antona. Ale to był największy błąd w moim życiu. - Sara westchnęła. - Najwyraźniej wszystko robię źle. Usiłowałam się zakochać, usiłowałam wyjść za mąż i usiłowałam mieć dziecko, i nic mi się nie udało. Pewnie będę tu pracowała do późnej starości, bo tylko to potrafię. - Obrzuciła Edwarda ciepłym spojrzeniem. - Myślałeś kiedyś, żeby się ożenić?

- To trudne, gdy się ma tak chorą matkę. Kiedyś był w moim życiu ktoś ważny, nie dogadały się jednak z mamą i nic z tego nie wyszło. Ale mówiłaś o tamtym facecie.

- Wiele lat temu Anton został zmuszony do wyjazdu z Wiednia. Ostatnia wiadomość, jaką o nim miałam, była taka, że wrócił do Austrii. Bardzo martwił się o ojca. Zastanawiam się, czy po ostatnich wydarzeniach znowu nie będzie musiał stamtąd uciekać. I... i czy przyjedzie do Londynu.

Edward odchrząknął.

- Jeśli chce zostać w Wiedniu, będzie musiał nieco zmodyfikować swoje poglądy, ujmijmy to w ten sposób. Ale nawet gdyby to zrobił, i tak znajdzie się na takiej czy innej liście. - Edward zerknął na zegarek i wstał. - Chyba już pójdę. Mama będzie się martwić. Dziękuję za kawę, Saro.

Carringtonowie mieszkali na pierwszym piętrze domu w dzielnicy Belgravia. Pozdrawiając dozorcę, Edward pogwizdywał, a potem odebrał spóźnioną pocztę i poszedł na górę do mieszkania. Powiesił płaszcz, szalik oraz kapelusz na wieszaku i dopiero wtedy wszedł do salonu.

Matka siedziała na krześle przy ogniu. Mimo to teraz zadrżała z chłodu.

- Edwardzie, zawsze przynosisz ze sobą zimne powietrze.

- Przepraszam, mam - odparł, całując ją w policzek. - Jak się dziś czujesz?

- Bardzo źle. Moje biodro... Był dziś doktor Steadman i przepisał mi jakieś proszki, tyle że wcale nie pomagają. Ale przynajmniej miałam przez chwilę towarzystwo, chociaż on zawsze tak się śpieszy.

- A teraz jestem ja - pocieszył ją Edward z uśmiechem. - Będę cię słuchał tak długo, jak zechcesz.

- Mam nadzieję. - Panią Carrington znów przebiegł dreszcz.

- Mamo, przynieść ci koc? Spojrzała na zegarek.
- Już prawie wpół do ósmej. Będę musiała się owijać, potem odwijać, a jestem zbyt zmęczona na całe to zamieszanie. Gdybym miała go wcześniej, nie zmarłabym tak.
- Mamo, przecież mogłaś poprosić Gladys, żeby ci go przyniosła.
- Nie chciałam sprawiać kłopotu. Gotowanie... - wykręcała się.
- Ale za to jej płacimy. Porozmawiam z nią.
- Nie, nie. Nie trzeba jej denerwować. Nie chcemy przecież stracić kolejnej dziewczyny.
- Obiecuję, że będę starannie dobierał słowa.

Edward wszedł do kuchni, gdzie Gladys trzaskała garnkami i patelniami. Pomieszczenie wypełniała para i zapach przywodzący na myśl mokrą ścierkę, lecz Edward powiedział:

- Gladys, pachnie cudownie.
- Ryba się rozwalila na patelni, panie Carrington, ale tak się zawsze dzieje z dorszem. A pani prosiła o budyń. Powiedziałam, że musimy mieć gotowy, bo mnie sosy na jajkach nie wychodzą.
- Jestem pewien, że kolacja będzie pyszna jak zwykle. - Po chwili milczenia, podczas której Gladys z westchnieniem odlała ziemniaki i przelożyła łyżką sos do sosjerki, Edward podjął odważnie konwersację: - Zastanawiam się, czy mogłabyś pamiętać, żeby okrywać moją matkę kocem, który leży na jej łóżku. Ona tak okropnie marznie.

Gladys wyglądała na urażoną.

- Proszę pana, proponowałam pani koc, ale ona powiedziała, że jest za ciężki i bolą ją od niego nogi.
- Aha. Może wobec tego kaszmirowy szal.
- Jeśli pan tak uważa, panie Carrington. A teraz biorę się do pracy, jestem spóźniona.

Edward zrozumiał aluzję. Mruczac słowa podziękowania, wyszedł z kuchni.

Podczas kolacji opowiadał matce o dniu spędzonym w pracy. Pani Carrington odpowiadała półsłówkami i prośbami o podanie masła. Mimo wieloletniej choroby ciągle dopisywał jej apetyt. Kiedy Edwardowi skończyły się już wszystkie anegdoty, namówił matkę, by teraz ona opowiedziała mu o tym, co robiła przez cały dzień. Ze względu na reumatyzm mogła pokonywać jedynie niewielkie odległości, więc spędzała mnóstwo czasu, siedząc przy oknie i

przyglądając się, kto wchodzi, a kto wychodzi z kamienicy. Gości rozpoznawała bezbłędnie, a to, do kogo idą, odgadywała w jakiś tajemniczy sposób, którego Edwardowi nie udało się zgłębić. Jego matka znała nazwiska połowy mieszkańców potężnego budynku, wiedziała również bardzo dużo o stanie ich zdrowia i stosunkach małżeńskich.

Przy puddingu oznajmiła Edwardowi:

- Ta pani Pritchard miała dziś gościa. Grudkowaty budyń, przyrządzony przez Gladys, nie wyglądał zbyt zachęcająco. Edward ostrożnie nabrał łyżkę deseru.

- O, naprawdę?

- Kolejny mężczyzna - dodała pani Carrington znacząco. - Wyglądał jak komiwojażer albo ktoś w tym rodzaju. Miał ze sobą niewielką walizkę.

- Może pani Pritchard skończyła się pasta. Pani Carrington wydała pogardliwy dźwięk.

- Ona nie jest dobrą gospodynią. Nie, moim zdaniem, to był jej kolejny przyjaciel. - Spojrzała na Edwarda. - Nie masz chyba zamiaru brać już więcej konfitur, co? Nie powinieneś jeść tylu słodczy. I tak nie wyglądasz najlepiej.

- Mamo, jestem przeziębiony, to wszystko. - Dalej dzielnie jadł budyń bez dodatkowej porcji konfitury.

Po kolacji, przy kawie, siedzieli przed kominkiem i słuchali radia. Edward nie pamiętał, by matka kiedykolwiek czuła się dobrze. Sądził, że może w czasach jego dzieciństwa tak było, ale tego nie pamiętał. Ojciec zmarł niedługo po tym, gdy Edward skończył szkołę w wieku lat dziewiętnastu, i od tej chwili zdrowie matki stale się pogarszało. Pięć lat temu sprzedali dom w Surrey i przenieśli się do Londynu. Edwardowi brakowało swobody i wypraw na ryby, lecz przeprowadzka do Londynu miała niezaprzeczalne zalety - mieszkanie znacznie łatwiej było utrzymać, dojazd do pracy nie zajmował tak wiele czasu, a matka miała niedaleko do najlepszych lekarzy na Harley Street.

Choć Edward początkowo proponował mieszkanie na parterze, matka obawiała się hałasu i włamań, więc zdecydowali się zamieszkać na pierwszym piętrze. Kiedy chciała wyjść, korzystała z windy, a potem, podpierając się laską, szła do domu swej przyjaciółki, pani Collins, która mieszkała po przeciwnej stronie skweru, lub do pani

Dixon, gdzie raz w tygodniu grały w brydża. W sobotnie popołudnia Edward zawoził matkę do kina Odeon na Leicester Square. Pani Carrington lubiła zarówno thrillery, jak i romanse. Jej ulubionym filmem był „Prisoner of Zenda” z Ronaldem Colmanem, na który Edward zabrał matkę pięć razy.

O dziesiątej matka zgasiła radio i poszła spać, nakazując Edwardowi, by nie hałasował przed pójściem do łóżka. On nalał sobie szklaneczkę whisky, uważając, by nie stuknąć karafką, i zagłębił się w jednej z powieści Margery Allingham. Choć z przeziębienia bolała go głowa, owa godzina była zbyt cenna, by można ją zmarnować, kładąc się do łóżka z kubkiem gorącego kakao i aspiryną.

Edward rezerwował na własne potrzeby również godzinę po zakończeniu pracy. Kiedy przeprowadzili się z Surrey do Londynu, powiedział matce, że kończy pracę o szóstej, a nie o piątej. Dzięki owemu kłamstwu miał trochę czasu tylko dla siebie; mógł wtedy spotykać się z przyjaciółmi i rozwijać własne zainteresowania. Po pracy szedł z kolegami do pubu lub kawiarni, a jeśli nie miał z kim iść, samotnie wypijał piwo i rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie”. W drodze do domu ssał miętowe karmelki, by matka nie wyczuła zapachu alkoholu. Ważniejsze okazje, jak przyjęcie czy obiad w restauracji, wymagały przygotowań i planów. Wiele tygodni wcześniej należało uprzedzić matkę, sprowadzić panią Collins lub Dixon, by dotrzymały jej towarzystwa, i obiecać jakieś przyjemności, by zrekompensować swą nieobecność.

Edward miał świadomość, że nie należy do mężczyzn, w których kobiety zakochują się od pierwszego wejrzenia. Brakowało mu tego czegoś - a może to inni mężczyźni mieli coś więcej. Zawsze zastanawiał się, co to może być. Dziewczyny zakochiwały się w najgorszych osłach. Choć każde spojrzenie w lustro przypominało mu, że nie jest przystojny, że ma asymetryczną twarz, że jest ona miękka, jakby gumowa - to jednak twarz owa była dość przyjemna. Nigdy nie miał szerokiego kręgu znajomych. Nie odpychał, ale również nie pociągał. Dziewczyny mówiły, że jest miły, mężczyźni - że to porządny gość. Nie był jednak osobą, której ludzie poszukiwali w pierwszej kolejności, zawsze był dodatkiem, dublerem.

Wyobrażał sobie, jak osoby wydające party lub organizujące zawody krykietowe po wybraniu pół tuzina najlepszych mówią: „Musimy jeszcze poprosić Edwarda”.

Nie przeszkadzało mu to, nie oczekiwał, że będzie najważniejszy. Poważniejszych znajomości z dziewczynami też miał bardzo niewiele.

- Był ktoś kiedyś - powiedział Sarze, ale owo wyznanie było przesadzone. Ze dwanaście razy zaprosił Barbarę Cooper do kina czy restauracji, a ona pozwoliła się pocałować i dotknąć piersi. Wszelkie próby bardziej zaawansowanych zalotów spotykały się z odmową w postaci obciążania spódnicy i komentarza w rodzaju:

- Edwardzie, nie tutaj, na miłość boską!

Co zresztą było zrozumiałe, biorąc pod uwagę miejsca, w których zmuszeni byli się spotykać. Pani Carrington nie lubiła Barbary, choć dziewczyna bardzo się starała zdobyć jej sympatię, więc w końcu postanowili się rozstać.

- To prowadzi donikąd, Ned - oznajmiła Barbara w dniu, kiedy poinformowała go, że odchodzi. - Mam dwadzieścia pięć lat. Chcę wyjść za mąż i mieć dzieci, a nie całować się na parkingu przy pubie.

Uczucia, jakie Edward żywił do Sary Vernon, były znacznie głębsze niż pożądanie wobec Barbary, znacznie głębsze niż uczucia do jakiegokolwiek kobiety. Pamiętał chwilę, gdy jego wzrok po raz pierwszy padł na Sarę na stacji Euston Station.

- Edwardzie, mam kłopot - powiedziała tamtego dnia Ruby. - Obiecałam wyjść po przyjaciółkę na Euston o siódmej, a Horniman właśnie kazał mi zostać dłużej, bo mamy kontrolę.

Edward zaproponował pomoc. Na stacji zauważył ubraną w futro i kapelusz kobietę, która stała na środku peronu z dwiema walizkami.

Była ona, mówiąc po prostu, najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Nie podszedł do niej od razu, lecz zatrzymał się obok tablicy informacyjnej i przyglądał się przez chwilę z daleka. Kiedy szli pośród tłumu podróżnych, co chwila patrzył na Sarę, sycąc wzrok kaskadą jej kasztanowych włosów i wdziękiem ruchów.

Sara była mężatką, wiedział o tym, lecz to małżeństwo musiało się przecież kiedyś zakończyć. Przypomniawszy sobie mężczyznę, o którym opowiedziała mu po południu, tego wiedeńczyka. Edward miał nadzieję, że Anton Wolff ciągle jest w Wiedniu. Albo, jeśli zrobi się tam zbyt gorąco, przeniesie się do Paryża czy Nowego Jorku.

Na początku czerwca Isabel wyjechała do Porthglas. Richard miał do niej dołączyć w połowie miesiąca.

W przeddzień przyjazdu męża Isabel pojechała autobusem do St Ives. Przy stromych, wąskich uliczkach, schodzących do portu, stały

bielone kamienne chaty o szarych dachach. W lipcu i sierpniu pensjonaty i plaże pełne będą turystów.

Isabel kupiła rybę na jutrzejszą kolację i zjadła lunch w kawiarni. W drugiej połowie ubiegłego stulecia do St Ives zaczęli przyjeżdżać rozmaici artyści, przyciągani czystym, jasnym światłem i morzem błękitnym niczym Morze Śródziemne. Isabel często kupowała ich szkice i obrazy, które zdobiły później ściany Porthglas Cottage. W swych zbiorach miała między innymi maleńki obrazek Whistlera - ciemny, kapryśny krajobraz morski, namalowany na drewnianym wieczku cygarnicy, którą Isabel odkryła w sklepie z antykami.

Przechodząc obok otwartych drzwi studia, usłyszała gwizdanie. Przy drzwiach stała klatka z zieloną papugą, która wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. Isabel chwilę z nią porozmawiała, a potem, widząc, że studio jest puste, odważyła się wejść do środka, zwabiona opartymi o ściany obrazami.

Oglądała właśnie obraz przedstawiający wybrzeże, kiedy usłyszała kroki na schodach. W drzwiach stanął wysoki, smukły mężczyzna o rozczochranych szpakowatych włosach.

- Dzień dobry - powitała go Isabel. - Przepraszam za wejście bez zaproszenia, ale papuga na mnie zagwizdała, a drzwi były otwarte.

- Charlie, jesteś jak prostytutka, co?

Mężczyzna otworzył drzwi klatki, wyciągnął dłoń, a ptak wszedł mu na palec i po ręce wdrapał się na ramię.

- Zaprosisz każdego przechodnia. Po czym zwrócił się do Isabel:

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Czy interesuje panią coś szczególnego? Mam tego mnóstwo, krajobraz morski, sceny z portu, kutry rybackie...

- Tak tylko oglądałam.

- Ach - przycisnął dłoń do piersi - te słowa tak bardzo ranią serce biednego artysty. To: „Tak tylko oglądałam”.

Isabel nie umiała powstrzymać uśmiechu.

- Przepraszam, że pana rozczarowałam.

- Nie da się pani skusić? Przyjmuję zamówienia na krajobrazy, portrety. Do licha, mogę nawet namalować psa.

Isabel wybuchnęła śmiechem.

- Obawiam się, że akurat nie mamy żadnego psa.

- A teraz mnie pani rozczarowała - zrobił smutną minę. - Czy powiedziała pani „nie mamy”? Czyli pani i mąż?

- Który jutro przyjeżdża z Londynu.

- Nie mogłaby go pani powstrzymać? Przygotowałbym kolację i opowiedział pani historię mojego życia.

- Nie wątpię, że jest ona niezwykle barwna - odparła rozbawiona Isabel. - Ale to niemożliwe.

- Proszę wobec tego kupić przynajmniej jakiś widoczek. - Pokazał jej szkic. - Co pani powie na ten? Sprzedam go za pięć szylingów. Na pani miejscu bym go kupił, bo w przeciwnym razie pięknie mi serce i do końca życia będzie mnie pani miała na sumieniu.

Isabel znowu musiała się roześmiać.

- Jest piękny, więc właściwie dlaczego nie? Mężczyzna zwinął szkic i zapakował go w brązowy papier, Isabel zaś wyjęła z portmonetki monetę. W drodze do Porthglas nieustannie zerknęła na zawiniątko i uśmiechała się do siebie. W domu umieściła akwarelę nad kominkiem i podziwiała jej świetlistość. W prawym dolnym rogu znalazła podpis: „Blaze Penrose”.

Richard przyjechał nazajutrz wieczorem. Isabel plewiła właśnie grządkę między krzewami lawendy, kiedy usłyszała warkot samochodu na podejździe. Wyszła mężowi na spotkanie.

- Jak minęła podróż?

- W porządku - odparł Richard, wyjmując z bagażnika walizkę. A potem dodał: - Isabel, przykro mi, ale przywożę złe wieści.

Ukłucie strachu. - Dzieci...

- Z tego, co wiem, u nich wszystko w porządku. Choć oczywiście żadne nie powiedziałyby mi, gdyby było inaczej - dodał, po czym powiadomił ją ze smutkiem: - Isabel, zmarł John Tempie.

Isabel zasłoniła usta.

- Richardzie, nie.

Weszli do domu. Isabel nalewała herbatę, a Richard opowiadał o tym, jak John Tempie zmarł we śnie w czwartek w nocy. Jego żona, Margot, obudziła się rano i stwierdziła, że nie żyje. Lekarz powiedział, że to serce.

- Zrobiłem, co się dało - opowiadał Richard. - Poszedłem do nich i dopilnowałem, żeby Margot miała wszystko, czego może potrzebować. Kazałem Dunningowi odebrać ich dzieci i wnuki ze stacji, bo przecież wszystkie córki mieszkają dość daleko. Musimy jutro wrócić do Londynu, żeby zdążyć na pogrzeb.

- Oczywiście.

Usiadł przy kominku. Był blady i wyczerpany. Powiedział:

- Isabel, to moja wina. Dwa lata temu John chciał odejść na emeryturę, kiedy skończył sześćdziesiąt pięć lat. Ale poprosiłem go, by został, dopóki nie zakończymy spraw związanych z przejęciem. Isabel usiadła obok męża.

- John był dorosły. Sam tak zdecydował. Ale to nie pocieszyło Richarda.

- Wiedział, że go potrzebuję. Był zbyt lojalnym pracownikiem, by zostawić mnie samego. Nalegałem, żeby poczekał z odejściem na emeryturę. Nie potrafił odmówić.

Isabel położyła dłoń na ręce męża.

- Proszę, nie zadrezczaj się.

- Nie tylko siebie winię. Philip też ma w tym udział. Bez wahania odszedł z firmy w najgorszym momencie.

- Nie wiesz tego. Być może była to dla niego trudna decyzja.

Richard potrząsnął głową.

- Wiedział, kiedy wbić nóż.

Isabel powstrzymała się od westchnienia i powiedziała spokojnie:

- Richardzie, to przecież ty uniemożliwiłeś mu pozostanie w firmie.

- Ale to przez niego musiałem zatrzymać Johna! Isabel usłyszała w jego głosie narastającą złość.

- Jesteś zmęczony i zmartwiony - odezwała się łagodnie. - Nie rozmawiajmy o tym w tej chwili. Przebierz się i chodźmy na spacer.

Już na plaży Richard poszedł przodem, schylając się od czasu do czasu, by podnieść kamyczek i rzucić go w morze.

- Zastanawiam się, czy będzie miał czelność pokazać się na pogrzebie - powiedział.

- Kto?

- Philip, oczywiście. Któż by inny?

- Philip znał Johna od dziecka. Musi przyjść na pogrzeb. Richardzie, nie możesz winić Philipa za śmierć Johna. To nie w porządku. John zmarł na serce. To straszne, ale moim zdaniem, mogło się zdarzyć również kiedy indziej.

Richard ryknął:

- Dlaczego bronisz Philipa? Przecież i ciebie zranił! Ponieważ jest moim synem, pomyślała Isabel. Głośno jednak powiedziała:

- Co się stało, to się nie odstanie. Żebyśmy nie wiem jak chcieli to cofnąć, nic się nie da zrobić. Philip jest żonaty. Wziął ślub ponad półtora roku temu. I nic tego nie zmieni. - Isabel wahała się przez chwilę, po czym podjęła decyzję. - Jest coś, o czym powinienes wiedzieć. Elaine jest w ciąży.

Twarz Richarda pociemniała, lecz odparł:

- To nie nasza sprawa.

- Richardzie, oczywiście, że nasza! To dziecko będzie naszym wnukiem.

- Philip nie należy już do naszej rodziny - odparł Richard oschle.

- Bez względu na potomstwo, które... - przerwał i oczy mu się zwęziły. - A skąd o tym wiesz?

- Powiedział mi.

- Widziałaś się z nim?

- Tak.

- Kiedy?

- Kilka tygodni temu.

- I nie uznałaś za stosowne mi o tym powiedzieć?

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Richardzie, nie próbuj mnie zastraszyć.

- Zastraszyc! Zupełnie jakby to było możliwe!

- Widuję się z Philipem co pewien czas - wyjaśniła ze znużeniem. - Nic ci nie mówiłam, żebyś się nie wściekał. I miałam rację, prawda?

Podniósł kolejny kamień i przekładał go z ręki do ręki.

- A więc to nie było pierwsze spotkanie? Widujecie się już od jakiegoś czasu?

- Tak.

- Rozumiem. I to oszustwo ci nie przeszkadza? Isabel odparła ze złością:

- I ty masz czelność mówić mi o oszustwie?

- Zdawało mi się, że powiedziałem wyraźnie, iż nie powinniśmy mieć z Philipem nic wspólnego.

- Richardzie, to była twoja decyzja, nie moja.

- Ale przyznałaś mi rację. Czulaś to samo co ja.

- To prawda, byłam bardzo zła na Philipa. Ale jeszcze bardziej na ciebie.

Richard burknął coś, cisnął kamień w morze i znów ruszył przed siebie. Isabel dotrzymywała mu kroku. Dodała:

- Początkowo było mi ciężko spotykać się z Philipem, lecz gorszy był brak kontaktu.

- Pewnie byłaś u niego w domu... wybaczyłaś mu.

- Nie - odparła ostro. - Tego bym nie zniosła.

- Zaskakujesz mnie. - W głosie Richarda brzmiał sarkazm.

Przyjrzała mu się spokojnie.

- Złóścisz się na Philipa, bo cię poniżył na oczach przyjaciół. Bo odszedł z firmy, którą budowałeś całe życie. Ale również dlatego, że zabrał ci coś, co chciałeś mieć, a z tym trudno się pogodzić. Nie umiesz przegrywać, Richardzie, nie umiesz przyznać się do błędu. Zamieniasz urazę i porażkę na złość i nie dopuszczasz do siebie tych, którzy cię kochają. Ja również opłakuję Johna Temple'a, wiesz przecież. Był dobrym człowiekiem. - Isabel odwróciła się na pięcie. - Nie umiem z tobą rozmawiać, kiedy zachowujesz się w ten sposób. Wracam do domu.

Odeszła. Obejrzała się tylko jeden raz - Richard był szarą plamą na piasku. Na szczycie klifu pośród traw różowiły się kwiaty zawciągu.

Sprawdziła, czy mięso się nie przypała, po czym umyła i wytarła naczynia. Właśnie je chowała, kiedy usłyszała, jak Richard wchodzi do domu. Odłożyła ścierkę i poszła do salonu.

- Myślałam, że pojechałeś.

- Zastanawiałem się nad tym - Richard usiadł na sofie i przycisnął pięści do oczu - ale jestem zbyt zmęczony.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Może pojedę po kolacji.

- Już prawie gotowa.

- Rozpalę w kominku.

Richard zmiął gazetę i ułożył drobne szczapki drewna. Podpalił je, po czym usiadł na ławeczce obok.

- Nie wiem, jak sobie poradzę bez Johna - powiedział. Wyglądał na wyczerpanego, zmarszczki wokół jego oczu i ust pogłębiły się. - Zawsze był przy mnie, od samego początku. Jedyna osoba, na której mogłem naprawdę polegać. Pamiętam, jaki był dla mnie dobry, gdy chorowałaś po urodzeniu Theo, a ja odchodziłem od zmysłów ze strachu. Jest mi przykro, że nie zdążył w życiu odpocząć. Zamierzali z

Margot wyjechać z Londynu i przeprowadzić się do Bournemouth, żeby być bliżej córek. Zasłużył na ten odpoczynek.

Isabel uklękła przed mężem, ujęła jego zaciśnięte pięści w dłonie i przycisnęła do twarzy.

- Wiem, Richardzie, wiem, i jest mi bardzo przykro.

- Philip może przyjść na pogrzeb, jeśli będzie miał ochotę. Nie będę z nim rozmawiał, ale może przyjść.

Isabel wiedziała, ile kosztowała go ta decyzja.

- A Sara?

- Tak, oczywiście, że tak. John bardzo ją lubił. Zastanawiałem się... musi jej być ciężko. Mogę ci dla niej dać jakieś pieniądze. Powiesz, że zaoszczędziłaś z domowego budżetu.

Kiedy Sara opuściła Vernon Court, Richard napisał do Gila, informując go, że deponuje pewną kwotę pieniędzy na czesne za szkołę Davida oraz wypłatę po osiągnięciu przez chłopca pełnoletności. Nie chciał jednak pomagać finansowo Sarze - Isabel podejrzewała, że mąż ma nadzieję, iż Sara wróci do Gila.

Wreszcie, dzięki Bogu, jakby odrobinę zmiękł. Zapytała go jednak:

- Dlaczego sam nie dasz Sarze tych pieniędzy? Przecież bardzo za nią tęsknisz.

- Nie - odparł Richard, patrząc na nią gniewnie. - Zachowała się skandalicznie. Nie powinna myśleć, że jej przebaczę i o wszystkim zapomnę. Ale nie chcę, by chodziła głodna. Nie chcę, by cierpiała.

- Jeśli nie zmienisz zdania, dam Sarze pieniądze - odparła Isabel, tłumiąc westchnienie.

Dwa tygodnie później Isabel była w Londynie. Wracała właśnie z biblioteki, kiedy ujrzała mężczyznę czekającego przed wejściem do jej domu. Palił papierosa i rozglądał się od czasu do czasu w jedną i drugą stronę. Miał ze sobą niewielką walizkę. Komiwojażer, pomyślała, lub jeden z wielu bezrobotnych z przemysłowych miast północnej Anglii czy też kopalń południowej Walii. Przybywali oni do Londynu w poszukiwaniu pracy.

Mężczyzna utkwiał spojrzenie w zbliżającej się Isabel. Jego ubranie nosiło ślady dawnej elegancji. Miał na sobie brązową marynarkę z wystrzępionymi rękawami, a podeszwa jednego z butów odstawała. Kiedy Isabel podeszła bliżej, zgasił papierosa między

kciukiem a palcem wskazującym, włożył niedopałek do puszki, po czym wsunął ją do kieszeni. Dopiero wówczas uchylił kapelusza.

- Pani Finborough?

Miał amerykański akcent, co ją zaskoczyło.

- Tak? - zapytała oschle. - W czym mogę pomóc? Obawiam się, że nie mamy dla pana żadnej pracy, ale jeśli poprosi pan w kuchni, pani Finch da panu trochę chleba i herbatę.

Wówczas mężczyzna zapytał:

- Nie pamięta mnie pani?

Przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się, czy był kiedyś u nich służącym, czy też może pracownikiem Richarda. Z wyjątkiem może nietypowego akcentu, przypominał tysiące innych mężczyzn, którzy borykali się z problemami finansowymi. Miał około pięćdziesięciu lat, twarz wysmaganą wiatrem, na nosie i policzkach widać było popękane naczynka. Jediną wyróżniającą go cechę stanowiły oczy, ciemnobrązowe, spoglądające spod opuchniętych powiek.

- Isabel, ja cię pamiętam.

- Pan musiał się pomylić - odparła chłodno. - Przepraszam...

Mężczyzna rzucił:

- Plaża w Broadstairs.

Isabel zamarła z dłonią na klamce. Usłyszała jego głos:

- Pamiętasz jednak.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Bezwiednie skierowała na niego wzrok, świadoma, że ogarnia ją stopniowo uczucie niedowierzania, a potem coraz większego przerażenia.

Jego oczy były tak ciemne, że niemal czarne. Koloru toffi z melasy.

- Nie znam pana - powiedziała szeptem. - Nigdy wcześniej pana nie widziałam.

Uśmiechnął się.

- Wiem, że czas nie był dla mnie zbyt łaskawy, ale nie mogłaś mnie przecież zapomnieć. Nie mogłaś zapomnieć starego przyjaciela, Alfiego Broughtona, prawda?

Rozdział 11

We wrześniu kraj znalazł się u progu wojny z Niemcami. W porównaniu z tym wszystkie inne problemy wydawały się nieistotne. Hitler żądał Sudetów, części Czechosłowacji, w znacznej mierze zamieszkaney przez ludność niemieckojęzyczną. Eduard Benes, prezydent Czech, wykorzystał sojusz z Francją, by odeprzeć zakusy Hitlera. Obecnie jednak Hitler zagroził, że najedzie na Czechosłowację, jeśli Francja i Wielka Brytania nie ustąpią w sprawie Sudetów.

Obawiano się, że lokalna wojna europejska przerodzi się w konflikt o znacznie szerszym zasięgu, niż miało to miejsce w roku 1914. We wszystkich wsiach i miastach stały pomniki przypominające o rzezi nad Sommą i Passchendaele. Wiadomo było również, że Wielka Brytania nie jest przygotowana do wojny. Ruby stwierdziła, że nikt nie ma na tę wojnę ochoty.

Przygotowania do obrony cywilnej, odkładane przez wiele lat, ruszyły teraz pełną parą. Ruby poszła na wykład dotyczący gazów trujących. Na ulice wyjechały samochody z głośnikami, przypominając obywatelom, że powinni zaopatrzyć się w maski gazowe. W szkole w West Brompton Ruby stanęła wraz z innymi w kolejce po maskę. Błądziła wzrokiem po obrazkach na ścianach.

Były tam namalowane kredkami postacie, rysunki przedstawiające plażę lub farmę, sielankowe, skąpane w promieniach słońca, spokojne krajobrazy. Maska pachniała gumą, a niemowlęta płakały, gdy wkładano je do specjalnych worków, które miały ochronić maleństwa przed szkodliwym działaniem gazu. Matki były zdenerwowane, gdy okazało się, że worków nie wystarczy dla wszystkich. W drodze do domu Ruby przewiesiła maskę we wstrętnym kartonowym opakowaniu przez ramię i uświadomiła sobie, że trudno jej uwierzyć w to, co się dzieje.

W życie powoli, lecz nieubłaganie wkładało się coś nieznanego, przerażającego. Bezbronność miasta podkreślała jeszcze wszechobecna sceneria wojny - worki z piaskiem, ułożone przy budynkach użyteczności publicznej, działo przeciwlotnicze na Westminster Bridge, stanowiska karabinów maszynowych na dachach elektrowni. Rzeczy znajome wydawały się teraz straszne. Samolot przywodził na myśl zbombardowany Madryt czy Guernicę. Royal Park, pocięty okopami, zapowiadał niepewną przyszłość. Ruby

chodziła do pracy, robiła zakupy, spotykała się z przyjaciółmi, lecz oczyma duszy widziała Londyn, jej Londyn, w ruinie, trawiony pożarami.

Pod koniec miesiąca Neville Chamberlain poleciał do Monachium, by po raz ostatni błagać o pokój. Przywiózł skrawek papieru, który, jak twierdził, stanowi jego gwarancję pokoju. Kryzys został zażegnany, a ceną pokoju było oddanie Sudetów Niemcom. Wiadomość ta wywołała niemal namacalną ulgę. Ludzie mogli znów skarżyć się na pogodę czy spóźnione autobusy.

Po upływie dnia czy dwóch uczucie ulgi zaczęło jednak zanikać. Zastąpił je niepokój i wstyd. A poza tym maski gazowe ciągle wisiały w holach, samoloty nadal krążyły po niebie.

Farma Nineveh: szczekające psy i syczące gęsi, mokre prześcieradła, rozwieszane na sznurach rozciągniętych między jabłoniemi.

Ruby znalazła ciotkę Maude na tyłach domu. Stał przed nią nastoletni chłopak. Zza okna komórki przy kuchni wyglądała przerażona twarz Hannah.

- Tuzin jajek! - krzyczała Maude.

Na podłodze widać było ślady rozbitych skorupki i żółtek, a pod starym fotelem z wikliny leżał przewrócony koszyk.

- Wiesz, ile pieniędzy przez ciebie straciłam, ty nieuważny głupcze? - Świsnął kij, uderzając chłopca w bok głowy. - Odbiorę ci z pensji każdego pensa!

Kij świsnął po raz kolejny, lecz tym razem chłopiec zdołał go złapać, wyrwać z rąk Maude i odrzucić na bok. Oczy ciotki zwięziły się w szparki.

- Podnieś to - powiedziała cicho. - Nie.

- Podnieś to, George'u Drake, albo wraz z rodziną będziesz się musiał stąd wynieść, zanim jeszcze zapadnie noc.

Zapadła długa cisza. Chłopiec podniósł kij i wręczył go Maude z powrotem.

- A teraz posprzątaj ten bałagan. Nie żałuj sił. Nie chcę tu widzieć ani śladu skorupki. - Na widok Ruby Maude warknęła: - Spóźniłaś się. Mówiłam, żebyś przyjechała koło południa. Obiad stygnie.

Weszły do domu. Maude opierała swą ciężką sylwetkę na kij. Na szyi, nadgarstkach i kostkach nóg miała wałki tłuszczu. Jej ciemne włosy posiwiały, a oczy przypominały dwa małe kamyczki.

Farma, podobnie jak ciotka, zdawała się podupadać. Szyby pokrywała warstwa kurzu, a w pokojach panowały ziało i wilgoć. Ruby odwiedzała farmę dwa razy do roku i za każdym razem stwierdzała, że dom niemal wcale się nie zmienił. Inne rodziny zastępowały zniszczone meble nowymi lub wieszaly nowe zasłony czy też malowały ściany - lecz nie Quinnowie. W innych domach niepotrzebne przedmioty oddawalo się komuś lub wyrzucało, lecz w Nineveh wszystko mogło się jeszcze przydać. Ruby zastanawiała się, czy na wieszakach wiszą te same co poprzednio płaszcze, czy na spodku stoi ten sam opłynięty ogarek. I czy przypadkiem te płaszcze i świece nie zmieniły się od czasów jej pierwszej wizyty, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

Ruby zjadła z Maude i Hannah późny lunch, po czym pomogła kuzynce w zmywaniu. Przed wyjściem poprosiła Hannah, by odprowadziła ją do zagajnika.

Dziewczyna była teraz niemal wzrostu Ruby, szczupła, a długie, jasnobrązowe włosy nosiła splecione w warkocz.

Gdyby miała przyzwoitą fryzurę, nową sukienkę zamiast starej i spłowiałej, którą pokrywał jeszcze bardziej spłowiały i znoszony fartuch, gdyby trzymała się prosto i śmiało patrzyła w oczy rozmówcy, byłaby nawet całkiem ładna.

Ruby wyobraziła sobie, jak opisuje Hannah, z tym warkoczem i w spranych ciuchach, swym modnym przyjaciołom. A potem z wysiłkiem odepchnęła od siebie ową wstrętą myśl.

- Hannah, może byś przyjechała do mnie do Londynu?

Kuzynka szeroko otworzyła oczy.

- Do Londynu?

- Tak, dlaczegoż by nie? To nie koniec świata, wiesz przecież.

- Och, nie mogłabym...

- Bzdura. Kupisz bilet i wsiądziesz do pociągu.

- Nie mam pieniędzy.

- Co, żadnych?

Hannah potwierdziła ruchem głowy.

- Czy ciocia nie daje ci w ogóle pieniędzy?

Kolejne skinienie. To oczywiste, że ciocia Maude nie płaci córce wynagrodzenia, pomyślała Ruby, dlaczego miałyby to robić, skoro może mieć jej usługi za darmo?

- Pożyczę ci wobec tego.

- Dziękuję, kuzynko Ruby, ale nie. Mama mówi, że nie należy pożyczać od kogoś ani komuś.

- Ale nie musisz przecież zawsze robić tego, co mówi mama.

Hannah zerknęła nerwowo przez ramię w stronę domu. Ruby ciągnęła:

- Prześlę ci bilet na pociąg. To może być prezent gwiazdkowy.

- Nie mogę. Nie rozumiesz? Po prostu nie mogę. Przez głowę Ruby przemknęła pewna myśl.

- Hannah, ale ty już jechałaś pociągiem, prawda?

- Nie.

- Nigdy? To kiepsko. A autobusem?

- Raz, kiedy pojechałam po mamę do March i zepsuło się koło.

- Ale nie jeździsz na zakupy? Ani na wycieczki w niedzielę?

- Czasem do Manei, tylko że nie kupujemy zbyt wiele jedzenia, bo większość robimy same. Jeździmy z mamą w niedzielę do kościoła, ale wozem. - Hannah bawiła się brzegiem fartucha. - Muszę wracać, mama będzie chciała herbaty.

Zatrzymała się tylko po to, by Ruby mogła ją na pożegnanie pocałować w policzek, po czym szybkim krokiem skierowała się w stronę farmy.

Ruby szła do Manei, kiedy zauważyła konie orzące pole. Pomachała do George'a Drake'a, a on podszedł do żywopłotu. Był to chudy chłopak o jasnoniebieskich oczach i nosie pokrytym piegami. Na policzku miał czerwoną pręgę, zostawioną przez kij Maude Quinn.

- Wszystko w porządku? - zapytała Ruby.

- Kilka siniaków, to wszystko - odparł z uśmiechem. - Moja mama mówi, że mam czaszkę grubą na cal. - Uśmiech zniknął mu z twarzy, szepnął: - Ale ona jest starą jędzą. Przepraszam, panienko. Nie powinienem tak mówić, to przecież pani ciotka, prawda?

- Tak, na moje nieszczęście. Dlaczego stąd nie odejdziesz? Jak możesz to znosić? Czemu nie poszukasz gdzie indziej?

- Nie mogę. Słyszała panienka. Moja rodzina mieszka w jednej z należących do niej chat. Mój tata całe życie pracował dla Quinnów. W wieku ośmiu lat straszył ptaki na należących do Nineveh polach. Ja

pracuję u pani Quinn, odkąd opuściłem szkołę w wieku dwunastu lat. Muszę, nie mam wyboru, inaczej stracimy dom.

- Nie ma innych farm? Przyjemniejszych?

- Panienko, w okolicy nie ma pracy. Czasy są ciężkie.

Otoczająca ich ziemia wyglądała na zanedbaną. W rowach rosły trzciny, a żywopłotów od dawna nikt nie przycinał. W niebo strzelały gałęzie głogów i tarnin. W drodze z Manei do Nineveh Ruby mijają pola leżące odłogiem i podupadłe chaty, których poczerniałe i zniszczone strzechy nie mogły skutecznie chronić przed siłami natury.

George wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

- Już od dawna jest źle. Wiele mniejszych farm stoi opuszczonych, nikt nie chce ich kupić. Latem mój wujek Walter objechał na rowerze wszystkie farmy, ale nikt nie miał dla niego pracy. Mam czterech młodszych braci, panienko. Wszyscy znaleźliby się na ulicy, gdybym powiedział pani Quinn, co o niej myślę. - Na twarzy chłopca malowała się determinacja. - Ale jak tylko uda mi się znaleźć coś lepszego, ucieknę stąd. Żadna siła mnie nie zatrzyma. Nie musi mnie panienka żałować. Najbiedniejsza jest Hannah.

W drodze do Cambridge pociąg przejeżdżał przez rozlewisko rzeki, leżące pomiędzy Hundred Foot Washes a rzeką Old Bedford. W rozpadlinach już zaczęła się gromadzić woda, marszcząc się niczym szary jedwab w promieniach zachodzącego słońca. Ruby miała przesiadkę w Cambridge. Pociąg do Londynu był zatłoczony, więc przeszła korytarzem, przeciskając się pomiędzy innymi stojącymi pasażerami i zaglądając do przedziałów w poszukiwaniu wolnego miejsca. Dotarła do lokomotywy i zawróciła. Mijając przedziały pierwszej klasy, stwierdziła, że jest tam mnóstwo miejsca.

Ze zmęczenia i napięcia bolały ją wszystkie mięśnie, jak zawsze po wizycie w Nineveh. Na widok konduktora stanęła w korytarzu i przyglądała się mijanemu krajobrazowi, czekając, aż mężczyzna przejdzie do następnego wagonu, i dopiero wtedy weszła do przedziału. Siedział tam tylko jeden pasażer, pogrążony w lekturze „Timesa”. Otwarta gazeta skrywała jego twarz.

Ruby rozpięła płaszcz i z ulgą usiadła. Kiedy wyjmowała z torby książkę, podróżny zagadnął:

- Proszę się nie martwić, nikomu nie powiem.

- Czego?

- Że podróżuje pani w przedziale pierwszej klasy z biletem trzeciej.

- Zapłaciłam za miejsce - odparła Ruby zadziornie. - Nie widzę powodu, dla którego miałabym stać całą drogę do Londynu.

- No pewnie. Całkiem słusznie.

Mężczyzna złożył gazetę na pół i dopiero wtedy Ruby mogła mu się przyjrzeć. Miał ciemne włosy, ciemne oczy, wyraziste kości policzkowe i mocno zarysowaną szczękę. Ubrany był w elegancką i drogą jasnoszarą marynarkę, odpowiednie spodnie i kamizelkę oraz ciemnoczerwony jedwabny krawat, a na półce leżały granatowy płaszcz i czarny kapelusz.

Przeniósł spojrzenie na Ruby, a potem na torbę leżącą u jej stóp. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czy zawsze przyjeżdża pani do Cambridge w kaloszach?

- Nie byłam w Cambridge. Byłam w Fens.

- Na Boga, a po cóż?

- Wizyta u szalonych krewnych.

Ruby zauważyła, że jego uśmiech był asymetryczny, jedna połowa twarzy jasna i rozbawiona, druga zaś odrobinę ironiczna.

- Ma pani szalonych krewnych? - zapytał.

- A czy ktoś ich nie ma?

- Pewnie to racja - zgodził się mężczyzna. - Dlaczego ich pani odwiedza? Z poczucia obowiązku?

- Chyba raczej winy. Jeżdżę do Nineveh co pół roku. Przez ten czas poczucie winy tak się rozrasta, że nie mogę go dłużej ignorować.

- Nie jest pani katoliczką, prawda?

- Nie, nie wyznaję żadnej wiary. A dlaczego pan pyta?

- W związku z poczuciem winy. Katolicy mają silnie rozwinięte poczucie winy. A spowiedź jest wygodnym sposobem, by się go pozbyć. Zastanawiam się, jak radzą . sobie bez tego osoby innych wyznań.

- Wierzy pan w to wszystko?

- Już nie, jeśli chce pani wiedzieć.

- Przepraszam, to było niegrzeczne z mojej strony. Nawet przy stole nie rozmawia się na temat religii, prawda?

Roześmiał się.

- Chyba nie.

- Ani polityki.

- Polityka to mój chleb powszedni, więc stanowi dość częsty temat rozmów przy stole.

- Jest pan deputowanym? Potrzęsnał głową.

- Pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. To niezła posada, bo mogę sporo podróżować. A pani?

Ruby powiedziała, gdzie pracuje. Okazał zainteresowanie i dodał:

- Musi więc pani znać Leonarda Speersa. Chodziliśmy razem do Trinity Hall.

- Prawie go nie znam. Widuję go czasami na korytarzu. To zupełnie jakbym widziała Pana Boga.

- Leonard istotnie przypomina Boga. Zawsze był wyniosły, nawet na studiach.

- Pan zapewne nie bawił z wizytą u szalonych krewnych?

- Nie, spotkałem się ze swym dawnym nauczycielem. To moje pierwsze wolne popołudnie w tym miesiącu. Wszystko przez to zamieszanie.

- Ma pan na myśli Monachium?

- Mhm. Pomyślałem, że muszę wykorzystać okazję, zanim zaczniesz się od nowa.

- A myśli pan, że się zaczniesz?

- Pewnie, że tak. A pani nie?

Ruby wyjrzała przez okno. Wszystko, nawet najbrzydsze domy z czerwonej cegły czy zapyziała wioska, wydawało się teraz niezwykle.

- Ja też.

- Nie ma sensu chować głowy w piasek, prawda? - rzucił pogodnie. - Taki stan trwa już od dość dawna. Udało nam się zyskać trochę czasu kosztem Czechosłowacji, więc lepiej go dobrze wykorzystać.

- A sądzi pan, że należało wspierać Czechosłowację?

- Tak, przynajmniej moralnie. To, co zrobiliśmy, było tchórzliwe i karygodne. To była zdrada. Hitler jest tyranem, a tyranom należy się przeciwstawiać.

Ruby przypomniała sobie ohydny scenę w Nineveh - ciotkę Maude, okładającą robotnika kijem. Poczwała niechęć, głównie do samej siebie. Nie wstawiła się za George'em, nie przeciwstawiła się Maude Quinn, która bez wątpienia była tyranem.

Powiedziała:

- Podejrzewam, że dzieje się tak częściowo dlatego, że nie możemy uwierzyć, iż ludzie są zdolni do tak okrutnych czynów. To nas paraliżuje, stoimy jak durnie, zbyt zdziwieni, by zareagować. Zbyt grzeczni.

- Poniekąd. Chamberlain i jemu podobni są najwyraźniej przekonani, że w gruncie rzeczy Hitler jest dżentelmenem i w końcu zagra fair play. Nie rozumieją jego prawdziwej natury. A poza tym tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. - Obrzucił Ruby spojrzeniem. - Nie jest pani chyba pacyfistką?

- Nie.

- Pacyfizm jest super w teorii, szlachetne uczucia i takie tam, ale przez niego zostaliśmy w tyle. - Znowu się uśmiechnął. - Przez ostatnie parę lat poczciwi Brytyjczycy najwyraźniej byli przekonani, że kilka wyprodukowanych samolotów będzie zachętą do wojny.

- A pan się z tym nie zgadza?

- Cóż, pobrzękiwanie szabelką odstrasza. Ale może pani mieć trochę racji. Jeśli wyprodukuje się mnóstwo błyszczącej broni, będą się nią chcieli pobawić wszyscy miłośnicy takiej walki. - Strzepnął ze spodni niewidoczny pyłek. - Nasze wysiłki w zakresie zbrojenia przyszły zbyt późno dla biednej Czechosłowacji. Ale sprzedając ją w ten sposób, jeszcze utrudniliśmy sobie przyszłą sytuację.

- Chodzi o to, że Czechosłowacja teraz, kiedy Hitler zaanektował jej część, jest osłabiona?

- Osłabiona? Właściwie nie sposób było jej bronić. Oddaliśmy Hitlerowi część kraju, która miała silne granice. Może bez przeszkód wejść do pozostałej części. - Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. - Co zresztą zrobi.

- Kiedy?

- Podejrzewam, że niedługo. To kwestia czasu. Będzie chciał przejąć czeskie fabryki broni. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Miała pani rację, nie należy przy stole rozmawiać o religii ani o polityce.

- Ale my nie jesteśmy przy stole.

- Naprawdę? Rozczarowała mnie pani. Sądziłem, że moglibyśmy zjeść razem kolację. - Mężczyzna pochylił się w stronę Ruby i wyciągnął do niej rękę. - Nazywam się Gascoigne, Lewis Gascoigne.

- Ruby Chance - odparła.

- I jak, panno Chance? Zje pani ze mną kolację? Proszę się zgodzić. - Niemal błagał ją wzrokiem.

Jak mogłaby odmówić, nawet gdyby miała na to ochotę?

- Miałem nadzieję, że pomożesz dawnemu przyjacielowi w potrzebie - powiedział Alfie, gdy pojawił się po raz pierwszy w okolicy domu rodziny Finborough. Isabel otworzyła portmonetkę w poszukiwaniu banknotów i monet.

Później zaczęła się zastanawiać, czy aby nie popełniła błędu. Czy gdyby udawała, że go nie pamięta, on by odszedł i zostawił ją w spokoju?

Po raz kolejny zobaczyła go pół roku później. Przez ten czas zaczynała już mieć nadzieję, że nie wróci. Znacznie rzadziej śniła teraz o Broadstairs i mężczyźnie wychodzącym z morza. Aż pewnego niedzielnego popołudnia wyjrzała przez okno na piętrze i zobaczyła go przy bramie.

Pośpieszyła w jego stronę.

- Po co tu przyszedłeś? Czego chcesz?

- Zobaczyć cię. Porozmawiać.

- Mój mąż jest w domu. Nie wolno ci tu przychodzić.

- Na ulicy jest ławka ukryta wśród drzew - powiedział. - Będę tam na ciebie czekał.

- Ale mój mąż... Uśmiechnął się.

- Coś wymyślisz - powiedział i oddalił się.

Zastanawiała się, czy w jego głosie faktycznie dosłyszała pogroźkę, czy też tylko to sobie wymyśliła. Richard pracował w swoim gabinecie. Powiedziała, że wychodzi na spacer, a on tylko coś mruknął w odpowiedzi i nie podniósł głowy znad biurka.

Włożyła kapelusz i płaszcz i wzięła nowego szczeniaka, Tuppence, na smycz. Alfie Broughton siedział na ławce pod wysokimi kasztanami. Na jej widok wstał i dotknął kapelusza.

- Witaj, Isabel.

- Wolałabym, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

- Nie, nie jesteśmy. - Przyglądała mu się chłodno, widząc jedynie przekrwione oczy i skrzywione ironicznie usta. Cała jego uroda zniknęła. Jak mogła go kochać? Jakiż zły miała gust.

Zapytała:

- Czego chcesz?

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać.

- Nie ma o czym. - Chciała jednak coś wiedzieć, więc spytała: - Jak mnie znalazłeś?

- Pamiętasz Jima Cottle'a? Mojego przyjaciela Jima? - Nie.

- Ależ tak, Isabel. Któregoś dnia popłynęliśmy jego łodzią. Isabel zmarszczyła brwi, szukając w pamięci.

- Był rybakiem - odparła.

- Widzisz, jednak pamiętasz. Odnalazłem go po powrocie do Anglii. Ciągle mieszka w Ramsgate. Ożenił się. Jego żona, Liddy, była twoją koleżanką.

Szczeniak zaczął się szarpać, więc Isabel skarciła go ostrym tonem.

- Liddy... - powtórzyła. - Pokojówka w domu Clarewoodów? Liddy wyszła za Jima Cottle'a?

- No. Pokazała mi zdjęcia dzieci i wnuków. I inne zdjęcia, twoje.

- Moje?

- Zbiera je. Zrobiła album. Lubi czytać o gwiazdach filmowych i bogatych ludziach. Dawno temu zobaczyła twoje zdjęcie w gazecie, więc je wycięła i wkleiła do swojego albumu. Ty i twój stary na jakimś balu dobroczynnym. Rozpoznała cię. Jest bardzo dumna, że знаła osobiście kogoś takiego. Uważa, że to historia jak z bajki. Wzruszające, prawda? - Obrzucił ją spojrzeniem z góry na dół. - Udało ci się, co, Isabel? To ekstra dom, musiał trochę kosztować. A czy przed domem nie stoi przypadkiem rolls - royce?

- Mój dom, moje życie nie powinny cię wcale obchodzić. Zresztą potwierdziłeś to, zostawiając mnie.

- Cóż. To było niezbyt miłe z mojej strony, co?

Jego uśmiech był wystudiowany, zniewalające zmarszczki wokół oczu. Kiedy była dziewczyną, od tego uśmiechu topniało w niej serce. Teraz uważała go za obrzydliwy.

- Nie byłem gotów do założenia rodziny - powiedział. - Wyjechałem do Ameryki.

- I trzeba było tam zostać.

- Daj spokój. Początkowo całkiem dobrze mi szło, jednak po kryzysie w 1929 roku wszyscy dostali w kość. Robiłem to i owo, ale zrobiło się za gorąco, więc postanowiłem, że wrócę do starego kraju, zobaczyć, co tu słychać.

- Dokonałeś wyboru dawno temu - odparła Isabel oschle. - Wyraźnie okazałeś, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Porozmawialiśmy już, tak jak chciałeś, a teraz muszę iść.

Wstała. Alfie wyjął z kieszeni paczkę papierosów Lucky Strikes i zapalił zapalniczkę.

- Prawdę mówiąc - powiedział - miałem nadzieję, że będziesz mogła mi pomóc.

- Pomóc? - zapytała przerażona.

- Krucho u mnie z pieniędzmi. A ty jesteś teraz bogata. Może mogłabyś pożyczyć mi parę funtów?

- Nie - rzekła oziębło. Jeśli tym razem będzie stanowcza, on zostawi ją w spokoju. - Nie, nie mogę tego zrobić.

Uszła parę kroków z psem skaczącym u jej stóp. Alfie zawołał za nią:

- Isabel, a co się stało z dzieckiem?

Serce.

- Z dzieckiem? - powtórzyła.

- Tak. - Alfie wstał. - Z naszym dzieckiem.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie było żadnego dziecka.

Pomyliłam się.

- Liddy mówi co innego. Zastanawiała się, dlaczego odeszłaś tak nagle i zostawiłaś dobrą posadę.

Isabel zaschło w ustach. Powtórzyła jednak:

- Nie było żadnego dziecka.

- Nie wierzę ci. - Zrobił krok w jej stronę. - Isabel, co zrobiłaś z dzieckiem? Pozbyłaś się go?

Słyszała przejeżdżające samochody i szum wiatru w koronach drzew, a człowiek, który był kiedyś jej kochankiem, stał w cieniu i się jej przyglądał.

- Umarła - odparła Isabel. - Moja córeczka umarła.

- Aha. - Zmarszczył brwi, wpatrując się w nią z uwagą. - Zastanawiam się, czy mnie nie okłamujesz. - Zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił kłęb dymu. - Czy twój mężulek wie o nas? - zapytał. - I o dzieciaku?

- Odejdź! - Isabel podniosła głos. - Odejdź i daj mi spokój!

- Ciiii - uciszył ją łagodnie. - Ludzie się na nas gapią. Przycisnęła dłoń do ust. Cała się trzęsła.

- Nie ma potrzeby tak tego przeżywać, skarbie - powiedział. - Pójdę sobie, jeśli mi pomożesz. Brakuje mi forsy, potrzebuję trochę na początek. Pięćdziesiąt wystarczy.

- Pięćdziesiąt funtów? - Wbiła w niego przerażony wzrok. - Nie mam tyle.

- Bujda - odparł. - Bujda i już.

- Mam tylko pieniądze na prowadzenie domu.

- To skorzystaj z nich.

- A jak zapłacę dostawcom? - W jej głosie słychać było histerię.

- Poradzisz sobie. - Zerknął na zegarek. - Będę czekał w tym samym miejscu, powiedzmy, we wtorek. Będziesz miała dwa dni. Powinno wystarczyć. We wtorek o szóstej. Nie spóźnij się.

Odwrócił się i odszedł. Isabel patrzyła, jak jego cień ginie w cieniu drzew.

Duży Frank, właściciel kawiarni przy Romilly Street, pewnego popołudnia poprosił Sarę o dostarczenie paczki na Liverpool Street. Kiedy już spełniła polecenie i czekała na stacji Circle Line, zobaczyła go.

Antona. Stał na drugim peronie i czytał książkę.

Błysk złotych włosów, przesłonięty na chwilę przez przechodzących ludzi. Niedowierzanie, od którego serce przestaje na chwilę bić. Tłum się rozstał, ujrzała go ponownie.

A potem, kiedy pociąg wjechał na sąsiedni peron, Sara zaczęła biec, przeskakując przez torby, walizki i nosidła. Popędziła po schodach w górę, przez most. Kiedy zbiegała na dół, wołała jego imię, lecz jej głos ginął w hałasie lokomotywy. Zamknęły się drzwi do wagonów i pociąg odjechał.

Rozejrzała się i zobaczyła, że na peronie została jedynie sprzątaczką z miotłą, która zbierała opakowania po papierosach i słodyczach. Mimo to jednak Sara nie przestała się rozglądać. Dopiero po chwili wróciła na swój peron i wsiadła do pociągu, z którego wysiadła na Sloane Square, po czym skierowała się do mieszkania Ruby przy Fulham Road.

Przyjaciółki nie było. Sara umyła twarz i uczesała włosy. Ktoś zapukał do drzwi. Anton, pomyślała z radością, i poszła otworzyć.

W holu stał jednak Edward Carrington.

- Och - powiedziała tylko Sara.

- Czekasz na kogoś?

- Nie, nie. Miło cię widzieć, Edwardzie. Wejdz. Wszedł do pokoju.

- Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty na kino. W Odeonie idzie „Jezebel”.

- Byłoby cudownie... - zaczęła, a potem przerwała i zmieniła temat. - Edwardzie, widziałam go!

- Kogo?

- Antona. Widziałam go godzinę temu!

- Tego cudzoziemca, o którym mi opowiadałaś? Tego, na którym ci tak zależało?

- Tak. Jest tutaj! Jest w Londynie!

- Przyjechał z wizytą czy co?

- Nie wiem - odparła niecierpliwie, wprost kipiąc energią, zupełnie jakby ktoś nacisnął w niej jakiś guzik i ożyła. - Czekałam na stacji Circle Line na pociąg w stronę Liverpool Street, podniosłam głowę i zobaczyłam go po drugiej stronie torów.

- Widział cię?

- Nie, nie sędzę. Pobiełam tam, ale nadjechał pociąg, i zanim dotarłam na peron, już go nie było.

Edward potarł podbródek.

- Saro, czy jesteś pewna, że to był on? Nie pomyliłaś się? Potrząsnęła głową.

- Nie, nie, jestem pewna - upierała się Sara i zaraz ogarnęły ją wątpliwości. Widziała go przecież tak krótko. Patrzył w książkę. Światło nie było zbyt dobre, tyle cieni...

- Jeśli chciałaś go zobaczyć... jesteś pewna, że to nie był ktoś tylko do niego podobny?

- Nie, nie jestem pewna. Niemal pewna.

- A nawet jeśli to był on...

- To co?

- Wydaje mi się, że mówiłaś, że jemu nie zależało tak jak tobie. Obawiam się, że jeśli się z nim spotkasz, możesz się rozczarować. Po co do tego wracać?

Część euforii Sary zniknęła.

- Pewnie masz rację - odparła powoli. - Może nie będzie chciał się ze mną spotkać. Może mnie zapomniał.

A jednak ciągle miała w pamięci jazdę taksówką po Londynie i głos Antona, który mówił:

- Nie wydaje mi się, by ktokolwiek mógł o tobie zapomnieć, Fraulein Finborough.

Edward wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

- To jak będzie z tym kinem? Trochę się rozerwiesz. Mama dała mi wychodne, więc chyba nie chcesz, żebym je zmarnował, co?

Nazajutrz rano Sara poszła do biura Petera Curthoysa na Golden Square. W recepcji siedziała dziewczyna o brązowych włosach, zwiniętych w ślimaki po bokach głowy, i pisała na maszynie.

Kiedy Sara weszła, recepcjonistka podniosła głowę.

- W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym rozmawiać z panem Curthoysem.

- Obawiam się, że w tej chwili jest zajęty.

- To zajmie tylko chwilę.

- Wobec tego zapytam. Kogo mam zaanonsować?

- Pani Vernon.

Dziewczyna wstała, zapukała w mleczną szybę w drzwiach prowadzących do biura i zniknęła za nimi. Po chwili wróciła i oznajmiła:

- Pan Curthoys może panią teraz przyjąć.

- Dziękuję. Sara przedstawiła się Peterowi Curthoysowi, który był

wysokim, łysawym mężczyzną o inteligentnych oczach. Powiedziała:

- Przepraszam, że pana nachodzę, ale wydaje mi się, że zna pan mojego przyjaciela, pana Wolffa.

- Antona? - Twarz rozjaśniła mu się uśmiechem. - Pewnie, że tak. Chciałaby pani z nim porozmawiać?

Sara miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Wie pan, gdzie on jest?

- Tutaj, w sąsiednim pokoju. - Peter otworzył drzwi, wsunął głowę w szczelinę, i zawołał: - Anton! Pani Vernon do ciebie.

Anton stanął w drzwiach. Miała ochotę podbiec do niego, ale na jej widok zmienił mu się wyraz twarzy. Zmarszczył brwi i powiedział:

- Sara... dzień dobry.

Jego grzeczność kazała jej się powstrzymać. Wyciągnęła więc jedynie dłoń na powitanie i też ograniczyła się do „dzień dobry”.

Peter Curthoys wspomniał coś o kawie i wyszedł z pokoju. Sara zagadnęła:

- Anton, dobrze wyglądasz - co nie było prawdą, był szczupły i wyraźnie spięty. - Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. Ty również dobrze wyglądasz.

- Kiedy wróciłeś do Londynu?

- Dwa miesiące temu.

- Och - zachnęła się zaskoczona.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Pomyślałam... Gdzie mieszkasz?

- Peter był tak miły, że dał mi pokój w swoim domu.

- A twój ojciec jest z tobą?

- Zmarł pół roku temu. - Nie pozwolił jej na żadne kondolencje, przerywając rozmowę: - Miło mi było odnowić dawną znajomość, ale teraz przepraszam, muszę wracać do pracy.

- Oczywiście, rozumiem.

Otworzył jej drzwi. Na odchodnym Sara dodała:

- Mieszkam teraz u Ruby. Musisz nas kiedyś odwiedzić.

- Dziękuję za zaproszenie. Może kiedyś. - Skłonił głowę. Sara wyszła z pokoju. Kiedy schodziła na dół, oczy zaszyły jej łzami. Na zewnątrz promienie jesiennego słońca odbijały się w dachach samochodów i szybach wystawowych. Zdała sobie sprawę, że nie straciła nadziei, że pielęgnowała ją w sercu, a Anton teraz wziął owe cenne okruchy w dłoń i je zmiądzzył.

Na pierwszą randkę Lewis Gascoigne zabrał Ruby do Simpsona na Strandzie, gdzie zjedli zupę z homarów i stek. Podczas drugiego wspólnie spędzonego wieczoru poszli do kabaretu w Trocadero, a później Lewis wyjechał na parę tygodni do Europy. Kiedy wrócił, zabrał Ruby do cichej restauracji na Knightsbridge. Pod koniec posiłku zaproponował kawę u siebie. Do Mayfair pojechali taksówką. W mieszkaniu usiedli na pokrytych skórą sofach przy kominku, a służący podał kawę, po czym dyskretnie zniknął.

Lewis powiedział:

- Ruby, jesteś bardzo piękną i inteligentną kobietą, a spędzone z tobą wieczory sprawiły mi ogromną radość.

Ruby poczuła ukłucie żalu, bo naprawdę go polubiła. - Ale...? - zapytała. - Czuję, że masz zamiar powiedzieć coś, co zacznie się od „ale”.

- Ale jest coś, co powinnaś wiedzieć.

- Nie musisz być jakoś szczególnie taktowny, jeśli chcesz przerwać naszą znajomość. Możesz to załatwić brutalnie, jeśli chcesz. Byle szybko.

- Nie mam zamiaru niczego przerywać, ty głuptasie. Za to ty możesz chcieć to zrobić. Ruby, jestem żonaty.

Rozejrzała się po mieszkaniu, które najwyraźniej było urządzone po męsku.

- Ale twoja żona...

- Theresa mieszka w naszym drugim domu, w Lake District. Już od paru lat mieszkamy oddzielnie. Nie jesteśmy jednak rozwiedzeni, i to się nie zmieni. Theresa jest katoliczką. Wierzy, że małżeństwo naprawdę musi trwać, dopóki śmierć ludzi nie rozłączy.

Ruby zastanowiła się nad jego słowami.

- Macie dzieci?

- Nie. Jedyne dziecko urodziło się martwe.

- Przykro mi.

- Nasze małżeństwo od jakiegoś już czasu jest nim tylko z nazwy. Musi tak być. Lekarze powiedzieli Theresie, że nie może ryzykować kolejnej ciąży. Jej religia nie dopuszcza stosowania środków antykoncepcyjnych, więc... - Rozłożył ręce.

- Och, rozumiem.

- No właśnie. Sądzę, że gdybym był lepszym człowiekiem, pogodziłbym się z tym i żył z żoną jak brat z siostrą. Ale nie jestem do tego zdolny, więc mieszkamy osobno.

- Widujesz się z nią?

- Tak, od czasu do czasu. Theresa chce zachować pozory małżeństwa. Są też kwestie finansowe. - Splótł dłonie w zamyśleniu. - Chociaż nie sądzę, by jej bardzo zależało na pieniądzu. Ma ogród i jest bardzo zaangażowana w sprawy Kościoła. - Uśmiechnął się. - Ruby, usiłuję ci powiedzieć, że jeśli marzysz o małżeństwie i dzieciach, to najwyższy czas się ze mną rozstać.

- A jeśli nie?

- To z przyjemnością będę się z tobą spotykał.

- A ja z tobą.

- Świetnie. Miałem nadzieję, że to powiesz.

- Czy kochasz Theresę?

- Jesteś bardzo bezpośrednia. - Ruchem dłoni powstrzymał jej odpowiedź. - To zresztą uzasadnione. Kochałem ją, na początku

bardzo ją kochałem. Miała mnóstwo energii, co ogromnie mi się podobało. Nie wiem, co zniszczyło moją miłość. Być może świadomość, że jej przekonania są dla niej ważniejsze od miłości. A może odkrycie, że coś ważnego dla mnie dla niej nie ma żadnego znaczenia, i odwrotnie. Nie podobało mi się też, że zawsze jestem na drugim miejscu - mówił beznamiętnie, na wpół ironicznie. - To, co mi powiedziałaś w pociągu na temat poczucia winy, przypomniało mi o tamtym. Odwiedzam Theresę i jesteśmy dla siebie mili, choć, jak sądzę, oboje dusimy się w obecności tego drugiego. Odjeżdżam stamtąd zadowolony, lecz jednocześnie zżerany poczuciem winy.

Ruby wstała i podeszła do niego.

- Kochanie - pocałowała go w policzek - cieszę się, że mi powiedziałaś. Martwisz się o moją reputację? Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

- Martwię się raczej - odparł - że mogę cię rozczarować.

- Wątpię. Ale moją mamę być może tak - dodała Ruby, mieszając kawę. - Obawiam się, że ona zakłada, iż ciągle jestem dziewczicą, i ma nadzieję, iż prędzej czy później wyjdę za jakiegoś miłego i porządnego faceta, który pracuje w tym samym biurze.

- A wyjdiesz?

- Na Boga, nie.

- Żadnych dzwonów weselnych ani kwiatu pomarańczy...?

- Nic z tego. Sądzę, że mama może być rozczarowana, jeśli nie przyprowadzę owego miłego faceta do domu, ale ona czuje się rozczarowana całe życie, więc powinna do tego przywyknąć.

Wyjął jej z rąk filiżankę i spodek i postawił je na stole, po czym wziął ją na kolana.

- Moja śliczna maleńka Ruby - szepnął.

Rozpinając guziki bluzki, całował jej ramiona. Poczowała dreszcz oczekiwania. A potem wsunął dłonie pod materiał, by dotknąć jej piersi. Zamknęła oczy i z westchnieniem zadowolenia poddała się pieszczotom.

Mglista noc i kawiarnia pełna gości.

Drzwi się otworzyły, wpuszczając kłęb mgły i Antona. Sara krążyła między stolikami a kuchnią z ołówkiem w ręce i talerzami ustawionymi na przedramieniu.

Jego stolik, talerze drgnęły. Anton spytał:

- Powiedziałaś, że mieszkasz z Ruby. Mówiłaś tak, prawda?

- Od lutego. Odkąd odeszłam od męża.

Poszła dalej, podała talerze i pozbierała brudne. Jego płaszcz leżał przerzucony przez oparcie krzesła. Przesunął po nim ramieniem, zbierając kropelki wody.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - O której kończysz pracę?

Podała godzinę, po czym zaniósła naczynia do kuchni. Usłyszała syk czajnika, potem patrzyła, jak filiżanki z pluskiem zanurzają się w wodzie. Zauważyła, że podczas odkręcania kranu trzęsą się jej ręce.

Nie miej zbyt wielkiej nadziei. To po prostu zwykła grzeczność z jego strony. Może mieć dziewczynę, może być żonaty, może mieć dziecko. Może cię, co jest dość prawdopodobne, wcale nie kochać.

Skończywszy pracę, włożyła płaszcz i kapelusz i wyszła. We mgle latarnie tworzyły żółte kręgi. W obecności Antona Sara miała wrażenie, że zagłębia się w coś znajomego i kochanego.

Zaproponował drinka, lecz potrząsnęła głową.

- Wolę spacer.

- Dokąd pójdziemy?

- Nad rzekę. Lubię rzekę we mgle.

Przeszli przez Shaftesbury Avenue. Samochody i ciężarówki zmieniły się w bliźniacze kręgi rozproszonego światła. Przechodnie pojawiali się z nienacka i po chwili znikali ponownie.

Anton powiedział:

- Kiedy usłyszałem, że wyszłaś za męża... - Urwał. A potem zaczął raz jeszcze: - Ale odeszłaś od męża?

- Rozstaliśmy się z Gilem na początku roku. Mam syna, Davida.

- Syna?

- Tak. Ma półtora roku. Mieszka z ojcem i babcią w Irlandii.

Zobaczyła, jak marszczy brwi, usiłując przyswoić sobie nowe informacje. Zrozumieć, że ona ma dziecko, które opuściła. Jak to przyjmie? Zrozumie jej decyzję czy będzie nią pogardzał?

Czasem musieli się rozłączać, by przepuścić innych przechodniów: kobietę z wózkiem, jakiegoś rowerzystę, poczciarza.

- Tak mi przykro z powodu twojego ojca - powiedziała Sara. - Musi ci go bardzo brakować. Długo chorował?

- Cierpiał na ciężkie zapalenie oskrzeli. Dlatego właśnie wróciłem do Wiednia, bo przyjaciel napisał, że tata jest w ciężkim

stanie. Ale to nie choroba go zabiła. Mój ojciec został zakatowany w bocznej uliczce.

Sara wpatrzyła się w niego z przerażeniem.

- Och, Antonie, nie.

- Sześciu młodych ludzi masakrujących starego człowieka to akt prawdziwej odwagi z ich strony, nieprawdaż?

- To straszne. Tak mi przykro.

Przystanął pod latarnią. Kołnierzą płaszcz miał podniesiony, a w wilgotnej mgle włosy zwinęły mu się w loki. Zrobiła krok w jego stronę, lecz ruszył naprzód, więc w Charing Cross Road weszli obok siebie, nie dotykając się nawzajem.

- Jego morderców nie spotkała żadna kara - ciągnął. - Nie poznałem ich nazwisk. To byli nasi naziści, niemieccy naziści albo sadyści szukający rozrywki. Ale tego się nie dowiem.

- A ty, Antonie? Co się działo z tobą?

- Kiedy zmarł mój ojciec, byłem w więzieniu.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Dlaczego wsadzili mnie do więzienia? Być może dlatego, że nie pasuję do teraźniejszości. Ze nie pasuję do kraju, w którym starców można zakatować na śmierć na ulicy. Bo Wiedeń nie jest już moim Wiedniem - gwałtownie wyrzucił z siebie słowa.

Przeszli Trafalgar Square. U stóp pomnika Nelsona leżały worki z piaskiem, a sam Nelson ginął we mgle. Anton opowiedział Sarze, jak Kurt von Schuschnigg, kanclerz Austrii, początkowo usiłował zneutralizować wpływy Hitlera, próbując ograniczyć znaczenie nazistowskiej partii w Austrii.

- W końcu jednak zostaliśmy sami - mówił. - Schuschnigg musiał pozwolić armii niemieckiej wkroczyć do Wiednia. Nie próbował stawiać oporu, gdyż to wywołałoby krwawe zamieszki. Sara, nie mam teraz ojczyzny. Kraj, w którym się urodziłem i dorastałem, został poniżony i zniszczony. Schuschnigg jest w więzieniu. Austria stała się częścią Rzeszy niemieckiej. Naszą armią dowodzi Hitler. Mój kraj zniknął.

W ciszy dotarli nad rzekę. Przez dym i spaliny, które jakby osiadały we mgle, Sara wyczuła ów jedyny w swoim rodzaju zapach wody; zawsze przypominał jej on o wizytach w magazynach ojca na Butler's Wharf. Statki i mosty ginęły w kłębach mgły, lecz słycać

było głosy syren okrętowych i plusk wody przy nabrzeżu. Od czasu do czasu opary rzedły, ukazując jakieś ciemniejsze kontury.

Anton dotknął ręki Sary.

- Na pewno nie chcesz nigdzie wejść? Musi ci być zimno.

Pokręciła głową.

- Mam ciepły płaszcz.

- Pewnie jesteś jedyną kelnerką w Londynie, która przychodzi do pracy w futrze.

Spojrzała na Antona, upajając się jego obecnością, przypominając sobie wszystkie znane szczegóły jego wyglądu i szukając zmian. Mimo mgły i ciemności szukała potwierdzenia, że jego oczy mają dokładnie taki szary kolor, jaki przechowywała w pamięci, przypominała sobie jego uśmiech, sposób, w jaki podnosił rękę, by potrzeć czoło, kiedy był zdziwiony, zmieszany lub zmartwiony.

- Przyjechałeś więc do Anglii?

- Tak.

- Sam?

- No pewnie.

- Myślałam, że znalazłeś sobie kogoś w Wiedniu?

- Nie, nikogo. Przyjechałem do Anglii, aby odnaleźć ciebie, Saro.

Serce zabiło jej mocniej.

- Naprawdę?

- W więzieniu myślałem tylko o tobie. Trzymałaś mnie przy życiu, pomagałaś zebrać siły do walki. I miałem nadzieję...

- Na co, kochany?

- Że na mnie czekasz. Wiedziałem, że jesteś pełnoletnia. Kiedy się dowiedziałem, że wyszłaś za mąż, ogarnęła mnie rozpacz.

Bolały ją stopy. Stopy kelnerki, pomyślała. W pobliżu stała ławka. Przesunęła po niej dłonią, by zetrzeć krople deszczu, i dopiero potem usiadła. Jej myśli pobiegły do Irlandii i Vernon Court, które teraz wydawały się tak odległe, jakby były częścią życia innej osoby.

- Pewnie wydaję ci się niestała w uczuciach. Mówię, że cię kocham, a potem wychodzę za kogoś innego. - Podniosła kołnierz płaszcza. - Anton, wiem, że w twoim życiu działo się wiele rzeczy, niedobrych rzeczy, ale w moim nie działo się dokładnie nic. Zastanawiam się, czy to rozumiesz. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo mnie to przygasiło. Chciałam więc coś zmienić. Sądziłam, że

mnie nie kochasz. Że nie zobaczę cię już nigdy więcej. I nie wiedziałam, jak to przeżyję.

Usiadł obok niej.

- Jak mogłaś podejrzewać, że cię nie Kocham? - W jego głosie brzmiał gniew. - Dlaczego mi nie zaufałaś?

- Ten list, który do mnie napisałeś...

- Nie miałem wyboru. Twój ojciec nie dał mi wyboru.

- Mój ojciec? Nie rozumiem.

- Powiedział mi wyraźnie, że nigdy nie pozwoli, żebym się z tobą ożenił. Nigdy, przenigdy.

Pochyliła się w jego stronę, ogarnięta nagłym uczuciem przerażenia.

- Widziałeś się z moim ojcem? Rozmawiałeś z nim? Kiedy?

- Nie wiedziałas?

- Oczywiście, że nie. Nie miałam pojęcia. - Teraz było jej przeraźliwie zimno. - Co on ci powiedział?

- Że muszę trzymać się od ciebie z daleka.

- Ale... ten list... - I nagle do niej dotarło. - Czy mój ojciec zmusił cię do napisania tego listu? Anton, zmusił cię?

- Tak, bardzo nalegał.

- Ale dlaczego nie odmówiłaś?

- Nie mogłem tego zrobić. Jak już mówiłem, nie dał mi wyboru.

- Nadal nie rozumiem. Groził ci?

- Saro, to było tak dawno. - Skrzywił się. - O czym ty mówisz?

Ot, płynąca woda.

Mgła była teraz mniej gęsta i po raz pierwszy Sarze udało się zobaczyć drugi brzeg rzeki, z magazynami, dźwigami i fabrykami.

- Chcę wiedzieć - odparła szorstko. - Co zrobił mój ojciec? Co ci powiedział?

Westchnienie.

- Że nie mam dość pieniędzy, by móc cię utrzymać, co było zgodne z prawdą. I że będziesz przez to nieszczęśliwa.

- Pieniądze mnie nie interesują! I przy tobie nigdy nie byłabym nieszczęśliwa!

- Tylko świętych nie interesują pieniądze - odparł Anton łagodnie. - Wszystkich innych tak. Nie chciałem, żebyś cierpiała, żebyś marzła albo była głodna. Nie chciałem cię zabierać z twojego

świata i wprowadzać w ten, który sam znałem. Dlaczego miałbym cię na to narażać?

- Ale jest coś jeszcze, prawda? - A kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zaczęła nalegać: - Anton, powiedz mi.

Od czasu do czasu zza mgły wyłaniał się fragment łodzi - kadłub, komin, maszt. Sara usłyszała słowa Antona:

- Twój ojciec powiedział mi, że jeśli tego nie zrobię, zostanę zmuszony do opuszczenia waszego kraju.

Nie, niemal powiedziała Sara, nie zrobiłby tego. Nauczyła się jednak patrzeć na ojca z dystansem, jak na obcą osobę, silnego i potężnego mężczyznę, zawsze przekonanego o swojej racji. Człowieka zdolnego do bezwzględności, nawet okrucieństwa. Ojciec, którego kochała i któremu ufała, oszukał ją i zdradził, zmuszając do opuszczenia ukochanego mężczyzny.

- Nie wiedziałam - powiedziała szeptem. - Nienawidzę go za to.

- On był przekonany, że cię chroni. Że tak będzie dla ciebie najlepiej.

Sara potrząsnęła głową.

- Mój ojciec zrobił to, co uznał za najlepsze dla samego siebie. Dla rodziny. Cóż, nie nazywam się już Finborough. Nigdy nie sądziłam, że będę dumna z nazwiska Vernon, ale teraz jestem. - Sara pomyślała, że nie udało jej się wystarczająco szybko wyzwolić spod wpływu rodziców. Philip stawiał im czoło, Theo uciekł, a ona usiłowała ich zadowolić. Zmuszając ją do wyrzeczenia się Antona, ojciec niemal złamał jej życie.

Anton wziął ją za rękę. Przez chwilę siedzieli w ciszy. W końcu powiedział:

- Sara, jaki jest twój mąż? Dlaczego pozwolił, żebyś od niego odeszła? Cieszę się, że tak się stało, ale on musi być durniem.

- Nie, Gil nie jest durniem. Jest bardzo inteligentny, uczony. Tylko wcale nie rozumie ludzi. - Sara westchnęła. - Oboje popełniliśmy wiele błędów.

- A twoje dziecko, twój syn?

- Nigdy nie czułam, że David jest mój. Zajmowały się nim Caroline i niania, nie ja. Przy mnie był ciągle niezadowolony. - Złożyła dłonie. - Zawsze zakładałam, że będę dobrą matką. Opuścić dziecko... to potworne, prawda? Jakaż ja jestem kobietą?

- Być może taką, która bardzo się starała? - zapytał łagodnie.

- Ale się nie udało - odparła z goryczą. - Taką, która nie potrafiła sobie poradzić z czymś, z czym bez trudu radzą sobie nawet najbiedniejsze, proste kobiety. Anton, ja nie umiałam kochać Davida. - Znów spojrzała na rzekę. - Choć może zaczęłam go kochać przed opuszczeniem Vernon Court. Tylko wtedy było już za późno. Piszę do niego co miesiąc, rysuję mu obrazki, a dzieci to lubią, prawda? I jeżdżę do Irlandii, kiedy tylko mogę. W lecie Caroline przywiozła go do Londynu, do moich rodziców. Moja mama go uwielbia. - Sara zmarszczyła brwi. - Teraz, kiedy z nim nie mieszkam, widzę, jakim jest chłopcem kochanym. Uroczym i zabawnym. Ma w sobie coś rozczulająco poważnego. To musiał odziedziczyć po Gilu, i chyba to mnie w Gilu najbardziej pociągało. My, Finboroughowie, nie jesteśmy zbyt poważni. Jesteśmy frywolni, beztroscy, udajemy, drażnimy się i kłócimy. Zrobimy wszystko, byle tylko nie zachowywać się poważnie. Zastanawiam się, dlaczego tak jest. - Sara uśmiechnęła się smutno. - Kiedy mieszkałam w Vernon Court, miałam wrażenie, że jestem jakąś niezwykłą ozdobą, którą ktoś kupił pod wpływem chwilowego kaprysu, a po powrocie do domu nie wiedział, co z nią zrobić.

- Bo jesteś taką ozdobą, to prawda.

Kiedy ją pocałował, zamknęła oczy, gdyż od jego bliskości aż kręciło jej się w głowie.

- Nie wierzę, że jestem przy tobie, Saro - wyszeptał. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy. Wydaje mi się, że śnię. Nie przestałem cię kochać. Musisz w to uwierzyć, Nigdy, przenigdy nie przestanę. Wszystko będzie dobrze, wiem to. - Po chwili dodał jeszcze: - Peter Curthoys, jak wiesz, pozwolił mi zamieszkać u siebie. Wyjechali z Melissą na weekend. Może byśmy poszli do mnie?

To, czy seks jest nudny, nieprzyjemny czy też zachwycający, zależy całkowicie, jak odkryła Sara tej nocy, od osoby, z którą się go uprawia.

Po pierwszym razie, leżąc jeszcze w ramionach Antona, zaskoczona Sara wyznała:

- To było naprawdę wspaniałe.

- A nie tego się spodziewałaś?

- Kiedy robiłam to z Gilem, myślałam o jakiejś książce albo o nowych podkowach dla koni.

Anton się roześmiał.

- Saro, jesteś taka zabawna! - Po czym kochał się z nią raz jeszcze.

Nad ranem opowiedział jej o swoich losach. Po anszlusie naziści, zarówno niemieccy, jak i austriaccy, zaczęli pozbywać się znieawidzonych obywateli - Żydów, socjalistów, katolików. Trudno było znieść brak jedzenia czy bicie, lecz ze słów ukochanego Sara wywnioskowała, że najgorsze było uwięzienie w zatłoczonej i ciemnej celi.

Pewnej nocy władze przewoziły Antona i tuzin innych więźniów ciężarówką, która została zatrzymana, gdyż wybuchły zamieszki uliczne. W panującym bałaganie niektórym więźniom udało się uciec. Anton skierował się do mieszkania przyjaciela. Mijał tydzień za tygodniem, a on ciągle ukrywał się w piwnicach i na strychach, przerzucany z domu do domu, zawsze pod osłoną nocy. Wreszcie został przeschmuglowany przez Alpy do Szwajcarii. Stamtąd najpierw pojechał do Paryża, a potem, kiedy Peter Curthoys zgodził się wesprzeć go finansowo, do Londynu.

Sara stwierdziła, że oboje się zmienili. On był smutny, ona czuła ogromny żal. Zawinęła się w koc, wstała z łóżka i podeszła do okna. Przyciskając twarz do szyby, próbowała zobaczyć ogród, gładkie gałęzie drzew, przecinające się linie parkanów i ścian, a dalej domy, place i mosty. I wydawało jej się, że niebo trochę pojaśniało, że noc nie jest już tak ciemna.

Rozdział 12

Alfie Broughton pojawił się w któryś powszedni dzień tygodnia. Isabel była w pokoju muzycznym, gdzie grała na fortepianie, kiedy służąca zapukała do drzwi i oznajmiła, że mają gościa.

Richard, który siedział w fotelu, niecierpliwie odrzucił gazetę.

- Kto to jest?

- Nie podał swojego nazwiska. Powiedział tylko, że chce rozmawiać z panią.

Czując niebezpieczeństwo, Isabel wstała od fortepianu i powiedziała:

- To pewnie nic ważnego. Ja pójdę, kochanie. Przez okno obok drzwi frontowych ujrzała rozmytą postać Alfiego Broughtona, którego barczystą sylwetkę zniekształcało światło na ganku i kolorowe szkło.

Wyszła do niego i cichym, pełnym wściekłości głosem rzuciła:

- Nie powinienesz tu przychodzić! Mówiłam ci, żebyś nie przychodził!

- Witaj, Isabel!

Isabel uznała jego mrugnięcie, potwierdzenie jej współdziałania, za obraźliwe.

Szybko weszła wraz z nim do garażu.

- Po co przyszedłeś?

- Chciałem z tobą chwilę porozmawiać, to wszystko. Nie mam w Starym Kraju zbyt wielu przyjaciół.

- Ale ja nie jestem twoją przyjaciółką. Wydawało mi się, że wyraźnie ci to powiedziałam. - Isabel nie tylko była teraz zła i przerażona, lecz wręcz schwyтана w pułapkę. - Jeśli tu kiedykolwiek wrócisz po pieniądze, będzie to strata czasu, bo nie zamierzam ci dać nic więcej.

Zmienił mu się wyraz twarzy, a ton z przymilnego zamienił się w ostrzegawczy.

- Isabel, lepiej zastanów się dwa razy, zanim powiesz coś takiego.

- Nie pozwolę się szantażować. - Własne słowa wydały jej się nieprawdopodobne, melodramatyczne w znajomym, brudnym wnętrzu garażu.

Włożył ręce do kieszeni i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

- Przyzwyczaiłaś się do rządzenia, co? Kiedyś byłaś inna. Kiedyś byłaś słodką, posłuszną dziewczuszką. Robiłaś wszystko, o co prosiłem. Chociaż, jak o tym pomyśleć, to zawsze miałaś charakterek, co? Pamiętam, że byłaś zazdrosna jak diabli, kiedy tylko zerknąłem na inną.

Ze wstrętem myślała o tym, że taki człowiek jej dotykał, całował ją. Czowała do niego odrazę.

- Muszę iść - oznajmiła lodowatym tonem. - Nie przychodź tu więcej.

- Bo co? Co zrobisz? Wezwiesz policję, pani Finborough? - pytał ironicznie.

- Jeśli będzie trzeba.

- Nie wierzę ci. - Przysunął się bliżej. Oczy miał nieugięte. - Isabel, uważaj. Kobieta o twojej pozycji nie może sobie pozwolić, by takie sprawy ujrzały światło dzienne. Co powiedzieliby twoi znajomi, gdyby poznali prawdę o tobie? Co zrobiłby twój mąż na wieść, że urodziłaś dziecko innego mężczyzny? Z całą pewnością udałoby mi się znaleźć jakąś plotkarską gazetę, która zainteresuje się taką przyjemną, smakowitą historią.

- Nie zrobisz tego... nie wolno ci...

- Zrobię, jeśli mnie do tego zmusisz - zapewnił, po czym ponownie zmienił ton; teraz był on ugodowy. - Potrzebuję pieniędzy, rozumiesz? Mężczyzna musi jakoś zarabiać na życie, a w dzisiejszych czasach jest to bardzo trudne. Kolejne pięćdziesiąt funtów powinno wystarczyć.

- A jeśli dam ci te pieniądze, co wtedy? Wrócisz za parę tygodni czy miesięcy, prosząc o więcej?

Alfie wyjął papierośnicę i przyglądał się jej ze zmrużonymi oczami.

- Będziesz musiała mieć nadzieję, że nie, co, Isabel? - Stukając papierosem o pudełko, dodał: - Za dwa dni na ławce przy Heath. O szóstej. Nie spóźnij się.

Modląc się, by nie spotkać nikogo znajomego, Isabel poszła do sklepu w Hatton Garden, gdzie sprzedała dwie stare broszki. Kolejne potajemne spotkanie, zupełnie jak z kochankiem. Lodowato zimny wieczór, kiedy mroźne powietrze paliło jej skórę. Alfie wziął pieniądze, muskając palcami jej dłoń. Aż zadrżała od tego dotyku. Wiedziała, że nie zostawi jej w spokoju, że wysysie ją do końca.

Poszła ze znajomą na koncert, by posłuchać, jak Myra Hess gra utwory Schumanna w Wigmore Hall. Zamknęła oczy i pozwoliła, by muzyka przez nią przepływała, myśląc przy tym o tych wszystkich rzeczach, które przyniosło jej małżeństwo, o kulturalnym i intelektualnym spełnieniu, o którym tak bardzo marzyła jako młoda dziewczyna, o zaspokojeniu wszystkich potrzeb, możliwości urządzenia pięknego domu, który stanowił odbicie jej własnych gustów i zainteresowania i oczywiście, o najważniejszym - o swoim życiu rodzinnym. Alfie Broughton mógł zniszczyć to wszystko. Wszystko to mogła stracić.

Rozważała różne scenariusze. Mogła mu nadal płacić, żyjąc w ciągłym strachu, że ją wyda, z sercem bijącym mocniej na każde pukanie do drzwi, kroki na ścieżce, i uciekając się do coraz bardziej poniżających sposobów zdobywania pieniędzy. A potrzeby Alfiego będą stale rosły, nie wątpiła w to.

Mogła też odmówić płacenia szantażyście. Alfie może powiedzieć Richardowi, ale może również nie mieć na to dość czelności. Przypomniała sobie swój strach, gdy zagroził, że zdradzi jej sekret dziennikarzom. I jest gotów tak zrobić, pomyślała. Bez trudu potrafiła to sobie wyobrazić. Byłaby wówczas zhańbiona publicznie, a poza tym Richard dowiedziałby się o jej przeszłości w tak kompromitujący sposób.

Mogła również wyznać Richardowi prawdę. Co zrobi, co powie? Alfie Broughton i dziecko to sprawa sprzed ponad trzydziestu lat, stara historia, skończona. A jednak takie rzeczy nigdy nie odchodzą na dobre. Zostawiają swój ślad; przeszłość straszyla ją pod niechcianą postacią Alfiego Broughtona. Było również coś, o czym nie pozwalała sobie myśleć przez wiele lat.

Czy Richard może zrozumieć? Sądziła, że jego najlepsza część, ta, którą kochała najbardziej, może zrozumieć. Przecież wkrótce po tym, jak zgodziła się zostać jego żoną, zapewnił ją, że jej przeszłość go nie interesuje. Jeśli za mnie wyjdiesz, możesz zacząć od nowa. Będziesz miała nowe nazwisko, nowy dom w nowym mieście. Możesz zostawić swoje wszystkie kłopoty za sobą.

A jednak się zmienił, zmienili się oboje. Po ślubie Philipa z Elaine Davenport związek Isabel i Richarda nie był już taki jak dawniej. Oboje unikali poruszania tego tematu, gdyż otwierał on zbyt wiele niezabliźnionych ran - jej własny ból i żal, że Richardowi

spodobała się inna kobieta, oraz odkrycie Richarda, że po raz pierwszy w życiu ktoś okazał się od niego lepszy. I to własny syn. A on został pokonany. W owym czasie Richard był zajęty i zły - a na dodatek uparty. Tak strasznie uparty, że kierowało się to przeciwko niemu samemu. Wiadomość, że Sara mieszka teraz z Antonem Wolffem, nie poprawiła mu nastroju. Swym zachowaniem karał ich oboje, pomyślała Isabel. Jej życie było jakby podzielone na szufladki, osobna dla dzieci, osobna dla Richarda, żeby nie mieli ze sobą kontaktu.

Koncert dobiegł końca i słuchacze zaczęli bić brawo. Isabel rozstała się ze swą towarzyszką przed salą koncertową i wsiadła do autobusu. Podając konduktorowi pieniądze, zastanawiała się, jak bardzo decyzje podjęte dawno temu wpłynęły na jej życie. Jakimi ścieżkami mogłaby iść, jaką mogłaby być osobą. Jak bardzo się naprawdę zmieniła i czy dawna Isabel ciągle istnieje mimo zmian, które przyniósł wiek, majątek i doświadczenie. Czy osoba, którą się stała, przetrwa to, co nieuniknione?

Ale jaki miała wybór? Żyła w ciągłym zagrożeniu i nie wiedziała, jak długo uda jej się to znieść. Byłoby lepiej, znacznie lepiej, gdyby Richard dowiedział się prawdy od niej, a nie od Alfiego Broughtona. Albo - na samą myśl aż przebiegł ją dreszcz, co zauważyła siedząca obok kobieta - z gazet.

Ostatni rok był trudny. Zmarł John Tempie, a poza tym w minionym tygodniu jeden z pracowników został przyłapany na próbie oszustwa. Nie chodziło o duże sumy pieniędzy, lecz było to dość nieprzyjemne zamieszanie, z udziałem policji, co pozostawiło Richardowi uczucie niesmaku. Kiedyś znał wszystkich pracowników z nazwiska, wiedział, jakimi są ludźmi. Brakowało mu Johna Temple'a, brakowało obecności jedynej osoby, która towarzyszyła mu od samego początku. A także orzeźwiającego zapachu herbaty i podniecenia związanego z jej rozładunkiem na nabrzeżu. Obecnie zbyt wiele czasu spędzał w biurze lub na rozmowach z prawnikami, księgowymi lub ludźmi z ministerstwa. Interes kwitł, wraz ze zbrojeniami rozpoczętymi po kryzysie w Monachium wzrosło zapotrzebowanie na części do maszyn, więc Richard spędzał w pracy wiele godzin, czasem również podczas weekendów. Powinno go to cieszyć, tymczasem raczej nużyło, myślami był daleko od interesów, które zawsze tak go pochłaniały.

Zabrał stertę papierów do domu, żeby je przejrzeć wieczorem. Kiedy tam dotarł, Isabel przywitała się z nim, a potem poszła dopilnować kolacji.

- Gdzie jest pani Finch? - zapytał, kiedy wróciła.

- Dałam jej wolny wieczór. Richard otworzył karafkę i zapytał:

- Whisky?

Isabel potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. - Zawahała się, wyglądała na zdenerwowaną. - Richardzie, musimy porozmawiać.

Pomyślał o dokumentach - miał zamiar zabrać się do pracy jeszcze przed kolacją, przy whisky.

- To nie może poczekać?

- Nie, obawiam się, że nie.

Usiadł.

- Wobec tego mów.

Splotła dłonie.

- Jestem szantażowana - oznajmiła.

Richard roześmiał się w odpowiedzi.

- Szantażowana?

- Tak.

Zaczął się zastanawiać, czy żona przesadza, czy też może stroi sobie z niego żarty. Nie miała jednak tego w zwyczaju.

- Szantażowana... przez kogo? Dlaczego? Od jak dawna?

- Nazywa się Alfie Broughton. Żąda ode mnie pieniędzy. Po raz pierwszy zjawił się pod koniec czerwca.

Czerwca, zanotował Richard w myślach. Teraz był listopad.

- Ale nie dałaś chyba temu kundlowi żadnych pieniędzy, co, Isabel?

- Niestety, dałam.

- Jak dużo?

- Ponad sto funtów.

- Na Boga, dlaczego?

- Bo on coś o mnie wie. Coś złego.

- Co? - Richard usiłował poprawić trochę atmosferę i zażartował:

- Zdefraudowałaś wpłaty na subskrypcję w Klubie Sztuki?

- Coś złego - powtórzyła z uporem, nie zważając na jego słowa - coś, co mi się przydarzyło, jeszcze zanim cię poznałam. Alfie Broughton był moim kochankiem.

- Twoim kochankiem? - powtórzył bezwiednie.
- Tak, dawno temu. - Jak dawno?
- Ponad trzydzieści lat temu.
- W Lynton?
- Nie, Alfie mieszkał w Broadstairs. Pracowałam tam, pamiętasz?

Zanim pojechałam do Devon.

Richard sądził, że kiedy brali ślub, Isabel była dziewicą. Dlaczego? Prawdopodobnie bardzo chciał w to wierzyć.

Zapytał:

- I nie uznałaś za stosowne mi o tym powiedzieć? Odwróciła głowę.

- Próbowałam, ale nie byłam w stanie. To się skończyło na długo przed naszym poznaniem. Nie widziałam Alfiego od lat. Nie miałam podstaw przypuszczać... sądziłam... - Zaciśnęła usta. - Chyba sądziłam, że nigdy się nie dowiesz. Minęło tyle czasu... A teraz, w czerwcu pojawił się tutaj.

- Więc ten facet, ten Broughton, jak sądzę, grozi, że mi powie? To dlatego mu płaciłaś?

- Tak. Nie. - Isabel wpadła w panikę. - Gdyby to tylko o to chodziło...

- To z całą pewnością wystarczy, co? - Richard był przerażony tym, co Isabel może do tego dodać. - A jest coś jeszcze?

- Obawiam się, że tak. - Spojrzała mu w oczy. - Richardzie, ja miałam dziecko. Dziecko Alfiego.

Początkowo nie mógł zebrać myśli. Miał za sobą długi i ciężki dzień i nie bardzo potrafił przyjąć ten nedorzeczny, nierzeczywisty strzęp informacji. Pragnął jedynie wyjść z domu, wsiąść do samochodu i odjechać daleko, gdzieś, gdziekolwiek.

Nie ruszył się jednak, zmuszając się do koncentracji. Chciał być pewien, że dobrze zrozumiał słowa żony. Powtórzył:

- Miałaś dziecko przed naszym spotkaniem?

- Tak. Córkę.

- Kiedy dokładnie?

- W lecie tysiąc dziewięćset siódmego roku. Na długo, zanim się poznaliśmy.

- I co się stało z tym dzieckiem?

- Oddałam je.

- Oddałaś je...? - Znow powtórzył z poczuciem, że sam jest częścią jakiegoś koszmaru.

- Tak. Dałam ogłoszenie do gazety. Adoptowało moją córkę małżeństwo, które nie miało własnych dzieci. Nie mogłam zrobić nic innego. Nie dałabym rady się nią opiekować. Alfie mnie zostawił, kiedy tylko dowiedział się o dziecku.

Richard czuł to, co zwykle czuje się na wieść o czyjejś śmierci - niedowierzenie, przerażenie, opór wobec przyjęcia złej nowiny.

Pragnął, by to nie była prawda, by ona to wymyśliła od początku do końca, tak żeby mogli wrócić do dawnych relacji.

- Przepraszam, Richardzie - powiedziała. - Tak mi przykro.

Coś w nim pękło. Powiedział powoli:

- Całe nasze małżeństwo było oparte na kłamstwie, a ty mi mówisz, że ci przykro?

Czuł ucisk w piersiach. Podeszedł do karafki i drżącą dłonią napełnił szklanekę. Nie wiedział, czy da radę to przełknąć, czy nie zwymiotuje albo, niech Bóg broni, się nie rozpłacze.

- Wiem, że powinnam ci to wyznać wcześniej, ale nie mogłam. - Głos jej się załamał, lecz po chwili zdołała się opanować. - Richardzie, proszę, spróbuj zrozumieć. Spróbuj mi wybaczyć, proszę.

- Co mam powiedzieć? - Roześmiał się dziko. - Że nie ma sprawy, zapomnimy o tym?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A może ty już zapomniałaś...

- Richardzie, przestań...

- Może po prostu wymazałaś to dziecko z pamięci.

- Moja przeszłość... moja historia... była jednym z powodów, dla których początkowo nie chciałam mieć z tobą nic wspólnego. Bo tak bardzo się wstydziłam!

Wypił whisky, pozwalając, by paliła go w gardle. Usłyszał jej głos:

- Wiem, że popełniłam błąd, nie mówiąc ci o tym, ale w moich uczuciach do ciebie to nic nie zmienia. Nie ma żadnego znaczenia...

- Oczywiście, że ma - przerwał. - To dowód, że nie mogę ci ufać.

- Richardzie, proszę...

- Isabel, nie powiedziałaś mi o dość ważnej rzeczy. Nie powiedziałaś, że miałaś dziecko z innym. Zaczynam się zastanawiać, o czym jeszcze nie wiem.

- Nie ma nic takiego!

- A inne romanse? Inne dzieci?

- Dlatego właśnie ci nie powiedziałam. Bałam się, że przyjmiesz to w ten sposób!

Stracił resztki panowania nad sobą i z całej siły rzucił szklanką o blat stolika. Whisky zalała drewno.

- A jak niby miałbym to przyjąć? - krzyknął.

Słysząc było tykanie zegara i sygnał karetki gdzieś w oddali. Isabel odparła cicho:

- Masz prawo się wściekać. Zasluguje na to. Ale spróbuj zrozumieć. Byłam bardzo młoda, młodsza niż Sara w tej chwili, miałam zaledwie siedemnaście lat. Nie było wokół mnie nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić, nikogo, kto by się o mnie troszczył.

Richard szukał najbardziej bolesnych słów i udało mu się.

- Nic dziwnego, że Sara, mając taką matkę, postąpiła w ten sposób.

Isabel cofnęła się o krok, jakby ją uderzył. Powiedziała cicho:

- To, co mówisz, jest okrutne.

Nie potrafił się powstrzymać i zapytał:

- Czy kochałaś tego Broughtona?

- Richardzie...

- Chcę wiedzieć. Kochałaś go?

Isabel odpowiedziała dopiero po chwili:

- Tak, kochałam.

Musiał odwrócić głowę, by ukryć ból.

- Jak ty musiałaś się ze mnie śmiać, że byłem takim durniem!

Isabel skrzywiła się.

- Nie, Richardzie, nigdy! Jak możesz coś takiego mówić? Znamy się od tak dawna i tyle razem przeżyliśmy.

Przypomniał sobie chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Stała na nabrzeżu w porcie w Lynton. Jej spódnica powiewała jak flaga, czerwień zakietu raziła oczy. Powoli pokiwał głową:

- Ale cię nie znałem, prawda? Sądziłem, że znam, lecz byłem w błędzie.

- Richardzie, na miłość boską! Popełniłam błąd! Byłam głupia, ale to tylko błąd!

- Błąd... tak właśnie to nazywasz?

- Wszyscy popełniamy błędy - odparła chłodno. - Nawet ty.

- Moje są jakby odrobinę mniejsze. - Kiedy o tym myślał, jego gniew wzrastał. - Na Boga, a ty oskarżałaś mnie o zdradę, tyle hałasu o parę pocałunków.

- To nie to samo! - krzyknęła. - Ja wtedy nie byłam mężatką!

- I przez to jest lepiej? Zaczerwieniła się.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałam...

- Taka hipokryzja! Przez cały czas ukrywałaś to przede mną!

- Jeśli ci nie ufałam, to tylko przez to, co mi zrobił Alfie! Nie rozumiesz tego? Już raz zostałam zdradzona i ciągle się bałam, że to się może stać po raz kolejny! Richardzie, spróbuj zrozumieć! Po odejściu Alfiego pragnęłam umrzeć!

- Nie wahaj się zmienić zdania nawet po tylu latach, Isabel - odparł Richard z sarkazmem. - Idź do niego, do tego Alfiego, jeśli tego pragniesz.

- Nie. - Z twarzy Isabel odpłynęły wszystkie kolory. - Nienawidzę go. - Po czym dodała: - W dniu, kiedy zgodziłam się zostać twoją żoną, twierdziłeś, że moja przeszłość cię nie interesuje.

- Czyżby? - Wbił w nią dziki wzrok, a potem powoli potrząsnął głową. - Ale to... po prostu nie wyobrażałem sobie czegoś takiego. Żeby taką rzecz przez tyle lat trzymać w tajemnicy...

Aż kipiał z nerwów. Odwrócił się, wziął dokumenty oraz pióro i skierował się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - W głosie Isabel słychać było przerażenie.

- Do klubu.

- Ale kolacja...

- Nie jestem głodny.

- Richardzie, nie rób tego!

Wziął z holu płaszcz i kapelusz. Kiedy otwierał drzwi, Isabel podbiegła do niego i chwyciła go za rękaw.

- Richardzie, nie odchodź, nie w ten sposób, wybac mi... - Teraz nie starała się już ukryć łez.

On jednak strząsnął jej rękę, wyszedł i uruchomił silnik. Odjeżdżając, zobaczył w lusterku sylwetkę Isabel przed domem. Nacisnął gaz, a zniknęła w mgnieniu oka, gdy znalazł się za zakrętem podjazdu.

W klubie pozostał przez tydzień. Myślał o tym, jak przez cały czas swego związku z Isabel czuł złość, że ona nieustannie mu się wymyka, że nie pozwala się poznać, że jakąś swoją część zatrzymuje

dla siebie samej. Cóż, nareszcie dowiedział się, co to było. Kochanek, dziecko.

Wspomnienia wyłaniały się niczym potwory z czarnej, bezdennej otchłani. Wychodząc za niego za mąż, Isabel go nie kochała. Zrobiła to, by uciec przed trudnościami - była bez grosza, nie miała pracy, wkrótce miała stracić też dom, całe miasto patrzyło na nią z niechęcią i podejrzliwością. Wyszła za niego dla pieniędzy i pozycji społecznej. Była rzeczywiście taka, jak ludzie utrzymywali - była rozwiązła, wyrachowana, chciwa.

Czasami, w rzadkich momentach trzeźwości, przypominał sobie to wszystko, co mieli wspólnego - nadzieje i obawy, dzieci, pożądanie. Wątpliwości jednak pozostawały, zatruwając go jadem. Był w końcu zapchajdziurą, tym drugim.

Kiedy budził się rano, czuł piasek pod powiekami, a w ustach miał kwaśny smak. Któregoś dnia w drodze do pracy źle ocenił skrzyżowanie i jedynie o ułamek cała uniknął zderzenia z tramwajem. Ten incydent nim wstrząsnął - od tego czasu zmuszał się do jedzenia, spania, zajmowania się interesami. Nadrobił zaległości w pracy i w obskurnym biurze na tyłach King's Cross Station znalazł prywatnego detektywa, mężczyznę o szczurzej twarzy i poplamionych nikotyną palcach.

Musiał znać odpowiedź na kilka pytań, pojechał więc do domu. Z Isabel rozmawiał w sypialni, żeby służba ich nie słyszała.

- Ten facet, Broughton, wiesz, gdzie go można znaleźć?

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale nie.

- Ma pracę?

- Nie sędzę.

- Opisz mi go.

Kiedy skończyła, Richard oznajmił:

- Ta sprawa zostanie załatwiona dyskretnie. Zapewne będzie trzeba mu zapłacić, ale dowie się również, co go czeka, jeśli spróbuje wymusić ode mnie jeszcze jakieś pieniądze. Dopilnuję, żeby nie było skandalu.

- Dziękuję, Richardzie. Odparł chłodno:

- Isabel, robię to dla rodziny, nie dla ciebie. Dla rodziny Finborough. Nie mam ochoty patrzeć, jak ludzie hańbią moje nazwisko.

- Rozumiem.

Rozejrzał się po pokoju, który po tygodniowej nieobecności wydawał mu się dziwnie nieznamy.

- Wrócę do domu, ale pod jednym warunkiem.

- Czego sobie tylko życzysz.

- Masz więcej nie wspominać o Broughtonie. Rozumiesz?

- Tak, Richardzie.

- Ani o dziecku. To samo dotyczy dziecka.

Tym razem nie odpowiedziała. Zażądał stanowczo:

- Isabel, musisz mi obiecać. Chwila ciszy, a potem:

- Nie mam ochoty mówić o Alfie. Gdybym tylko mogła o nim zapomnieć, zrobiłabym to. Ale moja córka to co innego.

- Nalegam.

Splotła dłonie. Zmarszczyła brwi.

- Nie wydaje mi się, żebym mogła spełnić twoją prośbę.

- Proszę cię tylko o to jedno... Przerwała mu:

- Wydaje mi się, że prosisz, abym udawała, że tego dziecka nie było. Że żadna z tych rzeczy nie miała miejsca. Ale nie sądzę, żeby to miało coś zmienić między nami. Nie teraz.

- Odmawiasz?

- Przez większą część życia zaprzeczałam istnieniu mojego dziecka - odparła zmęczonym głosem. - W pewnym sensie czuję ulgę, że ty nareszcie wiesz.

- Ulgę! - powtórzył ze złością.

- Ja czuję ulgę. Gdybym mogła zdjąć z ciebie ten ból, zrobiłabym to, ale nie mogę. - Odetchnęła głęboko. - Richardzie, starałam się być dobrą żoną. Znosiłam spotkania towarzyskie, których nienawidzę, i mieszkałam w mieście, za którym nie przepadam, bo miałam świadomość, jak wiele ci zawdzięczam i jak bardzo cię kocham. Ale nie mogę pozwolić ci kontrolować moich myśli, bo nic ze mnie nie zostanie. Gdybym miała wybór, wybrałabym twoje przebaczenie. Tak jak ja ci przebaczyłam. Możesz to zrobić?

Odparł cicho:

- Nie.

Na chwilę zamknęła oczy.

- Wobec tego jadę jutro do Kornwalii.

- Rób, jak chcesz. To, co uczynisz, już mnie nie obchodzi. Jedź do Kornwalii, jedź do diabła, jeśli o mnie chodzi.

Następnego dnia Richard wydał swemu prawnikowi stosowne instrukcje i wyjechał w długą podróż po Europie.

W Porthglas Isabel rozmyślała o dziecku. Swym pierwszym dziecku, córce. Dom Clarewoodów opuściła w szóstym miesiącu ciąży, kiedy już dłużej nie mogła ukrywać swego stanu. Pojechała do Londynu, bo gdzież indziej miał się udać ktoś taki jak ona? W drodze do miasta patrzyła na niekończące się domy, fabryki i gmachy urzędowe.

Na palcu miała starą obrączkę mamy i tym niewielu osobom, które się nią zainteresowały, odpowiadała, że jest wdową. Wynajęła najtańszy pokój w najtańszym pensjonacie na East Endzie. Miała szczęście i znalazła pracę przy haftowaniu kołnierzyków i mankietów bluzek. Umieściła w gazecie „Exchange & Mart” ogłoszenie i otrzymała w odpowiedzi list od pani Wellbeloved, żony lekarza, która mieszkała w hrabstwie Lancaster na północy Anglii. Nazwisko (Wellbeloved (ang.) - ukochany.) to, sugerujące życzliwość i uczucie, wydawało się dobrą wróżbą.

Dziecko przyszło na świat na początku maja, trochę wcześniej, niż się Isabel spodziewała. Sąsiad sprowadził akuszerkę i maleńka, śliczna córeczka Isabel ujrzała światło dzienne o świcie - z pianem koguta, powiedziała akuszerka, zupełnie jakby na East Endzie były jakiegokolwiek koguty. Isabel dała jej na imię Martha, po swojej matce. Kilka dni później napisała do pani Wellbeloved, żeby ją powiadomić o szczęśliwych narodzinach. Doktorowa odpisała, prosząc, by kiedy dziewczynka skończy sześć tygodni, Isabel przyniosła ją na Euston Station.

Owe sześć tygodni minęło szybko. Isabel związała ubranka dziecka w węzełek, owinęła Marthę szalem i udała się na Euston. Tam przekazała swą córkę nowym rodzicom. W drodze do domu kupiła gazetę i zaczęła szukać posady. Zdecydowała się spróbować szczęścia w charakterze gosposi u pana Charlesa Hawkinsa z Lynton w hrabstwie Devon, gdyż bardzo pragnęła ujrzeć morze.

Pierwszego dnia pobytu w Lynton podała panu Hawkinsowi podwieczorek i poszła do portu w Lynmouth. Tam spacerowała po nabrzeżu i stała pod Rhenish Tower. Poczucie pustki, które opanowało ją po oddaniu dziecka, jeszcze wzrosło. Z oczu popłynęły jej łzy. Wyczerpana wróciła do Orchard House. W ogrodzie rosły kwiaty, a półki zastawione były rzędami książek, i wydawało jej się,

że wreszcie znalazła schronienie. Włożyła fartuch i przygotowała kolację, pan Hawkins zaś udał, że nie zauważył śladów łez, i starał się rozmawiać z nią o czym innym.

Idąc wzdłuż plaży w Porthglas, przypomniła sobie owe cenne sześć tygodni, które spędziła z córką. Przywołała w pamięci pokój w pensjonacie, odizolowany od reszty świata skrawkiem pożółkłego papieru w dolnej części okna. Uświadomiła sobie, jak dobrze było czuć dotyk dziecka na piersi i widzieć kropelkę mleka w kąciku ust córki, i jak delikatne były jej ciemne włoski. Przypomniła sobie, jak się zastanawiała, czy nie zabrać dziecka i nie uciec, jak najdalej od tych, których znała i którzy znali ją, żeby mogły zostać razem.

„To właśnie zrobiłam - napisała w liście do Richarda. - Potęp mnie, jeśli musisz, ale właśnie tak było”.

W liście opowiedziała mu o wszystkim - o Clarewoodach, Alfiem, Londynie, narodzinach dziecka i oddaniu go w obce ręce. Otworzyła przed mężem serce.

W odpowiedzi otrzymała list od adwokata Richarda. W zimnym prawniczym języku informował ją, że jego klient polecił mu założyć dla niej konto w banku, na które co miesiąc będzie wpływała suma wystarczająca na pokrycie kosztów utrzymania.

Isabel wrzuciła list do ognia, a potem odpisała.

„»Twoja przeszłość mnie nie interesuje« - właśnie tak powiedziałeś, kiedy zgodziłam się za Ciebie wyjść. Richardzie, zapomniałeś o tym? Nie dotrzymujesz obietnic?”.

Odpowiedź przyszła dopiero po kilku tygodniach. Tym razem kopertę zaadresował sam Richard. W środku znalazła kartkę z jednym tylko zdaniem:

„Ale wtedy cię kochałem”.

Świat tasował się niczym talia kart, wyrzuwając ludzi z jednego miejsca i rzucając ich w inne. Po zamieszkach Kristallnacht - nocy kryształowej - w listopadzie 1938 roku, kiedy to ograbiono i zniszczono sklepy należące do niemieckich Żydów, zrujnowano synagogi i zamordowano setki żydowskich współobywateli, Niemcy opuściło wielu uchodźców, powiększając liczbę tych, którzy już wcześniej wymknęli się reżimowi Hitlera i Mussoliniego oraz uciekli przed wojną domową w Hiszpanii. Ruby widywała ich w pubach, kawiarniach i bibliotekach, tych wszystkich włoskich muzyków i studentów z Berlina, skulonych w wytartych płaszczach. W gazetach

pisano o łodziach, w których uchodźcy przemierzali morza, a których nie wpuszczano do portów. Prasa brukowa ostrzegała, że fala cudzoziemców zabierze pracę ludziom, którym od ponad dziesięciu lat jej brakuje.

Kilku znajomych Ruby opuściło Londyn i pojechało walczyć po stronie republikanów w Hiszpanii. Inni wstąpili do RAF - u. Żydowscy przyjaciele - naukowcy i pisarze, którzy podczas zamieszek w latach trzydziestych uciekli do Londynu - z obawą zerkali na drugą stronę kanału La Manche i kupowali bilety do Nowego Jorku, po czym całowali Ruby na pożegnanie i obiecywali pisać.

Sara i Anton wynajmowali pokój w jednym z domów stojących w labiryncie ulic za Euston Station. Rano budził Sarę stukot kopyt koni mleczarza i pośpieszne kroki pasażerów usiłujących zdążyć na pociąg. Jej wzrok wędrował w stronę Antona, który spał obok. Podpierała się łokciem i sprawdzała, czy uda jej się obudzić go samym tylko spojrzeniem, a kiedy otwierał oczy, przyciągał ją do siebie i całował, wybuchała szczęśliwym śmiechem.

Anton pokazywał jej Londyn - jakże różny od tego, który знаła od urodzenia. Jego przyjaciele, w znacznej mierze uchodźcy, mieszkający w uboższych dzielnicach miasta, stali się również jej przyjaciółmi. Byli to dziennikarze i dramaturdzy, działacze związkowi, ekonomiści, muzycy i naukowcy. Większość z nich żyła z dnia na dzień. Wiele kobiet pracowało w charakterze pomocy domowych. Ci ludzie opowiadali o rodzicach zagnanych bez żadnego dobytku na zardzewiałe statki na Dunaju, o braciach w obozach koncentracyjnych lub siostrzyczkach wyrzucanych w ramiona obcych ludzi z pociągów przewożących Żydów z Wiednia do Amsterdamu. Robiła im kawę i podziwiała zdjęcia - tak często oglądane, że ich rogi zaczęły się wycierać.

Pewnego poranka Sara i Anton pojechali pociągiem do Bexhillon - Sea, żeby obejrzeć De La Warr Pavilion, lśniący pałac z betonu, szkła i stali z widokiem na morze.

- Kiedyś - powiedział Anton - zbuduję ci taki dom. Przestronny dom, pełen światła. Będzie stał nad jeziorem w środku lasu, a my już zawsze będziemy razem, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Edwardem wstrząsnęło nagłe pojawienie się Antona. Sara przedstawiła mu Wolffa pewnego wieczoru w kawiarni. Edwardzie,

poznaj Antona. Antonie, to mój serdeczny przyjaciel Edward. Edward zdołał wymruczeć jakieś słowa powitania.

Sara założyła, że Anton i Edward zostaną przyjaciółmi. I z pozoru faktycznie tak było. Wolff pytał Edwarda o radę w kwestiach związanych z wynajęciem pokoju lub wypełnieniem jakichś formularzy. Kiedy Sara była w pracy, obaj mężczyźni szli czasami na piwo. Edward grał oddanego przyjaciela, bo i cóż innego mógł zrobić? Wiedział, że w przeciwnym razie nie będzie mógł widywać Sary, a tego nie mógłby znieść.

Wolffa nie znosił serdecznie. Cierpiał na widok Antona otaczającego Sarę ramieniem lub całującego ją. Zdaniem Edwarda, Wolff był przystojny, co tak pociągało kobiety, i zachowywał się z naturalną swobodą, którą on usiłował sobie przyswoić, bezskutecznie, niestety. Nie był jednak wystarczająco dobry dla Sary. Edward widział jego wytarte ubrania, wiedział o braku pracy i dochodów. Raził go nawet akcent Antona i rzadkie pomyłki językowe. Anton był inny.

Edward marzył, by można cofnąć czas. Gdyby ten Wolff został w Austrii, niewykluczone, że on miałby jakieś szanse. Gdyby się tu nie zjawił, być może jemu, Edwardowi, udałoby się zdobyć miłość Sary.

W Porthglas Isabel zdawało się czasem, że powróciła do swej dawnej samotności z młodych lat. Miała świadomość, że otoczenie nie pochwała jej zachowania, co zapewne wynikało z tego, że wybrała życie z dala od męża. Nie szkodzi, i tak nie miała ochoty wiązać się z żadną grupą. Wiele lat wcześniej, w Lynton, była przedmiotem plotek i przez całe lata małżeństwa czuła, że praca w charakterze gospodyni domowej nie pozwala jej stać się pełnoprawnym członkiem kręgu przyjaciół Richarda. Owa odmienność nie była miła, więc cieszyła ją samotność, odczuwana znacznie mniej boleśnie w wieku lat czterdziestu dziewięciu niż dwudziestu.

Czuła coraz większą ulgę, że nie musi już udawać kogoś, kim nie jest. Tę ulgę przynosił spokój obecnej egzystencji, brak burz i sztormów. Życie w pojedynkę było łatwiejsze, mniej kłopotliwe. Okres złości miała już za sobą, więc czuła, że osiągnęła równowagę. Ulgą była nawet ucieczka od napiętych stosunków małżeńskich - zdała sobie sprawę ze swego nieustannego strachu, że może stracić Richarda. Cóż, straciła go, czegoż więc jeszcze może się bać? W

czasie wspólnego życia szarpały nią silne emocje. Miłość czasem dawała radość, lecz częściej smutek.

Kornwalii nie opuszczała niemal wcale. Nie musiała też już dłużej ukrywać swej niechęci do Londynu. Cieszyły ją porządek i cisza w domu. Radość sprawiał jej fakt, że rzeczy leżą dokładnie tam, gdzie je odłożyła - nie było gubienia nożyczek ani kleju, żadnych brudnych kubków w salonie czy ogrodzie. Eleganckie ubrania wisiały w szafie, pozbawione możliwości kontaktu ze światem. Rzadko również zaglądała do kasetki z biżuterią. Cóż za ulga, że nie ma służby, że już nie musi żyć pod ostrzałem krytycznych, uważnych spojrzeń i że nikt już nie będzie plotkował na jej temat w kuchni. Pani Spry nie traktowała jak służącej. Mówiły sobie po imieniu i zostały przyjaciółkami, które spędzają czas na wspólnej pracy i rozmowie.

Mogła również, po raz pierwszy od tylu lat, zacząć poszukiwać wiadomości o losie swego dziecka, oddanego obcym ludziom wiele lat wcześniej. Napisała do rodziny Wellbeloved w hrabstwie Lancaster, prosząc o jakieś informacje. Pamiętała ich adres: wyrył się głęboko w jej sercu.

Kilka dni później list powrócił nieotwarty z adnotacją: „Adresat nie mieszka pod tym adresem”. W następnym tygodniu Isabel pojechała do Lancaster. Poszła do domu Wellbelovedów. Sąsiedzi potwierdzili, że rodzina wyprowadziła się wiele lat temu, jeszcze podczas wojny. Nie, powiedziała Isabel sąsiadka, nie wie, dokąd pojechała rodzina. Tak, pamiętała córkę tej rodziny, śliczną, czarnowłosą dziewczynkę.

Również od pozostałych sąsiadów ani sklepikarzy Isabel nie udało się uzyskać więcej informacji. Wsiadła w pociąg na południe. Już w wagonie zdała sobie sprawę, że właściwie nie może mieć nadziei na powodzenie poszukiwań. Nie miała pojęcia, dokąd udała się rodzina Wellbelovedów. Mogli wyjechać z kraju, mogli nawet umrzeć. A jak miała znaleźć własne dziecko, skoro nawet nie знаła jego imienia? Nowi rodzice zapewne nadali mu inne imię, jej córka, która niedawno skończyła trzydzieści lat, mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko. Leżąc wieczorem w łóżku, szukała Richarda, tęskniła za nim, co w ciągu dnia udawało jej się ukryć. Była również zła, że nie ma go przy niej, w czasie gdy tak bardzo potrzebuje jego siły, jego pewności.

Dzięki temu udało jej się jednak podjąć pewną decyzję. Musiała podpisać dokumenty potwierdzające jej status żony w separacji. Isabel umówiła się na spotkanie w kancelarii adwokackiej przy Throckmorton Street i w przeddzień wsiadła w pociąg do Londynu. Wsiadła na stacji Paddington, skąd dojechała metrem na Sloane Square i dalej pieszo poszła na Cheyne Walk.

Po wielu tygodniach w Kornwalii Londyn wydawał jej się hałaśliwy, zatłoczony. Zatrzymała się na chwilę obok Royal Hospital w Chelsea, stawiając torbę na ziemi. Stwierdziła, że się nie boi. Żałowała jedynie, że nie zrobiła tego wcześniej.

- Jennifer - wyszeptała Isabel. - Jennifer Finborough.

Uznała, że to cudowne imię. Imię z Kornwalii, odmiana angielskiej Guinevere. Dziecko urodziło się we wrześniu, lecz ona, zbyt dumna i zasadnicza, odmówiła kontaktu z nim, tracąc pierwsze ważne miesiące.

Już zbyt wiele rozstań przeżyła, by pozwolić jeszcze i na to. Być może obecność wnuczki w jej życiu - a także, przypomniała sobie niechętnie, synowej - trochę ją rozweseli. Ale jeśli nie pokocha Elaine, straci Philipa, teraz wiedziała to na pewno.

Na Cheyne Walk Isabel zatrzymała się przed drzwiami domu Philipa i Elaine. Zapukała.

W marcu 1939 roku wojska niemieckie przejęły pozostałą, najśłabszą, część Czechosłowacji. Zaraz po inwazji aresztowano pięć tysięcy obywateli. Polska pozostawała w układzie sojuszniczym z Wielką Brytanią. W kwietniu parlament Wielkiej Brytanii uchwalił ustawę o szkoleniu wojskowym, wprowadzającą obowiązek służby wojskowej dla dwudziestolatków. Przyjaciele Ruby i młodszy bracia tych przyjaciół wyjechali na obozy wojskowe. W Nineveh armia uwolniła George'a Drake'a spod tyranii Maude Quinn.

W drodze do domu Ruby codziennie kupowała wieczorne gazety. Szukała wiadomości o sojuszach, paktach, gwarancjach, groźbach. Z Lewisem spotykała się rzadko i na krótko w barach lub w odosobnieniu jego mieszkania, a terminy tych spotkań trudno było przewidzieć ze względu na jego pracę. Na niebie połyskiwały balony zaporowe, a ze skrzynek na listy wysypywały się ulotki o następujących tytułach: „Środki ochrony przeciwpożarowej w czasie wojny”, „Twoja maska gazowa”, „Zasłanianie okien”. Przy centrach obrony przed atakami powietrznymi ułożone były worki z piaskiem,

na ulicach i w parkach pojawiły się schrony, a pod trawnikami i rabatkami w ogrodach urządzano schrony prywatne. W Chelsea odbywały się akurat ćwiczenia obrony cywilnej, wyły syreny, a przechodnie tłoczyli się w odgradzonych linami miejscach.

Ciepły i suchy sierpień. Dwudziestego trzeciego sierpnia, ku zaskoczeniu świata i przerażeniu zaprzyjaźnionych z Ruby komunistów, Niemcy i Związek Radziecki podpisały pakt o nieagresji. Telegraficznie wzywano żołnierzy rezerwy, a urlopowicze opuszczali pensjonaty i hotele i pośpiesznie wracali do domu. Skrócono wakacje parlamentarne, zmobilizowano flotę i uruchomiono plany ewakuacji. Półtora miliona dzieci wraz z nauczycielami, a także matki z niemowlętami wysłano autobusami lub statkami na południowe wybrzeże, do przybrzeżnych miast i wsi, z dala od zagrożeń związanych z bombardowaniem. Idąc do pracy w piątkowy poranek, Ruby zobaczyła małe twarzyczki, przyciśnięte do okien autobusów, długie węże dzieci w drodze na londyński dworzec. Na szkolnych ubrankach bądź swetrach naszyte były plakietki z nazwiskami. Wszystkie dzieci niosły maski przeciwgazowe i ubrania zapakowane w niewielkie walizki, plecaki bądź powłoczki na poduszkę. Na stacji megafony polecały dzieciom jak najszybciej zająć miejsca w pociągu i nie zbliżać się do drzwi wagonów. Choć kilkoro dzieci płakało, większość wydawała się wyraźnie podniecona. Jednak matki, które przyszły pomachać swoim pociechom na pożegnanie, były blade i przygnębione, a kiedy wychodziły ze stacji, ich oczy błyszczały od łez.

Pierwszego września Niemcy przekroczyli granicę Polski, a Luftwaffe zbombardowała Warszawę. Dwa dni później, trzeciego września rano, Brytyjczykom polecono słuchać radiowego przemówienia premiera. Ruby właśnie prała, prasowała i sprzątała. Jej uszu dobiegały odległe głosy rozmów i dźwięki radia z innego pokoju w budynku, przypominające bzyczenie os. Na zewnątrz panował duszący upał. W pokoju na stole stał bukiet chryzantem, w miednicy moczyły się pończochy, obok nietknięta tego dnia maszyna do pisania, żelazko przesuwające się po bawełnianej i lnianej odzieży, a radio, bo jakże by inaczej, napiętym głosem Neville'a Chamberlaine'a oznajmiło, że Wielka Brytania jest w stanie wojny z Niemcami.

W radiu rozległ się hymn narodowy, a Richard stojący w salonie przypominał sobie, co wojna zrobiła z jego pokoleniem. Rozmyślał o

tych wszystkich kolegach ze szkoły, którzy na zawsze zostali we Flandrii, o majorze Woodsie, o Nicholasie i jego szalonym skoku do brytyjskich okopów, o kapitanie Buxtonie, który był z nimi zaledwie przez tydzień, a którego zapamiętał jako porośniętą jasnymi włosami głowę ubrudzoną błotem i krwią. Myślał o Freddie McCrorym z podpiętym pustym rękawem. Myślał o mężczyznach, którzy nadal zebrali na ulicach, szaleńcach i kalekach, o tych, którzy po zakończeniu wojny nie potrafili powrócić do rzeczywistości. Popatrzył na swoją dłoń i ujrzał bliznę w miejscu, gdzie przeszła ją kula.

Zawyła syrena ogłaszająca alarm lotniczy, lecz Richard nie ruszył się z miejsca. Pomyślał o Philipie i Theo, i o tym, co ta wojna może zrobić z jego synami. Mocno ścisnął głowę palcami i zamknął oczy.

Pod koniec września Anton dostał pismo z policji. Miał się stawić przed komisją, która określi jego status cudzoziemca z wrogiego kraju. W październiku zgłosił się na przesłuchanie; odbywało się ono w miejscowej szkole, teraz opustoszałej, gdyż wszystkie dzieci zostały ewakuowane. Antonowi nie pozwolono na pomoc prawnika, w charakterze świadka poszedł z nim jednak Peter Curthoys.

Sara była w pracy. Śledziła wzrokiem każdego wchodzącego. Wszystkim cudzoziemcom stającym przed komisją przyznawano kategorię A, B lub C. Cudzoziemcy kategorii A uznawani byli za zagrożenie dla państwa i poddawani natychmiastowemu internowaniu. Kategoria B oznaczała średnie zagrożenie, C - niskie. Peter Curthoys wielokrotnie zapewniał Sarę, że nie ma powodu, by Anton otrzymał kategorię A.

- Saro, to tylko formalność - zapewniał z przekonaniem tego ranka. - Kilka godzin i będziesz go miała znów przy sobie, nic się nie martw.

Godziny jednak ciągnęły się w nieskończoność, dwie, trzy, cztery, a ona cała drżała ze zdenerwowania, pamiętając, że nie zawsze mieli z Antonem szczęście.

O drugiej otworzyły się drzwi i obaj weszli. Podbiegła, a Anton wziął ją w ramiona.

- Dużo czekania - wyjaśnił, całując ją. - Widzisz, jestem wolnym człowiekiem.

- Ten dureń przewodniczący dał mu kategorię B - dodał Peter. Z hałasem odłożył aktówkę na stolik. - To idiota. Absolutny idiota.

W kawiarni nie było żadnych innych klientów. Sara zrobiła kawę i usiedli przy oknie. Peter powiedział, że przewodniczącym był adwokat. Początkowo wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Peter wystawił Antonowi wspaniałą opinię, odczytano inne tego typu pisma,! wszystkie poświadczające nienawiść Antona do nazistowskiego reżimu, pobyt w więzieniu i śmierć jego ojca z rąk nazistowskich łotrów.

A potem zapytano Antona o przekonania polityczne. Przewodniczący powiedział, że otrzymał informacje o jego zaangażowaniu w działalność grup lewicowych, a dokładniej socjalistycznych.

- Ten facet to zatwardziały konserwatysta - oświadczył Peter z westchnieniem. - Zapewne nie ufa czerwonym tak samo jak nazistom.

Anton przyznał się do przynależności do austriackich organizacji socjalistycznych. Wyraził jednak również swe poparcie dla pokojowych metod wprowadzania zmian politycznych i podziw dla kraju, w którym znalazł schronienie.

I w tym momencie przewodniczący niespodziewanie zapytał:

- Czy to prawda, że w czasie swego pobytu w Wielkiej Brytanii utrzymuje pan niemoralne stosunki z młodą zamężną Angielką z dobrej rodziny i że pozwala jej się pan utrzymywać?

Anton zaniemówił na chwilę. Przewodniczący wyjaśnił, spoglądając na niego z niesmakiem, że przedstawiono mu dowody owego zakazanego romansu, romansu, w który zaangażowana była matka małego chłopca.

- Sara, on wiedział o tobie wszystko - powiedział Peter z wściekłością. - Bóg raczy wiedzieć skąd.

- Co powiedziałaś? Anton wzruszył ramionami.

- Powiedziałem mu prawdę, co innego mogłem zrobić? Przyznałem, że jesteś mężatką i masz dziecko, lecz twoje małżeństwo rozpadło się bezpowrotnie. I że zawsze starałem się zarobić na nasze utrzymanie. Choć nie szło mi najlepiej, wiem to.

- Anton... - Peter położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Kochanie - odparła Sara, całując go - to nieprawda. Z nikim nie byłabym szczęśliwsza.

Na przewodniczącym jednak nie zrobiło wrażenia oświadczenie Antona i przyznał mu kategorię B.

- Nie ma jasno określonych zasad nadawania kategorii - wyjaśnił Sarze Peter. - Niektórzy uczestnicy komisji oceniają charakter i opinię. Inni kierują się swoimi uprzedzeniami politycznymi.

Anton ucałował dłoń Sary.

- B czy C, kogo to interesuje? Jestem wolny i jesteśmy razem. Choć nie będziemy mogli jeździć na wybrzeże. Nie wolno mi oddalać się od domu na odległość większą niż pięć mil. Jak również posiadać samochodu ani aparatu fotograficznego, lecz w końcu i tak nie mogę sobie na to pozwolić. Aha, i oczywiście żadnych map, taki niebezpieczny typ jak ja nie może mieć mapy.

- Moglibyśmy złożyć odwołanie - zasugerował Peter, lecz Anton pokręcił głową.

- Nie. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Gdy wracali autobusem do domu, Sara wyglądała przez okno. Nie było jednak widać zbyt wiele, gdyż zapadł już zmierzch, a z powodu zaciemnienia nie zapalano świateł samochodowych ani latarni ulicznych, więc domy, pojazdy i ludzie niknęli w ciemności.

Przewodniczący wiedział o tobie wszystko, powiedział Peter. Bóg wie skąd.

Ale ona też wiedziała. Któż inny niż ta jedna jedyna osoba, która tak bezwzględnie rozdzieliła ją już wcześniej z ukochanym, mógłby przekazać komisji te informacje? Zrobił to jej ojciec. Złość mieszała się w niej z żalem. Jak niewiele brakowało, by straciła Antona po raz drugi. Splotła palce z jego palcami, łącząc się z nim na zawsze.

Stara suka odeszła w nocy. Hannah znalazła ją zwiniętą w gąszczu chwastów przy stodole, zupełnie jakby ta znalazła sobie wygodne miejsce i tam zdecydowała się umrzeć.

Na wieść o śmierci Bonny matka zalała się łzami. Maude Quinn płakała jedynie z powodu psów, żadnego innego. Hannah nie miała dość sił, by przenieść Bonny na miejsce, gdzie miała zostać pochowana, a matka chodziła o lasce, więc zawięły psa w koc i zaciągnęły go za zabudowania, a potem dalej przez sad.

Cmentarz dla zwierząt znajdował się w pewnym oddaleniu od domu, na skraju pola. Pomiędzy czarnymi płytami nagrobków Maude Quinn posadziła krzewy i kwiaty. Teraz przechadzała się po cmentarzu, wybierając miejsce dla Bonny.

- Tutaj - orzekła, wskazując wilgotną ziemię pod krzakiem wawrzynu.

Hannah zaczęła kopać. Matka przyglądała się oparta na lasce. Hannah czuła smak goryczy w ustach. Na czoło wystąpiły jej krople potu. Zagapiła się w wykopany dół i dopiero uderzenie laski zmusiło ją do podjęcia pracy. Zagłębiając łopatę w ziemi, bała się, że odkopie... coś. Może kość. A może czaszkę o pustych oczodołach.

Ale nic nie znalazła. Kiedy wykop był już wystarczająco głęboki, Hannah przyciągnęła do niego Bonny. Ciało suki wpadło do środka z głuchym odgłosem. Hannah miała właśnie wrzucić pierwszą łopatę ziemi, gdy matka przypomniała oschle:

- Koc, zapomniałaś o kocu. Nie można zmarnować porządnego koca, ty głupia dziewucho!

Hannah uklękła nad otwartym grobem i wyciągnęła koc spod ciała psa. Dopiero wtedy zasypała grób ziemią, wyrównując ją tak, by uzyskać gładką powierzchnię.

Część czwarta
Rzeka i morze
1940 - 1942

Rozdział 13

Kwiecień w Paryżu, późne popołudnie. Promienie słońca połyskują na młodych liściach platana, a Aleksandra zapina bluzkę, oznajmiając przy tym, że ma zamiar wyjechać do północnej Afryki.

- Może do Casablanki. Nigdy tam nie byłam. Wstała i zebrała resztę ubrania, które zrzuciła z siebie godzinę wcześniej. Theo był zachwycony faktem, że nigdy nie zaprzętała sobie głowy zachowaniem zwykłej kolejności ubierania się, lecz całkiem nieskrępowana spacerowała po pokoju w samej tylko bluzce i skromnym sznurku pereł.

Theo zapytał, bo coś musiał przecież na to powiedzieć:

- A co z nami?

- Z nami, Theo, kochanie? - zdziwiła się Aleksandra, wsuwając na rękę dwie złote bransoletki.

- Tak, z nami. - I nagle to do niego dotarło. - Czy też po prostu założyłaś...

- Ja nic nigdy nie zakładam, wiesz przecież, cheri. Ale ty ułożysz sobie życie po swojemu, jak zwykle zresztą.

Theo był zakłopotany. Aleksandra włożyła majtki i spódnicę, po czym roześmiała się i powiedziała:

- Nie martw się tak bardzo. Przecież cię kocham, wiesz o tym. - Chodź tu. - Usiadła mu na kolanach, a on ją pocałował.

- Ja też cię uwielbiam - powiedział. Przyjrzała mu się z uwagą.

- Ale mnie nie kochasz. Nigdy nie mówisz „kocham”.

- Ale tak jest.

- Tak, tylko że tego nie mówisz. - Machnęła ręką, by uciszyć dalsze protesty Theo. - Jesteśmy tacy sami, lubimy być w ruchu, nie chcemy żyć w pułapce.

- Nie jesteś dla mnie pułapką.

- Wiem, kochanie. Ale gdybyś zabrał mnie ze sobą do Anglii, być może czułbyś się zmuszony ze mną ożenić.

Pocałował ją w ucho.

- Kto powiedział, że wracam do Anglii?

- A nie? - Wbiła w niego swe ciemne oczy.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. - To było oczywistym kłamstwem.

Wstała i schyliła się, by naciągnąć pończochy.

- Kiedy przyjdą Niemcy, zostaniesz internowany. Theo, jesteś Anglikiem, i tak właśnie się stanie. Musisz jechać do domu.

- Niemcy nie dojdą do Paryża.

- Wierzysz w to?

Wstał i podszedł do okna. Pokój był całkiem spory, lecz brakowało w nim światła i przylegał do łazienki, słychać więc było syk piecyka gazowego i szum wody. Theo wynajmował go już od dwóch lat, co było najdłuższym okresem, jaki od wyjazdu z domu spędził w jednym miejscu. Było ciepło, czuło się obietnicę nadchodzącego lata. Lubił stawać w otwartym oknie i przyglądać się stromym, brukowanym uliczkom, sznurom z praniem rozciągniętym między domami, mężczyznom wylegającym z baru naprzeciwko. Lubił słuchać stuku kobiecych obcasów na bruku, klaksonów Citroenów i renówek, krzyków bawiących się dzieci.

W ostatnim czasie jednak nieustannie słuchał radia, którego głos przedzierał się przez hałas ulicy. Również teraz było włączone. Kochając się z Aleksandrą, wyciągnął rękę i zgasił je. Kiedy było już po wszystkim i przytuleni leżeli na łóżku, dziewczyna włączyła je ponownie.

Właśnie to ludzie teraz robią, pomyślał. W barach, biurach i sypialniach całej Francji wszyscy słuchają radia.

Tydzień wcześniej Niemcy najechali Danię. Wkrótce potem wojska niemieckie wkroczyły do Norwegii. Wałki o Norwegię trwały. Wojska brytyjskie wylądowały w pobliżu Narwiku, w celu wzmocnienia oporu wysłano również jednostki francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Theo zapytał:

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro.

- Saszo...

- Wasilij jedzie jutro do Marsylii. Zaproponował, że mnie ze sobą zabierze. Muszę wyjechać z Paryża, cheri, rozumiesz to przecież, prawda?

- Nie jedź.

Dotknęła swego garbatego noska.

- Pamiętaj, że jestem w pewnym stopniu Żydówką. Tylko odrobinę, ale i tak się boję.

Zaskoczył go fakt, że zależy mu aż tak bardzo. Patrzył, jak Sasza przeciąga grzebieniem po swych gęstych czarnych włosach.

- Chodzi o to - dodała, patrząc na niego z rękami na biodrach - że każdy z nas będzie musiał coś zrobić. Nawet ty, skarbie, będziesz musiał podjąć jakąś decyzję. Chcę powiedzieć, że wszyscy stoimy przed wyborem: albo walka, albo posłuszeństwo. Albo stawimy opór, albo będziemy musieli słuchać rozkazów. - Szybkim ruchem otworzyła puderniczkę, przejechała po wargach pomadką. - Nie da się stać z boku, Theo. Nie pozwól ci się tylko przyglądać.

Theo stwierdził, że będzie bardzo tęsknił za tą wysoką, ciemną Saszą. Za jej kocim wdziękiem, kiedy rano przeciągała się w jego łóżku i zrzucała z siebie pościel. Za pocałunkami na pożegnanie, gdy zanurzała dłonie w jego włosach, przyciągając go do siebie, jakby chciała go w siebie wchłonąć.

- Pojadę z tobą - powiedział.

- Nie. - Pocałowała go w usta. - Gdybyśmy tego chcieli, zaplanowalibyśmy to przecież wspólnie, prawda? Ale tego nie zrobiliśmy.

Theo był redaktorem magazynu filmowego. Pisał sam większość ukazujących się w nim artykułów. Pismo jednak przestało się ukazywać, kiedy jego właściciel, bogaty Belg, zdecydował się wyjechać na południe.

- Widziałem to już w dziewięćset czternastym - oznajmił, klepiąc Theo po ramieniu. - I jakoś niespecjalnie mam ochotę oglądać ponownie.

Theo zwykle nie martwił się chwilowym brakiem pracy, wykorzystywał ten czas na podróżę lub szukanie innego, ciekawszego zajęcia. Choć nieustannie wracał do Paryża, nie był to jego dom. Opuszczał to miasto w rozmaitych okolicznościach - przyjaciel przyjaciela chciał wydać serię słowników nazw geograficznych, w związku z czym potrzebował kogoś, kto mógłby zjeździć Europę wzdłuż i wszerz pociągiem. Baronowa z wykształceniem botanicznym zatrudniła go do rysowania roślin rosnących w jej ogrodzie na Lazurowym Wybrzeżu. Gnany pragnieniem oglądania krajów ciepłych i zimnych, z dala od ulic, domów, miast, zawsze spadał na cztery łapy. Czasem wiodło mu się lepiej, czasem gorzej. Niespokojny duch, myślał o sobie.

Teraz jednak, bez pracy i bez Aleksandry, nie czuł się już po prostu niespokojnym duchem. Nie wiedział, co ze sobą począć. Wszyscy dookoła snuli jakieś plany. Jeśli wydarzy się to, zrobimy tamto, a jeśli stanie się tamto, zrobimy jeszcze coś innego. Nawet pozostanie w Paryżu i wykonywanie codziennych czynności jakby nigdy nic wymagało podjęcia decyzji. Wiedział, że powinien robić to co inni. Jeśli Hitlerowi nie wystarczą Polska, Dania, Norwegia... jeśli wojska niemieckie przejdą przez Holandię i Belgię... Cóż, wtedy nie będzie już żadnego „jeśli”, raczej „kiedy”, bo dlaczegoż miałby zatrzymać się teraz, kiedy wszystkie tamte kraje nie zdołały stawić oporu?

Nawet ty, kochanie, będziesz musiał podjąć decyzję. Słowa Aleksandry odbijały się echem w jego głowie. Wiedział, że nie lubi stać w szeregu, nie lubi podpisywać się pod niczym.

Wieczór spędzony w towarzystwie znajomego z ambasady brytyjskiej u Fouqueta na Polach Elizejskich. Rozmawiali o Norwegii.

- Totalny chaos - podsumował znajomy i dopił resztkę marca. - Ale niech to zostanie między nami.

Siedzieli w rogu sali. Po przeciwnej stronie bogaty bankier zabiegał o względy przyszłej kochanki, pojąc ją różowym szampanem.

Znajomy dodał:

- Brakuje samolotów, a Francuzi nie mają nawet odpowiedniej odzieży, na miłość boską. Jeśli Norwegia padnie, Chamberlain się nie utrzyma, wiesz? - Gestem poprosił kelnera o nową porcję alkoholu. - Jeszcze parę tygodni przedtem, nim Niemcy zbombardowali nasze statki na Scapa Flow, zrzucaliśmy te cholerne ulotki nad Hamburgiem.

Kelner przyniósł drinka, znajomy zaproponował papierosa. Błysk ognia. Tuż obok potencjalna kochanka bankiera, w futrze i jedwabiach, roześmiała się głośno.

Theo zapytał:

- Jak długo to, twoim zdaniem, potrwa?

- To znaczy, kiedy zaczniemy palić akta? - odparł tamten z krzywym uśmiechem. - Tygodnie, miesiące, któż może wiedzieć? - Pracownik ambasady, zwykle tak sympatyczny, przechylił się przez stół i wbił w Theo swe nieustępliwe, jasnobrązowe oczy. - Theo, ile ty masz lat?

- Dwadzieścia osiem.

- W Wielkiej Brytanii biorą teraz do dwudziestego szóstego roku życia. Twój rocznik będzie w następnym poborze. Na twoim miejscu bym tam wrócił. Jeśli już chcesz się zaciągnąć, zostaw sobie jakiś wybór, wiesz, o czym mówię. Nie chcesz przecież skończyć w jakimś okopie, prawda? A jeśli będziesz za długo zwlekał, mogą być kłopoty z biletami.

Pożegnalny spacer po Paryżu. Nie po miejscach zwykle odwiedzanych przez turystów, lecz po jego własnych, po ulubionych barach, studiach i kawiarniach, w których spotykał się z przyjaciółmi.

Był zdania, że bez względu na to, jak wojna się potoczy, pewne rzeczy pozostaną niezmiennie - biznesmeni będą się spotykać ze swymi kochankami o tradycyjnej porze, między piątą a siódmą, w sypialniach ciężkich od aksamitów i frędzli, u Fouqueta podstarzali bankierzy będą się zalecać do pięknych dziewcząt, stawiając im różowego szampana. Jego przyjaciele nadal będą prowadzić filozoficzne rozmowy, które tak bardzo go wciągały w początkowym okresie pobytu w Paryżu, kiedy miał zaledwie dziewiętnaście lat, szkolny akcent i marzenia o zostaniu artystą, przy czym całe jego życiowe doświadczenie ograniczało się do pobytu w zimnym internacie i półrocznej pracy w fabryce Finborough. Owe dawne marzenia już się rozwiały, lecz Theo ciągle uwielbiał paryską francuszczyznę, jej wykwinność, głębię i ekstrawagancję, paryski sposób prowadzenia rozmów, które stawały się rozlewne pod wpływem papierosów i wina, i nieustannie zmieniały temat, wprowadzały w ślepą uliczkę lub przeciwnie, ukazywały nowe horyzonty. Pierwszego wieczoru w Paryżu, jak sobie przypominał, mówił tak dużo, że rano obudził się z bólem gardła.

Miał szczęście. Zaprzyjaźniony pracownik ambasady pod koniec tygodnia odlatywał do Anglii, a w samolocie było jeszcze jedno miejsce. Podczas lotu nad kanałem La Manche Theo usiłował nie patrzeć w dół i podjął stanowczą decyzję: nie wstąpi do RAF - u.

- To twój pierwszy lot, prawda? - zapytał znajomy wesoło. - Jeśli masz zamiar wymiotować, to nie na moje buty.

Od pilota Theo dowiedział się, że dwadzieścia osiem lat to i tak za dużo, by go wzięli do RAF - u. Chcieli chłopców zaraz po szkole.

- Szybciej reagują, to proste! - krzyknął pilot przez ramię, a Theo aż zbiały kostki dłoni. - Takie dzieciaki nie wiedzą, co to strach.

Wylądowali w Kent. Na pracownika ambasady i jego pudła oraz walizy czekał błyszczący czarny humber, który miał go zabrać w jakieś bliżej nieokreślone miejsce. Żegnając się z Theo, mężczyzna otaksował go wzrokiem i dodał:

- Płynnie mówisz po francusku, prawda? Możesz uchodzić za Francuza. Kto wie, czy to się nie przyda. - Podał mu wizytówkę. - Będziemy w kontakcie, przyjacielu.

W pociągu do Londynu tłoczno było od ubranych w mundury khaki żołnierzy. Theo wcisnął się ze swoim plecakiem w jakiś wolny kąt na korytarzu i zamknął oczy.

Dzwonek zadzwonił, kiedy Ruby malowała usta. Zbiegła na dół i otworzyła drzwi wejściowe.

- Theo! - krzyknęła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Już na górze zdjął plecak i Ruby mogła mu się przyjrzeć dokładnie. Theo był wysoki i smukły, jego ciemne, proste włosy wydawały się odrobinę za długie, lecz wyglądał równie elegancko jak zawsze, nawet mimo pomiętej odzieży. Uprzytomniła sobie, że nie widziała go od kilku lat, trudno było ocenić zmiany, jakie w nim zaszły.

- Sherry? - zaproponowała.

- Wolałbym herbatę.

- Jesteś jakby trochę zielony. Mocno wiało na morzu?

- Przeleciałem nad kanałem La Manche.

- Leciałeś samolotem? Ty szczęściarzu! Zrobiła herbatę, podała herbatniki.

- Perły czy granaty? - spytała, przykładając po kolei obie pary kolczyków do twarzy.

- Granaty. A kim jest twój wybranek?

- Nazywa się Lewis Gascoigne i jest boski. Pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jest żonaty, ale nie mieszka z żoną. Dlatego czuję się taka dojrzała i wyrafinowana.

Włożyła okulary, żeby sprawdzić, czy dobrze wygląda, a kiedy uznała, że tak, odwróciła się do Theo.

- I jak?

Spacerował po pokoju, oglądając płyty i książki. Teraz zamrugał i spojrzał na nią przytomniej.

- Wyglądasz wspaniale.

Sprawił jej przyjemność: pochwalił ją członek rodziny Finborough. - Jak Sasza?

- Rozstaliśmy się.

Odrobina pudru. Ruby oznajmiła chłodno:

- Nigdy nie wydawała się odpowiednią kobietą dla ciebie.

- Zupełnie nie wiem dlaczego.

- Całkiem niewłaściwą. Zbyt... zbyt wysoką. Theo, czy ona złamała ci serce?

- Odrobinę. Cóż, szczerze mówiąc, Ruby, to jestem do szaleństwa zakochany w tobie, inne kobiety to jedynie rozwiązanie zastępcze.

Rzuciła w niego poduszką. Theo zapytał:

- A ten twój facet, Lewis, jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie?

- Pewnie nie - przyznała. - Ale świetnie się bawię w jego towarzystwie.

- A widzisz się z resztą rodziny? Włożyła puderniczkę i szminkę do torebki.

- Dość często spotykam się z Sarą. I oczywiście z Antonem. Chociaż w ich towarzystwie robi mi się niedobrze, bo nieustannie się dotykają i zwracają się do siebie per „misiu” albo „kotku”.

- Chyba są zakochani.

- I to jak. Powinam zajrzeć do Philipa i Elaine, ale ostatnio byłam bardzo zajęta. Dziecko jest urocze, naprawdę słodkie. Byłeś już w domu?

Pokręcił głową przecząco.

- To mój następny przystanek.

- Możesz się przespać u mnie na sofie, jeśli chcesz.

- To miłe z twojej strony, ale muszę pójść do ojca.

- Co u niego słychać?

- Nie wiem. Nie widziałem go od Bożego Narodzenia, a on nie pisze. Święta były okropne. Tylko ja i on. Oczywiście pokłócił się ze wszystkimi innymi. Usiłowałem przekonać go do pojednania z Sarą i Philipem, ale tylko na mnie naskoczył. Jego zdaniem, Sara jest dziwką, gdyż odeszła od męża i dziecka i żyje w grzechu, a Philipowi pewnie nigdy nie wybaczy. Poza tym, to znaczy poza małżeństwem Elaine, Philip sprzedał swoje udziały w firmie ojca, co dla niego jest

równoznaczne ze zdradą. - Theo zmienił temat, wskazując na stos zapisanych kartek na stole. - Co to takiego?

- Moja pierwsza powieść - odparła Ruby z dumą. - Nosi tytuł „Śmierć w d - moll”. Akcja toczy się wśród członków orkiestry symfonicznej. Zostało mi jeszcze kilka rozdziałów.

- Więc to nie romans?

- Nie, chciałam spróbować sił w powieści detektywistycznej. Nie wiem, czy ktoś będzie chciał to wydać. Nie mam teraz za wiele czasu na pisanie, a wydawcom brakuje papieru. - Włożyła szary zakieciak z czerwoną lamówką. - Czy Richard i Isabel kiedykolwiek wcześniej pokłócili się na tak długo?

- Chyba nie. Szczerze mówiąc, współczuję temu staremu diabłu. Tak naprawdę jest cholernie samotny.

- Biedny Richard. Kochanie, a teraz, niestety, muszę lecieć.

Theo wziął plecak i wyszli z mieszkania. Na pożegnanie Ruby powiedziała:

- Musimy się kiedyś wybrać na kolację.

- Lepiej się pośpiesz. Może nie zostanę tu długo. Spojrzała na niego z uwagą.

- Postanowiłem, że zaciągnę się do marynarki. Ruby była zaskoczona. A potem powiedziała:

- Theo, w granatowym mundurze będziesz na pewno wspaniale wyglądał. - Potem ucałowała go i oddaliła się.

Dziesiątego maja 1940 roku - dzień, który zmienił wszystko. Siły niemieckie wkroczyły do Belgii i Holandii. Rano Londyn otrzymał od rządów tych dwóch państw prośby o pomoc. Równie przełomowe wydarzenia miały miejsce w siedzibie parlamentu. Kilka dni wcześniej, podczas dyskusji na temat walk o Norwegię, pewien konserwatywny poseł, L.S. Amery, w swym przemówieniu skierowanym do Neville'a Chamberlaina zacytował słowa Cromwella: „Odejdź, mówię, i pozwól nam z tobą skończyć! Idź, na Boga!”. Coraz częściej domagano się rezygnacji Chamberlaina, a żądania te rosły niczym fala przyływu i żadna siła nie była ich w stanie powstrzymać. Miejsce Chamberlaina na czele koalicyjnego rządu zajął Winston Churchill.

Europa rozpadała się na części. Choć nie brakło Brytyjczykom serca do obrony Holandii i Belgii, siły niemieckie były zbyt potężne. Po raz drugi w ciągu dwudziestu pięciu lat ludzie musieli uciekać

przed armią najeźdźcy, unosząc swój dobytek w samochodach, na wozach i wózkach dziecięcych, na własnych plecach - a wszyscy kierowali się na południe. W całej Belgii widać było wojska, które przedzierały się przez lasy Ardenów, przez rzeki Mozę i Dyle, przy czym czołgi łamały drzewa, jakby to były zapalki, Luftwaffe zaś ostrzeliwała długie kolumny uchodźców. Ponieważ królowa Wilhelmina ze względu na bombardowania nie mogła dołączyć do swych sił w Zełandii, udała się do Wielkiej Brytanii, by prosić o większe wsparcie powietrzne. Wylądowała w Harwich i pociągiem dojechała do Londynu - na Liverpool Street Station czekał już na nią król Jerzy VI.

Dwunastego maja: internowanie obywateli Niemiec i Austrii, zamieszkujących w hrabstwach przybrzeżnych. Sara i Anton leżeli jeszcze w łóżku.

- Nie mogłabym cię stracić - rzekła Sara, ujmując twarz ukochanego w dłoń. - Nie dojdzie do tego, prawda?

- Może dojść - odparł. W gazetach pisano o piątej kolumnie, o wrogu wewnątrz państwa.

- Nie zniosę tego, nie tym razem. - Przyłgnęła plecami do jego torsu, a on otoczył ją ramionami. Gładził krągłości jej ciała - piersi, brzuch, uda. Poczwała, jak się napręza, a kiedy w nią wszedł, westchnęła i zamknęła oczy.

Kiedy minęło już uniesienie, Anton pomyślał o więzieniu, strażach, biciu i coś w nim stężało z przerażenia. Nie, pomyślał. Nigdy więcej.

Przygotowali plan. Zdradzili go jedynie swym najbliższym przyjaciółom - Ruby, Edwardowi Carringtonowi i Peterowi Curthoysowi, czyli osobom, które mogły czuwać nad całą sytuacją, które były w stanie określić, skąd wiatr wieje.

Spacerując po Londynie, rozglądali się za opuszczonymi lokalami, za zrujnowanymi budynkami z dala od ludzi. Miejskami, gdzie mógłby się ukryć, gdzie mógłby przeczekać, dopóki sytuacja się nie poprawi. Wystarczyło, że będzie mógł widzieć błękit nieba.

Czternastego maja: Luftwaffe bombarduje Rotterdam. Od bomb, które miały zniszczyć mosty, a spadły na centrum miasta, zginęło ponad osiemset osób.

W ramach wspierania holenderskiego oporu brytyjscy żołnierze wylądowali w porcie Ijmuiden. W tym samym czasie do portu

przetransportowano autobusami dwustu Żydów, którzy następnie wsiedli na statek; miał on zawieźć ich przez Morze Północne do Wielkiej Brytanii. Za nimi płonęły rafinerie. Niedługo później Holandia skapitulowała.

Wojska niemieckie maszerowały na południe przez tereny Belgii i północnej Francji, wzmagając obawy, że ich siły skierują się w kierunku portów kanału La Manche, okrążając siły aliantów. Armia Rommla wdarła się pięćdziesiąt mil w głąb Francji. Premier Francji, Paul Reynaud, w rozmowie telefonicznej z Winstonem Churchillem oznajmił, że droga na Paryż stoi teraz otworem.

Kolacja w mieszkaniu Ruby. Elektryczność wyłączono jeszcze przed zakończeniem spotkania. Żeby oszczędzić sobie kłopotów związanych z powrotem do domu w kompletnych ciemnościach, Sara i Anton zostali u Ruby na noc.

Wracając następnego ranka do domu, z górnego pokładu autobusu ujrzeli zaparkowany przed swoim domem samochód policyjny. Sara mocno ścisnęła dłoń Antona. Z autobusu wysiedli dopiero przystanek dalej i skierowali się do Regent's Park. Rozmawiali niewiele, bo cóż tu można było powiedzieć. Kiedy Sara musiała iść do kawiarni, pocałowali się na pożegnanie i Anton ukrył się w piwnicy nieużywanego magazynu, który znaleźli kilka dni wcześniej.

Magazyn znajdował się w wąziutkiej uliczce, odchodzącej od Charrington Street w Somers Town. Zdecydowali się tu właśnie urządzić kryjówkę dla Antona ze względu na dość spore rozmiary pomieszczenia i zamknięty kwadrat podwórza. Znajdował się tutaj kiedyś niewielki warsztat tkacki, który zlikwidowano w czasie kryzysu. Wysokie okna, o popękanych, brudnych szybach albo też niemal zupełnie wybitych, wychodziły na rzędy zardzewiałych maszyn. Chrobot maleńkich pazurków powiedział Antonowi, że w piwnicy aż roi się od myszy i szczurów.

Uznał jednak, że to jeszcze nie tragedia. Szare słońce, zacienione wysokim budynkiem naprzeciwko, rzucało wydłużone promienie na zakurzoną podłogę. Słyszał hałas samochodów i śpiew kosa. Kiedy stanął przy oknie i spojrzął w górę, udało mu się zobaczyć skrawek błękitnego nieba.

Tego wieczoru Sara przyniosła torbę z jego odzieżą, książkami, papierem, przyborami do mycia, i trochę żywności. Usiedli na

odwróconych skrzynkach, a kolację rozłożyli na starym stole krawieckim.

Anton zapytał:

- Czy policja wróciła?

- Tak, zaraz po moim powrocie do domu. Powiedziałam im, że nie wiem, gdzie jesteś. Że się pokłóciliśmy i zniknąłeś.

- Dobra dziewczynka.

- Chyba mi uwierzyli. Strasznie szlochałam i w końcu przestali zadawać pytania. Powiedzieli, że zbierają wszystkich obcokrajowców kategorii B.

- Rozmawiałaś z Peterem?

- Dzwoniłam do niego. Powiedział, że ludzie zatrzymywani są na mocy rozporządzenia 18b ustawy o obronie Królestwa.

Anton wzruszył ramionami.

- To znaczy, że z powodu wojny zawieszono zasadę habeas corpus.

- Anton, zabrali Maksa i Rudiego! A przecież Maks już tyle przeszedł w obozie koncentracyjnym! Wzięli też przyjaciela Ruby, Aarona!

- Wielka Brytania boi się ataku. Ludzie boją się takich ludzi jak ja. Boją się, że wróg żyje między nimi. Uważają, że teraz nie czas na oddzielanie dobrych od złych. Chodź tu - poprosił, klepiąc się po udzie.

Usiadła mu na kolanach. Pomyślał, że Sara pachnie wiśniami i wanilią. Wyjęła coś z kieszeni.

- Zobacz, co przyniosłam. Czekolada! Ruby zdobyła dla ciebie. - Ułamała kawałek i włożyła mu do ust.

Do pomieszczenia wsączyła się noc. Twarz Sary pokrywała siateczka światła i cienia.

- Chciałbym się z tobą ożenić - powiedział. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Francuzi proszą o więcej myśliwców - oznajmił Ruby Lewis Gascoigne. Uśmiechnął się swym ironicznym uśmiechem. - Problem w tym, że nawet jeśli zatrzymamy dla siebie wszystkie samoloty, i tak będzie ich zbyt mało, by obronić nasz własny kraj.

Byli w mieszkaniu w Mayfair. Lewis, który pracował bez przerwy przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, kąpał się, golił i przebierał,

Ruby zaś przygotowała omlety i sałatkę i wyjęła z puszki domowe ciasto.

Słowa Lewisa zaskoczyły Ruby jeszcze bardziej niż przedtem jego widok. On, który zawsze był tak idealnie schludny i zadbany, teraz miał potargane włosy, zmiętą koszulę i ciemne cienie pod oczyma.

- Co zrobimy? Napełnił kieliszki.

- Szczerze mówiąc, nie mamy wyboru. Wyślemy więcej samolotów. Oczywiście, częściowo dlatego, że Francja koniecznie musi się trzymać. A częściowo z tego powodu, że gdybyśmy nie spełnili tej prośby i Francja zostałaby zrujnowana, fatalnie by to wyglądało. Więc jakież tu wybór?

Pomimo uśmiechu wyglądał na wyczerpanego. Ruby zmieniła temat:

- Zawsze masz takie pyszne jedzenie.

- Theresa przysyła mi je kosztami. Chyba ciągle czuje się odpowiedzialna za mój dobrostan fizyczny. Troskę o moje życie duchowe porzuciła już dawno temu. - Odłożył serwetkę na stół i wstał. - Niestety, muszę wracać do biura. Ale ty zostań, proszę. - Pocałował ją. - Zrób sobie kawę. Dokończ wino.

Kiedy wyszedł, Ruby weszła do kuchni. Stał tam słoje wypełniony ziarnami kawy. Zdjęła pokrywkę i zamknęła oczy, wdychając jej aromat. A potem znów zamknęła słoje. Czowała, że Lewis potrzebuje teraz kawy znacznie bardziej niż ona.

Posprzątała ze stołu, wytarła kurze i zmyła naczynia. Służący Lewisa, który zgłosił się do wojska na ochotnika, był teraz we Francji. Ruby przetrzała krany i zlewozmywak, zakorkowała wino i odstawiła butelkę do lodówki, a potem poukładała sztuce w szufladzie. Przypomniała sobie, że brakuje samolotów do obrony kraju, i przed oczami stanęła jej wizja, równie przerażająca, co zabawna, że ona, Ruby Chance, strasząc niemieckich żołnierzy kuchennym nożem, przegania ich z ulic Londynu.

Siedemnasty maja: upada Bruksela. Następnego dnia poddaje się Antwerpia. Wojska niemieckie przeszły przez Amiens i Abbeville, przygraniczne miasta, o które walczone już od wielu stuleci, i którym dzięki temu znana była inwazja, okupacja, porażka. Dwudziestego pierwszego maja pierwsi żołnierze niemieccy dotarli nad brzeg kanału La Manche. "Wkrótce też znaczna część Brytyjskiego Korpusu

Ekspedycyjnego została wraz z żołnierzami francuskimi uwięziona, otoczona przez siły wroga w pobliżu Dunkierki.

A potem wreszcie zdarzył się cud. Kiedy zaciekły kontratak Brytyjczyków zmiażdżył dywizję pancerną Rommla, armia niemiecka zatrzymała się, za zgodą Hitlera, na trzy dni. Dwudziestego czwartego maja rozpoczęła się ewakuacja Brytyjczyków z Francji, z portu w Boulogne. Dwa dni później statki zaczęły wywozić żołnierzy z Dunkierki, podczas gdy wojska belgijskie i brytyjskie walczyły, by zamknąć powstałą lukę i powstrzymać wojska niemieckie przed dotarciem do portu. Dwudziestego ósmego maja poddała się Belgia.

Przez kolejne dziewięć dni okręty ratowały francuskich i brytyjskich żołnierzy, uwięzionych na plażach, które znajdowały się pod niemal nieustannym ostrzałem. Marynarkę wojenną wspomagała flotylla złożona z setek najróżniejszych małych statków: kutry do połowu krewetek i holowniki, trawlerzy i jachty, barki turystyczne - wszystkie one pod ostrzałem sztukasów przepływały przez kanał, by przywieźć rodaków do domu. Do 3 czerwca przewieziono trzysta czterdzieści tysięcy mężczyzn - wyczerpanych, zakrwawionych i przerażonych.

Wychodząc z domu, Sara rozglądała się w poszukiwaniu policjantów. Któregoś dnia, zauważywszy zaparkowany samochód z dwoma mężczyznami w środku, zmieniła zdanie i poszła na zakupy, a nie do Somers Town.

Wielu z przyjaciół Antona, tych samych, którzy dyskutowali o polityce w kawiarniach i barach i którzy przychodzili na kolacje, często w wytartych ubraniach, zdecydowanie zbyt cienkich jak na tę porę roku, i których pozdrowienia i uśmiechy dziwnie nie pasowały do obgryzionych paznokci i nieustannie przytupujących z zimna stóp, zostali zabrani do obozów dla internowanych. Kilku z nich, zdając sobie sprawę z zagrożenia, zniknęło podobnie jak Anton. Jeden, cichy chłopiec o smutnej twarzy, której Sara właściwie nie potrafiła sobie wyraźnie przypomnieć, podciął sobie żyły.

Dziesiąty czerwca, podczas trwających wciąż zaciekłych walk o Francję, Mussolini wypowiedział wojnę Francji i Wielkiej Brytanii. Brać ich, polecił Churchill nazajutrz, w wyniku czego zabrano kelnerów z eleganckich restauracji, właścicieli lodziarni i delikatesów z Soho. Chłopcy o piwnych oczach i twarzach renesansowych książąt, którzy flirtowali z Sarą, kiedy podawała im kawę, ciemni, krępi

mężczyźni, którzy siadali w rogu, otoczeni chmurą dymu z papierosów, a ich krótkie palce dźgały powietrze dla podkreślenia wypowiedzianych słów - wszyscy zniknęli.

Sara i Anton, skuszeni ostatnimi promieniami słońca, urządzili sobie piknik na podwórzu w otoczeniu ścian z czerwonej cegły i zardzewiałych przyczep, butwiejących skrzyń na herbatę i ramy roweru. Rozkładając koc na kamiennych płytach, Sara ujrzała przebijające się spod nich chwasty i ciemnożółte skrzydła ciem unoszących się o zmroku ku niebu.

- Opowiedz, jak ci minął dzień - prosiła Antona za każdym razem. Zupełnie jakby, pomyślała z uśmiechem, miał mówić o biurze, o dojazdach do pracy.

- Och - odparł - czytałem książkę i trochę poćwiczyłem. Sto pompek i bieg w miejscu. Przystaniesz mnie kochać, jeśli zmienię się w sflaczałego starca.

Pocałowała go.

- Zawsze będę cię kochać.

- I jeszcze - dodał - prawie skończyłem nasz dom. W zakurzonej wnętrze piwnicy projektował dom, który chciał w przyszłości zbudować.

- Pokaż mi - poprosiła.

- Jeszcze nie.

- Anton!

- Cierpliwości. - Dotknął czubka jej nosa. - Dopiero kiedy skończę. Kiedy będzie idealny.

- Spójrz - powiedziała, potrząsając papierową torbą - babeczki. Od Elaine. I kilka książek od Edwarda.

Anton leżał na kocu z rękami pod głową i patrzył w niebo.

- Chodź do mnie.

- Nie jesteś głodny?

- Jestem, ale nie chleba czy ciastek mi brakuje. - Przyciągnął ją do siebie, a ona okryła jego twarz pocałunkami. Potem rozpiął jej sukienkę, zsunął pończochy i kochał się z nią. Później leżeli przytuleni na kocu. Sara stwierdziła, że jej głowa idealnie pasuje do zagłębienia jego obojczyka. Pod żebrami czuła bicie serca Antona.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O Davidzie. Cieszę się, że jest w Irlandii. Że jest bezpieczny.

Pogłaskał jej włosy.

- Chciałbym go poznać, kiedy to wszystko się już skończy.
- Też bym tego chciała. Choć nie wiem, co Caroline o tobie pomyśli. Może być zaniepokojona. - Pogłaskała delikatne złociste włoski na jego piersi. - A ty, kochanie, o czym myślisz?
- Że cię Kocham.
- To wiem. O czymś jeszcze? Anton westchnął.
- Że w tym ukryciu jestem taki bezużyteczny, że nic nie robię i tylko czekam. Dlaczego nie pozwolą mi walczyć? Wolałbym walczyć.
- A ja się cieszę, że nie walczysz. Bałabym się o ciebie. - Usiadła i zapięła sukienkę. - Anton, nie musimy przecież tracić czasu na czekanie. Powinniśmy coś zaplanować. Na przykład wyjechać na wieś. Może do Kornwalii. Gdzieś daleko stąd. Wojna może trwać wiele lat. Nie możesz tu zostać na zawsze.
- Jestem tutaj bezpieczny. A jeśli będziemy uważać...
- Ale ja się o ciebie martwię. Boję się, że jesteś samotny, a zimą zmarzniesz.

Anton wstał, przeciągnął się, przesunął dłonią po zmierzwionych jasnych włosach i wygładził ubranie.

- Saro, jak miałbym podróżować? Co będzie, jeśli w autobusie czy pociągu ktoś zapyta mnie o dokumenty?

- Już wymyśliłam. Moglibyśmy pojechać na rowerach. Wiem, że taka podróż zajmie wiele dni, ale to możliwe. Gdybyśmy pojechali do Kornwalii, mama by nam pomogła, wiem to. A ja mogłabym znaleźć pracę w okolicy.

- Ale nie mamy rowerów.

- W garażu jest stary rower Philipa. Mógłbyś na nim pojechać. A ja znalazłabym gdzieś drugi. Miałam rower w Porthglas, pewnie nadal tam jest. Mama mogłaby go przysłać pociągiem.

Anton zmarszczył brwi i zaczął chodzić po podwórzu.

- To zbyt ryzykowne.

- Przystudiowałam już mapy. Pojechalibyśmy bocznymi drogami, nie głównymi. Gdybyś ktoś pytał, powiedzielibyśmy, że jesteśmy na wakacjach.

- Ale co z jedzeniem? A jeśli wprowadzą kartki także na inne artykuły żywnościowe? Tak się pewnie stanie, bo U - Booty przechwytyują większość konwojów. A nie mogą przecież wykorzystać własnych kartek.

- Ale są jeszcze moje. I - przerwała mu - jak już będziemy na wsi, możemy hodować warzywa, prawda? I łowić ryby.

- Ryby?

Sara ujrzała, jak w mroku błysnęły jego białe zęby.

- Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze łowiliśmy ryby w Kornwalii. Dobrze mi szło.

Oparł jej ręce na ramionach.

- Saro, zrobiłabyś to dla mnie? Przejechałabyś setki mil, pływałabyś maleńką łódką...?

- Pewnie, że tak - odpowiedziała spokojnie. - Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Powiedz, że tak się stanie, że pojedziemy do Kornwalii.

Powolny wydech.

- Tak. Ale jeszcze nie teraz. Kiedy to wszystko trochę przycichnie, kiedy uwaga władz skieruje się na coś innego. - Zerknął na zegarek. - Idź już lepiej. Nie chcę, żebyś wracała po ciemku.

Pocałowała go.

- Do jutra - powiedziała i wyszła.

Usiłował wyobrazić sobie, jak wyjeżdżają z Londynu, pędzą przez wzgórza i doliny w kierunku wąskiego pasa West Country, do krainy skał, morza i słońca.

Czasem niemal udawało mu się przekonać siebie samego do tej wizji. Czasem o tym marzył. Lecz głównie czuł przerażenie. Usiłował ukryć je przed Sarą, ale bał się, że ona wyczuwa kwaśną i wszechobecną woń strachu.

Kiedy to wszystko trochę przycichnie, powiedział, zupełnie jakby miało się skończyć w najbliższym czasie.

Wiedział jednak, że może się nie skończyć wcale. A jeśli uznają, że więzienie to za mało? Jeśli dojdzie do morderstw, jak w Niemczech, Austrii, Włoszech i Hiszpanii? Jeśli Wielka Brytania również nauczy się mordować ludzi ze względu na ich narodowość, przekonania polityczne, religię? A jeśli dojdzie do inwazji i Niemcy, niepowstrzymani, przedostaną się przez kanał i wkroczą do Londynu? Co się wówczas stanie z takimi jak on?

Prześledził swą drogę do życia, jakie wiódł obecnie, życia w piwnicy ze szczurami i pajakami. Szczęśliwe dzieciństwo w Wiedniu, pomimo wojny i niedostatku, potem optymizm początku lat dwudziestych i Czerwony Wiedeń. Beztróskie dni na uniwersytecie,

spędzane na podrywaniu dziewczyn i nauce do białego rana. To wszystko skończyło się wraz z krachem na amerykańskiej giełdzie w roku 1929, który zdestabilizował europejskie rynki. To właśnie ów brak stabilizacji pozwolił na rozwój faszyzmu. Faszyzm zrobił z niego i z jego ojca banitów. Ponad dwa lata temu, podczas anszlusu, stał w wiwatującym tłumie i słuchał dzwonów, przy których wtórze Hitler w otwartym samochodzie wjeżdżał do Wiednia. Przed nim sunęły czołgi. Kiedy dyktator pojawił się na balkonie hotelu Imperial, tłum wokół Antona podniósł ręce w geście nazistowskiego pozdrowienia. Bojąc się, żeby ktoś nie zauważył jego odmiennego zachowania, Anton wymknął się z ciżby, lecz mimo to słyszał wiwaty. W tym dniu legły w gruzach podstawy całego jego życia - rodzina, dom, ojczyzna - i pozostała tylko Sara, którą przecież opuścił.

Dni mijały, a jemu coraz trudniej było wytrzymać w magazynie, odciętemu od wydarzeń na świecie, niebędącemu już jego częścią. Kiedy odważył się wyjść po raz pierwszy, szybko obszedł przecznicę, po czym rozejrzał się i wrócił w wąską uliczkę. Zupełnie, stwierdził, jak królik uciekający do nory. Później jednak, w pokrytej pajęczynami ciemności, wspominał dotyk słońca, które właściwie prawie nie zaglądało do jego opuszczonej kryjówki, i krzepiące odgłosy życia.

Następnym razem doszedł odrobinę dalej. Ograniczona przestrzeń magazynu w letnim upale stała się duszna. Nie mówił nic Sarze, nie chciał jej denerwować. Czasem wychodził w nocy. Wydawało mu się jednak, że bezpieczniejszy jest w świetle dnia - więcej ludzi na ulicach, tłum, w którym można się ukryć. W otoczeniu przechodniów, samochodów i sklepów znów poczuł się członkiem rasy ludzkiej. Nigdzie nie należał, ścigano go w dwóch krajach. Ale teraz czuł, że jest wśród ludzi, nawet jeśli jedynie na krawędzi ich świata.

Kiedy jednak skręcał w Charrington Street, każdy przechodzień wydawał mu się zagrożeniem. Czy obserwuje go żołnierz, który oparty o latarnię zapala papierosa? Czy śledzi go facet na motorze, który tak powoli toczy się ulicą? Czasem widział swe odbicie w witrynie sklepu - miał oczy ściganego zwierzęcia. Jego odzież była zmięta, pomimo że Sara brała ją do prania i prasowania. Trudno jednak było dobrze wyglądać, jeśli człowiek przy goleniu musiał się przeglądać w kieszonkowym lusterku, a brzytwę spłukiwał w puszcze wypełnionej deszczówką.

Któregoś poranka poszedł do Regent's Park. Bezchmurne niebo było błękitne niczym Morze Śródziemne. Usiadł na ławce, wyjął z kieszeni książkę i zaczął wspominać alpejskie łąki, wakacje spędzone z ojcem. Kwiaty wystające z długiej trawy, motyle tańczące w ciepłym letnim słońcu. Upał nie był tam tak dokuczliwy jak w Londynie.

- Zapowiada się gorący dzień!

Odwrócił się zaskoczony. Na ławce obok niego usiadła młoda kobieta. Miała na sobie biało - czerwoną letnią sukienkę, a włosy upięła wysoko nad czołem. Wachlowała się gazetą.

- Fakt - potwierdził. - Jest bardzo gorąco. Zaproponowała mu papierosa. Anton potrząsnął głową. Sama zapaliła.

- Facet w radiu powiedział, że temperatura przekroczy trzydzieści stopni. Lubię upał. A pan?

- Bardzo.

Stwierdził, że jego głos brzmi nienaturalnie. Zdał sobie sprawę, że podczas wielu tygodni, spędzonych w piwnicy, zapomniał, jak się rozmawia.

Spojrzała mu przez ramię.

- Co pan czyta?

- Lawrence'a - odparł, pokazując jej okładkę. A potem zmusił się i dodał: - To bardzo ciekawe.

Roześmiała się.

- On był łajdakiem, prawda? - Potem zmarszczyła brwi i przyjrzała się Antonowi uważnie. - Nie jest pan Anglikiem, co?

Serce biło mu mocno, nie mógł wydobyć głosu. Dziewczyna wypuściła smużkę dymu. Przyglądała mu się z ciekawością, a może nawet była to podejrzliwość.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Francji - odparł. - Jestem francuskim poilu. Przyjechałem tu po Dunkierce.

- Nie wygląda pan na Francuza. Moja siostra mieszka w Dover i twierdzi, że oni wszyscy mają ciemne włosy.

Wstał z trudem i usprawiedliwił się:

- Muszę iść. Do widzenia, mademoiselle. Kiedy szedł po trawie, czuł jej wzrok na plecach. Opuszczał park mokry od potu i z ustami wyschniętymi na wiór. Był spragniony, lecz nie odważył się wejść do żadnej z mijanych po drodze kawiarni ani barów. Miał ochotę biec, ale

wiedział, że mu nie wolno. Marzył jedynie, by wrócić do ciemnej piwnicy. Szedł, czekając na dotyk dłoni na ramieniu i człowieka w mundurze.

Nic takiego się jednak nie stało. Odprężył się odrobinę. Wmawiał sobie, że to była tylko śliczna dziewczyna, spragniona towarzystwa. Nie ma się czego bać.

Skrecając w Charrington Street, poczuł ulgę, a potem rozejrzał się, czy nikogo nie ma, i wszedł w wąską uliczkę, prowadzącą do magazynu. Zbiegł po schodach i otworzył drzwi, dumny, że udało mu się bezpiecznie wrócić. Odetchnął głęboko i poczuł, jak napięcie opuszcza jego mięśnie.

Kroki w ciemnościach. Anton podniósł głowę. W jego stronę szło dwóch mężczyzn.

- Anton Wolff? - zapytał jeden z nich.

Na biurku Edwarda leżał list od Sary, przyniesiony prawdopodobnie przez Ruby. Otworzył go i przeczytał.

Po pracy udał się do domu, w którym mieszkali Sara i Anton. Sara wpuściła go do pokoju. Była blada i zdenerwowana.

- Edwardzie, przepraszam, że cię tu ściągnęłam - powiedziała. - Potrzebuję pomocy.

- Co się stało?

- Chodzi o Antona. Znaleźli go, został internowany.

- Na Boga! - zdumiał się. A potem dodał pośpiesznie: - To okropne. Kiedy to się stało?

Chodziła po pokoju, wykręcając nerwowo dłonie.

- Nie było go wczoraj wieczorem w piwnicy. Zniknął też plecak. Czekałam parę godzin, ale nie wrócił. Poszłam więc dziś rano na policję. Powiedzieli mi, że aresztowali go wczoraj wieczorem.

- Gdzie teraz jest?

- W dyspozycji armii. - Przetarła dłonią szybę i wyjrzała przez okno. - Nikt mi nie chce powiedzieć, gdzie teraz przebywa. Zabrali go, ale nie wiem dokąd. Myślę o nim bez przerwy, jest sam w jakimś okropnym więzieniu. Dzwoniłam już wszędzie. Lewis Gascoigne usiłuje dowiedzieć się czegoś więcej. Jest jeszcze dziewczyna, której mąż pracuje w Ministerstwie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Już z nią rozmawiałam. Mam zamiar dzwonić i pisać do wszystkich możliwych instancji, aż wreszcie czegoś się dowiem.

Edward oświadczył:

- Saro, jeśli jest coś, co mógłbym zrobić, chętnie to zrobię, wiesz przecież.

Odwróciła się do niego z uśmiechem. Jej oczy lśniły od łez.

- Kochany Edward! Wszyscy są tacy dobrzy. Gdybyś mógł trochę popytać. Najwyraźniej panuje okropny bałagan. Biedni obcokrajowcy trafiają do różnych miejsc, do więzień i fabryk, a ktoś nawet mówił, że do cyrku, i chyba nikt nie wie, gdzie kto jest. Gdybyś więc mógł pociągnąć za język, kogo się tylko da. Jedynie o to chciałam cię prosić.

- Oczywiście.

Znów wyjrzała przez okno.

- Gdybym wiedziała, dokąd go zabrali, czułabym się trochę lepiej. Ciągłe mi się wydaje, że wyjrzę przez okno i go zobaczę. Że oni odkryją swój błąd, wypuszczą go. Że Anton wróci do domu.

- Rozchmurz się. - Przytulił ją niezdarnie. - Może pójdziemy na drinka? Anton nie chciałby przecież, żebyś siedziała sama w domu, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Pewnie masz rację, kochany.

Poszli na drinka, gdzie Sara przypomniała sobie o przyjaciółce z czasów swego wkraczania w świat dorosłych, której brat miał jakąś tajemniczą pracę i być może mógłby pomóc, postanowiła więc pojechać taksówką na Mayfair.

Edward poszedł do domu. Gdy tylko przekroczył próg, przykuśtykała do niego matka.

- Gdzie byłeś?

- Musiałem dłużej zostać w pracy.

- To straszne! Zostawiasz mnie samą, a przecież w każdej chwili można spodziewać się ataku! - Pani Carrington podejrzliwie powąchała powietrze. - A to co? Edwardzie, czy ty pachniesz wodą kolońską?

- Nie, z całą pewnością nie.

- Czuję jakiś zapach. Byłeś z jakąś dziewczyną?

- Nie, mamó. Gdzie jest Gladys?

Ale matka nie pozwoliła mu zmienić tematu.

- Z całą pewnością czuję zapach. Edward otworzył aktówkę.

- Udało mi się przynieść trochę herbatników. Pani Carrington spojrzała na puszkę.

- Maślane. Wiesz, że nie lubię maślanych.

- U Fortnuma nie było twoich ulubionych. Edward pomógł matce przejść przez korytarz i usadził

ją na krzesło. Później umył ręce i przejechał grzebieniem po włosach, nucąc przy tym pod nosem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz tak hałasować cały wieczór - powitała go matka, kiedy wrócił do salonu. - Edwardzie, ty zawsze fałszujesz.

- Gdzie jest Gladys? - zapytał. - Gdzie nasza boska Gladys, królowa kuchni, władczyni pieca?

- Wyszła! - prychnęła ze złością pani Carrington. - Plotła coś o jakiejś chorej kuzynce. Zostawiła kolację na zimno w spiżarni. To obrzydliwe z jej strony. Mogli mnie zastrzelić.

- Zastrzelić? Mamo, to mało prawdopodobne. Raczej wątpię, by Niemcy skierowali pierwsze kroki właśnie do Belgravii, kiedy już dojdzie do inwazji. Ale jeśli boisz się mieszkać w Londynie, zawsze możesz wrócić do Andover.

Po wybuchu wojny pani Carrington wyjechała wraz ze swą przyjaciółką, panią Collins, do małego hotelu w Andover. Wyjazd się nie udał i pani Carrington wróciła do Londynu sześć tygodni później. Edward podejrzewał, że panie pokłóciły się przy brydzu.

Matka odparła wymijająco:

- Nie lubię być zbyt daleko od doktora Steadmana.

Kiedy Edward usadzał matkę na krzesło, musiał się siłą powstrzymać, by nie wspomnieć, że jeśli Niemcy zaatakują Wielką Brytanię, doktor Steadman będzie miał zapewne pełne ręce roboty.

- Lepiej założę rolety - powiedział tylko.

- Muisz? To takie ponure.

- Chyba nie chcemy trafić pod sąd, co? - odparł wesoło.

Edward za pomocą zatrzasków przymocował do ram okiennych prostokąty czarnego materiału. Następnie nakrył do stołu i wyjął ze spiżarni talerz sałatki z plasterków ozora i ziemniaków. Po zakończonym posiłku słuchali razem z matką radia. A potem pani Carrington poszła spać.

W radiu nie było nic, czego miałby ochotę słuchać, sięgnął więc po powieść Grahama Greene'a. Nie mógł się jednak skupić. Jego podniecenie zdążyło już opaść, a zamiast niego pojawiło się poczucie winy i przygnębienie.

Zawsze było tak samo. Po rozstaniu zachwyty wywołany bliskością Sary, który przypominał słuchanie wyśmienitej muzyki, stopniowo zastępowało udrczenie, świadomość własnej nieudolności i popełnionych pomyłek - rozkładał spotkanie na czynniki pierwsze i widział dokładnie, w którym miejscu zawiódł, dostrzegał swą niezręczność czy niewłaściwy dobór słów. Przypomnił sobie uśmiech Sary, to, że zwróciła się do niego „kochany” - obie te rzeczy dałyby mu nadzieję na początkowym etapie znajomości. Teraz jednak znał Sarę lepiej, wiedział, że uśmiecha się do wszystkich, „kochany” czy „skarbie” mówi nawet do psa. Ponieważ w jego rodzinie nie używano czułych słów, nie był do nich przyzwyczajony i przypisywał im zbyt dużą wagę. I chociaż tego ranka Sara niby to go potrzebowała, to wiedział, że prawda jest inna. Zastanawiał się, czy ona w ogóle o nim myśli, kiedy się rozstają. Był ciekaw, czy lubiłaby go choćby odrobinę, gdyby mogła zajrzeć do jego serca.

Anton najpierw trafił na tor w Ascot, gdzie spał w pawilonie obstawiania zakładów. Długa, wąska budowla miała maleńkie okna ze stalowymi kratami. Internowani spali po obu stronach, ciasno stłoczeni, a między nimi zostawało jedynie wąskie przejście.

To była najgorsza noc. Jedyne drzwi znajdowały się w przeciwległym końcu budynku. Nocą niektórzy mężczyźni wpadali w panikę - brakowało powietrza, światła, nikt nie wiedział, co będzie jutro. Kiedy udało mu się zasnąć, budził się po chwili zlany potem i przekonany, że znajduje się w wiedeńskim więzieniu. Usiłował oddychać spokojnie, lecz czuł ciężar na piersi. Bał się, że spędzi tu resztę życia, dopóki nie zwariuje lub nie umrze. Bał się również przyszłości. Wyobrażał sobie deportację bądź pluton egzekucyjny. Czuł też okropny, nieuzasadniony strach, że ściany i sufit się nad nim zamkną, że go zmiażdżą, przygniotą. Usiłował odsuwać od siebie te myśli i koncentrował się na domu, który zbuduje dla Sary - domu z wielkimi oknami, wychodzącymi na jezioro. Usiłował wyobrazić sobie niebo, chłodną wodę.

Rano Antona i kilku innych mężczyzn przewieziono pod eskortą strażnika na inny tor wyścigowy, tym razem w Lingfield w hrabstwie Surrey. Tu sypiał na sienniku w stajni. Stajnie oczyszczono, lecz zapach koni pozostał. W Lingfield poczuł się trochę lepiej i nie przeszkadzała mu zimna woda w prysznicu, wiadra zamiast toalet ani żołnierski wikt - w ciągu dnia widział przecież drzewa i niebo. Jego

współtowarzyszami byli kupcy morscy schwytani przez żołnierzy marynarki wojennej, i inni żeglarze, socjaliści i komuniści, pływający pod neutralnymi banderami po ucieczce z nazistowskiego reżimu Niemiec i Austrii. Pewien internowany z Edynburga przywiózł ze sobą całą torbę książek wydawnictwa Pinguina. Anton pożyczył jedną i przeczytał ją, siedząc na ławce amfiteatralnie zbudowanych trybun. Marzył o jakiejś wiadomości od Sary, nic jednak nie nadchodziło.

Tydzień później zebrali się na placu, gdzie odczytano listę nazwisk. Anton również się znalazł na liście. Oddał właścicielowi „Przygody dobrego wojaka Szwejka” i wdrapał się na ciężarówkę. Widział, jak jego własny strach maluje się na twarzach innych mężczyzn. Dokąd jada? Co się z nimi stanie? Tylko eskortujący ich żołnierze z nasadzonymi bagnetami robili wrażenie spokojnych, znudzonych.

Zawieziono ich na stację i wsadzono do pociągu. Jeden ze strażników w wagonie powiedział Antonowi, że jada do obozu Huyton w Liverpoolu. Kiedy dotarli na miejsce, padał deszcz. Obóz został naprędce utworzony z osiedla nowo wybudowanych domów. Miejsce wyglądało dziwnie. Anton stwierdził, że to wszystko wygląda tak, jakby zwykłe życie nagle stanęło na głowie - rzędy identycznych domów, z niewykończonymi ogrodami i płotami, ludzie zbici w grupki, sami mężczyźni, ani jednej kobiety czy dziecka. Zasięki z drutu kolczastego oddzielały ich od innych domów, stojących nieopodal.

Po raz kolejny dostał siennik. Ponieważ w domach i tak już było tłoczno, musiał spać w namiocie na polu. Niektórzy mężczyźni skarżyli się na błoto, które powstało po deszczu, lecz Antonowi to nie przeszkadzało. Żałował jednak, że nie wyjechali do Kornwalii, od razu gdy tylko Sara to zasugerowała. Nie powinien był zwlekać.

Wielu spośród tysięcy więźniów obozu w Huyton było Żydami. Niektórzy już starsi, powyżej sześćdziesięciu lat, o zdrowiu nadwątlonym latami ubóstwa, strachu i pobytu w obozach koncentracyjnych. Byli oni dowcipni i inteligentni - lekarze, profesorowie, rabini - lecz Anton czuł, że z ich rozmów przebija niepokój.

Listów nadal nie było. Z upływem dni pojawiały się inne obawy. Czy Sara ma go dość? Czy o nim zapomniała? Czy coś jej się stało? Taki sam lęk widział w oczach współwięźniów, dostrzegał ich

niepokój o rodzinę i przyjaciół, zostawionych w walącym się świecie. W obozie nie było radia, a oni nie mieli dostępu do gazet. Żadnych książek, żadnego sposobu, by uciec od własnych myśli. Wielu mężczyzn w ostatnim czasie przeszło zbyt wiele, żeby z łatwością znosić owo przesiedlenie. Próżnię wypełniał strach, strach podsycany plotkami - Londyn całkowicie zniszczony, niemieckie okręty wojenne bombardują południowe wybrzeże Anglii, żołnierze wpływają niczym zabójczy puch ostu na pastwiska Anglii, podobnie jak miało to miejsce w Holandii.

Któregoś ranka podczas apelu odczytano listę nazwisk. Wywołani mężczyźni zebrali swój dobytek i wdrapali się na ciężarówkę. Niektórzy z tych, którzy pozostali w obozie, zgromadzili się przy bramie, obserwując odjazd towarzyszy niedoli.

- Wywożą ich do Australii - rzekł jakiś głos. - Brytyjczycy zawsze wysyłają swoich więźniów do Australii.

- A ja słyszałem, że na Madagaskar - sprostował ktoś inny.

Wymizerowany mężczyzna powiedział:

- Odsyłają nas z powrotem do Niemiec, właśnie tak robią. - Wypalił papierosa niemal do samego końca; zgasił go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, po czym wsunął niedopałek do kieszeni. - Naziści zgodzili się wymienić nas na Anglików. Słyszałem, jak ktoś tak mówił.

Wszyscy spojrzeli na drogę ogrodzoną barierą, dzięki której ciężarówka mogły przejeżdżać przez zasieki.

Na apelu następnego dnia odczytano kolejną listę nazwisk. Wśród nich znalazł się również Anton. Spakował swoje rzeczy do plecaka. Udało mu się znaleźć siedzące miejsce przy otwartym końcu ciężarówki, skąd mógł obserwować sklepy i osiedla, przez które przejeżdżali. Tylko nieliczni przechodnie obrzucali ciężarówkę spojrzeniem. Dlaczegoż mieliby się nią interesować? W końcu to tylko kolejny wojskowy samochód przewożący mężczyzn.

Ale dokąd? Domy wokół stały się mniejsze i skromniejsze, miejsce parków zastąpiły warsztaty i magazyny. Kiedy ciężarówka zwolniła przed skrzyżowaniem, Anton zaczął się zastanawiać, czy udałoby mu się do nich dobiec, i w myślach oceniał odległość od drogi. Żołnierze trzymający straż z tyłu byli jednak nerwowi. Anton napotkał wzrok jednego z nich i tylko poprawił się na siedzeniu,

wspominając plotki o internowanych, zastrzelonych po sprzeczkach ze strażnikami.

Na błękitnie nieba widać było kołujące mewy. Rozległa się syrena okrętowa. Anton zauważył dźwigi i kadłuby statków. Port w Liverpoolu, stwierdził. Żołądek ścisnął mu się z niepokoju.

Wysyłają nas do Australii. Deportują do Niemiec.

Wczesny ranek. Balony zaporowe, skaczące po niebie, nad głową ławica hurricane'ów i spitfire'ów. Mężczyźni z podwiniętymi rękawami dźwigają worki z piaskiem i układają je przy budynkach użyteczności publicznej. Sara wyszła z domu i w oczy rzuciły jej się nagłówki wypisane kredą na tablicach sprzedawców gazet.

„Zatonął statek. Panika wśród internowanych, wielu zginęło... Obcy w panicznym strachu walczą między sobą”.

Przeszukała portmonetkę w poszukiwaniu drobnych i kupiła gazetę. Przystanąła w drzwiach sklepu i przejrzała ją, pragnąc jak najszybciej przeczytać historię statku Arandora Star.

W czasach pokoju statek ten był luksusowym liniowcem, wożącym wyłącznie pasażerów pierwszej klasy w rejsy po Morzu Śródziemnym bądź w poszukiwaniu zimowego słońca. Na początku wojny wszystkie statki handlowe zostały przekazane admiralicji, a Arandora Star nie była wyjątkiem. Pierwszego lipca wypełniony obywatelami wrogich państw statek opuścił port w Liverpoolu i miał przewieźć swoich pasażerów do obozu dla internowanych w Kanadzie. Następnego dnia, tuż po siódmej rano, Arandora Star została u północnych wybrzeży Irlandii storpedowana przez niemiecką łódź podwodną, po czym zatonała.

Szczególnie rzucały się w oczy informacje: „Setki mężczyzn prawdopodobnie zatonoło...”, „Zaginał kapitan statku...”, „Na pokładzie znajdowali się obywatele Włoch, Niemiec i Austrii...”.

Na pokładzie znajdowali się obywatele Włoch, Niemiec i Austrii...

Późnym wieczorem tego samego dnia Sara usłyszała pukanie do drzwi. Do pokoju weszli Ruby i Lewis. Kobieta uznała, że obecność Lewisa musi oznaczać złe wieści.

Sara zaproponowała:

- Zrobić wam herbatę?

- Dla mnie nie, a ty, Ruby? Ona również ona odmówiła. Sara zapytała:

- Macie jakieś wieści, prawda?
- Tak. To nic pewnego, ale coś wiemy.
- Wiecie, gdzie on jest? - Usiadła ciężko na łóżku.
- Był w Huyton.
- Huyton?
- To obóz dla internowanych w Liverpoolu. Dość duży.
- Był - powtórzyła Sara. - Lewis, powiedziałeś, że był w Huyton.
- Tak. Kilka dni temu zabrano go stamtąd.

Sara nie lubiła słowa „zabrano”. Brzmiało złowieszczo, przerażająco.

- Powiedz mi - wyszeptała.
- Nie wiem na pewno. Nikt tego nie wie.
- Czy był na Arandora Star?
- Tak, to możliwe.

Siedząca obok Sary Ruby ścisnęła jej dłoń. Sara zapytała zwięźle:

- Jak dalece możliwe?

- Nie wiem. Saro, to jedyne, czego się dowiedziałem. Nie było listy pasażerów statku, nie ma również listy... - Lewis najwyraźniej zmienił słowo, którego zamierzał użyć - ...ocalonych. Straszny bałagan - dodał ze złością. - Nikt nie wie, co się dzieje. Od nikogo nie można uzyskać żadnych wiarygodnych informacji. Udało mi się jedynie porozmawiać z przyjaciółmi moich przyjaciół i znajomymi, którzy mogli coś wiedzieć. Anton był w Huyton, tego możemy być niemal pewni. I najwyraźniej go tam nie ma w tej chwili. Na Arandora Star byli jacyś internowani z tego obozu, ale nie udało mi się ustalić, czy Anton znalazł się wśród nich. Przykro mi, Saro. Wahałem się, czy powinienem ci to powiedzieć. Może się okazać, że tylko niepotrzebnie cię przestraszyłem.

- Nie, to dobrze, że mi powiedziałeś - odparła Sara, zaskoczona, że nie drży jej głos. - A bałam się i tak. Teraz przynajmniej coś wiem.

- Niestety, muszę już iść. Ruby z tobą zostanie.

- On nie zginął - odparła Sara, patrząc na Lewisa. - Wiem, że nie. Czułabym to, wiedziałabym, gdyby coś mu się stało.

W jego oczach dostrzegła niedowierzanie, lecz odparł:

- I to jest właściwe podejście.

Przy drzwiach zatrzymał się i dodał:

- Tak pochopna polityka nikomu nie wychodzi na dobre. Na Boga, najwyraźniej wysłaliśmy cały statek włoskich kelnerów i kucharzy na śmierć. To raczej nie powód do dumy.

- Lewis, dasz mi znać, gdy tylko się czegoś dowiesz? Uśmiech.

- Oczywiście, i to natychmiast, obiecuję.

Po jego wyjściu Ruby oświadczyła:

- Jestem pewna, że Antonowi nic się nie stało - po czym dodała: - Zrobię herbaty, dobrze?

Ruby wyszła z pokoju. W samotności Sara przypominała sobie poranki, kiedy usiłowała obudzić Antona samymi tylko myślami. Gdyby utonął, wiedziałyby o tym, wyczułaby, że utraciła coś cennego. Podobnie jak Anton w owe leniwe poranki wyczuwał, o czym ona myśli.

Wróciła Ruby z herbatą. Sara odezwała się:

- Nigdy wcześniej nie rozumiałam twoich uczuć po zniknięciu ojca. Tego nieustannego czekania.

Ruby zaś odparła:

- Ja ciągle czekam.

Dni, w których godziny, minuty i sekundy boleśnie ciągnęły się w nieskończoność. Dni, podczas których każdy dzwonek telefonu ścisnął jej żołądek w kulę, a serce przestawało bić na widok każdego listu na stole w holu. W nocy leżała bezsennie, z mięśniami obolałymi po całodzienną pracę, i słuchała, jak mucha obija się o okno, uwięziona pomiędzy szkłem a roletą.

Wyjaśniły się pewne fakty związane z zatonięciem Arandora Star. Statek zatonął w ciągu dwudziestu zaledwie minut od uderzenia torpedy. Okazało się, że gazety się myliły: nie było paniki ani walki o miejsca w szalupie. Załoga statku i internowani pomagali sobie nawzajem. Wielu z tych, którzy zginęli, to byli starsi ludzie, którym nie udało się w porę wydostać na pokład.

Bała się wychodzić, gdyż wiadomości mogły dotrzeć, kiedy ona będzie poza domem, trudno jej jednak było usiedzieć w czterech ścianach. Odwiedzała więc czasem przyjaciół i krewnych, usiłując choć na chwilę oderwać myśli. W domu Elaine pakowała rzeczy. Philipa przeniesiono do Portsmouth. Dla żony i córki wynajął dom w Hampshire.

- Wiesz, będziemy blisko siebie. A on i tak chciał, żebyśmy wyjechały z Londynu, tak na wszelki wypadek, bombardowania czy ataku. - Elaine zarumieniła się. - A przecież spodziewam się dziecka...

Sara uściskała ją i złożyła gratulacje.

- Kiedy się urodzi?

- Lekarze twierdzą, że w grudniu - odparła Elaine, składając maleńkie różowe sweterki. - Saro, może pojechałabyś z nami? Mogłabyś z nami mieszkać. Dom jest dość prymitywny, ale naprawdę uroczy. Ma gościnną sypialnię, a Jenny tak bardzo by się ucieszyła. Ja zresztą też. Miałabym towarzystwo. Widzisz, jestem urodzonym mieszczuchem i nie wiem, jak wytrzymam na wsi.

- Nie mogę - odpowiedziała Sara. - Muszę zostać w Londynie ze względu na Antona. Musi wiedzieć, gdzie mnie szukać.

- Rozumiem. - Tym razem Elaine składała kwadraty frotowej tkaniny. - Ale odwiedzisz nas kiedyś, prawda?

Sara obiecała.

Żadnych listów, żadnych telegramów. Nie była w stanie zmusić się do gotowania, jadła chleb z pastą drożdżową, piła herbatę. Zdecydowanie zbyt dużo herbaty, stwierdziła. W ciągu kilku ostatnich dni wypła wiele litrów.

Odprasowała kilka bluzek, wyczyściła buty, pościeliła łóżko. Owe codzienne czynności nabrały teraz niezwyklej wagi, ponieważ wypełniały czas. Później zasłoniła okna, przeczytała ostatni list od Caroline, w którym teściowa informowała, jak rozwija się David, i odpisała na niego. Nie miała już co robić. Wszystkie guziki zostały przyszyte, wszystkie odprute obrąbki naprawione. Nie była w stanie czytać, przeczytane zdanie zapominała, zanim jeszcze dotarła do jego końca. Napisała już do wszystkich, którzy mogli pomóc w odnalezieniu Antona. Pozostał jej tylko ten pokój, który kiedyś z nim dzieliła, a który teraz wypełniały wspomnienia.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co będzie, jeśli on nie wróci. Jeśli zostanie jej po nim tylko pamięć. Czy warto było podejmować te wszystkie decyzje - porzucać męża, tracić ojca, za którym tak bardzo tęskniła pomimo jego braku serca? Czy byłoby lepiej, gdyby nie poznała Antona? Czy pozostałaby dawną, beztroską Sarą Finborough? Czy dałoby jej to więcej szczęścia i mniej bólu? Pomyślała o domu, o którym marzył Anton. Czy uda im się w nim

zamieszkać? Czy też będzie to dom zbudowany z chmur, na skrawkach papieru i w jej wyobraźni?

Pytania musiały jednak pozostać bez odpowiedzi. Czuła więź z kobietami, które tak jak ona czekały. Oczywiście, również z Ruby i Elaine, która na walizkach czekała z Jenny, aż Philip wróci i zabierze ją z Londynu. Z tymi wszystkimi kobietami, których mężowie, synowie, bracia byli w wojsku.

Edward przyniósł jej kiedyś butelkę whisky. Sara wypła sporą szklanekę i zwinęła się na łóżku - tam gdzie zawsze leżał Anton. Po raz pierwszy od dawna spała spokojnie i następnego ranka, w sobotę, obudził ją dopiero głośny szelest listów wpadających przez otwór w drzwiach.

Zbiegła na dół. Pomędzy płożożółtymi kopertami i ulotkami znalazła zaadresowaną do siebie kartkę. Odwróciła ją i poznała pismo Antona. Był bezpieczny - przebywał teraz w obozie dla internowanych na wyspie Man.

Rozdział 14

Mniej więcej w czasie, gdy skapitulowała Francja, do St Ives przybyły dzieci z londyńskiej dzielnicy East End. Ze stacji zaprowadzono je do szkoły Stennack, gdzie miejscowi, którzy zgłosili chęć zaopiekowania się nimi, mogli wybrać podopiecznych.

Isabel wzięła trzech braci o kwadratowych twarzach, zadartych nosach i włosach w kolorze woskowego płótna. Wszyscy byli dość mocno zaniedbani. Koszule mieli poprzecierane, spodenki za duże i przewiązane sznurkiem, skarpetki zwinięte na kostkach tuż nad zdartymi trampkami. Pochodzili z Canning Town, co oznajmili, zanim jeszcze wyszła z nimi z budynku szkoły. Kiedy wsiedli do autobusu do Porthglas, dwaj starsi chłopcy, Robert i Ted, podskakiwali na siedzeniach i co chwila biegli na tył, żeby wyjrzeć przez okna i w wulgarny sposób skomentować mijany krajobraz i wygląd innych pasażerów. We wsi wysiedli z autobusu i Robert z Tedem zaraz pobiegli ścieżką do domu, bijąc się przy tym maskami przeciwwgazowymi i paczkami z ubraniami, zawiniętymi w brązowy papier, zostawiając z tyłu Isabel, która prowadziła za rękę najmłodszego z braci, sześciolatniego Stanleya. Stanley nie pachniał najlepiej. Isabel podejrzewała, że zmoczył się podczas długiej podróży.

W domu Robert i Ted zasypali ją gradem pytań:

- Czemu pani tu mieszka?

- Bo lubię.

- Do czego te kamienie? - Palec wycelowany w kamyki leżące na parapecie.

- Podobają mi się.

- Ale po co pani te stare kamole?

- Uważam, że są piękne.

- A dlaczego mają dziury?

- Żeby odgonić wiedźmy.

Krótką, pełną zdziwienia ciszą, przerwana przez Roberta:

- Gdzie pani stary?

- W Londynie. - A dlaczego?

- Bo tam pracuje.

- Nie ma pani dzieci?

- Mam troje, ale wszystkie są już dorosłe. Proszę - zachęciła Isabel, odkręcając wodę. - Wchodźcie.

Wszyscy trzej bracia wbili wzrok w wannę. Stanley zaczął zawodzić.

- Nie ma mowy - odparł Robert stanowczo. - Zaraz zachoruję. Mam słabe płuca.

Na poparcie swoich słów głośno zakaszłał.

Isabel zaczęła rozbierać Stanleya. Majtki chłopca zszyto z brązowego papieru.

Isabel przyniosła nożyczki, żeby rozciąć tę prowizoryczną odzież.

- Po kąpieli możecie zjeść podwieczorek. Jajka i ciasto.

- Jajka! Ble! - Ted udawał, że wymiotuje. Robert natomiast stwierdził przebiegle:

- Jajka wychodzą kurze z pupy. Pani Wright mi mówiła.

Ted wyraźnie zbladł.

Jakoś udało się przekonać chłopców, by się rozebrali i weszli do wanny, gdzie Stanley wył, a starsi chłopcy umilali sobie czas zalewaniem podłogi. Kiedy już się wytarli i przebrali, Isabel przygotowała podwieczorek. Nakarmiła Stanleya jajkiem, które zjadł z wyrazem desperackiej rezygnacji, jego bracia zaś, którzy odmówili spożycia jajek, upierając się, że na podwieczorek zawsze jedzą chleb z dżemem, biegali po pokoju. Po podwieczorku Isabel wysłała Roberta i Teda na dwór, a sama usiadła ze Stanleyem na kolanach i zaczęła mu czytać opowiadanie. Chłopiec usnął, zanim jeszcze skończyła pierwszą stronę, zahipnotyzowany jej niskim głosem. Zniosła chłopca na górę i położyła do łóżka, po czym wyszła na poszukiwanie starszych braci.

Nigdzie nie zobaczyła Roberta ani Teda. Okrążyła dom, podeszła do krawędzi klifu, rozejrzała się wśród skał nad zatoczką. Plaża była pusta, żadnych śladów na piasku. Przeszła jeszcze kawałek, usiłując nie myśleć o niebezpieczeństwach czyhających w Porthglas na dzieci, które nigdy wcześniej nie miały kontaktu z morzem.

W końcu wróciła do domu, by posprzątać po podwieczorku. Zdążyła jeszcze umyć wannę i zaczęła zasłaniać okna, gdy usłyszała głosy. Wyjrzała przez okno i na ścieżce ujrzała Roberta i Teda. Chłopcy pokryci byli błotem i gałązkami, a z szyi Roberta zwisał duży czarno - biały królik.

Następnego ranka Isabel oddała chłopców pod opiekę ich nauczycielki, panny Wright w St Ives, a sama poszła na zakupy.

Wracala właśnie z domu handlowego, kiedy jakiś głos powiedział:

- Dzień dobry. Piękny dzień, prawda?

- Cudowny - odparła bez namysłu. Dopiero kiedy podniosła wzrok, ujrzała potężnego mężczyznę o zbyt długich kończynach, ubranego w wytarte granatowe spodnie i pasiastą koszulę. Na ramieniu trzymał papugę.

- Pan Penrose... Kupiłam od pana obraz, prawda? Oczywiście pamiętam również Charliego.

Papuga zaprezentowała swe umiejętności.

- Charlie lubi spacerować, prawda, Charlie? - zapytał pan Penrose, zerkając przy tym na torbę Isabel. - Wygląda na ciężką. Pozwoli pani, że pomogę?

- Nie ma potrzeby.

- Nie oferuję pomocy dlatego, że jest potrzebna. Oferuję ją, bo jeśli poniosę pani torbę, będzie pani zmuszona ze mną rozmawiać. Dokąd pani zmierza?

- Na przystanek. Panie Penrose...

- Blaze, proszę nazywać mnie Blaze.

- Muszę złapać autobus. - Uznała, że nie zabrzmiało to zbyt grzecznie. Z trudem przypomniawszy sobie o dobrych manierach. - Prawdę mówiąc, jestem wykończona i będę wdzięczna, jeśli poniesie pan moją torbę - zmieniła nagle zdanie.

Podniósł brwi, oczekując dalszych wyjaśnień.

- Dziś rano musiałam oddać sąsiadom królika. Proszę nie pytać o nic więcej, czuję się zmęczona na samą myśl o tym. Poza tym podawałam trzem małym chłopcom śniadanie. Dwóch je wyłącznie chleb z dżemem i najwyraźniej nie wie, do czego służą krzesła, a trzeci się wcale nie odzywa. Kupiłam fenol i grzebień, bo, niestety, wszyscy są zawszeni, i ubrania, bo na trzech mają jeden komplet w miarę przyzwoitej odzieży.

- Ja też wziąłem do siebie dziecko.

- Naprawdę?

- Proszę się nie dziwić. Nie wydaję się pani typem ojca? Angus jest synem mojej byłej dziewczyny. Ona twierdzi, że boi się bomb i gazu, ale, moim zdaniem, za dobrze się bawi z żołnierzami, żeby zawracać sobie głowę dzieckiem.

- Ile chłopiec ma lat?

- Dziesięć. Najwyraźniej zbyt delikatny, by chodzić do szkoły. Na moje oko jest jednak tak twardy jak stary but.

Dotarli do przystanku.

- Jego edukacja... - zaczęła Isabel.

- Potrafi czytać, pisać i dodawać. Usiłuję nauczyć go malować i żeglować. Czegóż więcej potrzebuje? Oto i pani autobus. - Roześmiał się, widząc wyraz twarzy Isabel, i oddał jej bagaż. - Porthglas Cottage, prawda? Widziałem tam panią. Może kiedyś przywiozę Angusa, miałby się z kim pobawić.

Podopieczny Blaze'a Penrose'a - Isabel nie była pewna, czy Angus Mackintyre jest również jego synem - miał twarz cherubina z obrazów Botticellego, lniane loki, oliwkową skórę i kasztanowe oczy. Widząc go po raz pierwszy w kilka dni od pierwszego spotkania z Blaze'em w St Ives, Isabel obawiała się powierzyć go opiece Roberta i Teda.

Wkrótce jednak odkryła, że obawy te były całkiem nieuzasadnione. Angus świetnie sobie radził. Jego bezgraniczna pewność siebie sprawiała, że ich kąśliwe komentarze spływały po nim jak woda po gęsi. Z przejawami agresji radził sobie, ciągnąc przeciwników za włosy bądź gryząc, które to taktyki nawet Robert i Ted uznawali za niegodne.

- Laura, jego matka, jest dokładnie taka sama - wyjaśnił Blaze, który przywiózł Angusa do Porthglas na rowerze. - Wygląda jak anioł, ale każdego potrafi sobie okręcić wokół małego palca.

Byli w kuchni. Wszyscy czterej chłopcy bawili się na górze: z wrzasków Stanleya Isabel wywnioskowała, że być może będzie musiała go ratować.

Zapytała Blaze'a:

- Czy ona często go odwiedza?

- Ani razu, cholerna suka.

- Angus za nią nie tęskni?

- Nie wydaje mi się. Ten chłopiec ma serce ze stali. - Blaze pochylił się do przodu, łokcie oparł na stole, oczy w kolorze spłowiałego błękitu wbił w Isabel. - Chyba trochę tak jak ty, Isabel.

Zmieniła temat.

- Może trochę agrestu? Mam mnóstwo, a chłopcy nie chcą go jeść.

Blaze jęknął.

- Ja mówię o miłości, a ona o agresji.
- Usiłuję jedynie być praktyczna.
- Ja też. Musisz się tu czasem czuć samotna.
- Ale nie jestem sama. - Isabel wyjęła z pieca blachę ciastek. - Mam chłopców.
- Chodziło mi - obrzucił ją przesadnie pożądanym spojrzeniem - o noc.
- Blaze! Jestem mężatką.
- I co z tego? A ja być może jestem żonaty.
- Być może?
- Marita mogła się ze mną rozwieść, nie jestem pewien. - Oparł się o zlew. Był wysoki, smukły i zaniedbany, a ręce miał długie i chude niczym odnóża pająka.
- Marita?
- Włoszka. Poznałem ją w Marsylii - poinformował mętnie. - No dobrze, mówisz, że jesteś mężatką, ale gdzie twój mąż? - Rozejrzał się po pokoju, zupełnie jakby podejrzewał, że Richard ukrył się za sofą.
- W Londynie - odparła krótko. - Więc co z agrestem?
- Nie, dziękuję - odmówił. - Ja też nie lubię. - A potem, gwizdząc, podszedł do schodów i zaczął wołać Angusa.

Rzeka i morze.

Morze, które muszą pokonać wrogie wojska, aby dostać się do Wielkiej Brytanii. Rzeka, która w księżycowe noce prowadzi bombowce do samego serca Londynu.

Niekiedy w czasie owych napiętych, nerwowych miesięcy przed wybuchem wojny Richard czuł zaskoczenie. Jak to się stało, że mieszka sam, że cała rodzina opuściła go lub zdradziła, kiedy on przecież chciał jedynie zapewnić im bezpieczeństwo, ochronić ich?

Oczywiście, usiłował w jakiś sposób rozproszyć swoją samotność. Zielonookie stworzenie z dołeczkami w policzkach, które poznał pewnej nocy w barze Mayfair. Przyjaciółka z dawnych lat, teraz w separacji z mężem, z którą miał krótki romans w wieku dwudziestu paru lat.

Stworzenie z dołeczkami dało mu jednak do zrozumienia, że oczekuje błyskotek i jedwabnej bielizny, a kiedy zaczęło żądać diamentowych kolczyków i sobolowej etoli, zakończył romans. I tak zresztą jej oczy nie były tak pięknie zielone jak oczy Isabel - były brzydsze, ostrzejsze. Przyjaciółka z dawnych lat pozostała

przyjaciółką, więc pewnego wieczoru usiedli przy brandy, opowiadając sobie o swych utraconych miłościach - co doprowadziło ją do łez, a on starał się ją pocieszyć, zerkając przy tym dyskretnie na zegar, gdyż o świcie musiał wstać do pracy.

Zastanawiał się, dlaczego, kiedy Isabel jeszcze z nim mieszkała, Londyn wydawał się pełen pięknych kobiet, a teraz, gdy odeszła, żadna z nich nie okazywała się odpowiednia.

Po kapitulacji Francji wojna rozgorzała na dobre. Dzięki swemu doświadczeniu zawodowemu Richard nawiązał bliską współpracę z Ministerstwem Lotnictwa. Jadąc na południe od Londynu, obserwował bitwy rozgrywane się nad jego głową. Widział łuki i koła zostawione na niebie przez samoloty, słyszał terkot karabinów maszynowych i ryk silników. Czasem walki te kończyły się upadkiem maszyny do morza. Sprzedawcy gazet podawali na swych tablicach wyniki owych bitw, zupełnie jakby chodziło o mecz krykieta.

Philip i Theo byli w wojsku, a Sara i Ruby mieszkały w Londynie. Była jeszcze Isabel, dumnie tkwiąca w swej kornwalijskiej twierdzy. Żadne z nich nie było bezpieczne. Richard myślał o statkach torpedowanych na Atlantyku i bombardowanych miastach. Myślał o niewyobrażalnych wprost okropieństwach okupacji i tych codziennych zdradach, poniżeniach i kompromisach, które muszą się z nią wiązać. Obawy te nachodziły go nad ranem, kiedy usiłował wybudzić się z koszmaru - śnił, że jest znowu w leju na ziemi niczyjej, że czeka, aż Nicholas Chance go ocali, albo też że podnosi zwłoki żołnierza, któremu właśnie odpada głowa, i że ten żołnierz do niego mówi, że jego rozkładające się usta wypowiadają słowa, a zapadnięte oczy się otwierają.

Napisał do Isabel, że nie może zostać w Kornwalii - całe południe Anglii jest teraz narażone na ataki. Musi jechać do Raheen i zabrać ze sobą Sarę. Isabel odpisała, że nie ma zamiaru opuszczać Kornwalii, i że jeśli chce, sam może zaproponować Sarze wyjazd do Irlandii, bo ona tego nie robi.

Richard klął, zgrzytał zębami, podarł list. Tydzień później pojechał do fabryki samolotów w Filton, w pobliżu Bristolu, żeby omówić szczegóły zamówienia na części do silników, które miała produkować jego fabryka. Dołożył wszelkich starań, by interesy nie zajęły mu zbyt dużo czasu, wymeldował się z hotelu i wsiadł w pociąg do Exeter. Tam przesiadł się w inny jadący do St Ives, bardzo powoli

zresztą, z przystankami pomiędzy stacjami, więc na miejsce dotarł dopiero późnym popołudniem. W St Ives udał się do warsztatu, z którego korzystał jeszcze przed wojną, i udało mu się dzięki łapówce załatwić pożyczkę samochodu wraz z ilością benzyny wystarczającą na dojazd do Porthglas. Samochód, stary austin 7, nie wyciągał więcej niż dwadzieścia mil na godzinę, a na dodatek od dawna już zapewne nie miał resorów, więc z hałasem toczył się po polnej drodze, prowadzącej ze wsi do domu. Po jednej stronie rozciągały się pola, a po drugiej, w odległości zaledwie kilku jardów, znajdowała się krawędź klifu opadającego wprost do morza. Richard miał wrażenie, podobnie zresztą jak podczas wcześniejszych podróży, że wkroczył do innego królestwa, do krainy chmur, morza i nieba, że dotarł na koniec świata.

Zaparkował pod niewysokim białym płotem i wysiadł. Przeszedł kawałek w dół zbocza prowadzącego na plażę, usiłując rozprostować zesztywniałe po długiej drodze stawy. Widział zasieki z drutu kolczastego i betonowe konstrukcje, umieszczone wzdłuż plaży, by powstrzymać siły wroga.

Spojrzał na dom. Niemal się nie zmienił od czasu jego ostatniej wizyty - bielone ściany odcinały się od błękitu nieba, rozwieszona na sznurze pranie tańczyło na wietrze. Poczł zapach, który zawsze kojarzył mu się z Porthglas - sól, trawa i miodowy zapach koniczyny porastającej klify. Usłyszał odległy szum fal na piasku i dziecięce głosy - pisk, wybuch śmiechu. Zupełnie jakby czas się cofnął i on znowu był młodym mężczyzną, i jakby Isabel była w domu, czekając na jego powrót, a dzieci bawiły się w ogrodzie.

Otworzyły się drzwi i z domu wyszła Isabel. Richardowi zamarło serce, musiał złapać oddech, zupełnie jak gdyby jego płuca od dawna pozbawione były tlenu. Bez ruchu patrzył, jak podchodzi do sznura z bielizną, zdejmując suche ubrania i odkłada je do wiklinowego kosza.

Zrobił krok naprzód.

- Witaj, Isabel.

- Richard! - Zaskoczona zasłoniła usta dłonią. - Czy coś się stało? Dzieci...

- Nie, nic z tych rzeczy. Z tego, co wiem, to nic się nikomu nie stało. Przyjechałem do ciebie.

- Och! - Ścisnęła woreczek z klamerkami do bielizny i dopiero po chwili podniosła głowę i zobaczyła samochód. - Samochód...?

- Nie ma benzyny. Przyjechałem pociągiem, a potem od Freda Gribbina pożyczyłem tego gruchota.

- Dostałeś mój list?

- Tak, właśnie dlatego przyjechałem. Zauważył, że ściągnęła usta. Zmarszczyła brwi.

- Chyba nie masz zamiaru nalegać, żebym pojechała do Raheen, co?

- Oczywiście, że powinnaś tam jechać! To jedyne rozsądne wyjście!

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Nie jesteśmy już małżeństwem, dlaczego więc interesuje cię moje bezpieczeństwo?

- Nadal jesteś matką moich dzieci. Cokolwiek się stało... cokolwiek zrobiłaś... to jedno nigdy się nie zmieni.

- Cokolwiek zrobiłam... - powtórzyła powoli. - Richardzie, proszę, wracaj do Londynu. Tylko tracisz czas.

Odwróciła się i schyliła, by podnieść kosz z bielizną. Usiłowała opanować wzburzenie.

- Isabel, na miłość boską. Pomyśl, co się stało na kontynencie. Widziałem wojnę, widziałem, do czego może doprowadzić. Nie wierz, że życie będzie wyglądało tak jak dawniej, bo z całą pewnością nie będzie.

- I z całą pewnością masz rację - odparła spokojnie. - Ale nie wyjadę z Porthglas.

- Isabel - zaczął znowu, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi domu. Stał w nich mężczyzna i oznajmił:

- Wszystko gotowe, moja słodka Isabel. Mogę liczyć na nagrodę?

- Blaze! - zmitygowała go Isabel ostro. Richard zaś zapytał:

- Kim pan, u diabła, jest?

- Richardzie - wtrąciła się pośpiesznie Isabel - to mój przyjaciel, Blaze Penrose. Blaze, to mój mąż, Richard.

Blaze Penrose - zaniedbany, ze zbyt długimi włosami, z rozpiętymi guzikami przy mankietach i kołnierzyku - podszedł bliżej i powiedział:

- Dzień dobry, panie Finborough.

Wyciągnął dłoń. Richard zignorował ten gest. Isabel upomniała go:

- Richardzie!

- Nie wiedziałem, że w czymś przeszkadzam - powiedział.

Isabel rzuciła z wściekłością:

- Richardzie, nie bądź śmieszny!

- Śmieszny? - Przenosił wzrok z niej na Blaze'a, wyciągając najgorsze z możliwych wnioski. - Cóż, masz rację. Tak myślałem, że muszę ci się wydawać śmieszny.

- Richardzie! - zawołała Isabel. - Wysłuchaj mnie choć raz w życiu! To nie tak, jak myślisz. Blaze zakładał zaciemnienie w oknie na półpiętrze, to wszystko!

Mężczyzna, Blaze, dodał:

- Otóż to, zakładałem zaciemnienie.

Richard zaś, zirytowanym tonem i uśmiechem tamtego, uderzył go. Blaze Penrose zdążył tylko stęknąć, upadł na trawę, po czym podniósł się i uderzył Richarda. Źle jednak wymierzył i trafił w klatkę piersiową. Potem nastąpiło jeszcze kilka ciosów, zadawanych na oślep, aż wreszcie obaj wylądowali na trawie, z obtartymi dłońmi i bez tchu.

- Cholera! - rzucił Blaze, siadając i oglądając pięść. - Chyba wybiłem sobie palec.

Richard ocierał usta chusteczką, na której widać było ślady krwi. Isabel zniknęła wraz z koszem. Blaze powiedział:

- Opuściła nas. Wróciła do domu - po czym z zamkniętymi oczami opadł na trawę, oddychając z wysiłkiem.

Wzrok Richarda padł na czterech małych chłopców, którzy stali przy płocie i przyglądali im się szeroko otwartymi oczami. Wytarł usta, zmobilizował resztki godności i wrócił do samochodu.

Etta Chance, niezdolna znieść przemiany spokojnego miasteczka w pole bitwy, uciekła do Londynu, by zamieszkać z córką. Bała się jednak tego miasta, tak hałaśliwego i ruchliwego, pełnego nieznanymi ludźmi. A czarna sobota, pierwsza noc prawdziwych nalotów, wprawiła ją w przerażenie.

Syrena odezwała się późnym popołudniem. Wszyscy zeszli do kotłowni w piwnicy i usiedli w dusznej ciemności, słuchając huku bomb równających z ziemią niszczące tarasy z epoki królowej Wiktorii i dickensowskie magazyny na East Endzie. Po szóstej ogłoszono koniec alarmu, mogli więc wyjść, mrugając przy tym oczami, na światło dzienne. Na wschodzie niebo przesłaniała chmura dymu.

Dwie godziny później bombowce wróciły, prowadzone teraz purpurową poświatą płonących domów i fabryk. Bomby spadały nie tylko na East End, lecz również na inne, bogatsze, dzielnice miasta. Strażacy usiłowali ugasić płomień sięgające trzydziestu stóp wysokości. Po Tamizie pływały barki ogniowe, a szczury, niczym brązowa fala, uciekały z płonących magazynów zboża.

Ruby ściągnęła na dół, do kotłowni, materac, koce, poduszki, zrobiła herbatę, usiłowała pocieszać matkę i odwracać jej uwagę. Etta drżała z każdym drgnięciem budynku, każdym uderzeniem, warkotem i zgrzytem. W rozdygotanych dłoniach nie mogła utrzymać herbaty.

Rano wyszły do całkiem innego miasta. Na wschodzie ciągle płonęły domy, w powietrzu wisiała sadza, brudząc zapomniane prania na sznurach. Kopeć na języku i cierpki zapach w nozdrzach, nieprzyjemna mieszanka palonej farby, smoły, cukru i gumy. W pobliskim Earl Court cały dom zniknął w leju po bombie - bezładna sterta cegieł, desek i kafli, rozrzucone meble, czyjeś pamiątki.

Bombowce powracały przez trzy kolejne noce. Bezlitośnie krążyły nad rumowiskiem, nad domami obdartymi ze skóry niczym pomarańcza, z odsłoniętym wnętrzem - tania tapeta, którą należało wymienić wiele lat temu, zniszczony fotel, z którego niczym grzyb wystawał pęk końskiego włosia.

Ruby umówiła się z Lewisem w Berkeley na szybkiego drinka.

- Muszę znaleźć jakieś miejsce dla mamy - oznajmiła. - To bardzo źle na nią wpływa. A wszystkie pensjonaty są przepełnione.

Zmarszczył brwi.

- Theresa przyjęła do siebie kilka wystraszonych dam. Mógłbym zapytać, czy znajdzie miejsce dla jeszcze jednej.

Matka pędząca spokojne życie wśród jezior i żonkili. Ruby potrząsnęła jednak głową, odganiając tę wizję.

- Lake District jest za daleko. Nie mogłabym jej odwiedzać. A poza tym, choć mama jest dość tolerancyjna wobec większości spraw, raczej nie przepada za katolikami. I jak by to wyglądało, gdyby matka twojej kochanki mieszkała z twoją żoną? To chyba kiepski pomysł, co?

Uśmiechnął się swym niepowtarzalnym uśmiechem.

- No cóż, jeśli postrzegasz to w ten sposób...

- Ale dziękuję, że o tym pomyślałeś. - Dotknęła jego dłoni.

- Mam nadzieję na wolną godzinę. Wstąpisz do mnie?

W jego piwnych oczach czaiło się pożądanie tak wielkie, że obudziło również jej pragnienie.

- Kochanie, przykro mi, ale nie mogę. Muszę wracać do mamy. -
Dopiła drinka, pocałowała go pośpiesznie i wyszła z baru.

Edward znał jakiś hotel w Andover. Droższy, niż Ruby zaplanowała, lecz wszystkie pensjonaty przepełnione były uchodźcami, więc nie było wyboru. Oczy Etty miały taki wyraz, że Ruby poczuła się znowu dwunastoletnią dziewczynką, walczącą o przetrwanie po zniknięciu ojca, kiedy matka zdawała się rozpadać, zupełnie jakby kruche włókna, podtrzymujące jej istnienie, pruły się niczym porzucona robótka.

Następnego dnia wyjechały do Andover. Taksówka zawiozła je na stację Waterloo, która okazała się zamknięta z powodu zniszczeń, skierowały się więc do Clapham Junction. Część terenów była odgradzona, gdyż spadła tam bomba zegarowa, a kiedy dochodziły już do stacji, odezwała się syrena. Przyspieszyły kroku i wsiadły do pociągu, który znalazł się w samym sercu nalotu. Terkotały działa przeciwlotnicze, a pasażerowie kulili się na podłodze pomiędzy niedopałkami papierosów, gumą do żucia i papierkami po słodyczach. Żebra i łopatki matki skulonej w ramionach Ruby były kruche jak u ptaka. Terkot karabinów, jednostajny dźwięk bombowców i matka szepcząca modlitwy: „Panie, zachowaj nas od śmierci...”. Wreszcie pociąg ruszył.

Kiedy przesiadły się w Surbiton, polski żołnierz ustąpił Etcie miejsca. Usiadła. Twarz miała szarą, usta niebieskawe. Cała drżała.

- Mamo, niedługo będziemy na miejscu - zapewniła ją Ruby. Jakaż to marna pociecha! Matka zamykała się w sobie.

No dalej, Ruby. Podobno interesująco piszesz. Wymyśl coś, co odwróci jej uwagę.

- Ciekawa jestem, jak sobie radzą Maude i Hannah. Iskierka zainteresowania.

Ruby ciągnęła z uśmiechem:

- Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby kilku Niemców potrafiło zakłócić spokój ciotki Maude.

- To prawda - szepnęła matka.

- Pewnie teraz pilnuje domu ze strzelbą w dłoni.

- Tak.

- A co, twoim zdaniem, robi Hannah?

Etta mruknęła:

- Robi?

- Mogła przecież wyjechać z farmy. Mogła wstąpić do służby kobiecej.

Przeczący ruch głową.

- Hannah nie opuści farmy. Nie za życia Maude. - W głosie matki słychać było niespodziewaną stanowczość.

W oddali kłęby dymu wydobywały się z komina lokomotywy.

- Wszyscy się zmieniają - dodała Ruby. - Każdy gdzieś jedzie. Być może Hannah również.

W spojrzeniu Etty zaszła zmiana.

- Maude zawsze była zaborcza. Kiedy już coś wpadło w jej ręce, nie wypuszczała tego. Nie dzieliła się słodyczami i nie pozwalała się bawić swoją skakanką. Nigdy niczego nie dawała.

Kłęby dymu i świst pary, gdy pociąg wjechał na peron. Ruby rozpychała się łokciami, walcząc o miejsce dla matki. Dotarły do Andover i udały się do hotelu.

W Lees było bardziej elegancko niż w pensjonacie w Eastbourne. Właścicielka hotelu, pani Weston, była osobą energiczną i rzeczową, ubraną w tweedową spódnicę, sweterek i perły, brakowało jej jednak, co Ruby czuła instynktownie, dobroci pani Sykes.

Zjadły podwieczorek, po czym Ruby pocałowała matkę na pożegnanie i wyruszyła do Londynu. W pociągu było tłoczno, wszystkie miejsca zajęte. Stała w korytarzu twarzą do okna, czując ulgę, że znów jest sama. Jednocześnie miała poczucie winy. Tłumaczyła sobie, że matka jest teraz bezpieczna i że tylko to się liczy. Nie trzeba się wstydzić, że człowiek cieszy się powrotem do pustego mieszkania, że pragnie odzyskać dawne życie. Ona chciała powrócić do takiej Ruby, jaką sobie stworzyła, na której polegano w pracy, która miała żonatego kochanka, która podczas samotnych wieczorów pisała thrillery, plotła pajęczyny chciwości, miłości i pożądania, usidlając w nich swych bohaterów.

Jednak wspomnienie o matce zagubionej w obcym pokoju sprawiało jej ból. Co robi teraz Etta? Ruby bała się, że nadal siedzi w pokoju, bojąc się samotnie wejść do jadalni i poprosić o tacę z posiłkiem. Myśli o matce były bolesne: Ruby pragnęła ponownego nalotu, który pozwoliłby jej skupić się na czymś innym.

Ruby spędzała noce w kotłowni wraz z pozostałymi mieszkańcami domu. Byli tam Kit i Daisy Mae, Linda, która robiła na drutach coś puszystego i pomarańczowego, Stephen, który miał jedną nogę krótszą i był pacyfistą i wegetarianinem, no i chrapał. Był Jorge, uciekinier z Hiszpanii, który palił maleńkie cygara, i jego dziewczyna, Panda, która o każdej porze dnia wchodziła do kotłowni w szlafroku z granatowego jedwabiu. Noce wypełniała mieszanina dźwięków: uderzające o siebie druty, hiszpańskie przekleństwa Jorgego i chrapania Stephena. Słysząc było również bomby i działa przeciwlotnicze, krzyki i wycia, terkot, uderzenia i wybuchy, do których zdążyli się już przyzwyczaić tak bardzo, jakby znali je od lat, więc po jakimś czasie potrafili rozróżnić wybuch bomby od miny.

Pewnego wieczoru spotkało ją coś dziwnego. Odezwała się syrena i Ruby już chwyciła książkę, termos, notatnik i koc, gdy nagle dom wypełnił się niesamowitą poświatą i coś, jakaś siła, przecięło powietrze. Zupełnie jakby ono samo się zatrzęsło. Potem napięcie zniknęło i Ruby zeszła na dół, przerażona, jakby zobaczyła zjawisko z innego świata.

A potem poszła do pracy.

Świat zmieniał się z dnia na dzień i nikt teraz nie narzekał na tłumy w metrze, ponieważ to było najmniej istotne. Czasami pociąg przyjeżdżał, a kiedy go nie było, wsiadała w autobus albo zatrzymywała samochód osobowy. Jazda autobusami była prawdziwym wyzwaniem - nie miały one oznaczeń, gdyż mogłyby pokierować ewentualnych najeźdźców do Whitehall albo w jakieś inne ważne miejsce. Autobusy omijały leje, przeciskały się między górami gruzu i terenami zagrodzonymi z powodu niewybuchów. Kierowca ciężarówki, który przewiózł ją z Brompton Road do Westminster Bridge, powiedział, że dzień wcześniej zbombardowano Buckingham Palace, a ona wyobraziła sobie samotny samolot niemiecki, celujący w Mall, w te wszystkie złocenia, mahonie i zasłony.

Kiedy nie było pociągów ani innych możliwości transportu, szła na piechotę. Po całym Londynie przemieszczały się tabuny stenotypistek i urzędników, bankowców, listonoszy i ekspedientek. Dziewczyny w eleganckich płaszczach i kapeluszach, mężczyźni uzbrojeni w parasole i aktówki omijali leje po bombach, przechodzili przez gruzy, brodzili w liściach wymieszanych tej jesieni ze szkłem, a

ich trasę wyznaczały strzały, niewybuchy, przewrócone filary i balustrady.

Po drodze Ruby widziała spalone doszczętnie domy, bez drzwi i okien, których zwęglone ramy przypominały puste oczodoły. Schron trafiony bombą, a przed nim różowy dziecięcy bucik. Strażak o osmalonej twarzy, przysypiający przy wozie. Ruby dała mu kanapkę, którą zabrała na lunch. Sklep Johna Lewisa na Oxford Street trafiony kilka dni wcześniej - nagie manekiny wypadły przez okno i leżały teraz na szczątkach chodnika, a łuki i kolumny oraz puste wnętrza przypominały Ruby rzymskie Koloseum.

Najgorsze były noce. To właśnie przez nie dzień nie wydawał się już tak bezpieczny. To nocą człowiek nie mógł się na niczym skupić. Przez wiele nocy z rzędu na Londyn spadały bomby. Ruby czasem spała we własnym łóżku we własnym pokoju, nie mogąc znieść chrapania Stephen'a i granatowego szlafroka Pandy. Chowiała wówczas głowę pod wszystkie koce, zupełnie jakby miało ją to ochronić, i przesyiała huk i łoskot, a rano budziła się z trudem, na oślep szukając ręcznika, szczoteczki do zębów, ubrań. Popękały szyby w oknach, a pod pęknięciami na suficie zbierał się szary pył. W ogrodzie za domem widniał lej po bombie.

Ruby zmiotła kurz, zakleiła okna. Pewnego wieczoru nalot zastał ją w drodze do domu i musiała spędzić noc w publicznym schronie. Na podłodze błyszczały kałuże, gdyż tego dnia padał deszcz. Na ławkach siedziały kobiety z niemowlętami na kolanach. Tej nocy dzieci płakały, a matki usiłowały je uspokoić - Ruby postanowiła, że następnym razem spróbuje dotrzeć do domu mimo bombardowania. Następnego dnia, w piątek, po pracy wsiadła w pociąg do Andover, żeby odwiedzić matkę, i spała tam dwanaście godzin.

Człowiek przyzwyczajał się do takiego życia. I to właśnie było najdziwniejsze. Wycie syren, codzienne wyzwanie, z jakim wiązało się dotarcie do pracy, stały się rutyną, czymś zwyczajnym. Ruby bardziej martwiła się podartymi pończochami niż możliwością nagłej śmierci.

Któregoś dnia przyszła do biura i stwierdziła, że w dachu są dziury, przez które wlewa się deszcz, zmieniając pył i gruz w beżową owsiankę. Pokoje zasypane były kawałkami szkła, przewróconymi krzesłami i biurkami. Rolety i zasłony, pozrywane z zaczepów, zwisały niczym brudne ścierki. Z szaf na akta, opróżnionych siłą

wybuchu, wysypała się zawartość. Pośród stert papierów brodził portier z wyrazem zdziwienia na twarzy. Jakaś kobieta poprawiła doniczkę, zdmuchnęła kurz z dokumentów.

Ruby zaczęła zbierać porozrzucane papiery. Trzeba było poukładać niektóre dokumenty w porządku alfabetycznym. Niewyraźne kopie listów i notatek dotyczących rozmów telefonicznych należało uporządkować według dat i tematów. W każdej teczce połyskiwały drobinki szkła. Ruby otwierała te czki, wyjmowała zawartość i wytrzepywała szklany pył do kosza.

Przez pozbawione szyb okna wpadało zimne powietrze i deszcz. Pracowali w płaszczach i szalikach, Ruby miała też botki na kożusku. Nie było prądu ani wody, w związku z czym nie mogło być mowy o herbacie, bufecie ani działającej spłuczce w toalecie. O drugiej wyszła wraz z innymi na lunch do kawiarni. Byli tak zmęczeni, że odzywali się tylko po to, by poprosić o sól lub aspirynę. Do czwartej udało się ustawić i wytrzeć wszystkie meble oraz ułożyć te czki w szafach. Ruby zauważyła na dłoniach setki maleńkich ranek i zadrapań, pozostałość po okruchach szkła.

Kiedy wróciła tego wieczoru do domu, rzuciła się na łóżko, zbyt zmęczona, by jeść, by wykonać jakikolwiek ruch. By zadzwonić do Lewisa, zagotować wodę do napełnienia termofora, który mógłby ją rozgrzać. Ruby Chance, pomyślała, która kiedyś uważała się za modną dziewczynę, leży teraz na łóżku w mokrym, brudnym płaszczu i butach, w podartych pończochach i włosach sklejonych gipsem.

Ktoś zastukał do drzwi. Ruby uznała, że to pewnie Jorge chce znowu pożyczyć zapalki, i zignorowała pukanie.

Kolejne pukanie. Oficjalne.

Ruby zsunęła się z łóżka i otworzyła drzwi. Stało za nimi dwóch policjantów.

- Panna Chance? Panna Ruby Chance? - zapytał starszy z nich. - Niestety, mam dla pani złe nowiny.

Matka zmarła nagle na atak serca. Ruby dowiedziała się, co znaczy niespodziewana śmierć. Człowiek zapominał o niej na chwilę, a potem przypominał sobie i musiał się do tej świadomości przyzwyczajać od nowa.

A przecież śmierci matki można się było spodziewać. Etta Chance już od dawna miała słabe serce, a przeżycia ostatnich miesięcy musiały je złamać. Złamać, myślała Ruby, pakując rzeczy matki w

hotelu w Andover. Serce jej matki zostało złamane wiele lat wcześniej, kiedy odszedł od niej Nicholas Chance.

Te wszystkie czynności, które trzeba było wykonać po śmierci bliskiej osoby, zapewniały przynajmniej zajęcie. Zapakowała rzeczy matki, by przekazać je do oddziału Żeńskiej Służby Pomocniczej - te wszystkie ręcznie robione swetry, cerowane pończochy i rękawiczki, buty, których podeszwy zelowano wiele razy. Cały majątek matki, wszystko, co Etta posiadała, mieściło się w jednej szafie i jednej komodzie. Pocztówka przysłana przez Ruby z Kornwalii wiele lat wcześniej. Kilka fotografii, para niemowlęcych bucików. Listy od ojca, związane różową wstążeczką. W dolnej szufladzie stos czasopism, w których opublikowano opowiadania Ruby.

Ruby zaczęła doceniać matkę, a matka zaczęła doceniać Ruby. Choć ich stosunki nigdy nie były proste, gdyż te dwie kobiety bardzo się od siebie różniły, nauczyły się cenić towarzystwo drugiej i szanować jej zalety. Jakże niewiele matka miała przyjemności, jakież ciężkie życie!

Ruby zapłaciła pani Weston, poszła do lekarza po świadectwo zgonu, zorganizowała pogrzeb. Zdusiła wściekłość, że jej matka, która tak niewiele wymagała od życia, spędziła ostatnie miesiące swego życia w obcym pokoju, w nieznanym mieście. Zdusiła też złość, że pogrzeb nie może się odbyć w kościele, do którego matka chodziła przez wiele lat. Nie wiesz, że jest wojna? - z goryczą przywołała się do porządku.

Pani Weston z nikłym uśmiechem zaproponowała, że weźmie udział w uroczystościach pogrzebowych.

- Dziękuję, ale nie trzeba - odparła Ruby z równie nikłym uśmiechem. W dniu pogrzebu jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie należało przyjąć tej propozycji. Może nie przyjdzie nikt inny. Może ona będzie jedynym żałobnikiem.

Ale ludzie zaczęli się schodzić. Przyjechali pociągiem, wszyscy w czerni i żałobnych kapeluszach. Pani Sykes z pensjonatu i proboszcz z Eastbourne, i kilkoro przyjaciół z tamtejszej parafii.

Nie było jednak Maude ani Hannah. Ani człowieka, którego nieustannie szukała wzrokiem z nadzieją, że zobaczy go, ubranego w żołnierski płaszcz, z mosiężnymi guzikami, błyszczącymi w promieniach jesiennego słońca. Ani bliskich.

A potem zobaczyła Isabel i Sarę - szły od strony stacji. Pocałunki i uściski, eleganckie kapelusze i woalki, i głosy mówiące dokładnie to, co należało powiedzieć, co Ruby powinna usłyszeć. A potem, ku jej zaskoczeniu, w ostatniej chwili, kiedy wszyscy byli już w kościele i nabożeństwo miało się właśnie rozpocząć, przybył Richard Finborough.

Jej zastępcza rodzina. Przyjaciele dodają mi otuchy, pomyślała Ruby, po czym rozpląkała się, gdy organista zagrał pierwsze akordy.

Richard usiłował myśleć o biednej Etcie Chance, lecz ciągle zerkał na Isabel, która stała z przodu, tuż obok Ruby. A potem na Sarę i znowu na Isabel.

Zaraz po zakończeniu nabożeństwa musiał wracać do Londynu. Ucałował Ruby i złożył jej kondolencje, a potem, ponieważ sprawiała wrażenie takiej małej i zagubionej, przytulił ją mocno i powiedział, że gdyby czegoś potrzebowała...

Później stanął twarzą w twarz z żoną i córką. Sarze powiedział, że dobrze wygląda, na co ona odparła:

- Ty też, tato - po czym odeszła do Ruby i razem podziwiały przyniesione przez żałobników kwiaty.

Zabolał go gest córki.

Został sam na sam z Isabel. Stali trochę z boku, w cieniu cyprysa. Powiedział:

- Kiedy przyjechałem do ciebie...

- Pomyliłeś się, Richardzie. Pomyliłeś się co do moich relacji z Blaze'em. Między nami nic nigdy nie było i nie będzie.

- Wiem. Przepraszam. Zrobiłem z siebie durnia. Zwiesił głowę, a ona dotknęła jego ramienia i już łagodniej dodała:

- To miło, że dziś przyjechałeś. Pewnie jesteś bardzo zajęty. Dla Ruby to dużo znaczy.

A on odparł:

- Myślałem ostatnio o Nicku. - Po tych słowach zapadła cisza. Richard zapatrzył się w swoją żonę, w pukiel włosów pod czarnym kapeluszem, błysk oka pod woalką.

Dodał:

- Muszę już iść - po czym pocałował Isabel w policzek, włożył kapelusz i skierował się do samochodu.

Niedługo po nalocie pani Carrington wyjechała do przyjaciółki do Harrogate. Gladys, służąca, również wybrała się do siostry w Walii, więc Edward miał teraz mieszkanie tylko dla siebie.

Spotykali się z Sarą od czasu do czasu. Pewnego wieczoru czekał na nią przed British Restaurant na St Pancras, w której pracowała, od czasu gdy Wielki Frank zamknął kawiarnię i wstąpił do marynarki handlowej. Sara była w sukience w łagodnym zielonym kolorze, takim samym jak jej oczy, oraz szarym żakiecie o wатовanych ramionach. Nie miała kapelusza i włosy opadały jej na ramiona czerwonozłotymi puklami.

Pocałowała go w policzek. Kiedy szli ulicą, powiedział:

- Saro, wyglądasz ślicznie. Spojrzała na siebie i roześmiała się.

- To bardzo miłe, skarbie, ale to nieprawda. Wiem, że wyglądam jak strach na wróble. Dziś z trudem tylko udało mi się uczesać. Na Euston Road leży niewybuch, ktoś twierdził, że duży, i ewakuowano setki ludzi, a oni wszyscy przyszli do nas na lunch. Przepraszam, ale nie mogę dziś iść z tobą na drinka. Jedna z dziewczyn ma urodziny i obiecałam, że pójdę z nią na kolację. Bardzo ci przykro?

- Nie, nie, w porządku - odrzekł pośpiesznie. A potem, aby ukryć rozczarowanie, dodał: - Mam dla ciebie prezent.

Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i wręczył je Sarze.

- Spinki do włosów! - zawołała. - Edwardzie, jesteś wspaniały. Gdzie je znalazłeś?

- W tej niewielkiej drogerii na Pimlico Road. Przechodziłem tamtędy, zobaczyłem ogłoszenie, że mają spinki, i przypomniałem sobie, że zaczyna ci ich brakować.

- Zostały mi trzy. Tak bardzo ci dziękuję. - Przeglądając się w witrynie sklepu, zaczęła wprawnymi ruchami upinać włosy. Ruszyli dalej.

- Dostałam list od Antona - powiedziała.

- I co u niego słychać?

- Chyba w porządku. Mówi, że w pensjonacie bywa dość zimno, lecz Morze Irlandzkie jest jeszcze chłodniejsze.

- Kąpie się w morzu? - zapytał zaskoczony Edward.

- Na ich skrawku plaży. - Sara rozpromieniła się. - On jest taki jak ja, uwielbia pływać. Mówi, że za zasiekami widać horyzont. Był na koncercie, kilku internowanych założyło kwartet smyczkowy. Prowadzi wykłady na temat architektury.

Edward odparł:

- Zupełnie jakby był na wakacjach, a nie w więzieniu. Sara ucichła i przyspieszyła kroku, patrząc wprost przed siebie.

Poczuł, że się czerwieni.

- Nie chciałem... Saro, przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć.

Dodała łagodnie:

- On tego nie znosi. Nie mówi o tym, ale ja wiem, że tak jest. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek musi się zastanawiać nad każdym wypowiedzianym słowem, kiedy nie może iść tam, gdzie chce, i robić tego, na co ma ochotę? Anton tak właśnie żyje od wielu lat. Kiedyś powiedział mi, że przez to nie czuje się w pełni człowiekiem.

- Przepraszam - powiedział Edward ponownie. - Głupio się zachowałem. Chciałem tylko... cóż, przynajmniej jest bezpieczny. Nikt go źle nie traktuje.

- Tak. - Przygryzła wargę, po czym westchnęła. - Nie powinnam być taka drażliwa... Wiem, że nie chciałeś być niemiły. Jestem po prostu trochę zmęczona, dlatego tak się zachowuję. Dobrze porozmawiać z kimś, kto go zna, kto się o niego martwi. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Wiesz, że on się martwi o mnie.

Jakby na umówiony znak odezwała się syrena, a jej przenikliwy dźwięk przebijał się przez hałas ulicy. Niedługo później usłyszeli głęboki, wibrujący huk bombowców. Powietrze wypełnił dźwięk dzwonek wozów strażackich i staccato ostrzału przeciwlotniczego.

Głośniejszy, bardziej skoncentrowany huk. Niebo rozświetlał ogień, a patrząc w górę, Edward dostrzegł ciężkie kształty samolotów. Wziął Sarę za rękę i zaczęli biec. Potem zaś ogarnęło go dziwne uczucie - wyczuwalna wprost nieobecność wszelkich dźwięków - i nie zastanawiając się nad tym, co robi, wciągnął Sarę do bramy i osłonił sobą. Rozległ się raz jeszcze ogłuszający huk, a potem odłamki szkła zaczęły spadać niczym zmrożony deszcz. Czuł w ustach ceglany kurz i jakąś paskudną maź na głowie - uznał, że to pewnie z uszkodzonej rury ściekowej.

Sara drżała.

- Już dobrze, jesteś bezpieczna - wyszeptał i gładził jej włosy. Własny głos wydawał mu się stłumiony, szumiało mu w uszach.

Usłyszał jej szept:

- Edwardzie, nic ci nie jest?
- Nie, a tobie?
- Nic.

Rozdzielili się. Sara miała pobladłą twarz. W powietrzu unosiła się chmura pyłu. Przez sterty gruzu przeszli do stacji metra, gdzie rozstali się na dobre, a Edward patrzył, jak Sara znika w bezpiecznym miejscu. Dopiero wtedy przyłożył dłoń do głowy i zorientował się, że jest ranny. Musiał dostać odłamkiem szkła, ale aż do tej chwili nie czuł bólu.

Dwudziesty dziewiąty grudnia, mroźna zimowa noc. Po okresie spokoju w święta Bożego Narodzenia Luftwaffe powróciła, tyra razem bombardując City. Nad głowami rozbrzmiewał niski pomruk bombowców, potem widać było upiorne białe światło i kule zielonkawych płomieni, oznaczające, że na domy, biura, fabryki i kościoły spadają bomby zapalające. Podsycany wiatrem ogień szybko wymknął się spod kontroli. Jęzory płomieni lizały magazyny farb i lakierów, a potem przenosiły się wąskimi uliczkami i zatłoczonymi podwórzami dalej. Wytwarzała się tak wysoka temperatura, że domy zapalały się samoczynnie.

Bomby spadły na dach katedry Świętego Pawła. Wiele drużyn strażaków - członków Królewskiego Instytutu Architektów Brytyjskich, którzy znali konstrukcję katedry - gasiło ogień za pomocą przynieszonego wiadrami piasku i pomp. Nagle ogień buchnął z kopuły. Bomba spadła na jej przykrycie. Z dachu kapał roztopiony ołów: cała przepiękna konstrukcja, symbolizująca, że Londyn przetrwa atak, znalazła się w niebezpieczeństwie. I nagle cud: kiedy jeden ze strażaków przygotowywał się już, by skierować pompę pomiędzy drewniane belki, bomba dopaliła się i spadła na zewnątrz, ku Stone Gallery.

Nazajutrz powietrze ciągle było mroźne, lecz w pobliżu City panował upał. Pociągało to Philipa, który spędził tę noc w Londynie. Płomienie jeszcze nie zgasły, były jednak znacznie mniejsze. Niektóre rejony odgrodzono linami, a spośród gruzów, niczym poczerniałe zęby, sterczały szczątki ścian.

Pakownia herbaty znajdowała się w Moorgate, a raczej w miejscu, które kiedyś było Moorgate. Teraz została tam tylko jałowa ziemia pokryta szerniałym drewnem i osmolonymi cegłami, a ludzie obrony cywilnej i strażacy przeszukiwali to wszystko w poszukiwaniu

szczałków ciał. Philip minął zrujnowany schron, który pogrzebał tych, którzy szukali w nim schronienia. W powietrzu czuć było pył. Philip zaczął się zastanawiać, co wdycha - popioły, popioły czego?

Pomiędzy pracownikami i gapiami, którzy półprzymotnie brodzili pośród gruzów, zauważył znaną sylwetkę. To jego ojciec, krępy, o szerokich ramionach, w ciężkim płaszczu. Philip zastanawiał się, czy odejść.

Przeszedł jednak na drugą stronę.

- Straszny bałagan, tato.

Ojciec obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Bardzo źle to wygląda? - spytał Philip. Richard rozłożył ręce.

- Fabryki już nie ma. Nie pozwolili mi podejść bliżej, ale powiedzieli, że nic nie zostało. - Przeniósł wzrok na stertę gruzu, potem na wóz strażacki. Wyglądał na zmęczonego, starego. - To tylko budynek. Na szczęście w środku nie było nikogo.

- Zasycha w gardle od tego kurzu. Tato, może chciałbyś się czegoś napić?

- Nie mam czasu.

Philip poczuł znajomy przyływ gniewu.

- Mam za dużo pracy. Wiesz, te papiery.

Philip zdał sobie sprawę, że ojciec nie podejdzie już bliżej z gałązką oliwną. Zapytał więc:

- Dokąd idziesz?

- Do klubu.

- Umówiłem się w American Bar o dwunastą. Możemy pójść razem.

W drodze do hotelu Savoy to Philip kierował rozmową, starając się wybierać bezpieczne tematy, same fakty, tak by nie sprowokować wybuchu. Interesy i marynarka wojenna, tym wypełniał dystans, który ich dzielił, dopóki nie doszli do Strandu.

Stanęli przed hotelem i Philip miał już odejść, gdy ojciec nagle się odezwał:

- Wszystko zaczęło się od tej fabryki.

- Po zakończeniu wojny będziesz mógł zacząć od nowa. Richard potrząsnął głową.

- To bez sensu. Miałaś rację, powinienem ją sprzedać już dawno temu. Była przestarzała. Ale lubiłem ją. Cóż, sentymenty, a to nie jest dobre w interesach. Ale założyliśmy ją razem z Johnem Temple'em.

Jeszcze zanim kupiłem wytwórnę guzików. A teraz zniknęła, tak po prostu, z dnia na dzień... - Wyraźnie starał się jakoś pozbierać. - Idź już lepiej. Spóźnisz się na spotkanie.

Philip szybko, zanim zdążył się rozmyślić, zaproponował:

- Powinieneś nas kiedyś odwiedzić. Teraz mieszkamy w Hampshire, ale razem z Elaine dość często przyjeżdżamy do Londynu.

- Nie wydaje mi się... - zaczął Richard wyniosłym tonem.

Philip skierował się w stronę wejścia do hotelu, ale odwrócił się jeszcze i powiedział:

- Tato, mam syna. Rufus urodził się trzy tygodnie temu. Nie chciałbyś zobaczyć wnuka? - Zauważył we wzroku ojca jakąś zmianę. Dumę? Tęsknotę? Dodał więc: - Rufus to prawdziwy Finborough, bez cienia wątpliwości. Ma rude włosy i ognisty temperament, jak my wszyscy.

Robert, Ted i Stanley na początku stycznia przez tydzień mieszkali u Blaze'a i Angusa, dzięki czemu Isabel mogła odwiedzić Philipa i Elaine w Hampshire i pomóc w opiece nad Jennifer i maleństwem.

Miała już teraz troje wnuków. Davida, najstarszego, widywała najrzadziej. Martwiła się, że wojna dodatkowo ograniczyła i tak rzadkie kontakty. Starła się nie dopuścić do ich całkowitego zaniku, więc korespondowała z Caroline Vernon z nadzieją, że ta zgodzi się przywieźć Davida w lecie do Porthglas.

Wnuczka Isabel, Jenny, była radosnym, prostodusznym stworzeniem, jasnym jak jej matka, o łagodnym usposobieniu. Rufus zaś, najmłodszy członek rodziny, wydawał się silny i zdrowy. Jego krzyk, gdy malec budził się głodny w środku nocy, groził popękaniem krokwi wilgotnej, starej chaty, którą Philip wynajął dla swej rodziny, by ją ustrzec przed nalotami.

Isabel początkowo nie miała łatwych relacji z Elaine. Zbyt wiele konfliktów, zbyt wiele zazdrości. Kiedy synowa zaczęła pewnego razu mówić o przeszłości, Isabel jej przerwała.

- Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat - oświadczyła chłodno, więc Elaine nie podejmowała tematu.

Łatwiej było rozmawiać o dzieciach. O nich mogły mówić godzinami, dzieci cieszyły je i absorbowały bez reszty. Isabel widziała, że Elaine jest dobrą matką, że się troszczy o swoje potomstwo, lecz nie jest nadopiekuńcza; że jest wrażliwa, ale bez

histerii. Trudniej było Isabel pogodzić się z faktem, że Elaine jest również dobrą żoną dla Philipa. Dużo od Philipa wymagała, a jednocześnie darzyła go prawdziwym uczuciem.

Początkowo Isabel tylko z największym trudem była w stanie przebywać w tym samym pokoju co Elaine.

Przetrwała ten okres, wiedząc, że nie ma innego wyjścia, że jeśli nie pogodzi się z synową, straci nie tylko syna, lecz również wnuki. Z czasem w miejsce niechęci pojawił się szacunek dla zalet Elaine. A potem również początki sympatii.

Po powrocie z Londynu Philip opowiedział im o zniszczeniu fabryki. Isabel pamiętała popołudnie tuż po ślubie, kiedy Richard oprowadził ją po zakładzie. Czysty, świeży zapach herbacianych liści i rzędy kobiet i dziewcząt, które w długich sukniach i fartuchach naklejały nalepki na paczki.

Kiedy Isabel opuściła Philipa, Elaine i wnuki, wsiadła w pociąg do Londynu. Podróż była długa i niewygodna. Londyn ją zaskoczył. O nalotach można było czytać, można było oglądać zdjęcia w gazetach, słuchać wiadomości w radiu, lecz to, co ujrzała, kiedy pociąg ze szczękiem hamulców coraz to zatrzymywał się i znów ruszał na przedmieściach, przerosło ją. Zawsze bardzo lubiła porządek i ciężko było jej patrzeć na taki nieład i chaos.

Była szósta, więc pojechała wprost do Hampstead. Richarda jeszcze nie było w domu, lecz Isabel zniosła wzrok służącej z chłodnym spokojem i usiadła w salonie przy herbacie. Dziwnie się czuła, będąc znów w domu, którego panią była przez ponad ćwierć wieku. Zauważyła pewne niedociągnięcia: kurz w kątach, niestaranne ustawienie mebli i bibelotów, przez co dom stracił swój wyjątkowy charakter.

Słyszając, że Richard wrócił do domu, wstała i podeszła do okna. Kiedy już był w pokoju, oznajmiła:

- Nie martw się, nie zostanę. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu fabryki. Philip mi powiedział i chciałam do ciebie napisać, lecz uznałam, że to byłoby tchórzostwo.

Krótką pauza, a potem słowa:

- To miło z twojej strony.
- Czy da się coś uratować?
- Nie, nic, zupełnie nic. Trudno nawet rozpoznać, gdzie stała.
- Richardzie, tak mi przykro. Wzruszył ramionami.

- Ze względów finansowych to bez znaczenia. To tylko...

- Tak - potwierdziła łagodnie. - Tak, wiem. Podszedł do kredensu.

- Coś do picia?

- Tak, proszę.

Nalał jej sherry. Isabel zapytała:

- Jak się czujesz?

- W porządku.

- Wyglądasz na zmęczonego. Przeciągnął dłonią po twarzy.

- Podczas bitwy o Anglię pracowaliśmy bez przerwy całą dobę, produkując osłony filtrów oleju do samolotów. A potem, odkąd zaczęły się bombardowania, też nie było łatwo utrzymać produkcję w czasie nalotów, szczególnie odkąd część naszych mężczyzn odeszła do wojska. - Nalał whisky do szklanki i zmarszczył brwi. - Najdziwniejsze jest to, że wcale mnie to nie załamało. Szczerze mówiąc, praca sprawia mi teraz więcej radości niż przedtem. Wszystko ma znowu sens, warto wkładać wysiłek w tę robotę.

Isabel powiedziała cicho:

- Zawsze lubiłeś być tam, gdzie się coś dzieje.

- Tak. Lubię wyzwania. Najlepiej się czuję przyparty do muru. Kiedy jest coś, o co warto walczyć.

Poczuła na sobie jego wzrok i odwróciła oczy.

- A ja zawsze wolałam spokój. Chyba nigdy nie pasowaliśmy do siebie, prawda, Richardzie?

- Nonsens - odpowiedział spokojnie. - Jesteś typem wojownika podobnie jak ja. Jedyne różnice między nami polega na tym, że nie robisz wokół tego tyle hałasu.

Chwila ciszy, po czym Richard odezwał się ponownie:

- Kornwalia chyba doskonale ci służy. Isabel, wyglądasz wspaniale.

- I tak się czuję, dziękuję ci bardzo. Spędziłam wspaniały tydzień z Philipem, Elaine i dziećmi.

- Widziałem się z Philipem. Powiedział, że ma syna.

- Tak, Rufus jest taki kochany. Wygląda identycznie jak Philip w jego wieku. To aż dziwne, lecz bardzo wzruszające. - Odstawiła pustą szklaneczkę. - Mój pociąg...

- Isabel, zjedz ze mną kolację, na miłość boską - poprosił spontanicznie. - Nie masz pojęcia, jak miło porozmawiać z kimś bliskim. Z kimś, komu nie trzeba wszystkiego wyjaśniać.

- Dobrze - odparła. - Jeśli sobie życzysz.

- Ale wiedz, Isabel - roześmiał się - że możesz żałować swej decyzji. Pani Rogers nie dorasta do pięt pani Finch.

- A co się stało z panią Finch?

- Odeszła. Pojechała do siostry w Suffolk. Wydaje mi się, że brakowało jej ciebie. Ta cholerna agencja nie ma teraz żadnych sensownych ofert, dziewczyny, które mi przysyła, zostają zaledwie miesiąc czy dwa. Lepsza zabawa jest w Żeńskiej Służbie Pomocniczej w Air Force, wyższe pensje w fabrykach.

Isabel oddała służącej płaszcz i kapelusz, umyła ręce i przejrzała się w lustrze, po czym poszła do kuchni. Pomieszczenie wydawało się ogromne i niechlujne, tak jak salon - wiele rzeczy nie leżało na swoim miejscu. Musiała ugryźć się w język, by o tym nie wspomnieć. Podskakiwały pokrywki, kuchnię wypełniała para, a na stole leżała otwarta książka kucharska.

Pani Rogers była mizerną dwudziestoparoletnią kobietą o czerwonej twarzy. Wyjaśniła, że mąż jest w wojsku, lecz żołd szeregowego z trudem wystarcza na życie, więc ona musi wieczorami pracować u pana Finborough, a bliźniakami zajmuje się wówczas jej matka.

- Nie wystarczy ziemniaków - oznajmiła pani Rogers zmęczonym głosem. - Obrałam dla jednej osoby. W domu robię duszone mięso z warzywami albo klops z mielonego, ale pani Wilson w agencji powiedziała, że pan Finborough nie zadowolony będzie byle czym. Nigdy wcześniej nie gotowałam wedle przepisów, zawsze tak, jak to robiła moja mama.

- Pan Finborough z przyjemnością zje wszystko, co pani poda - stwierdziła Isabel stanowczo. - Nie jest wybredny, jeśli chodzi o jedzenie. A ja dziękuję za ziemniaki. Muszę myśleć o swojej figurze.

Kiedy wróciła do salonu, Richard drzemał w fotelu. Isabel wyjęła mu z dłoni szklaneczkę i odstawiła ją na barenki. Poruszył się na dźwięk gongu.

- Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli się nie przebiorę do obiadu? - zapytał. - Wszystko mi jedno, odkąd...

- Czy sądzisz, że ja wkładam wieczorową suknię i biżuterię, kiedy siadam do kolacji z moimi uchodźcami?

- Nie - odparł z szerokim uśmiechem. - Choć miło pomyśleć, że tak robisz.

Przy zupie Richard powiedział.

- Ciągłe myślę o pierwszym pożarze. John Tempie przysłał mi wtedy telegram do Lynton. Wiedziałem, że powinienem natychmiast wrócić do Londynu, ale wołałem spotkać się z tobą.

- Pokłóciliśmy się, prawda?

- Chyba tak. Omal nie wyjechałem na dobre.

- A żałujesz, że tego nie zrobiłeś? Pauza, odłożył łyżkę.

- Zdarzało się to po twoim wyjeździe. Czasem żałowałem nawet, że cię kiedykolwiek spotkałem. Kiedy powiedziałaś mi o tamtym facecie, Broughtonie, uznałem, że pewnie dlatego za mnie wyszłaś, iż nie miałaś innego wyboru

- Ale tak nie było.

- Ale mimo to mam trochę racji, co? Zastanowiła się nad jego słowami. Nigdy wcześniej prawda nie była taka ważna.

- W dniu, kiedy zgodziłam się wyjść za ciebie, jeszcze cię nie kochałam. - Zauważyła, że zmienił mu się wyraz twarzy, ale ciągnęła:

- Albo nie wiedziałam, że kocham. Pociągałeś mnie. Zaczęłam cię kochać niedługo później. Trudno nawet powiedzieć dokładnie, kiedy to się stało. To zwykle nie bywa takie wyraźne, jak światło nagle zapalanej żarówki.

- A ja cię pokochałem od pierwszego wejrzenia. Westchnęła.

- Richardzie, byłam zraniona. Nie chciałam kochać nikogo innego, nie zamierzałam kochać nikogo innego. Przede wszystkim nie chciałam, żebyś wchodził w moje życie. Przyzwyczaiałam się do samotności. Wyszłam za ciebie w przekonaniu, że to mi może zapewnić jakąś przyszłość. Po raz pierwszy od długiego czasu.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej o Broughtonie i dziecku? Dlaczego nie wspomniałaś mi o tym w Lynton?

- A gdybym to zrobiła, jak byś postąpił?

- Nie wiem.

- Czy traktowałbyś mnie inaczej ?

- Być może - przyznał.

Służąca pozbierała ze stołu talerze po zupie i podała drugie danie. Richard zwrócił się niej:

- Doreen, możesz iść do domu. I powiedz pani Rogers, że ona też może iść.

Kiedy znów zostali sami, powiedział.

- Isabel, pragnąłem cię ponad wszelkie przeszkody. To, co się stało w Lynton, było irracjonalne. Więc twoje wyznanie mogłoby nie mieć żadnego znaczenia.

- Początkowo nie byłem pewna, czy mogę ci zaufać. O Alfiem i dziecku nie powiedziałam nikomu. I chyba przyzwyczaiałam się do tej tajemnicy. Wstydziałam się. I to jak. A potem, już po ślubie, nie mogłam ci powiedzieć, bo przecież powinnam była to zrobić wcześniej. Z czasem stało się to zupełnie niemożliwe.

Na zewnątrz odezwała się syrena. Richard zerknął na zasłonięte okna.

- To wszystko ukazuje te sprawy w zupełnie innym świetle, nie sądzisz?

Wojna i dzieci, pomyślała. Początek i koniec.

- Dlatego tu przyjechałam. Dręczyła mnie myśl, że jesteś po stracie fabryki sam. Nie wydaje mi się, by zbyt wiele osób wiedziało, ile ona dla ciebie znaczyła.

- Fakt. Tylko ty to rozumiesz.

W oddali rozległ się grom bombardowania. Spojrzała na Richarda.

- Co robisz, kiedy...?

- Zwykle nic. Jeśli są nad domem, chowam się pod schodami. Jeśli chcesz...

- Nie. Uśmiechnął się.

- Pamiętam, że kiedy przywiozłem cię do Londynu, zastanawiałaś się, czy kierowało mną pragnienie uczynienia cię swoją kochanką.

Ona również uśmiechnęła się do wspomnień.

- Wyobrażałam sobie, jak w szkarłatnych jedwabiach i koronkach siedzę w naszym miłosnym gniazdku.

- Miłosne gniazdko, dobry Boże! - powtórzył z głośnym śmiechem.

Isabel dodała:

- Pokłóciliśmy się o to, pamiętasz?

- Byliśmy w restauracji...

- Przyszedł Freddie McCrory.

- Tak, zamówiłem crepes au citron. Ale ich nie zjedliśmy.

- Tak, nie zjedliśmy. Tamtego wieczoru usiłowałam powiedzieć ci o swojej córce. Ale nie byłam w stanie tego zrobić. Nie chciałam cię stracić.

Głośniejszy jęk, a po nim huk. Isabel powiedziała:

- Kiedy odeszłam od ciebie, próbowałam ją znaleźć.

- Dziecko?

- Tak.

- Udało ci się? Potrząsnęła głową.

- Jej nowa rodzina wyprowadziła się wiele lat temu z dawnego miejsca.

Rozległ się głośny wybuch. Zadrżały szyby w oknach, a na stole podskoczyły sztućce. Richard odłożył serwetkę.

- Wydaje mi się, że powinniśmy poszukać schronienia.

W schowku pod schodami leżały pamiątki z dzieciństwa - łyżwy Sary, wędka Theo, stos gumowców. Isabel, siedzącej w ciasnej ciemności, wydawało się, że niemieckie samoloty przelatują tuż nad jej głową i że ich bomby kierowane są celowo na dom w Hampstead.

- Czy to zawsze tak wygląda? - zapytała Richarda.

- Raczej tak. - Jak to znosisz?

- Widziałem już gorsze rzeczy. Czasem, kiedy jestem zmęczony, wydaje mi się, że jestem znowu w okopach. I zaczynam szukać błota i szczurów.

Położył jej dłoń na ramieniu, pragnąc ją uspokoić. Isabel stwierdziła, że zaciska usta i usiłuje powstrzymać drżenie wywołane bombardowaniem i bliskością Richarda.

Rozległ się wysoki, piskliwy dźwięk, po którym odwróciła się przerażona i ukryła głowę na piersi męża. Otoczył ją ramionami, szepcząc słowa pocieszenia. Głaskał kciukiem jej szyję. Kiedy podniosła głowę, poczuła na czole dotyk jego ust. Boże, jak ja tego nie cierpię. I jak bardzo za tym tęskniłam, pomyślała.

Kiedy bombardowanie zaczęło przycichać, rozłączyli się. Richard otworzył drzwi schowka i wrócili do holu.

- Powinnam się zbierać - powiedziała Isabel niepewnie. - Daphne Mountjoy mówiła, że mogę u niej przenocować.

Poszła po płaszcz i resztę rzeczy.

- Zostań - poprosił.

Serce zabiło jej mocniej. Znowu drżała.

- Richardzie?
- Isabel, proszę, zostań.
- Dobrze - wyszeptała. - Skoro tego chcesz.

Nawet jeśli bombowce powróciły tej nocy, Isabel ich nie słyszała. Tak głęboko spała po raz pierwszy od długiego czasu, zwinięta w łóżku obok Richarda, wyczerpana po miłosnych zmaganiach. Kochali się gwałtownie, desperacko, niemal boleśnie intensywnie.

Kiedy obudziła się rano, poczuła głęboką przyjemność i ulgę płynącą z bliskości Richarda, z dotyku jego skóry, pierwszego od tak dawna. Leżała nieruchomo, by czar nie prysnął. Musiała już zapomnieć prostą przyjemność fizycznego zbliżenia, przyjemność głębokiej intymności z ukochanym człowiekiem. Sądziła, że przyływy namiętności ma już za sobą, ale jakież to było niemądre. Zanadto przyzwyczała się do samotności, niemal wmówiła sobie, że sama czuje się najlepiej.

W końcu jednak, kiedy jej wzrok padł na zegarek, wstała, poszła do łazienki, wykąpała się i ubrała. Słońce jeszcze nie wstało, a w domu panował chłód. Kiedy wróciła do sypialni, Richard był już w garderobie. Usłyszała, jak śpiewa przy goleniu.

Wyszedł i pocałował ją.

- Wczesnie wstałaś. Trzeba było sobie poleżeć.
- Powinnam iść na stację. Wiesz, jak jeżdżą pociągi. Wiązał krawat. Zmarszczył brwi.
- Na stację?
- Wolę iść wcześniej i poczekać w kolejce. Nie chcę utknąć w szczerym polu.
- Myślałem, że tu zostaniesz. Po ostatniej nocy.
- Kochanie, bardzo bym chciała. - Pocałowała go. - Ale muszę wracać do domu. Jestem już o dzień spóźniona.
- Do domu - powtórzył. Szybko sprostowała:
- Miałam na myśli Porthglas.
- Nie musisz wracać do Porthglas. Jeśli się boisz nalotów, zbuduję schron.
- Nie o to chodzi - powiedziała, po czym zaczęła pakować ubrania do torby. - Chodzi o chłopców.
- Philipa i Theo?
- Nie, nie, o moich uchodźców. Ciężko było znaleźć kogoś do opieki na tydzień. Nie mogę ich zostawić na dłużej.

Zamknęła walizkę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że twarz Richarda ma teraz znacznie chłodniejszy wyraz.

- Ale chyba mógłby się nimi zająć ktoś inny.

- Nie, nie sądzę. - Rozejrzała się w poszukiwaniu biżuterii, którą zdjęła poprzedniego wieczoru. - Wzięłam chłopców, bo nie chciał ich nikt inny. Niewielu ludzi zdecyduje się na trzech braci.

- Isabel, chcę, żebyś została. Chcę, żebyś wróciła.

Zauważyła, że Richard zaczyna się denerwować. Zapomniała już, jaką siłę ma jego gniew. Spokojnym głosem wyjaśniła:

- Richardzie, to są dzieci, być może nie jakieś szczególnie miłe czy ładne, ale to dzieci, a nie przedmioty. Nie mogę ich tak po prostu odesłać gdzie indziej, nawet gdyby udało się znaleźć takie miejsce, w co szczerze wątpię. Nie mogę ich również przywieźć tutaj, bo nie byłiby bezpieczni. Stanley zaczął mówić dopiero po paru tygodniach i obawiam się, że mógłby zaniemówić na dobre, gdyby znowu musiał zmienić dom. - Richard chciał jej przerwać, ale nie pozwoliła. - Dzieci są odsyłane z miejsca na miejsce po całym kraju. Wszystkim się wydaje, że nic im nie będzie, bo to tylko dzieci, a dzieci łatwo się dostosowują, ale moim zdaniem, to nie jest dobry pomysł.

Richard rzucił gniewnie:

- Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz wrócić do domu ze względu na uchodźców.

- Cóż, rozumiem. - Poczowała, że jej szczęście znika, wysycha, a w jego miejsce pojawia się rozczarowanie i zmęczenie.

Wiedziała, że Richard nie umie słuchać, więc mogła uznać, że nic mu nie warto tłumaczyć, lecz podjęła próbę:

- Wiesz, dzieci to coś, w czym jestem dobra. Kiedy wychowywaliśmy własne, musiałam pójść na pewne kompromisy. Ja sama nie wysłałabym Philipa i Theo do szkoły z internatem. Nie kazałabym również Sarze chodzić na te wszystkie bale i przyjęcia, na których czuła się tak samo źle jak ja. Kiedy patrzę na nią teraz, wiem, że miałam rację. Powinnam słuchać własnego instynktu. I teraz zamierzam to zrobić.

Richard powiedział chłodno:

- Przykro mi, że musiałaś zatajać przede mną swoje uczucia. A przecież robiłaś to dość często w czasie naszego wspólnego życia.

- Richardzie, proszę cię - rzekła ze znużeniem. - Znalazłam sobie nowe życie. Co zresztą miałam zrobić, kiedy się rozstaliśmy?

Zamknąć się w domu, siedzieć i płakać, nie spotykać się z ludźmi? A potem wrócić do ciebie, gdy tylko skiniesz palcem? Nie mogę porzucić swoich obowiązków, nawet gdybym chciała. Są chłopcy, jak już mówiłam, i ogród, i Żeńska Służba Pomocnicza, nie mogę tak po prostu odejść.

- Nie wydaje mi się - odparował Richard sarkastycznie - żeby te wszystkie wysiłki patriotyczne miały się załamać bez ciebie. I nie wątpię, że Służba znajdzie ci jakieś zajęcie w Londynie.

- Ale o to mi właśnie chodzi! - krzyknęła z irytacją. - Nie chcę, żeby mi ktoś szukał zajęcia! To zajęcie znalazłam sobie sama, sama pokierowałam swoim życiem. Mój wkład może ci się wydawać bez znaczenia, ale ja jestem z niego dumna. Dokładnie to usiłuję ci powiedzieć!

- Wolisz więc żyć tak jak dotychczas?

- Niekiedy - oparła spokojnie. - Nie przez cały czas.

- I upierasz się przy powrocie do Kornwalii?

- Tak, muszę jechać. Ale nie powinieneś wyciągać pochopnych wniosków...

- Wezwę ci taksówkę.

- Richardzie! - zawołała, lecz on już zszedł na dół.

Kiedy dotarła do Paddington Station, zaczęła się zastanawiać, czy podjęła słuszną decyzję. Za dużo rozstań, pomyślała. Nie byli jak małżonkowie przeżywający złote gody, czasem pokazywani w gazetach, którzy chwalili się, że nie spędzili osobno ani jednej nocy. Isabel i Richarda rozdzielało zbyt wiele rzeczy - jego praca, wojny, różnice charakterów.

Pociąg ruszył, a ona zapragnęła wyskoczyć z wagonu, znaleźć męża i przebłagać go, przyznać się do błędu. Pozostała jednak na miejscu, wyglądając przez okno. Pojazd nabierał prędkości, a przed oczami Isabel migały fragmenty zrujnowanego miasta. Rozpamiętywała wydarzenia ostatniej nocy i zastanawiała się, co one znaczyły i czy w ogóle miały jakiegokolwiek znaczenie.

Stało się coś niespodziewanego: kiedy po okropnej podróży i spędzeniu nocy w Exeter Isabel dotarła wreszcie do Porthglas, oczekiwał na nią list od Richarda.

Dziś rano byłem chyba zbyt porywczy. Rozumiem, że wolisz zostać w Kornwalii, będziesz tam bezpieczniejsza. Tak czy inaczej, ze

względu na pracę i wolontariat i tak niewiele czasu spędzam w domu,
więc twój powrót do Londynu nie miałby teraz sensu.

List podpisany został słowami: Kocham cię, Richard.

Rozdział 15

Sekcja Ruby została przeniesiona do domu na wsi. Greenhayes Hall położony był w chłodnym Cambridgeshire. Niedaleko stamtąd znajdowały się bazy lotnicze na półwyspie East Anglian. Niejednokrotnie pracownicy podnosili głowy na odgłos jednostajnego ryku silników i wpatrywali się w płynące po niebie samoloty.

Gdyby Ruby miała określić wojnę jednym słowem, byłoby to „zimno”. Ciągle marzła. Wydawało się, że w ciągu roku jest zaledwie kilka miesięcy, podczas których nie czuje zimna. Greenhayes Hall stał na niewysokim wzniesieniu, nieustannie smaganym wiatrem. Ruby i dwie inne dziewczyny z biura dzieliły pokój na strychu. W najchłodniejsze poranki widać było chmurki oddechu, a wyprane dzień wcześniej pończochy zamarzały na sznurach. Aby oszczędzić opału, w pomieszczeniu, gdzie pracowała Ruby z tuzinem innych kobiet, stał tylko jeden niewielki piec. Wokół biurka wzniosły fortece z teczek, które miały je osłonić od przeciągów. Gdyby Ruby umiała pisać w rękawiczkach, z pewnością by to robiła. W zasadzie pozostawała w nich niemal przez cały czas, a zdejmowała jedynie na krótko, kiedy musiała stukać w klawisze. Jedzenie podawane w porach posiłków było obrzydliwe: chleb z margaryną, kiełbasa i marchewka, tak dużo marchewki, że Ruby przestała ją lubić. To wszystko przygotowywała niezadowolona z życia kobieta, która kiedyś pracowała u właścicieli domu.

Och, i jeszcze ten brak prywatności. Wszechobecne dziewczyny, którym nie zamykały się usta, które klęły i pożyczwały - albo po prostu zabierały - resztki szminki, spinki do włosów, tampony, tabletki od bólu głowy, grzebień. Podczas obiadu z każdego kąta płynął szmer rozmów i zapach tanich perfum. Gorący, zwierzęcy zapach mokrej wełny, suszącej się na kracie przed kominkiem, pończochy i majtki nieustannie wiszące na sznurze w łazience, choć łazienka stanowiła jedyne miejsce w domu, gdzie można było znaleźć choć odrobinę samotności, a i to tylko dopóty, dopóki ktoś nie zapukał do drzwi, żeby powiedzieć, że jest mróz i że trzeba się pośpieszyć. I jeszcze ta płyta gramofonowa, grająca w kółko piosenkę o miłości jakiejś dziewczyny.

W czasie najchłodniejszych miesięcy na zmianę wstawiała w nocy, by odkręcać kurki i spuszczać wodę w toalecie, ponieważ inaczej pękały rury. Ruby ubrana w piżamę, sweter, szlafrok i płaszcz,

ze świecą w dłoni przemierzała ciemny dom, krążąc pomiędzy łazienkami. Niektóre z dziewcząt nie lubiły tego robić, ponieważ w tym dużym, starym budynku bały się duchów. Po śmierci matki, kiedy Ruby wydawało się, że nie napisze już nic więcej, z przyjemnością spotkałaby jakiegoś ducha. Kiedyś podczas takiej samotnej wędrówki po skrzypiących parkietach, i to bez okularów, Ruby dojrzała w oddali szarawy kształt - był to tylko pan Spencer z księgowości, a kiedy już oboje opanowali przerażenie, wspólnie zjedli przysłane przez żonę Spencera ciastka.

Po jakimś czasie Ruby mogła znowu pisać, lecz zaczęła zupełnie nową książkę. Czołowi wydawcy w związku z brakiem papieru znacznie ograniczyli liczbę wydawanych tytułów, za to pojawiły się na rynku dziesiątki małych wydawnictw, które skorzystały z nowej rzeszy czytelników - tysiące młodych mężczyzn z fabryk, farm i placów budowy znalazło się w obozach wojskowych, na statkach i okrętach podwodnych, mężczyzn, którzy pozbawieni towarzystwa kobiet, a czasem również pociechy alkoholu, potrzebowali rozrywki - . Wydawcy zamawiali opowieści krótkie, z wartką akcją i sprośnymi kawałkami. Powieści drukowano na chropowatym żółtym papierze, a na okładkach widniały krzykliwe obrazki szybkich samochodów i jeszcze szybszych kobiet. Tytuły również zachęcały głównie mężczyzn - „Śmierć w konwoju” czy „Zabójcza rudowłosa”. Nie był to, jak napisała Ruby w liście do Theo, gatunek literacki, którym mogłaby się pochwalić matce.

Ale te duchy, dziewczyny, jedzenie, zimno... Ruby musiała jakoś uciec od tego wszystkiego.

Po jedzeniu pojechała do Nineveh, nie miała innego wyjścia, choć żywiła do ciotki Maude i Hannah żal o to, że nie przyjechały na pogrzeb. Musiała jednak przekazać im pamiątki po matce. Dla Hannah miała broszkę, a dla ciotki modlitewnik. Poza tym nieustannie marzyła o potężnych szynkach przyprawianych dla aromatu goździkami, o zapachu świeżego chleba i szarlotki, o pudłach pełnych rachatlukum.

Zza podwórza w Nineveh dobiegł ją hałas. Psy ujadły, gęsi gęgały, a kury biegały zdenerwowane. Pośród gromady ludzi Ruby udało się zauważyć Hannah i dwóch mężczyzn, którym z całą pewnością musiało być zbyt gorąco w garniturach.

Była tam również ciotka Maude, lecz zupełnie inna, mniejsza, co Ruby stwierdziła ze zdziwieniem. Ciotka znacznie zeszczupiała i ciężko opierała się na lasce, wygrażając przy tym pięścią w stronę mężczyzn.

- Są z Wojennego Komitetu Rolnego - szepnęła Hannah do Ruby na ucho. - Chcą, żeby mama zaorała cmentarz. Ale ona się nie zgodzi.

- Cmentarz? - zdziwiła się Ruby. Hannah wskazała pole za sadem.

- Tam gdzie mama chowa psy... - przerwała, słysząc krzyk jednego z mężczyzn, którego zaatakowała gęś.

Kiedy mężczyźni odeszli, Hannah pomogła ciotce wejść do domu, Ruby zaś poszła na miejsce, które pokazała jej Hannah, przez sad, w dół niewysokiego wzniesienia, na którym zbudowano Nineveh. W połowie pola znalazła ogród na planie kwadratu o boku około dwudziestu stóp, dziwną oazę pośród zielonych pól pszenicy. Przez te wszystkie lata, kiedy przyjeżdżała do Nineveh, nic o takim miejscu nie wiedziała. Pomiędzy krzewami i pelargoniami wiły się wąskie żużlowe ścieżki. Pomiędzy roślinami stały potężne kamienie, a na niektórych widniały nawet imiona. Bonny... Malachi... Dido... Wilgotny skrawek ziemi pachniał jak schnące dno rzeki, i nawet w promieniach wiosennego słońca iglaki i wawrzyny rzucały na niego cień. Ruby przeszedł dreszcz.

Alchemia wojny wkroczyła nawet do niezmiennej Nineveh. Farma była teraz lepiej uporządkowana, żywopłoty zostały przycięte, a rowy oczyszczone, przy czym niemal każdy skrawek ziemi przeznaczono pod uprawy. Jakaś dziewczyna wlewała do koryta pomyje dla świń. Największa zmiana zaszła jednak w samej ciotce Maude. Była w stanie przejść zaledwie parę kroków, coraz gorzej widziała, a na stopach miała rany, które nie chciały się goić. Hannah wyznała, że matka pokłóciła się z lekarzem, który w związku z tym przestał do niej przychodzić. W kościele nie była już od wielu miesięcy, lecz czasem zaglądał na farmę proboszcz i modlili się razem.

Ciotka Maude straciła całą werwę. Wyczerpana po kłótni z mężczyznami, siedziała w salonie, obandażowaną stopę trzymając na taborecie. Skinieniem głowy i chrząknięciem dała do zrozumienia, że przyjmuje modlitewnik pozostawiony jej przez siostrę. Maude, mniejsza teraz, ułomna, wreszcie pokonana, była zamknięta w salonie

pośród relikwów przeszłości, filizanek i papierków po słodyczach, słoików z guzikami i kawałkami gumek.

W każdej wolnej chwili Ruby uciekała do Londynu, wciskała się do zatłoczonego, pozbawionego ogrzewania wagonu, stała na korytarzu pomiędzy żołnierzami i ich plecakami, wtulona w chropowate mundury w kolorze khaki. Upominały ją slogany na tablicach: „Czy na pewno musisz gdzieś jechać?”. Cóż, muszę, bo inaczej zwariuję. Pociąg zatrzymywał się gwałtownie. Żołnierze klęli pod nosem, zwijali papierosy, częstowali ją gumą. W Londynie jechała metrem - ta znana, ciepła, pełna kurzu ciemność! - lub szła pieszo, a reflektory przeszukiwały czarne, usiane gwiazdami niebo, od czasu do czasu oświetlając połyskujące srebrne czasze balonów.

W lecie zadzwonił do niej Theo z informacją, że ma kilka dni przepustki. Spotkali się w Londynie w towarzystwie przyjaciół jego i przyjaciół Ruby, podejmując przerwane wątki rozmów, zupełnie jakby od ostatniego spotkania nie dzieliło ich wiele miesięcy jej zesłania na bieżun zimna ani jego pobytu po drugiej stronie Atlantyku. Do Theo zawsze przyklejała się jakaś dziewczyna - drobna blondynka Waaf, która obsługiwała balony zaporowe, czy też niedawna debiutantka, która podobnie jak Ruby pracowała w pełnej przeciągów posiadłości. Spotykali się w teatrze czy w sali tanecznej albo też wciskali się do restauracji zwanej Marquess of Granby, pełnej spekulantów, dziwaków i dezertów, w dzielnicy Fitzrovia.

Ruby i Theo zawsze wychodzili na końcu. Nigdy nie mieli dość rozmów, więc dopiero po pewnym czasie orientowali się, że pozostali, w tym również Waaf i debiutantka, już wyszli. Siedzieli pośród pustych szklanek i niedopałków, a właściciel ogłaszał zamknięcie lokalu i orkiestra zbierała instrumenty. Ruby pragnęła się dowiedzieć, jak wygląda służba na korwecie, eskortującej statki wiozące żywność, surowce czy też ropę, dzięki którym Wielka Brytania była w stanie przeżyć. Chciała poznać nazwy poszczególnych części statku Theo, dowiedzieć się, jakie chłopak ma obowiązki i co czuje ukryty w kompletnej ciemności przed niemieckimi U - Bootami. Pytała, czy, podobnie jak ona sama, ma dość nieustannej obecności innych ludzi, czy trudno mu zebrać myśli w tym chaosie.

- Staram się tam nie myśleć o domu - wyznał Theo. - Nie myślę o przyjaciółkach ani o rodzinie. Nie myślę nawet o tobie, Ruby, bo w przeciwnym razie czułbym się cholernie samotny.

Ruby podobał się sposób, w jaki Theo powiedział „nawet o tobie, Ruby”. To „nawet”. Zupełnie jakby była dla niego kimś ważnym.

W lutym roku 1941 Anton z obcokrajowca kategorii B stał się obcokrajowcem kategorii C. W następnym miesiącu, ku ogromnej radości Sary, został zwolniony z obozu dla internowanych na wyspie Man pod warunkiem, że wstąpi do Pioneer Corps.

Anton miał się stawić w obozie wojskowym w Devon dopiero za tydzień, więc mieli ten czas dla siebie. Philip i Elaine oddali im swój domek w Hampshire. Tam spacerowali, rozmawiali, kochali się, poznawali się na nowo. Sara widziała, że po siedmiu miesiącach spędzonych w obozie Anton wrócił odmieniony - mniej mówił, w jego oczach było jakby odrobinę więcej smutku.

Pod koniec tego tygodnia wsiedli w pociąg do Ilfracombe. Anton nie chciał, żeby Sara widziała bazę, więc pożegnali się w pensjonacie. Dopiero wtedy udał się do obozu, w którym miał przeżyć kolejne sześć miesięcy, a Sara pojechała do Kornwalii, aby spędzić tydzień z matką.

Potem wróciła do Londynu, do pracy w British Restaurant, gdzie obierała ziemniaki i piekła ciasto. Po zakończeniu szkolenia Antona wysłano do Newbury. Ponieważ nie pozwolono mu walczyć, gdyż był obywatelem wrogiego kraju, głównym jego zajęciem była praca fizyczna, jak załadunek i rozładunek ciężarówek, wycinanie drzew, usuwanie gruzu po wybuchu bomb i naprawa zniszczonych portów i torów kolejowych.

W lecie, pod koniec czerwca, kiedy dostał przepustkę, spędzili długi weekend w Hungerford, dziesięć mil od Newbury. Zatrzymali się w pensjonacie przy bocznej uliczce, gdzie spali w pokoju o ścianach pokrytych tapetą w małe różowe i niebieskie kwiatuszki. Cały dzień spędzili, spacerując po okolicy. Kiedy Sara leżała w ramionach Antona na jakiejś łące, z błękitnym niebem nad głową, czuła się spokojna. Rozmawiali o wydarzeniach minionych miesięcy i o przeszłości. Kiedy próbowała rozmawiać o przyszłości, Anton zmieniał temat. Nie wierzył już w przyszłość. Sara obawiała się, że to trwała przemiana.

Po południu wrócili do pensjonatu. Sara leżała na łóżku i czytała książkę, przysypiając od czasu do czasu. Tuż obok niej spał Anton. Po jakimś czasie wyszła z pokoju i zeszła na dół w poszukiwaniu herbaty.

Przechodziła właśnie obok salonu, gdy usłyszała słowa:

- Mając teraz Ruskich po swojej stronie...

Wsunęła głowę przez drzwi. Na fotelach przy kominku siedziało dwóch oficerów RAF - u. Jeden z nich się do niej uśmiechnął.

- Moja piękna, czy mogę coś dla pani zrobić?

- Niechcący podsłuchałam - powiedziała. - Co pan mówił o Rosjanach?

- Nic pani nie wie? Dziś rano Niemcy zaatakowali Związek Radziecki. - Otworzył złotą papierośnicę. - Poczęstuje się pani papieroskiem?

- Nie, dziękuję. Więc Związek Radziecki jest teraz po naszej stronie?

- Na to wygląda. Jesteśmy najlepszymi kumplami wujka Józka. - Przygładził wąsy. - Ma pani ochotę na kino?

- Raczej nie.

- Znam jeden przytulny pub... Uśmiechnęła się.

- Brzmi wspaniale, ale chyba nie spodoba się mojemu mężowi.

Kiedy pobiegła na górę, by obudzić Antona i przekazać mu nowinę, słyszała z salonu jęki rozczarowania. Anton popędził po gazetę. Po raz pierwszy od upadku Francji w zeszłym roku Wielka Brytania i jej dominia nie musiały samotnie walczyć z wrogami, i po raz pierwszy od bardzo dawna Sara zobaczyła w oczach Antona nadzieję.

Jesienią, ku swej ogromnej uldze, Ruby opuściła Greenhayes Hall, gdyż dostała pracę w Ministerstwie Zaopatrzenia. Po ostatnim, bardzo intensywnym nalocie dziesiątego maja bombowce niemieckie nie powróciły już do Londynu. Miasto odzyskiwało pozory normalności - pomijając brak samochodów na ulicach, można sobie było wyobrazić, że to okres przedwojenny.

Dopiero po chwili zauważało się luki pomiędzy domami w miejscach, gdzie uderzyła bomba, kościoły pozbawione wież i cegły w lejach. Brakowało ogrodzeń wokół parków i prywatnych ogrodów - zdjęto je, by przetopić żelazo na coś bardziej pożytecznego. Tajemnicze ogrody, kiedyś zasłonięte, teraz przypominały zwykłe działki. Ludzie na ulicach wyglądali znacznie biedniej, gdyż trudno było kupić nowe ubrania. Wszyscy nosili sznurkowe siatki lub kosze, gdyż w sklepach nie pakowano teraz towarów.

Ruby wynajęła pokój przy Ladbroke Grove. Miał wysoki sufit, duże okna i był trochę zapuszczony - ale czyż wszystkie pokoje nie

wyglądały podobnie? Ściągnęła swoje pudła i meble z tych wszystkich miejsc, w których je zostawiła na czas nieobecności, i ustawiła je w pokoju.

Jej nowa praca polegała na odwiedzaniu fabryk, z którymi Ministerstwo Zaopatrzenia podpisało kontrakty, i sprawdzaniu, czy produkują one bez zakłóceń i czy nie brakuje rąk do pracy. Kiedy zobaczyła, że na jej liście znajduje się fabryka w Salisbury, natychmiast pomyślała o Claire Chance.

Nie chciała popełnić tego samego błędu co poprzednim razem. Nie stanie w progu bez uprzedzenia. Napisała na Moberly Road, a po paru dniach otrzymała odpowiedź z zaproszeniem.

Kiedy Claire wprowadziła ją do domu i powiesiła jej płaszcz na wieszaku, zauważyła:

- Ciekawe, że napisałaś. Często myślałam, że chciałabym z tobą porozmawiać. Zawsze byłaś jedyną osobą, która wiedziała, co czuję. - Przyjrzała się Ruby uważnie. - Nie miałaś wiadomości od Nicka, prawda? Nic nie pisałaś, ale zastanawiałam się...

- Nie, przykro mi.

- To nic. - Claire wprowadziła gościa do salonu. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się teraz zjawił.

Zaproponowała Ruby papierosa.

- Nie, dziękuję.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę? - Pstryknęła zapalniczką. - Poznałam kogoś. Jest miły, pracuje w bazie lotniczej w Boscombe Down. To nie materiał na męża, ale nie tego szukam. Usiądź, proszę. Zrobię herbatę.

Wróciła po chwili, niosąc na tacy herbatniki i dzbanek.

- Chyba moje małżeństwo z Nickiem, jeśli to w ogóle można nazwać małżeństwem, skutecznie zraziło mnie do tej instytucji - wyjaśniła.

Zaciągnęła się papierosem i spojrzała na Ruby z uwagą. W jej wzroku widać było pytanie.

- Moja mama zmarła w zeszłym roku - poinformowała Ruby.

- Przykro mi. Ciężko ci pewnie.

- A w jej rzeczach znalazłam listy od ojca. Pisał do niej podczas poprzedniej wojny.

- Przeczytałaś je?

- Fragmenty. Nie byłam w stanie przeczytać całości. - Ruby poczęstowała się herbatnikiem. - Kiedy byłam mała, mój ojciec wydawał mi się najwspanialszą osobą na świecie.

- Córeczka tatusia.

- Tak, chyba tak właśnie było. Potem, kiedy dowiedziałam się o tobie, zaczęłam nim pogardzać. A teraz nie mogę zebrać wszystkich kawałków w całość. Nie układają się. Chciałabym się dowiedzieć, jaki ojciec był naprawdę. Może wtedy w pewnym sensie udałoby mi się go odnaleźć. Dlatego właśnie chciałam z tobą porozmawiać. - Uśmiechnęła się do Claire. - Widzisz, niewiele osób go pamięta.

Claire zmarszczyła brwi. Ruby szybko dodała:

- Nie musisz nic ukrywać. Nawet jeśli nie był dobrym człowiekiem, chciałabym to wiedzieć.

- Dobrym człowiekiem... - Claire wypuściła kłęb dymu, a oczy jej się zwięziły. - Z jednej strony, był skończonym sukinsynem. Oszukał mnie najgorzej, jak się da, oszukiwał też ciebie i twoją matkę. Ale powiem ci, co pamiętam najlepiej. Miał w sobie tyle życia. W jego towarzystwie nie można się było nudzić. - Zgasiała papierosa w popielniczce. - Poczekaj chwilkę.

Wstała i wyszła. Ruby usłyszała, jak Claire wchodzi po schodach.

Rozejrzała się po pokoju. Na ścianach obrazy, dość dobre zresztą, na stoliku fotografie w srebrnych ramkach. Młody mężczyzna w mundurze RAF - u, dziewczyna, ciemnowłosa i piękna jak jej matka. Ruby doszła do wniosku, że to Archie i Anne. Jej przyrodnie rodzeństwo.

Claire wróciła z dużą kopertą.

- Już nie wiem, ile razy chciałam to spalić - oznajmiła. - Ale są na nich również dzieci, więc je zostawiłam.

Ruby przejrzała zdjęcia. Portret ojca z młodszą, oszalamiająco piękną Claire. Ojciec w koszuli z krótkim rękawem, sfotografowany w zalanym słońcem ogrodzie, trzyma zaskoczone niemowlę w śpiochach. Anne, z kokardami we włosach, siedzi na kolanach ojca, a on zapina jej bucik. Zdjęcie nad morzem - zamek z piasku, dwoje dzieci i Nicholas z łopatką.

Claire powiedziała:

- Nicholas był dobrym ojcem, muszę to przyznać. Kiedy byłam zmęczona, dał im butelkę, zmienił pieluszkę, czego nie zrobiłaby znaczna większość mężczyzn. Kiedy miałam depresję po urodzeniu

Anne, zajmował się dwójką dzieci, a ja pojechałam do koleżanki. Chciał z nimi zrobić tyle rzeczy, kiedy dorosną. Chciał nauczyć Archiego gry w krykieta, Anne miała chodzić na balet, chciał im pokazać Białego Konia z Uffingham. Kochał dzieci. Widać to ze zdjęć, prawda? Nie wygląda na człowieka, który tak po prostu odejdzie. - Roześmiała się. - Opowiadam sentymentalne bzdury.

- Czy powiedziałaś Archiemu i Anne o ojcu? Claire potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie wszystko. Wiedzą, że ode mnie odszedł. Chciałabym im powiedzieć, jeśli się na to zgodzisz, rzecz jasna. Z tajemnic nie wynika nic dobrego, a wolę, żeby Archie i Anne nie dowiedzieli się prawdy przez przypadek.

Chwila zastanowienia.

- Dobrze, jeśli uważasz, że tak jest lepiej.

- Może chciałybyś się z nimi zobaczyć? To zależy od ciebie.

Ruby pomyślała, że ma zbyt mało krewnych, by mogła odrzucić tych dwoje.

- Tak, chciałabym.

- Dziękuję. - Claire zgasila papierosa. - A ty? Powiedziałaś komuś?

- Tylko Theo.

- To twój chłopak?

- Nie, nie, Theo to nie mój chłopak. Swojemu chłopakowi nie powiedziałam o ojcu.

Przez chwilę rozmawiały o pracy - Claire zaczęła pracować - a potem Ruby wyszła od niej i wróciła na Castle Street.

Tej nocy nie mogła spać. Po głowie ciągle kołatały jej się wspomnienia z podróży pociągiem, kontroli w fabryce, rozmowy z Claire.

Swojemu chłopakowi nie powiedziałam o ojcu. Lewisowi nie mówiła prawie nic o rodzicach, a on nie pytał. Po śmierci matki rozmawiała z Theo i z Sarą, nie z Lewisem. Lewis również nie opowiadał jej o swojej rodzinie zbyt wiele. Podał jedynie niezbędne informacje o Theresie, nic więcej. Rozmawiali o innych sprawach niż rodzina. O wojnie, najnowszych piosenkach i sztukach. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak jest.

A potem: Nie wyglądał na człowieka, który tak po prostu odejdzie...

W lecie Sara odwiedziła Vernon Court, aby uczcić czwarte urodziny Davida. Wyrósł na wesołego, silnego chłopca, o ciemnych włosach i okrągłych czarnych oczkach - jak u Gila.

Jesienią otrzymała list od męża, który pracował w wojskowym laboratorium badawczym w pobliżu Bristolu. Gil informował, że Caroline Vernon zmarła nagle po operacji woreczka żółciowego. Sara odpisała, że jest jej przykro. Kilka tygodni później umówili się z Gilem w Londynie, aby się zastanowić nad przyszłością Davida.

Gil mieszkał w Savoyu. Czekał na Sarę w holu. Ucałowała go na powitanie.

- Tak mi przykro z powodu Caroline. Trudno uwierzyć, że jej nie ma. Pewnie bardzo za nią tęsknisz. Co u ciebie, Gil?

- Radzę sobie. - Robił wrażenie osoby bardzo samotnej. - Kiedy myślę o domu, zawsze sobie wyobrażam, że mama jest w ogrodzie.

- A jak David?

- Ogromnie za nią tęskni. Dzięki Bogu jest niania Duggan.

- Tak, oczywiście - przyznała. - Chciałabym pomóc. David mógłby zamieszkać ze mną. Niania by wtedy odpoczęła.

- Nie, to nie będzie konieczne. - Chrząknął. - Szczerze mówiąc, chciałem cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Chciałbym spytać, co byś powiedziała na rozwód? Sara przyglądała mu się zaskoczona.

- Wydawało mi się, że nie bierzesz pod uwagę rozwodu.

- Mama nie brała - sprostował. - Czasy się zmieniły, a teraz, kiedy jej już nie ma... - Umilkł. - Chodzi o to, że już od pewnego czasu... - Spojrzał jej prosto w twarz, a potem wykrztusił wreszcie: - Chcę się ożenić, Saro. To znaczy, z kimś innym.

- Och! - Uśmiechnęła się. - Gil, to wspaniała wiadomość.

- Oczywiście, mógłbym złożyć pozew, motywując to faktem, że ode mnie odeszłaś, ale lepiej będzie załatwić rozwód zgodą bez orzekania o winie.

- Rozumiem. Oczywiście, że się zgadzam. - Pocałowała go w policzek. - Jak się nazywa twoja narzeczona? Gdzie ją poznałeś?

- Nazywa się Janet Radbourne i pracuje w laboratorium. Oboje byliśmy zatrudnieni przy projekcie związanym z zapyłaniem drzewek owocowych. - Kolejne chrząknięcie. - Ona jest tu ze mną. Chciałabyś ją poznać?

- Z przyjemnością.

Gil poszedł do recepcji, a po chwili wrócił w towarzystwie młodej kobiety o mocnej budowie ciała i wydatnych rysach twarzy, której grube włosy obcięte były na pazia. Miała na sobie prostą granatową spódnicę i żakiet, a pod spodem białą bluzkę.

- Saro, to moja narzeczona, Janet Radbourne. Janet, to jest Sara.

Podaly sobie dłonie. Potem nastąpiła krótka, urywana rozmowa, po czym panna Radbourne przejęła kontrolę i zdecydowała, że zjedzą razem podwieczorek.

Narzeczona Gila nalala herbatę.

- Po ślubie - powiedziała, trzymając w dłoni dzbanuszek z mlekiem - zamkniemy dom i przywieziemy Davida z nianią do Anglii.

Sara była zaskoczona.

- Zamkniecie Vernon Court?

- Tak, to najrozsądniejsze wyjście.

- A co z ogrodem?

- Obawiam się, że ogród będzie się teraz musiał obejść bez opieki - odparł Gil. - Dickie Lynch wstąpił do armii. Wojsko zawsze wykorzysta to, co najlepsze. - Wyciągnął dłoń do patery z ciastkami.

- Gil, lepiej nie jedz więcej - doradziła panna Radbourne. - Tam może być proszek jajeczny, a to takie ciężkostrawne.

Gil cofnął rękę.

- W takim razie babeczkę...

- Kochanie, obawiam się, że tam są rodziny. - Teraz panna Radbourne zwróciła się do Sary: - Zamierzamy wynająć dom jakiejś szkole bądź innej odpowiedniej instytucji.

Sara pomyślała o dzieciach deptających ogród Vernon Court, o piłkach do krykieta wybijających szyby starej oranżerii, o schnącym bluszczu i powoju, o ukochanych roślinach Caroline. Odpowiedziała jednak:

- Gil, ty wiesz najlepiej.

Dwa dni później spotkała się jak zwykle z Edwardem. Opowiedziała mu o swojej rozmowie z mężem.

- Trudno mi w to uwierzyć - wyznała. - Ale to oznacza, że będziemy się mogli wreszcie z Antonem pobrać.

- Nie.

Zaskoczyły ją te słowa i ton jego głosu. Przyjrzała mu się.

- Cóż, jeszcze nie teraz. Ale kiedy już dostanę rozwód.

Edward zamknął oczy i przycisnął dłonie do twarzy.

- Co się stało? Wszystko w porządku? - zapytała z troską.

- Nic. - Wstał i poszedł do baru po kolejne drinki. Kiedy wrócił, na jego twarzy widniał uśmiech. - Saro, cieszę się twoim szczęściem.

Ścisnęła jego dłoń.

- Edwardzie, czy na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczonego.

- Bo tak jest. - Krótki śmiech. - Wszyscy są dziś zmęczeni. Wiesz, praca. A i z mamą nie bywa łatwo.

- Wiem, skarbie, wiem.

Tej zimy Ruby pracowała do późna, jeżdżąc po kraju i kontrolując fabryki. Na Boże Narodzenie dostała od Claire Chance kartkę z informacją: „Powiedziałam Archiemu i Anne o Tobie i Twojej mamie. Na początku było ciężko, ale porozmawialiśmy i oboje chcieliby cię poznać”. Claire dodała, że po Nowym Roku zamierzają wszyscy przyjechać na kilka dni do Londynu, kiedy Archie dostanie przepustkę. Może mogliby zjeść razem obiad czy kolację?

Swoje przyrodnie rodzeństwo Ruby spotkała po raz pierwszy w jadalni hotelu w Marylebone. Rozmowa, początkowo dość nieskładna, gdyż potomstwo Nicholasa Chance'a oceniało się nawzajem, z upływem wieczoru stawała się coraz bardziej przyjazna. Anne była żywa i bezpośrednia, podobnie zresztą jak jej matka, i najwyraźniej fakt, że jest nieślubnym dzieckiem, traktowała jak dobry żart.

- To takie romantyczne, że jestem dzieckiem miłości, nie sądzisz? Jak bohaterka powieści.

Ruby zauważyła, że Archie traktuje tę sprawę zdecydowanie bardziej poważnie. Początkowo nie mówił zbyt wiele. Zerkąła na niego od czasu do czasu, szukając w nim cech swego ojca.

Miesiąc później dostała krótki list od Theo, w którym informował, że przyjeżdża do Londynu na przepustkę. Spotkali się w barze na Shaftesbury Avenue. Theo przedstawił ją swoim przyjaciołom. Była wśród nich dziewczyna imieniem Nancy, amerykańska dziennikarka, która wydawała się zainteresowana Theo. Nancy miała wąską owalną twarz o złocistej cerze oraz szlachetny nosek, ozdobiony kilkoma zaledwie piegami.

Poszli na kolację do włoskiej restauracji. Ruby wylądowała po jednej stronie stołu, a Theo po drugiej. Nancy, siedząca obok Theo, co chwila odrzucała ciemnoblonde włosy w tył albo pochylała się do

przodu, z brodą wspartą na dłoniach, w stronę Theo. Biedny Theo, pomyślała Ruby, ta kobieta prawie wchodzi mu do talerza. Mężczyzna obok Ruby, podporucznik ze statku Theo, bawił ją miłą rozmową, lecz z upływem wieczoru Ruby była coraz bardziej niezadowolona. Ulgę poczuła dopiero, kiedy ostatnia osoba skończyła kawę i wszyscy wyruszyli do klubu nocnego na Picadilly.

Złote siatkowe zasłony, zakurzony żyrandol nad głową i orkiestra RAF - u, grająca tango „Jealousy”. Parkiet wypełniała mieszanina khaki, granatu i błękitu oraz jaskrawych kolorów damskich sukienek. Ruby tańczyła z podporucznikiem, czeskim lotnikiem i z kanadyjskim strażakiem. Wydawało jej się, że Nancy nie odstępuje Theo ani na krok. To bardzo niegrzeczne z jej strony, że tak go absorbuje swoją osobą, choć wszyscy pozostali od dawna go nie widzieli. Podporucznik zrobił się zbyt przyjazny, więc Ruby musiała się go pozbyć, w związku z czym poszedł szukać pociechy do baru. Schowała się przed nim w jakimś kącie. Drażniło ją, że tak bardzo cieszyła się na ten wieczór, a teraz wcale nie sprawiał jej radości. Rozejrzała się wśród kieliszków na stole, ale nie było co pić. I tak wypięła za dużo i pewnie dlatego nie umiała się bawić.

Zrobiło się późno, ale po parkiecie nadal krążyło kilka par w rytm spokojnej muzyki. Nancy usiadła obok niej.

- Theo Finborough - szepnęła konspiracyjnie. - Uroczy. Chciałabym wiedzieć, dlaczego żadnej nie udało się go poderwać. Czy jest jakaś żona, o której nie wiem?

- Nie, Theo się nie ożenił.

- Ale nie jest gejem, co?

- Oczywiście, że nie - odparła Ruby zimno.

- Tego nigdy nie wiadomo, kotku. Tacy chłodni, opanowani faceci...

- Nie wydaje mi się - przerwała Ruby lodowatym tonem - żeby Theo chciał być podrywany.

- Wszyscy chcą, czasem tylko nie zdają sobie z tego sprawy. - Nancy oparła łokieć na stole, a głowę na zwiniętej w pięść dłoni, śledząc przy tym Theo wzrokiem. Wargi ułożyły jej się w uśmiech. - Wydaje mi się, że to prawdziwy pogromca serc. Być może odrobinę niedostępny, ale mogę się założyć, że uda mi się to zmienić.

- Theo jest niedostępny. Zawsze taki był.

- Lubię mieć cel. Theo Finborough będzie moim następnym celem. - Rzut oka na Ruby. - Nie będę ci deptać po piętach?
- Theo i ja? Nie, oczywiście, że nie. Jesteśmy przyjaciółmi.
- Od jak dawna?
- Poznałam go, gdy miałam dwanaście lat.
- Fascynujące. - Nancy pochyliła się w jej stronę. - Jaki był jako chłopiec? Musisz mi o tym opowiedzieć.

Ruby powiedziała:

- Przepraszam, ale muszę wyjść do toalety - po czym wzięła torebkę i odeszła od stołu.

W drodze do łazienki myślała: Co za wstrętna, zarozumiała baba... Mogę się założyć, że uda mi się to zmienić... Theo Finborough będzie moim następnym celem... Bezczelna!

Przyglądając się swojemu odbiciu z nosem tuż przy lustrze, gdyż na spotkania z przyjaciółmi nigdy nie wkładała okularów, Ruby sprawdziła stan makijażu i poprawiła fryzurę. W kącie śmiały się trzy dziewczyny, a z jednej z kabin dobiegał szloch. Ruby zapukała do drzwi i zapytała:

- Jest tam ktoś? Wszystko w porządku? Odpowiedział jej słaby głos:

- Tak, nic się nie stało - a po tych słowach rozległo się siarczyste wydychanie nosa.

Ruby zastanawiała się, czy powinna tak po prostu wyjść z lokalu - ale zostawiła na krześle zakiet, więc wróciła do sali tanecznej. Orkiestra grała teraz „A Nightingale Sang in Berkeley Square”. Przez głowę przebiegały jej słowa piosenki, nostalgiczne i dobrze znane. Zatrzymała się przy drzwiach i rozejrzała w poszukiwaniu Theo. Stał przy barze. Pomimo krótkowzroczności zawsze udawało jej się go znaleźć. Poznawała go po postawie, ruchach, dobrze znanych, lecz niezmiennie interesujących, fascynujących. Mogę się założyć, że uda mi się to zmienić... Jak ta okropna baba śmie próbować zmienić Theo, kiedy on i tak jest ideałem?

Nagle zdała sobie sprawę, zrozumiała i musiała schować się za zasłonę, jakby ze strachu, że myśli mogą być wypisane na jej twarzy, że ktoś... że on... może je odczytać.

Była zakochana w Theo, i to już od dawna, lecz nie zdawała sobie z tego sprawy. Poszukała jednak w torebce okularów i włożyła je na nos, by lepiej mu się przyjrzeć. Sam jego widok sprawiał jej

przyjemność. Wiedziała, jak układają się jego włosy, jak rozciąga wargi w uśmiechu czy z dezaprobatą podnosi swe proste czarne brwi. Wyczuwała energię ukrytą w jego postawie, sposób, w jaki zdawał się przyglądać wszystkim dookoła i czekać. Znała w nim wszystko, a tak mało wiedziała o sobie.

I wtedy on się odwrócił, rozejrzał po sali, zobaczył Ruby i podniósł dłoń. Wsunęła okulary do torebki i pośpiesznie skierowała się w stronę stolika.

Theo dotarł do niego mniej więcej w tej samej chwili co ona.

- Ruby, zatańcz ze mną.

- Gdzie Nancy?

- Poszła już. Musi wcześniej wstać. Pojechała do hotelu taksówką. Chodź, nie tańczyłaś ze mną ani razu przez cały wieczór.

- Jestem zmęczona. Zamierzałam iść do domu.

- Tylko raz, proszę. - Patrzył na nią błagalnie, wyciągnął rękę.

Tylko raz, pomyślała, i pozwoliła zaprowadzić się na parkiet. Tylko ten jeden taniec i nie zatańczy z nim nigdy więcej. Będzie zajęta albo weźmie delegację na północ Szkocji.

On jednak trzymał ją tuż przy sobie - zamknęła oczy i wsparła głowę na jego ramieniu. Kiedy melodia się skończyła, Theo potargał jej włosy i powiedział:

- Hej, śpiąca królewno... Ruby podniosła głowę.

- Późno już. Pójdę.

- Odprowadzę cię.

Przyniósł płaszcze i wyszli z klubu. Panująca w drodze do stacji metra cisza wydawała się tworzyć niemal namacalną barierę między nimi.

Milczenie przerwała Ruby pytaniem:

- Byłeś w domu?

- Wpadłem na chwilę dziś po południu.

- I jak? Jak się czuje Richard?

- Z tego, co wiem, to dobrze. Nie było go w domu.

Stanęli na ruchomych schodach, zjeżdżających na perony. Kiedy byli już prawie na dole, usłyszeli, że pociąg wtacza się na stację, więc zbiegli z ostatnich paru stopni. Do wagonu wcisnęli się tuż przed zamknięciem drzwi, po czym usiedli obok siebie.

Theo zapytał:

- Jak twoja nowa praca?

- W porządku.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na Ruby.

- W porządku? I nic więcej? Fajni koledzy? Nowe wyzwania?

Gdyby przesunęła palce o pół cala, mogłaby dotknąć jego dłoni. Wepchnęła ręce do kieszeni płaszcza.

- Podoba mi się ta praca. Znacznie bardziej niż spędzanie całego dnia w biurze. Lubię jeździć po kraju. A ty? Co u ciebie?

- Dobrze - odparł. A potem dodał: - Ostatni rejs był trochę niespokojny.

- Okręt ciągle cały?

- Ma trochę uszkodzony kadłub. Jest teraz w stoczni. Wysiedli z pociągu przy Oxford Circus i przesiedli się na Central Line. Theo zapytał:

- Co sądzisz o Nancy?

- Jest w porządku, tylko dość zarozumiała. I znowu znajomo uniesione brwi.

- Jest bardzo interesująca. Obserwowała bitwę o Anglię z klifów w Dover razem z innymi reporterami, a teraz właśnie wróciła po trzymiesięcznym pobycie w Kairze. Podróż przez Morze Śródziemne podobno była fatalna.

Ruby odparła kwaśno:

- Theo, ona ci się podoba.

- Lubię ją.

- Ona nie zostanie. One nigdy nie zostają.

Odwrócił głowę, rozglądając się po wagonie i unikając przy tym, jak zwykle w metrze, wzroku innych pasażerów. Jej słowa odbijały się echem. Ruby uznała, że nie powinna tego mówić.

- Chciałam powiedzieć - dodała - że wróci do Ameryki. Nie mam racji?

- Ma nadzieję, że uda jej się tu zostać do końca wojny. Cisza. Ruby była świadoma uczucia, które musi ukryć za wszelką cenę. Jakie to żalosne, że najpierw zakochała się w jednym z niedostępnych braci Finborough, a potem w drugim!

Theo powiedział:

- No cóż, ty się w tym lepiej orientujesz.

- Co masz na myśli?

- Lewisa Gascoigne. Jest żonaty, nie rozwiedzie się, nie istnieje więc najmniejsze ryzyko, że wasza znajomość przekształci się w jakiś trwały związek.

- Tak, to fatalne, prawda?

- Fatalne? - rzucił zgryźliwie. - Dokładnie to ci się w nim podoba. To, że jest całkowicie niedostępny.

- Cóż bardzo go lubię.

- To prawda, ale go nie kochasz, co?

- Pewnie, że Kocham.

- Nie, nie kochasz. Jak często o nim myślisz pod jego nieobecność?

- Często.

- Ale nie cały czas. Co czujesz, kiedy dostaniesz od niego list?

- Zawsze jestem zadowolona, gdy do mnie napisze. Theo wbił w nią swe zielonobrazowe oczy i powtórzył z ironią:

- Zadowolona. Ruby, to nie jest namiętność.

Ona sama wiedziała to już od jakiegoś czasu. W czasie ostatnich kilku miesięcy nie spotykali się z Lewisem zbyt często. On czasem załatwiał jakieś tajemnicze interesy, o których nie mógł mówić. Ruby stwierdziła, że jej zesłanie do Cambridgeshire rozdzieliło ich nie tylko pod względem fizycznym, lecz również emocjonalnym. Czasem chodzili do restauracji czy do teatru, a potem niekiedy łądownali w łóżku. Niekiedy, ale już nie zawsze.

Ruby pomyślała, że lubi porządek. Z jednym przyjacielem rozmawiała o polityce, z innym chodziła do teatru. Jeszcze inny był dobry do uprawiania seksu, a kolejny sprawdzał się w rozmowach do późna. Tak było bezpieczniej. Nie istniało ryzyko, że któryś z nich zacznie znaczyć dla niej zbyt wiele. Nagle posmutniała i z pochyloną głową zaczęła przeszukiwać torebkę, by ukryć łzy napływające jej do oczu. Nie ma nic gorszego niż zapłakane pijane dziewczyny. Theo nie będzie się chciał z nią więcej spotkać.

Wysiedli z pociągu na Notting Hill Gate i poszli piechotą do Ladbroke Grove. Ostre, kryształowe powietrze szczypało Ruby w twarz. Kiedy w ciemnościach potknęła się o krawężnik, Theo wzięła ją za rękę.

- Jesteśmy tacy podobni, prawda? - zapytał łagodnie. - Mój problem polega na tym, że chciałbym, żeby wszystko było idealnie. Dlatego właśnie, jak powiedziałaś, żadna nie zostaje.

- Nancy daleko do ideału.
- Ruby, tobie się chyba nie podobała żadna z moich dziewczyn.
- Bo masz zły gust. - Chciała, żeby zabrzmiało to jak żart, lecz wypadło uszczypliwie. - A zresztą - dodała szybko, żeby jakoś naprawić niezręczność - mylisz się, nie jesteśmy podobni. Jestem zupełnie inna od ciebie.

Theo odparł chłodno:

- Moim zdaniem, ciągle myślisz o Philipie. Czy nadal... Tak, pewnie tak jest.

W czarnej jak atrament ciemności nie widziała jego twarzy. Szli dalej, ramię przy ramieniu, lecz naprawdę dzieliła ich przepaść. Nie odzywali się przez całą drogę do domu.

Na schodach zapytała:

- Masz ochotę na kawę?
- Nie, lepiej już pójść. Bolało ją coś w środku.
- Zobaczę cię jeszcze?
- Jutro muszę wracać na korwetę.

Pocałował ją w policzek i zniknął w ciemnościach. Ruby poszła do siebie. Zdjęła płaszcz, zrzuciła z nóg buty na wysokich obcasach. Tego wieczoru pokój, jej pokój, z którego posiadania zawsze była tak dumna, wydawał się zaniedbany i ciasny. Wszystko w nim mówiło o tymczasowości - ona, Ruby, nie zostanie w nim długo. Napełniła czajnik, włączyła maszynkę. Wyjęła kubek. Spojrzała na sofę, pomyślała o jej rozkładaniu i ścieleniu, po czym zdecydowała, że nie będzie sobie tym zawracać głowy i położy się na nierozłożonym pościeleniu pod kocami. Szybko zapadła w sen, ze straszliwą świadomością, że jest jednym maleńkim, samotnym atomem w mieście pełnym innych atomów, pędzących z miejsca na miejsce, które czasem się zderzają, lecz nigdy nie łączą się ze sobą.

Theo zadzwonił do Sary.

- Jak Anton?
- Świetnie. Zamierzamy się pobrać, gdy tylko dostanę rozwód.
- Gratulacje. Najwyższy czas.
- A co u ciebie, Theo?
- Jestem cały i zdrowy. Szczerze mówiąc, trochę się martwię o tatę.
- Nie jest chyba chory?

- Nie, chory nie. Ale nie dba o siebie. Odeszli wszyscy służący poza panią Dunning, w domu panuje bałagan, a tata nie ma pojęcia o gotowaniu. Nie umie sobie zrobić nawet tosta. Chyba nigdy nie musiał. Wieczorem zwykle jada w klubie, ale przez resztę czasu musi się sam o siebie troszczyć. Dziś rano jadł na śniadanie sardynki. Prosto z puszki.

- Biedny tata.

- Ma koszmary, wiesz?

- Koszmary?

- Śni mu się poprzednia wojna i życie w okopach. Słyszę go prawie co wieczór. Krzyczy przez sen.

- Theo, to okropne.

- Próbowałem z nim o tym porozmawiać, ale kazał mi pilnować własnego nosa.

- Cóż, to mamy problem.

- Tak, z nim zawsze są problemy.

Nastąpiła seria szumów na łączach i żadne z nich się przez chwilę nie odzywało. Milczenie przerwał Theo:

- Zastanawiam się, czy ta wojna będzie taka sama, czy jej wspomnienia będą nas nawiedzać, tak jak wspomnienia poprzedniej wojny nawiedzają pokolenie taty. A może będzie inaczej? Im pewnie się wydawało, że udział w wojnie przynosi chlubę. Wiesz, szarże kawaleryjskie, oficerowie w czerwonych płaszczach, z szablami w dłoniach, i tak dalej...

- Anton usiłuje wstąpić do prawdziwego wojska - powiedziała Sara. - To znaczy, nie do Pioneer Corps, ale do oddziałów walczących. Zawsze tego pragnął, lecz nie chcieli mu pozwolić. Teraz jednak mówią, że obcokrajowcy nawet z wrogich państw będą mieli prawo nosić broń. - Owijała kabel telefoniczny wokół palców. - Wiem, co się stanie - rzekła cicho. - W końcu się pobierzemy, a potem jego wyślą do północnej Afryki albo na Daleki Wschód, i znowu go stracę. Nie mogę tego znieść. Czasem już po prostu nie mogę.

- Och, Saro. Rozmawiałaś z nim na ten temat?

- Tak, rozmawiamy o wszystkim. Nie będę próbowała go przekonywać, żeby nie jechał. To nie byłoby w porządku, prawda? Kocham go za to. Jest taki odważny i chce walczyć o słuszną sprawę. O ten kraj, nawet po tym, co go tu spotkało.

- Ale tobie jest ciężko.

- Cóż, mężczyźni muszą wojować, a kobiety płakać... czy coś takiego.

- Przynajmniej Amerykanie przystąpią teraz do wojny.

Dwa dni wcześniej, 7 grudnia, Japończycy zbombardowali amerykańską flotę na Pearl Harbor. Wojna ogarnęła już cały glob ziemski i toczyła się jednocześnie na wielu frontach.

Sara zapytała:

- Theo, a co u ciebie słyhać? Ale tak naprawdę?

- Ostatni rejs był cholernie paskudny. Straciliśmy sześć jednostek z naszego konwoju. - Chwila ciszy. - Jeden z nich to tankowiec. Został storpedowany, wybuch przypominał prawdziwe piekło. Ludzie pływali w płonącej ropie. Usiłowali pływać w płonącej ropie. - Umilkł.

- Theo, wydaje mi się, że masz już dość.

- Nie, wszystko w porządku. Ale dlaczego jest tak, że kiedy człowiek wreszcie dostaje przepustkę, na którą czekał wiele miesięcy, nic nigdy nie wychodzi tak, jak by się chciało? Człowiek myśli o tych wszystkich rzeczach, które chciałby powiedzieć ludziom, a potem się je jakoś zapomina.

- Ludziom?

- Tak - odparł tonem, który sugerował zakończenie rozmowy, a który Sara знаła tak dobrze. - Ludziom.

Tego wieczoru Sara poszła do domu.

Do domu, w którym się urodziła, wróciła po raz pierwszy od wielu lat. Koniec małżeństwa, ponowne odkrycie miłości. Idąc podjazdem, zauważyła, że na klombie rosną warzywa, w żwirze są koleiny, a z ram okiennych płatami odpada farba.

Zadzwoniła do drzwi. Po co tu przyszła? Ponieważ czuła się paskudnie, że ojciec je sardynki prosto z puszki.

Długa chwila czekania, w czasie której mogła przygotować słowa powitania, a potem w drzwiach stanął ojciec. Zarzuciła mu ramiona na szyję, powiedziała:

- Och, tato - i rozplakała się.

Wyglądał dużo starzej. Włosy miał spłowiałe, już nie ogniste, oczy podpuchnięte. Pomimo zimna był w samej tylko koszuli, dość zmiętej zresztą, i bez kołnierzyka.

Poklepał Sarę po plecach i rzekł:

- Nie ma potrzeby płakać - potem zaś dodał: - Moczysz mi koszulę, a nie mam żadnej uprasowanej.

Sara pociągnęła nosem, wytarła oczy i weszła za ojcem do domu. Richard powiedział:

- Jeśli szukasz Theo, to nie ma go w domu.

- Nie szukam Theo. Przyszłam do ciebie. Wyglądał na zaskoczonego, ale bardzo zadowolonego.

- Naprawdę?

- Przyszłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Jak widzisz, jestem zdrow.

- Och, tato - odparła z irytacją. - Popatrz, jak tu wygląda!

W holu było zimno. Na kurzu pokrywającym stół można było rysować. Wszędzie panował bałagan - na parapecie leżały płaszcze i kapelusze, gazety, parasole i otwarte koperty z wystającą zawartością. Sara przypomniała sobie, że po ojcu zawsze sprzątała jej matka i służące.

Zapytał:

- Zimno ci? Pokręciła głową.

- Mam płaszcz.

- Napijesz się kakao? Kakao mi dość dobrze wychodzi.

- Tak, proszę.

W kuchni było cieplej niż w pozostałej części domu i panował też większy porządek. Sara podejrzewała, że rządził tu Theo.

Zaproponowała:

- Przyniesiesz koszulę, to ci uprasuję.

Ojciec wyszedł, a po chwili wrócił z naręczem koszul. Sara rozstawiła deskę do prasowania, a jej ojciec w tym czasie odmierzył mleko w proszku, zmieszał je z wodą, po czym postawił na kuchni, żeby się zagotowało.

Zapytał:

- Ciągłe pracujesz w tamtej jadłodajni?

- Złożyłam podanie, żeby przyjęli mnie do Women's Land Army.

- Tak czułem, że będziesz miała na to ochotę.

- Zwłaszcza ze względu na konie. - Ostrożnie dotknęła żelazka, żeby sprawdzić, czy jest wystarczająco gorące. A potem zmieniła temat: - Gil poprosił mnie o rozwód.

Ojciec spojrzał na nią uważnie.

- Naprawdę?

- Tak. Chce się ożenić.

- Na Boga. Nie przypuszczałem, że to zrobi.

- Kiedy dostanę rozwód, zamierzam wyjść za Antona. Ojciec zaczął coś mówić, ale mu przerwała:

- Wszystko w porządku. Nie proszę cię o błogosławieństwo ani nic w tym rodzaju. Wiem, że go nie lubisz.

Richard włożył okulary, żeby sprawdzić sposób przyrządzania na puszcze kakao. Zmarszczył brwi.

- Nie chodzi o to, czy go lubię, czy nie. Cóż, może trochę. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał fakt, że rzucasz się na jakiegoś cholernego Niemca...

- Austriaka, tato.

- Niech będzie Austriaka. - Richard odłożył łyżkę i odwrócił się do córki. - Saro, moim zdaniem, on nie był wystarczająco dobry. Zawsze chciałem dla ciebie jak najlepiej.

- Anton jest dla mnie najlepszym partnerem - oświadczyła stanowczo. - Kocham go. Kocham go od lat, chyba od pierwszego wejrzenia. I nigdy nie pokocham nikogo innego. - Żelazko przesunęło się po rękawie koszuli. - Wyjdę za niego najszybciej, jak się da, a tobie nie wolno mi w tym przeszkadzać.

Był do niej odwrócony tyłem, gdyż stał przy kuchni. Powiedział;

- Nie mam zamiaru ci przeszkadzać. Jesteś dorosłą kobietą i musisz robić to, co uznasz za najlepsze dla siebie. Wtedy byłaś jeszcze dzieckiem. Miałaś zaledwie dwadzieścia lat. Próbowałem cię chronić.

Wezbrała w niej fala gorzkości.

- A w zeszłym roku - zapytała - kiedy wydałeś Antona władzom, też chciałeś mnie chronić?

Odwrócił się w jej stronę.

- Wydałem Antona władzom? O czym ty mówisz?

- Doskonale wiesz, o czym mówię.

- Saro, nie wiem.

- Tato, nie wierzę ci - odparła ze złością. - Powiedziałeś policji, gdzie on się ukrywa. Przyszli i zabrali go.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie ja.

I w tym momencie mleko wykypiało.

- Do diabła! - zawołał Richard i wlał to, co jeszcze pozostało w garnku, do kubków, po czym nieporadnie zaczął ścierać przypalone mleko.

Sara zaofiarowała się:

- Ja to zrobię - po czym wyjęła mu z dłoni ścierkę. Kiedy umyła piec kuchenny i płukała ściereczkę, podjęła przerwany temat: - Ktoś doniósł komisji, że Anton ze mną mieszka. To musiał być ktoś, kto dużo o nas wiedział.

- Cóż, nie byłem to ja.

- A kiedy Anton się ukrył w zeszłym roku, ktoś powiedział policji, gdzie jest. Pomyślałam, że to ty kazałeś go śledzić czy coś w tym rodzaju.

Richard rozzłościł się:

- Jak mogłaś nawet pomyśleć, że jestem zdolny do czegoś takiego? Czegoś tak wstępnego i niegodnego?

- Pamiętasz, jak groziłeś Antonowi, że zostanie wyrzucony z kraju? Czy to nie było niegodne?

- Nie. To coś zupełnie innego. Jak już mówiłem, wtedy byłaś jeszcze dzieckiem i próbowałem cię chronić. Ale wydać kogoś policji? Nie, tego bym nie zrobił.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Szczerze?

- Ile razy mam ci to powtarzać?

- Ale jeśli to nie ty, to kto? - I nagle stwierdziła, że wie, więc bardzo cicho powiedziała: - Och.

Ojciec powiedział tylko:

- Wypij kakao, bo zrobi się na nim kożuch, a przecież nie cierpisz kożuchów.

Wtorkowy wieczór. Sara, owinięta w płaszcz, czekała na Edwarda w mrocznym, zadymionym pubie w Westminster, odmawiając przyjęcia drinków, papierosów i awansów mężczyzn oferujących jej swe towarzystwo. Kiedy Edward wszedł do pubu, pocałowała go w policzek. Chyba z nawyku.

- To co zwykle? - zapytał, ale pokręciła głową.

- Nie zostanę długo.

- Och! - Wyglądał na rozczarowanego. - Odprowadzę cię, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję.

Edward spojrzał na nią uważnie.

- Saro, o co chodzi?

- Kilka dni temu poszłam odwiedzić ojca. Do tej pory byłam przekonana, że to właśnie on powiedział policji, gdzie ukrywa się Anton, ale to nie on, prawda?

Usiadł obok niej. Zauważyła, że twarz mu pobladła. Dodała:

- O kryjówce Antona poza tobą wiedzieli jedynie Ruby i Peter. Moim zdaniem, żadne z nich by go nie wydało.

Zaczął coś mówić, ale umilkł. Po chwili powiedział tylko:

- Przepraszam. Tak mi przykro. Wiedziałem, że postępuję źle, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Więc to ty? - Tak.

Znienawidziła go. Przypomniła sobie długie miesiące rozłąki i swój niepokój po katastrofie statku Arandora Star.

- Jak mogłeś? - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Wiedziałeś, co przeżył w Wiedniu. Wiedziałeś, jak bardzo się bał ponownego uwięzienia.

- Tak. - Jedna bezbarwna sylaba, wypowiedziana ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

- Edwardzie, dlaczego? Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Nie wiesz? - Nie.

Roześmiał się głośno, co wzbudziło zainteresowanie niektórych gości pubu. A potem wyjaśnił:

- Oczywiście dlatego, że cię kocham. Nie wiedziałaś o tym? Nie, z całą pewnością nie wiedziałaś. Dlaczego miałabyś brać pod uwagę taką możliwość? Dlaczego miałabyś pomyśleć, że biedny stary Edward, kumpel wszystkich, lecz niczyj najlepszy przyjaciel, może się w tobie zakochać?

Potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie, a potem odparła:

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, i tak wcale cię nie tłumaczy.

- Wcale nie twierdzę, że tłumaczy.

- I wcale nie świadczy o miłości - dodała z gniewem - kiedy się kogoś rani w taki sposób. Miłość jest bezinteresowna, w miłości najważniejsza jest ta druga osoba.

- Naprawdę? Nie wiedziałem. Nie mam zbyt dużego doświadczenia. - Potarł czoło palcami. - Byłaś najlepszym, co mi się w życiu przydarzyło. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na Euston Station, moje życie się odmieniło. Wiem, że nigdy o mnie nie

myślałaś w tych kategoriach, i wcale nie tak często udawało mi się przekonać samego siebie, że mam u ciebie jakieś szanse. Ale od tamtej pory poczułem, że żyję. Miałem powód, żeby rano wstać z łóżka, żeby jakoś funkcjonować. Odkąd cię poznałem, przestałem stać z boku. Znalazłem się w centrum, w centrum swojej własnej historii. Naszej historii.

Sara wstała i wzięła torebkę i rękawiczki.

- Edwardzie, my nigdy nie mieliśmy żadnej historii - oświadczyła oziębło. - Nigdy nie było naszej historii.

Poszedł do domu.

Matka wróciła do Londynu sześć tygodni po zakończeniu nalotów. Kiedy wieształ kapelusz i płaszcz, zawołała:

- Kupiłeś pomarańcze?

- Nie, mam, nie ma. Ale udało mi się dostać chleb, warzywa i trochę mięsa.

- Syn pani Dixon kupił pomarańcze.

- To pani Dixon ma szczęście - odparł dość ostrym tonem.

I poszedł do kuchni. Kiedy mieszkał sam, przeważnie jadał poza domem. Od powrotu matki musiał gotować. Dwa czy trzy razy w tygodniu przychodziła kobieta sprzątać i obierać ziemniaki, ale czasem się nie pokazywała, a kiedy już przyszła, i tak wykonywała swą pracę niedbale - ale on się nie skarżył, nie śmiał, wiedząc, że gdyby coś powiedział, musiałby sam szorować podłogi i wannę.

Po obiedzie Edward umył i wytarł naczynia, przetrął też stół. Potem pomógł matce przygotować się do snu - zdjął narzutę z łóżka, zrobił herbatę, pomógł kobiecie wejść do łazienki. Ostatnio zrobiła się jeszcze słabsza i Edward miał świadomość, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie w stanie samodzielnie się rozebrać ani umyć. I jak sobie wtedy poradzą, jeśli wojna się nie skończy, i nadal nie można będzie znaleźć jakiegokolwiek pomocy? Matka nie zechce przecież, żeby pomagał jej się przebrać w koszulę nocną czy wejść do wanny. Czasem się zastanawiał, czy to nie była przyczyna niechęci matki do niego: że nie podobała jej się własna zależność od syna.

Kiedy został sam, zgasił światło, zdjął roletę i wyjrzał przez okno. Na ulicach panował spokój, tej nocy nie słychać było wycia syren. Znowu złapał przeziębienie i bolało go gardło. Był zbyt zmęczony, by czytać - bardzo zmęczony, nie długotrwałą bezsennością jak podczas nalotu, ale znacznie głębiej, a zmęczenie to wiązało się z nawałem

pracy oraz ogólnym zniechęceniem. Był zmęczony wszystkim, zmęczony koniecznością wstawania rano i wyjścia do biura, koniecznością stania w kolejkach po jedzenie albo w aptece po lekarstwa dla matki.

Przede wszystkim był jednak zmęczony samym sobą. Kiedy wydał Antona Wolffa, tłumaczył sobie, że robi to dla dobra kraju. Wolff był obywatelem wrogiego państwa - Edward, jako lojalny obywatel, wykonał jedynie swój obowiązek, informując policję o kryjówce Antona. W głębi serca miał jednak świadomość, że doniósł, ponieważ go nie lubił, i dlatego, że Sara go kochała. A może również z tego powodu, że Anton Wolff nieustannie przypominał mu pewną niewygodną prawdę - obaj znajdowali się poza nawiasem społeczeństwa. Zdradzając Antona, zdradził również samego siebie. Nigdy jakoś siebie szczególnie nie lubił, a teraz stan ten się pogłębił, Edward stracił do siebie szacunek.

Przypomnił sobie wieczór, kiedy uciekali z Sarą przed nalotem. Kolor nieba, dźwięki wypełniające powietrze, ich całą orkiestrę. Miękkie ciepło jej ciała w jego ramionach, kiedy osłaniał ją przed odłamkami szkła. Wiedział, że już nigdy nie poczuje się równie wolny i szczęśliwy, że nie będzie biegł płonącymi ulicami Londynu z dziewczyną za rękę.

Rozdział 16

Matka nie chciała lekarza. Maude Quinn w ostatnich miesiącach życia, kiedy stała się zbyt niedołężna, by zejść na dół do salonu, była uwięziona w sypialni. Potężna niegdyś kobieta skurczyła się tak bardzo, że teraz wydawała się swoim własnym cieniem. Maude była niemal całkiem ślepa, a z wrzodów na nogach nieustannie sączył się jakiś płyn. Nie straciła jedynie swej żelaznej woli. Nie chciała się zgodzić, żeby Hannah posłała po lekarza - chodziło o jakąś kłótnię na wcześniejszym etapie choroby, jakąś niezapomnianą urazę - a poza tym Maude Quinn nigdy nie miała dobrego zdania na temat lekarzy, więc Hannah robiła wszystko sama.

Kiedy matka czegoś potrzebowała, uderzała okuciem laski w podłogę. Słyszeć to było w całym domu. Hannah mogła akurat pracować albo piec - nieustannie wzywało ją walenie laską. Buch - buch - buch... Dźwięk odbijał się echem po całym domu, a Hannah natychmiast biegła na górę, żeby poprawić matce poduszki albo pomóc jej się napić wody. Maude zawsze sprawiała wrażenie spragnionej. Hannah trzymała szklanekę z wodą przy suchych, spękanych ustach matki, a ona chleptała ją tak łapczywie, jakby już od wielu dni nie dostawała nic do picia. Krople wody spływały na brodę i koszulę. A potem Maude z zamkniętymi oczami opadała na poduszki i przez chwilę w domu panowała cisza. I znowu łomot laski. Przez całą dobę, bez przerwy, w takt bicia serca Hannah.

Kiedy matka waliła laską o podłogę, dziewczyny ze wsi tylko podnosiły brwi i nie przerywały pracy - spokojnie sortowały jajka, szorowały bańki na mleko czy jadły śniadanie przygotowane przez Hannah. Hannah się ich bała. Dziewczyny miały na imię Diana i Marie. Diana miała szerokie ramiona, była silna, a włosy nosiła skręcone w grube loki. Podczas deszczu lub wiatru obwiązywała głowę zielonym lub białym szalem. Wymawiała słowa zupełnie inaczej niż Hannah. Czasem Hannah nie mogła jej zrozumieć, a wtedy Diana powtarzała wszystko bardzo powoli, jakby Hannah była nienormalna.

Marie była szczupłą. Miała krótkie ciemne loczki. Mimo drobnej budowy potrafiła jednak wrzucać na wóz snopki zboża oraz wjeżdżać wozem na wzgórze i z niego zjeżdżać. W czasie przerw w pracy zapalała papierosa i paliła go z głową odrzuconą do tyłu. Gdy się zaciągała, na jej wychudzonej twarzy pojawiał się grymas, a oczy

miała rozmarzone. Kiedyś, na samym początku pracy na farmie, poczęstowała Hannah papierosem. Hannah zapaliła, zaskoczona, a potem potrząsnęła głową. Marie nie powtórzyła propozycji. Hannah widywała ją z papierosem przykucniętą na wozie albo ukrytą za drzwiami stodoły, ale nie wiedziała, czy dziewczyna jej się przygląda, czy nie.

Diana i Marie stanowiły zamkniętą grupę. Milkły, gdy tylko Hannah weszła do pokoju. Słyszając ich śmiech, Hannah zastanawiała się, czy śmieją się z niej. Obie dziewczyny stały się śmielsze od czasu, gdy matka przestała wstawać z łóżka. Spały na dole domu w pokoju, w którym kiedyś, dawno temu, ojciec Hannah, Josiah Quinn, trzymał księgi rachunkowe. Gdy dziewczęta zgłosiły się do pracy, na półkach leżały sterty tych ksiąg i pudeł zawierających kwity i skrawki papieru, na których Josiah Quinn podliczał finanse Nineveh. Matka zakazała dziewczynom dotykać pudeł. W zimie jednak, gdy nie wstawała już z łóżka, Diana i Marie używały starych dokumentów Josiaha Quinna na rozpałkę. Bez pytania brały również drewno i jedzenie. Matka byłaby wściekła, gdyby wiedziała o papierach, drewnie i żywności, ale na szczęście nie wiedziała, gdyż jej jedynym sposobem komunikacji ze światem było uderzanie laską w podłogę, a Hannah za bardzo się bała, by cokolwiek powiedzieć.

W ostatnich miesiącach życia matki sama poczuła się źle. Czasem bolał ją brzuch, a czasem miała mdłości. Potem dolegliwości przechodziły, więc o nich zapominała do czasu, gdy pojawiały się ponownie kilka tygodni później. Kiedy ból był szczególnie uciążliwy, bała się ruszyć, żeby się nie nasilił. Gdy matka jej nie potrzebowała, Hannah zwijała się na łóżku w bezruchu, czekając, aż dolegliwość minie.

Tuż przed śmiercią Maude Quinn była zbyt słaba, by używać laski, więc Hannah siedziała przy jej łóżku dzień i noc. Z powodu zimna na dworze nie udało się otworzyć okna, a Hannah paliła ogień, by matka nie marzła, więc powietrze w pokoju było gęste i nieświeże. W pomieszczeniu unosił się stęchły zapach brudnej pościeli - matka nie dawała już rady przewrócić się na bok, by Hannah mogła zmienić pościel, ale nawet teraz była zbyt ciężka, by córka mogła ją podnieść. Rozchodził się również przykry zapach gnijących ran na nogach matki, ran, które nie chciały się goić, bez względu na to, jak często

Hannah je przemywała i zmieniała bandażę. W owym czasie matka dużo spała, jęcząc z bólu.

Niespokojny lutowy wieczór. Wiatr szarpał korony drzew, a deszcz zalewał rowy. Dziewczyny poszły na tańce do Ely, więc na farmie zostały jedynie Hannah i jej matka. Matka miała zamknięte oczy i pobladłą, zapadniętą twarz. Hannah słuchała szumu wiatru i oddechu matki.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że matka ma otwarte oczy.

- Mamo? - odezwała się.

Matka poruszyła ustami, pragnąc coś powiedzieć. Hannah pochyliła się nad nią, usiłując zrozumieć słowa.

- Farma...

- Tak, mamo?

- Musisz tu zostać. Wiesz o tym. Nie wolno ci opuścić Nineveh. Obiecuj mi.

Wyciągnęła dłoń i chwyciła Hannah za rękę.

- Tak, mamo - szepnęła dziewczyna. - Obiecuję. Maude Quinn zamknęła oczy, a uścisk jej dłoni osłabł, natomiast oddech stał się głośniejszy. Hannah wydawało się, że twarz matki zrobiona jest z wosku, miała barwę żółtobiałą, a skóra była półprzezroczysta i bezkrwista. Ciężki oddech wypełniał cały pokój, więc Hannah nie zwracała już uwagi na wiatr szalejący na zewnątrz. Słysząc było jedynie tykanie zegara i ten oddech matki, coraz rzadszy. A potem ostatni.

Hannah usiadła na skraju łóżka i czekała. Na co? Że matka zacznie znowu oddychać, poruszy się, coś powie, zbeszta ją, uderzy. Trudno uwierzyć, że ktoś o tak silnej osobowości odszedł na zawsze. Matka miała półotwarte oczy. Kiedy Hannah zmusiła się, by je zamknąć, oczekiwała, że źrenice się poruszą, że powieki drgną, że matka wyciągnie rękę i ją spoliczkuje. Ze pełnym wściekłości głosem skarci ją:

- Nieuważna dziewczyna. Wiemy, co czeka nieuważne dziewczyny, prawda?

W tym momencie pod wpływem wiatru otworzyło się jedno z okien i uderzyło o ścianę. Do pokoju wdarło się lodowate powietrze, wydymając zasłony i poruszając sterty papierów na komodzie i falbanę na narzucie. Przygasł płomień lampy naftowej, a po twarzy Maude Quinn zaczęły pełzać cienie, więc wydawała się poruszać.

Hannah stanęła w bezruchu, przerażona, z pięściami przyciśniętymi do ust. Martwej matki bała się tak samo jak żywej.

Brzuch znowu ją rozbolał. Pierwszy skurcz poczuła, opuszczając sypialnię matki.

Poszła do siebie i położyła się na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Chciała spać, wyczerpana wielotygodniową opieką nad matką, ale nie mogła. Przeszkadzało jej wycie wiatru, ból i świadomość, że matka leży zaledwie parę pokoiów dalej. Buch - buch - buch - pomyślała, że to matka uderza laską, aby ją przywołać, i z drzeniem usiadła na łóżku, zlana potem. Rozejrzała się po pokoju, czekając, aż drzwi się otworzą i stanie w nich matka. Buch - buch - buch... Zdała sobie sprawę, że to tylko gałąź uderza o szybę.

Nie wolno ci opuścić Nineveh... Ale Hannah wiedziała to od dawna.

Po kilku godzinach ból minął, więc wstała ostrożnie i podeszła do szuflady, w której trzymała listy od George'a Drake'a. Wróciła do łóżka, położyła się na boku, okryła kocem i zabrała się do czytania. Znała ich treść na pamięć, ale lubiła patrzeć na słowa napisane na kartce. Powieki stały się ciężkie, zapadła w sen.

Rano Hannah wyszła na korytarz i usłyszała, że Diana i Marie są w kuchni. Stanęła przed drzwiami, zbierając się na odwagę, by je otworzyć. Kiedy weszła do środka, dziewczyny odwróciły się w jej stronę i wbiły w nią wzrok, a ona spuściła oczy. Diana i Marie powitały ją, Hannah zaś odpowiedziała na powitanie. W pomieszczeniu było zimno, gdyż zasnęła. W piecu palił się ogień - nie pozwalano mu zgasnąć - ale palenisko było zimne. Diana i Marie, w płaszczach i szalikach, siedziały przy piecu. Smarowały chleb masłem. Zdjęły z haka boczek i teraz kroili go na plastry.

Hannah czuła się wyobcowana, jakby nieobecna. Udało jej się wykrztusić:

- Mama zmarła dziś w nocy. Muszę iść po księdza do Manei.

Chwila ciszy, a potem Diana wykrztusiła z pełnymi ustami:

- Jezu wszechmocny, czy chcesz powiedzieć, że ona leży na górze?

Marie upomniała ją:

- Di - po czym przeżegnała się. A potem zaproponowała: - Ja pojedę, jeśli chcesz. Umiem jeździć na rowerze, będzie szybciej.

- Dziękuję.

Marie włożyła rękawiczki, które grzały się przy piecu. Diana wymruczała:

- Czy to miejsce nie jest straszne? Lodowate zimno, nie ma wanny, a na dodatek trup na górze - po czym zabrała się do smażenia boczku.

- Biedactwo, wyglądasz na wykończoną - powiedziała Marie łagodnie. - Proszę, możesz to wziąć. - Postawiła przed Hannah kubek kakao. Dodała jeszcze: - Di, wydołam krowy, ale jeszcze nie nakarmiłam świń.

Wrócę niedługo, więc zostaw mi kanapkę z boczkiem. - I wyszła.

Gil wynajął dom w pobliżu Bristolu. Odwiedzanie Davida z farmy w Wiltshire, gdzie Sara aktualnie pracowała, oznaczało skomplikowaną podróż trzema autobusami i długi spacer. Po przybyciu na miejsce zjadła lunch z Gilem i Janet. Kiedy David się obudził, niania Duggan sprowadziła go na dół, więc Sara mogła się z nim pobawić, podczas gdy Gil i Janet pracowali w szklarni. David wyrósł na ślicznego chłopca z czupryną czarnych włosów i ciemnymi, inteligentnymi oczami. Niedawno zaczął chodzić do przedszkola, więc używał teraz takich słów jak „super” czy „strasznie”, które musiał z całą pewnością usłyszeć od innych dzieci. Opowiedział Sarze o nauczycielce, pannie Harcourt, i swoim najlepszym przyjaciolem, nazwiskiem Butterworth, który ma psa Pieprzyka.

- Kochanie, a ty chciałbyś mieć psa? - pytała Sara. - Labrador na farmie ma takie słodkie szczeniaczki. Mogłabym ci jednego przywieźć, gdybyś chciał.

David podziękował jej grzecznie i dodał, że to byłoby super.

Przyszła pora podwieczorku chłopca. Sara ścięła czubek jajka na miękko i pokazała synowi, jak zanurzać w żółtku chlebowych żołnierzy. Niania przyglądała im się z dezaprobatą, mrucząc coś na temat braku dobrych manier przy stole. A potem David zjadł duszone jabłko z sosem waniliowym i poszli na górę.

Gdy Gil i Janet wrócili ze szklarni, David wysunął dłoń z ręki Sary, po czym przebiegł przez cały pokój, krzycząc:

- Mamusiu, robiłem żołnierzyki z chleba. Wkładałem je do jajka!

Janet uśmiechnęła się:

- Naprawdę, skarbie? To cudownie - powiedziała i wzięła go na kolana.

Mój wybór, przypomniała sobie Sara, wracając na farmę na tylnym siedzeniu autobusu. Byłoby cudownie, gdyby David mógł traktować przyszłą żonę Gila jak własną matkę. Nie żałowała swej decyzji, wcale nie żałowała. Dlaczego więc płacze?

Musiała poszukać w torebce chusteczki, którą przycisnęła do oczu. Za zabłoconym oknem migały nagie drzewa i zaorane pola, kiedy autobus toczył się po kredowej nizinie.

Zimny wiatr i woda stojąca na ścieżkach i polach. Po mszy w kościele parafialnym Ruby przeszła przez cmentarz, przebiegając wzrokiem napisy na nagrobkach. Na cmentarzu można znaleźć tak wiele historii. Tragedie - niemowlęta, a czasem wszystkie dzieci w rodzinie, zmarły na febrę. Wielkie romanse, małżeństwa trwające czterdzieści lub pięćdziesiąt lat, zakończone śmiercią małżonków w odstępie zaledwie kilku tygodni. Niektórych napisów nie dało się odczytać, dawno wyryte litery zostały wypłukane przez deszcz i pokryte mchem.

Zerknęła na grupę ludzi przed kościołem. Pan Merriman, prawnik rodziny Quinnów, nadal rozmawiał z Hannah. Dwie wiejskie dziewczyny wyszły z cmentarza i stały teraz na chodniku, paląc jednego papierosa na spółkę. Garstka innych żałobników, dawnych pracowników i służących, skupiła się pod ścianą kościoła jakby dla ochrony przed wiatrem.

Ruby odkryła, że na cmentarzu nie ma nagrobka Josiaha Quinna, męża Maude i ojca Hannah. Oczywiście, przecież Josiah Quinn zginął na wojnie. Przed kościołem stał pomnik z szarego marmuru, upamiętniający tych mieszkańców parafii w Manei, którzy zmarli podczas wojny. Na liście zmarłych w roku 1918 Ruby przeczytała: Smart... Newell... Pope... Marshall... i kilka innych nazwisk. Dla pewności obejrzała spis dwa razy, a potem przejrzała spisy zmarłych wcześniej. Nie znalazła nazwiska Quinn. Dziwne.

Kilka osób ruszyło w drogę do Nineveh, chlupiąc gumowcami po kałużach. Ruby rozmawiała z Hannah i z panią Drake, która mieszkała w jednej z chat należących do Nineveh.

- Hannah, czy twój ojciec był metodystą? Hannah obrzuciła ją spojrzeniem przerażonego królika.

- Nie, nie, Quinnowie zawsze byli anglikanami. Ruby opowiedziała o pomniku.

- Wujek Josiah zginął na wojnie, prawda? Pomyślałam, że jeśli nie chodził do kościoła parafialnego, jego nazwisko może być umieszczone na innym pomniku.

Hannah potrząsnęła głową.

- Mama nie wyszłaby za odmieńca.

W zagłębieniach terenu u stóp wzgórza, na którym stała Nineveh, połyskiwały potężne kałuże. Ktoś ułożył kładki. Żałobnicy przeszli przez nie gęsiego, po czym podjęli dalszą wędrówkę ścieżką pomiędzy polami. Tutaj wiał silny wiatr i musieli trzymać kapelusze. Kiedy weszli na podwórze, Hannah uciszyła psy i odgoniła gęsi.

Ruby miała właśnie wejść za kuzynką do domu, kiedy poczuła, że ktoś ją ciągnie za rękaw.

- Panno Chance - powiedziała pani Drake - słyszałam, jak pani pytała Hannah o Josiaha Quinna. - Po tych słowach kobieta zniżyła głos. - Sądziłam, że pani wie.

Ruby zapytała:

- Co wiem?

- Dlaczego jego nie ma na pomniku. Widzi pani, Josiah Quinn był dezterem.

Nagły podmuch wiatru zakrył twarz Ruby włosami. Odgarnęła je palcami, wpatrując się przy tym w panią Drake.

- Dezterem? Pani Drake, czy jest pani pewna?

- Tak, jestem. Cała wieś o tym wiedziała. Maude Quinn powiedziała pani, że zginął na wojnie, prawda?

- Pani Drake pokiwała głową. - Okłamała panią.

- A co się stało?

- Niedługo przed końcem wojny Josiah Quinn przyjechał do domu na przepustkę i nigdy już do wojska nie wrócił. Szukała go żandarmeria wojskowa, ale nie znalazła. I później nie widział go już nikt z nas. A jeśli Maude Quinn miała od niego jakieś wiadomości, nikomu się tym nie chwaliła. - Pani Drake uśmiechnęła się ponuro. - Niewielka strata. Josiah Quinn miał paskudny charakter, był chciwy i zaborczy. Nie sądzę, żeby pani Quinn go opłakiwała.

- Nie kochali się więc?

- Kochali? - Pani Drake spojrzała na Ruby ze zdumieniem. - Ona go nienawidziła. I trzeba przyznać, że miała ku temu powody. Pani Quinn współczułam jedynie wtedy, kiedy ten człowiek był w pobliżu. Maude wyszła za niego dla pieniędzy i ośmielałam się twierdzić, że całe

życie tego żałowała. Kiedy mu się odgryzała, groził jej pięścią. A nawet gorzej. Czasem ją bił. Nie miał w sobie ani krzty współczucia. Oczywiście ona też nie, ale on był silniejszy.

- Pani Drake zmarszczyła brwi, patrząc na Nineveh. - Zawsze sądziłam, że są siebie warci. Budzili w sobie nawzajem diabła.

Po powrocie do Londynu Ruby zadzwoniła do Richarda, który zaprosił ją na obiad do swojego klubu.

Klub wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała - fotele pokryte spękaną skórą i boazeria z ciemnego drewna. W fotelach drzemali starsi mężczyźni w koszulach ze sztywnymi kołnierzykami. Przy bulionie opowiedziała Richardowi o ciotce Maude.

- Jaka ona była? - zapytał Richard.

- Okropna - odparła Ruby. - Była chyba najpaskudniejszą osobą, jaką w życiu spotkałam.

Richard roześmiał się serdecznie.

- Ja też nigdy nie przebierałem w słowach. Szczerść jest najlepsza. A twoja kuzynka?

- Hannah jest inna niż ciotka. Nie jest okrutna. - Zamieszała łyżką zupę, która miała drożdżowy posmak, niczym Marmite wymieszane z wodą. - Zawsze mam wobec niej poczucie winy.

- Winy? - Richard przyjrzał jej się. - Dlaczego? Szczerść jest najlepsza, powiedział. Ruby przełknęła ostatnią łyżkę zupy, usiłując przy tym sformułować szczerą odpowiedź.

- Powinnam jej współczuć, zresztą tak jest, ale ona mnie drażni. Nieustannie się zastanawiam, dlaczego nie wyjedzie, nie zacznie czegoś robić. A potem czuję wstyd, ponieważ wiem, dlaczego tego nie robi. Nie robi, ponieważ ciotka Maude wybiła z niej całą odwagę.

- Ale przecież starsza pani umarła.

- Zapytałam Hannah, czy zamierza opuścić Nineveh - wyjaśniła zniecierpliwiona Ruby. - Nawet zaproponowałam, żeby ze mną zamieszkała, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś pokoju, choć doprowadziłoby mnie do szaleństwa, gdyby plątała się cały dzień bez celu. Ale ona powiedziała, że ma zamiar pozostać na farmie. - To jej dom - odparł Richard łagodnie.

- Ale my opuściliśmy domy, prawda? Ty opuściłeś Irlandię, a ja... mieszkałam już w tylu miejscach.

- Ale my jesteśmy bardzo podobni do siebie, prawda? Niespokojni, zachłanni, wciąż chcemy więcej. Zawsze uważałem, że

jesteś prawdziwym członkiem rodziny Finborough, nawet jeśli tylko przygarniętym.

Przyszedł kelner zabrać miseczki po zupie i zapytać, czy wolą baraninę, czy wołowinę po burgundzku. Znacznie tam więcej burgunda niż wołowiny, powiedział Richard, więc oboje zamówili baraninę.

Ruby poprosiła:

- Chciałabym, żebyś mi opowiedział o ojcu. Jaki on naprawdę był? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie jestem już dzieckiem. Chcę, żebyś powiedział prawdę.

Spojrzenie Richarda straciło zwykłą ostrość. Ruby pomyślała, że zapewne patrzy on w przeszłość.

- Nicholas był silny, uczciwy i można było na nim polegać - powiedział. - Kiedy się go o coś poprosiło, zawsze robił to, jak należy. Był jednym z najodważniejszych mężczyzn, jakich spotkałem. To, co dla mnie zrobił... niewielu ludzi miałoby tyle odwagi.

- Ale...? - zapytała.

Richard wyglądał na przygnębionego.

- Wojna robi z ludźmi różne rzeczy. Niektórzy tracą panowanie nad sobą, nie są w stanie znieść już nic więcej. Kiedyś byliby nazwani tchórzami albo nawet rozstrzelani jako dezercerzy. Na szczęście czasy się zmieniły. Ale Nick był inny, wojna uczyniła go nieustraszoną. Nie było rzeczy, którą bałby się zrobić. A to coś człowiekowi odbiera. Ludzie powinni się bać. - Przerwał. - Z biegiem czasu Nicholas stał się bardziej nerwowy. Nie panował nad swoim gniewem.

Ruby spytała:

- Czy uważasz, że taki człowiek jak on może zostawić rodzinę?

Richard odparł:

- Cóż, mnie nie zostawił, prawda?

Nagle straciła poczucie bezpieczeństwa. Tak samo czuła się podczas nalotu, mając świadomość, że dach może zawalić jej się na głowę. Kiedy myślała o Theo i jego okręcie, widziała, jak zamykają się nad nim niezmiernie wody Atlantyku, i czuła głębię oceanu.

Dwóch mężczyzn, Nicholas Chance i Josiah Quinn. Obaj zniknęli z powierzchni ziemi - Josiah Quinn w roku 1918, Nicholas Chance dziesięć lat później. Josiah rzekomo zdezerterował z wojska, Nicholas Chance rzekomo uciekł od bigamicznego małżeństwa.

Zbyt wiele podobieństw, pomyślała Ruby. Coś tu jest nie tak. Trudno sobie wyobrazić, że gwałtowny, chciwy Josiah Quinn zostawia swoją ziemię i majątek żonie, nad którą się znęcał. A jej własny ojciec? Richard Finborough powiedział przecież: „Mnie nie zostawił”. A Claire Chance: „Nie wyglądał na człowieka, który może tak po prostu odejść”.

Dwóch mężczyzn, Josiah Quinn i Nicholas Chance. Co ich łączy? Nineveh, stwierdziła Ruby. Maude Quinn.

Ból powrócił w środku nocy, budząc Hannah ze snu. Leżała nieruchomo, zwinięta na boku, a on przychodził falami, od których czuła mdłości. Po kilku godzinach minął, więc znów zapadła w sen.

Obudziła się o świcie. Z trudem tylko udało jej się dotrzeć do miednicy i nie zwymiotować na podłogę. Wróciła do łóżka. Miała dreszcze. Kiedy ustały, zrobiło jej się gorąco, więc bardzo ostrożnie, by nie obudzić bólu, odsunęła koce. Chciała otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza, ale bała się poruszyć.

Wreszcie zobaczyła, że wstał dzień. Słyszała rozmowy dziewczyn, dobiegające z podwórza. Pałący ból niespodziewanie umiejscowił się z prawej strony brzucha, na dole. Kiedy nacisnęła bolące miejsce palcami, aż się wzdrygnęła. Twarz pokryła jej się potem. Hannah poruszyła się nieznacznie, usiłując znaleźć chłodne miejsce na prześcieradle.

Próbowała myśleć o George'u. Przypomniała sobie, jak odprowadził ją z Manei, co mówił i jak się do niej uśmiechał. Niósł jej siatkę z zakupami. George'a Drake'a Hannah się nie bała, znała go całe życie i zawsze był dla niej miły. Ale nie mogła go sobie teraz wyobrazić - pamiętała jedynie fragmenty: jasne włosy, piegi, niebieskie oczy, a kiedy usiłowała je poskładać w całość, osoba ta nie przypominała George'a.

Kolejny rozdzierający atak bólu, niepozwalający złapać tchu. Hannah wiedziała, że dzieje się z nią coś bardzo złego. Bała się, że umrze tak jak jej matka. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Dianie i Marie, że jest chora. Być może któraś z nich pojedzie po lekarza. Ale wzdrygnęła się na myśl o tym, co powie Diana swym głośnym, aroganckim tonem, jeśli Hannah pośle ją do Manei. Była przerażona na samą myśl o zejściu po schodach, nie sądziła, by dała radę je pokonać.

Zapadała w sen i się z niego budziła. Śniło jej się, że jest znowu małą dziewczynką i matka zamknęła ją w przybudówce, bo była niegrzeczna. Czuła lepką bliskość pajęczyn, zapach pleśni, grzybów.

I inny sen, sprzed wielu lat. Głośny hałas w nocy, a potem szczekanie psów na podwórzu. I głos matki śpiewający: „Naszym przyjacielem jest Jezus”.

Kiedy obudziła się po raz kolejny, próbowała się modlić, ale przypomniała sobie jedynie ulubione wersety matki: „Gdy spojrzy na Ziemię, ona drży, Gdy dotknie gór, dymią” (Psalm 104, 32. Pismo Święte. Wyd. Towarzystwo Biblijne w Polsce, 1996.).

A poza tym, dlaczego Bóg miałby ją kochać? Dlaczego miałby kochać zwyczajną, głupią Hannah Quinn? Nie była dobra, a Bóg kochał jedynie dobrych ludzi. Była niegodziwa, wiedziała to od matki.

Kiedy w Cambridge przez megafon ogłoszono, że pociąg jest opóźniony, Ruby omal nie zrezygnowała z dalszej podróży. Po co jechać do Nineveh, skoro Hannah i tak tylko popatrzy na nią tym swoim przerażonym wzrokiem i pokręci głową? Po co jechać do Nineveh, gdzie wszystko było jakieś nierzeczywiste, budziło zażenowanie, krępowało? Po co iść za kaprysem, podejrzeniem, kłębem dymu na wietrze?

Były jednak rozmowy, których Ruby i Hannah nigdy nie odbyły. Były pytania, które należało zadać. Podejrzenia, zbyt straszne, by je wypowiedzieć, które musiała wykluczyć. Lub potwierdzić...?

W poczekalni wyjęła powieść i okulary, po czym pograżyła się w lekturze. Nie paliło się w piecu, marzły jej ręce. Przeciwny kąt pomieszczenia zajmował młody człowiek w mundurze RAF - u, który drzemał z twarzą przykrytą czapką.

Nadjechał pociąg. Przez okno wagonu Ruby patrzyła, jak krajobraz po północnej stronie Cambridge staje się coraz bardziej płaski, przechodząc w czarne pola, miejscami lśniące od wody, a czasem nawet zielone od oziminy. Pociąg wyjechał z Ely, przez Fens, a kiedy przejeżdżał przez podtopione tereny pomiędzy Old Bedford River i Hundred Foot Drain, wydawało się, że ślizga się po powierzchni wody. Stała po obu stronach, a na jej szklistej tafli marzło dzikie ptactwo.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Manei. Ruby przeszła przez wieś i potem ścieżką do Nineveh. Zza chmur wyszło słońce, bruzdy na

polach były czarne i lśniące jak pałeczki lukrecji. Po wyjściu z zagajnika ujrzała Nineveh, która przycupnęła na wzgórzu jak forteca.

Na farmie było pusto, powitały ją jedynie psy i gęsi głośnym szczekaniem lub sykiem. Ruby zawołała:

- Halo! Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział. Obeszła budynek dookoła. Światło przesączało się pomiędzy gałęziami drzew w sadzie i padało na kamienne podwórze. Przy tylnych drzwiach ciągle stało krzesło ciotki Maude - wiklina była nasiąknięta wodą i powyginana.

Otworzyła drzwi.

- Hannah? - zawołała. Jej głos odbijał się echem.

W kuchni czuć było jeszcze zapach śniadania - boczku i kiełbasy - a w zlewku stały naczynia. Nie było jednak ognia na palenisku, Hannah nie prała ubrań w komórcie przy kuchni ani nie zagniała ciasta na kuchennym stole. Ruby zajrzała do sąsiednich pokoi. Przeszła przez dom, otwierając kolejne drzwi. Stwierdziła, że wszędzie czuć pleśń, zupełnie jakby wilgoć z Fens przedostała się do wnętrza domu. Nie zdjęto jeszcze zaciemnienia i w środku panowała ciemność.

Kiedy szła po schodach na górę, obcasy jej butów stukały po wytartych kawałkach dywanu. Długi korytarz, a po obu jego stronach otwarte drzwi.

- Hannah? - zawołała Ruby, a w odpowiedzi usłyszała jęk. - Hannah? - spróbowała raz jeszcze i znów odpowiedział jej ten sam odgłos. Ruby jego śladem trafiła do właściwych drzwi.

Kiedy weszła do pokoju, musiała odczekać, aż wzrok przyzwyczai się do półmroku. Dopiero wtedy zobaczyła, że coś, czy też raczej ktoś, leży na łóżku.

Przyklękła obok łóżka. Hannah miała bladą twarz i była skulona z bólu.

- Och, na Boga, Hannah! - wykrztusiła Ruby.

Ktoś wszedł na podwórze - stary, przygłuchy mężczyzna. Ruby przywołała go, by został z Hannah, po czym chwyciła oparty o ścianę rower i możliwie najszybciej pojechała z powrotem do Manei, nie zważając przy tym na kałuże ani na błoto. We wsi jakiś przechodzień wskazał jej dom lekarza. Kiedy go znalazła, doktor Faulkner jadł właśnie lunch. Po chwili rozmowy wziął torbę i wsiedli do samochodu.

Bardzo szybko dojechali do Nineveh, gdzie doktor zbadał Hannah. Stwierdził ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Powiedział, że Hannah trzeba natychmiast zabrać do szpitala, zanim wyrostek pęknie. Potem zawinął ją w koc i wyniósł ją do samochodu. Ruby usiadła z tyłu z głową Hannah na kolanach i tak wyruszyli w drogę.

Zoperowano Hannah jeszcze tego popołudnia. Ruby została w szpitalu wystarczająco długo, by upewnić się, że kuzynka przeżyła operację, po czym wróciła do Nineveh.

Wiejskie dziewczyny były w kuchni, gdzie przygotowywały herbatę. Spojrzały na Ruby i przywitały się z nią, na co Ruby odparła:

- Nie wiedziałyście, że moja kuzynka jest chora?

Blondynka wbiła wzrok w Ruby.

- Słyszałam, jak wymiotowała dziś rano. Pomyślałam, że to tylko niestrawność.

- A w rzeczywistości - rzuciła Ruby bliska furii - to zapalenie wyrostka robaczkowego.

- No, patrzcie państwo! - odparła blondynka. Dziewczyna o ciemnych włosach zapytała natomiast:

- Wszystko w porządku?

- Lekarze twierdzą, że będzie dobrze. Ale to nie wasza zasługa.

Na górze, w pokoju Hannah, Ruby zapaliła lampę naftową, po czym przeszukała komodę, nocnej koszuli nie znalazła jednak, więc po chwili usiadła na łóżku. Pokój ją przerażał - nie było mebli, sprane ubrania w komodzie. Ruby pomyślała, że niektóre ofiary nalotów miały lepszą odzież niż Hannah.

Usłyszała pukanie do drzwi. Pokazała się głowa brunetki.

- Pomyślałam, że może pani tego potrzebować - powiedziała i postawiła filiżankę z herbatą.

- Dziękuję.

- Ma pani ochotę na kanapkę czy coś innego do jedzenia?

Była czwarta, a Ruby nie jadła nic od śniadania.

- Tak, proszę. Dziewczyna podeszła do drzwi.

- Proszę posłuchać - powiedziała - wiem, że musimy się pani wydawać okropne, ale ja na początku próbowałam. Tylko że ona się do mnie prawie nie odzywała, nawet na mnie nie patrzyła. Pewnie jest taka nieśmiała, szczerze mówiąc, nawet trochę dziwna. A w dodatku...

wiem, że nie należy źle mówić o zmarłych, ale starsza pani była okropna. Nie dała nam żyć. Więc ja i Di trzymałyśmy się razem.

Dziewczyna wróciła na dół.

Ruby wzięła filiżankę w dłonie. Bolała ją głowa. Próbowwała się napić, ale herbata była zbyt gorąca. Postawiła filiżankę i spodek na komodzie i rozejrzała się po pokoju jeszcze raz. Pielęgniarka w szpitalu powiedziała, że Hannah będzie potrzebowała koszuli na zmianę, szlafroka, kapci i przyborów toaletowych. Koło miednicy leżał grzebień i ręcznik, ale ręcznik był szary, a grzebieniowi brakowało wielu zębów. Ruby wyjęła więc z torebki własny grzebień i odłożyła go na bok.

Szlafrok, koszula, kaptcie... Hannah najwyraźniej miała tylko jedną koszulę, tę, w której pojechała do szpitala. Może druga jest w praniu, trzeba to sprawdzić. Ruby zajrzała pod łóżko w poszukiwaniu kapci, cofając się na widok nocnika.

Wyszła z pokoju Hannah i zaczęła przeszukiwać dom. Pomiedzy bezużytecznymi łachami, których pełno było w Nineveh, musi przecież znaleźć koszulę i kaptcie. Znalazła sypialnię, rupieciarnię i pokoje, które najwyraźniej nie miały żadnego przeznaczenia, a w których zgromadzono najróżniejsze przedmioty - zegar po pradziadku, stary wózek, stertę par butów z oderwanymi do połowy podeszwami. Zmierzchało, meble i wszystkie przedmioty zebrane przez Maude Quinn pokrywał szary nalot. Co powiedziała jej matka? Że Maude zawsze była zaborcza. Kiedy coś wpadło w jej ręce, nigdy tego nie oddała. Ruby zobaczyła obrożę dla psa. Skóra popękała, przetarta niemal na wylot. Puste puszkki bez wieczek. Stare koperty, szpulki i zardzewiałe szpilki. I kawałki sznurka, zbyt krótkie, by mogły się jeszcze przydać. Co jeszcze trzymała Maude? Swoją córkę, rzecz jasna.

W sypialni ciotki stało potężne żelazne łóżko, szafy, komody i szafka nocna. Na łóżku leżała ciężka kapa w kolorze ciemnego różu i fioletu. Na szafce nocnej stały butelki z lekarstwami, słoje wypełnione pensami i kawałkami mydła.

Ruby włożyła kawałek mydła do kieszeni płaszcza. Następnie otworzyła szafę. Na górnej półce leżał tuzin kapeluszy, wszystkie czarne, ozdobione piórem albo broszką. Pod nimi wisiały sukienki, płaszcze i spódnice, ściśnięte z braku miejsca. Maude Quinn lubiła swoją odzież.

Ruby przebiegła wzrokiem po rzędach ubrań. W morzu czerni zobaczyła coś w kolorze khaki.

Służąca wsunęła głowę przez drzwi.

- Tu pani jest. Szukałam pani. Ten pokój to istny koszmar. Co pani robi?

- Usiłuję znaleźć koszulę nocną dla Hannah.

- A to co?

- To płaszcz wojskowy - odparła Ruby, wyjmując go z szafy. - Mój ojciec też taki miał.

- Gdzie mam to postawić? - zapytała dziewczyna. W rękach trzymała talerz kanapek.

- Gdziekolwiek, dziękuję.

Ruby położyła płaszcz na łóżku. Brakowało jednego z miedzianych guzików, a z przodu płaszcz widniało rozdarcie czy też raczej poszarpana dziura. Wokół niej materiał był zaplamiony czymś ciemnym.

A potem przeczytała nazwisko wyszyte na kołnierzu: N.J. Chance.

Po osiemnastu miesiącach służby Theo poznał tajniki konwojów na Atlantyku równie dobrze, jak zasady gry w krykieta czy szachy. Siedmiodniowa podróż w jedną stronę w charakterze ochrony konwoju złożonego z sześćdziesięciu czy nawet więcej statków handlowych, przejętych teraz przez marynarke, przed niemieckimi łodziami podwodnymi i samolotami. Podróż tę odbywało kilka korwet i niszczycieli. Po upływie siedmiu dni następowało triumfalne spotkanie na środku Atlantyku i przekazanie konwoju Kanadyjskiej Marynarce Królewskiej albo Marynarce Amerykańskiej, które eskortowały okręty do brzegów Nowego Świata, gdzie na jednostki ładowano ropę naftową, węgiel, maszyny i żywność. A potem kolejne siedem dni z załadowanymi okrętami, przy czym tempo podróży zależało od najwolniejszej z jednostek, z powrotem do Wielkiej Brytanii, przez zdradliwy rejon Western Approaches. Po dotarciu do portu, w zależności od czasu podróży, albo spędzali tam całą noc, albo zaledwie kilka godzin, aby uzupełnić paliwo, i znów wyruszali w morze jako eskorta kolejnego konwoju.

Oczywiście nigdy nie było to rutyną. Okręt mógł ulec zniszczeniu, załamać się albo mogła zajść konieczność holowania. Bądź też jakaś jednostka mogła mieć kłopoty z nadążeniem za

konwojem i trzeba ją było zaganiać niczym zbłąkaną owcę. Pogoda również bywała zmienna. Mogła być mgła, mógł padać śnieg z deszczem albo śnieg, wściekłe sztormy atlantyckie mogły rzucać korwetą niczym korkiem w wannie. Zła pogoda oznaczała bezsenne noce, gdyż każdy przechył zrzucał ludzi z koi. Jedzenie zeskakiwało z talerzy, a ciecz w filiżance podnosiła się i wylewała na podłogę - gdziekolwiek by ta podłoga była. W kabinach wszystko pływało, sprzęty przemieszane z odzieżą, a czasem nawet radio spadało z haków. Ludzie byli przemoczeni od fal, które rozbijały się o burzę - mokre były spodnie, koszule, swetry, buty, rękawiczki, ciepłe płaszcze, skarpety, i nie było szans wyschnąć, dopóki nie dotarli do portu kilka godzin później. Ryk sztormu ogłuszał - podczas ciszy Theo wciąż słyszał go w głowie.

No i łodzie podwodne. Pierwszym sygnałem ich obecności było pojawienie się samolotów dalekiego zasięgu, które wylatywały na rekonesans. Następnego dnia nadlatywały bombowce szukające celu, często trafiając w marudera, który został w tyle. Potem następował atak. Okręty tonęły, przy czym korweta miała całodobową służbę. Wyrzucano bomby głębinowe, które miały zniszczyć łodzie podwodne. Zbierano rozbitków. Kiedy wybuchał tankowiec, płonął niczym pochodnia, i wtedy przeszukiwali morze płonącej ropy, mając przy tym świadomość, że są doskonale widoczni w świetle płomieni, co czyniło ich łatwym celem dla U - Bootów. Ratowali rozbitków z pontonów i łodzi albo też wprost z morza - zmarzniętych, poparzonych, rannych, przyduszonych ropą. Transportowali ich do korwety i jak najdelikatniej przenosili na pokład. Zdecydowanie zbyt często zdarzało się, że ludzie połknęli ropę albo byli tak bardzo poparzeni, że załoga patrzyła na powolny proces ich umierania, zanim zdążyła z nimi dopłynąć do portu.

Czasem błogosławiona przerwa w postaci dnia czy dwóch paskudnej pogody była w stanie powstrzymać nalot. Ale w końcu chmury znikwały, a zza nich wychylały się czarne nosy samolotów, i wszystko zaczynało się od początku: wybuchy w ciemności, płonące statki, ich szczątki w wodzie, przeszukiwanie morza, aby nie zostawić żadnego żyjącego rozbitka. Obawiali się, że mogą przeoczyć ponton lub łódź, ponieważ kiedyś znaleźli szalupę pełną nieżywych mężczyzn w kamizelkach ratunkowych. Bez trudu mogli sobie wyobrazić, co czuł ostatni żyjący człowiek w otoczeniu martwych kolegów.

Ten konwój był początkowo spokojny. Wiał silny wiatr, ale kiedy przycichał, pojawiała się mgła. W takich chwilach Theo myślał o Ruby. Pamiętał swój powrót z Francji w 1940 roku. To właśnie do Ruby poszedł najpierw, nie do rodziny ani przyjaciół. Miała na sobie ciemnoczerwoną sukienkę, wyglądała tak pięknie, że dech zaparło mu w piersiach. Zamierzał zabrać ją tego dnia na obiad, ale się nie udało. Jej kalendarz był zbyt przepełniony, by znalazło się w nim miejsce dla jednego zbłąkanego członka rodziny Finborough.

Czekał na nią od lat. I całe to czekanie było daremne, bezcelowe, gdyż ona ciągle kochała Philipa. Jego nie potrzebowała, nie chciała. Nigdy nie będzie dla niej kimś więcej niż tylko przyjacielem, substytutem brata, którego nie mogła mieć. A to mu nie wystarczało.

Tutaj, w zimnym, szarym bezmiarze Atlantyku, postanowił, że musi położyć temu kres. Musi się wycofać, nie wolno mu się z nią spotykać. Tę decyzję podjął ze złością, bólem i żalem, ale był przekonany, że ma rację. Przynajmniej pod tym względem wojna mu sprzyjała - mało prawdopodobne, żeby w ciągu najbliższych miesięcy miał dostać kolejną przepustkę.

Pewnego poranka zauważyli samolot zwiadowczy, który odleciał, gdy tylko zaczęli do niego strzelać. Tej nocy zatopiono trzy okręty z konwoju. Pogoda się pogorszyła, zaczął padać deszcz. Rano polowanie zaczęło się, gdy tylko się pojawił pierwszy peryskop. U - Boot zanurzył się ponownie, korweta zaczęła zrzucać bomby głębinowe, ale brak plamy ropy i szczątków łodzi na powierzchni morza świadczył o tym, że nie udało się trafić. Okręt pracował cały dzień. Przeczesywali morze wzrokiem w poszukiwaniu wroga.

Steward przyniósł im kubki kakao z rumem, które ściskali mocno ze względu na wysokie fale.

- Cholerne igły w cholernym stogu siana - zauważył kapitan.

A potem łódź podwodna wynurzyła się zaskakująco blisko nich. Korweta włączyła się do walki - obie jednostki musiały wystrzelić w tej samej chwili. Korweta została trafiona w kadłub, rozległ się krzyk, brzęk tłuczonego szkła i huk wody morskiej, rozbijającej się o mostek - ludzi rzuciło na pokład.

Okręt wyprostował się, a oni pozbierali się spośród potłuczonego szkła i odłamków chlupiących w wodzie mostku. Z wieżyczki buchały płomienie. Po chwili nadeszła kolejna fala, zalewając ich wodą. Nie

widzieli łodzi podwodnej. Zanurzyła się, a kiedy zamykała się nad nią powierzchnia oceanu, wiedzieli, że ją stracili.

Potyczka przyniosła trzy ofiary: artylerzystę postrzelonego przez łódź podwodną, wieżyczkę korwety, poważnie zniszczoną podczas wymiany ognia, i Theo, który złamał obojczyk.

Niemal najgorsze ze wszystkiego było czekanie. Początkowo nie chcieli jej pozwolić porozmawiać z Hannah. Kiedy Ruby zniosła do szpitala rzeczy, pielęgniarka poinformowała ją, że stan kuzynki jest zadowalający, ale nie może ona jeszcze przyjmować odwiedzin. Ruby wróciła na razie do Londynu, żeby poprosić o urlop, wziąć jakieś ubrania i kartki na żywność.

A potem znów pojechała do Nineveh. Przypomniała sobie skarby, które pokazała jej Hannah wiele lat wcześniej. Przeszukała stodołę i znalazła puszkę ukrytą za obluzowaną cegłą. Mosiężny guzik nadal tam był. Ruby wzięła go do domu i stwierdziła, że idealnie pasuje do pozostałych guzików przy żołnierskim płaszczu, znalezionym w szafie. Ostatni element układanki.

W porze odwiedzin w szpitalu krewni siedzieli przy rzędach łóżek, rozmawiając przyciszonymi głosami, zupełnie jak w kościele. Hannah była blada, ale wyglądała trochę bardziej normalnie. Miała na sobie nową koszulę, którą kupiła jej Ruby, a jej włosy umyto, uczesano i spięto wsuwką.

Ruby ucałowała kuzynkę, wręczyła jej bukietik przebiśnięgów zebranych po drodze i zapytała ją, jak się czuje. Niełatwo było powiedzieć coś takiego: „Sądzę, że twoja matka zabiła mojego ojca” - przy czym oczywiście istniała możliwość, że Hannah nie będzie nic o tym wiedziała. Ruby musiała jednak spróbować.

Powiedziała więc:

- W szafie twojej matki znalazłam płaszcz mojego ojca.

Hannah znieruchomiała.

- Myślę, że ojciec wrócił do Nineveh. Ciotka Maude okłamała mnie, twierdząc, że był tu tylko dwukrotnie. Moim zdaniem, przyjechał znowu, wiele lat później, tuż przed swoim zniknięciem.

Szept:

- Proszę.

- Hannah, ja nie mam pretensji do ciebie. Nie ciebie winię. Matka cię biła, prawda? A ty nie mogłaś się jej przeciwstawić, bo byłaś jeszcze dzieckiem. A jeśli nie umiałaś jej powstrzymać przed biciem

ciebie, jak miałabyś ją powstrzymać przed zrobieniem krzywdy komuś innemu?

Hannah zamknęła oczy; jej palce mocno ścisnęły koc. Ruby zmusiła się, by ciągnąć dalej:

- Moim zdaniem, było właśnie tak. Mama chorowała, a ojciec nie miał pieniędzy na lekarza. Być może sądził, że Maude pomoże chorej siostrze. A kiedy odmówiła, pewnie stracił panowanie nad sobą. Mój ojciec miał tupet, pamiętam to doskonale. Pewnie krzyknął na Maude albo jej groził. Może przypominał jej własnego męża. A może obawiała się, że mój ojciec zamierza coś ukraść. Albo że zrobi jej krzywdę. Więc go zastrzeliła. Czy myślisz - zapytała Ruby łagodnie - że mogło tak właśnie być? Cisza. Po twarzy Hannah płynęły łzy.

- Ciotka Maude miała strzelbę - dodała Ruby. - Z przodu płaszcza jest rozdarcie, które wygląda jak dziura po kuli. Musiało się to stać wiele lat temu, kiedy byłaś małą dziewczynką, ale ciekawa jestem, czy coś widziałaś. Albo słyszałaś.

Hannah wbiła wzrok przed siebie. Po jej twarzy spływały łzy. Salowa zaczęła rozwozić herbatę. Wreszcie odezwała się:

- Następnego dnia wykopano nowy grób. A nie zdechł żaden z psów.

Cmentarz dla psów został otoczony płotem, a potem rozpoczęło się kopanie. Po południu policjantka poinformowała Ruby, że znaleziono szczątki ludzkie. Wkrótce potem stwierdzono, że są też drugie zwłoki. Ruby wyobraziła sobie, jak kopiący rozdzielają kości: ta jest psia, a ta ludzka.

Przyjechała furgonetka z kostnicy, aby zabrać szczątki. Ruby stała w drzwiach i patrzyła, jak samochód odjeżdża. Potem znowu odpowiadała na pytania detektywa. Jego zachowanie zmieniło się od ich poprzedniej rozmowy, tuż po wizycie w szpitalu u Hannah. Wtedy ton jego głosu, jego wzrok i zadawane pytania w rodzaju:

- Panno Chance, wspomniła pani, że pisze kryminały. Nie sądzi pani, że to tylko twór pani wyobraźni? - były zdecydowanie sceptyczne.

Ale nalegała tak bardzo, że wreszcie, zapewne bardziej dla świętego spokoju niż z jakichkolwiek innych względów, zgodził się wysłać na farmę kilku ludzi.

Teraz jednak pragnął wiedzieć wszystko. Znać wszelkie dotychczas skrywane szczegóły. Pytał o charakter Josiaha Quinna:

- Był brutalny, to nie ulega wątpliwości - przyznał, a w odpowiedzi na pytanie Ruby, skąd o tym wie, odparł, że rozmawiał już z miejscowymi.

Detektyw pragnął poznać pochodzenie jej ojca, jego wojenne losy i sytuację finansową. A także dowiedzieć się o Claire Chance, bigamicznym małżeństwie i rzekomym opuszczeniu obu żon. I o ciotce Maude, jej izolacji od ludzi i śmierci, którą spowodowała najprawdopodobniej nieleczona cukrzyca.

- Pomyłona jak diabli, co? - podsumował detektyw, po czym zaciągnął się papierosem i wrócił do swych notatek.

Powiedział Ruby, że pewnie nigdy nie będą mieli stuprocentowej pewności, czy te dwa ciała, ekshumowane z cmentarza psów, należały do Josiaha Quinna i Nicholasa Chance'a, ale zebrane dowody potwierdzały, że to właśnie oni. Josiah Quinn musiał umrzeć w roku 1918, będąc w Nineveh na przepustce. Josiah i Maude pokłócili się, jak sugerował detektyw, on zaczął się zachowywać brutalnie, więc Maude zastrzeliła go i po kryjomu pochowała ciało. Być może po tym pierwszym morderstwie nie miała już skrupułów, kiedy dziesięć lat później przybył na farmę Nicholas Chance.

Kiedy uszkodzona korweta dobiła do portu, Theo został opatrzony i odesłany na miesięczną przepustkę.

Wsiadł w pociąg w Liverpoolu i pojechał na południe, do Londynu. Na początku podróży się zdrzemnął, taki był wyczerpany. Kiedy się obudził, siedząca naprzeciwko kobieta poczęstowała go herbatą z termosu. Poczł się zdecydowanie lepiej.

Jedną ręką otworzył gazetę, którą kupił w Liverpoolu. Wieści dotyczące wojny nie były pomyślne bez względu na to, w jak bardzo pozytywny sposób dziennikarze się starali przedstawić te informacje. W ciągu ostatnich miesięcy upadły Hongkong, Manila i Singapur. Japończycy zatopili wielkie okręty, jak Prince of Wales czy Repulse. Theo poczuł wściekłość pomieszana ze współczuciem dla żołnierzy, którzy zginęli. Wystarczyłaby im mniej szlachetna porażka, pomyślał z goryczą. Jakaś odmiana od: „Pomimo bohaterskiej obrony...”.

Przewrócił stronę. Jego uwagę przykuł nagłówek: „Na oddalonej farmie w Fens znaleziono ludzkie szczątki”. Theo zaczął czytać: „Nineveh... Maude Quinn... ciała należały prawdopodobnie do miejscowego farmera Josiaha Quinna i jego szwagra, Nicholasa Chance'a...”.

- Cholera jasna - powiedział na głos, aż przyjrzała mu się siedząca naprzeciwko kobieta.

W Nineveh wciąż panowało zamieszanie. Przybyli kolejni policjanci, którzy chodzili po polach wokół farmy i zbierali się w małe grupki przy cmentarzu. Detektyw zadawał kolejne pytania, podczas gdy jego koledzy przeszukiwali dom i przybudówkę. Potem pojawili się dziennikarze i fotoreporterzy. Zaparkowali samochody przed zagajnikiem, gdzie palili papierosy i prowadzili głośne rozmowy. Od czasu do czasu któryś z nich wspinał się na wzniesienie i robił zdjęcie lub prosił o udzielenie wywiadu.

Następny dzień był chłodniejszy, a na niżej położonym gruncie osiadła mgła. Reporterzy wycofali się do samochodów. Po południu Ruby zrobiła policjantom i wiejskim dziewczynom kakao, które wypili w kuchni, ogrzewając zmarznięte dłonie.

Ruby włożyła płaszcz i rękawiczki i wyszła na zewnątrz. Udała się na cmentarz. Miejsce to było teraz puste, ale policyjnych płotów nie zlikwidowano. Zmierzchało, a pola otaczające Nineveh miały kolor węgla drzewnego. Policjanci wykopali głębokie jamy. Zachodzące słońce rzucało cienie tak ciemne, że wykopy w ziemi wydawały się bezdenne. Pomyślała o ojcu, który kiedyś posadził ją sobie na ramionach, aby wszystko dobrze widziała ponad głowami tłumu. Przypomniała sobie też, jak się odwrócił i uśmiechnął, kiedy odchodził od niej po raz ostatni. Oczy piekły ją od płaczu i tylko ogromnym wysiłkiem udało jej się powstrzymać głośny szloch żalu i smutku.

Wróciła ścieżką wzdłuż pola. Zauważyła postać idącą przez podwórze, niewyraźną w panującej mgle.

- Theo! - krzyknęła i zaczęła biec.

Zamierzała rzucić mu się w ramiona, ale kiedy znalazła się bliżej niego, zauważyła, że jeden rękaw jego płaszcza zwisa luźno. Na czole Theo widniał żółty siniak.

Przerażona spytała:

- Och, na Boga, Theo, co ci się stało? On zaś odparł:

- Nic takiego, to tylko złamany obojczyk.

Stali dość blisko siebie, a serce Ruby chciało wyskoczyć z piersi.

- Boli?

- Nie bardzo, odkąd mam temblak. To była moja własna wina. Powinienem bardziej uważać. Przeczytałem w gazecie o tym, co się stało. Dlatego przyjechałem. Ruby, tak mi przykro. To okropne.

Nie pocałował jej, nie dotknął nawet policzka. Poczula tępy ból, który jeszcze spotęgował przykre doznania ostatnich dni.

Kiedy weszli do kuchni, opowiedział jej o prowadzonym przez korwetę polowaniu na łódź podwodną i gwałtownej wymianie ognia. Ruby zaproponowała mu coś do jedzenia, ale on spytał:

- Gdzie jest Hannah?

- W szpitalu, dochodzi do siebie po operacji wyrostka robaczkowego.

- Jezu. Biedny dzieciak. Wie o tym wszystkim? Ruby opowiedziała o swoim odkryciu, związanym ze

zniknięciem Josiaha Quinna, ciężkim ataku Hannah i odnalezieniu płaszcza ojca w szafie Maude Quinn.

- Hannah powiedziała, że słyszała, jak ciotka Maude i mój ojciec się kłócą. Padł też strzał.

- Ale nikomu o tym nie powiedziała?

- Nie, oczywiście, że nie.

Kiedy na nią spojrział, nie mogła się powstrzymać od słów:

- Nie masz pojęcia o tego rodzaju przeżyciach, co? Bo niby skąd miałbyś je mieć? Nie sądzę, żebyś choć przez chwilę musiał się wstydzić tego, kim jesteś!

- Ruby - powiedział tylko, co uśmierzyło jej gniew. Przesunęła dłońią po twarzy i usprawiedliwiła się znużonym głosem:

- Przepraszam, to nie twoja wina. Nie powinnam na ciebie krzyczeć, zwłaszcza że jesteś ranny.

Wstał od stołu. Nareszcie otoczył ją ramionami.

- Cicho - szepnął. - Możesz do mnie mówić wszystko, co tylko zechcesz, wiesz przecież.

Przytuliła twarz do szorstkiej wełny jego swetra i odetchnęła głęboko.

- Theo, wszyscy się dowiedzą! Nie tylko twoja rodzina, ale także moi przyjaciele, koledzy z pracy, wszyscy! Nawet ludzie, których nigdy w życiu nie spotkałam! To okropne!

- Zainteresują się na chwilę, ale szybko zapomną.

- Nie. - Uwolniła się z jego uścisku i otarła oczy. - Nawet ludzie w sklepach w Manei. Widzę, jak na mnie patrzą.

- Ruby, to środek wojny. Na świecie jest tyle tragedii i strachu, że ludzie zajmą się czymś innym.

Złożyła ręce przed sobą.

- Tęsknię za nim - wyszeptała. - Ciągłe o nim myślę, przypominam sobie, jaki był. Nienawidzę ciotki Maude za to, co zrobiła. Że mi go zabrała.

- Ale nie opuścił cię z własnej woli - rzekł Theo łagodnie. - Teraz już wiesz. Czy to nie jest pewna pociecha?

- Tak, jest, pewnie, że jest. Staram się o tym pamiętać. A...

Przerwała. Niemal wyznała mu swe uczucia. A potem pomyślała, zła na siebie samą: dlaczego miałabym tego nie zrobić? Chyba nie spotka mnie już gorsze poniżenie i rozpacz, to przecież niemożliwe.

- A co? - zapytał Theo.

- Gdyby Richard nie zabrał mnie wtedy ze sobą, być może nigdy nie poznałabym miłości. Takiej prawdziwej.

Nie spodziewała się wybuchu.

- Ruby, na miłość boską, czy nie powinnaś o tym zapomnieć? Philip jest szczęśliwym mężem. Ma żonę i dwoje dzieci, które bardzo kocha. Przepraszam, że moje słowa mogą wydawać się okrutne, ale nie mogę już dłużej znieść, że marnujesz przez to życie!

- Nie mówiłam o Philipie - sprostowała drżącym głosem. - Mówiłam o tobie.

- O mnie? Nie rozumiem.

- Theo, czyżby? - Udało jej się opanować, roześmiała się. - Czy to takie niemożliwe, że ja cię kocham? Takie żałosne?

- Ruby... - Był wyraźnie oszołomiony, a w jego oczach czaiło się coś, czego Ruby nie rozumiała, być może zażenowanie. Zaprotestował: - Ale przecież kochasz Philipa.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie kocham. Już od wielu lat.

- Ale tak mówiłaś, kiedy widziałem cię po raz ostatni...

- Tak naprawdę to nie ja mówiłam. To ty tak twierdziłeś. Ale przepraszam, nie powinnam cię stawiać w tak niezręcznej sytuacji - powiedziała chłodno.

Z głębi domu usłyszała, że ktoś ją woła, więc szybko wyszła z pokoju. W korytarzu stał policjant, szukał drabiny. Ruby skierowała go do szopy.

Gdy została sama, stanęła bez ruchu, z zamkniętymi oczami i palcami przyciśniętymi do czoła, słuchając kroków mężczyzn, którzy przeszukiwali pokoje na górze. Ruby Chance, to była najgłupsza z wszystkich rzeczy, jakie w życiu zrobiłaś.

Kroki. Otworzyła oczy i zobaczyła Theo.

- W porządku - powiedziała pośpiesznie. - Zapomnij o tym.

- Nie. - Przeczący ruch głowy. - Nigdy.

- Theo, proszę. - Udało jej się łyzy powstrzymać jedynie dzięki temu, że wbiła sobie paznokcie w dłonie.

- Nie chcę tego zapomnieć. To ostatnia rzecz, jakiej pragnę. - Opuszkami palców delikatnie dotknął jej twarzy. - Nie powinnaś się wstydzić tego, kim jesteś. Powinnaś być z siebie dumna. Ja jestem z ciebie dumny. Podziwiam cię. I cię kocham. Kocham cię za to, co udało ci się osiągnąć, i za to, jaka jesteś, ponieważ jesteś wyjątkowa, mądra i piękna. Ruby, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jesteś też kobietą, którą kocham od wielu lat, i wierz mi, twoja miłość uczyniła ze mnie najszcześniejszego człowieka na świecie.

Dalsze słowa Ruby, jakiegoś: „Nic od ciebie nie chcę, jestem wykończona, nie to miałam na myśli”, pozostały niewypowiedziane.

- Theo - szepnęła. - Nie, Theo, ty nie możesz mnie kochać.

- Mogę. I kocham.

Kiedy musnął ustami jej czoło, przeszedł ją dreszcz. Ale pragnąc wyjaśnić wszystko, dodała jeszcze:

- Nancy... i wszystkie inne... gdybyś po prostu powiedział...

- Kiedyś to zrobiłem, ale nie słuchałaś. Dawno temu, kiedy wróciłem z Francji.

- Ale, Theo...

- Co mam zrobić, żeby cię przekonać? Wytatuować sobie twoje imię na przedramieniu jak prawdziwy marynarz? Zrobię to, jeśli chcesz. A może to?

Przytulił ją do siebie i pocałował. Węzeł żalu i smutku stał się mniej dotkliwy, rozluźnił się pod wpływem miłości i pożądania, które przez nią przepływały, wewnętrzne ciepło i tęsknota roztopiły lód zimy, Nineveh, przeszłości. Przywarli do siebie nawzajem, nareszcie razem, a kiedy policjant wrócił z drabiną do domu, wcale go nie usłyszeli.

Rozdział 17

Nie mogę nigdy znaleźć spinek do kołnierzyka - poskarżył się Richard.

- Spinek? - zapytała.

- Isabel, kiedy byłaś w domu, zawsze miałem spinki. Był maj, dzień ślubu Antona i Sary. Ślub odbył się

w urzędzie stanu cywilnego w Salisbury, ponieważ farma, na której pracowała Sara, leżała w pobliżu Broadchalke. Podczas weselnego śniadania Isabel i Richard siedzieli przy tym samym stole, choć nie obok siebie. Były przemowy i tort (niewielki, dość skromny), a potem tańce. Następnie wszyscy pożegnali Sarę i Antona, wyjeżdżających w podróż poślubną, i Elaine zabrała dzieci, które zrobiły się marudne, do łóżek. A teraz był wieczór i pomimo starań Isabeli, by uniknąć tete - a - tete, zostali we dwoje w ogrodzie. Siedzieli na ławce, zwróceniu ku rzece.

A on mówił o spinkach do kołnierzyka.

Isabel powiedziała:

- Szkoda, że Alice nie mogła przyjechać. Jak ona się czuje?

- Jest dość słaba, niestety. Chciałaby kiedyś przyjechać. Sara zawsze była jej ukochaną wnuczką, ale matka nie ma dość siły. Muszę jechać do Raheen, tylko że trudno znaleźć na to czas. A ona nie zgadza się na założenie telefonu. Proponowałem jej to, ale nie chce o tym słyszeć. Mówi, że dzwonek jest zbyt nagły. Nagły! I kto to mówi! Moja matka jest najbardziej władczą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Ja ją zawsze lubiłam. Po naszym ślubie była dla mnie bardzo dobra.

- Pewnie, że była. Dlaczego miałyby nie być?

- Och, Richardzie. Musiała być wstrząśnięta tym, że nagle zjawiasz się z żoną, która na dodatek jest jakąś niewykształconą dziewczyną, do niedawna służącą.

- Nonsens, wcale nie była wstrząśnięta, nic podobnego.

- Była - potwierdziła Isabel stanowczo. - Tylko umiała to ukryć.

- A ja myślałem...

Strach - przed wzburzeniem, kłótnią. Żeby zażegnać niebezpieczeństwo, Isabel zapytała:

- Jak uważasz, będą szczęśliwi?

- Sara i ten facet?

- Richardzie, powinieneś o nim mówić Anton. Jest twoim zięciem.

- Na Boga, mam nadzieję, że po tym wszystkim całym zamieszaniu, jakie spowodowali, będą szczęśliwi.

- Wyglądali na takich.

- To fakt.

Ogród był bardzo ładny. Po kratkach pięły się róże, a trawnik schodził aż do rzeki. Isabel pomyślała, że mogłaby mieć takie róże w Porthglas.

Czuła na sobie wzrok Richarda, lecz sama zapatrzyła się na rzekę, na łabędzie i trzciny oraz słońce na nadwodnych łąkach. Richard powiedział:

- Isabel, myślałem o tobie. - Tak...?

- Pamiętam, jak powiedziałaś, że próbowałaś odszukać dziecko.

Zaskoczona obrzuciła go spojrzeniem. - Moją córkę?

- A kogóż by innego? I że ci się nie udało. Że poszukiwania utknęły, rodzina się wyprowadziła, a ona prawdopodobnie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko.

- Tak, to się okazało niemożliwe.

- Jestem pewien, że jeśli nadal tego chcesz, uda się ją odnaleźć. Zawsze znajdzie się sposób.

Isabel pomyślała, że to cały Richard. Jego absolutna pewność, że wszystko da się załatwić, często ją denerwowała, czasem śmieszyła, a teraz ją wzruszyła. Zapytała:

- Dlaczego mi to mówisz?

- Ponieważ chcę, żebyś wróciła do domu. Mam dość samotnego życia. Chyba mi to nie wychodzi.

- Och, Richardzie. Tak myślałam. Jak pani Rogers?

- Odeszła. Nie mam teraz nikogo. Przyjrzała mu się z troską.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Och - odparł. - W zasadzie jadam w klubie, to nie problem. Więc... - pochylił się do niej - wrócisz do domu?

- Nie, Richardzie - odparła spokojnie. - Bardzo mi przykro.

- A gdybym znalazł twoją córkę...

- Nie rozumiem.

- Wiem, że nie zawsze byłem dla ciebie dobrym mężem. Chyba czasami nie doceniałem tego, co jest między nami, trwonilem to. Wiem, że cię ranilem.

- Raniliśmy się nawzajem.

- Tak, to prawda.

Isabel była znużona. Taki długi dzień. Postanowiła, że położy się wcześniej, a jutro rano wróci do Kornwalii. Richard nagle się uśmiechnął.

- Pamiętasz, że kiedy poprosiłem cię o rękę, wysyłałem ci prezenty? Między innymi szczeniaka.

- W koszu i z błękitną wstążką na szyi. - Isabel również się uśmiechnęła. - Chłopak przywiózł go aż z Londynu. I co jeszcze? Kwiaty, tomik poezji, parasolkę z czarnego jedwabiu.

- Widzisz więc, pomyślałem, że mógłbym odnaleźć twoją córkę. To byłby najlepszy prezent, jaki ci kiedykolwiek zrobiłem. O to się przecież pokłóciliśmy.

Czyżby? - pomyślała Isabel, głośno jednak powiedziała:

- Richardzie, to bardzo miłe z twojej strony, i jestem naprawdę wzruszona, ale zdałam sobie sprawę, że ona nie jest już moją córką, wiesz? Była nią przez sześć tygodni. Kto inny ją pokochał i wychował. Nie powinnam, nie powinniśmy oboje, wtrącać się do jej życia.

- Ale, Isabel...

- Długo o tym myślałam i jestem przekonana, że mam rację. Jest dość prawdopodobne, że rodzice nie powiedzieli jej, że została adoptowana. Pomyśl tylko, jaka będzie zaskoczona, kiedy się dowie. To przewróci jej cały świat do góry nogami. - Urwała, po czym dodała: - Musiałaby się dowiedzieć, że jest nieślubnym dzieckiem. Pomyśl tylko o biednej Ruby i całej tej aferze z jej ojcem, o tym, co czuli jej przyrodni brat i siostra, kiedy się dowiedzieli, że są nieślubnymi dziećmi. Wiem, że czasy się zmieniły, ale to ciągle piętno. Nie chciałabym, żeby moje dziecko musiało przez to przejść. - Dotknęła dłoni Richarda. - Ale dziękuję, że o tym pomyślałeś.

- Nie musiałabyś jej nic mówić. Mogłabyś się tylko dowiedzieć, gdzie mieszka, czy dobrze jej się powodzi, czy jest szczęśliwa, i zostawić sprawy, tak jak są.

Isabel poczuła trudny do zniesienia przypływ tęsknoty. Dowiedzieć się, że Martha jest bezpieczna i szczęśliwa - jaka by to była ulga, jaka radość!

A jednak, kiedy zdała sobie sprawę, że to, co sugeruje Richard, nie jest możliwe, tęsknota zmieniła się w żal. Nie byłaby w stanie

„tego zostawić”. Gdyby wiedziała, gdzie mieszka jej córka, pragnęłaby ją zobaczyć. Gdyby ją zobaczyła, nie byłaby w stanie powstrzymać się od rozmowy. A gdyby się do niej odezwała, jak mogłaby odejść i nie spotkać się z nią nigdy więcej ?

Rany w jej sercu najwyraźniej się otwały, rozdzierając stare blizny. Powiedziała cicho:

- Nie, Richardzie, nie chcę, żebyś jej szukał. Dla naszego wspólnego spokoju.

Siedzieli w ciszy i patrzyli na rzekę. Nie powiedziała Philipowi, Theo i Sarze o swojej córce. Choć byli dorośli, pływali na okrętach, jeździli traktorami czy orali pola, ona nadal pragnęła chronić swe dzieci przed bólem i trudnościami. Tajemnicę schowała głęboko na dnie serca.

Usłyszała pełne nadziei słowa Richarda:

- Ale wrócisz do domu?

- Nie sądzę, żebym była w stanie to zrobić. Pomyślała, że Richard pewnie teraz odejdzie, ale on pozostał na miejscu. Po chwili rzekł:

- Nic nie jest teraz takie, jakby się człowiek spodziewał. Moje plany związane z interesami... po co to wszystko? Praca, którą włożyłem, żeby przekazać coś Philipowi i Theo... a żaden z nich tego nie chce.

- Po wojnie...

- To jeszcze potrwa parę lat. Może nawet dziesięć.

- Czy tak się mówi w Londynie?

- Trzeba wyzwolić Europę i Daleki Wschód. Amerykanie i Rosjanie są teraz po naszej stronie, i to nam z całą pewnością pomoże, lecz nie będzie łatwo. A nawet kiedy już będziemy to mieć za sobą, bo wierzę, że tak się stanie, Philip i Theo nie będą chcieli przejąć firmy. Są tacy... tak bardzo się ode mnie oddalili. Szukają własnych dróg.

- Jest jeszcze Rufus.

- Rufus? - Roześmiał się. - Umrę, zanim on dorośnie na tyle, by pracować w firmie. Umrę z przepracowania.

- Bzdura - odparła. - Przed tobą jeszcze wiele lat.

- Czasem zastanawiam się, po co to wszystko.

- Po nic, mój kochany. To po prostu długa podróż. Cisza, a potem słowa Richarda:

- Parę dni temu wspominałem nasze wakacje w Kornwalii. Przyjaciół, którzy zjeżdżali do Porthglas na lato.

- Pewnego roku zgromadziło się aż trzydzieścioro. Dom był pełen, podobnie zresztą jak pokoje gościnne w pubie w Zennor. "Wyniosłeś wszystkie nasze stoły na zewnątrz i zestawiliśmy je razem. Ty siedziałeś na jednym końcu, ja na drugim.

- Wyglądałaś jak królowa. Moja czerwona królowa! - Roześmiała się. - Pamiętasz, jak chłopcy przewrócili łódkę?

- A ty musiałeś popłynąć do Black Rock i ich ratować? Nie miałam pojęcia, jak uda ci się ich przytransportować z powrotem.

- Philipowi wystarczyło szepnąć parę słów. Przestraszył się tylko i stracił pewność siebie. Ale zawsze świetnie pływał. Theo wisiał na mnie całą drogę jak małpka. - Richard wstał i poszedł na brzeg rzeki. Podniósł kamyk i wrzucił go do wody. - Wydaje się, że od naszej ostatniej normalnej rozmowy upłynęło mnóstwo czasu.

- Niekiedy - powiedziała - mam wrażenie, że w przeszłości trzeba było trochę więcej rozmawiać, a mniej się kochać.

Obrzucił ją tym szczególnym spojrzeniem: zaintrygowanym i wygłodniałym. A ona przypomniała sobie noc podczas nalotów. Dotyk jego skóry, dwa ciała splecione w jedno. Miłość bez kalkulacji, sam dotyk i doznania tak intensywne, że oboje byli do tego stopnia wyczerpani, iż zdolni jedynie spać.

Znów zapatrzyła się na rzekę. Łabędzie odpłynęły w stronę rozlewiska.

- Może dlatego się kłóciliśmy - dodała. - Wiedzieliśmy, że skończymy w łóżku.

- Może tak.

Ochłodziło się, Isabel zadrzała. W Anglii letnie wieczory rzadko bywały ciepłe. Za plecami usłyszała głosy. Odwróciła się i zobaczyła Philipa, Theo, Ruby i Elaine na tarasie. Wszyscy skierowali wzrok w stronę ławki nad rzeką i pośpiesznie weszli z powrotem do hotelu. Isabel z irytacją pomyślała, że nawet dzieci knują jakiś spisek przeciwko niej.

W hotelowym barze Richard skończył whisky i zamówił kolejną szklaneczkę. Do sali weszła przystojna kobieta po czterdziestce - w jego typie, wysoka, ciemna i szczupła - w zielonej sukni i z lisem na ramionach. Richard patrzył, jak kelnerka podchodzi do stolika tamtej.

Kiedy przybyła złożyła zamówienie, wyjęła papierosa i rozejrzała się dokoła. Na widok Richarda niskim, schrypniętym głosem oznajmiła:

- Nie mam zapalniczki.

Zapalił jej papierosa. Wymruczała:

- To miłe z pana strony - po czym dodała: - Może się pan do mnie przyłączy?

Przez chwilę pomyślał, że właściwie mógłby to zrobić, lecz odparł:

- Niestety, muszę już iść. Życzę miłego wieczoru.

Wyszedł z baru i poszedł na górę do swojego pokoju. Był bardzo zmęczony, a w dodatku czuł dokuczliwy ból między żebrami. Kilka dni temu poszedł do lekarza, który osłuchał serce i zmarszczył brwi. Nieregularne bicie, wymamrotał, oznaki osłabienia. Trzeba ograniczyć alkohol, odpocząć, schudnąć parę kilogramów...

Ze zdenerwowania i zaskoczenia swą własną słabością Richard prawie nie słyszał tego, co mówił lekarz, i natychmiast zapomniał nazwiska polecanego przez niego kardiologa. Ubrał się, wyszedł z gabinetu i trafił do najbliższego pubu. Odpoczywać, pomyślał ze złością, zamawiając szkocką, on, który nie odpoczywał nigdy w życiu!

Ale jego serce! Leżąc na hotelowym łóżku, dotknął dłonią klatki piersiowej. Pomyślał o biednym Johnie Temple'u, który zmarł w sile wieku, posiadając wszystko, dla czego warto żyć. On sam miał tyle do stracenia, a jeszcze więcej do zyskania. Chciał obserwować, jak rosną jego wnuki. Pragnął zobaczyć, że jego dzieci przeżyły wojnę. Pragnął budzić się rano obok Isabel.

Nie był nietykalny, jak wierzył przez większą część życia. Wystrzelono pocisk ostrzegawczy, i to go przeraziło. I ból z tym związany, znacznie gorszy niż ucisk w piersiach, myśl o opuszczeniu tych, których kochał!

Zapadł w sen. We śnie był znowu w Lynton. Stromą, krętą ścieżką schodził z miasta w kierunku portu. Kłuło go w piersiach, a spieszył się, gdyż i tak był spóźniony.

Zatrzymał się na moście, by złapać oddech. Był przypyływ i morze wypełniło kanał. Kiedy dotarło do rzeki, słona i słodka woda złączyły się w jedno, walcząc, tańcząc, rozbryzgując kropelki błyszczące niczym diamenty. Podniósł głowę i zobaczył ją pod Rhenish Tower. Miała na sobie czerwony żakiet, dobrze widoczny na tle burzowej

szarości nieba. Ruszył w jej stronę, wiedząc, że musi zdążyć, zanim zacznie się odpływ. Kiedy był bliżej, pośpiech zmienił się w tęsknotę i radość. Port zalało złociste światło. Objęli się nawzajem i stali się jednością, nierozłączną, niczym rzeka i morze.

Richard obudził się. Leżał nieruchomo, spokojnie, wyciszony wspomnieniem snu. Ból w piersiach minął. Wstał, poszedł do łazienki, ochlapał twarz zimną wodą, umył zęby i uczesał się. Isabel, pomyślał, jego pierwsza i jedyna miłość. Tak często zamknięta w sobie i nieprzenikniona. Ale to jedynie wzmagало jego zachwyty. Tego wieczoru nie zgodziła się wrócić do niego. Ale on nie ma zamiaru się poddać. Członkowie rodziny Finborough nigdy się nie poddają. Zawsze walczą z przeciwnościami losu. On tę walkę dotychczas wygrywał.

Isabel przypomniała sobie ostatnie słowa, które powiedział Richard, zanim wróciła do hotelu.

- Żałujesz? - zapytał. Wiedziała, że miał na myśli małżeństwo.

- Nie, nie żałuję - odparła. - To była przygoda. Największa przygoda w moim życiu.

A potem jeszcze raz poprosił, aby wróciła z nim do domu.

- Nie - odparła ponownie. Chciał wiedzieć dlaczego.

- Jest na to za późno - wyjaśniła. - Jestem zbyt zmęczona. Klóciłibyśmy się bezustannie. Nie mam już tyle energii. Richardzie, osiągnęłam spokój, jest mi dobrze.

A teraz pakowała walizkę. Kiedy składała ubrania i zwijała pończochy, przyznała sama przed sobą, że skłamała. Nie była szczęśliwa. Nie była szczęśliwa już od wielu lat. Cóż, zdarzały się przebłyski szczęścia, jak u wszystkich. Ale spokój nie oznaczał szczęścia.

Przez tak długi czas czuła się oddzielona od innych ludzi. W Lynton zawsze była obca. Po ślubie z Richardem nie stała się częścią kręgu jego bogatych i uprzywilejowanych przyjaciół. Ale być może owo wyłączenie jej odpowiadało, być może czasem trzymała się z dala od innych na własne życzenie. Nie musiała już mieszkać w Porthglas - po zakończeniu nalotów jej uchodźcy wrócili do Londynu. Ona także mogła wrócić do domu, lecz tego nie zrobiła. Zamknęła się w swojej twierdzy.

Usiadła na łóżku. Po co narzucasz sobie takie odosobnienie? - skierowała do siebie pytanie. Tak bardzo się boisz miłości? Tak

tchórzliwie obawiasz się jej skutków? Czy też tak bardzo nie chcesz jej znowu stracić, że wolisz odciąć się od niej na zawsze?

To straszny wybór. Raz jeszcze narażać się na całe to ryzyko związane z miłością, czy też dalej żyć tylko półżyciem? Splotła ręce, usiłując podjąć decyzję. Co powinna zrobić? Nie wiedziała.

Kroki na korytarzu, zatrzymały się przed jej drzwiami. Znała jego kroki, bicie jego serca: zapisały się na zawsze w jej sercu.

Pukanie do drzwi.

- Isabel?

To jego głos.

Nie mogę, pomyślała. Nie potrafię.

Kolejne pukanie.

- Isabel, proszę.

Nie słysząc odpowiedzi, odszedł. A potem niespodziewanie znalazła odpowiedź. Jakiś głos w jej głowie odezwał się: Musisz mu tylko powiedzieć, że go kochasz. A to chyba nie jest zbyt trudne, prawda?

Otworzyła więc drzwi i zawołała jego imię.